



Philip Sington

Złoto Zoi

Widzieć różnicę między przeszłością, terażniejszością i przyszłością to trwać w złudzeniach.

Albert Einstein w liście pożegnalnym po śmierci Michele Besso

Więżniowie

1

Widzi ją skapaną w świetle brzasku, z twarzą przyciśniętą do podrapanej paznokciami ściany. Stoi odwrócona plecami i zakrywa ręką głowę jak dziecko, które zasłania się przed ciosem. Tam, w tamtej celi, powraca myślami do nieskalanego piękna, do wspomnień, które nie budzą w niej strachu. Nie stanowią też żadnej ochrony ani nie przynoszą przebaczenia, a jedynie pozwalają przenieść się do innego świata, do miejsca poza grzechem i karą. Teraz, kiedy wszystko się skończyło, on widzi ją jako więźniarkę, której nie sięga łaska wybaczonego Boga, a która mimo to nadal marzy o zbawieniu.

O szóstej rano słychać ciężarówki na podwórzu. Rozlega się jazgot dwusuwowych silników i pisk pasków klinowych. Ciężarówki nigdzie jednak nie wyjeżdżają. Pierwszego ranka zastanawiała się, dlaczego nie ruszają. Później ktoś jej wyjaśnił: włączają silniki, żeby zagłuszyć huk strzałów.

Teraz ten huk budzi ją codziennie. Wkrada się w wir jej snów, a ona natychmiast budzi się i nasłuchuje, czeka, aż silniki znowu zamilkną. Bo kiedy cichną, oznacza to, że niebezpieczeństwo minęło. Że przeżyje co najmniej jeszcze jeden dzień.

Moskwa, lipiec 1921 roku. Tego lata powinna była umrzeć tak jak pozostali.

Kiedy pracują silniki, nikt się nie odzywa. Osiem kobiet stłoczonych na zawieszonych piętrowych pryczach leży w milczeniu, ze wzrokiem utkwionym przed siebie, a siarkowy odór oleju napędowego powoli płynie do ich nozdrzy. Niektóre z nich wiedzą, dlaczego się tam znalazły. Inno nie mają pojęcia. Jakaś stara kobieta spędziła tam już rok i nawet nie została przesłuchana.

Tłumiony odgłos wystrzałów zagłusza głośnie walenie serc. Chociaż czasami naprawdę trudno powiedzieć, czy się słyszało strzały. Plutony egzekucyjne zostały właśnie oficjalnie potępione, podobnie jak tradycja strzelania na przemian ślepymi i ostrymi nabojami, więc nikt nie jest pewny, kim są zabójcy. Teraz każą klękać i strzelają w tył głowy. Skutki są o wiele gorsze. Krew i mózg tryskają do tyłu niezależnie od kąta ustawienia rewolweru. Powiadają, że wykonujący egzekucję musi codziennie zmieniać mundur. W tym stwierdzeniu nie ma cienia skruchy. Rozlew krwi to probierz proletariackiej determinacji, usankcjonowany i celebrowany na najwyższym szczeblu.

Pewnego ranka dziewczyna w wieku Zoi załamała się i zaczęła krzyczeć, jakby ktoś wydrapywał jej oczy. Nikt nawet nie próbował jej pocieszać. Kobiety bały się, że zwrócą na siebie uwagę. Pośród więźniów nie brakuje szpiegów. Każdy rodzaj bliskości stanowi zagrożenie. A więc, jak zwykle, leżały zasłuchane w jazgot silników i starały się wyłączyć myślenie. Dwie kobiety odmawiały po cichu modlitwę, błagalnie wykrzywiając wargi ku łuszczącemu się sufitowi.

Kilka dni później zabrali tę dziewczynę. Wszyscy wiedzieli, co się z nią stało. Jeśli strażnicy każą ci zostawić rzeczy w celi, znaczy to, że chcą cię tylko przesłuchać. Jeżeli każą je zabrać, oznacza to koniec.

Już na samym początku zauważyła, że głosy strażników zawsze są znudzone, jakby wywoływali ludzi z kolejki w banku, jakby człowiek prosił o coś niemożliwego i sprawiał im wielki kłopot samą swoją obecnością. Cokolwiek mówią, mówią znudzonym tonem, nawet gdy ogłaszają wyrok śmierci. Większość z nich to Litwini albo Azjaci, specjalnie tu sprowadzeni. Miejscowych, a w zasadzie w ogóle Rosjan, nie zatrudniają, gdyż mają oni skłonność do opowiadania o swojej pracy i o tym, co widzieli.

Dziewczynie kazali zabrać rzeczy. Wyciągnęli ją z celi za ręce. To było wczoraj. Teraz strażnicy znowu nadchodzą. Słyszysz ich ciężkie kroki na korytarzu. Zoia zawsze wtedy zamyka oczy.

Kiedy po raz pierwszy znalazła się w galerii Szczukina, miała wrażenie, że śni. Na ścianach tańczyły kształty i kolory o jakiejś nadludzkiej sile i wspaniałości. Nigdy dotąd nie widziała takiej sztuki, nie znajdowała słów na opisanie tych obrazów, niejasnych, a przy tym frapujących. Paliła się, żeby poznać ich sekretny język.

Zoia Korwin-Krukowskaja, ciekawa świata i wyzywająco urodziwa, z ciemnymi oczami o ciężkich powiekach, o wzroku czujnym i przenikliwym, trzy lata przed aresztowaniem.

Siergiej Szczukin kolekcjonował obrazy od lat dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku i ozdabiał nimi ściany swojego moskiewskiego pałacu. Dwieście dwadzieścia jeden płócien, kupionych albo zamówionych podczas jego przedłużających się pobytów w Europie Zachodniej, pędzla artystów, o których nikt w Rosji nie słyszał. Zoia przebywała już w Moskwie od kilku miesięcy, kiedy Andriej Burow zabrał ją do galerii, żeby je obejrzała. Zarówno pałac, jak i obrazy zostały skonfiskowane przez czerwonych, którzy wykorzystali je do stworzenia Muzeum Współczesnej Sztuki Zachodu, dodając u drzwi dwóch wartowników uzbrojonych w bagnety. Andriej był synem moskiewskiego architekta i wielkim entuzjastą i znawcą francuskiej

awangardy. Ale to nie dlatego Zoia z nim poszła. Prawdę mówiąc, poczuła do niego sympatię w chwili, gdy spotkali się w murach państwowej szkoły, w której panował bałagan charakterystyczny dla nowych przedsięwzięć. I nie miało to nic wspólnego z jego wyglądem: Andriej był wysoki i chudy, miał haczykowaty nos i kiepski wzrok. Siedzieli w jednej ławce i choć lekcje odbywały się sporadycznie i panował chaos, wkrótce stało się jasne, że to najbardziej inteligentny chłopak w klasie. Był tylko dwa lata starszy od Zoi, ale to dało mu pewność swoich racji, wiare, której nie zniszczył nawet pusty żołądek. Towarzyszył Zoi w drodze z domu do szkoły i odprowadzał ją po lekcjach. Zawsze pilnował, by nie wychodziła na ulicę po zmierzchu, ale jej spodobał się pomysł, żeby wymknąć się z domu cichaczem i odkrywać nieznane miejsca. Poza tym nie spieszyło jej się do wyziębionego mieszkania na Arbacie, które wraz z matką i babką dzieliły z konieczności z zupełnie obcymi ludźmi.

W dzień jej piętnastych urodzin Andriej zabrał ją do pałacu Szczukina.

Zoia usiłuje sobie przypomnieć, co spodziewała się tam zobaczyć, i przed jej oczami przesuwają się niewyraźne portrety kobiet w eleganckich sukniach, pozujących z afektowanym rozmarzeniem, pejzaże o zmierzchu, martwe natury z upolowanym ptactwem, rybami i owocami, rzeczywistość naśladowana farbami olejnymi, unieśmiertelniona wiernymi, zręcznymi dłońmi. Obrazy podobne do tych, które wisiały na ścianach domu jej ojczyma.

Nic nie przygotowało ją na to, co zobaczyła u Szczukina.

Pamięta pełen winy uśmiech Andriej a, kiedy pchnął drzwi prowadzące do wielkiego holu. Pamięta perłowe promienie słońca wpadające przez świetlik i echo ściszonych głosów przypominające szum skrzydeł. Stała na schodach, kiedy te postacie ją zaatakowały. Pamięta, że zamarła, czuła serce w gardle.

Ta chwila wszystko zmieniła.

Dwa wielkie obrazy: *Taniec* z jednej strony i *Muzyka* z drugiej. Potężne górujące postaci, prymitywne i prorocze. Plamy niezgłębionego błękitu i zieleń. Najpierw ogarnęła ją panika. Wpadło jej do głowy, że tutaj także dokonała się rewolucja, że czekała tylko na okazję, żeby zmieść z powierzchni ziemi ten stary zgniły świat, a wraz z nim i ją. Szczukin w tajemnicy przygotowywał nowy porządek. Nowy język dla nowej ery.

Nie mogła oderwać oczu od tych płócien. Były fundamentalne i ponadczasowe. Piękne, choć nie chodziło w nich o samo piękno.

Zapraszały ją do innego świata, jak hieroglify na starożytnym grobowcu.

Andriej przyglądał się Zoi; stojąc kilka kroków za nią, próbował odgadnąć jej reakcję.

- Henri Matisse - rzekł w końcu, jakby z samego imienia i nazwiska można się czegoś dowiedzieć. - Na górze jest jeszcze trzydzieści pięć obrazów.

Skąd się tam wzięły te przedziwne wizje? I dokąd chciały ją zabrać?

Andriej włożył ręce do kieszeni, czekając, co powie Zoia.

- I co? Jak ci się podoba? Czy towarzysz Szczukin zmarnował pieniądze?

Zoia oblała się rumieńcem. To przez te obrazy się zaczerwieniła. Uniosła spódnicę i ruszyła na schody.

Tamtej wiosny codziennie chadzała z Andriejem do Szczukina albo do pełnego przepychu pałacu Iwana Morozowa kilometr dalej. Morozow także był przemysłowcem, ale uciekł na Zachód. Andriej gardził jego upodobaniem do dekoracji i rozmachu. Na klatce schodowej znajdował się ogromny tryptyk Bonnarda prezentujący wybrzeże Morza Śródziemnego w różnych porach roku. Historię Psyche przedstawiono z kolei na ośmiu płótnach w pokoju muzycznym, a sama nimfa była ostentacyjnie naga.

Morozow był jeszcze młody i pełen rozmaitych żądz. Zbierając dzieła sztuki, kierował się dumą właściciela. Pożerał Gauguina, Matisse'a i Cézanne'a. Ale w jego kolekcji nie znalazło się miejsce dla melancholijnych dysekcji małego Hiszpana o wylupiastych oczach, podczas gdy Szczukin z katartyczną żarliwością zgromadził pięćdziesiąt jeden dzieł Picassa.

To, co różniło owe dwie kolekcje, nie było tylko kwestią smaku. Zoia to czuła. Picasso wkroczył w życie Szczukina w chwili, gdy świat milionera się rozpadł. Najpierw choroba zabrała mu żonę.

Potem jego brat i dwaj z jego synów popełnili samobójstwo. W następstwie tej straty Szczukin zaczął kupować Picassa i Matisse'a, Matisse'a i Picassa. Dzieła wyobrażono wewnętrznym okiem, które większość kolekcjonerów otwarcie wyśmiewała. Ale Szczukin nie zbierał dla samego zbierania. On czegoś szukał. A jego przewodnikiem była Śmierć.

Czasami w pałacu Szczukina Zoię przechodziły dreszcze. Zniekształcone twarze Picassa działały na nią jak lodowaty wiatr na plecach. Nigdy nic podobnego nie przydarzyło jej się w domu Morozowa. Tam czuła wręcz jakąś łączność z jego zbiorami, zachwyty kolorem i obfitością, które były czymś znanym. *Wspomnienie ogrodu w Etten* to był jej ulubiony obraz, tym razem van Gogh malował z wyobraźni. Dwie kobiety, opatulone szalami, jak dwie postaci z rosyjskiej bajki ludowej.

Nikomui nie mówili o swoich wyprawach. Gdyby matka Zoi dowiedziała się, że tracąc czas w galeriach, natychmiast położyłaby temu kres. W mieście brakowało żywności. Rewolu-

cja trwała niespełna sześć miesięcy. Dezerterzy i złodzieje rządzili na ulicach. Ten, kto wyszedł na ulicę w przyzwoitym płaszczu albo wyglądał na to, że ma przy sobie trochę grosza, mógł liczyć tylko na pomoc Boga. Matka utrzymywała ich przy życiu, sprząając śnieg na ulicy, szyjąc i wyprzedając swoje ostatnie koronki i biżuterię, którą zdołała ukryć przed żołnierzami. Nigdzie nie można było czuć się bezpiecznie. Bywało, że całe rodziny znikają jednej nocy.

W godzinach przed świtem Zoia leżała i słuchała płaczu matki. To był przerażający odgłos. W dzieciństwie sądziła, że matka nie potrafi płakać, zakładała, że łzy to dziecięca sprawa. Ale w Moskwie matka często płakała. Przyjechały tu, bo chciały wyjechać gdzieś, gdzie nikt ich nie zna. W Sankt Petersburgu nawet dawni pracownicy, nawet ci najbardziej zaufani, którym wierzyły jak krewnym, okradali je, grozili, że je zadenuncjują, jeśli im się sprzeciwią. Ale anonimowość pociągała za sobą samotność, która otaczała je jak całun. Spaliły wszystkie wspomnienia swojego dawnego życia - albumy z wycinkami, korespondencję, wszystko, co zdradzało ich uprzednie związki z dworem. Spaliły listy, które im powierzyła balerina Krzesińska, listy miłosne od cara. Spaliły nawet zdjęcia ojczyma Zoi. Gdybyż nie uparł się pozować do niego w swoim oficerskim mundurze! Ale teraz miały być nikim. Miały żyć niezauważone, dopóki nie minie ten koszmar.

Czasami matka stawała nad łóżkiem Zoi i głaskała ją po głowie. Wszystko będzie dobrze, mówiła. Wrócą do dawnego życia, kiedy czerwoni poddadzą się i zakończą swoje idiotyczne eksperymenty. Albo kiedy biali nadejdą z południa.

Zoia zamykała oczy i wyobrażała sobie ogród w Etten i siebie obok samotnego artysty. Patrzyła na krętą, cętkowaną słońcem drogę i próbowała ze wszystkich sił wyobrazić sobie, dokąd ona prowadzi.

Po trzech dniach i trzech nocach w celi rozebrali ją, szukając kosztowności. Zajęły się tym dwie czekistki, traktując jej ciało jak tuszę. Kiedy dotykały jej delikatnej skóry, miała wrażenie, że czuje na sobie zwierzęce łapy z pazurami.

Potem padły pierwsze pytania. Zadawał je mężczyzna z czarną brodą. Chciał wiedzieć wszystko o jej rodzinie, a także czym Zoia się zajmuje. Kiedy odpowiedziała, że jej matka wyjechała do Sewastopola, znowu ją wyprowadzili.

Sześć dni siedziała w pojedynczej celi, w ciemnej norze bez okien, gdzie światło wpadało jedynie przez szparę w drzwiach. Dzień i noc nic tylko smród odchodów i kaszel gruźlików. Kiedy czuła na swoim ciele karaluchy, krzyczała.

Drugie przesłuchanie trwało dłużej. Mężczyzna z krzywymi zębami i brązowymi dżaszami wyszcze kiwał pytania, a ona aż podskakiwała.

Więc jej matka i babka wyjechały do Sewastopola. Dlaczego? Akurat przy tym się uparli. Mężczyzna walnął pięścią w stół.

- Dlaczego do Sewastopola?

Wiedziała, że uwierzyliby jej w jedno: że próbowały przedostać się na Zachód. Oddziały białej armii powstały na Ukrainie i Kaukazie, między nimi był Krym, gdzie poparcie dla bolszewików było niskie i biali łatwo mogli zdobyć wpływy. Radosne historie o śmiałych kontrrewolucyjnych posunięciach krążyły po cichu wśród dystygowanych uchodźców, którzy nie stracili jeszcze nadziei na ucieczkę. Opowiadano na przykład, jak to Kozacy dońscy Krasnowa przedarli się przez oddziały czerwonych, ucinając im głowy podczas wyrzaskiwanych przez nich rewolucyjnych sloganów.

Niestety, Zoia nie mogła podać takiego wyjaśnienia. A tym bardziej nie mogła powiedzieć prawdy.

- Moja babka była chora, musiała wyjechać gdzieś, gdzie jest ciepiej.

- Chcę wiedzieć, dlaczego ty pojechałaś.

- Żeby pomóc się nią opiekować.

- Doprawdy. Ale wróciłaś dwa tygodnie później. Więc nie byłaś tam potrzebna?

Zdawał się wiedzieć - chociaż nie miała pojęcia skąd - że Zoia kłamie. Pogarda w jego głosie sprawiała, że wszystko, co mówiła, brzmiało jak kłamstwo.

- Chciałam zobaczyć się z Jurijem, to mój mąż.

Mężczyzna burknął coś i podrapał się w brodę. Przyszło jej do głowy, że boli go ząb, może ma ropień. Widziała, że cały czas dotykał językiem dżasła za dolną wargą. Powiadano, że czekaści, którzy torturowali ludzi, byli stale na wysokiej dawce kokainy, dostarczanej im przez szefów, żeby ich znieczulić i zatrzymać w pracy.

- Twój mąż, ten zdrajca?

Zoia zwiesiła głowę. Tak nazywała go jej matka, przynajmniej wtedy, kiedy sądziła, że córka nie słyszy. Mówiła też inne rzeczy, na przykład, że Zoia nie powinna była za niego wychodzić.

Łzy zbierały się pod powiekami Zoi.

- I zobaczyłaś go?

- Nie, on jest...

- Oczywiście, że nie. On jest w więzieniu. W więzieniu dla wariatów. Ale wiedziałaś przecież o tym przed wyjazdem, prawda? Więc dlaczego wyjechałaś?

Jej matka wiązała z Sewastopolem wielkie nadzieje. Przed wojną ludzie z jej klasy spędzali tam letnie wakacje. Spacerowali promenadą, a zespoły muzyczne i orkiestry smyczkowe przygrywały w kawiarniach i kasynach. W tym mieście swatano pary małżeńskie, tam rodziły się także związki o wiele gorszej reputacji. Za określoną cenę można było usunąć każdą przeszkodę na drodze do przyjemności i każdą kłopotliwą tychże przyjemności konsekwencję.

Matka oświadczyła, że w Sewastopolu zaczyna wszystko od początku. Zostawia za sobą przeszłość. Okazało się jednak, że miała na myśli coś więcej niż ucieczkę.

Mężczyzna wykrzykiwał pytania na temat Sewastopola, na temat Sankt Petersburga. Chciał wiedzieć, jak zdobyła posadę tłumaczki podczas Trzeciego Kongresu Międzynarodówki Komunistycznej. Przejęta strachem Zoia pomyślała, że w tym przesłuchaniu brak jakiegokolwiek ładu. Oczekiwano, że coś jej się wypśnie, że powie cokolwiek, co wystarczy, by pogrążyć ją samą albo kogoś innego.

Być może, gdyby się czymś obciążyła, uwolniłaby się od samotności, może to był jedyny sposób. Może lepiej było umrzeć od razu, aniżeli powoli tracić rozum.

- Co się z tobą dzieje? - spytał towarzysz.

Zoia uświadomiła sobie, że trzyma się za brzuch. Siłą woli wyprostowała się na krześle.

- Krwawię - powiedziała.

Mężczyzna prychnął. Nic nowego. Przekartkował notes zapisany niezgrabnym uczniowskim charakterem. Pojechały na południe, wszystkie trzy, licząc na to, że dotrą do białych. To jeszcze rozumiał. Ale potem ta dziewczyna wróciła do Moskwy. Ta część mu się nie zgadzała.

Kiedy pochylił się do przodu, wlepiając w nią nieprzyjazne szare oczy, Zoia pomyślała, że nie wie już, o co pytać.

- Przecież matka nie wsadziłaby do bydlęcego wagonu takiej ślicznej istoty? To dziesięć dni podróży przez zajęte przez bandytów tereny.

Nagle mówił łagodniej, niemal z sympatią. Ni z tego, ni z owego Zoia rozpląkała się w głos. Mężczyzna wyciągnął ołówek.

- No powiedz mi teraz. Od czego uciekałaś?

Pięć tygodni później Zoia słyszy kroki pod celą. W jazgocie silników Łubianka przypomina jakąś fabrykę, która przetwarza swój ludzki ładunek partiami, co pół godziny. Kobieta na

pryczy poniżej modli się znowu, choć Zoia nie rozumie słów. Modli się, żeby to nie była jej kolej. A może modli się, żeby była.

Zamki i zasuwki otwierają się powoli. Hałas wywołuje znajome szuranie, to szczur czmycha do swojej nory. Łubianka jest pełna szczurów. Nocami próbują wskakiwać na prycze. Mają wybór i nawet one wolą mięso, które jest jeszcze świeże.

Strażnicy wnoszą ze sobą ostre zapachy: tabaki, tłuszczu do smarowania broni, czasami pasty do butów. Wszystko to nowe zapachy, zapachy świata na zewnątrz. Stęchły mdły smród, który kiedyś od nich czuła, zniknął.

Zawsze, kiedy szukają swej ofiary, następuje chwila ciszy. Zoia zaciska powieki.

- Krukowskaja.

Mruga i otwiera oczy. Podnosi się na pryczy i siada. Jeden ze strażników jest nowy. Tatar, jej rówieśnik. Chłopak odwraca głowę, unika jej wzroku. I wtedy ona już wie.

- Weź swoje rzeczy.

Jednej z kobiet wymyka się cichy skowyt. Inna przewraca się na bok, chowa twarz. Zoi przychodzi do głowy, że to jej ostatnie chwile w świetle dnia. W piwnicach nie ma okien. Zabierają ją w ciemność, z której nigdy nie powróci.

Czuje, że drży, kiedy zbiera swoje rzeczy. Nagle najbardziej ze wszystkiego boi się ciemności.

Kiedy ją wyprowadzają, rzuca ostatnie spojrzenie przez małe zakratowane okienko wysoko na ścianie. Nad czarnymi dachami mały kwadracik nieba muska złoto.

The International Herald Tribune 4 grudnia, 1999. Dział sztuki i rozrywki

Śmierć „artystki malującej na złocie” to koniec pewnej epoki

Christiana Lorenz, „The New York Times”

Sztokholm. Wczoraj na omiatanym wiatrem miejskim cmentarzu zebrała się grupka sympatyków, głównie starszych wiekiem, Zoi Korwin-Krukowskiej. Było to ostatnie pożegnanie słynnej, urodzonej w Rosji „artystki malującej na złocie”. W ten oto sposób zamknął się pewien rozdział historii. Korwin-Krukowskaja, znana w świecie po prostu jako Zoia, była ostatnią żyjącą osobą związaną z dworem Romanowów. Urodzona w zamożnej rodzinie w Sankt Petersburgu w 1903 roku, jako dziecko bawiła się z książętami królewskiej krwi. Była też przyjaciółką kochanki cara, baleriny Matyldy Krzesińskiej. W wieku 96 lat była uważana za ostatnią żyjącą osobę, która знаła cara Mikołaja II. Zmarła na skutek powikłań po długiej walce z rakiem. Zoia studiowała pod kierunkiem wielu nauczycieli, w tym abstrakcyjnego ekspresjonisty Was-

silego Kandinskiego oraz japońskiego mistrza Tsuguharu Foujity. Foujita był jednym z legionu malarzy - do których należeli Modigliani, Picasso i Chagall, tworzących cyganerię artystyczną w paryskiej dzielnicy Montparnasse w latach 20-tych dwudziestego wieku. To właśnie on nauczył Zoię sztuki malowania na cennych metalach; to był początek niezwyklej, jeśli nawet enigmatycznej artystycznej podróży, podczas której Zoia usiłowała połączyć wrażliwość ekspresjonistów i kolorystów z głęboką i niewzruszoną pasją dla rosyjskiej tradycji artystycznej - tradycji, której w jej ojczyźnie groziło wyginięcie. W postkomunistycznej Rosji Zoia spotkała się z bardzo dobrym przyjęciem, w 1993 roku Borys Jelcyn urządził nawet specjalną wystawę jej prac na Kremlu. O ironio, to interwencja zakochanego w niej szwedzkiego komunisty uratowała życie malarki po rewolucji bolszewickiej w 1917 roku. Zoia została uwięziona pod zarzutem udziału w spisku kontrrewolucyjnym. Przyszły mąż, który przebywał w Moskwie na Trzecim Kongresie Międzynarodówki Komunistycznej, wybłagał jej uwolnienie u zastępcy szefa CzeKa. W końcu Zoia opuściła Rosję i wyjechała do Szwecji z jedną małą walizką i pluszowym misiem, w którym ukryła ikony.

Prywatne życie Zoi, podobnie jak jej sztukę, otacza tajemnica. Przeżyła trzech mężów, ale nie miała dzieci. Biografowie, którzy prosili ją o współpracę, spotykali się z odmową. Nawet ci, którzy zebrali się wokół jej grobu, to znajomi z ostatnich lat, przyznający, że nie wiedzą nic o jej przeszłości. Cokolwiek było powodem tej rezerwy - arystokratyczne wychowanie czy jakieś problemy - nie zmniejszyło to zainteresowania twórczością Zoi. Podobno w przyszłym roku ma się odbyć wielka retrospektywna wystawa, połączona ze sprzedażą jej prac. Kolekcjonerzy z Rosji, w tym Muzeum Ermitaż w Sankt Petersburgu, wyrazili już zainteresowanie.

Śmierć artysty niemal zawsze zwiększa jego wartość na rynku dzieł sztuki. I nie chodzi wyłącznie o to, że nie stworzy on już nic więcej. Jego dzieło przestaje należeć do terażniejszości i staje się dotykającym konkretnym łącznikiem z przeszłością, z minioną perspektywą, a w niektórych przypadkach z utraconym światem. Biorąc pod uwagę osobistą historię Zoi, zainteresowanie powinno być tym większe.

przestrzeń powietrzna nad Szwecją, luty 2000

Wszystko zaczęło się w dniu, kiedy znalazł ten obraz. Gdy patrzy wstecz na gruzy minionych trzech lat, to jedno jest dla niego jasne: w tamtej chwili ona powróciła do jego życia. Zupełnie jakby obudził ducha.

Do tamtej chwili wydarzenia toczyły się naprzód bezpiecznie, przewidywalnie, układając się w logiczny ciąg. Handel dziełami sztuki przynosił mu zyski. Miał młodą i piękną żonę. Miał przyjaciół. Ale Zoia prowadziła go znowu w ciemne rejony, krok po kroku, męcząc go pytaniami, na które nie potrafił odpowiedzieć, a których nie mógł dłużej ignorować.

Chińska księżniczka w Paryżu, obraz znany jako namalowany w Paryżu autoportret. Dzieło o nieustalonej historii. Olej na pozłocanym dębie, powstał w 1929 roku, który Zoia przeżyła pośród artystów i amatorów przyjemnego spędzania czasu na Montparnassie, roku, kiedy cała ta burzliwa scena w końcu się załamała, a szaleństwo i śmierć spadło niczym biblijna plaga na arcykapłanów braku umiaru. Obraz przedstawia młodą kobietę o orientalnej urodzie, w szarej jedwabnej sukni, siedzącą w fotelu z laki. Wiele lat później pojawiło się przypuszczenie, że portret przedstawia samą artystkę. Rzekomo wspomniała coś na ten temat. W owych czasach nie stać ją było na opłacenie modelki, wyjaśniła jakiemuś zaciekawionemu gościowi. Tak więc sama sobie pozowała, eksperymentowała z fryzurą i makijażem i prawdopodobnie malowała, siedząc przed dużym, obejmującym całą postać lustrem. Nie istnieje żaden inny autoportret Zoi z lat paryskich. Tak więc zaczęto podejrzewać, że *Chińska księżniczka* jest właśnie autoportretem.

Elliot znalazł ten obraz pod schodami w domu swojego ojca, wciśnięty między dwa leżaki zjedzone przez korniki. Kiedy dotknął powierzchni, na palcach została mu gruba warstwa kurzu; niemal tak gruba jak farba. Wyciągnął obraz w wąskim korytarzu i ujrzał niewielki łuk połyskującego złota. Wtedy dopiero zdał sobie sprawę, z głębokim wzruszeniem, z czym ma do czynienia.

Nie zdziwił go ten kurz i zapomnienie. Zdumiało go, że w ogóle znalazł ten obraz w tym domu. Był przekonany, że jego ojciec zniszczył go przed dwudziestu pięciu laty albo przynajmniej sprzedał. Fakt, że ojciec go zatrzymał, czyli tak naprawdę żył z nim przez cały ten czas, wzbudził w nim niepokój. Każdego wieczoru, wspinając się po schodach do swojego sa-

motnego łóżka, ojciec musiał myśleć o tym portrecie, który z pogardą w ciemnych oczach patrzył na niego spod schodów, przypominając mu o wszystkim, co stracił: żonie, synu i rozumie. Obraz - zwiastun klęski.

Była to jedyna cenna rzecz, jaką Elliot zabrał tego dnia z domu - po to, żeby uniknąć płacenia podatku, ponieważ czekało go jeszcze wiele miesięcy do rozstrzygnięcia spraw spadkowych. Wszystko musiało zostać wycenione, włącznie z zasłonami i meblami kuchennymi, zanim wolno mu będzie legalnie coś zabrać. Zawinał obraz w gazety i położył na tylnym siedzeniu samochodu. W owej chwili nie miał poczucia, że popełnia przestępstwo, że stawia pierwszy krok w ciemność.

Przez jakiś tydzień obraz pozostawał w garażu. Potem Elliot przeniósł go do swojego gabinetu, a jeszcze później do magazynu w swojej galerii na Westbourne Grove. Nie zamierzał go sprzedawać. Po prostu nie miał ochoty pokazywać go żonie Nadii ani wyjaśniać jej całej historii. Miał wrażenie, że nie zrozumiałaby go. W każdym razie nie należała do osób, które poświęcają dużo czasu przeszłości. „Zmarli nie mogą nas skrzywdzić”, powtarzała. To jakiś czeski aforyzm, który знаła ze swojej dawnej ojczyzny.

Elliot nigdy nie wyprowadzał jej z błędu.

Przez pierwsze tygodnie nie zrobił nic. Nie wiedział właściwie, co zrobić. Obraz nie został wpisany do ksiąg galerii, więc nie było sensu go wystawiać. Nawet go nie ubezpieczył. Jeśli chodzi o interesy, obraz nie istniał.

Potem pewnego dnia, bez jakiegoś szczególnego powodu, postanowił wyczyścić portret. Udało się to zrobić na sucho, nie uciekając się do wody czy rozpuszczalników. Rama zapewne mocno w coś uderzyła, ponieważ z jednej strony zauważył pęknięcie. Tym również należało się zająć, jednak naprawę powierzył rzemieślnikowi, z którym dotąd nie współpracował. W dniu, kiedy portret do niego wrócił, powiesił go po raz pierwszy nad kominkiem w gabinecie. Było to zresztą jedyne wolne miejsce poza magazynem. A tam nie mógł go już schować.

Chińska księżniczka, odzyskawszy blask, patrzyła na niego z zadowoleniem. Była jakaś protekcyjna wielkoduszność w jej oczach. Francesca, studentka historii sztuki, która pracowała dla niego tego lata, rozpoznała styl i zapytała go o ten obraz. Kim była chińska księżniczka? Jaka była jej historia? Elliot nie znał odpowiedzi. Nigdy nie zajmował się twórczością Zoi. Żyjący artyści, nawet rówieśnicy Zoi, nie znajdowali się w kręgu jego zainteresowań.

- Myśli pan, że to może być autoportret? - spytała dziewczyna. - Tytuł jest raczej żartobliwy. I czy w Chinach w ogóle są księżniczki?

Elliot roześmiał się. Dla niego to nie miało sensu. Przecież nie patrzyli na jakieś rysunki piórkiem na papierze. Mieli przed sobą solidną dębową deskę, przygotowaną z wysiłkiem i pokrytą dwudziestoczekaratowym złotem. Tak czy owak, po co artystka malowałaby autoportret w przebraniu? A potem wymyślała nieprawdziwy tytuł, żeby wszystkim zamydlić oczy? Malarze pragną przecież uchwycić prawdę jak wszyscy artyści, prawdę wewnętrzną. W końcu czyż nie temu służy portret?

Dopiero po jakimś czasie Elliot dowiedział się, że Francesca mogła mieć rację. Najpierw w gazetach, a potem w artykułach naukowych, istnienie jedyne autoportretu Zoi potraktowano jako fakt. Jeśli to prawda, jedna z pierwszych, a może nawet pierwsza, próba malowania na złocie, domeny Zoi, była rodzajem prywatnego żartu.

Zastanawiał się, czy jego matka wiedziała, że to żart, kiedy kupiła obraz jesienią 1970 roku, dziesięć dni przed śmiercią. Zastanawiał się, czy wiedziała, że sprowadza do domu Zoie.

Airbus przechyliła się, zniża lot, mijając wyniosłe cumulusy. Potem Elliot ma już pod sobą wybrzeże, choć jeszcze trudno je rozpoznać, widzi jedynie linię dzielącą ląd i morze. Rozszczepiona masa skał i lodu i szaroniebieska woda ciągną się aż po horyzont, nie pozwalając dojrzeć, które w końcu ulega któremu. Dostrzega cień samolotu podskakujący na śniegu i ciemnych pasmach lasu, czuje prędkość maszyny.

Dom Zoi. Miejsce spoczynku Zoi. Wyobraża sobie jej ciało zakopane w zamarzniętej ziemi. Zadaje sobie pytanie, po co przyjechał taki kawał drogi. A potem rozgląda się, niepewny, czy przypadkiem nie wypowiedział tego pytania na głos.

Jasnowłosa stewardesa SAS pochyla się nad nim z dzbankiem kawy, pokazując w uśmiechu zęby.

- Panie Elliot? Może jeszcze filiżankę kawy?

Na pewno przeczytała jego nazwisko na bilecie. Odrobina prywatności w obsłudze.

- Nie, dziękuję.

Po przyciszonym dzwonku pojawia się znak, że pora zapiąć pasy. Turbulencja potrząsa skrzydłami samolotu. Elliot nigdy nie lubił latać. Nie ufa, tak jak inni, że niekończące się kontrole i wszelkie przygotowania przeprowadzono z niezbędną skrupulatnością.

Otwiera tekturową teczkę, która leży na jego kolanach. Przysłał mu ją Cornelius Wallander, szef działu sztuki domu aukcyjnego

Bukowski w Sztokholmie. W środku znajdują się wycinki prasowe, nekrologi, ksero katalogów z wystaw, agencyjny esej rosyjskiego krytyka sztuki Sawwy Leskowa, opublikowany

po raz pierwszy w „Le Figaro” w 1989 roku. To tylko punkt wyjścia do obszernego eleganckiego katalogu, jaki Bukowski planuje wydać z okazji aukcji prac Korwin-Krukowskiej. To właśnie Elliot otrzymał zlecenie opracowania tego katalogu, zadbania o atrakcyjność publikowanych w nim materiałów. Cornelius bardzo liczył na małą monografię. Od lat nie napisano niczego istotnego na temat twórczości Zoi, za ludzkiej pamięci nie napisano nic ważnego o jej życiu. Przy zainteresowaniu, jakie wywoła aukcja na całym świecie, mogą potrzebować sto tysięcy egzemplarzy katalogu, a nawet i więcej. Po czterdzieści dolarów za egzemplarz to będzie niezłe źródło dodatkowych dochodów dla wszystkich zainteresowanych. Cornelius uważa, że teraz, po śmierci artystki, kiedy jej majątek znalazł się w rękach prawników i przyjaciół, łatwiej będzie o ciekawe szczegóły. Elliot powiódł palcami po druku.

Był zaskoczony, kiedy Cornelius odezwał się do niego po tym wszystkim, co się wydarzyło. Większość osób, z którymi Elliot utrzymywał kontakty zawodowe, unikało go jak zarazy. Elliot wciąż pamięta ten telefon: Cornelius pełen świątecznej życzliwości, jakby to było po prostu kolejne Boże Narodzenie, psioczący na koszty Y2K i histerię milenijną, udający entuzjazm dla czekających go dziesięciu pustych dni. Potem rozmawiali o śmierci Zoi, sprzedaży jej prywatnej kolekcji i retrospektywie planowanej w Bukowskim. Corneliusowi udało się wzbudzić zaniepokojenie Elliota; wiedział już, że Elliot zaczął interesować się twórczością Zoi. Był na tyle uprzejmy, że oznajmił, iż uznaliby to za osobistą przysługę, gdyby to Elliot zechciał opracować katalog, jakby w Bukowskim brakowało młodszego personelu, wystarczająco wykwalifikowanego do tego rodzaju prac. To była jedyna miła niespodzianka tego świątecznego sezonu, gest przyjaźni z niespodziewanej strony, może nawet pierwszy krok będący powrotem do życia, które niegdyś prowadził.

Dobry stary Cornelius.

Elliot kartkuje wycinki. Esej Leskova jest najbardziej zajmujący, to próba umieszczenia Zoi w kontekście historii sztuki rosyjskiej. Zagraniczne wpływy i studia Zoi na Zachodzie zawsze utrudniały takie spojrzenie na jej twórczość, a jednak Leskow potrafił dostrzec rosyjskie podteksty, których większość zachodnich krytyków nie widzi, i jego analizę nadal uważa się za najważniejszą.

Elliot raz jeszcze czyta esej, wciąga go jego pewny, znamionujący wtajemniczenie ton. Rosjanie o Rosjanach. W tego rodzaju artykułach zawsze wyczuwa się sugestię, że tylko swój swego jest w stanie zrozumieć. Że nawet znajomość języka rosyjskiego, którą posiadał Elliot, nie wystarcza, zwłaszcza gdy temat ma wymiary duchowe. A zdaniem Leskova ten temat w

sposób oczywisty je ma. Powołaniem Zoi nie było naśladowanie zachodniej tradycji ekspresji indywidualnej, twierdzi Leskow. Zoia nie penetrowała swojego wewnętrznego krajobrazu językiem koloru i formy, jak wymagał Wassily Kandinsky, jej nauczyciel w pewnym okresie. Ona zachowała słowiańską tradycję, tradycję, którą zafascynowani Zachodem jej wrogowie chcieli wymazać, razem z ostatnimi śladami despotyzmu i fatalistycznej religii. Sztuka Zoi to sztuka kontemplacji, lśniące lustro odbijające mistyczny wszechświat, w którego sercu mieszka jedyny, niepoznawalny Bóg.

Samolot skręca na północny wschód, zanurza się w promieniach zimowego słońca pod warstwą chmur. Gdzieś, kilka rzędów z tyłu, zaczyna płakać dziecko. Elliot zamyka teczkę i wygląda przez okno.

Jak okiem sięgnąć, aż po horyzont widzi jedynie lód.

3

W autobusie z lotniska było czterech pasażerów. Elliot siedział pośród pustych foteli i obserwował płatki śniegu, które spływały ni z tego, ni z owego z czarnego nieba. Punkty światła oznaczały port i nabrzeże, obietnica przytulnego ciepła promieniowała z okien solidnych okazałych budynków. Skandynawia to prawdziwa ojczyzna Bożego Narodzenia. W Anglii sezon świąteczny jest żenująco zużyty, jak wypożyczony kostium: Święty Mikołaj z nylonową brodą obchodzi w deszczu centrum handlowe. Elliot zawsze planował spędzić z rodziną białe Boże Narodzenie z reniferem i saniami w ojczyźnie swojej matki.

Autobus toczył się z łoskotem szerokimi, pokrytymi cętkami śniegu ulicami. Jego córka Teresa była już wystarczająco duża, następne Boże Narodzenie będzie idealne albo jeszcze następne, kiedy jego sytuacja finansowa wróci do normy. Umówi się z kilkoma przyjaciółmi i zorganizuje grupę. Będą zjeżdżać na sankach i oglądać północne niebo wieczorami. To będzie magiczne miejsce Teresy, które pozostanie w jej pamięci na zawsze. I on także tam będzie, otulony i przechowany w jasnych nienaruszalnych wspomnieniach.

Kiedy zajechał przed Bukowskiego, gdzieś zabiły dzwony. Budynek przypominał wiktoriański dom dla lalek; z ogrodu przed wejściem widać było idealnie zachowane historyczne wnętrza. Fundator Henryk Bukowski był polskim szlachcicem, skazanym na wygnanie z ojczyzny przez rosyjskich suwerenów. To on wprowadził w Szwecji aukcje z katalogami, dorabiając się fortuny, kiedy kolekcja sztuki króla Karola XV poszła pod młotek w 1873 roku. Od tamtej

pory założona przez niego spółka stanowiła numer jeden w Europie Północnej, jej sezonowe aukcje zaś najważniejsze wydarzenia w kalendarzu potencjalnych kupców. Między aukcjami najcenniejsze przedmioty, od mebli empirycznych po rzeźby z pleksiglasu, są wystawiane we wnętrzach urządzonych jak prywatne mieszkanie.

Elliot wysiadł z taksówki i podniósł wzrok na klasyczną fasadę, podczas gdy taksówkarz wyjmował jego bagaż. Poprzednio, trzy i pół roku wcześniej, przyjechał tutaj z zupełnie innego powodu: Marcus Elliot, marszałek, zamierzał wtedy coś kupić. Sztuka i artefakty zakopane gdzieś w bloku sowieckim przez sześćdziesiąt lat w końcu znalazły drogę na rynek - ikony ukryte pod deskami podłogi czy zagrabione przez państwowe muzea, dzieła sztuki błędnie komuś przypisane albo zawieruszone, obrazy i wyroby rzemiosła odzyskane przez emigrantów i wymienione na gotówkę. Pojawili się też nowi kupcy z krajów postkomunistycznych, nowi bogacze ze sprywatyzowanego przemysłu, potentaci medialni i naftowi, ludzie, których żądza prestiżu dorównywała zaciekłości ich narodowej dumy. To dobry rynek, jeśli umie się go wykorzystać. Potencjalne zyski są o wiele większe, niż pośrednik mógłby się spodziewać po holenderskim malarstwie rodzajowym albo pracach trzeciorzędnych impresjonistów. I mniej ryzykowne, tak przynajmniej uważał Elliot.

Zapłacił taksówkarzowi i ruszył do drzwi, omijając jadącego na desce chłopca w wełnianej wzorzystej pilotce. Pędząc slalomem, chłopak krzyknął. Elliot znieruchomiał w pół kroku.

Nagle coś przyciągnęło jego wzrok. Jakaś twarz ujęta w plastikowe ramy bocznego lusterka. Kobięca twarz. Przez moment pomyślał, że to stewardesa z samolotu, ta, która znała jego nazwisko. Ale to było mało prawdopodobne.

Siedziała za kierownicą podniszczonego białego volkswagena polo. Zajrzawszy przez boczną szybę, dojrzał zarys głowy w czapce narciarskiej. Kobieta rozmawiała przez telefon komórkowy.

W Bukowskim unosił się zapach pasty do podłogi i kosztownych perfum. Ochroniarze i portierzy kręcili się przy drzwiach. Pracownicy przemieszczały się dostojnym krokiem w nieskazitelnym ciemnym kostiumach. Dziewczyna w recepcji była blada, miała podkrążone oczy i krótkie, jasne, prawie białe włosy. Mówiła coś do słuchawki, kiedy Elliot się przedstawił.

- Pan Wallander za moment zejdzie - odparła, zapraszając go gestem na kanapę.

Elliot usiadł i czekał. Trio portierów przenosiło sporą nagą postać z brązu przez drzwi na górce. Powrót do tego miejsca wprawiał go w niepokój. Czuł na nowo rozmiar swojego upadku - czuł to fizycznie jak potówki na skórze. Za progiem głównej sali aukcyjnej dwie kobiety roz-

mawiały przyciszonymi głosami. W jednej chwili obie się odwróciły i spojrzały na niego, po czym zniknęły wewnątrz.

- Marcus! Więc przyjechałeś.

Cornelius Wallander miał twarz bardziej czerwoną i obwisłą niż ostatnim razem, kiedy się widzieli. Ujął dłoń Elliota obiema rękami i uściśnął serdecznie. Był to potężny mężczyzna, łysy okularnik, niereformowalnie niechlujny, według standardów obowiązujących w Bukowskim. Elliot podejrzewał, że za młodu Wallander grzeszył nieśmiałością. Ale z biegiem lat nauczył się żartować ze swoich dziwactw i traktował z humorem ludzi - takich jak Elliot - których uważał za bardziej od siebie barwnych czy obytych. Entuzjizm, z jakim oddawał się pracy, przemawiał na jego korzyść. Elliot nigdy nie spotkał drugiego człowieka, który byłby tak dumny z przedmiotów niebędących jego własnością. Cornelius uwielbiał rzeczy odważne i piękne, jakby te cechy, przez bliski kontakt z nimi, w jakiś sposób przenosiły się na niego.

- Jestem ci niezmiernie wdzięczny, że przyjechałeś. Wyglądasz... - ujął twarz Elliota w dłonie i zawahał się - ... dobrze, Marcus. Bardzo dobrze.

Powiedział to ze zdziwieniem.

- Doceniam tę szansę, Cornelius. To bardzo miło z twojej strony, że o mnie pomyślałeś.

Cornelius wziął bagaż Elliota i schował go za ladą recepcji.

- Daj spokój, ta robota wymaga kogoś specjalnego. To nie jest zwyczajne grzebanie w papierach. Do kogo innego mógłbym się zwrócić? Poza tym wiem, że jesteś jej fanem.

- Tak, ale skąd?

- Skąd?

- Skąd wiesz? Cornelius uśmiechnął się.

- Międzynarodowa aukcja, jesień dziewięćdziesiątego szóstego roku. Brałeś udział w licytacji Korwin-Krukowskiej i zostałeś przelicytowany. *Wazon z makami*, zdaje się. Musiałeś przystać na coś mniejszego.

- *Pałac Szczukina*, zgadza się. Masz niezłą pamięć.

Cornelius potrząsnął głową.

- Po prostu zbyt długo tu pracuję. - Wskazał Elliotowi windę, gadając jak najęty, jakby nigdy nic. - A właśnie, co się stało z tym *Pałacem Szczukina*? Sprzedałeś go?

Elliot patrzył, jak zasuwiają się drzwi windy.

- Sprzedałem wszystko.

Cornelius zaczerwienił się i nacisnął guzik.

- Oczywiście, oczywiście. Chciałem spytać, czy szybko go sprzedałeś?

- Po jakimś roku. Moskiewskiemu Bankowi Narodowemu, oddziałowi w Londynie. Dokąd jedziemy? Wygnali cię do piwnic?

Cornelius się zaśmiał.

- Chcę ci pokazać, co zgromadziliśmy do tej pory. Mamy już niezły łup.

Elliot się tego spodziewał. Zbliżająca się aukcja, wyznaczona na początek czerwca, nie była tylko zwykłą szansą na zakup dzieła sztuki. Stanowiła także okazję na sprzedaż, której pewnie przez lata nic nie pobije. Każdego właściciela obrazu Korwin-Krukowskiej będzie kusiło, żeby go spieniężyć.

- Ludzie teraz inwestują na giełdzie - stwierdził Cornelius. - Mam na myśli giełdę nowej ekonomii. To tam przyszli kolekcjonerzy zarobią swoje miliony. - Popatrzył na stalowe drzwi i zmarszczył czoło, widząc swoje niewyraźne odbicie. - Frederic Wahl mówi, że musimy się przygotować na czasy, kiedy nawet aukcje dzieł sztuki będą odbywały się on-line. Inwestujemy krocie w nowe technologie. Wkrótce katalog zostanie zastąpiony przez trójwymiarową wirtualną wycieczkę.

- Wtedy ludzie tacy jak ja nie będą już potrzebni.

Drzwi się rozsunęły. Za nimi panowała ciemność, rozjaśniona jedynie przez czerwone lampki bezpieczeństwa. Cornelius poklepał Elliota po ramieniu. Wyszli z windy, ich kroki i głosy odbijały się echem.

- Tacy jak ty zawsze będą potrzebni, Marcus. Eksperci, wtajemniczeni. Każda wycieczka potrzebuje przewodnika.

Elliot nigdy dotąd nie widział tej części budynku. Był to rodzaj podziemi, niedawno odkopanych albo przebudowanych, sądząc z betonowych ścian i cementowej podłogi. Buczały tam generatory, bojler i instalacja elektryczna, która zabezpieczała budynek i jego zawartość przed ogniem, kradzieżą i zniszczeniem na skutek działania klimatu.

Cornelius szedł pierwszy szerokim korytarzem, pogrążony w myślenie, klucze w kieszeni marynarki, mówił teraz o telefonach, jakie otrzymał z Japonii, USA i Rosji. Ostatnia wystawa Zoi, w Tokio, dokładnie przed pięciu laty, została wyprzedana na pniu. Nic dziwnego zresztą, że w tamtym rejonie jej twórczość cieszyła się uznaniem. Kolekcjonerzy amerykańscy nie opuszczali żadnej wystawy, zwłaszcza kiedy prace budziły skojarzenia z czymś królewskim czy cesarskim, jakby w królewskiej krwi tkwiła jakaś magia, coś, co ich własny świat utracił na zawsze. Elliota najbardziej interesowali Rosjanie, nowi na tym rynku.

- Dla nich to część ich historii - powiedział Cornelius. - I chcą ją odzyskać. Trudno im mieć za złe, biorąc pod uwagę, co stracili.

Ten sam argument wysuwał Sawwa Leskow w swoim eseju w „Le Figaro”: teraz, po upadku komunizmu, Rosja może popaść w nihilizm zachodniej kultury popularnej, która jest tylko erzacem, albo odnaleźć swoją tożsamość, odkrywając przeszłość, czyli to, co straciła. Zoia, stylistycznie i historycznie, idealnie do tego pasowała.

- O kim dokładnie mówimy? Czytałem coś na temat Ermitażu.

- Ermitaż, Muzeum Sztuki Współczesnej w Moskwie, a także mnóstwo prywatnych kolekcjonerów.

Cornelius wyjął klucze. Przystanęli przed wzmocnionymi drewnianymi drzwiami. Po obu ich stronach z otworów na gniazdka wystawały kable.

- To pomieszczenie nie jest jeszcze całkiem gotowe. Ale ja je zarekwirowałem do prywatnych celów. - Otworzył zamki. Jeden z nich, mosiężny, wyglądał na wyjątkowo skomplikowany. - Poza tym nie mogę się pozbyć wrażenia, że prace Zoi prezentują się najlepiej w prostej scenerii, nie uważasz?

Drzwi otworzyły się bezszelestnie. Za nimi panowała ciemność, pachniało mokrym cementem. Na podłodze leżał czerwony chodnik. Cornelius wszedł do środka.

- Jesteś gotowy? - spytał, sięgając do włączników.

Elliot przekroczył próg i stanął na chodniku, odrobinę zdziwiony tym całym przedstawieniem. Zastanawiał się też, dlaczego Cornelius przechowuje cenne obrazy w pomieszczeniu, które jest jeszcze w budowie.

- Więc ile prac ostatecznie...

Zabłyśło światło. Elliot zamrugał, oszołomiony.

- Jezu... Aleja złota.

Było tam osiemnaście prac, umieszczonych na wysokich szarych tablicach po obu stronach pomieszczenia. Chociaż prezentowały rozmaite tematy i różne style, postrzegał je i czuł jako jedną promienną całość. Cornelius obrócił je w stronę drzwi, żeby można było widzieć wszystkie równocześnie.

Pułapka niebiańskiego światła.

- Niezły widok, co? Zawsze chciałem zrobić coś takiego. I być może nie będzie drugiej takiej szansy.

Ustawił obrazy według tematów: martwe natury z przodu, pejzaże z tyłu, architektura i postacie ludzkie w środku. Wszystkie na złotym tle, które zdawało się rozplýwać, kiedy Elliot przechodził wzdłuż nich i patrzył.

Ujrzał w nich swój własny cień, swoje własne zamglone odbicie. I nagle przyplýnęło do niego wspomnienie z dzieciństwa, z czasów, kiedy jego matka jeszcze żyła. Byli wówczas w Hiszpanii, jechali samochodem przez jakieś zakurzone miasto w głębi lądu. Matka chciała obejrzeć wnętrze kościoła, który znała ze słyszenia. Pamiętał, jak wszedł do zimnego pachnącego stęchlizną wnętrza i przed jego oczami rozkwitła ściana złota za ołtarzem - panele, obrazy, krzyże i figury - wszystko złote, połyskujące w świetle świec. Pamiętał, że pociągnął matkę za rękę, bo chciał wiedzieć, co to wszystko znaczy, a ona stała bez ruchu, zauroczona i pogodna.

- Całe wieki ustawiałem tu światło - powiedział Cornelius. - I nadal nie jestem pewien, czy w ogóle da się te obrazy dobrze oświetlić. W przypadku złota wystarczy, że zmienisz odrobinę kąt padania światła, i zmienia się wszystko. Nie da się pokazać wszystkich możliwości naraz.

To prawda, oglądając reprodukcje prac Zoi w katalogach, nigdy nie zobaczy się tej niematerialności, tego nieustającego przechodzenia światła w cień. Fotografia pokazuje tylko jedną określoną perspektywę, odtwarza ją w żółciach i ochrach. Rezultat jest nijaki i płaski. A złoto Zoi otula cię światłem jak lustro, kiedy obraz znajduje się w pobliżu.

W swoim eseju Sawwa Leskow ukuł nazwę dla tego efektu: „ikonograficzna dysocjacja”. Twierdził, że technika ta została rozwinięta w bizantyjskich klasztorach jako pomoc w kontemplacji Sfery Świętej, Najświętszej Marii Panny i Dzieciątka, zawieszonych między Ziemią a Niebem.

Obrazy wibrowały kolorem. Farba została położona pojedynczymi pociągnięciami pędzla, łączone odcienie były widoczne w małych łukach rzęs. Malując na listkach złota, nie można zmieniać koloru po nałożeniu farby, to rygorystyczny wymóg.

Cornelius ustawił obrazy, kompletnie lekceważąc chronologię. Z historycznego punktu widzenia to było bez sensu. Sugerowało plan, jaki nigdy nie powstał w głowie artystki. Z bardzo różnych prac powstała pośmiertna deklaracja, pożegnalne podsumowanie. Ale taki układ przyciągał uwagę.

- Oczywiście, to tylko te największe - ciągnął Cornelius. - Mamy też inne, mniejsze. A także szkice i projekty kostiumów teatralnych. Raczej ciekawe, moim zdaniem. Oczywiście

istnieją dobre obrazy, których nie zdołaliśmy wyśledzić. Paryski autoportret, na przykład. Nikt nie wie, co się z nim stało.

Elliot pochylił się nad *Słonecznikiem z ptakami*. Autoportret znajdował się w magazynie w Londynie, ale o tym wiedział tylko on i Paul Costa, krewny, który go dla niego przechowywał.

- To wszystko związane jest z Foujita - kontynuował Cornelius. - To duża atrakcja, zwłaszcza dla Japończyków.

Przez większość lat spędzonych w Paryżu Zoi ledwie starczało pieniędzy na farby. Ale kiedy zobaczyła obrazy Foujity malowane na szlachetnych metalach, zapaliła się do tego z niezwykłą determinacją. Foujita nie przyjmował uczniów. Miał za to upodobanie do dziewcząt o okrągłych twarzach i czarnych włosach obciętych na pazia - Europejki *à la Japonaise*, jak nazywał je Elliot. Może dlatego mistrz uległ w końcu i podzielił się z Zoią sekretami swojej techniki. Paryski autoportret pochodził z tamtych czasów, był jednym z wczesnych przykładów malarstwa na złocie, które później kojarzono z Zoią. Istniały nawet spekulacje, czy, przynajmniej częściowo, nie wyszedł on spod pędzla Foujity.

Tak czy owak, stanowiłby największą atrakcję wystawy, jako jedyny znany portret Zoi z tak ważnych dla niej lat paryskich.

- Mamy nadzieję, że Muzeum Narodowe wypożyczy nam portret pędzla Oscara Björcka - mówił dalej Cornelius. - Ale wiesz, jacy oni są.

- Może właściciele odezwą się bliżej terminu wystawy.

- Gdybyśmy ich znali, skontaktowalibyśmy się z nimi do tej pory. Mogliby sporo zarobić. Ale rozpytywałem wśród marszandów i nikt nie ma pojęcia, gdzie jest ten portret. - Jeśli nie mówię szczerze, nie było tego po nim widać. - Może ty coś znajdziesz w letnim domu, jakiś zapis czy coś w tym rodzaju.

- W letnim domu?

- Nie mówiłem ci? To tam znajdują się jej dokumenty. W Saltsjöbaden. Jak rozumiem, duża część jest w języku rosyjskim. Więc twoje zdolności językowe się przydadzą. Pojedziesz tam, już wszystko zorganizowałem. Zdobędziesz trochę materiałów do katalogu. Jakies szczegóły z biografii.

Elliot objął się ramionami, bo wydało mu się, że w pomieszczeniu nagle zapanował ziąb.

- Okay. Kiedy mam jechać?

- Jutro. - Cornelius uśmiechnął się, jego błyszczące policzki zaróżowiły się w złotej poświacie. - Przykro mi, że to nie wakacje, ale przynajmniej nikt nie będzie ci przeszkadzał.

Cornelius przeproszał też za organizację wieczoru, a raczej jej brak. Jego szwagierka leżała w szpitalu, obiecał zawieźć do niej swoją żonę, jak twierdził. Dawniej razem z Elliotem mieli zwyczaj iść na kolację, jedli ryby i mięso renifera w jakiejś restauracji serwującej miejscowe specjały, podchmielali się piwem i absurdalnie drogą wódką. Ale tym razem Elliot nie zmartwił się specjalnie, że nic z tego nie będzie. W końcu ileż można udawać, że wszystko wróciło do normy. Nie był też pewien, czy chciałby rozmawiać o tym z Corneliusem - nawet w miłym zamroczeniu alkoholowym - ani czy Cornelius rzeczywiście miałby ochotę tego wszystkiego słuchać.

Zabrał swoje bagaże zza lady recepcji. Widząc obojętny, zdawkowy uśmiech recepcjonistki, pomyślał, że pewne granice zostały, faktycznie, celowo wytyczone. Cornelius wyświadczył mu profesjonalną przysługę ze współczucia, przez pamięć dla dobrych interesów, które robili razem w przeszłości. To był przyjacielski gest, ale to nie była przyjaźń. To nie było bezwarunkowe. Cornelius dał mu szansę. W pewnym sensie Elliot zasługiwał na nią. Ale to wszystko.

Wyszedł na ulicę. Ruch był większy niż kiedyś, pracownicy biur ruszali do domów przez lekko wirujący śnieg, nawet część personelu Bukowskiego skończyła już pracę. Rozejrzał się w poszukiwaniu taksówki, podniósł rękę, ale dwie taksówki minęły go, nawet się nie zatrzymując.

Biały volkswagen nadal stał w tym samym miejscu, dwadzieścia metrów dalej. Kobieta odłożyła już telefon, otworzyła drzwi i wyszła na jezdnię. Miała na sobie parkę z kapturem, który włożyła na głowę. Patrzyła w jego stronę, na sylwetki w tłumie, który otaczał go na chodniku.

To niemożliwe, żeby patrzyła właśnie na niego. Nigdy w życiu jej nie spotkał. Rozejrzał się znów wokół siebie. Oprócz nich dwojga nie było nikogo.

Kobieta ruszyła ku niemu szybkim krokiem. Dłonie schowała w kieszeniach.

Nagle rozległ się głośny klakson, Elliot omal nie podskoczył. Tuż obok niego przystanąła taksówka. Elliot wsiadł do niej.

Wtajemniczeni

4

Sankt Petersburg, czerwiec 1914

Przez mgłę letniego kurzu i pyłków, dryfujących w słonecznym świetle, na ocienioną ścieżkę padają rozproszone promienie. Tak właśnie przedstawiała sobie idealny koniec.

Matka Władimira podarowała im latawiec. Był to największy i najpiękniejszy latawiec, jaki Zoia kiedykolwiek widziała. Zrobiono go z jedwabiu, na którym namalowano orła z białymi chorągiewkami na końcach skrzydeł.

Na polu za miastem ona i Wowa, tak go wszyscy nazywali, biegli po skoszonym sianie z latawcem wysoko nad głowami. Potykali się o niewidoczne bruzdy i upadali, jedno potykało się o drugie i lądowali razem na ziemi. Zostawali tak przez chwilę, ciężko dysząc, czując nawzajem ciężar swoich ciał, dopiero potem gramolili się na nogi i biegli dalej. Twarz Wowy była opalona. Na nosie miał piegi jak konstelację gwiazd.

- Wiatr jest za słaby - protestowała, kiedy podjął piątą już próbę poderwania latawca. - To nie ma sensu.

Uśmiechnął się do niej tylko i zawołał.

- Biegnij!

Jego głos był wciąż wysoki i chłopy, chociaż był o rok od niej starszy. Ludzie mówili, że jest podobny do matki, Matyldy Krzesińskiej, słynnej baleriny, że to po niej ma szczupłą sylwetkę i delikatną urodę. Nigdy nie mówili, że przypomina ojca ani też kto jest jego ojcem.

Zobaczyła, że Wowa dotarł na szczyt wzniesienia. Latawiec ciągnął się za nim, płynął kilka metrów, potem zaczął robić ósemki i szarpnął za linę. Zoia bała się, że jego ogon zahaczy o trawy.

Wiatr za nimi wzmagał się, dmuchał nad pustymi polami. Zoia osłoniła oczy, kiedy latawiec zerwał się na niebie, wrywając szpulę szpagatu z ręki Wowy.

- Łap ją - krzyknął do niej Wowa.

Ale ona ani drgnęła. Namalowany orzeł leciał wysoko, machał skrzydłami, wspinał się do nieba. Miała wrażenie, że ona sama maleje tutaj w dole, że jest przywiązana do ziemi istotą, która tylko unosi głowę i patrzy z tęsknotą.

Wowa minął ją pędem, goniąc szpulkę. Na jego twarzy widniał przejęty, euforyczny uśmiech. W tej trudnej chwili Zoia dostrzegła w nim zachwyt.

- Szyb-ko!

Ruszyła za nim, biegnąc susami w dół. Latawiec zaczął tracić wysokość. Zakręcił w stronę drzew rosnących wzdłuż drogi, przestraszył stadko ptaków, które rzuciły się do ucieczki. Wowa zanurkował po szpulkę, ale ta znowu uciekła mu spod ręki. Pośliznął się i padł jak długi. Zoia przeskoczyła go leżącego plackiem i pomknęła dalej, zdeterminowana, żeby tym razem zostać bohaterką, niezależnie od tego, ile zadrapań i dziur w pończochach będzie ją to kosztowało. Zaśmiała się na myśl o łagodnych połajankach babki i minach, które ta zawsze przybierała, gdy chciała wyglądać na wielce oburzoną.

Kiedy dotarła do drogi, Wowa był daleko za nią. Słyszała, że ją wołał, ale nie miała czasu się oglądać. Latawiec zniknął jej z oczu gdzieś za wierzchołkami drzew. Nie była pewna, czy poleciał dalej, czy może zahaczył o gałęzie.

Spojrzała na drzewa z drugiej strony, podnosząc wysoko wzrok. Listowie było tam tak gęste, że ledwie przedostawały się przez nie rozproszone promienie słońca.

Bezruch i spokój zatrzymał ją w pół kroku. Towarzyszyła jej świadomość, że za bardzo zboczyła z drogi jak bohater dziecięcej bajki.

Lekki wiatr unosił pył, który w załamany światło tworzył rozmaite wzory, zawijasy i wiry, nieskończone detale. Oglądała świat przez żywy welon.

Dźwięk silnika kazał jej odwrócić głowę. To rósł w siłę, to znowu cichł, po czym ponownie nabierał mocy. Nie potrafiła powiedzieć, czy się do niej zbliża. Czasami widywała samochody zaparkowane przed daczą Krzesińskiej. Zwykle oznaczało to obecność ważnych osób - księcia Dmitrija Pawłowskiego, wielkiego księcia Siergieja i wielkiego księcia Andrieja, generała Suchomlinowa, ministra wojny, starego człowieka o smutnym spojrzeniu, który zawsze się kłaniał. Ale samochody podróżujące po okolicy należały do rzadkości.

Latawiec Wowy leżał na środku drogi.

- Wowa! Wowa! Jest tutaj!

Ruszyła na drogę i zatrzymała się gwałtownie.

Przed nią stanął mężczyzna. Usłyszała odgłos złamanej gałęzi. Dwaj kolejni mężczyźni powoli wyłaniali się spomiędzy krzewów i szli ku niej. Potężni mężczyźni. Kroczyli czujnie jak myśliwi idący tropem zwierzyny.

Zoia nie mogła złapać tchu. Jakiś głos w jej głowie mówił: uciekaj.

Pierwszy z mężczyzn miał na palcu gruby pierścień ze złota. Zdawało się, że czytał w jej myślach.

- Nie ruszaj się z miejsca - powiedział.

Już ich kiedyś widziała. Kilka dni wcześniej zjawili się w Strielnej. Nie nosili mundurów, ale byli ubrani jednakowo: w wysokie buty i długie płaszcze z pasami w talii, choć od tygodni nie padało. Nie robili nic szczególnego. Po prostu przechadzali się ulicami, czasami wchodzili do sklepów, czasami zapalali papierosa i obserwowali przechodniów. Zoia zapytała nianię Wowy, kim są ci ludzie, ci mężczyźni w mundurach, które nie są mundurami, ale nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Zupełnie jakby byli duchami. Nikt nie chciał na nich patrzeć ani przyznać, że ich obecność była czymś niezwykłym.

W końcu goić z dworu zdradził matce Wowy tajemnicę: car był spodziewany w okolicy, miał wziąć udział w manewrach w Krasnym Siole. Ci obcy mężczyźni to agenci tajnej policji. Zawsze przyjeżdżają przed przybyciem cara ze względu na jego bezpieczeństwo. W każdym mieście i każdej wiosce na trasie podróży cara sprawdzają, czy nikt nie urządził na niego zasadzki.

Nigdy dotąd nie przyszło Zoi do głowy, że ktoś mógłby chcieć zabić cara, zwłaszcza tam, pięćdziesiąt kilometrów od stolicy. Wowa powiedział jej, że kiedyś jednak coś takiego się zdarzyło, że dziadek obecnego cara zginął na drodze, którą jechał otwartym pojazdem. Podłożono tam bombę, chociaż nikt nie potrafił ustalić, kto to zrobił i z jakiego powodu. Zoia nic na to nie odparła, tylko zastanawiała się po cichu, czy Wowa sobie tego nie wymyślił. Czy to w ogóle możliwe, żeby namaszczony przez Boga car mógł zostać zabity przez zwykłego człowieka? To przecież Bóg posadził cara na tronie, więc czyż to nie oczywiste, że tylko Bóg może go z niego zdjąć?

Wowa wciąż ją wołał. Myślał, że bawią się teraz w chowanego. Jeden z tajnych agentów sięgnął do płaszcza, wpatrując się badawczym wzrokiem w drogę za plecami Zoi.

Zoia wyciągnęła rękę, pokazując latawiec.

- To nasz.

Hałas silnika był coraz głośniejszy. W oddali widziała już chmurę kurzu wznoszącą się do góry. Wowa znalazł się u jej boku z zarumienioną twarzą i szeroko otworzył usta.

- To on - szepnął.

Z początku Zoia nie rozumiała, o kim mówił. Zawsze wyobrażała sobie cara na koniu, jadącego przez miasto, tak jak w Sankt Petersburgu z okazji trzechsetlecia dynastii Romano-

wów. Nie widziała go wówczas, prawie nikt go nie widział, ponieważ wzdłuż całej trasy stały szeregi carskiej gwardii w wysokich czapkach z piórami - ale pamiątkowe fotografie szybko rozeszły się w szkole.

Agent ze złotym pierścieniem wrzasnął:

- Z drogi!

Cofnęli się, teraz widzieli już samochód, czarny, z otwartym dachem, jechał w ich kierunku z przerażającą prędkością, a za nim wznosił się wielki tuman kurzu. Agenci mieli ich na oku, jakby mogli zrobić coś złego. To jednak nie powstrzymało Wowy, który podniósł rękę wysoko nad głowę i krzyknął:

- Boże, chroń cara! - ile sił w płucach.

Tak, to bez wątplenia był on, siedział z tyłu nieruchomy i zapatrzony przed siebie. I tak bardzo podobny do swoich portretów i oficjalnych fotografii - ten sam kształt brody, ten sam spokój, to samo rozmarzone, nieobecne spojrzenie. Zoia pomyślała, że powinno zdarzyć się coś więcej, nawet w tych kilku sekundach, coś, dzięki czemu ta chwila, kiedy znaleźli się tak niedaleko żywego cara, wyróżniałaby się, stałaby się bardziej realna.

Zamrugła powiekami, bo pył wpadł jej do oczu. Wowa stanął na czubkach palców, żeby do końca widzieć oddalający się carski automobil. Za późno znalazł chusteczkę w kieszeni i teraz wymachiwał nią nad głową. Oficer tajnej policji zniknął.

Zoia pobiegła po latawiec. Leżał wciąż na drodze, połamany i podarty. Przejechał po nim samochód cara. Podniosła latawiec i stała, patrząc na niego i wyglądając materiał z namalowanym ptakiem.

- Całkiem zniszczony.

Wowa nadal nie spuszczał wzroku z drogi.

- Może uda się go naprawić - powiedziała Zoia, starając się zachować optymizm. - Jedwab jest w porządku. A bambus możemy dostać ze szklarni.

Wowa podszedł i obejrzał uszkodzony latawiec, przebiegł palcami po złamanej rozpórce.

- Tak, ze szklarni - rzekł nieobecnym głosem, jakby myślał o dużo ważniejszych sprawach.

*

Kiedy pierwszy raz odwiedziła dom Wowy, w sali balowej były małe słoniątka. Można było się na nich przejechać do końca ogrodu różanego i z powrotem. Należały do cyrku, który Matylda Krzesińska wynajęła na urodziny syna. Występowały tam psy, które wykonywały

przewrót do tyłu i chodziły na tylnych łapach, ubrane jak ludzie. Byli chińscy akrobaci, magicy, a na wielki finał pojawił się sam Władimir Leonidowicz Durow, najślawniejszy clown i treser zwierząt w całej Rosji. Przyjechał specjalnie z Moskwy z trupą tańczących małpek oraz dużą lochą, która czytała gazetę między skokami na spadochronie z balkonu dla orkiestry.

Rodzice Zoi także urządzali przyjęcia w Sankt Petersburgu, ale nie dało się ich porównać z imprezami w domu Wowy. To były eleganckie przyjęcia. Mężczyźni ozdabiali piersi medalami, panie natomiast przystrajały szyje lśniącymi klejnotami. Lokaje we frakach stali przy drzwiach, tańczono menuety i walce. Zazwyczaj Zoi wolno było pojawić się na krótko, ale najpierw guwernantka musiała ją uczesać i wystroić w najlepsze suknie. W pewnej chwili podczas przyjęcia rodzice przedstawiali ją gościom, po czym Zoia recytowała fragment francuskiej poezji, wyuczony na pamięć specjalnie na tę okazję. Goście bili brawo, a rodzice promienieli, Zoie zaś po występie odprowadzano do sypialni, gdzie zdawała relację ze swojego triumfu Miszce, pluszowemu misiowi.

To właśnie lubiła najbardziej: widzieć uśmiechnięte twarze rodziców i wiedzieć, że są z niej dumni, nawet jeśli często nie ma ich w domu.

W dni powszednie rzadko ich widywała. Zdawało się, że żyją w innym świecie. Ale podczas owych przyjęć, kiedy błyszczący tłum witał ją z aplauzem, ta luka w jej życiu się wypełniała. Pełne aprobaty uśmiechy mówiły jej, że pewnego dnia wyjdzie dobrze za mąż i urodzi synów, co było bardzo ważną sprawą.

W Petersburgu musiała ubierać się elegancko przed każdym wyjściem z domu. Wkładała pelerynę, kapelusz i długie botki i szła za swoją guwernantką, mademoiselle Elene, granitowym nabrzeżem, wzdłuż budynków ambasad i pałaców arystokracji z ich surowymi europejskimi fasadami. Czasami towarzyszyła im matka, ale nawet wtedy Zoia musiała iść za nią, obok guwernantki.

Pamiętała, że próbowała zbliżyć się do matki na taką odległość, żeby policzkiem otrzeć się o jej rękaw.

W domu Wowy nie musiała przejmować się nakazami rodziców. Była wolna i mogła robić, co dusza zapagnie. A nigdy nie brakowało tam zajęć. Wszędzie były zwierzęta: kucyki, owce i owieczki, teriery, które chodziły krok w krok za Matyldą, i jakieś specjalne małe świnki sprowadzone z północnej Anglii. Wieczorki muzyczne i przedstawienia teatralne odbywały się kilka razy w tygodniu. Dom zawsze był pełen tancerzy, muzyków i członków dworu, którzy przyjeżdżali z letniego pałacu cara w Peterhofie. Bardzo starali się być mili dla Wowy i jego

małych przyjaciół, brali udział w ich grach i zabawach zaplanowanych na dany dzień i rozmawiali z dziećmi. W roku wielkich manewrów wielki książę Siergiej, który poza tym, że był wujem cara, pełnił funkcję głównego inspektora artylerii, porzucił na cały dzień swoje obowiązki, żeby wymyślić dla dzieci zabawę w wojnę w ogrodzie. Pomógł im zbudować na środku dekoracyjnego stawu drewniane fortece - jak te w Polsce, które miały zatrzymać Niemców, powiedział - i dwie baterie katapult, które strzelały piłkami tenisowymi.

Pewnego dnia ogłoszono, że Grigorij Rasputin przyjedzie z wizytą, w towarzystwie przyjaciółki carycy, Anny Wyrubowej, oraz członków jej kółka. Wowa widział już wcześniej Rasputina i nazywał go „śmierdzącym klechą”. Twierdził, że Rasputin nigdy się nie mył, a jego broda i długie włosy lepiły się od brudu, zmierzwiłone i sztywne jak orzech kokosowy. To był dziwny dzień. Nikt nie przyjechał bawić się w ogrodzie. Wielu ze stałych gości Krzesińskiej wcale się nie pokazało, a ci, którzy akurat u niej byli, zachowywali się nadzwyczaj spokojnie, jakby bali się zwrócić na siebie uwagę. Rasputin przez większą część wieczoru siedział w salonie, otoczony przez swoją świtę, i niewiele się odzywał. Patrzył badawczo na Zoię, która w końcu zebrała się na odwagę, żeby się przedstawić. Zlustrował ją z góry na dół swoimi szklanymi, kpiącymi oczami. Zapytał o jej nazwisko i kto jest jej ojcem, ale Matylda, do której adresował pytania, zawahała się i zmieniła temat. Zoia zaczęła się potem zastanawiać, czy opowieści o mistycznej mocy Rasputina były prawdziwe, skoro, jak się zdawało, sam fakt, że poznałby czyjeś nazwisko, niósł ze sobą pewne niebezpieczeństwo.

Car nigdy nie przyjeżdżał z wizytą i wszyscy wiedzieli dlaczego. Kiedyś młody Mikołaj kochał się w Matyldzie, ale kazano mu z nią zerwać, gdy zaręczył się z przyszłą carycą. To ze względu na szacunek dla carycy trzymał się z daleka. W szkole Zoia słyszała, że to car kazał zbudować pałac Krzesińskiej w Sankt Petersburgu oraz że podziemny tunel łączy go z Pałacem Zimowym - chociaż Wowa gwałtownie temu zaprzeczał. Twierdził, że nie istnieje żaden tunel, a jego matka zapłaciła za dom pieniędzmi, które zarobiła w Teatrze Maryjskim.

Jeśli car nie kochał już Krzesińskiej, nie dało się tego samego powiedzieć o wielkich książętach. Nie było dnia, żeby któryś z nich nie zjechał z wizytą. Podobno to wielki książę Siergiej zbudował dla niej daczę w Strielnej, ale Zoia miała wrażenie, że Matylda bardziej lubiła wielkiego księcia Andrieja. Zawsze zerkała na niego przez pokój pełen gości. A kiedy stała obok niego, uśmiechała się ciepło.

Dorośli, którzy odwiedzali dom Krzesińskiej, nigdy o tym nie mówili, przynajmniej w jej obecności, mimo to Zoia wiedziała, że ten temat budził ogromne zainteresowanie. Ilekroć bale-

rina wstawiała do tańca albo pochylała się, żeby zerwać jagodę czy zbierać grzyby, wszystkie głowy natychmiast zwracały się w jej stronę, ciekawe, czyje pomocne ramię przyjmie. Matka Zoi zawsze pytała ją o to, kiedy Zoia wracała do domu, chociaż formułowała swoje pytania w ogólnikowy sposób. Który z książąt był obecny? Jak spędzali czas? I tak dalej. Dopiero po latach wyznała, że wielki książę Andriej był prawdziwym ojcem Wowy.

W Strielnej zaszły też pewne okoliczności, o których Zoia nie wspomniała nikomu. Poznała uczucia, których nie umiała nazwać. Na przykład, kiedy młody partner do tańca Matyldy, Pierre, bawił się z nimi w wojnę. Jednego razu piłeczka tenisowa trafiła go w piersi, a on odegrał dramatycznie, że został ranny, a potem, kiedy upadł na trawę, zaczął śpiewać, jak postać z jakiejś tragicznej opery. Zoia była tego popołudnia sanitariuszką. Walki trwały, Wowa prowadził atak na molo, a ona klęczała przy rannym i wycierała jego brew chusteczką. On jęknął cicho, nie podnosząc powiek, potem zakasłał żałośnie. Zoia zaśmiała się i rozpięła mu kołnierzyk. Poła koszuli odchyliła się, odkrywając trójkąt gładkiego bladego ciała.

- Czy pan nie żyje? - zapytała, ale Pierre nie odpowiadał. Przypatrywała mu się bacznie przez moment, a potem, niewiele myśląc, sięgnęła pod koszulę i położyła mu dłoń na sercu.

Wtedy Pierre otworzył oczy i odsunął jej rękę. Chwycił jej dłoń w swoją.

- Nie wie pani, piękna księżniczko - szepnął - że tylko pocałunek może mnie uratować? - Po czym znowu zamknął oczy, kładąc ręce wzdłuż ciała.

Niewielka kopia *Pocałunku* Rodina stała na biurku w sypialni Matyldy Krzesińskiej. Zoia zobaczyła ją pewnego ranka, kiedy pokojówki tam sprzątały. Jedna z nich chichotała, odkurzając rzeźbę miotełką. Tamtego wieczoru, kiedy przyjęcie trwało w najlepsze, Zoia zakradła się tam z lampą. Dwoje nagich kochanków. Przebiegła palcami po ich perfekcyjnych ciałach.

Teraz zamarła, bez tchu, niepewna, co powinna zrobić, nie wiedziała nawet, co miałyby ochotę zrobić.

Pierre lekko rozchylił wargi. Zoia dojrzała jego białe zęby. Poczła, jak rośnie w niej coś niebezpiecznego i odurzającego.

Nie wiedząc kiedy, z bijącym mocno sercem, nachyliła się nad młodzieńcem. Jego czoło było wilgotne. Skóra lśniła wzdłuż linii włosów, pachniała słodko jak migdały. Zoia zamknęła oczy, a wtedy oddech Pierre'a musnął jej policzek.

Tylko pocałunek może mnie uratować.

Poczła jego wargi, zanim ich dotknęła.

- Mam cię!

Zaśmiał się i chwycił ją w talii. Krzyknęła, kiedy przewrócił ją na plecy, a sam skoczył na równe nogi.

- Uratowany! Uratowany! - Z krzykiem pobiegł na miejsce bitwy, zostawiając ją rozciągniętą na ziemi.

Odprowadzała go wzrokiem, podnosząc palce do ust. Wiedziała, że powinna się wstydzić, ale jakoś dziwnie wcale się nie wstydziła.

Dotarłszy do brzegu, Pierre obejrzał się i posłał jej uśmiech.

Pierre miał dwadzieścia trzy lata i był przystojny. Panie wodziły za nim wzrokiem, gdy tańczył, ich wachlarze trzepotały niczym motyle w gęstym wieczornym powietrzu. Ale Pierre nie był jedynym interesującym mężczyzną, który pojawiał się w willi Krzesińskiej. Był też nieśmiały młody skrzypek Anton, najwyżej siedemnastoletni, który grywał raz w tygodniu w orkiestrze smyczkowej. Byli kadeci, którzy przyjeżdżali ze starszymi krewnymi w eleganckich mundurach marynarki. Był też chłopak, który opiekował się tańczącymi małpkami Władimira Durowa. Co prawda trochę za niski i ze szparą między przednimi zębami, w której zmieściłby się palec. Ale małpki uważały go tylko za chodzącą spizarnię. Zoia nigdy nie widziała nic zabawniejszego. Wskakiwały na niego, zaglądały do jego licznych kieszeni w poszukiwaniu orzechów, bez najmniejszego szacunku dla decorum. Guziki nie stanowiły przeszkody dla ich zręcznych palców, a jednego razu udało im się nawet odpiąć mu szelki i spodnie opadły chłopcu do kostek, ku nieopisanej radości wszystkich obecnych.

Zoia zaczęła dostrzegać, jak mężczyźni na nią patrzą, że młodzi się rumienia, a starsi uśmiechają, gdy odpowiada im spojrzeniem. Czasami zastanawiała się, dlaczego nic nie mówią, skoro wydaje im się taka interesująca. Albo dlaczego, jeśli już się do niej odezwą, zawsze poruszają jakiś neutralny temat, na przykład wspominają o pogodzie lub pytają o szkołę albo zdrowie krewnych.

Stojąc któregoś dnia przed dużym lustrem, zrozumiała nagle, że tym wszystkim mężczyznom wystarczyły spojrzenia. Widzieli, co dzieje się w jej sercu, potrafili odczytać jej myśli i uczucia, które tak bardzo starała się ukryć. Przerażało ją to i fascynowało, że tyle informacji można zebrać wzrokiem.

Położyła wyciągniętą rękę na swoim odbiciu w lustrze, zakrywając twarz.

Sztokholm, luty 2000

Nazajutrz wczesnym rankiem wypożyczył samochód i wyruszył na południe, omijając szare wody Saltsjön, potem, wzdłuż kamiennych bulwarów, majestatycznych i ciężkich, skręcił na wschód ku Bałtykowi. Większość śniegu, który padał poprzedniego dnia, została zmieciona w szpary i szczeliny, biały puch obrysowywał dachówki i okna. Przygarbieni piesi powoli przesuwali się nabrzeżem, mrużąc oczy przed ostrym wiatrem.

Półtora kilometra dalej wiek dziewiętnasty ustąpił dwudziestemu. Bloki mieszkalne i srebrne kominy stały jak wartownicy pośród pasm lasów miejskich. Jechał z planem miasta rozłożonym na siedzeniu obok, zmieniając stacje radiowe, kiedy tracił sygnał albo muzyka przestała mu odpowiadać. Zniekształcone głosy po niemiecku, francusku, rosyjsku sączyły się przez zakłócenia. Skrzeczały i bełkotały, zagłuszając koncert nadawany przez stację specjalizującą się w muzyce klasycznej, po czym gasły gdzieś w tle. Im bliżej morza, tym donośniej brzmiały; przypuszczał, że miało to coś wspólnego z osobliwymi warunkami atmosferycznymi. Głosy tłoczyły się jeden na drugim, błagając i grożąc. Wystraszyły go, czuł się, jakby szedł przez cmentarz i słyszał szept pomiędzy drzewami.

Kiedy miasto zniknęło w jego wstecznym lusterku, horyzont pociemniał. Światła samochodów jadących z naprzeciwka jaśniały w mroku, ale chwilami nie widział tak naprawdę żadnego pojazdu. Sześć kilometrów dalej na drodze numer 228 znowu zaczął padać śnieg, płatki przylepiały się do wycieraczek. W miejscu o nazwie Fisksätra mapa się kończyła. Półtora kilometra dalej kończyła się autostrada. Krążył po sosnowym lesie, mijając żelazne bramy prywatnych posesji.

Zaśnieżona droga błyszczała. Na wzgórzu skręcił zbyt szybko i stracił panowanie nad kierownicą, samochodem zarzuciło, zakołysało. W końcu gwałtownie zahamował na poboczu. Wysiadł, żeby sprawdzić, czy nie uszkodził auta. Zauważył dosyć paskudnie wyglądające zarysowania nad przednim kołem, ale poza tym nic poważnego. Wsiadł z powrotem i ruszył powoli. Zastanawiał się, co by się stało, gdyby śnieg nie przestał padać. W Skandynawii drogi były dobrze utrzymane i odśnieżane, ale jak dotąd nie spotkał ani jednego pług. Być może miejscowości wypoczynkowe poza sezonem nie należały do priorytetów. Może należało przeczekać w domu, aż nadejdzie odwilż.

W pewnym okresie, mniej więcej w połowie dwudziestego wieku, Zoia zaczęła spędzać lato na obrzeżach Saltsjöbaden, godzinę drogi od Sztokholmu. Od pół wieku był to ośrodek uzdrowiskowy, raj dla żeglarzy, który swój rozkwit zawdzięczał bankierskiej rodzinie Wallenbergów. To szwedzkie Newport czy Rhode Island, położone w osłoniętym miejscu na archipelagu, przyciągało zarówno miłośników jachtów, jak balangowiczów - chociaż w późniejszych latach, bardziej egalitarnych, wspaniałe hotele gościły też konferencje polityczne, turnieje szachowe i festiwale kina niezależnego. Z czasem pobyty Zoi przedłużały się, być może lubiła tamtejszy spokój, być może Sztokholm przestał jej odpowiadać. Tam, na piętrze domu, powstało wiele obrazów na złocie, owoców mrówczej pracy wykonywanej z miłością, które można było zobaczyć, dopiero gdy były całkiem skończone.

To miejsce Elliot widział w swoich snach.

Na pierwszy rzut oka miasto wyglądało skromnie. Niewielka liczba miejsc noclegowych, za względnie niską cenę znajdowała się w głębi lądu: hostele dla młodzieży, kamping, domki letniskowe do wynajęcia na tydzień - wszystkie były teraz zamknięte i wymarłe, przykryte kilkoma centymetrami śniegu. Dopiero gdy dotarło się bliżej wody, pokazywały się drogie ekskluzywne hotele i stawało się jasne, że uzdrowisko nastawione jest na bogatych gości. Elliot minął przystań jachtów, pobielone eleganckie posesje, reprezentacyjny hotel z wieżyczkami. Ale jachty stały stłoczone pod plandeką, a na promenadzie przechadzały się wyłącznie mewy. Na wodzie tratwy szarego lodu dryfowały z prądem.

Cornelius na firmowym papierze Bukowskiego napisał Elliotowi na maszynie niezbędne informacje, dodając uproszczony plan miasta.

Dr Peter Lindqvist

Lärkvägen 31

Tel: (08) 7170139

Lindqvist był lekarzem Zoi, któremu ta, nie mając żadnej rodziny, zostawiła większą część swojego majątku, w tym letni dom i prywatną kolekcję obrazów. Cornelius nie znał dokładnie okoliczności. Lekarz był internistą, teraz już emerytowanym. On i jego siostra mieszkali w Saltsjöbaden niemal na stałe, on opiekował się Zoią podczas ostatnich lat jej życia. To on także przesłał kolekcję - w całości, jak wierzył Cornelius - do Bukowskiego na wystawę i sprzedaż. I to on miał skorzystać na aukcji, gdyby okazała się sukcesem.

- Chętnie ci pomoże - powiedział Cornelius przy pożegnaniu. - Ale nie zaszkodzi zachować dyskrecję. Wyczuwam, że ten człowiek woli trzymać się w cieniu.

Lärkvägen okazała się krętą ulicą dobry kilometr od brzegu. Stały tam skromne sezonowe domy, odsunięte od drogi i nieduże, z drewna i kamienia. Numer 31 to był szary budynek z odpadającym tynkiem i zapadającym się dachem pokrytym dachówkami, okna miał pomalowane w ponurym odcieniu zieleni. Na maszcie łopotała na wietrze wyblakła flaga Szwecji. Elliot zaparkował za starym czarnym mercedesem. Widział podobne modele w salonach wystawowych South Kensington - płaska kwadratowa chłodnica, pudełkowy kształt - przywrócone do idealnego stanu i potwornie drogie. Temu tutaj spadała farba w dolnej części drzwi i wokół reflektorów.

Elliot wszedł po schodkach na ganek. Gdzieś z niedaleka dobiegł go szum jakichś maszyn. Zapukał dwa razy, ale nikt nie odpowiedział, więc obszedł dom, idąc za hałasem, świadom, że jest ubrany wyjątkowo nieodpowiednio: w skórzane buty i szary miejski płaszcz. Nie wziął ze sobą rzeczy na wycieczkę na wieś.

Na końcu wąskiego podwórza kobieta w chustce na głowie wkładała gałęzie do rębaka do drewna.

- Przepraszam! Halo!

Kobieta nie podniosła wzroku, wpatrzona w rozwartą metalową paszczę, która połykała gałęzie z jej ręki.

- Pan Elliot, tak?

Głos dobiegł z za pleców. Elliot odwrócił się. Mężczyzna stał obok wypożyczonego volva, z naręczem świeżo ściętych gałęzi. Miał na sobie zatłuszczony skórzany płaszcz i wełniane spodnie wsadzone do wysokich butów.

- Tak. Doktor Lindqvist?

Elliot cofnął się na podjazd, uważając, żeby nie pośliznąć się na ubitym śniegu.

- Spodziewałem się pana dopiero po południu.

- Postanowiłem wyjechać wcześniej - odparł Elliot z uśmiechem, zerkając na pustą drogę.

- Żeby uniknąć korków.

Lindqvist chyba nie docenił żartu. Spojrzał na volvo.

- Ma pan porysowany wóz. Miał pan wypadek?

Elliot nie zauważył wcześniej, że koniec przedniego zderzaka się wykrzywił. Chciał skłamać, ale coś w postawie Lindqvista mówiło mu, że to zły pomysł.

- Wpadłem w poślizg przez tę gołoledź kilka kilometrów stąd. Nic poważnego.

Wyciągnął rękę. Lindqvist potrząsnął dziwacznie jego dłonią. Miał szorstką, łuszczącą się skórę, na jego szyi widniały plamki zaschniętej krwi - była to skóra mężczyzny, który nie wierzy w toniki ani inne męskie produkty pielęgnacyjne. Nosił przyszyżone siwe wąsy i okulary w ciężkich grubych oprawkach, w których architekt czy krytyk filmowy prezentowałby się postmodernistycznie, on zaś wyglądał tylko biednie i staro. Pod pewnym kątem jego oczy za wypukłymi szklami przypominały wybałuszone oczy postaci z kreskówki.

- No cóż, zaraz do pana przyjdę. Zapewne chce pan jak najszybciej zabrać się do pracy.

Obszedł dom i położył gałęzie obok rębaka. Zamienił kilka słów z kobietą, podczas gdy maszyna połykała i cięła. Kobieta spojrzała na Elliota z wyrazem uprzejmego powitania, dalekim jednak od uśmiechu.

Doktor Lindqvist chciał uruchomić na chwilę samochód, więc pojechali do domu Zoi jego mercedesem. Ich oddechy skraplały się w zimnym powietrzu, pomimo że astmatyczny grzejnik pracował pod przednią szybą. Siedząc za kierownicą, stary mężczyzna zrobił się nieco przyjaźniejszy. Zapytał Elliota o podróż i o przygotowania do wystawy.

- Kawał drogi przyjechał pan z Londynu. Mam nadzieję, że nie będzie pan żałował.

Lindqvist mówił po angielsku jak wiejski nauczyciel: pedantycznie przestrzegał reguł gramatyki, ale akcent miał ciężki.

- W Bukowskim spodziewają się dużego zainteresowania i kupców z całego świata. Już pojawiły się obiecujące sygnały.

Elliot zdał sobie sprawę, że mówi jak agent nieruchomości. Lindqvist zmarszczył czoło.

- Naprawdę? No, no.

- Pana to dziwi?

Samochód podskoczył na wyboju. Znowu jechali na wschód, w stronę morza. Elliot czuł niepokój w żołądku.

- Nie znam się na tym, kiedy artysta jest ważny, a kiedy nie jest. Kto tak naprawdę może to osądzić?

- Rozmawialiście na takie tematy? To znaczy z madame Zoią?

Lindqvist odwrócił się, jego powiększone oczy patrzyły przez moment na Elliota. Potem się roześmiał.

- Od razu widać, że pan jej nie znał.

- Nie, nigdy jej nie poznałem.

- Gdyby pan ją znał, nie zadawałby pan takich pytań.

- Dlaczego?

Lindqvist zwolnił, ze wzrokiem wbitym w drogę. Leżał na niej świeży śnieg. Kiedy skręcili, samochód wpadł w lekki poślizg.

- Ona nie należała do tego świata. Nie zależało jej na tym.

- Jakiego świata?

- Pańskiego, jak rozumiem. Elliot zmusił się do uśmiechu.

- Co ma pan na myśli?

- Krytyków, akademików. Nie była zainteresowana tym, żeby stać się obiektem dyskusji o tej czy innej szkole. Kompletnie nie obchodziły ją wasze estetyczne teorie.

Elliot nie zaprzeczał, choć wiedział z doświadczenia, że marszandzi kierują się trendami na rynku sztuki, podobnie jak brokerzy kierują się trendami na giełdzie, i to z tego samego powodu: mając na względzie zyski. Mówią językiem współczesnej krytyki, zgarniają swoje sto do trzystu procent marży i wracają do swoich zabytkowych domów w Chelsea. Ideały nie wchodzą w rachubę.

Ale on już nie był marszandem.

- A więc... Nigdy nie rozmawiała o swojej pracy? Nie miała nic do powiedzenia na ten temat?

Lindqvist postukał palcami po kierownicy.

- Od czasu do czasu była do tego zmuszona. Przyjeżdżali różni tacy z kamerami, mikrofonami. Zawsze mówiła, że ich pytania były niezręczne i bezsensowne. I zawsze wyjeżdżali równie nieświadomi, jak przyjeżdżali.

- Nie zdradzała im niczego na swój temat czy na temat swojej pracy?

Lindqvist nie odpowiedział. Zajechali przed drewnianą bramę zamkniętą na kłódkę. Gęsto rosnące drzewa zasłaniały widok.

- Mam dodatkową parę wysokich butów w bagażniku - powiedział doktor. - Tutaj często tworzą się zaspasy, więc lepiej niech pan je włoży.

Wysiedli z mercedesa i szli krętym podjazdem, mijając drzewa owocowe sztywne od mrozu. Dom leżał na odległym zboczach wzniesienia. Brnąc przez zaspasy w butach o numer za dużych, Elliot wychwytywał wzrokiem detale: zniszczony czerwony dach z pojedynczym okapem, skraj drewnianego balkonu na piętrze, kamienny fundament podtrzymujący kremowe drewniane ściany. Ten dom był większy niż dom Lindqvista, ale oddalony od drogi, jakby niechętny gościom. Elliot spodziewał się czegoś innego: białych otynkowanych ścian, klasycznej

symetrii, ozdobnego ogrodu z rzeźbami - willi nad Bałtykiem. A to była po prostu samotna kryjówka.

Lindqvist poszukał kluczy w kieszeniach i oddychał ciężko, przekręcając jeden, a potem drugi zamek. Nadproże było rzeźbione w zygzaki i stylizowane motywy kwiatowe - azjatyckie, scytyjskie wzory, modne wśród artystów rosyjskich, kiedy Zoia była dzieckiem.

Lindqvist pchnął drzwi ramieniem. Za nimi pokazała się kuchnia, ciemna, z zamkniętymi okiennicami, pachnąca bez wątpienia stęchłymi wiktuałami i tłuszczem. Elliot zobaczył mosiężne garnki wiszące nad paleniskiem, starą lodówkę w stylu lat pięćdziesiątych, ciężki dębowy kredens z żelaznymi gałkami i duży stół ze śladami po nożu. Na środku blatu, osobiwie, stała puszka, a obok niej leżał otwieracz.

Oznaki życia.

- Nikogo tu nie ma?

Lindqvist znalazł kontakt. Goła żarówka zapaliła się nad stołem.

- A, wciąż działa. To dobrze.

Zamknął drzwi i zdjął rękawiczki, potarł dłonie. Szum wiatru osłabł. Elliot słyszał, że budynek trzeszczy jak galeon na wzburzonym morzu.

- Kiedy został zbudowany ten dom? Doktor ruszył na niewysokie schody.

- Jakies osiemdziesiąt lat temu. Trzeba by go trochę wyremontować, ale proszę się nie obawiać. Jest w porządku. Papiery są na górze.

Elliot wspinał się za doktorem wąskimi schodami przykrytymi chodnikiem. W szklanym wazonie obok drzwi wejściowych stały zasuszone zioła i kwiaty. Kroki odbijały się echem od gołych desek.

- Przypuszczam, że chce pan go sprzedać - zauważył Elliot, z trudem dotrzymując Lindqvistowi kroku w drodze na następne piętro.

Cały dom spowijał zapach wilgoci i drewna.

- Oczywiście. Na wiosnę. Tak jak pozostałe rzeczy. Trzeba zapłacić podatki.

W połowie schodów wisiała ikona. Dziesięć na dziesięć centymetrów. Święty Jerzy na białym koniu, sięgający za siebie długą kopią, żeby dopaść ukradkiem węża. Jego porwany czerwony płaszcz płynął za nim. Styl i temat sugerowały szkołę z Nowgorodu, koniec siedemnastego wieku, chociaż to była kopia co najmniej sto lat młodsza.

- Niczego pan nie zatrzyma?

Na podeście znajdowały się okna z zamkniętymi okiennicami. W lecie musiało tam być chłodno i jasno, ale w wilgotnej ciemności trudno to sobie było nawet wyobrazić.

Lindqvist zatrzymał się przed płycinowymi drzwiami.

- Pewnie myśli pan, że jestem nie dość sentymentalny.

- Ależ skąd, ja...

- Zoia dopiero parę lat temu stwierdziła, że zostawi mi ten dom. Na pewno słyszał pan to od innych, a jeśli nie, to pan usłyszy.

Powieki za powiększającymi szklami zamrugały. Elliot niechętny dotknął jakiejś czulej struny.

- To samo dotyczy jej obrazów - ciągnął Lindqvist. - Sądziłem, że przekaże je bliskim przyjaciołom albo rodzinie. Ale tak się stało, że wszystkich przeżyła. Nie miała dzieci, jak pan wie. - Westchnął, popychając drzwi. - To przykre, że najbliższym człowiekiem w ostatnich latach życia był jej lekarz. Zresztą nie chcę rozwodzić się na smutne tematy. Szanowałem madame Zoie za jej uprzejmość i jestem jej wdzięczny. Ale nie muszę widzieć na co dzień jej obrazów, żeby szanować jej pamięć.

- Oczywiście - powiedział Elliot. - Rozumiem. Lindqvist skinął głową.

- To dobrze.

Wprowadził go do saloniku. Meble, a także pianino i porcelanowy piec były poprzykrywane.

W tym pomieszczeniu nie udało się zapalić światła. Lindqvist otworzył drzwi balkonowe i okiennice. Z balkonu między drzewami widać było szare morze. Mewy skrzeczały w oddali. Woda ciągnęła się od zatoki aż do Sankt Petersburga.

To tutaj wisiała *Chińska księżniczka w Paryżu*. Francesca, studentka historii sztuki, znalazła wzmiankę na ten temat w wydaniu „Vogue'a” z lat sześćdziesiątych, obraz był tam częściowo reprodukowany na czarno-białym zdjęciu. Ponieważ nie istniało żadne świadectwo sprzedaży w żadnej galerii ani domu aukcyjnym, sugerowało to, że przed kilku laty Zoia sama sprzedała obraz albo podarowała go pani Hannie Elliot z domu Carlson.

Elliot rozglądał się, szukając śladu po obrazie, i uświadomił sobie, że pewnie portret wisiał na ścianie obok niego, ponieważ tam padało najjaśniejsze światło. Stał w tym samym miejscu, gdzie jego matka dwa tygodnie przed śmiercią.

Lindqvist zamknął okna.

- Tutaj, wszystkie są tutaj.

Za plecami Elliota, częściowo schowany za sofą, stał wysoki sekretarzyk w stylu georgiańskim, z otwieranym blatem do pisania, szufladami i lustrzanymi zmeblowanymi drzwiczkami. Byłby cenny, gdyby nie wyraźne ślady zniszczenia i niefachowe naprawy.

Lindqvist wyłowił z kieszeni kolejny klucz, a właściwie mały mosiężny kluczyk.

- Długo tego szukaliśmy, już prawie daliśmy za wygraną. Otworzył zamki. Ten na pokrywie miał ślady nacięcia, jakby ktoś usiłował otworzyć go na siłę nożem.

Lindqvist opuścił blat i otworzył półki. Oczom Elliota ukazał się rząd kwadratowych pudełek, z czarnego i szarego kartonu oraz metalu. Niektóre były oznakowane naklejkami. Znajdowały się na nich nieczytelne, naskrobane atramentem słowa.

- Niech pan spojrzy - powiedział Lindqvist. - To po to pan przyjechał.

Elliot wyciągnął rękę i przebiegł palcami po półce, zatrzymując się przy czarnym metalowym pudełku. Kiedyś była do niego przyczepiona sznurkiem etykieta, ale teraz pozostał z niej tylko strzęp.

Wyjął pudełko i delikatnie je otworzył.

Uderzyła go zatechła woń starego papieru i kleju. Włożył palec w głąb pudełka i przesunął gruby plik listów, kopert i pocztówek. Wyciągnął jedną z nich i zobaczył, że jest napisana po francusku, pospiesznym, pochylonym charakterem pisma:

Tak bardzo za Tobą tęsknię, moja maleńka. Zdaje mi się, że całe wieki moje wargi nie dotykały Twoich ust. Czy to możliwe, że o mnie zapomniałaś...?

Na górze data: 1 lipca 1930.

Głośny wibrujący dźwięk kazał mu podnieść głowę. Na wpół świadomie Lindqvist sięgnął do płaszcza i wyjął telefon komórkowy, który wyglądał tak nie na miejscu w jego dłoni, że Elliot omal się nie roześmiał.

Lindqvist rzucił kilka słów do telefonu, marszcząc czoło, gdy słuchał odpowiedzi. Najwyraźniej sygnał się urywał.

- Lepiej wyjdę na zewnątrz - powiedział. - Przepraszam.

Wycofał się z pokoju, zostawiając Elliota samego. Jego kroki oddalały się w holu.

Czy to możliwe, że o mnie zapomniałaś...?

Na końcu tego listu nie było podpisu ani żadnego imienia na początku. To był tylko brudnopis. Zoia miała wtedy dwadzieścia siedem lat, od dziewięciu lat przebywała za granicami Rosji, dziewięć lat minęło od jej pobytu na Łubiance. To właśnie w 1930 roku wpadł jej do głowy pomysł, żeby jechać do Afryki Północnej z powodów, które nigdy nie były jasne. Arty-

stycznie to nie był płodny okres, a skończył się poważną chorobą, rzekomo neurologiczną. Większość artykułów na temat jej życia pomijała ten czas. Ale jedno można stwierdzić z całą pewnością: jej małżeństwo z Karlem Kilbomem, komunistą, który ją uratował, w zasadzie skończyło się, kiedy wróciła do domu.

Elliot wyjął kolejne pudełko. Pierwszy list był starszy, tym razem po rosyjsku. Papier niemal kruszył się w rękę. Autor listu był niezwykle pedantyczny, zachował równe marginesy, pisał wyraźnie, robił jednakowe odstępy między wierszami. Ale w połowie strony ten porządek został zburzony: litery pochyliły się i zwęziły, marginesy pływały, linie zbiegały się, jakby pod przygniatającym ciężarem uczuć.

6 października 1926

Najdroższa Zoiu!

Nie wiem, gdzie się podziewasz. Czy już wróciłaś z Paryża? Czy otrzymałaś mój list z Moskwy? Dzisiaj o jedenastej wypłynęliśmy z Odessy. Wyślę ten list w kolejnym porcie, czyli w Sewastopolu. Gdzie jesteś, Zoiu? Gdzie jesteś na tej głupiej planecie...?

Odwrócił stronę i przeczytał podpis: Andriej. Mężczyzna, którego Zoia zostawiła w Rosji pięć lat wcześniej.

Bariera językowa i czasowa. W pokonywaniu ich znajdował zawsze wielką przyjemność. Dlatego właśnie uczył się języków obcych, które dawały mu przywilej dostępu do nieznanego świata. Nawet jako dziecko postrzegał strony z tekstem w obcym języku jako mur, który należy zburzyć. Dopiero dużo później zaczął rozumieć także sztukę jako pewien rodzaj języka i ją także zaczął studiować. Sięgnął do szuflad, otwierał je po kolei.

Ujrzał w nich pudełka rozmaitych kształtów i rozmiarów, tym razem nieuporządkowane. Otworzył pudełko po cygarach i znalazł w nim stare fotografie. W jadalni statku wycieczkowego grupa trzydziestokilkulatków unosi kieliszki w toaście. Suknie z epoki i zaczesane do tyłu włosy. Z tyłu fotografii pieczętka: Stella Polaris.

W 1933 roku Zoia zaczęła pracować na statkach wycieczkowych na Morzu Śródziemnym, malowała portrety pasażerów. Wówczas był to jedyny sposób, w jaki mogła zarobić na życie.

Lindqvist był pogrążony w rozmowie. Elliot słyszał go, choć doktor starał się mówić cicho. Brzmiało to w każdym razie tak, jakby wyszedł z domu.

Kolejne zdjęcie: przystojny blondyn koło czterdziestki, stojący w parku, w marynarce i jasnych spodniach. Wyglądało na to, że obejmował kogoś ramieniem, ale brakowało połowy fotografii. Pozbyto się osoby, która towarzyszyła mu owego dnia.

Elliot dalej przeglądał zawartość pudełka. Kątem oka dojrzał jakąś postać na balkonie. To Lindqvist wszedł tam przez inny pokój.

Jedno ze zdjęć, osiemnaście na trzynaście centymetrów, spośród pozostałych wyróżniało się wyjątkową jakością. Obraz na grubym papierze pozostał dość wyraźny, czernie i biele nie zbladły w szarości. Fotografie zrobiono we wnętrzu, w latach trzydziestych: Zoia w swojej pracowni, z jednej strony sztalugi, z drugiej mężczyzna w garniturze w prążki. Z tyłu napisano ołówkiem: Kristoffer i Zoia przy pracy.

Mężczyzna był mniej więcej w wieku Zoi, miał porządnie przycięte włosy i wąsy. Uśmiechał się i przyciskał do piersi pudełkową czarną kamerę, jakby to była jego nowa zabawka. Fotografia uwieczniła rzadkie zjawisko. Zoia nie zapraszała gości do swojej pracowni, chyba że mieli pozować jej do portretu. W Paryżu, Sztokholmie czy gdziekolwiek indziej nie pozwalała nikomu przyglądać się swojej pracy, ten fakt niewątpliwie przyczynił się do jej tajemniczości. Na zdjęciu z jednej strony widać było wysokie okno, cztery szyby podzielone krzyżem. Światło padało na twarz Zoi, zacierając detale. Zoia poruszyła się podczas ekspozycji, z bliska Elliot widział na jej postaci tę nieostrość, podczas gdy cała reszta zdjęcia była ostra. Jej twarz na skutek tego wyszła uproszczona, jak twarz lalki.

Drzwi balkonowe otworzyły się. Elliot poczuł na twarzy surowe słone powietrze.

- Ma pan pojęcie, kto to jest? Ten mężczyzna z kamerą? Czy... Mówił do pustego pokoju.

- Halo?

Wyszedł na balkon. Słyszał głos Lindqvista, ale Lindqvista tam nie było. Chodził w tę i z powrotem przed frontowymi drzwiami, wciąż z komórką przy uchu.

Mewy przyleciały w głąb lądu i krążyły wokół domu. Ich skrzek był przejmujący.

Skończywszy rozmowę, Lindqvist podniósł wzrok.

- I co, znalazł pan coś ciekawego, panie Elliot?

Ibis Majestic był jedynym hotelem w średniej cenie w Saltsjöbaden czynnym także w zimie. Blok w kolorze biszkopta zbudowany w latach osiemdziesiątych XX wieku, zaprojektowany według szablonu, położony był pięćdziesiąt metrów od stacji kolejowej i od października do kwietnia utrzymywał się dzięki uczestnikom konferencji handlowych (których zamożni delegaci mieszkali w Grandzie) i niewielkiej liczbie komiwojażerów.

O wpół do czwartej Elliot stał w pustym holu, słuchając przesłodzonej interpretacji *Czterech pór roku*, podczas gdy recepcjonista sprawdzał jego kartę kredytową. Za ladą czarno-biały monitor pokazywał obrazy z różnych kamer, to puste korytarze, to znów pustą ulicę.

- Ile nocy zamierza pan u nas zostać?

Recepcjonista nie odrywał oczu od ekranu komputera. Był to młody, może dwudziesto-dwuletni mężczyzna, z fryzurą na jeża i bladą woskową cerą.

- Dwie. Albo trzy. Nie jestem pewien.

- Mogę na razie zarezerwować trzy? A pan w razie potrzeby zrezygnuje z ostatniej nocy.

Na monitorze zgarbiona postać minęła wejście do hotelu i skierowała się na parking. Sylwetka na tle śniegu. Elliot patrzył na nią, aż zniknęła z widoku.

- Proszę pana?

- Tak, przepraszam?

- Mogą zostać na razie trzy noce?

Wyglądało na to, że jego karta kredytowa wciąż była ważna, niezależnie od ostatnich trudności. Kolejny krok z powrotem. Wszystko szło zgodnie z planem.

Monitor przełączył się na kamerę w holu. Elliot zobaczył siebie stojącego przy ladzie recepcji, obiema rękami ściskającego walizkę, jak uchodźca na dworcu kolejowym.

- W porządku, niech będą trzy.

- Bardzo dobrze, proszę pana.

Recepcjonista zaczął stukać w klawisze. Na zewnątrz już prawie zapadła ciemność, wszystko było mglistoniebieskie.

Trzy noce. Trzy dni. Trochę inaczej to sobie wyobrażał, ale doktor Lindqvist nie dał mu wyboru. Nie pozwolił zabrać dokumentów, powiedział, że jeszcze nie zdecydował, co z nimi zrobi. Jakby nie wykluczył dotąd żadnej możliwości. Jakby zarezerwował sobie prawo zamknięcia ich wszystkich przed światem w każdej chwili. Znaczyło to, że Elliot musiał pracować

wać na miejscu, w domu Zoi, otoczony przez jej rzeczy, przez widoki i dźwięki, które stanowiły niegdyś część jej życia. Jakby zajął jej miejsce.

Trudno było wyjaśnić stanowisko doktora. Dostał w spadku wiele obrazów i nie mógł się doczekać, kiedy je sprzeda. Zostały mu też papiery o wiele mniejszej wartości i je właśnie chciał zatrzymać - wyraźnie nie miał ochoty nikomu nawet ich pokazywać, chyba że miało to służyć przyciągnięciu kupców do Bukowskiego. Było to dziwne zachowanie niezależnie od tego, czy doktor pragnął strzec pamięci artystki, czy też nic go to wszystko nie obchodziło.

Chciał zamknąć księgę życia Zoi możliwie najszybciej, ale po swojemu. Jakby mówił: bierz, co chcesz, i odejdz. Odejdz jak ci ludzie z telewizji, którzy pojawiali się jeszcze za życia Zoi, a potem wyjeżdżali równie nieświadomi, jak przyjeżdżali.

Monitor przełączył się na hol, zamknięte drzwi na prawo i lewo, gaśnica w dalekim końcu.

Elliotowi przyszło do głowy, że może Lindqvist zamierzał zniszczyć dokumenty. Ten pomysł nadzwyczaj pasował do ambiwalencji zachowań doktora. Ale dlaczego? Jedyna oczywista odpowiedź brzmiała: ponieważ Zoia go o to prosiła. To by wiele wyjaśniało: jego stosunek do całej sprawy, jego pozycję obronną. Prosiła go o zniszczenie listów - jak prosi się kogoś bliskiego i zaufanego - a on zamiast tego zatrzymał je, ponieważ Cornelius stwierdził, że mogą być użyteczne.

Biedny doktor Lindqvist, rozdarty między honorem a dobrą starą chciwością. A przy tym wrażliwy na tym punkcie, pełen obaw, co powiedzą ludzie.

Cornelius mówił mu kiedyś, że Skandynawowie mają sposób na przetrwanie długich ponurych zim: Duńczycy jedzą, Finowie piją, a Szwedzi plotkują. Lindqvist najwyraźniej martwił się, że już zaczęli plotkować.

Rzucalo to nowe światło na całą tę operację. To, co mu zlecono, nie było zwyczajną pracą badawczą. To było naruszenie terenu prywatnego, inwazyjne i niemile widziane - choć zupełnie legalne, gdyż zmarli nie mają prawa do prywatności.

Ujrzał znów siebie w pokoju Zoi, przerzucającego jej zdjęcia. Czuł powiew zimnego powietrza, kiedy drzwi balkonowe otworzyły się na oścież.

- Pokój dwieście dziesięć. Drugie piętro.

Recepcjonista sunął plastikową kartę po blacie. Elliot zamrugał.

- Windę ma pan po lewej.

Na górze w pokoju stwierdził, że ktoś próbował dodzwonić się do niego na komórkę. Było to przed ponad godziną, ale nie słyszał dzwonka. Numer osoby, która usiłowała go złapać, znał na pamięć.

Zrzucił płaszcz i wybrał ten numer w hotelowym aparacie.

- Harriet Shaw, słucham.

Harriet, prawniczka, zawsze sama odbierała telefon. To była jedna z rzeczy, za które Elliot ją lubił. Poza tym Harriet zawsze sprawiała wrażenie, choćby nawet było inaczej, że sprawa, którą się akurat zajmuje, jest tą najważniejszą.

- Harriet, mówi Marcus.

- Cześć, Marcus. Sekundkę.

Słyszając, jak wydaje polecenia swojej asystentce, wyobraził ją sobie w jej biurze w Holborn z telefonem przy uchu, wyciągającą nad dużym biurkiem rękę z jakimś grubym dokumentem, który trzeba przefaksować albo skopiować. Poza kostiumami miała upodobanie do bluzek koszulowych ze stójką, zwykle spiętych broszką, co nadawało jej quasi-wiktoriańskiego wyglądu. Elliot zastanawiał się nawet, czy nie ukrywa jakiejś pooperacyjnej blizny. Czasami zdarzało jej się zaszaleć, podkreślała wówczas oczy eyelinerem i malowała paznokcie lakierem o odcień za czerwonym. Podobnie jak on dość późno zawarła związek małżeński, wyszła za Niemca z von przed nazwiskiem.

Drzwi się zamknęły.

- Dziękuję, że oddzwoniasz. Wszystko w porządku?

- Tak, tak, w porządku, jestem w Szwecji.

- No tak, oczywiście. I jak tam jest?

Harriet szeleściła papierami. Pomimo że słyszał ją idealnie, zdawało mu się, jakby rozmawiał z drugim końcem świata.

- Zimno i ciemno. I ciężko.

- A praca?

- Jest tego więcej, niż przypuszczałem. No i trochę inaczej się to przedstawia. A co się dzieje? Czy coś...?

- Obawiam się, że tak, Marcus. Coś raczej nieoczekiwanego. Elliot ścisnął mocno słuchawkę.

- Zarządzenie kuratora. Zdaje się, że twoja żona - to znaczy Nadia - próbuje je unieważnić przed przesłuchaniem w sprawie prawa stałego pobytu. Dziś rano zostałam powiadomiona przez opiekę społeczną.

Przez dwa minione tygodnie ich córka Teresa mieszkała z zastępczymi rodzicami, panem i panią Edwards z Turnham Green. Posiadali oni wiktoriański dom z czerwonej cegły, który wymagał odnowienia, a w nim szafy pełne zabawek; ściany w tym domu pokryte były dziecięcymi rysunkami i gwiazdami wyciętymi z papieru.

Teresa miała zostać pod ich opieką aż do przesłuchania w marcu. Elliot mógł zakwestionować to zalecenie, mógł skłonić sąd do tymczasowej decyzji na swoją korzyść, ale Harriet mu to odradziła. Powiedziała, że w tej sytuacji powinien pokazać się jako rozsądny rodzic, taki, który ma pełną świadomość sprawiedliwości, a zatem taki, któremu można absolutnie zaufać, że bierze pod uwagę najlepszy interes dziecka. To może mieć ogromny wpływ, kiedy zacznie się prawdziwa bitwa.

Od chwili separacji było jasne, że Nadia planowała walkę o prawo do opieki nad dzieckiem. W ten sposób zamierzała uzyskać jak najkorzystniejsze warunki umowy rozwodowej. A prawda była taka, że nigdy nie chciała dziecka, w wieku dwudziestu czterech lat wciąż twierdziła, że jest za młoda na macierzyństwo. Cięża ją ograniczała, odebrała jej uroki zachodniego świata w chwili, gdy wreszcie znalazły się w zasięgu jej ręki. Widział to w sposobie, w jaki przejmowała się każdą niedogodnością związaną z odmiennym stanem. Stoczyli walkę o to, by nie sięgała po alkohol, ale był niemal pewny, że go oszukiwała i w porze lunchu wyrzucała puste butelki do pojemnika na śmieci przy domu sąsiadów. To on sprawdzał, co powinna jeść, kupował jej tabletki i witaminy i każdego ranka stawiał je na kuchennym blacie, a ona nie musiała nawet czytać etykietek.

A zatem jej próba ucieczki z Teresą była dla niego wielkim zaskoczeniem. Kilka dni po Nowym Roku zniknęła na lotnisku Stansted. W Pradze ona i Teresa znalazłyby się poza zasięgiem angielskich sądów. Elliot miałby wielkie trudności z odnalezieniem ich obu.

Przypadkiem zadzwonił tego ranka do domu. Teresa miała zostać zaszczepiona, a on chciał mieć pewność, że Nadia o tym nie zapomniała, tak jak niemal o wszystkim. Słuchawkę podniosła Inés, która przychodziła do nich sprzątać raz w tygodniu. Oznajmiła, że spotkała Nadię i Teresę, jak wychodziły z domu, Nadia ciągnęła wielką walizkę w stronę czekającej taksówki. Najwidoczniej powiedziała Inés, że jadą z wizytą do rodziny. Elliot był zdumiony, bo Teresa lada moment miała pójść do przedszkola. Poprosił Inés, żeby zajrzała do komody przy

łóżku, gdzie Nadia trzymała swoje rodzinne fotografie. Oczywiście, wszystkie zniknęły. Podobnie jak pudło ze skrzypcami oraz intarsjowana kasetka na biżuterię, którą dostała od babki na szesnaste urodziny.

Wtedy Elliot zadzwonił do swojej pani adwokat.

To nie do uwierzenia, jak szybko zaczęła działać. Harriet Shaw pracowała w Mishcon de Reya, gdzie zajmowała się prawem rodzinnym. Była to kancelaria prawnicza poza jego zasięgiem finansowym, gdyby nie fakt, że dwadzieścia lat wcześniej Elliot i Harriet mieszkali w tym samym akademiku w Edynburgu jako uczestnicy kursu języka rosyjskiego (który ona później porzuciła). O drugiej zatelefonowała do Sądu Najwyższego, a pół godziny później stała już przed sędzią, występując o paragraf ósmy zakazanych kroków, który natychmiast otrzymała. Kilka minut później personel sądu rozesłał powiadomienia do wszystkich międzynarodowych lotnisk w Londynie i do portów nad Kanałem na wszelki wypadek.

Wciąż pozostawało dla niego niejasne, co nastąpiło potem. Nadia i Teresa wsiadły już na pokład samolotu, kiedy ochrona lotniska je znalazła. Niewykluczone, że Nadia była pod wpływem alkoholu. Podobnie jak Elliot bała się latać, a czterdziestominutowe opóźnienie dało jej mnóstwo możliwości, żeby zagłuszyć swój lęk wódką z sokiem z limetki. Możliwe również, że w tym pośpiechu dokładnych okoliczności operacji nie przekazano właściwie w łańcuchu hierarchii służbowej. Niektórzy policjanci najwyraźniej sądzili, że wysłano ich tam, by zapobiegli porwaniu. Tak czy owak, jakaś policjantka rzekomo wzięła na siebie odebranie Teresy siłą. Nadia kilka razy uderzyła ją w twarz. Potem jednego z oficerów ugryzła w rękę. Została aresztowana, jak należało się spodziewać, i oskarżona o napad. Do chwili, gdy Elliot przyjechał godzinę później, Teresą zajmowali się pracownicy opieki społecznej.

W dalszym ciągu denerwował się, wyobrażając sobie tę scenę: pijaną Nadię w napadzie szału krzyczącą jak wariatka. W jakim stanie emocjonalnym musiała się znajdować, żeby podjąć walkę z góry skazaną na przegraną? Wyobraził sobie pozostałych pasażerów, którzy myśleli, że to jakiś atak terrorystyczny, i wyciągali szyję nad zagłówkami, targani na przemian falami strachu i ciekawości. Teresa wciąż się trzęsła, kiedy do niej dotarł. Tamtej nocy w pobliskim hotelu miała koszmarne sny i budziła się z płaczem.

Harriet powiedziała mu, żeby spojrzeć na to optymistycznie: to było pijaństwo i przemoc we wspaniałym technicolorze, odegrane w obecności przerażonych świadków. Mieli naprawdę szansę wygrać, prawdziwą szansę zapewnienia Teresie przyszłości, na jaką zasługiwała.

Tyle że coś poszło nie tak.

- Jak rozumiem, policja z Essex wycofała oskarżenie. Elliot podniósł się na nogi.

- Co? Dlaczego? Harriet westchnęła.

- No cóż, najwyraźniej jej adwokat znalazł świadka, który twierdzi, że ochrona lotniska zaskoczyła ją i nawet się nie przedstawili. A ona poczuła, że jej dziecko jest zagrożone, taki jest ich argument. Wiem, że to bzdura.

- Jasne, że bzdura.

- Marcus, nawet gdyby nie wycofano oskarżenia, nie powstrzyma jej to przed wniesieniem pozwu do sądu okręgowego. A wtedy sprawy się skomplikują.

Elliot nakazał sobie spokój. Prawdę mówiąc, nigdy nie czuł się dobrze ze świadomością, że Nadia została uznana za kryminalistkę, nawet jeśli dzięki temu jej szanse na otrzymanie opieki nad dzieckiem spadały w zasadzie do zera. A on mógł to wykorzystać, wymachiwać tym przed sędzią na przesłuchaniu w sprawie prawa stałego pobytu; to był jeszcze jeden powód, dla którego Teresie miało być lepiej z ojcem.

- W porządku. Okay. Więc co robimy?

Usłyszał w słuchawce oddech Harriet. Była najlepszą prawniczką w najlepszej firmie. Nie mogła się w niczym pomylić. Podobno była niezwykła.

- Więc myślę, że musimy usunąć tę przeszkodę z drogi. Nie możemy pozwolić, żeby ten incydent uznano za jakiś nieszkodliwy błąd. To jest zbyt ważne.

Elliotowi nie udało się ukryć rozczarowania.

- Nie rozumiem, Harriet. Tydzień temu byliśmy blisko celu. A teraz musimy walczyć o każdy centymetr. Co się stało, do diabła?

- Marcus, ja nigdy nie mówiłam... Słuchaj, stało się to, że Nadia ma nowego adwokata. Milesa Hansona. Słyszałeś o nim?

- Czy o nim słyszałem? Dlaczego miałbym o nim słyszeć?

- Jest partnerem w Collyer-Bristow. Zdobył rozgłos w sprawach o porwanie dzieci. *Osnan versus Harris*, pamiętasz? W każdym razie jest dobry.

- Jak dobry?

- Powiedzmy, że niełatwo go pokonać. Sumiennie odrabia lekcje.

Elliot uniósł rękę do czoła. Zrobiło mu się gorąco, drżał, jakby był chory. Coś podobnego zdarzało mu się często od chwili rozstania z Nadią. Czasami nie był w stanie nic przełknąć przez dwadzieścia cztery godziny.

- Nie rozumiem, jeśli ten Hanson jest taki sławny, jakim cudem Nadię na niego stać?

- Liczyłam, że ty mi to powiesz.

- Nie mam pojęcia. Nie wyobrażam sobie, skąd ona...

A przecież mógł sobie to wyobrazić. Nadia zawsze przyciągała uwagę mężczyzn. Z biegiem lat jej uroda stała się bardziej delikatna, bardziej wielowymiarowa, w każdym razie z wiekiem wyraźnie zyskała. Posiadali spore grono przyjaciół - jego przyjaciół - którzy otwarcie wyrażali dla niej podziw. Poza tym byli jego starzy klienci: mężczyźni z pełnymi portfelami, czekający tylko na okazję, by zdobyć nową własność. Kiedy Nadia pracowała w galerii, było dla niego oczywiste, że wielu z nich uważa ją za najciekawszy eksponat.

Poza tym był jeszcze ten facet, którego poznała na przyjęciu, kiedy Elliot wyjechał do Maastricht. Laurent, Francuz, którego przyprowadziła do domu i pieprzyła się z nim na podłodze w ich salonie, a potem obiecywała, że nie spotka się z nim więcej.

- Prawdopodobnie nigdy mnie nie zrozumiesz, po prostu nie jesteś w stanie. - Te słowa zapamiętał z kłótni, jaka się wywiązała w następstwie tamtego zdarzenia, sceny, która poza tym była tak dobrze znana z tysięcy filmów i telewizji, że jej okropna banalność nadal sprawiała, że się wzdrygał. Tamte słowa utkwily mu tak mocno w pamięci, ponieważ uderzyło go, że są prawdziwe. Zawsze podejrzewał, że istnieją takie strony życia Nadii, o których on nie ma pojęcia i których nigdy nie pozna. Jakby to były drzwi, które zawsze trzymała szczelnie zamknięte.

Faktem było, że każdy tak naprawdę mógł wykorzystać obecną okazję i przyjść Nadii z pomocą w potrzebie, w zamian za jej nad wyraz ekspresyjną wdzięczność.

- To teraz bez znaczenia - powiedziała Harriet. - Ważne, żebyśmy nie pozwolili Nadii zmienić status quo. Jeśli Teresa będzie mieszkała z matką, kiedy staniemy przed sądem, trudno będzie przekonać sąd, że powinno być inaczej.

Elliot opadł ciężko na łóżko.

- Rozumiem.

- Nie przejmuj się, Marcus. Przeciwności na razie nam sprzyjają. Ostatnim razem sąd orzekł na naszą korzyść.

- To było, zanim pojawił się Cudowny Miles.

Harriet zaśmiała się z przesadą, chętnie chwyciła się każdej możliwości, by okazać troskę.

- Rozprawa w sprawie kuratora odbędzie się w przyszłym tygodniu albo w następnym. Postaram się przesunąć termin jak najpóźniej. Ale sądzę, że byłoby wskazane, żebyś tutaj był. Chcę, żeby sąd widział, że naprawdę zależy ci na bezpieczeństwie Teresy.

- To jasne, że mi zależy, Harriet. A co ty myślałaś?

- Wiem, wiem, ale chcę, żebyś patrzył sędziemu w oczy, kiedy będzie podejmował decyzję.

Wyobrażał sobie tę scenę setki razy i zawsze była równie przerażająca, nawet w najbardziej gorzkich chwilach: on i Nadia razem w sądzie, dzieli ich tylko około metra, ale nie rozmawiają ze sobą, nawet się nie zauważają, rozdzieleni potężnym murem milczenia.

- Przyjadę - odparł. - Możesz być tego pewna.

Telewizja satelitarna odciągnęła jego myśli od przesłuchania. Ale ledwie zwrócił uwagę na informację o kolejnym kiepskim otwarciu na Wall Street. Miał ochotę połknąć tabletkę mogadonu, lecz zrezygnował, wiedząc, że później by za to zapłacił. Częścią powrotu do normalności był sen w porze, kiedy powinno się spać, włączanie i wyłączanie się każdego dnia według tego samego wzoru, niezależnie od potrzeb chwili. Więc Nadia zatrudniła drogiego adwokata. I ktoś inny płacił jej rachunki. Może już wcześniej miała przyjaciela, mężczyznę, który czekał, by zająć jego miejsce. I za jakieś trzy lata, a może nawet mniej, Teresa będzie mówiła do niego „tatusiu”.

Trzy miesiące po znalezieniu autoportretu Zoi zaczął rozmawiać z Nadią o dzieciach. Wcześniej prawie nie poruszali tego tematu, ale nagle poczuł taką potrzebę. Nie traktował tego bynajmniej jak sprawdzianu ich miłości - nadal wierzył, że żaden test nie był konieczny - lecz jako sposób na scementowanie związku, żeby był na zawsze, nieodwołalny. Jak piękno zamknięte w bursztynie. To, co nastąpiło później, wciąż wprawiało go w zakłopotanie: Nadia zgodziła się na dziecko, a potem go zdradziła. Do dziś tego nie rozumiał.

Chyba że Teresa nie była jego córką.

Ta myśl przysłała mu do głowy więcej niż raz. Powinien być mądry, a on nie był mądry. Był ufny i często nieobecny. Ale potem spojrział na Teresę, na te perfekcyjne detale - przedziałek na jej kasztanowych włosach, kształtny łuk brwi, jak pociągnięcie piórka chińskiego kaligrafa - i jakoś nie mógł w to uwierzyć.

Nawet myśląc o tym, czuł się winny.

O wpół do piątej znowu sięgnął po słuchawkę. Odpowiedziała mu jakaś kobieta, ale nie pani Edwards. W tle piszczały dzieci.

- Jestem ojcem Teresy - wyjaśnił. - Mogę z nią rozmawiać?

- Nie teraz, mój drogi - odparła kobieta. - Jest z grupą, bawi się.

- Z grupą. No cóż, w takim razie proszę jej przekazać, że dzwoniłem, dobrze? I że zadzwonię później?

Coś się przewróciło, rozległ się płacz. Kobieta zdenerwowała się i zrugła kogoś, po czym znowu odezwała się do słuchawki.

- O co chodzi, kochany?

- Czy może pani powiedzieć Teresie, że zadzwonię później?

- Dobrze. Ale ona kładzie się spać o wpół do siódmej.

W domu zawsze chodziła spać o siódmej, a nawet później, kiedy byli goście. Lubił chwalić się córką, pozwalał ją podziwiać. To skuteczniej łamało lody niż żarty czy alkohol. I przepajało towarzyskie spotkania międzypokoleniowym ciepłem.

Teraz leżała w łóżku już o wpół do siódmej. Bez wyjątku.

- To ważne, żeby się wysypiać w tym wieku - mówiła kobieta, jakby on, nieobecny ojciec, nie miał o tym pojęcia.

Księżniczka

7

Sankt Petersburg, sierpień 1914

Kiedy jeździła po okolicy, ludzie zdejmowali czapki z głów i pochylali głowy. Starzy mężczyźni z białymi brodami przyklękali i całowali jej dłoń. Przed cerkwiami wiejskie kobiety głośno życzyły jej szczęścia, nazywały ją małą księżniczką i wyciągały do niej ręce, jakby była jakąś świętą i mogła pobłogosławić je w zamian. W cerkwiach były specjalne ławki i galerie dla jej rodziny, z dala od prostych ludzi. Duchowni zawsze im pierwszym udzielali komunii. Wychodząc z kościoła, ludzie kłaniali się najpierw Chrystusowi i Dziewicy, a potem im.

Z czasem Zoia to zrozumiała. Ona i jej podobni byli bliżej Boga niż zwykli ludzie. To im powierzono zadanie ukształtowania świata zgodnie z Jego wolą, oni żyli bliżej Jego prawdy, jak anioły w niebie. Ale to znaczyło także, że właśnie na nich Bóg zwracał większą uwagę. Wszystkie zasady, których kazano jej przestrzegać, sposób, w jaki pilnowano każdego jej ru-

chu, karcono stanowczo za każde uchybienie, to była cena za bycie widocznym, życie pod baczным spojrzeniem wszystkowiedzącego oka.

W Instytucie Smolnym, szkole z internatem, wymagania dotyczące kultury osobistej były jeszcze większe. Obowiązywał zakaz rozmów w języku rosyjskim, języku chłopstwa, wolno było posługiwać się nim tylko pół godziny po południu. W czasie posiłków należało zachować milczenie. Bieganie było bezwzględnie zakazane, zresztą nie dało się biegać w sukniach, które kazano im nosić, długich, ciężkich, ze sztywnymi białymi kołnierzykami i mankietami. Nawet codzienne przechadzki przypominały bardziej wojskowe parady, dziewczynki szły dwójkami w długich płaszczach i futrzanych czapkach, niezależnie od pogody. I zawsze tą samą drogą.

Od czasu do czasu przyjeżdżali do szkoły duchowni w pachnących szatach, żeby wysłuchać spowiedzi. Trzeba było powiedzieć im całą prawdę, wymienić każdy grzech: przypadki zazdrości i lenistwa i niewinne kłamstwa, które zdarzały jej się, gdy chciała uniknąć kłopotów. Powiadano, że te z dziewcząt, które coś ukryją, nie będą w stanie otworzyć ust, żeby przyjąć komunię świętą, a jeśli nawet otworzą, zakrzuszą się świętą hostią, albowiem ciało i krew Chrystusa nie wejdą do zatrutego naczynia. A jeśli umrą w tym stanie, pójdą do Boga z grzechami, z których oczyści je ogień. Pewnego razu po zakończonej spowiedzi Zoia uświadomiła sobie, że zapomniała wspomnieć o jednym grzechu. Kiedy pop już wychodził, zawróciła biegiem nawą i rzuciła się do jego stóp.

To było jednak dziwne: następnego ranka miała wrażenie, jakby jej życie zaczęło się na nowo. Czowała się jak jeden z aniołów, czysta i bez skazy. Wtedy właśnie jej rodzice przyjechali z wizytą i przywieźli jej kwiaty.

W chwili wybuchu wojny skończyła jedenaście lat. Gdy ojciec wyruszał na front, płakała gorzkimi łzami, ponieważ nie zgodził się zabrać jej ze sobą. To miała być wspaniała przygoda, na którą wszyscy stroili się w najlepsze ubrania, i ona nie chciała tego przegapić. Nawet stary Suchomlinow pojawił się u Krzesińskiej w mundurze huzara, który wcale na niego nie pasował, bo generał miał wielki brzuch i patykowate nogi.

- Mogę być sanitariuszką - krzyczała, kiedy jechali w kierunku koszar, żeby otrzymać specjalne błogosławieństwo w cerkwi. - Albo adiutantem.

Ojciec uśmiechnął się i odgarnął jej włosy z czoła. Był wysokim mężczyzną, podziwianym przez wszystkich za przymioty ciała i ducha, tak przynajmniej zapewniała ją guwernantka. Podczas przyjęć zdawało się, że to zawsze jego opowieści wzbudzają największy zachwyty go-

ści. Tyle że ostatnio był bardziej trzeźwy niż zwykle, jakby martwił się o przyszłość, której reszta domowników nie była świadoma.

- Mogłabym pomagać rozsyłać twoje rozkazy. Pozwól mi jechać.

- Może kiedyś, jak będziesz starsza.

- Ile starsza?

- Rok albo dwa.

Ale ona wiedziała, że wojna nie potrwa tak długo. Podслуchała, jak wielki książę Siergiej mówił, że pocisków wystarczy im na kilka tygodni kampanii wojennej, a tylko trzy fabryki produkowały pociski. Poza tym nikt, nawet Brytyjczycy, nie miał dosyć pieniędzy, żeby utrzymać swoją armię w polu dłużej niż dwa do trzech miesięcy.

- Tak czy owak - dodał jej ojciec, zanim znowu zaczęła protestować. - Potrzebuję cię tutaj, żebyś opiekowała się matką.

Kiedy to mówił, uśmiech zniknął z jego twarzy, jakby jakaś ponura myśl przyszła mu nagle do głowy.

Ludzie na ulicach śpiewali patriotyczne pieśni. Grupy żołnierzy przemieszczały się w stronę dworca kolejowego, z okien domów i przejeżdżających tramwajów pozdrawiano ich głośno. Chyba we wszystkich cerkwiach po drodze odprawiano msze, wierni wysypywali się aż na chodniki, trzymali wysoko w górze ikony i krzyże. Zoia nie widziała takich tłumów od rocznicy trzechsetlecia, ale też te tłumy były inne. Nie było parad ani pokazów sztucznych ogni, żeby zabawić lud, ani stoisk sprzedających piwo i pierogi. Ludzie krążyli po ulicach z rękami w kieszeniach, zbierali się wokół każdego, kto miał jakąś gazetę, jakby chcieli być częścią tej chwili, płynąć z prądem wydarzeń.

Zoia doszła z matką aż do Dworca Warszawskiego, ale ojciec nie pozwolił im zostać do odjazdu pociągu. Na peronie było zbyt dużo ludzi, panował nieznośny ścisk. Urzędnicy kolejowi torowali sobie drogę łokciami i podawali przez megafony informacje, których i tak nie było słyhać. Kobiety płakały albo ścisnęły wyciągnięte ręce swoich mężczyzn. Zoia odnosiła wrażenie, że pozwalały ponieść się emocjom, dopóki nie ujrzała łez w oczach swojej matki.

Wtedy i ona się rozplakała. Zwalczyła chęć, by rzucić się ojcu na szyję.

Ojciec wydał jakieś polecenia swojemu ordynansowi, po czym pochylił się i pocałował ją w czoło.

- Bądź grzeczna, moja mała. I pamiętaj, co ci powiedziałem: twoja matka cię potrzebuje.

Zoia z trudem przełknęła ślinę, chciała coś odpowiedzieć, ale ojciec już ruszył przed siebie. Zobaczyła jeszcze tylko jego rękę, którą machał do nich ponad głowami tłumu. Tak przynajmniej myślała - że to była jego ręka.

Strach zakradał się do jej serca krok po kroku.

W szkole z internatem skrócono lekcje. Zyskany czas poświęcano na przygotowywanie bandaży dla Czerwonego Krzyża i kapciuchów na tytoń dla armii. Codziennie dziewczęta modliły się za bezpieczeństwo żołnierzy i za zwycięstwo. Co godzinę rozbrzmiewały w mieście dzwony.

Trzy tygodnie później na lekcje przyszła dziewczynka w czarnym żałobnym fartuszk. Jej ojciec zginął na polu walki. Siedziała na końcu sali i patrzyła przed siebie, a łzy toczyły się po jej policzkach.

Zrezygnowano z lekcji niemieckiego, które zastąpiła nauka angielskiego. Zniknęli niemieccy nauczyciele, a dziewczynki o niemiecko brzmiących nazwiskach były bojkotowane. Pozostałe uczennice wymyślały okrutne piosenki na ich temat i zmuszały je do posłuszeństwa. Nawet miasto zmieniło swoją nazwę, żeby oczyścić się z niemieckich naleciałości, i tak Petersburg został Piotrogradem.

Nauczyciele nie odpowiadali na pytania dotyczące wojny. W szkole zakazane były gazety. Jeżeli dzieci dowiadywały się czegośkolwiek, to wyłącznie od odwiedzających ich krewnych: plotki o krwawych zwycięstwach w Galicji i porażkach w Prusach Wschodnich, gdzie generał Samsonow popełnił samobójstwo, straciwszy uprzednio dwieście tysięcy ludzi w ciągu dziesięciu dni.

W grudniu już w każdej klasie ktoś nosił czarny fartuch, a nawet w każdym rzędzie ławek. Z zakratowanych okien na ostatnim piętrze dziewczynki podglądały kondukt pogrzebowe, które szły w stronę cmentarza wojskowego. Wuj jednej z dziewczynek pracował w Ministerstwie Wojny. Słyszała, jak mówił, że wkrótce będą zmuszeni powołać drugi zaciąg rezerwistów, co znaczyło, że wszyscy rosyjscy żołnierze będą mieli za sobą tylko tydzień ćwiczeń. Na froncie brakowało amunicji, na tyłach panował chaos w transporcie, powiedział wuj. Gdyby nie ochotnicy księcia Lwowa, już przegraliby wojnę.

Słyszała też, jak mówił, że co najmniej milion mężczyzn zostało wziętych do niewoli albo zginęło.

Na Boże Narodzenie Zoia pojechała do domu. Służby było mniej niż przed jej wyjazdem. Niektórzy poszli walczyć, inni wrócili do swoich rodzin. Nikt ich nie zastąpił. Zoia starała się

spełnić prośbę ojca, ale okazało się to bardzo trudne. Jej matki całymi dniami nie było w domu, pracowała w kobiecym Komitecie, zbierającym ciepłą bieliznę dla wojska. Zoia oddała swoją najlepszą lalkę podczas zbiórki pieniędzy. Listy od ojca przychodziły sporadycznie, czasami nie chronologicznie. Najgorzej było jednak, kiedy wcale nie przychodziły.

Dom bez przyjęć i gości był cichy i pusty. Czasem popołudniami, kiedy nikt nie widział, Zoia wkładała płaszcz i szalik i wymykała się z domu. Kiedyś doszła aż do Newskiego Prospektu. Chodziła po dużych sklepach i jeździła tramwajem. Przed wojną nie mogła nawet o tym marzyć, to równało się pogwałceniu wszelkich zasad. Ale trudno było się oprzeć smakowi zakazanej wolności.

Żołnierze i marynarze byli dosłownie wszędzie, ten o kulach, tamten z ręką na temblaku. Mijając ich, Zoia słyszała gwizdy, chociaż dopiero po jakimś czasie dotarło do niej, że właśnie jej dotyczyły. Kiedy któregoś razu minęła Fontankę, ujrzała sierżanta - przystojnego mężczyznę z dołeczkiem w brodzie i zabandażowaną głową, który kuśtykał powoli chodnikiem, wsparty na lasce. Spojrzał jej w oczy i spytał, czy może postawić jej wódkę, zanim wróci na front.

- Tu niedaleko - powiedział, wskazując w stronę oszronionych okien piwnicznej knajpy. Z wnętrza dochodził szum głosów i muzyka harmoszki.

W jego oczach był smutek i samotność. Zoia rozpoznała emblemat na jego klapach.

- Mój ojciec jest w pańskim regimencie - oznajmiła, nie mając nic specjalnego na myśli. Ale sierżant natychmiast wyprostował się i powlókł się dalej przed siebie.

Ten list przyszedł, kiedy przebywały w Pawłowsku, niemal dokładnie rok od dnia, gdy widziała przejeżdżającego samochodem cara. Całe lato czekały na wiadomości z frontu albo od ojca. Każdego ranka Zoia siedziała przy bramie do chwili, gdy dostarczyli pocztę, a jej jedy-nymi kompanami były insekty i wysokie szumiące trawy, każdego popołudnia zaś jechała na rowerze do miasta, żeby kupić gazetę, którą akurat można było dostać.

Pisano o dalszych ciężkich walkach w polskim klinie, gdzie wróg atakował na dwóch frontach, i trzeciej ofensywie przeciwnika na Litwie. Gazety donosiły o aresztowaniu i śledztwie generała Suchomlinowa, podejrzanego o zdradę. Potężne twierdze, które, jak uważał wielki książę Siergiej, miały zatrzymać wroga - Kowno, Grodno, Osowiec, Iwangorod - padały jedna po drugiej. Stojąc w kolejce po gazetę, Zoia słyszała, jak ludzie szeptali, że dwór jest naszpikowany niemieckimi szpiegami i sympatykami Niemiec i że caryca, „ta Niemka”, jak ją nazywali, jest wszystkiemu winna. Przez całą Rosję przetoczyły się strajki i demonstracje przeciw temu, jak rząd prowadził tę wojnę.

Czasami ludzie w kolejce obrzucali ją wrogim spojrzeniem. Guwernantka ostrzegła ją, żeby ubierała się skromniej, kiedy idzie na zakupy. Powiedziała, że głupi ludzie szukają kozła ofiarnego, kogoś, kogo mogliby oskarżyć, że do tej pory nie wygrali wojny. Mówiła, że nie pora teraz zwracać na siebie uwagę.

Niektórzy z letników w Pawłowsku starali się żyć tak samo jak przed wojną. Nie odbywały się już co prawda przedstawienia ani koncerty, na które mogliby się wybrać, ale wciąż wydawano kolacje i urządzano tańce. Matka Zoi uczestniczyła w kilku z nich, ale potem przestała bywać, spędzała wieczory, pisząc listy i grając na pianinie. Powiedziała przyjaciółce, która ją odwiedziła, że niektórym ludziom wydaje się, że droga do zwycięstwa wiedzie przez alkohol. Zoia była rozczarowana. Uwielbiała tańczyć. Kiedy tańczyła, zapominała o całym świecie.

Czasami matka zjawiała się w jej sypialni wieczorem i szczotkowała włosy Zoi przed dużym lustrem. Szczotkowała i szczotkowała, coraz to wolniej, patrząc na odbicie Zoi w lustrzanej tafli.

Któregoś razu powiedziała, jakimś nieobecnym głosem:

- Musimy znaleźć ci przyzwoitego męża, kiedy przyjdzie czas, Zoiu. Mężczyznę, który na ciebie zasłuży.

Zoi przypomniał się Pierre, tancerz, i pocałunek nad stawem. Jej matka wstała tymczasem, kładąc ręce na jej ramionach.

- Obiecuj mi, że do tej pory będziesz grzeczna.

Zoia poczuła, że się rumieni. Pomyślała, że matka coś wie, coś słyszała. Kilka lat wcześniej dziewczynkę z jej szkoły przyłapano, jak całowała się z kadetem ze Szkoły Morskiej. Mówiono, że matka zabrała ją do domu i biła tak długo, aż dziewczyna zemdląca.

- Obiecuję - odparła Zoia.

Matka uśmiechnęła się i pogłaskała jej policzek grzbietem dłoni.

- Bogaty ustosunkowany mężczyzna. Mężczyzna, który będzie nas chronił.

Następnego dnia przyszedł list z Ministerstwa Wojny. Zoia stała przy bramie, trzymała go w drżących rękach. Czowała, że pali jej skórę, jakby to, co przynosił, wyciekało na zewnątrz niczym trucizna. Podniosła wzrok na listonosza, z nadzieją, że może powie, że to jakaś pomyłka, i zabierze list z powrotem. Ale on unikał jej wzroku i zawróciwszy rower, odjechał bez słowa.

Matka upadła, gdy przeczytała wiadomość: zginął śmiercią bohaterską w służbie jego cesarskiej wysokości. Zoia wybiegła do ogrodu, bo nie chciała nic słyszeć ani widzieć, pragnęła jedynie schować się w jakimś ciemnym kącie, gdzie świat jej nie dosięgnie. Już nigdy nie ujrzy swojego ojca. To nie docierało do jej świadomości. Pomimo czarnych fartuchów szkolnych, śmierć wydawała jej się jakąś sztuczką, iluzją. W jej wizji przyszłości ojciec był obecny. Nikt nigdy nie wspomniał, że istnieje prawdopodobieństwo, iż jego służba carowi któregoś dnia go jej odbierze.

Nie widziała matki aż do następnego dnia. Wtedy nagle matka wydała jej się starsza. We jej włosach pojawiły się srebrne nitki, a oczy zamieniły się w łzawiące szparki za spuchniętymi powiekami. Siedziała na stołku przy pianinie ze wzrokiem wlepionym w ogród. Po chwili odwróciła się do Zoi i wyciągnęła rękę.

Zoia pobiegła do niej i wpadła w nieznajome, twarde objęcia.

- Mam jeszcze ciebie, Zoiu - powiedziała matka. - Przynajmniej ty mi zostałeś.

Powtarzała to bez końca.

Dwa tygodnie później Zoia wróciła do szkoły. Pewnego piątkowego ranka, podczas lekcji francuskiego, dyrektorka szkoły, księżna Wołkońska, stanęła przed klasą i oznajmiła Zoi, że ma gościa. Kazała jej natychmiast iść ze sobą. Zwykle gości wpuszczano tylko w czwartki i niedziele, popołudniami, i z całą pewnością nigdy w środku lekcji. Zoia nie wiedziała, co o tym myśleć. Jej matka została z Pawłowsku. Nie wyobrażała sobie, kto jeszcze mógłby chcieć się z nią widzieć. To musiał być ktoś ważny dla dyrektorki, skoro go nie odesłała.

Miała sporo czasu, by dumać nad tą kwestią, kiedy szła za dyrektorką pustymi korytarzami. Stara dama kroczyła powoli, podpierając się laską, która stukała o marmurową posadzkę. Ten dźwięk zawsze poprzedzał jej nadejście o kilka minut. Po chwili Zoia zebrała się na odwagę.

- Madame, czy wolno mi spytać, kto...?

Ale księżna położyła palec na wargach. To była tajemnica. Coś, o czym nie można mówić. Zoia czuła, że tętno jej przyspieszyło. Zastanawiała się, co takiego zrobiła, żeby zasłużyć na takie dziwne traktowanie.

Zatrzymały się przed ciężkimi drzwiami. Księżna Wołkońska chwyciła za klamkę, potem zawahała się, jakby chciała coś powiedzieć. Jednak po chwili zmieniła znów zdanie. Otworzyła drzwi i weszła do środka.

Zoia usłyszała, że ktoś wstaje z krzesła.

- Zoia Korwin-Krukowskaja - powiedziała księżna i odsunęła się na bok, żeby zrobić jej miejsce.

Męski głos rzekł:

- Dziękuję, wasza wysokość. - Po tych słowach nastąpiło eleganckie szurnięcie obcasami.

Zoia podniosła głowę i spojrzała na obcą jej twarz.

Stał przed nią oficer, kapitan albo pułkownik, wysoki i szczupły, z jasnymi włosami lekko posiwiałymi na skroniach i bladoniebieskimi oczami.

Przełknęła ślinę. Nigdy nie widziała tak pięknego mężczyzny. Jego twarz przypominała twarze posągów i oblicza wyryte na pamiątkowych medalach. Dostrzegła w niej stanowczość i odwagę, spokojną dumę. Stojąc naprzeciw mężczyzny, poczuła się mała i niezgrabna.

Nie wiedząc, jak się zachować, ukloniła się, wbijając wzrok w błyszczące wojskowe wysokie buty.

- *Bonjour, monsieur* - wyjąkała, zakładając, że nadal obowiązuje ją zakaz mówienia po rosyjsku.

- *Bonjour* - odparł.

Przyglądał się jej przez moment, potem podszedł i - ku jej zaskoczeniu - wziął ją za rękę. Pomyślała, że chce ją pocałować, ale on tylko trzymał jej dłoń w swojej dłoni.

- Zoia, nie wiesz, kim jestem?

Powoli pokręciła głową. Dyrektorka zamknęła za sobą drzwi.

- Jestem twoim ojcem.

Zoia czuła, że krew odpłynęła jej z twarzy. Przemknęło jej przez myśl, że to jakiś żart, poza tym że księżna Wołkońska nigdy nie wzięłaby w coś takim udziału.

- Myli się pan - powiedziała. - Mój ojciec nie żyje. Nieznajomy niespiesznie potrząsnął głową.

- To był twój ojczym. Sądziłem, że wiesz.

Mężczyzna, który nazwał się jej ojcem, podszedł o krok bliżej. Zoia znowu z trudem przełknęła ślinę i odsunęła się o krok.

- Mój ojciec zginął - powtórzyła, powstrzymując łzy. To całe spotkanie jawiło jej się jak jakaś niezasłużona, okrutna kara.

- Miałaś tylko trzy lata, kiedy sam car udzielił rozvodu twojej matce i mnie.

- To nieprawda!

Stała tam ze wzrokiem wbitym w podłogę, z ramionami skrzyżowanymi na brzuchu. Chciała, żeby przyszła nauczycielka i zabrała ją stamtąd. Nie chciała już słuchać tego mężczyzny.

Słyszała jego oddech. Miała świadomość, że go zraniła, ale nie umiała nic na to poradzić. To nie mogła być prawda, że jej ojciec stracił życie i na dodatek swoje miejsce w jej życiu, i to w trzy tygodnie po śmierci.

Zaczęła się trząść. Nagle wydało jej się, że w pokoju panuje ziąb. Przez moment bała się, że zemdleje.

- Twoja matka i ja sądziliśmy, że powinnaś o tym wiedzieć. Uzgodniliśmy to oboje.

Zoia drżała na całym ciele. Była zawstydzona i zniesmaczona. Więc po to przybył ten nieznajomy: żeby zrozumiała obłudę swojego świata, różnicę między tym, co widzialne, a tym, co prawdziwe.

Podniosła na niego wzrok. Mimo wszystko żałowała, że ujrzał ją we łzach. Chciała, żeby zobaczył ją od najlepszej strony, żeby nie widział tylko bladego zapłakanego dziecka.

Położył dłoń na jej ramieniu. Jego szamerowana kurtka od munduru pachniała czystością i czymś kojącym.

- Mówiono mi, że stajesz się piękną kobietą - powiedział. - Widzę, że nie ma w tym przesady.

Nie ruszyła się z miejsca. Bała się, że jeżeli się ruszy, szloch wydrze się z jej piersi, a wtedy ten nieznajomy przekona się, jaka jest słaba, i poczuje się zawiedziony.

- Jutro wyjeżdżam na front - oznajmił. - Chciałem cię tylko zobaczyć przed wyjazdem.

Patrzył na nią jeszcze przez chwilę, potem odwrócił się i wyszedł z pokoju. Zoia chciała go zawołać, powiedzieć, że jest jej przykro i żeby jej wszystko opowiedział. Ale stała jak zamurowana. Nie mogła się ruszyć ani mówić.

Echo jego kroków słabło w korytarzu.

Wiedziała, że nigdy więcej go nie zobaczy.

Kiedy zamyka oczy, widzi tylko złoto. Teraz się porusza, jak pokryta pęcherzami skóra, membrana naciągnięta na żywą tkankę. Potem nagle, z bliska, wygląda inaczej: stężałe, ziarniste, z zaciekami brudu, zniszczone. Udaje mu się zobaczyć w przeblysku twarzy odbite w przetartym rdzą metalu.

Jego ojciec nienawidził *Chińskiej księżniczki* od pierwszej chwili, gdy tylko ją ujrzął. Ten obraz wręcz go rozwścieczał. Powiedział matce Elliota, że nie chce mieć go w domu. Kazał jej zanieść go z powrotem tam, skąd go przyniosła.

Elliot słyszał kłótnię rodziców w kuchni, ich krzyki rezonowały w ścianach i w deskach podłogi. Miał wówczas osiem lat, siedział na schodach, zbyt przestraszony, żeby zejść na dół. Słyszał płacz matki, jej szloch. Nie sądził, że potrafiła płakać, że była zdolna do tak wielkiej rozpacz.

Coś uderzyło o drzwi. Drewno pękło. Zakrył uszy, siłą woli pragnął to od siebie odsunąć.

- Przestańcie, przestańcie, przestańcie.

Ale oni nie przestali. A wszystko przez ten obraz. Portret na złocie. Ponieważ niósł ze sobą jakieś znaczenie.

Wtedy krzyknął, łzy ciekły mu po policzkach strugami, ale oni nie przyszli do niego, nawet go nie usłyszeli. Już dla nich nie istniał. Był tylko duchem na schodach, dzieckiem ze snu, które krzyczy zupełnie bezgłośnie.

Elliot zrzuca pościel, zwala się na łóżko i widzi teraz inny obraz: *Wazon z makami*, krwistoczerwone płatki na powykręcanych łodygach. Kobieta w futrze licytowała, jakby musiała go mieć za wszelką cenę, pierścionki na jej palcach połyskiwały, kiedy machała zrolowanym katalogiem nad świeżo ufryzowaną głową.

Środek aukcji. Chwila, w której wszystko już wie. Ucisk w żołądku mówi mu, że nastąpiło przesilenie. Tak czy owak on już przegrał. Próg kolekcjonerstwa został przekroczony. Gwiazda kina francuskiego - Isabelle Taka czy Isabelle Owaka - ma już Korwin-Krukowską w swoim paryskim apartamencie, który to fakt odnotował „Paris Match”. Żyjącym artystom trudno żądać wysokich stawek, trudno tworzyć aurę tajemnicy, ale Zoia zawsze była zagadką. I sama długo już nie pożyje.

Cornelius jest z tyłu sali, staje na palcach. Promienny uśmiech rozjaśnia jego twarz, kiedy licytator wybija młotkiem cenę za Korwin-Krukowską. Od lat po cichu popierał twórczość Zoi, zawsze też widział jej potencjał rynkowy. Teraz w końcu zebrał wszystko w podziemiach Bukowskiego, zanoszą się na potwierdzenie słuszności jego opinii i hojne bonusy, może nawet taką sumę, która pozwoli mu założyć własny interes.

A jednak nie pojechał na pogrzeb. Powikłania po walce z rakiem. Nie znalazł okienka w swoim planie zajęć na to ostatnie pożegnanie. Dziwne zachowanie jak na wtajemniczonego, jeśli nim jest rzeczywiście. A może Elliot jest sentymentalny? W końcu z punktu widzenia marszanda długo oczekiwana śmierć Zoi jest raczej powodem do świętowania.

Szkoda, że wszystkie dokumenty są nadal w jej domu. Że musi tutaj pracować samotnie.

Bez kołdry jest mu zimno. Zaciska mocno powieki i próbuje wsłuchać się w swój własny oddech. Ale sen nie nadchodzi.

Zrobił błąd, rezygnując z tabletek mogadonu. Ostatnio stwierdził, że się wcale nie sprawdza, a przynajmniej nie tak, jak oczekiwał. Zamiast zapadać po nim w nieświadomość, poci się i nachodzą go koszmary, które gwałtownie wyrrywają go ze snu. Tak samo było z innymi benzodiazepinami, tropium i somnitem. Najpierw zapadanie w nicość, a potem rosnący niepokój, wizje i lęk przedzierający się przez narkotyczną mgłę jak chwasty przez cement. Miał nadzieję, że lot i wczesny początek dnia zwałą go z nóg. Myślał, że świeże bałtyckie powietrze oczyści jego głowę. Ale w Majestic okna nie otwierają się bez specjalnego klucza. I coś niepokoi go w związku z planami Corneliusa. Czuje się zamieszany w coś, o czym nic nie wie.

Cornelius wcześniej wysłał mu pieniądze: tysiąc funtów na pokrycie wydatków. Stary dobry Cornelius.

Gdzieś w hotelu pracuje wentylator. Szum niesie się pustymi ścianami z płyt gipsowych. Elliot przewraca się znowu na bok i patrzy na zegar, myślami jest teraz w pokoju, gdzie wisiała *Chińska księżniczka* o małych czerwonych ustach i czujnym, leniwym spojrzeniu.

Żałuje, że znalazł ten obraz - portret czy autoportret, to bez znaczenia. Wolałby, żeby on w ogóle nie istniał.

Zajechał przed bramę i wyłączył silnik. Siedział przez długą chwilę i patrzył na dom przez płataninę kołyszących się gałęzi. Wiatr zmiótł ślady stóp na podjeździe, zostały po nich lekkie zagłębienia, jakby minęły lata, a nie jeden dzień, odkąd tu był. Wokół kominów powiewało silniej, spirale śniegu unosiły się nad okapem.

Tym razem dom wyglądał jakoś inaczej: niższy, przykucnięty, zwrócony obojętnie w stronę morza. Po prostu pusty dom. A w nim nic poza pokrytymi kurzem meblami i pudłami starych listów.

Doktora Lindqvista nie było w domu tego ranka. Nieoczekiwanie wezwano go do Uppsali. Agda Lindqvist, która, jak się okazało, była jego siostrą, dała Elliotowi klucze i pisemną instrukcję, jak sobie radzić w domu Zoi. Tak się umówili: Elliot miał co dzień rano odbierać klucze i zwracać je każdego wieczoru. To był jedyny komplet kluczy, wyjaśnił mu doktor, więc nie mógł ryzykować, że gdzieś się zawieruszą.

Oczywiście, tak naprawdę Lindqvist mu nie ufał. Ale Elliot nie miał mu tego za złe. Odnosił wrażenie, że Lindqvist należy do osób, które nikomu nie dowierzają.

Wziął swoją torbę i wysiadł z samochodu. Było zimno, kilka stopni poniżej zera, jak pokazywał termometr na desce rozdzielczej. Tym razem jednak wyposażył się w czapkę narciarską i gruby ciepły szal, kupione w sklepie z odzieżą sportową w holu Grand Hotelu. Na powierzchni śniegu utworzyła się skorupa, która poddawała się bez uprzedzenia. Elliot pogрузił się w śniegu po kolana.

Brnął przez zasypy całkiem żwawo, chciał jak najszybciej zabrać się do pracy, skupić uwagę na pracy.

Kilka metrów od drzwi kuchennych zatrzymał się i podniósł wzrok na okna. Zasłony były zasunięte, oprócz okna pod dachem, gdzie wisiała przekrzywiona żaluzja, z jednej strony ściągnięta, z drugiej rozwinięta. Powiew wiatru lekko nią kołysał, drewniane listwy uderzały o szybę.

Elliot zawahał się, potem ruszył do wejścia od frontu, to przed tymi drzwiami krążył doktor Lindqvist, rozmawiając z kimś przez komórkę. Znalazł jego ślady na śniegu. Na balkonie powyżej wiatr położył warstewkę śniegu. Nie poruszało się nic prócz sosen.

Przygarbiony zawrócił do drzwi kuchennych, przekręcił klucz i wrzucił go do kieszeni. Gdzieś za drzewami lodowate szare morze uderzało o skały.

Zastanowił się, czy to miejsce bardzo się zmieniło w ciągu trzydziestu lat.

W dzieciństwie długo wierzył w duchy. Stanowiły dla niego taką samą część rzeczywistego świata jak planety czy Droga Mleczna - ale nie duchy z komiksów czy czarno-białych filmów, takie w prześcieradłach czy kostiumach z epoki, które świeciły w ciemności, lecz zupełnie inne duchy. Te jego duchy to były ludzkie postaci.

Nigdy ich nie widział. Nie mógł ich zobaczyć, ponieważ prawie nigdy nie znajdowały się w tym samym pomieszczeniu, co on. Zajmowały przestrzeń, którą właśnie opuścił, albo tę, do której akurat zdążał. Obserwowały go z cienia i szeptały do niego w snach. I tylko czasami - w ułamku sekundy pomiędzy snem i przebudzeniem - mógł je ujrzeć, stały przed nim zwrócone plecami do światła. Wyczuwał ich obecność w ten sam sposób, w jaki przypomina się coś ważnego, co zapomniało się zrobić, z szybkim biciem serca.

Po śmierci matki nabrał pewnego zwyczaju. Odkręcał kurki w łazience i szedł do sypialni. Rozbierał się, wkładał szlafrok, a kiedy wanna do połowy zapełniła się wodą i na korytarz wydostawała się para, wiedział, że ona już tam jest.

Wówczas wracał tam i stawał przed drzwiami, uchylał je tylko tyle, żeby wciągnąć zapach jej bladej skóry i perfum na jej ubraniu, tyle, żeby usłyszeć szelest jej sukni. A kiedy zamykał oczy, słyszał, jak matka cichutko nuci, stojąc przed lustrem i upinając swoje długie jasne włosy.

W nocy przychodziła i stawała przy jego łóżku, kiedy leżał zwinięty pod kocem. Nigdy się nie odwracał, żeby na nią spojrzeć, a mimo to wiedział, że tam była. Czasami trzymała w ręku list, który zostawiała na toalecie, ten, który jego ojciec spalił przed dochodzeniem. W swoich snach brał ten list i próbował go przeczytać. Ale słowa były zawsze nieczytelne, a im bardziej starał się je odcyfrować, tym gwałtowniej się budził. To był list napisany w języku, którego nie potrafił zinterpretować, gdyż nie posiadał do niego klucza ani odpowiedniej wiedzy.

Nigdy nie wspomniał ojcu o wizytach matki. Zakładał, że ojciec o nich wiedział i że kiedy siedział w milczeniu przy kominku, patrząc na ogień, dopóki nie spłonęło ostatnie polano, wiedział, że była w kuchni, kręciła się między piecem a zlewem. Nie mówił o tym dlatego, że tak było lepiej. Duchy były ludźmi, o których się nie mówiło. Zresztą Elliot nie mieszkał długo z ojcem. Kiedy skończył dziewięć lat, ojciec wysłał go do wujostwa do Szkocji.

Z jakiegoś powodu duchy za nim nie pojechały, chociaż czasami tego żałował.

Szedł przez kolejne pokoje. Zwinięte dywany stały w kątach. Z półek pozdejmowano bibeloty, zostały tylko cynowe świeczniki i miska z muszelkami, która stała na parapecie.

Wszystko zakryto pokrowcami chroniącymi przed kurzem. Białe grobowe formy przypominały mu dzieciństwo, zabawę w chowanego w domu jego babki, klęczenie na strychu w pachnącej stęchlizną ciemności, gdzie bał się nawet oddychać, nasłuchiwanie skrzypienia podłogi, które się do niego zbliżało. W jadalni delikatny zielono-biały żyrandol owinięty był muślinem. Jedno samotne krzesło u szczytu stołu zostało odkryte - przez Lindqvista, jak się domyślał. Stary mężczyzna sprawdzał, co odziedziczył. Z pewnością doktor, a może jego małomówna siostra, zaglądali tam od minionego ranka, ponieważ zniknęły puszka i otwieracz, które widział wcześniej na stole kuchennym.

Elliot odsunął zasłony. Najpierw w jadalni, a potem we wszystkich pozostałych pomieszczeniach. Nucił pod nosem, szukał jakiejś melodii, ale żadna mu ostatecznie nie pasowała. Powoli dom wypełniał się bladym zimowym światłem.

Kilka tygodni przed śmiercią Zoia pragnęła zrobić ostatnią wycieczkę do Saltsjöbaden. Tak powiedział Peter Lindqvist - a może mu się wypsnęło - kiedy wracali z tego domu. Chciała przyjechać na jeden dzień, ale lekarze jej zabronili. Elliot chętnie dowiedziałby się czegoś więcej na ten temat, lecz Lindqvist odmawiał, na jego pytania wzruszał tylko ramionami i kręcił głową.

Elliot był ciekaw, czy miało to coś wspólnego z listami, czy Zoia przypadkiem nie zamierzała ich zniszczyć. A kiedy lekarze oznajmili jej, że nie może jechać, poprosiła Lindqvista, żeby to za nią zrobił. Ale on, z jakiegoś powodu, zawiódł ją.

Pracownia Zoi mieściła się na samej górze. Już na podeście czuł zapach farb olejnych i terpentyny. Zoia miała też drugą, większą pracownię nad swoim apartamentem w mieście, w budynku, który niegdyś dzieliła z Isaakiem Grünewaldem, uczniem i wielbicielem Matisse'a. Ale w czasie letnich miesięcy pracowała właśnie tutaj.

Pokonał ostatnie stopnie i ujrzał gołe białe ściany i okno w dachu. Z dużego okna rozciągał się widok ponad wierzchołkami drzew na najbardziej wysuniętą na wschód część zatoki.

Zbliżywszy się do okna, zobaczył swój oddech na szybie. Nad wodą ptaki morskie pikowały i wzbijały się w górę, ich głosy brzmiały jak śmiech na wietrze. Więc to był ten pokój, do którego nikt nie miał wstępu, gdzie Zoia pracowała bez świadków. W Sztokholmie ludzie czasami wpadali do niej bez zapowiedzi, a ona była zbyt uprzejma, żeby ich wyprosić. W Sztokholmie miała opiekunów. Ale nie tutaj. Tutaj była tylko ona i jej obrazy. Rozmowy zupełnie innego rodzaju. Tylko wtajemniczeni.

Odwrócił się i znalazł się na wprost dużych solidnych sztalug stojących do niego tyłem. Zajmowały sam środek pokoju, a na nich stał przygotowany do malowania drewniany panel. Dalej zobaczył stoliki i półki zapchane butelkami terpentyny, benzyny lakowej i słoikami pełnymi pędzli. Zupełnie jakby wszedł w ramy kompozycji zatytułowanej *Portret mężczyzny przy oknie*. Jakby to sama Zoia stała obok z pędzlem w dłoni.

Podszedł z drugiej strony sztalug. Deska była już pozłożona. Patrzył z bliska i widział kwadratowe listki złota - tradycyjnej szerokości czterech palców - które wykorzystywała Zoia. Pod pewnym kątem zakładki tworzyły blade nierówne linie, które biegły przez całą długość. Ale nie było tu jeszcze obrazu, ani śladu farby. Przyjrzał się uważnie, szukając czegokolwiek, co mogłoby odkryć zamierzony temat. Ale nie widział nic poza własnym cieniem przesuwającym się po połyskującej powierzchni.

Najniższa półka była zapchana książkami i katalogami. Zniszczony angielski przekład Cennino Cenniniego *Rzecz o malarstwie* był wciśnięty między tom na temat orchidei i monografię Vincenta van Gogha.

Elliot zetknął się z traktatem Cenniniego podczas studiów. Rzekomo powstał on w Toskanii około 1390 roku. Obejmował cały proces twórczy od przygotowania powierzchni malarzkiej, robienia pędzli i szczotek, do złocenia, werniksowania, mozaik i szerszych kwestii dotyczących życia artysty. To właśnie Cennini ostrzegał młodych artystów, by nie zabawiali się zbyt wiele z kobietami, ponieważ przez to ich ręka stanie się „tak niepewna, że będzie trząść się i drzeć bardziej aniżeli liście na wietrze”.

Elliot otworzył książkę i ujrzał fragment podkreślony ołówkiem.

Malarz musi rozwijać zarówno wyobraźnię jak i zręczność, jego celem jest odkrycie rzeczy niewidzialnych, tego, co jest ukryte pod cieniem przedmiotów, i utrwalenie ich własną ręką, zaprezentowanie oczom tego, co tak naprawdę nie istnieje.

Olejowy bojler znajdował się w pełnej pajęczyn przybudówce. Elliot był tam właśnie, usiłował go uruchomić, kiedy Cornelius Wallander zadzwonił na komórkę.

- Wpadłeś może na ślad paryskiego autoportretu? Przejrzałeś już dokładnie dokumenty?

Dokumenty tkwiły wciąż nietknięte w sekretarzyku.

- Na razie ani śladu. Dlaczego sądzisz, że trzymała tutaj kwity sprzedaży?

- Bo w mieszkaniu niewiele znaleziono. Przeszukaliśmy je gruntownie. Były jakieś papiery dotyczące sprzedaży, ale nie to, czego szukaliśmy.

Elliot popatrzył przez zmrużone oczy na instrukcję, którą dał mu Lindqvist. Wynikało z niej, że bojler powinien już pracować.

- Będę się pilnie rozglądał. To spory dom. Może coś się trafi. Cornelius westchnął.

- Moglibyśmy naprawdę dobrze wykorzystać ten obraz. Wszystko to, co jest związane z Foujity, okazuje się potężnym wabikiem.

Elliot wytarł chusteczką zabrudzoną sadzą rękę.

- Na jakiej podstawie tak mówisz?

- Słyszałem, że Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Tokio planuje kogoś przysłać. I ci z muzeum Hirano Masakichi także się rozpytywali. Mają tam duże kolekcje Foujity. David Van Bühren węszył, no i już ci wspominałem o Instytucie Sztuki z Chicago.

W listopadzie minionego roku, w Sotheby's w Nowym Jorku, autoportret Foujity z roku 1926 - akwarela, olej, listki złota i atrament na jedwabiu - został sprzedany prywatnemu kolekcjonerowi za półtora miliona dolarów. I wcale nie była to rekordowa cena. *Jeune filie dans le parc* sprzedała się za pięć i pół miliona dolarów podczas aukcji w Christie's w 1990 roku. Ale przedwojenne obrazy Foujity rzadko trafiały na rynek, a ich znakomita sprzedaż przyniosła wzrost zainteresowania innymi artystami z kręgu Foujity, a zwłaszcza jego jedyną uczennicą. Teraz dopiero stało się jasne, do jakiego stopnia.

- Myślisz, że wszyscy interesują się autoportretem?

- Mam nadzieję, że nie. Ale to byłby z pewnością klejnot koronny aukcji. Zwłaszcza że istnieją wątpliwości co do autorstwa.

Elliot nie miał podobnych wątpliwości. Jego zdaniem autoportret, który przecież znał, był dziełem ucznia, a nie mistrza. To prawda, ręce były rękami Foujity, długie, białe i szczupłe, ale oczy - kocie i uważne - mogły być tylko oczami Zoi.

Zatrzymał te opinie dla siebie.

- Więc znalazłeś cokolwiek w tych papierach? - pytał znów Cornelius.

Elliot włączył ponownie przycisk z napisem ON, z tym samym skutkiem. Zauważył stertę polan i gałęzi w odległym końcu pomieszczenia i przypomniał sobie, że w saloniku jest duży piec.

- Jeszcze nie, ale dopiero zacząłem. Jest tego cała masa do przebrnięcia, o wiele więcej, niż przypuszczałem. Uporządkowanie tego to już nie lada wyczyn.

- No cóż, nie ugrzęźnij w tym. Potrzeba nam tylko kilku spostrzeżeń... Trochę koloru.

- Tak, oczywiście.

- A tym kolorem jest złoto - zaśmiał się Cornelius. Tak czy owak chodziło o złoto.

- Właśnie na tym chcę się skupić - rzekł Elliot. - Dowiedzieć się, co skłoniło ją do malowania na szlachetnych metalach. Cały czas myślę, że była w tym jakaś fascynacja, uzależnienie.

Słyszając słowo „fascynacja”, Cornelius wziął głęboki oddech.

- Sądziłem, że to jasne, Marcus, czyż nie? Czytałeś wycinki, które ci wysłałem.

- Tak, oczywiście, ale...

- I esej Sawwy Leskowa?

- Tak, czytałem je. Nie jestem tylko pewien... Bo widzisz, zawsze miałem wrażenie, że...

- Że co?

Elliot zawahał się.

- No więc myślałem: czy Zoię faktycznie obchodziła polityka? Orędowniczka starej Rosji? Wiem, że tak o niej mówią, Leskow i inni, ale czy ona sama kiedykolwiek się za tym opowiedziała?

- A czemu miałyby to robić? Artysta tworzy, a krytycy interpretują. To kwestia podziału ról.

- Ale przypuśćmy, że krytycy się mylą? Przypuśćmy, że jej obrazy nie są wcale takie... polityczne, jak się zdaje?

Porywisty wiatr uderzał o ściany domu. Drewno skrzypiało. Ilekroć zamykał oczy, słyszał kroki na gołych deskach.

- Marcus, one są malowane na złocie, na Boga. Czy trzeba mówić wyraźniej?

- Wybór środka nie jest... A jeśli chodzi o coś innego? O coś...

- Marcus, nie mamy czasu na...

- Coś, czego nikt jeszcze nie widział? Czy nie warto...?

Na górze drzwi zamknęły się z trzaskiem. W telefonie trzeszczało. Elliot nagle zdał sobie sprawę, że wyraża się kompletnie nieprofesjonalnie.

Zapadła chwila ciszy.

- Więc... chcesz, żeby w katalogu Bukowskiego napisano, że Sawwa Leskow i wszyscy inni mylili się zupełnie co do Zoi. - Cornelius usiłował zamienić to w żart i wyszło mu gorzej niż zwykle. - Że tak naprawdę zupełnie się mylą we... wszystkim. I musimy zacząć wszystko od nowa.

Jego głos był spięty i pełen niedowierzania. Leskow, badacz i krytyk z trzydziestoletnim doświadczeniem, uhonorowany od Moskwy po Massachusetts, kontra Elliot, marszand, któremu noga się powinęła i został autorem katalogów. To nie był równy pojedynek.

- Zoia przez szesnaście lat była żoną komunisty. To w oczywisty sposób nie pasuje do jej wizerunku.

- Poślubiła Karla Kilboma, żeby uciec z Rosji. Nie miała wyboru. A małżeństwo okazało się klęską. Przy pierwszej okazji uciekła do Paryża. Do Foujity i jego kółka, Marcus, to wszystko jest w tych artykułach. Wszystkie... interpretacje, jakich potrzebujesz.

Zniecierpliwienie Corneliusa było zaskakujące i irytujące. Zupełnie jakby miał jakąś osobistą korzyść z tak ścisłego powiązania Zoi z carską Rosją. Ale może tak właśnie było, skoro tyle postkomunistycznych pieniędzy pukało do drzwi Bukowskiego. Tak czy owak Elliot nie był uprawniony do interpretacji twórczości Zoi, brakowało mu autorytetu. Jego zadaniem było zebranie i opracowanie nazwisk, dat i miejsc. Interpretacją zajął się już ktoś inny.

Cornelius był sprzymierzeńcem, którego Elliot nie mógł stracić, bo nie było go na to stać. A zresztą jakie to miało znaczenie, co ludzie teraz pomyślą? Żyjący artyści mają dziwny zwyczaj zaprzeczania temu, co się o nich mówi, często uparcie. Sprzeciwiają się kategoryzacji, ponieważ, z definicji, jest ona przeciwieństwem tego, co najbardziej cenią w swojej pracy: jej unikalności, jej indywidualności. Nie istniało jednak niebezpieczeństwo, że Zoia wyrazi swój sprzeciw. Mówiły za nią tylko dokumenty, a te znajdowały się w bezpiecznych rękach, z dala od wścibskich oczu.

Mimo wszystko, jeśli jest się pamiętanym jako ktoś, kim się nigdy nie było, to jednak specjalny rodzaj zapomnienia.

- Masz rację. Chodzi mi jedynie o to, że dobrze byłoby, gdyby artystka sama się do tego przyznała: do swojej miłości do Rosji i determinacji, żeby zachować dawne tradycje.

- Właśnie w tym celu cię tam wysłałem, Marcus. Cieszę się, że się rozumiemy.

- Jasne, oczywiście.

- Więc moja rada brzmi: zacznij od Foujity. Jest teraz bardzo kasowy.

- Foujita. Dobra.

- Słuchaj, jeśli poczujesz się tam samotny, wracaj na wieczór do Sztokholmu, pójdziemy na kolację czy coś, dobra?

Cornelius mówił teraz pojednawczym tonem, jakby wyczuł, że może zranić uczucia Elliota.

- Dzięki. Może tak zrobię. Szkoda, że Lindqvist nie pozwala mi nic stąd zabrać. Nie rozumiem tego.

Cornelius rozmawiał już z kimś innym.

- Ja też nie. Ale on jest klientem, Marcus. A klienci zawsze mają rację, prawda?

10

To były listy miłosne. Listy i fragmenty listów, pisane po rosyjsku, francusku, niemiecku, szwedzku i angielsku. Na pocztówkach, na papierze listowym ze znakiem wodnym, na kartkach wyrwanych z notesów i dzienników. Nabazgrane na odwrotnej stronie rachunków hotelowych i restauracyjnych jadłospisów albo wciśnięte małymi literkami między linijki teatralnych programów. Niektóre z nich były podpisane, z datą i adresem, inne ukrywały tożsamość autora czy nadawcy, jakby napisano je tylko dla samego pisania, nie licząc na to, że zostaną przeczytane. Niektóre dotyczyły obojętności i *froidneur*, były jak opatrunek na otwartej ranie, krwawiącej bólem i złością. Inne znów przepełniały pożądanie i nadzieja na nowy początek w bliżej nieokreślonym miejscu i czasie.

Były listy pisane na statkach i w przedziałach pociągów, w szpitalach i kryjówkach. Listy pisane biurokratyczną czcionką albo nabazgrane na papierze niepewną ręką. Listy z Nowego Jorku, Londynu i Moskwy, z Paryża i Berlina, z Kazachstanu, Tunisu i Algieru. Były ich setki, sekretne archiwum miłości.

Elliot wiązał z nimi wiele nadziei. W chwili gdy Cornelius o nich wspomniał, wydało mu się, jakby coś zaskoczyło. Pojął, że w tych pudełkach, w tych papierach, jeszcze nieprzeczytanych i nieprzetłumaczonych, znajdzie to, czego szuka. I to, co nieuchwytnie, stanie się rzeczywiste. Zoia zatrula jego życie, ale teraz w końcu zrozumie charakter i źródło tego zatrucia.

A ostatnim, oczyszczającym aktem będzie sprzedaż autoportretu.

Ale listy były starsze, niż się spodziewał. Większość, jak się zdawało, została napisana w okresie międzywojennym. Najbardziej interesowały go listy z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych dwudziestego wieku, w 1970 roku Zoia rozstała się z *Chińską księżniczką w Paryżu*, w owym roku ją sprzedała, nie pozostawiając żadnego dowodu transakcji. Ale z tego czasu nie było w ogóle żadnych dokumentów.

Po raz kolejny przejrzał zawartość pudeł, zdejmując jedno po drugim z półki na podłogę. Archiwum urywało się na garści drukowanych zaproszeń i wycinków z gazet z lat pięćdziesiątych. Jeśli istniały jakieś dokumenty z lat późniejszych, zostały usunięte.

Rozpalił w piecu drewnem ze schowka z bojlerem i jakimiś szmatami, które znalazł pod zlewem w kuchni. Z początku piec dawał tylko tyle ciepła, że ogrzał mu palce. Zdjął pokrowiec z szeslongu i przysunął mebel bliżej pieca. Robiło się ciemno. Patrzył na cienie płomieni tańczące na ścianie, gdzie wisiał niegdyś autoportret. Wyobraził go sobie w tym miejscu, siedzącą postać na tle połyskujących złotych płomieni.

Postać w piekle.

Wyjął zdjęcie z pudełka po cygarach. Zoia w sukni w groszki i okularach przeciwsłonecznych stoi przed kasynem, patrzy na nią mężczyzna z gładko zaczesanymi włosami i w libe-rii. Zoia lubiła kasyna. Podziwiała mężczyzn, którzy grali odważnie. Takie życie, bez przejmowania się konsekwencjami, przemawiało do arystokratki, która w niej tkwiła. Arystokraci powinni korzystać ze swoich fortun i nie martwić się przegraną.

Przyczepił zdjęcie do ściany. Zoia pozowała z niezmaconym spokojem, lekko unosząc głowę. Żadnego uśmiechu ani zmarszczki, jak posąg. Patrząc na nią, poczuł się onieśmielony jak chłopiec, który zakradł się nieproszony do świata dorosłych. Ile pieniędzy straciła przy stołach w kasynie? A może fotograf uwiecznił jakąś wygraną? Spojrzał jej w oczy, ale niczego się z nich nie dowiedział.

Kpiła sobie z niego. Wyśmiewała jego naiwny plan. Zoia urodziła się na dworze władcy-boga. Nie zostawiła kluczy do swojego życia na wierzchu, gdzie każdy mógłby je znaleźć. Bolszewicy uważali, że życie wewnętrzne obywateli należy do nich, jest własnością publiczną, którą trzeba zarządzać, badać i z którą trzeba się w razie potrzeby rozprawić. Dla nich prywatne myśli były podejrzane niczym prywatny kapitał: indywidualne, burżuazyjne, skłonne do sprze-ciwu i reakcji. Ale Zoia nie była bolszewikiem. Ona tylko poślubiła bolszewika.

Cornelius prosił go, aby skupił się na wpływie Fouijty, na dekadzie, którą Zoia spędziła z przerwami w Paryżu, dekadzie, w której narodziły się jej obrazy na złocie. To miało sens z każdego punktu widzenia, nie tylko komercyjnego. Ta dekada zakończyła się jedynym auto-portretem Zoi, zakładając, że to był autoportret, obrazem, którego nie można zrozumieć bez pewnej wiedzy, nie znając miejsca, gdzie on powstał. Tyle że nikomu nigdy nie pozwolono tak bardzo się zbliżyć.

Kłęcząc przed piecem, zaczął czytać; blade płomienie tańczyły za kartką papieru. Potem opuścił blat sekretery i tam czytał dalej. Potrzebny był mu jakiś system i przestrzeń do pracy. System, który odkryłby jakąś zasadę, która z kolei pozwoliłaby rozgryźć artystkę. Odkryłby coś, czego zdaniem Zoi świat nie potrafił zrozumieć. I byłby pierwszy.

Najpierw znalazł w pudełku zbiór listów napisanych po rosyjsku, pismem charakteryzującym się chłodną elegancją. To były listy od matki Zoi; głównie z Moskwy do Sztokholmu, a niektóre z Krymu do Moskwy. Część z nich została napisana na kilka miesięcy przed wyjazdem Zoi z Rosji. Można było odnieść wrażenie, że dotyczą przede wszystkim kwestii finansowych; co takiego matka sprzedała, żeby utrzymać się przy życiu, i jak wszystko w Rosji coraz bardziej drożeje.

Zszedł znowu do pomieszczenia z bojlerem po kolejne naręczce polan. Ułożył je porządnie w kącie pokoju i poszedł po następne. Żeby mieć miejsce do pracy, zdjął pokrowiec z małego stolika, rozłożył go i postawił obok sekretery. Ustawił w szeregu pudełka z listami, żeby mieć do nich łatwy dostęp. Podłączył swój laptop do oprawki nad głową i utworzył nowy plik w Excelu, którego nie używał od ostatnich dni swojej pracy.

Chodził po domu, robiąc możliwie jak najwięcej hałasu, trzaskał drzwiami, zbiegał i wbiegał po schodach. Żałował, że nie może włączyć jakiejś muzyki. Chciał wypełnić ten dom dźwiękami.

Wyjął pozostałe zdjęcia i rozłożył je na blacie.

Zoia, zniekształcona przez ruch i światło słoneczne, przy sztalugach, obok mężczyzny trzymającego kamerę. Kristoffer i Zoia przy pracy. Ona ubrana w kombinezon z podwiniętymi rękawami, coś wystaje jej z kieszeni, jakiś nóż, z niedużym, jasnym ostrzem przypominającym kiel. Jej dłonie pokryte były ciemnymi smugami farby, jedna ręka aż do łokcia. Gdyby była tam zwierzęca tusza, można by ją wziąć za rzeźnika, który właśnie wykonuje swoją pracę. Przyjaciele ją zaskoczyli, być może chcieli poznać sekrety, które przywiozła z Paryża i Florencji.

Już wtedy ludzie odnosili wrażenie, że Zoia coś ukrywa. Zoia, w każdym calu rosyjska arystokratka: chłodna, egocentryczna, wyniosła, trzymająca widzów na odległość, reprezentowała sobą wszystko to, czemu sprzeciwiały się ówczesne prądy w kulturze i polityce. W wieku lat dziewiętnastu była już anachronizmem.

Patrzył bacznie na jej twarz. W tym poruszeniu znajdował coś surrealistycznego, jak gdyby nie należała całkowicie do tamtego czasu ani miejsca. Jakby była przemieszczającym się duchem.

Większość pozostałych zdjęć przedstawiała mężczyzn: młodych mężczyzn, przystojnych mężczyzn, pozujących w pracowniach albo na dworze, na ulicy i w kawiarniach, na pokładzie statku. Wszyscy mieli nieskazitelną cerę i jasne skupione oczy. Niektóre ze zdjęć miały na odwrotnej stronie pieczętkę z nazwą studia, gdzie zostały wywołane. Na kilku dopisano atramentem daty. Tylko dwa były podpisane: Alain wyglądał na jakieś dwadzieścia jeden lat, był młodzieńcem o oliwkowej cerze i ciemnych lewentyńskich rysach. Jan był starszy i widocznie znępany. Stał na zewnątrz przydrożnej kafejki, z rękami w kieszeniach niezgrabnego garnituru, uśmiechając się słabo do obiektywu. Tylko na kilku zdjęciach Elliot znalazł kobiety.

Ustawił fotografie, opierając je o tylną ścianę sekretery. Zoia w środku, po bokach mężczyźni.

Zoia w wieku lat dziewiętnastu miała już drugiego męża. Jurij, student prawa, którego poślubiła w Moskwie, był pierwszy, ale ten związek przetrwał tylko dwa lata. Karl Kilbom, polityk komunista i agitator, był następny. Ale z listów jasno wynikało, że nie brakowało też kochanków.

Rosyjski poeta zwany Sandro przysyłał jej wiersze z Kaukazu. Angielski scenarzysta Jack Orton pisał z zazdrością z planów filmowych w Londynie i Sztokholmie. Artysta o imieniu Oscar - Oscar Björck być może, autor portretu Zoi wiszącego w Muzeum Narodowym - prosił ją, by przysłała mu swoje zdjęcie nago. Z kolei rosyjski emigrant Kola pracował w biznesie restauracyjnym. Pisał, że marzy, iż uciekną razem gdzieś, gdzie świat ich nie odnajdzie.

Byli też inni. Trudno było śledzić ich losy, jeszcze trudniej odróżnić jednego do drugiego. Zoia prowadziła korespondencję równocześnie z paroma mężczyznami. Czasami jedyną wskazówkę stanowiły inicjały, innym razem wyraźny podpis. Na domiar złego występowały rozmaite przydomki i pieszczotliwe zdrobnienia. Zoia przechowywała też swoje brudnopisy bez dat czy imion adresatów. Elliot zaczął robić listę, która potem zamieniła się w karty katalogowe z datami i szczegółami.

W Biarritz Zoia przeżyła romans z nieznanym z imienia i nazwiska mężczyzną z Ameryki Południowej, którego rodzice wysłali do Europy po skandalu z mężatką. Alain okazał się studentem sztuk pięknych, którego Zoia spotkała w Paryżu. Jan z kolei był niemieckim architektem o nazwisku Ruhtenberg, kolegą Miesa van der Rohe w Bauhausie. Był też rzeźbiarz Stig Bloomberg, który zakochał się w Zoi jakiś czas przed jej pierwszą wystawą. No i Andriej Burrow, sowiecki architekt, którego nawiedzone, nieumiarkowane w zazdrości listy przychodziły przez długi czas.

Elliot czytał i przeglądał. Porównywał charaktery pisma i daty. Zaczął wprowadzać listy do komputera. W pokoju wreszcie zrobiło się ciepło. Belki stropowe wydawały dziwne odgłosy, jakby się przeciągały i postukiwały. Dom wracał do życia.

Zazdrość i bezgraniczne oddanie. Nadzieja na ponowne spotkanie. Zdrada. Wyrzuty sumienia. Kochankowie Zoi byli mężczyznami, którym otworzono oczy i już nie postrzegali świata tak jak dawniej. Coś w nich obudziła, coś, czego ani czas, ani odległość nigdy całkiem nie wymazały. Podobno Karl Kilbom widział Zoję tylko raz przed jej aresztowaniem, pracowała wówczas jako tłumaczka podczas Kongresu Międzynarodówki Komunistycznej. Kiedy spotkali się po raz drugi, niemal rok później, byli już zaręczeni. Nawet Jurij, student mąż, którego rzuciła dla Karla, jeszcze przez wiele lat pisywał do niej listy z sanatorium w Niemczech i rządowych posad w centralnej Azji.

Zoia budziła pewien rodzaj fascynacji. Kiedy wkraczała w życie mężczyzny, przewracała je do góry nogami. Było coś takiego w jej duszy, jej złożoności, bez czego nie potrafili żyć. Jej miłość odmieniała. Malowała świat w żywych barwach. Poważne przysięgi przed Bogiem czy też prawo nie miały szansy z nią wygrać.

To był powód, żeby ukrywać te listy, powód, by je zniszczyć, nie stanowiły bowiem katalogu jej miłości, lecz zrad.

Co na to Cornelius i jego rosyjscy klienci: Zoia Korwin-Krukowskaja, strażniczka słowiańskiej kultury i seryjna zdrajczyni? Jak to się ma do niosącej pochodnię Świętej Rosji artystki?

Listy Andrieja Burowa leżały osobno, związane wstążką i włożone do brązowej papierowej koperty.

Tu model był inny. Pierwsze listy pochodziły z czasów, kiedy Zoia przebywała jeszcze w Rosji. Miesiące, a nawet lata mijały w milczeniu, po czym korespondencja nawiązywała się na nowo, z nie mniejszą pasją, jakby nawet nasiloną przez świadomość utraconego czasu. Kiedy Zoia poślubiła Karla, listy były sarkastyczne i pełne przechwałek. A z kolei gdy najprawdopodobniej nie była zaangażowana uczuciowo, emanowały prawdziwym entuzjazmem.

Ten pakiet wyróżniał się jeszcze i tym, że pośród listów Andrieja znajdowały się odpowiedzi Zoi, nie brudnopisy czy fragmenty, ale oryginały. Jakimś cudem trafiły z powrotem do jej rąk.

Andriej był nie tylko architektem. Jego talenty obejmowały także reżyserię filmową i teatralną. W początku lat dwudziestych został protegowanym Wsiewołoda Meyerholda, szefa

departamentu teatru w Ludowym Komisariacie Oświaty. Elliot słyszał o Meyerholdzie. Ten ideolog kultury lat porewolucyjnych głosił ewangelię symbolizmu i wiarę w transcendentną moc maszyn. Wspierał czerwonych, kiedy nacjonalizowali teatry w 1917 roku, i z ich pomocą rozpoczął własną rewolucję przeciw starej naturalistycznej konwencji rosyjskiego teatru, zapraszał widownię na scenę, by dosłownie zerwać z tradycyjnym proscenium. Meyerhold twierdził, że aktor nie powinien szukać prawdy o granej przez siebie postaci w swoim wnętrzu, jak uczył Stanisławski. Takie podejście jego zdaniem to sentymentalne banialuki. Aktorzy powinni całkowicie porzucić indywidualną ekspresję na rzecz standaryzowanego języka ruchu, jak choćby gimnastycy czy robotnicy pracujący przy taśmie fabrycznej. Meyerhold wsparł bolszewicki fetysz maszyn i produkcji przemysłowej.

Andriejowi odpowiadały idee Meyerholda. Opowiedział się za nową estetyką i związaną z nią ideologią. Zdawało się, że komisarze wysoko go cenili. Obsypywali go nagrodami i wysyłali z misjami do Europy i Stanów Zjednoczonych. Dzielili ich pogardę dla starych czasów oraz entuzjazm dla świata, w którym człowiek i maszyna stworzą wreszcie harmonijny związek. Minioną epokę charakteryzował egoizm, sentymentalizm i brak ambicji. Przyszłość miała być heroicznym wspólnym wysiłkiem, zmechanizowanym i racjonalnym. Zdolnym do pokonania wszelkiego ludzkiego zła czystą mocą swojej skuteczności.

Trudno dostrzec w tym wszystkim miejsce dla Zoi. Trudno postrzegać ją i Andrieja inaczej niż jako wrogów. Jeśli Cornelius miał rację, ich założenia, ich punkty odniesienia były diametralnie różne, kobieta z dworu i bolszewik, jedna ogarnięta pragnieniem zachowania mistycznej Rosji, drugi - zaprzysięgły wróg tejże, który pragnął ją zniszczyć. A jednak ich korespondencja, przerywana przez czas i odległość, była korespondencją kochanków.

13 lutego 1928

Najdroższy Andriej!

Dzisiaj wypada dzień mojej świętej, ale oczywiście nikt tutaj go nie obchodzi. Tak więc Twój list, który otrzymałam dzisiaj rana, był cudownym i niespodziewanym prezentem.

Pytasz, co powinniśmy zrobić ze straconym czasem. Nie wiem, jak odgadłeś, że to właśnie mnie dręczy, i to bardziej niż cokolwiek innego. Leżąc nocą w łóżku, widzę siebie jako dorosłą kobietę i patrzę na minione sześć lat pełna przerażenia i niesmaku. To nie jest jakieś przemijające uczucie, ale coś stałego i zimnego, co siedzi we mnie i nie opuszcza mnie ani na moment.

Andriusza, przynajmniej wiem, że Ty nie straciłeś czasu. Masz swoją pracę i swoje ambicje, a o mojej pracy lepiej milczeć. Zmarnotrawiłam tak wiele czasu. Całe moje życie, wszystkie podróże niczego nie zmieniły. Kiedy stoję przed sztalugami, opada mnie ten ponury nastrój i pragnę jedynie ukryć się gdzieś. Jeśli chodzi o miłość, to jedynie ona nigdy nie zostawia mnie w spokoju - a raczej brak miłości. Ponieważ szukam jej dniem i nocą, i wkładam w owo poszukiwanie wszystkie swoje siły. A potem, gdy ją znajduję, uciekam od niej albo niszczę ją, i tak to trwa bez końca.

Wiem, że powinnam zacząć na nowo, od początku. Wiem, że powinnam rozpocząć nowe życie. To, co straciłam, zamieniło mnie w żebraczkę, i to właśnie główny powód mojego zniechęcenia. Ale jak mogę zbudować nowe życie bez fundamentów? Andriusza, czy Ty rozumiesz ten cały smutek i gorycz tej spowiedzi? Jestem taka słaba na sercu i duszy. Nie mam sił walczyć z życiem od nowa, chociaż niczego mi teraz tak nie trzeba jak siły.

Może to nie ma sensu. Może po prostu nie da się odwrócić plecami do wszystkich straconych lat, i takie próby są skazane na niepowodzenie.

Andrieju, piszesz, że nie odpowiedziałam na Twoje listy, ale to nieprawda. Odpowiedziałam i powtarzam teraz, że kiedy czytam o Twoim sukcesie i szczęściu, czuję to: czuję Twoją młodość i siłę, i radość - to wszystko, czego sama tak bardzo potrzebuję.

Andriusza, pragnę wierzyć, że nigdy nic nas nie rozłączy, że nigdy nie stracimy tego, co dzielimy w głębi serca, i pewnego dnia stworzymy z tego coś pięknego. I wtedy wreszcie będziemy tym, kim powinniśmy być, a przeszłość pozostanie za nami.

Obudził się gwałtownie. Gdzieś dzwonił dzwonek, stary elektryczny dzwonek, taki jak jego rodzice mieli w domu. Dopiero po chwili zorientował się, że to dzwoni telefon.

Wstał i uświadomił sobie wyraźnie, co mu się śniło - kobieta krzycząca za zielonymi płycinowymi drzwiami. Serce zaczęło mu walić.

Piec zgasł, w palenisku został tylko przygasający żar. W pokoju znowu panował ziąb. Elliot włączył komputer, ekran monitora obudził się, był dość jasny, żeby oświetlić mu drogę do drzwi.

Niepewnym krokiem wyszedł na podest schodów, szukając kabla telefonicznego. Zgadzał, że to zapewne dzwoni doktor Lindqvist z zapytaniem, co Elliot robi tam tak późno, chociaż to dziwne, że nie zadzwonił na numer jego komórki.

Wreszcie znalazł włącznik. Żółte światło zalało schody. Pospieszył do holu na dół, zastanawiając się, gdzie jest telefon, ale kiedy się tam znalazł, nigdzie go nie spostrzegł.

Telefon nadal dzwonił, długie pojedyncze dzwonki oddzielone jeszcze dłuższymi chwilami ciszy. Sprawdził w kuchni, potem w jadalni. Zoia zainstalowała dzwonki na każdym piętrze. Zdawało się, że cały dom się trzęsie.

Telefon schowany był pod płótnem przykrywającym kredens, stary model z lat sześćdziesiątych z rzędem przezroczystych plastikowych przycisków.

- Słucham?

Po drugiej stronie panowała kompletna cisza. Nacisnął kilka przycisków.

- Doktor Lindqvist? Halo?

Ale było już za późno. Ten, kto dzwonił, rozłączył się. Elliot nacisnął widelki i usłyszał ciągły sygnał.

Spojrzał na zegarek, była dziewiąta. Już za późno, żeby dzwonić do Teresy.

Nabrał głęboko powietrza. Pewnie dzwonił jakiś sprzedawca okien z podwójnymi szybami albo firma telefoniczna chciała wiedzieć, dlaczego nie zapłacono rachunku. Kiedy zawrócił na schody, zdał sobie sprawę z ciszy, dźwięku swoich kroków na deskach podłogi, wiatru wiejącego po kątach. Czuł powiew na twarzy. Wiatr musiał gdzieś otworzyć drzwi albo okno.

Poszedł do pokoju i odłączył komputer z oprawki. Był zły i głodny, a doktor Lindqvist czekał na swój klucz.

Wkręcił znów żarówkę i zszedł z krzesła, i dopiero wtedy to zobaczył, dopiero wtedy zdał sobie sprawę, wstrząśnięty do głębi, z tego, co się stało.

Na biurku panował chaos. Dwa z pudełek zostały zrzucone na podłogę, ich zawartość się rozsypała. Cały porządek stracony. Listy, przeczytane i nieprzeczytane, leżały bezładnie na podłodze.

Stał tak przez chwilę, czując na karku zimne powietrze i słysząc syk żaru w piecu. - Kto tu jest?

Powiedziawszy to, usłyszał jedynie swój własny głos.

Jedno z okien balkonowych otworzyło się z hałasem. Papiery spadły mu pod nogi. Potem okno zamknęło się znowu z szarpnięciem i trzaskiem.

Elliot mało co nie roześmiał się w głos. Coś było nie tak z zamkiem, to wszystko. Przyjrzał mu się z bliska; no jasne, zamek się obluźował. Brakowało jednej ze śrub, która go trzymała.

Kilka kartek cienkiego niebieskiego papieru zaczepiło o ościeżnicę. Podniósł je i ujrzał litery napisane ołówkiem, poszarpane i ściśle, przerywane zawijasami przypominającymi bicz i pochylone. Rosyjskie. Prawie nieczytelne.

List od Jurija, studenta prawda, którego Zoia poślubiła w wieku lat szesnastu i z którym rozwiodła się dwa lata później. Jej młodzieńcza pomyłka.

Kwiecień 1924. Trzy lata po rozwodzie, pięć lat przed paryskim autoportretem. Wcześniej odłożył ten list bez czytania.

...Moja najdroższa Zoiu, napisałaś mi, jaki wpływ mają moje listy na Twoje życie. Wierz mi, od czasu, gdy otrzymałem Twój pierwszy list i mogłem na niego odpowiedzieć, również moje życie odmieniło się kompletnie. Każde zdanie przekazuje mi jakąś część Ciebie samej i jak dziecko czytam go raz za razem, przetrawiam, wczuwam się w każde słowo. A wiesz, że to nie w moim stylu przeżywać cokolwiek tak intensywnie. Piszesz, że powinienem być silniejszy i bardziej stanowczy. Masz rację. Nie jestem silny - z twojego powodu. Ty jesteś moją słabością.

O cokolwiek mężczyzna walczy w swoim życiu, jakikolwiek kierunek wybierze, na końcu zawsze stoi kobieta, żywa albo wyobrażona, z krwi i kości albo bożyszczce. Podczas tych dwóch ciężkich lat wyrzeczeń i długich pełnych mokoła godzin ja także miałem przed oczami obraz kobiety. Ale aż do tej pory bałem się przyznać sam przed sobą, kogo przedstawia ów obraz.

Teraz jestem zbyt praktycznym człowiekiem, żeby wierzyć, że przeznaczenie krok po krok doprowadzi mnie do przyszłości, jakiej pragnę. Twoje listy uszczęśliwiają mnie i chcę pokazać Ci, co czuję, co przechowywałem dla Ciebie przez cały ten czas. Ale nie jesteśmy już dziećmi, którymi byliśmy w Moskwie, wyobrażającymi sobie, że przyszłość jakoś weźmie nas w opiekę, ponieważ takie jest jej zadanie.

Moja kochana, czasami mówię sobie, jacyż jesteśmy szczęśliwi. Pomysł tylko o horrorach i niebezpieczeństwach, które zostawiliśmy za sobą, i jak często nasza własna egzystencja - a zwłaszcza moja - były zagrożone. I spójrz, wyszliśmy z tego wszystkiego żywi. Chociaż wciąż prześladowają mnie wspomnienia tego, co zrobiłem w Rosji. A najgorsza jest myśl, że Ty nadal robisz mi wyrzuty. Moja jedyna nadzieja tkwi w tym, że mimo wszystko odwzajemniasz choć odrobinę uczuć, jakie mam dla Ciebie. Napisz mi, że mnie rozumiesz i że możesz mi wybaczyć.

Wiatr gwałtownie zmienił kierunek na południowy, padał deszcz ze śniegiem. Elliot włączył wycieraczki, mrużąc oczy, żeby widzieć cokolwiek przez zabrudzoną szybę, kiedy wycieraczki przesuwały się w tę i z powrotem. Nieprzerwany szereg sosen ciągnął się wzdłuż pobocza drogi, na włóknistych pniach widniały namazane symbole i numery.

Stała za nim wiedza. Wiedział już coś, czego nie wiedział nikt inny. A był to ledwie strzęp, fragment całości. Przypominał podróżnika, który potknął się o starożytny grobowiec, wciąż zaplombowany, którego sekrety pozostały nietknięte.

Dotarł do domu doktora Lindqvista, wrzucił klucz do skrzynki na listy i ruszył do centrum miasta. Piaskarka toczyła się w stronę hotelu, kiedy tam dojeżdżał, pomarańczowe światło reflektorów zalało ulicę. Elliot zmienił bieg, żeby wyprzedzić piaskarkę.

Kierowca piaskarki nacisnął klakson.

Z przeciwnej strony nadjeżdżał samochód, przyćmione żółte światła były ledwie widoczne w padającym śniegu z deszczem.

Próbował zmniejszyć prędkość, ale był już za daleko z przodu. Ścisnął kierownicę, nacisnął hamulce i poczuł, jak koła ślizgają się po lodzie.

Samochód jadący z naprzeciwka gwałtownie się zatrzymał. Piaskarka zwolniła, nagle wszyscy ustąpili mu z drogi, czekali i patrzyli na niego: idiotę, który nie potrafi prowadzić.

Uniósł rękę w przeproszającym geście, ale jeśli kierowca drugiego samochodu w ogóle mu odpowiedział, nie mógł tego dojrzeć. W każdym razie to był biały volkswagen polo, jeden ze starszych modeli. Kiedy ruszył, ujrzał w lusterku sylwetkę kobiety.

Recepcjonista wyszedł z biura na tyłach recepcji, żując gumę. W holu unosił się kwaśny zapach byle jakiego jedzenia. Z głośników płynął przebój zespołu The Carpenters zaaranżowany na orkiestrę smyczkową.

- Miał pan miły dzień, panie Elliot? Cera recepcjonisty miała woskowy odcień.

- Tak, dziękuję. Czy o tej porze czynna jest jakaś restauracja w pobliżu?

Recepcjonista spojrział na zegarek ze zmarszczonym czołem. Od poprzedniego dnia nie zmienił koszuli, na kołnierzyku widniały ślady brudu.

- O tej porze w Grandzie już nie podają. W pokoju znajdzie pan jakieś przekąski w barku. Orzeszki i sok pomarańczowy, a do popicia wódka za osiem funtów.

- Dziękuję.

Elliot ruszył na schody.

- Och, panie Elliot, widział pan tę młodą kobietę, jak pan wchodził?

Elliot odwrócił się.

- Młodą kobietę?

Recepcjonista wskazał na drzwi. Na jego policzkach jak z tapioki zakwitł rumieniec.

- Była tutaj przed chwilą. Pytała o pana, podając pana nazwisko. Z całą pewnością zaszła jakaś pomyłka.

- O mnie? Nie sądzę... Mówiła, jak się nazywa?

Recepcjonista wzruszył przepaszająco ramionami, chociaż w jego głosie dało się wy-czuć sugestię, że pytanie było do pewnego stopnia nierozsądne.

- Nie przedstawiła się, powiedziałem jej, że pana nie ma, i wyszła.

- Nie zostawiła żadnej wiadomości?

Młody mężczyzna wolno pokręcił głową. Elliot pomyślał, że tamten doszedł może do wniosku, że ta kobieta była prostytutką i że z jakiegoś powodu nie doszło do umówionego spo-tkania.

Myśli Elliota popłynęły z kolei do Corneliusa. Czy to możliwe, żeby wysłał tutaj kogoś? Poza doktorem Lindqvistem był jedyną osobą, która znała miejsce pobytu Elliota. Czy to moż-liwe, że ta kobieta była jednak prostytutką?

Samochód, białe polo. Widział go już przed budynkiem Bukowskiego tego wieczoru, kiedy przyleciał do Szwecji. Za kierownicą siedziała kobieta. A kiedy wyszedł stamtąd i roz-glądał się za taksówką, ona ruszyła za nim. Miała na sobie parkę z kapturem, który zakrywał jej twarz.

- Jak wyglądała?

Recepcjonista uznał chyba, że to śmieszne pytanie.

- No, ja wiem, ładnie. Krótkie ciemne włosy. Jak ta - uśmiechnął się znowu. - Jak Jenni-fer Jason Leigh.

- Jennifer Jason...?

- Leigh. *Sublokatorka, Dolores Claiborne?*

Elliot zmarszczył czoło. Ten chłopak całymi dniami, kiedy nie było ruchu, oglądał thril-ery na wideo w biurze na tyłach recepcji.

- Chyba wiem, o kim pan mówi.

Recepcjonista uśmiechnął się, najwyraźniej był fanem tej aktorki.

- Ona gra wariatki. Takie pokręcone, wie pan? - Ujrzał minę Elliota. Jego uśmiech z wolna zgasł. - Wszystko jedno. Tak właśnie wyglądała, mniej więcej.

W pokoju podszedł do okna, nie zapalając światła. Spojrzał na ulicę, od końca do końca. Po volkswagenie nie było ani śladu. Przyszło mu na myśl, że to ma coś wspólnego z Nadią i jej kosztownym adwokatem: śledzenie drugiej strony, wszystko w ramach usług. Ale to był szalony pomysł. Nie był nawet pewien, że widział dwa razy ten sam samochód. Prawdopodobnie nie. Ta Jason Leigh to pewnie przyjaciółka Corneliusa, a może doktora Lindqvista. Patrzył jeszcze przez chwilę na przejeżdżające samochody, po czym zasunął zasłony.

Zapaliwszy światło, wyjął wódkę z minibarku. Wzmoczona świadomość wywołuje paranoję. Gdzieś to przeczytał. Czujność oznacza zwracanie bacznej uwagi na ewentualne niebezpieczeństwo. A pośród zagrożeń istnieje zawsze możliwość zdrady. Na przykład kiedy dowiedział się o zdradzie Nadii, zaczął podejrzewać oszustwo i konspirację we wszystkim, co robiła. A nawet jeszcze gorzej, interpretował ich wspólną przeszłość w świetle tejże zdrady; i tak w końcu nie był już w stanie postrzegać ich związku inaczej niż jako iluzję. Kanciarz i oszustka, jedno z tajemną wiedzą, drugie z głową pełną marzeń.

Problem w tym, że trudno było odrzucić te uczucia jako paranoję, nie mając dostępu do faktów. Na przykład: kiedy dokładnie Nadia postanowiła, że chce go opuścić i zabrać ze sobą Teresę. Na to pytanie wciąż nie znał odpowiedzi.

Usiadł na łóżku, szkło stuknęło o zęby, wciągał zapach alkoholu i jak tysiące razy wcześniej rozpamiętywał to wszystko, szukał prawdy, szukał momentu, kiedy Nadia i on zostali wrogami, kiedy miłość w niewyjaśniony sposób obróciła się w nienawiść.

Nadia nie miała nic wspólnego z jego aresztowaniem. Był tego prawie pewien. Pytanie tylko: kto powiedział „Evening Standard”?

Tamten tytuł zapamięta do końca swojego życia:

Urzędnik udaremnia plan przemytnika ikon. Na pięciu i pół kolumnach pod spodem było wszystko, co potrzebne, by go zniszczyć. Nieważne, że zarzuty zostały porzucone z powodu braku dowodów ani że błędna wycena prac sprowadzanych z zagranicy zdarzała się na co dzień w świecie handlarzy sztuki. Wystarczyła sugestia, że był związany z rosyjską mafią, że celowo błędnie opisał cenne dzieła sztuki, aby uniknąć restrykcji dotyczących ich wywozu. Kiedy po pewnym czasie zdołał wrócić do biznesu, jego stali klienci zniknęli. Nawet przedmioty pewnego pochodzenia nie sprzedawały się. Po kilku miesiącach został zmuszony sprzedać wszystko na aukcji za dużo niższą cenę niż ta, którą sam zapłacił.

Tyle że tamten człowiek z urzędu skarbowego nie rozmawiał z prasą podczas śledztwa. Poza tym nie był dość grubą rybą, żeby ktoś zaproponował mu rekompensatę za przeciek.

Ale Nadia mogła coś wypaplać. W traumie aresztu dzwonił do niej i powiedział jej wszystko. Zakładał, że ten bezduszny kryzys w jakiś sposób wyparł ich prywatne kłopoty, że zewrą szeregi w obliczu zewnętrznego zagrożenia - jakby lekarz właśnie oznajmił mu, że ma nieuleczalnego raka czy coś w tym rodzaju. Jakaś część jego wierzyła nawet, że przeciwności losu znowu ich połączą. Nadia dała wyraz zdumieniu i niedowierzaniu, a nawet rozpacz. Zadzwoiła do prawnika, jak prosił. I może skontaktowała się także z gazetą, w samą porę, żeby zdążyli opublikować to w porannym wydaniu.

Książki, które pożyczył z działu poradników w bibliotece więziennej, twierdziły, że należy dawać wyraz irracjonalnym lękom i konfrontować się z nimi, gdy tylko to możliwe. Życie w permanentnym zwątpieniu jest niezdrowe. Nie sprzyja pewności siebie, wyjaśniały, ponieważ pewność siebie jest nierozzerwalnie związana z wiarą w innych. Było oczywiste, że autorzy tych poradników postrzegali otwartość jako niemal uniwersalne panaceum, sekrety zaś jako czynnik patogenetyczny chorób - psychologiczne komórki nowotworowe, które rozprzestrzeniają się i skupiają w wyniszczające wszystko guzy. A kiedy otwartość nie wystarczy, zawsze są jeszcze inhibitory serotoniny i starszej klasy antydepresanty. Książki zachęcały go do otwartości także w tej kwestii.

Wypił do końca wódkę i sięgnął po telefon. Cornelius długo nie odpowiadał, a kiedy podniósł słuchawkę, w tle słyhać było jakieś głosy.

- Marcus. Jak się masz? Jak ci idzie?

Wylewność gospodarza, który przyjmuje przyjaciół na kolacji.

- Dobrze, dzięki. Posłuchaj, Cornelius, zastanawiałem się właśnie, czy ty...

- Chwileczkę.

Słyszał, jak Cornelius zasłania ręką mikrofon, jego głos dochodził teraz stłumiony.

- Przepraszam, co mówiłeś?

- Była tu jakaś kobieta, Cornelius. W hotelu. Pytała o mnie. To zabrzmiało głupio, ale zastanawiałem się, czy ty... No więc czy ona ma jakiś związek z tobą?

- Kobieta?

- Dziś wieczorem.

Było oczywiste, że Cornelius nie ma pojęcia, o czym on mówi.

- Przepraszam - rzekł Elliot. - Nieważne. To jakaś pomyłka, jak sędzę. Zapomnij o tym.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

- Marcus? Wszystko w porządku?

- Tak, jasne. Cały dzień spędziłem w tym pustym domu, to wszystko. Pewnie jestem trochę rozkojarzony.

Zza okna dobiegł go hałas silnika, odsunął zasłonę. Ulicą przejeżdżał samochód dostawczy.

- Ja, no cóż... Znalazłeś coś interesującego?

- Tak. Pewne rzeczy... są takie sprawy, które bardzo chciałbym prześledzić.

Było bardzo ważne, żeby brzmiał pozytywnie.

- Na temat Zoi? Jakie rzeczy?

Strażniczka słowiańskiej kultury i seryjna zdrajczyni. Elliot zawahał się.

- Powiem ci wszystko, jak się zobaczymy. A co u ciebie?

- Wszystko dobrze. Oczywiście rynki to spore zmartwienie.

- Rynki?

- Włącz telewizor, jeśli to zniesiesz.

Elliot sięgnął po pilota i wycelował w ekran.

- Poza tym bardzo obiecująco. Mieliśmy kolejne pytania z Rosji. Najwyraźniej mówiono o naszej retrospektywie w telewizji w jakimś tamtejszym programie o sztuce.

- Mówimy o prywatnych kolekcjonerach?

- Albo ich agentach. Twoim starym przyjacielem Lwie Demiczewie, na przykład.

Elliot zniżył pilota.

- Demiczew? - Miał nadzieję, że już nigdy nie usłyszy tego nazwiska. - On nie jest moim przyjacielem, Cornelius, i nigdy nim nie był.

Usłyszał westchnienie Corneliusa.

- Tak, tak, Marcus, nieważne. To tylko biznes, okay?

- A czego chciał?

- Tylko badał teren, jak sędzę. Ma tam u siebie potencjalnych klientów.

Większość interesów Demiczewa, o ile orientował się Elliot, szła w drugą stronę, wysyłał dzieła sztuki rosyjskiej i artefakty na Zachód, gdzie pojawiały się w domach aukcyjnych albo były sprzedawane bezpośrednio kolekcjonerom. Demiczew musiał pokonać mnóstwo trudności, restrykcji, problemy z bezpieczeństwem i przeszkody biurokratyczne. Dlatego właśnie wyciągał z tego szokujące prowizje, żeby to wszystko w ogóle doszło do skutku.

- Nie wspomniał żadnych nazwisk, jak przypuszczam - powiedział Elliot.

- Och, znasz Lwa, jeśli chodzi o klientów, zawsze mówi ogólnikami. Pytał o ciebie, prawdę mówiąc.

- O mnie? Skąd wiedział, że jestem...?

- Chyba coś mu wspomniałem. Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi za złe. Twoje nazwisko będzie w katalogu, Marcus, więc nie sądzę, że uda ci się utrzymać to w tajemnicy.

Cornelius mówił takim tonem, jakby poczuł się dotknięty.

- Nie, masz rację, oczywiście. Nic się nie stało.

- Był zachwycony, słysząc, że znów stanąłeś na nogi. Tak właśnie powiedział. Powiedział, że powinniśmy kiedyś spotkać się wszyscy razem. Co o tym myślisz?

Elliot pomyślał o tym. Przez kilka sekund na linii panowała martwa cisza.

Po zakończeniu rozmowy Elliot włączył telewizor. W CNN powiedziano, że nastąpił trzypunktowy spadek Nasdaq. W ciągu kilku godzin internetowy boom zamienił się w gwałtowny wzrost cen, i bańka ostatecznie pękła. Materiał pokazywał mężczyzn w koszulach w paski z twarzami schowanymi w dłoniach albo wpatrzonych w ekrany swoich komputerów z osłupieniem i niedowierzaniem. Łysy sześćdziesięcioparolatek z uszami elfa zauważył, że historycznie patrząc, akcje na tablicy były wycenione zbyt wysoko. Eksperci ustawili się w kolejce, by oznajmić, że spodziewali się takiej reakcji.

Elliot patrzył na ekran niewidzącym wzrokiem. Głowę miał ciężką, ale był zbyt wzburzony, żeby zasnąć. Nie był w stanie pozbyć się wrażenia, że jest nieprzygotowany, że wydarzenia toczą się niezależnie od niego. Za całą tą tajemnicą kryło się coś więcej niż arystokratyczna wrażliwość, ale jemu brakowało wizji i wiedzy, by to dojrzeć.

W Bukowskim chcieli, żeby Elliot skoncentrował się na Foujicie i latach paryskich, które wyznaczyły nowy kierunek w twórczości Zoi. Ale pośród jej dokumentów nie znalazł listów od Foujity. Jego nazwisko nigdzie się nie pojawiało.

Zoia żyła długo. Nie zawsze była sławna, ale zawsze pracowała. Nie wierzył, że jest pierwszą osobą, która się tym zainteresowała, pierwszym, który miał przecucie, że obrazy na złocie mają jakieś ukryte znaczenie. Ktoś musiał dotrzeć do niej blisko. Ktoś musiał coś napisać.

Dzienniki, magazyny. To był kolejny krok. Biblioteka Narodowa posiadała pełne archiwum prasy. Od tego powinien zacząć. Krytycy w rodzaju Leskova wydawali opinie, interpre-

towali i porównywali. Za to reporterzy dokopywali się rozmaitych faktów, przeprowadzali wywiady, zadawali pytania.

Wyłączył telewizor i zasłuchał się w ciszę. Zastanawiał się, czy jest jedynym gościem w hotelu. Otworzył portfel i wyjął zdjęcia, które trzymał za swoim prawem jazdy; zdjęcie Teresy zrobione ponad rok temu, kiedy jej buzia była okrągłejsza niż teraz, i zdjęcie swojej matki, zniszczoną fotografię paszportową, którą znalazł pośród rzeczy ojca.

Usiłował dodzwonić się do domu, w którym przebywała Teresa. Chciał jej powiedzieć, że wkrótce ją stamtąd zabierze. A wtedy wszystko wróci do normalności - prawie wszystko. Był ciekaw, czy córka za nim tęskni.

Linia była zajęta.

Jeszcze jedną fotografię nosił w kieszeni marynarki. Zabrał ją z domu Zoi: Zoia w swojej pracowni, zaskoczona przez przyjaciół z aparatem fotograficznym. Zdawało mu się, że się uśmiecha, ale obraz był zamazany, a przez to niepokojący. *Jej duch w podróży* - jak te wiktoriańskie fotografie rzekomo pokazujące dusze niedawno zmarłych opuszczające ich ciała. Identyczne uczucie towarzyszyło mu, kiedy prześwietlał portrety promieniami rentgena, szukając pod spodem jakiegoś rysunku albo charakterystycznych błędów, później przemalowanych - nazywano je *pentimenti*, co znaczy dosłownie: rzeczy, których zrobienia się żałuje. Czasami znajduje się pod spodem zupełnie inny obraz: pod jedną twarzą inną twarz, dwie osoby przedstawione w tej samej przestrzeni. Wywołuje to dziwne i makabryczne uczucie przemieszczenia.

Oparł zdjęcie o aparat telefoniczny, a potem się rozebrał.

Pentimenti.

Wszedł pod kołdrę i zamknięty oczy, zobaczył niezgrabne pismo Jurija na czerwonej jak krew stronie.

... wciąż prześladowają mnie wspomnienia tego, co zrobiłem w Rosji.

Co takiego zrobił? Co dokładnie Zoia musiała mu wybaczyć?

Zamrugał powiekami, ale zmęczenie spadło na niego jak ciężar, który pociągnął go za sobą w dół.

Nie chciał myśleć o Juriju. Jurij nie miał nic wspólnego z Paryżem ani ze sztuką. Nie miał nic wspólnego z malowidłami na złocie.

Wilczy kiel

12

Moskwa, marzec 1919

Od czasu do czasu jej matkę zatrudniano do prac biurowych w banku. Daleki krewny miał kontakty w Komisariacie Finansów. Płacono jej kartkami żywnościowymi, chociaż i tak było ich za mało, żeby się utrzymać. By uzupełnić braki, sprzedawały na ulicy swoje ubrania i biżuterię. Bywało, że dołączały do grup robotników, przekopujących plac Czerwony za miskę wodnistej zupy i kromkę chleba tak zeschniętego, że można było sobie na nim złamać ząb. Ale każdego dnia po przebudzeniu najważniejsze było dla nich, żeby przetrwać. Z wolna rozstawały się z wszelkimi nadziejami. Matka Zoi nie wspominała już o carze - nawet szeptem - o tym, że pewnego dnia przywróci porządek na świecie. Car został rozstrzelany razem z całą swoją rodziną, co państwowe gazety ogłosiły z radosnym triumfem.

Wycieczki Zoi do galerii były jak wyprawy po świeże powietrze.

Polowanie było pomysłem księcia Orłowa. To miała być tajemnica, ale Zoia nie mogła się powstrzymać i kiedy Andriej zapytał, co ją tak poruszyło, opowiedziała mu o wszystkim: o domku letniskowym na Wróblowych Wzgórzach, zapasach jedzenia, które ukryto razem ze strzelbami i amunicją, a nawet o koniu i powozie, załatwionym dzięki przyjacielowi w biurze burmistrza.

W dalszym ciągu o tym opowiadała, kiedy Andriej położył jej dłoń na ramieniu.

- Zoia, nie powinnaś jechać. Trzymaj się z daleka od tych ludzi. Już ci to mówiłem.

Stali przed bramą pałacu Morozowa. Andriej dowiedział się, że są tam jakieś nowe obrazy, ale okazało się, że galeria była zamknięta.

- O czym ty mówisz? To moi przyjaciele. Oczywiście, że... Andriej ścisnął mocniej jej ramię.

- Ciszej, dobrze?

W drzwiach stróżówki pojawił się strażnik, zapinając płaszcz. Zlustrował ich bacznie, kiedy odchodzili. Andriej tak przyspieszył kroku, że Zoia o mały włos nie pośliznęła się na lodzie.

- Puść mnie.

Wyrwała rękę i z wawo pomaszzerowała przed siebie, nie odwracając się, chciała go ukarać za to, że potraktował ją jak dziecko. Ale on znowu ruszył szybciej i dogonił ją zadyszany. Ostatnio dorobił się małego wąsa i wysokiej futrzanej czapki, którą nosił mocno przesuniętą na tył głowy. Zapewne miało to wyglądać zawadiacko, ale przez to uszy sterczały mu bardziej niż zwykle i czerwieniały w lodowatym powietrzu.

- Ja nie żartuję, Zoia. Nie powinnaś zadawać się z tymi ludźmi. To... niegodne ciebie.

Spojrzała na jego długą szczupłą twarz; usiłowała zrozumieć, skąd w nim tyle wrogości.

- Nawet ich nie znasz.

- Znam wystarczająco dobrze. Znam takich jak oni: lekkomyślnych, nieodpowiedzialnych... pasożytów.

Zoia odwróciła się i przeszła na drugą stronę ulicy szybkim krokiem, lód załamywał się pod jej stopami i zapadała się w błotniste kałuże. Książę Orłow, młoda księżniczka Maria i jej kółko - prawdę mówiąc, podziwiała ich lekkomyślność, podziwiała ich ducha, ich śmiałość niezbędną, aby być lekkomyślnym w takich czasach. Pochodzili z dobrych rodzin i nie zamierzali za żadną cenę ukrywać tego faktu. Ich celem była dobra zabawa, chcieli przejść beztrąsko przez te ponure dni, w możliwie najlepszym stylu, z podniesioną głową. Nie organizowano już bali, na które mogliby chodzić, nie było klubów ani turniejów tenisa, nie spędzano weekendów na daczach. Ale dzięki temu wszystko stało się wyzwaniem, a każda próba odtworzenia dawnego życia, choćby najmniejsza, była zwycięstwem. Zoia poznała ich niedawno, ale przyjęli ją jak swoją. Stanowili miłą odmianę w stosunku do towarzystwa zręczliwych malarzy i poetów, których przedstawił jej Andriej Burow, ludzi, dla których sztuka łączyła się z polityką, którzy więcej gadali, niż robili.

To dlatego nie odwiedzała Andrieja przez ponad miesiąc. Zmęczyło ją wysłuchiwanie jego poglądów na sztukę, sposobu, w jaki zawłaszczał każde dzieło, każdego artystę dla swoich dyskursów na temat symbolizmu, futuryzmu i imaginizmu. Zaczęła sama odwiedzać galerie, żeby obcować sam na sam z dziełami sztuki. Kiedy była sama, odkryła, że może nie tylko na nie patrzeć. Że może w nie wejść i znaleźć się na miejscu artysty. Widziała świat innymi oczami, dostrzegała piękno i tragedię z intensywnością, która przyprawiała ją o łzy.

Jej nowi przyjaciele nie byli artystami, lecz podobnie jak sztuka sprawiali, że znowu odżyła.

- Nie wiesz, o czym mówisz.

- Wiem o wiele więcej, niż ci się zdaje, Zoia. Partia jest atakowana, a przywódcy bardzo... - W pośpiechu, żeby dotrzymać jej kroku, stracił równowagę i musiał złapać się ulicznej latarni. - Bardzo jasno przedstawili swoją pozycję: albo jesteś za rewolucją albo... - zniżył głos do szeptu - przeciw.

Sądząc ze sposobu, w jaki wypowiedział to „przeciw”, można by pomyśleć, że to największy grzech na tym świecie jak zjedzenie własnego dziecka. Ale to było dla niego typowe. Ilekroć rozmawiali o rewolucji, zdawało się, że traci zdolność do obiektywnej krytyki - normalnie ostrej jak brzytwa. Zamieniał się w bełkoczącego fanatyka niezdolnego do niezależnego sądu. Zawsze wtedy kusilo ją, żeby z niego zażartować.

- Przyznaj się, jesteś zazdrosny z powodu...

- Z powodu czego?

Nie chciała tego powiedzieć głośno: z powodu tego wszystkiego, co posiadali przyjaciele księcia Orłowa, a czego nie posiadał Andriej. Chciała iść dalej, ale chwycił ją znowu za rękę.

- Kiedy zaczniesz mnie słuchać?

Przestraszyła się. Dojrzała coś odrażającego w tym chudym inteligentnym mężczyźnie, który uciekał się do przemocy fizycznej. Do tej chwili zawsze dodawał jej pewności siebie, był jej ostoją. Wierzył, że Rosja prowadzi świat ku nowej jasnej erze, i czasami jego wizja podniecała ją, a nawet inspirowała. Ale teraz próbował ją nastraszyć, ponieważ był zazdrosny o ludzi, którzy odznaczyli się lepszym stylem i większym polotem niż on.

Zaczęła uwalniać się z jego uścisku.

- Nie zachowuj się jak brutal, Andriuszka - powiedziała spokojnie, gdyż wiedziała, jak go to złości. - To ci naprawdę nie przystoi. Ani trochę.

Polowanie zaplanowano kilka tygodni wcześniej, miało to być wyjątkowe wydarzenie. Nic nie pozostawiono przypadkowi i nie szczędzono wydatków. Księżę Orłow wymienił brylantowy naszyjnik na pół skrzynki czerwonego bordeaux z piwnic Kremla. Tatiana Argunowa, ładna blondynka z różowymi policzkami, wymieniła naszyjnik z pereł na kilogram suszonych owoców i trochę brandy. Każdy coś dorzucił, choć dyskretnie, żeby niepotrzebnie nie zwracać nikomu uwagi. Wówczas można jeszcze było zdobyć jedzenie. Najgorsze z ograniczeń miały dopiero nadejść. O świcie w mglistą sobotę wsiedli wszyscy do powozu i ruszyli w stronę północnych wzgórz. Księżna Maria znalazła tam stary domek myśliwski, głęboko w lesie, który nie został jeszcze splądrowany. Mieli być tam sami, wolni od ciekawskich oczu. Mieli polować na zające i dziki i świętować przez całą noc, niczym się nie przejmując.

Na Wróblowych Wzgórzach leżał jeszcze śnieg. Na śniadanie zjedli herbatniki i popili je brandy, po czym ruszyli w las. Trzej mężczyźni szli na przedzie ze strzelbami, przecierając szlak. Wszyscy pozostali rozeszli się między drzewami, żeby nagonąć zwierzynę pod lufy. Ktoś powiedział, że w okolicy są wilki, że głód przegnał je w pobliże miasta. Inni powiadali, że to tylko psy, porzucone i zdziczałe. Dodawało to smaku całemu przedsięwzięciu, było to inne zagrożenie niż to, które zostawili za sobą.

Zoia nie przyjrzała się Jurijowi, dopóki nie zdjął z głowy wysokiej futrzanej czapki i nie uśmiechnął się do niej. Znała już jego nazwisko. Pochodził z dobrej rodziny i rzekomo był najlepszym tenisistą w Moskwie. Podobno studiował prawo, zapewne mając na widoku pójście w ślady ojca akademika. Dama, która paliła papierosa, przyjaciółka księżniczki Marii, określiła go jako „niedoścignętego”, jakby mówiła o dziele sztuki.

Tego ranka Zoia przekonała się, co to znaczy. Jurij patrzył na nią swoimi szarymi oczami, a ona w jednej chwili znieruchomiała. Miał jasne włosy i bladą szlachetną twarz, jak postać na obrazie. Ale jego uśmiech był skromny, błagał ją, by przymknęła oczy na jego oczywiste, acz mało widoczne wady.

- Muszę coś wyznać - oznajmił, kiedy do niej podszedł. - Proszę tego nie powtarzać innym, ale tak naprawdę nie lubię polowań.

Przyznał, że obserwował ją całą drogę z Moskwy. Wyraził nadzieję, że jej tym nie uraził. Miała wrażenie, że po jego słowach zrobiło jej się gorąco jak w upał.

Tak to się właśnie zaczęło, w tamtej chwili się zakochała. Patrząc wstecz, to nie było mądre z jej strony. Przyjaciółka księżnej miała rację. Jurij był jak dzieło sztuki: czarujący, piękny, lecz kruchy. A to nie były czasy dla wrażliwych. To był czas, kiedy liczyła się tylko siła, siła i przebiegłość, i talent do życia w cieniu. Ale tam na Wróblowych Wzgórzach to wszystko wydawało się nieistotne.

Jakoś tak przypadkiem zgubili się w lesie. Rozmowa tak ich pochłonęła, że nie zwracali uwagi na innych. Znaleźli się w końcu na skraju, patrzyli w dół zaśnieżonego wzniesienia, ich oddechy przypominały kłębiące się chmury. I wtedy Zoia pomyślała, że jest szczęśliwa, poczuła to fizycznie, jakby nagle ustał jakiś ból.

Była szczęśliwa dzięki Jurijowi. Nawet później tylko w ten sposób potrafiła wytłumaczyć swoje zauroczenie. Istniały lepsze powody, żeby kochać Andrieja albo poetę Sandro Kusikowa. Kusikow był romantyczny i dzielny, Andriej inteligentny i pełen energii. Ale kiedy przebywała w towarzystwie Jurija, czuła się spełniona. Czuła, że wszystko znowu jest możliwe.

- Czemu pani się uśmiecha? - spytał. Kiedy nie chciała mu odpowiedzieć, zebrał śnieg rękami w rękawiczkach i gonił ją w dół wzgórza.

Zoia biegła, chociaż tak się śmiała, że z trudem łapała oddech. Jurij celował niemal bez pudła. Kule śniegowe mijały ją o centymetry, przelatowały obok jej głowy, aż musiała się pochylić i gwałtownie skręcić. Kilka trafiło ją w plecy. Kiedy odległość jej na to pozwalała, w pośpiechu nabierała śnieg i rzucała w stronę Jurija, lecz chyba żadna z jej śnieżnych kul go nie dosięgła.

Z piskiem wpadła do lasu. Pozostali uczestnicy wyprawy stali tam na ścieżce i dzielili się resztką brandy. Książę Orłow ustrzelił zająca, jego przyjaciel Siergiej Rajewski drugiego. Zoia wyprostowała się, otrzepała śnieg z płaszcza, starała się zapanować nad sobą choć trochę.

- Wszystko w porządku, Zoiczka? - spytał z uśmiechem Orłow. - Myśleliśmy, że zostałeś porwana.

- Tak właśnie było - odparła, idąc ostrożnie po poszyciu. - Ale zdołałam uciec. I na szczęście żyję.

W owej chwili jedna ze śnieżnych kul Jurija trafiła Orłowa prosto w czoło. Wywiązała się bitwa, która trwała pół godziny. Orłow dowodził jednym batalionem, Jurij drugim. Kiedy Orłow poddał się w końcu, poszli wszyscy razem do starego domku myśliwskiego i spędzili resztę czasu, śpiewając, rozmawiając i żartując z determinacją, która słabła tylko od czasu do czasu. Prawdę mówiąc, siedząc w towarzystwie przyjaciół Jurija, trzymając jego rękę pod podróznym pledem, Zoia była w stanie uwierzyć, że to jest jej przyszłość, przyszłość zabezpieczona więzami miłości, i że ten świat na zewnątrz - strach, podejrzenia, głód - wkrótce zniknie, rozwieje się jak zły sen.

Kiedy sięgnęli po wino, wzniesli toast za „wieczną przyjaźń”. I to właśnie Jurij go zaproponował.

Jej matka była przeciwna temu małżeństwu. Zoia miała ledwie szesnaście lat, co wystarczyło, żeby wziąć ślub na dworze, jeśli partia była bardzo korzystna, ale to było stanowczo za mało w tamtych okolicznościach.

- Jakie on ma perspektywy? Jakie ma koneksje?

Na klęczkach szorowały schody w komunalce. Wszyscy mieszkańcy budynku robili to po kolei, ale przewodnicząca komitetu domowego była ostentacyjnie krytyczna wobec ich dotychczasowych wysiłków, więc teraz szorowały także za nią.

- Jego ojciec wykłada prawo, mamó.

- Prawo? Coś takiego już nie istnieje. I jaki z tego pożytek?

Błotnista woda kapiała w dół schodów. Ręce jej matki były szorstkie i pokryte strupami, paznokcie przypominały wysuszony bambus. Przez ostatnie miesiące jej całe ciało tak wyschło, że została tylko skóra i kości, jakby wyniszczyła ją choroba. Promienna, przystrojona w klejnoty pani domu, którą Zoia pamiętała z dzieciństwa, wydawała się teraz postacią ze snu.

- Musimy znaleźć ci jakiegoś mężczyznę należącego do partii - powiedziała. - Kogoś wysoko postawionego. To są teraz kręgi, w które powinnaś wejść. A nie obracać się pośród przeklętych poetów i graczy w tenisa. Chcesz, żebyśmy umarły z głodu?

Partia brała wszystko. A teraz oczekiwano od Zoi, że poślubi partię i prawdopodobnie wychowa dobrego małego bolszewika, który będzie gardził wszystkim tym, co kiedyś było im drogie, tym, za co zginął jej ojciec i dziad. Zoia była zaszokowana, że matce nie zostało nawet dość sił, by nienawidzić.

Teraz oparła się na szczotce, nie pracowała. Zoia zauważyła to już wcześniej, matka przerywała pracę w samym środku, jakby popadała w nagłą zadumę. Potem wracała do przytomności, rzeczywistość z wolna brała ją znów w posiadanie. Zoia dostrzegła ból w jej oczach i wiedziała, że matka marzyła o przeszłości.

Matka znowu podniosła wzrok, pociągnęła nosem i odsunęła kosmyk siwych włosów z czoła.

- Partia - powiedziała. - Musisz wyjść za kogoś należącego do partii.

Nie potrzebowali pozwolenia, już nie. Musieli jedynie złożyć podpis w księdze i małżeństwo nabierało oficjalnej mocy. Tak czy owak, Zoia pragnęła wziąć ślub także przed Bogiem, ślub, który byłby niepodważalny, niezależnie od tego, kto siedział akurat u steru rządów. A to oznaczało, że trzeba było znaleźć popa i cerkiew.

Nie miała odwagi przyznać się matce zawczasu. Udział w ceremoniach religijnych uważano za przestępstwo. Większość cerkwi była zabita deskami. Duchowni, których ominęło aresztowanie, zgolili brody i rozplnęli się w bezimiennym tłumie. Inni zostali agentami, jednego dnia odprawiając w tajemnicy nabożeństwa, a następnego donosząc na swoich wiernych.

Nawet przyjaciele Jurija powiedzieli, że to zbyt ryzykowne.

- Ale inaczej to nie będzie ważne. To musi być ważne. Tylko o to jedno cię proszę, Jurij.

Mówiąc tak, sprawiała mu ból. Chciał dać jej wszystko, zadośćuczynić wszystkie straty. Ale prawda była taka, że gdyby nie rewolucja, Zoia byłaby poza jego zasięgiem. W jego żyłach płynęło trochę błękitnej krwi, ale Zoia była jedynym dzieckiem Korwin-Krukowskiej, przysłą

damą dworu carycy. Poznałyby swojego przyszłego męża na dworze, mężczyznę z tytułami i majątkiem, a nie posadą w szkole prawniczej. Aspirując do takiego związku, stałby się przedmiotem drwin, a nawet wywołał skandal.

Tylko o to jedno cię proszę, Jurij.

Nie mógł jej odmówić. Nie chciał, żeby myślała, że ich małżeństwo jest nieważne.

Planowanie tego zajęło im trochę czasu. Samo podpytywanie tu i ówdzie było niebezpieczne. Wszędzie byli donosiciele. Wystarczyło wspomnieć o religii i ludzie zamykali się w sobie, jakby sama idea była tak odległa i egzotyczna, że nigdy nie pojawiła się w ich świadomości. Po ślubie cywilnym Zoia zamieszkała z rodziną Jurija. Gdyby nadal mieszkali osobno, wzbudziliby podejrzenia. Matka Jurija dała mu złotą broszkę, którą przerobił na obrączki ślubne. Ale obrączki musiały zostać pobłogosławione, żeby były ważne.

Uroczystość cerkiewna została zorganizowana niespodziewanie. Mieli dwa dni na przygotowanie się do niej. Nie wiedzieli nawet, gdzie się odbędzie, aż do samego wieczoru ceremonii ślubnej.

Opuścili dom pod osłoną ciemności, nadrobili drogi, po czym zawrócili, żeby zmylić ślady na wypadek, gdyby ktoś ich śledził. Był ciepły, cichy wieczór, gwiazdy świeciły słabo za zasłoną chmur. Cerkiew znajdowała się na odległym końcu Arbatu, mały, zrujnowany budynek ze zmurszałych desek i cegły, wciśnięty pomiędzy linię kolejową i wypalony dom mieszkalny. Obeszli go i dostali się do środka przez małe drzwi u stóp wieży.

Przyjaciele Jurija z wyprawy na polowanie czekali już na nich, mężczyźni w swoich zniszczonych smokingach, żeby nadać tej okazji choć trochę uroczysty charakter. Księżniczka Maria oznajmiła, że będzie druhną Zoi. Tatiana Argunowa podarowała jej piękny koronkowy szal w prezencie ślubnym. Książę Orłow wyciągnął butelkę kruga i świece, żeby rozjaśnić pachnący kadzidłem mrok.

Duchowny był staruszką z siwą brodą. Powiadano, że kiedyś był pustelnikiem w pustelni Optyńskiej i w tajemnicy udzielił komunii carowi i jego rodzinie w ich drodze na wygnanie. Włożył szaty na tę okazję i powiesił na szyi krucyfiks na złotym łańcuchu, ale ręce mu się trzęsły, kiedy odprawiał mszę.

Potem świętowali w mieszkaniu Jurija, wznosząc przyciszonymi głosami toasty za zdrowie młodej pary. Księżniczka Maria miała łzy w oczach, kiedy trzymała Zoję w uścisku. Po krótkim czasie ojciec Jurija nalegał, by goście wracali już do swoich domów. Zgromadzenie kilku osób nie było bezpieczne, zwłaszcza w środku nocy.

Ale to się nie liczyło. Liczyło się tylko, że Zoia była teraz żoną Jurija. Nigdy nie widział jej tak szczęśliwej. Warto było ryzykować aresztowanie, żeby widzieć jej słodką twarz, kiedy powtarzał słowa przysięgi małżeńskiej, że nigdy jej nie opuści.

Przez trzy tygodnie tamtego lata byli bardzo szczęśliwi. Potem przyszli żołnierze.

13

Sztokholm, luty 2000

W szwedzkiej Bibliotece Narodowej mikrofilmy trzymali na najwyższym piętrze. Większość książek i periodyków była skatalogowana w komputerze, ale archiwum dzienników znajdowało się w przeglądarce i trzeba było przesuwac celuloidową taśmę w porządku chronologicznym, strona po stronie.

Mieli tam dziesięć przeglądarek. Poważni magistranci i doktoranci wpatrywali się krótkowzrocznymi oczami w szaroniebieskie ekrany. Budynek biblioteki był niegdyś królewskim pałacem, neoklasycznym hołdem złożonym symetrii i rozsądkowi. Ale jego osiemnastowieczna elegancja była teraz ukryta za ścianami przeciwogniowymi, ściankami działowymi i rzędami półek z książkami aż po sufit.

Zamierzał zacząć od wystaw Zoi. Wystawy stanowiły bazę, na której mógłby oprzeć swoje dziennikarskie śledztwo: wywiady, charakterystyki, opracowania krytyczne. Na podstawie katalogów i danych dotyczących sprzedaży, które dostał od Corneliusa, ustalił dokładne daty. Niektóre artykuły pochodziły z roku 1929, roku debiutu Zoi w galerii Bernheim-Jeune w Paryżu. Nie wszystkie strony dzienników poświęcone sztuce były pełne zachwyty. Reporter, który zniszczył jego interes w Anglii, pisywał na temat kradzieży i oszustw, a obok tego o nagrodzie Turnera i nowinkach z salonów sprzedaży. Możliwe jednak, że ktoś wyznaczony do pisania o Zoi, ktoś, kto ma nosa do ciekawych tematów, zajrzał głębiej, niż robiły to zwykle doniesienia prasowe czy programy wydawane przez organizatorów wystaw.

Elliot skupił się na trzech głównych gazetach, które miały najlepsze działy poświęcone sztuce. Sprawdzał wydania z lat działalności Zoi. Przeglądając mikrofilmy, nauczył się momentalnie zgadywać, gdzie jest coś ciekawego, nauczył się omijać drobne ogłoszenia, notki dotyczące urodzin i śmierci, dział sportowy, bez konieczności cofania mikrofilmu. Tytuły i fotografie przesuwały się szybko przed jego oczami, ważne tematy natychmiast rzucały się w oczy:

wybuchy bomb i demonstracje, ciała przykryte kocami, samoloty wojskowe na pokładzie lotników - ludzie i miejsca, które znalazły się na łamach prasy tylko dlatego, że towarzyszyła im przemoc i krew.

Dopiero po godzinie poszukiwań trafił na coś interesującego: artykuł w „Svenska Dagbladet” z roku 1992. Podawał znane mu już fakty i anegdoty. Ale jedna rzecz zwróciła uwagę Elliota: napisano tam mianowicie, że uniwersytety z Ameryki, Japonii i Rosji proponowały Zoi stypendia, żeby mogła przekazać swoją wiedzę na temat malarstwa na cennych metalach, ale ona nigdy z tych propozycji nie skorzystała.

Elliot zapisał linijkę w swoim notesie: *Złoto - żadnych uczniów.*

Przeszedł do kolejnej gazety i szukał dalej: wystawa w Sztokholmie w 1995 roku, wielka wystawa w Tokio w tym samym roku, w Londynie w 1992, w Helsinkach w 1990. Nie znajdował nic nowego prócz tego co zawsze ślepego toru: Zoia jako strażniczka Świętej Rosji.

W „Göteborgsposten” zamieszczono krótki artykuł na temat wystawy na Kremlu w 1993 roku: trzysta słów tła biograficznego, a pod spodem zaplamiona fotografia mężczyzny w średnim wieku, wręczającego Zoi jakiś pakunek, podczas gdy w tle grupa mężczyzn w garniturach bije brawo. Podpis pod zdjęciem brzmiał:

Aleksiej Burow, syn czołowego sowieckiego architekta Andrieja Burowa, podarował pani Krukowskiej zbiór listów, które wymieniała z jego ojcem przez ponad trzydzieści lat.

Minister powiedział, że listy są świadectwem nierozzerwalnych związków Rosjan z ich Ojczyzną, więzi, dla których geografia i ideologie nie są przeszkodą.

Pojawił się zatem wątek patriotyczny. Ten fragment tłumaczył przynajmniej jedno: jakim sposobem listy Zoi do Burowa znalazły się w jej domu. Andriej Burow przechował je całe swoje życie, a przy okazji wystawy na Kremlu syn Burowa je zwrócił.

Elliot przeleciał lata osiemdziesiąte, potem siedemdziesiąte. Po kilku godzinach miał już zmęczone oczy. Sprawdził inne ewentualne tropy: Zoia w wieku lat siedemdziesięciu, Zoia w wieku lat sześćdziesięciu, śmierć Fouijty w 1974 roku. Cofając się, znajdował coraz mniej relacji, zresztą i wystaw było wówczas mniej. W latach siedemdziesiątych, okresie odprężenia między Wschodem a Zachodem, rzadko wspomniano o związkach twórczości Zoi z polityką. Przez większą część lat sześćdziesiątych można było odnieść wrażenie, że w ogóle nie malowała. Jej prace były jak na owe czasy zbyt dekoracyjne, w widoczny sposób zwrócone wstecz, nie zasługiwały więc na poważną krytykę. Wówczas w centrum zainteresowania znajdowała się sztuka, która dekonstruowała sam akt widzenia.

Przypadkiem zobaczył jakąś wzmiankę w „Dagens Nyheter” z grudnia 1969, w dziale kroniki towarzyskiej. Zdjęcie Zoi przyciągnęło jego wzrok: Zoia, niewysoka i blada, w ciemnym ubraniu, stojąca obok kobiety jakieś pięć lat od niej młodszej. Ta młodsza kobieta była w stroju z epoki i trzymała papierosa w cygaretcie. Okazją była premiera w Teatrze Narodowym, *Rewizor* Gogola. Podpis pod zdjęciem brzmiał: Członkini zespołu aktorskiego Hildur Backlin wita artystkę i przyjaciółkę Zoię Korwin-Krukowską. Panie spotkały się przy okazji słynnej produkcji z roku 1929, w której grała gwiazda Gösta Ekman.

Pisano, że Hildur Backlin debiutowała w tym spektaklu, a Zoia zaprojektowała do niego kostiumy. Backlin była modelką Zoi przez kolejne lata. W twierdzy Corneliusa znajdował się portret młodej kobiety w czarnej sukni, robiącej makijaż przed lustrem otoczonym małymi żarówkami, takim, jakie bywają w teatralnych garderobach. Obraz znany był jako *Aktorka*.

Elliot zapisał kolejną linijkę w swoim notesie.

Siedział w bibliotece do popołudnia. Miał pewien problem: okazało się, że dziennikarze trzymali się wytycznych danych im przez szefów. Składali artykuły w redakcji i wracali do domu. W ogóle nie rozmawiali z artystką, a jeśli, to tylko po to, by ubarwić swój artykuł cytatem.

Odniosł wrażenie, że Zoię i tak nie obchodziły ich pytania, że uważała je za banał. Niektóre odpowiedzi były niemal perwersyjnie rzeczowe. Mówiła na przykład, że maluje to, co sprawia jej przyjemność, ponieważ nic więcej nie potrafi. Albo, że maluje jedynie to, co jest piękne, i nic poza tym.

Ale gazety ślizgały się tylko po powierzchni tematu. A on szukał analitycznych źródeł. Po pięciu godzinach porzucił mikrofilmy dla katalogów periodyków obok czytelnicy.

Jako student, a później znów jako marszand, czasami sięgał do periodyków poświęconych kulturze, szukał uczonych słów, które rozjaśniłyby mu zakurzone kąty historii sztuki. Z paroma wyjątkami magazyny, o których mowa, doczekały się mniej więcej tuzina wydań, po czym zniknęły, kiedy wspierający je sponsorzy zrazili się nieuniknionymi stratami. Niektóre ukazały się tylko raz, po czym tonęły w finansowych sztormach. Ludzie byli ciekawi sztuki bardziej niż kiedykolwiek, żądni każdej nowej perspektywy i równie chętni do zapłacenia za nią. Ale bynajmniej nie chcieli o tym czytać. Pragnęli, żeby sztuka, podobnie jak muzyka, mówiła sama za siebie.

W Szwecji sytuacja była identyczna. Przetrwały tytuły poświęcone głównie architekturze, projektowaniu i meblom. Jeden z periodyków, do którego się dokopał, nosił tytuł „New

Vision". Na okładce pierwszego numeru z roku 1972 widziało zdjęcie potężnej kurtyny udrapowanej wzdłuż Rifle Valley w Kolorado - jeden z bardziej ambitnych projektów Christo. Piśmo „New Vision” zniknęło w 1973, zaledwie po roku obecności na rynku.

Za kwadrans szósta zadzwonił dzwonek, uprzedzając, że zbliża się godzina zamknięcia biblioteki. Elliot siedział w północnym skrzydle, przeszukiwał półki, na których leżały oprawione tomy czasopism. Zapach starego druku i kleju przyprawiał go o mdłości. Imię Zoia pojawiało się tu i ówdzie, kiedy jej prace pokazywano na wystawach, ale głębszych analiz wciąż brakowało. Zoia wciąż jeszcze żyła.

Odezwał się drugi dzwonek. Elliot słyszał ludzi na korytarzu, kroki na linoleum. Mężczyzna w uniformie minął drzwi, podzwaniając kluczami.

Na półce zostały dwa tomy. Elliot chwycił je i zaczął kartkować, żeby doprowadzić przynajmniej tę część zadania do końca. Wyprodukowany tanim kosztem angielskojęzyczny magazyn pod tytułem „The Baltic Arts Review”, z roku 1969, był indeksowany. Przeniósł się z nim bliżej światła i przebiegł palcem w dół kolumny zaplamionego druku.

To tam właśnie Elliot znalazł hasło: Korwin-Krukowskaja, Zoia, Tajemnice złota (patrz także Foujita, Tsuguharu), vol. II, no. 1 (Lato 1969), strony 13-17.

Tajemnice złota

Mats Heinemann

... Obraz, od którego wszystko się zaczęło, to portret żony Foujity, namalowany przez niego w Paryżu w roku 1917. Akwarela na listkach złota przedstawia portretowaną jako księżniczkę starożytnego Egiptu i wykazuje silne wpływy sztuki z grobowców faraonów, które właśnie odkryli archeolodzy, m.in. Howard Carter. Prosty i elegancki, portret jest wczesnym przykładem prób Foujity znalezienia złotego środka między tradycją a współczesnością, między Wschodem a Zachodem.

Kolekcjoner i *haute couturier* Jacques Doucet (1853-1929) zakupił ten obraz, wraz z autoportretem w tym samym stylu, i to właśnie w jego salonie na rue de la Paix Zoia po raz pierwszy ujrzała te prace przez okno. Nie było ją stać na zakup. Salon Douceta był najbardziej ekskluzywnym salonem w Paryżu, wśród jego klientów znajdowały się gwiazdy filmowe z Hollywood i monarchowie, ale Zoia nie wyszła stamtąd dopóty, dopóki nie dowiedziała się wszystkiego na temat tego obrazu i człowieka, który go namalował. „Wówczas nie potrafiłam wyjaśnić, dlaczego ten mały obraz rzucił na mnie urok. Foujita narysował swoją modelkę z profilu, nie zwracając uwagi na perspektywę. A jednak perspektywa była w samym złocie. Ten

obraz był doskonale kompletną i zamkniętą całością. Nie przywoływał żadnego minionego czasu ani należącego do przeszłości miejsca". Element przybrania, a może nawet przebrania, w tym obrazie także trafił jej do serca. Zoia zawsze darzyła teatr wielką miłością i projektowała kostiumy dla wielu ważnych produkcji teatralnych w latach dwudziestych i trzydziestych. Nie ulega wątpliwości, że blask złota, jego nieodłączny związek z wartością i znaczeniem, był dla niej atrakcyjny, podobnie jak dla jej klientów. „Złoto to szlachetny metal - powiedziała. - Wszystko rozświetla, ale niczego nie zdradza".

14

Debiut Hildur Backlin w wystawieniu *Rewizora* w roku 1929 okazał się początkiem długiej, choć przerywanej kariery na scenie i ekranie. Tamtego wieczoru, stojąc pod lampami na tyłach śródmiejskiej księgarni, Elliot znalazł wzmianki na jej temat w kilku książkach poświęconych teatrowi szwedzkiemu. Backlin występowała w klasyce - Ibsenie, Czechowie, Szekspirze, Molierze - w całej Szwecji w latach trzydziestych i czterdziestych, a od czasu do czasu grywała w filmie i na londyńskim West Endzie. W 1930 roku podróżowała do Niemiec i pojawiła się w paru wczesnych filmach mówionych, najbardziej zauważono ją w klasycznej produkcji Leontine Sagan *Dziewczeta w mundurkach*, pierwszym filmie fabularnym z wątkiem miłości lesbijskiej. W latach czterdziestych pracowała pod scenicznym pseudonimem w Hollywood, gdzie Greta Garbo i Ingrid Bergman rozbudziły apetyty na szwedzkie talenty. Ale Backlin nigdy nie wyszła poza filmy klasy B, tytuły takie jak *Lost in a harem*, *Spotlight Scandals* i *Romance of the West*. Wróciła do Szwecji i do teatru i w latach pięćdziesiątych pomogła stworzyć szkołę aktorską, do której uczęszczali niektórzy aktorzy wczesnych filmów Ingmara Bergmana.

Żadna z książek nie wspomniała daty jej śmierci, co wcale nie znaczyło, że nadal żyła. Miałyby już dobrze ponad dziewięćdziesiąt lat. A jednak perspektywa rozmowy z jedną z pierwszych modelek Zoi - jedną z jej pierwszych modelek od chwili, gdy zaczęła pobierać lekcje u Foujity - była czymś, czego Elliot nie mógł zignorować. Późniejsze tematy, bogaci i wpływowi, którzy zamawiali swoje portrety na złocie, jakby pragnęli dla siebie czci zarezerwowanej dla portretów świętych, byli o wiele mniej obiecującymi źródłami informacji. Pozowali, płacili, wieszali swoje drogocenne obrazy nad kominkiem albo w sali posiedzeń, i to wszystko. Nie brali udziału w procesie twórczym w taki sposób, jak często zdarza się modelom.

Nie angażowali się. Ale Hildur Backlin była obok w bardzo ważnym czasie, kiedy Zoia usiłowała wejść w rolę żony polityka po latach wolności i ekscesów na Montparnassie w Paryżu. W tamtym czasie dokonywała wyborów i odnalazła swoją drogę twórczą. A Hildur była jej przyjaciółką. Mogła wiedzieć dosłownie wszystko.

W książce telefonicznej Sztokholmu była tylko piątka Backlinów, trzecia osoba okazała się córką Hildur. Pia Backlin wydawała się bardzo chętna do pomocy. Tak, jej matka nadal żyje, powiedziała, ale ze względów zdrowotnych nie mieszka już w Sztokholmie. Przeniosła się do domu spokojnej starości w uzdrowisku Södertälje. Dwa lata wcześniej miała wylew, który ją częściowo sparaliżował, ale doszła do siebie i poza tym cieszy się dość dobrym zdrowiem.

- Jestem pewna, że z wielką radością porozmawia z panem - rzekła Pia. Elliot odniósł wrażenie, że ona sama nie odwiedza matki tak często, jak powinna. - Kto pana interesuje?

- Zoia Korwin-Krukowskaja. Malarka. Pani matka i Zoia przyjaźniły się, jak mi się zdaje. A przynajmniej tak czytałem.

Przez moment na linii panowała cisza.

- Ta Rosjanka? Ta, która malowała na złocie?

- Zgadza się.

- No, raczej nie.

- Czytałem o tym w gazetach. Były bliskimi przyjaciółkami.

- Naprawdę? No cóż, nie pamiętam, żeby mama kiedykolwiek o niej wspominała.

Dom spokojnej starości imienia księżnej Krystyny leżał na odległym krańcu miasta, obok jeziora. Była to stara wiejska rezydencja z okiennicami, portykami i umierającym bluszczem. Dało się zauważyć ślady niedawno wprowadzonych zmian: jasnoniebieskie znaki kierujące gości na parking, talerz telewizji satelitarnej przyczepiony dziwnie na skraju dachu i sklep z pamiątkami dla tych, którzy zapomnieli coś ze sobą przywieźć.

Elliot chciał kupić kwiaty i dopiero przed drzwiami zmienił zdanie. To była wizyta zawodowa, a nie towarzyska. Tego ranka zaszalał i szarpnął się na miniaturowy magnetofon, żeby nie robić notatek. Poza tym było coś nieszczerzego, a nawet złowieszczego w obcym, który przynosi prezenty.

Dwaj mężczyźni w kombinezonach stali przed kuchnią. Obaj palili papierosy, a wolne ręce chowali przed zimnem. W powietrzu unosił się zapach gotowanego mięsa. Młodszy z mężczyzn, tyczkowaty nastolatek z nastroszonymi dwukolorowymi włosami, zmrużył oczy i paląc papierosa, obserwował Elliota.

Hildur Backlin czekała na niego w pomieszczeniu, które personel nazywał oranżerią. Stara żelazna oranżeria wychodziła na otwarty basen otoczony z trzech stron przez kolumnadę, z białymi plastikowymi leżakami złożonymi na stertę z jednego końca. Basen był podgrzewany. Smugi pary unosiły się znad powierzchni wody i rozwiewały na lekkim wietrze. Samotny pływak - mężczyzna z cienkimi siwymi włosami zaczesanymi do tyłu na pokrytej plamami wątrobowymi czaszce - przepływał długość basenu, wydychając głośno powietrze.

Birgitta, pulchna blondynka z recepcji, zaprowadziła Elliota do wózka inwalidzkiego, który stał przodem do okien. Podchodząc bliżej, Elliot dostrzegł parę beżowych nylonowych kapci, które wystawały spod kraciastego koca. Sękaty artretyczne palce zaciśnięte były na podłokietniku. Wokół unosił się stęchły kwiatowy zapach połączony z wonią środka dezynfekującego.

- Pani Backlin? Ma pani gościa.

Zaflegmiona i kaszląca starsza pani z trudem odchrząknęła.

- Pół godziny - powiedziała mu cicho Birgitta, przysuwając fotel. - Szybko się męczy. - Odwróciła się do kobiety na wózku. - Może pani coś przynieść, pani Backlin? Filiżankę herbaty?

Pani Backlin zaskrzeczała coś, czego Elliot nie zrozumiał. Birgitta pochyliła się nad nią, najwyraźniej także nie wiedziała dokładnie, o co chodzi. Elliotowi przeszło przez myśl, że traci tutaj czas, że przyjaciółka Zoi jest zbyt słaba i zbyt stara, by mu cokolwiek opowiedzieć, wspominać to, co działo się w pracowni Zoi przed siedemdziesięciu laty. Żałował, że nie wypytał Pii Backlin bardziej szczegółowo o stan umysłu jej matki.

- W porządku - rzekła Birgitta. - Jak będzie pan czegoś potrzebował, proszę mi powiedzieć, panie...

- Elliot.

- Panie Elliot. Dobrze?

Birgitta odeszła zwawym krokiem, zostawiając Elliota uśmiechającego się do zamglonych zielonych oczu. Zdawało się, że Hildur uczyniła pewien wysiłek z okazji wizyty, pomalowała usta i upudrowała twarz, a resztki brwi podkreśliła czarnym ołówkiem. Cienkie siwe włosy podbarwiła fioletową płukanką, na jej głowie sterczały wymodelowane fale, które przypominały Elliotowi film *Flash Gordon*. Gronostaj albo arktyczny lis otulał jej szyję, dodatek, który kompletnie nie pasował do jej nylonowych kapci i leczniczych pończoch. Elliot ledwie ją

rozpoznał, widział ją wcześniej na fotografii w „Dagens Nyheter” zrobionej przed trzydziestu laty.

- Pani Backlin, jestem Marcus Elliot - przedstawił się, starając się mówić po szwedzku najlepiej, jak potrafił. - Córka uprzedziła panią telefonicznie o mojej wizycie?

Odpowiedziała mu po angielsku gładczącym i ostrym głosem.

- Zoia, tak, wiedziałam, że ktoś w końcu przyjdzie.

Jedna połowa jej twarzy pozostała nieruchoma, zamrożona, połączenie z mózgiem zostało przerwane przez wylew. Mówiła jedną stroną ust, z trudem przepychała słowa na zewnątrz, a jej zdania przerywane były krótkimi jakby ssącymi oddechami.

Elliot usiadł.

- Prowadzę badania na temat twórczości Zoi.

- Wciąż jest mi winna obraz. Powiedzieli to panu?

- Obraz?

- Mój portret. Ten w kapeluszu. Z... ptakami. Obiecała, że mi go da.

Przez kilka lat, tych przed wojną, Zoia umieszczała na swoich obrazach ptaki, nieduże ptaki, czasami wielobarwne, czasami bure. Zawsze zwracały uwagę Elliota, mali wywrotowcy wyskakujący ze świergotem z rogów obrazu, niczym krzykacze na politycznym mityngu. Ale w *Aktorce* nie było ptaków, o ile sobie przypominał. A modelka nie miała na głowie kapelusza.

- Pozowała pani do tego obrazu?

- Pozowałam. To był portret.

- Na złocie?

Stara kobieta postukała palcami po nosie.

- O tak. Byłby teraz sporo wart.

Elliot uśmiechnął się i skinął głową. Starał się traktować ją jak najuprzejmiej.

- I obiecała ofiarować go pani? Ten portret?

- W testamencie. Powiedziała mi to na pogrzebie biednego Mikołaja. Dla twojej rodziny, powiedziała. Ale nic... - zasyczała przez zęby - nic potem nie słyszałam.

Najwyraźniej nie dawało jej to spokoju. Wciąż niepewny, czy nie traci czasu, Elliot sięgnął do kieszeni po miniaturowy magnetofon i nacisnął przycisk record. Małe czerwone światełko zapaliło się pod mikrofonem.

- Pozwoli pani?

Stara dama spojrzała nieufnie na urządzenie, kiedy Elliot położył je na pobliskim stoliku.

- Czy mogę pytać wprost? Znała pani Zoię w późniejszych latach jej życia? Pani córka wyglądała na zaskoczoną, kiedy...

- W pewnym okresie byliśmy sobie bliskie. Potem straciliśmy kontakt. Dawno temu. Elliot zacisnął dłonie między kolanami.

- Więc... Nie przypuszczam, żeby nazwisko Hanna Carlson mówiło coś pani? To moja matka. Nie jestem pewien, ale myślę, że ona też znała Zoję. Jakieś trzydzieści lat temu.

Hildur westchnęła wzburzona.

- Powiedziała panu. Zoia i ja. Straciliśmy ko-kontakt. - Obserwowała kręcące się taśmy kasetowego magnetofonu. - Ale ona... obiecała mi ten obraz.

Obrazy. Wszystko sprowadzało się do obrazów: ich mocy, ich znaczenia. Obrazy - oświadczenia, które nabierały dodatkowego znaczenia i waloru ostateczności wraz ze śmiercią artystki, przynajmniej dla tych, którzy je rozumieli. Hildur mogła mu w tym pomóc. Mogła mu pomóc zrozumieć je, gdyby oczywiście chciała.

Przez kilka chwil jedynym słyszalnym dźwiękiem był jej świszczący oddech.

- Porozmawiajmy o tych wcześniejszych latach - powiedział Elliot. - To dlatego tu przyjechałem, pani Backlin. Możemy o tym porozmawiać?

Hildur odsunęła się trochę, jej broda opadła na piersi.

- Czytałem, że poznałyście się wiosną tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku. Przy wystawianiu *Rewizora*.

- A, Gogol, Mikołaj Wasiliewicz - powiedziała rozmarzonym głosem, odchylając głowę na oparcie wózka. - Wielki satyryk. Czy pan wie, że na końcu wrócił do Boga? Zagłodził się na śmierć jako... w akcie pokuty.

- Zaprzyjaźniła się pani z Zoją w teatrze. Czy tak?

- Ona kochała teatr. Całe to udawanie. Wszystkie te... maski. Za maską można być sobą i nikt cię za to nie obwinia.

- Obwinia?

Zdawało się, że Hildur go nie słyszy.

- Oczywiście, nie mogła zostać aktorką. Nie w dosłownym sensie. Stanisławski mówił: szukajcie prawdy... w swoim wnętrzu. Czerpcie z własnego doświadczenia. To by ją... zabiło.

Elliot pochylił się do przodu.

- Nie jestem pewien czy...? Powiedziała pani...? O czym dokładnie mówimy?

Hildur wycelowała w niego zakrzywiony palec.

- Wie pan, mój pierwszy mąż był Rosjaninem. Poznaliśmy się w Paryżu. Biedny... Mikołaj. Czerwoni zabrali mu wszystko. Był księciem, wie pan. Oni zabili jego małego synka. Nie może się pan dziwić, kiedy ludzie tego rodzaju... kiedy zabierają coś, co do nich nie należy.

Elliot zmarszczył czoło. Znowu ten Mikołaj.

- Pani Backlin? Hildur? - Czekał, aż znowu na niego spojrzy.

- Chciałem zapytać panią o twórczość Zoi. O jej obrazy.

- A co z nimi?

- Ludzie mówią, że Zoia pragnęła zachować rosyjską tradycję, mistyczną tradycję. Czy kiedykolwiek mówiła pani coś na ten temat?

Hildur zrobiła zniesmaczoną minę.

- To przyszło później, o wiele później. Pisali tak... w gazetach.

- Więc to nieprawda? Hildur potrząsnęła głową.

- Ludzie mówią... Ludzie piszą. - Znów wskazała na niego palcem. - Tacy jak pan.

- To nieprawda. Czy tak pani uważa? Cmoknęła językiem.

- Zoia, Zoia, jej Rosja była marzeniem. Pięknym marzeniem. Prawdziwej Rosji nienawidziła.

- Nienawidziła?

- Nie rozmawiała o tym. Tego pan nigdzie nie znajdzie.

- A co z pejzażami miejskimi? Namalowała ich dziesiątki. Namalowała wszystkie pałace w Moskwie.

Hildur machnęła ręką na wysokości twarzy, wyraźnie poruszona.

- Marzenia, marzenia. Gdzie są pejzaże Sewastopola? Gdzie Krym? Nie znajdzie ich pan. Nie, nie, nie. To wszystko zostało... - przełknęła kolejny oddech - ukryte.

Istniały zapiski świadczące, że Zoia odwiedziła Sewastopol, prawdopodobnie więcej niż raz. Kiedy była dzieckiem, jej rodzina spędzała wakacje na Krymie, jej matka i babka przebywały tam, kiedy aresztowano ją w Moskwie w 1921 roku. To prawda: Zoia nigdy nie przedstawiała na swoich obrazach tego miasta ani tego półwyspu.

- Więc twierdzi pani, że to był po prostu eskapizm? A co najwyżej nostalgia?

Hildur przyglądała mu się wyblakłymi oczami.

- Pali pan? - spytała. Pokręcił głową.

- Rzuciłem.

- Mnie nie wolno. Nikomu tu nie pozwalają palić. Nawet tym, którzy... - zniżyła głos i lekko się uniosła - umierają.

Potężna kobieta w szlafroku i z ręcznikiem okręconym na głowie wyszła z łaźni i ruszyła w stronę basenu. Hildur zauważyła ją i opadła na wózek.

- Moglibyśmy się przejść po terenie, jeśli ma pan ochotę - powiedziała, patrząc na kobietę, która zdejmowała szlafrok, jej wzdęte blade ciało napinało materiał jednoczęściowego kwiecistego kostiumu pływackiego.

- Jestem opatulona. Nie wypatrzą nas stąd. Elliot ściągnął brwi.

- Na pewno? - spytał. - Mówi pani...

- To mi tylko dobrze robi - rzekła kategorycznie.

Mijając recepcję, powiedział Birgittie, że idzie wziąć coś z samochodu, po czym obszedł budynek i dotarł do wejścia dla pracowników. Minutę później wyszedł biedniejszy o sto koron, ale za to z czterema papierosami i pudełkiem zapalek ukrytymi w górnej kieszeni. Kiedy wrócił do Hildur, ta otuliła się jeszcze wełnianym szalem i włożyła rękawiczki.

- Pojedziemy nad jezioro - szepnęła. - Znam takie miejsce.

Zerkając przez ramię, Elliot wywiózł ją z oranżerii, minęli basen i znaleźli się w ogrodzie. Była pierwsza, ale słońce rzucało już długie cienie na pokryte śniegiem trawniki. Kilka małych czarno-białych ptaków dreptało po lodzie na jeziorze, były podniecone, jak się wydawało, pojawieniem się małej owalnej dziury na samym środku.

Elliot zapytał Hildur o Sewastopol, dlaczego Zoia nigdy go nie namalowała, ale ona w większości ignorowała jego pytania, zamiast tego plotąc o zasadach obowiązujących w tym domu, które uważała za represyjne i głupie. Mówiła, jakby Elliot był członkiem rodziny, a nie zupełnie obcym człowiekiem. Ludzie zachowują się tak, kiedy z ich punktu widzenia cały świat się od nich odsunął. Przyjaciół, rodzinę, pracowników, obcych z ulicy, wszystkich traktują wtedy jednakowo.

Z przyznanej mu pół godziny zostało dziesięć minut.

- Ile razy pozowała pani Zoi? Pamięta pani?

- Kilka - odparła Hildur. - Dobrych kilka razy.

- I malowała panią na złocie.

- Raz. Ostatni raz.

Elliot wyjął magnetofon z kieszeni. Taśma wciąż się obracała.

- Jak pracowała? Jak wyglądał cały proces malowania?

- Och, robiła szkice. Mnóstwo szkiców. To trwało najdłużej. Potem... przygotowywała deskę, ze złotem. A potem trzeba było siedzieć kilka dni, podczas gdy ona nakładała... farbę.

- Więc deski ani złota nie przygotowywała wcześniej?

- O nie. Nie, nie, nie.

- Dlaczego? Większość malarzy przygotowuje powierzchnię przed przyjściem modelu.

- Ale nie ona.

Elliot zawsze zakładał, że złoto było znakiem firmowym Zoi, tłem, na którym nauczyła się pracować w taki sposób, w jaki większość malarzy pracuje na płótnie. Ale relacja Hildur sugerowała, że Zoia za każdym razem dokonywała wyboru nie tylko co do wielkości obrazu, ale także w kwestii złota, jego typu, miejsca jego położenia, jego zastosowania.

Idąc, poślizgnął się na zmarzniętym śniegu. Dobrze, że trzymał się wózka.

- Więc rozmawiała z panią o tym? O swoim sposobie pracy? Hildur znowu go nie słuchała.

- Miała zwyczaj patrzeć na nie przez długi czas - powiedziała. - Zanim cokolwiek namalowała. Jak na starego przyjaciela. Kochała złoto. Widzi pan, ono wszystko umożliwia. Dlatego nie pozwalała, żeby ktokolwiek widział, jak je nakłada. Nie wpuszczała nikogo do pracowni.

- Czy to prawda? Nikogo?

- Nikogo.

- A co z Karlem, jej mężem?

- Zwłaszcza Karla.

- Czemu pani tak mówi?

Hildur cmoknęła, jakby to właśnie miało fundamentalne znaczenie.

- Ci dwoje... - Pokręciła głową. - Jak to wy, Anglicy, mówicie, byli jak ogień i woda. Nigdy nie dopuszczała go do takich spraw.

- To znaczy do swojej pracy?

- I radości życia. O tak. Nie posiedziała w Szwecji nawet dwóch lat, zabrała się i wyjechała do Paryża. Zawsze mi powtarzała, że to był pomysł Karla. Że to on ją namawiał. Ale ja nigdy w to nie wierzyłam. - Nagle czujnie się wyprostowała. - Tam. Tam.

Wskazała w stronę brzoźowego zagajnika na skraju jeziora. Elliot zerknął przez ramię, spodziewając się, że zobaczy ludzi w białych kitlach, którzy biegną do niego po trawniku. Przed nim widniała tablica z napisem: Pływanie zabronione.

Hildur przygarbiła się i spojrzała w stronę budynku.

- Nie mogą nas tutaj widzieć.

Elliot sięgnął do kieszeni po papierosa. Oddał je Hildur i podał jej ogień. Trzymała papierosa w drżących wargach. Pozostałe trzy szybko schowała pod swoim kraciastym pledem.

Obserwował ją, jak się zaciąga, widział, jak napięcie opuszcza jej ciało, kiedy powoli wydmuchuje dym. Spodziewał się, że zacznie kasłać, ale nic podobnego.

Podniosła na niego wzrok, trzymając papierosa tuż przy swoich wargach.

- Przypomina mi pan kogoś, kogo kiedyś znałam - oświadczyła. - W Ameryce. Sympatyczny młody człowiek. Wysoki. - Pogroziła mu papierosem, mrużąc oczy. - Zoia by pana namalowała.

- Jakaś ponura myśl przemknęła jej przez głowę. - A może i nie. Nie zawsze malowała to, co jej się podobało.

Elliot wsadził ręce do kieszeni płaszcza.

- Proszę mi opowiedzieć o Karlu. Hildur spazmatycznie potrząsnęła głową.

- Typowy burżuj komunista. Wstydział się swoich... pieniędzy. Czuł się winny, że nie jest biedny. Mówiła, że zawsze ją beształ, kiedy brała taksówkę albo samochód. Bał się, że jego towarzysze się dowiedzą.

- Więc dobrze go pani znała. Hildur westchnęła.

- Tak sobie. Nie przepadał za ludźmi teatru. Uważał nas za dekadentów. Podatnych na deprawację. - Spojrzała na Elliota.

- Jeśli chodzi o seks, był potwornie konwencjonalny. Wystarczyło na niego spojrzeć. - Wzruszyła ramionami. - Mimo wszystko nie zasłużył na takie traktowanie.

- Przez Zoię?

- Uratował jej życie, prawda? Kochał ją kiedyś, jak przypuszczam.

- Zaśmiała się, odsłaniając krzywe szare zęby. - Kiedy tu przyjechała, wszyscy myśleli, że jest rewolucjonistką, tak samo jak on. Spodziewali się drugiej Róży Luksemburg. Oczywiście, nie mogła zaprzeczyć, przez wzgląd na niego. Nie mogła wyznać, co naprawdę myślała o... - jej głowa opadła między skulone ramiona - pieprzonych czerwonych. - Zaśmiała się na widok jego zdumionej miny, jej ciało zakołysało się na wózku. - To nie było szczęśliwe małżeństwo.

- Więc była niewierna. Z tego powodu się rozwiedli?

Uśmiech zgasł na cienkich uszmińkowanych wargach. Hildur zaciągnęła się papierosem, patrząc na niego pogardliwie.

- Musi pan to wszystko wiedzieć, żeby sprzedać obrazy, tak? Przez chwilę Elliotowi brakowało słów.

- Chciałbym tylko zrozumieć. To może być ważne, zwłaszcza jeśli... jeżeli zamierzała...

- Cóż, jeśli to dla niej, to w porządku.

Lekko uniosła kąciki warg. Trzymała papierosa z boku i strzepywała popiół, postukując ręką o kółko wózka.

- Zoia pragnęła namiętności, takiej nieokiełznanej namiętności. Karl chciał rodziny. Żadne nie ustąpiło. *C'est tout*. - Wzruszyła ramionami. - Niech pan mnie zawiezie na słońce, zmarłam.

Elliot stanął za wózkiem i zaczął go pchać przez poszycie. Odległy kraniec jeziora wciąż skąpany był w słońcu.

- Wiem, że Zoia nie miała dzieci - podjął. - Czy kiedykolwiek mówiła dlaczego?

- Nie, ale, moim zdaniem, nie chciała mieć dzieci.

- Z Karlem?

- W ogóle.

- Skąd pani to wie?

- Nie wiem. Przyglądałam się jej. Artyści są egoistami. Żyją tylko dla swojej sztuki. Traktują ją jak żywego człowieka. Tacy właśnie są.

- Co takiego pani zaobserwowała?

Hildur zamilkła, zaciągając się znów papierosem. W końcu wypuściła długi biały kłęb dymu.

- Pewnego razu spotkałyśmy się w restauracji. Gdzieś w Östermalm. Källhagen, tak się chyba nazywała. Było to latem. Pamiętam, ponieważ wszystkie drzwi były otwarte. A naprzeciwko była szkoła... i boisko szkolne. Dzieci wybiegły ze szkoły i zaczęły bawić się na boisku, krzyczały i piszczały, ale wcale nie tak strasznie. Nie nazwałby pan tego nieznośnym hałasem.

- A pani była tam z Zoią. Tylko wy dwie?

- Mnie to nie przeszkadzało. Ale Zoia nagle wstała i oznajmiła, że chce zmienić lokal. Już zamówiliśmy. Ten hałas, powiedziała. Głowa jej od tego pęka. Myślę, że dzieci po prostu ją drażniły. Nie znajdzie pan dzieci na żadnym z jej obrazów. Zresztą dzieci tylko skomplikowałyby wszystko. Mogłaby stracić swoją... moc.

- Swoją moc?

- Poczuliby pan tę moc, gdyby pan ją znał. Zoia zawsze fascynowała mężczyzn. W tamtych czasach. Próbowali to ukryć, oczywiście. Ale to ich zżerało od środka.

- O jakich mężczyznach pani mówi?

- Nie tylko mężczyzn, kobiety również. Wie pan, wydawało się, że ona nie zna strachu. Zazdrościli jej tego. Chcieli być jak najbliżej. Zaznać tej mocy, a przynajmniej się o nią otrzeć.

Dotarli do odległego krańca jeziora. Hildur siedziała nieruchomo na wózku, z rękami na podłokietnikach, a spopielony tytoń balansował na filtrze papierosa.

- Powiedział mi o tym kiedyś, próbował się tłumaczyć. - Patrzyła na zlodowaciałą powierzchnię jeziora. - Mówił, że zawsze miało się poczucie... poczucie, że ona nosi w sobie jakąś tajemnicę, coś, czego nie można dotknąć. To wzbudzało silne pożądanie, pragnienie, by osiągnąć tę tajemnicę fizycznie. Obnażyć ją i wystawić na widok publiczny.

Kiwała głową, z ustami zaciśniętymi w ponurą linię.

- Ten głód czuło się w łędzwiach, jak mówił. Pragnienie, by połączyć się na nowo z nieznanym. Twierdził, że to bardzo rosyjskie. Wschodnie.

Elliot delikatnie wyjął papierosa pomiędzy jej palców w rękawiczce.

- Kto tak mówił?

Hildur usiadła prosto, jakby uświadomiła sobie, że powiedziała za dużo. I wtedy Elliot zrozumiał: Mikołaj to Kola, Kola, rosyjski emigrant, który pracował w biznesie restauracyjnym. Pośród papierów Zoi znalazł namiętne, przepojone poczuciem winy listy, z których można się było domyślać romansu. Kiedy Hildur wyjeżdżała na plan filmowy albo tournée, nie brakowało okazji do zdrady. Mąż Hildur uległ czarowi Zoi, a jakiś czas później - może kilka miesięcy, może dekad - wyznał jej wszystko. Nawet jeśli romans miał miejsce, zanim w życiu Koli pojawiła się Hildur, wyjaśniał, być może, dlaczego przyjaźń obu kobiet nie przetrwała. To zresztą w ogóle wyjaśniało wiele, jeśli chodzi o Hildur: osobliwą mieszankę goryczy i bliskości, która zabarwiała jej wspomnienia.

Coś w jej oczach mówiło Elliotowi, że wie, o czym on myśli. Naciągnęła koc na kolana, wygładzając zmarszczki.

- Zoia omotała wielu mężczyzn. Wielu głupców. Pan jest po prostu ostatni.

Jechał z powrotem w stronę wybrzeża, magnetofon leżał na siedzeniu pasażera. Zapadał zmierzch, świeżo posypana solą kręta droga zrobiła się mokra i czarna i wiła się pośród pokrytej śniegiem okolicy.

Na taśmie wszystko brzmiało głośniejsz, niż zachował w pamięci. Dźwięki w tle, których wcześniej nie zauważał, tłoczyły się całkiem blisko: głosy, kroki, trzaskanie drzwiami, szum przelatującego samolotu. Głos Hildur odbijał się echem jak w kościele.

Wielki satyryk. Czy pan wie, że na końcu wrócił do Boga? Zagłodził się na śmierć jako... w... Płytki, syczący oddech. akcie pokuty.

Minęła go ciężarówka kontener, spryskując błotem. Elliot ścisnął mocno kierownicę, zwalczając impuls, by gwałtownie skręcić.

Oczywiście, nie mogła zostać aktorką. Nie w dosłownym sensie. Stanisławski mówił: szukajcie prawdy... w swoim wnętrzu. Czerpcie z własnego doświadczenia.

Jakaś przeszkoda w gardle, może kaszel, może śmiech.

To by ją... zabiło.

Nie zatrzymał taśmy, myśli i wrażenia nakładały się na siebie, łączyły, rozłączały - i pojawiło się wyraźne przeczucie czegoś, do czego zbliżał się krok po kroku: jakiegoś obrazu, przekazu. Klucza do zrozumienia Zoi.

Hildur była zdradzoną kobietą. Podwójnie zdradzoną: przez męża i przyjaciółkę. Stwarzała pozory akceptacji, ale rana wciąż była żywa, po tylu latach. Może nagle zainteresowanie Zoia przywróciło złe wspomnienia. A może nigdy jej nie opuściły.

Włączył spryskiwacz przedniej szyby. Brud i wilgoć rozmazały się na szkle.

Oni zabili jego małego synka. Nie może się pan dziwić, kiedy ludzie tego rodzaju... kiedy zabierają coś, co do nich nie należy.

Mówiła o Koli, ale myślała o Zoi: Zoi kusicielce, zdrajczynie, kobiecie, która przedkładała sztukę i wolność seksualną ponad ognisko domowe. Kobiecie, która nie mogła znieść wrzawy dzieci bawiących się na szkolnym boisku.

Nacisnął szybkie przewijanie do przodu. Taśma piszczała przez parę sekund. Puścił przycisk.

Prawdziwej Rosji nienawidziła.

Nienawidziła?

Nie rozmawiała o tym. Tego pan nigdzie nie znajdzie.

Zniecierpliwienie jego brakiem zrozumienia, brakiem wglądu. Oto kolejny z tych, co to gadają i piszą, a tak naprawdę są ślepi.

Elliot ujrzał w przeblysku twarz Lindqvista za kierownicą starego czarnego mercedesa, doktor dawał mu do zrozumienia, że z niego beznadziejny outsider, że on i jego „ideologie estetyczne” to strata czasu, gdy chodzi o Zoię.

Głos Hildur był ostry, kpiący.

Gdzie są pejzaże Sewastopola? Gdzie Krym? Nie znajdzie pan ich. Nie, nie, nie. To wszystko zostało... ukryte.

Elliot poczuł, że włoski na karku stają mu dęba. Chwycił magnetofon i w ciemności usiłował przewinąć taśmę.

Nie znajdzie pan ich. Nie, nie, nie. To wszystko zostało...

Nacisnął przycisk stop. Jakoś nie dotarło do niego za pierwszym razem, co kryje się za słowami Hildur: nie chodzi o to, że Zoia nigdy nie malowała Krymu, jak przypuszczał, ale że te *obrazy są ukryte*. Są ukryte, ponieważ przedstawiały coś, czego Zoia nie chciała pokazać światu.

Ukryte obrazy. *Fundamentalne* obrazy.

Jeśli zostały ukryte, przypuszczalnie Zoia nigdy ich nie sprzedała. Ale skoro tak, powinny się pojawić w prywatnej kolekcji, którą po sobie zostawiła. Jeżeli Lindqvist pozbywał się wszystkich prac Zoi, dlaczego nie wystawił na sprzedaż właśnie tych? Elliot żałował, że nie wyjaśnił tej sprawy, ale miał wrażenie, że Hildur i tak nie powiedziała by nic więcej. Niezależnie od chwilowych luk w pamięci, mówiła tylko to, co chciała powiedzieć.

Może tylko się z nim bawiła. Może wcale nie wiedziała, co mówi.

Droga skręcała na północ. Niebo nad Sztokholmem przypominało pomarańczową kurtykę przesłaniającą gwiazdy. Nieprzerwana procesja światel z naprzeciwka omiatała jego przednią szybę, załamując się wśród łez wilgoci.

Hildur nie zdradziła mu wszystkiego. Był o tym przekonany. Przyjaźniły się z Zoią, i to blisko. Jeszcze teraz była rozdarta między goryczą a lojalnością, między potrzebą chronienia Zoi a potępieniem. I wiedziała coś na temat złota. Wyczuwał, że i co do tego Hildur ma mieszane uczucia.

Wziął znów do ręki magnetofon, przewinął kasetę, nacisnął play. Teraz dźwięk był inny, głosy bardziej płaskie i głuche. W tle słychać było jedynie skrzypienie wózka i odległy świergot ptaków nad jeziorem.

Artyści są egoistami. Żyją tylko dla swojej sztuki. Traktują ją jak żywego człowieka. Tacy właśnie są. Co takiego pani zaobserwowała?

Zdziwił go ton własnego głosu, taki nagły, natarczywy. Jakby musiał wszystkiego się dowiedzieć, póki istniała jeszcze szansa. Pewnie tak samo brzmiało to w uszach tej starej kobiety.

Hildur zaczęła mówić o zdarzeniu w restauracji. Znowu przesunął taśmę naprzód. Znak przed nim informował, że zostały dwa kilometry do zakrętu, który zaprowadzi go na wschód w kierunku wybrzeża.

... poczucie, że nosi w sobie jakąś tajemnicę, coś, czego nie można dotknąć.

Mercedes z niebiesko-białymi światłami znalazł się tuż za nim. Jechał tak moment, po czym wysunął się naprzód, żeby go wyminąć.

... silne pożądanie, powiedział, pragnienie, by osiąść tę tajemnicę fizycznie. Obnażyć ją i wystawić na widok publiczny.

W 1969 roku Zoia miała powiedzieć, o czym donosiły zaplamione strony „The Baltic Art Review”: złoto to szlachetny metal, który wszystko rozświetla, ale niczego nie zdradza. Co miała na myśli? O jakim rodzaju zdrady mówiła?

Przewinął taśmę, szukał pewnego miejsca, chciał usłyszeć, co dokładnie powiedziała Hildur. Zajęło mu to chwilę, kilka prób. Jej skargi na personel i zasady obowiązujące w domu spokojnej starości ciągnęły się w nieskończoność.

Więc rozmawiała z panią o tym? O swoim sposobie pracy?

Żadnej odpowiedzi. Skrzek ptaka, gdzieś w dali. Mewa. Wiatr szumiący w mikrofonie.

Potem głos Hildur, odległy jak wspomnienie.

Miała zwyczaj patrzeć na nie przez długi czas. Zanim cokolwiek namalowała. Jak na starego przyjaciela. Kochała złoto. Widzi pan, ono wszystko umożliwia.

Tym razem ani śladu goryczy, tylko smutek i zachwyty.

Cornelius miał jednak rację: trzeba skupić się na wpływie Foujity. To Foujita nauczył Zoie pracować ze złotem. Była jedyną uczennicą, którą przyjął pod swoje skrzydła.

Elliot zjechał z drogi i ruszył do miasta. Do zamknięcia biblioteki w Bukowskim zostały jeszcze trzy godziny.

W lipcu 1913 roku Tsuguharu Foujita, najstarszy syn japońskiego lekarza wojskowego, absolwent Tokijskiej Szkoły Sztuk Pięknych i posiadacz czarnego pasa w dzudo, zszedł z pokładu S/S „Mishima Maru” w Marsylii ubrany w kask tropikalny, okulary i białą lnianą marynarkę, która zgodnie z modą tamtych czasów kończyła się dziesięć centymetrów przed kolanem. Po kilku dniach pojechał do Paryża, udał się wprost na Montparnasse i wynajął pokój w Hotel d'Odessa, około czterystu metrów od Académie Colarossi, gdzie jego dawny nauczyciel, Kuroda Seiki, studiował w latach osiemdziesiątych XIX wieku. Ale Foujita nie zapisał się na akademię. Może nigdy nie planował chodzić na zajęcia albo zmienił zdanie po przyjeździe. Zamiast uczęszczać na lekcje, niemal od razu zabrał się do pracy, malował, szkicował, udzielał się towarzysko, wkraczając w półświatek lewego brzegu, jakby się do tego urodził.

Najwcześniejsza znana fotografia Foujity z jego lat paryskich przedstawia go w stroju człowieka interesu, w trzyczęściowym garniturze i meloniku. Wkrótce jednak odrzucił maskę konformizmu i zaczął nosić się dość oryginalnie. Foujita zakochał się w tancerce Isadorze Duncan i jej bracie Raymondzie. W owym czasie Isadora była w żałobie po śmierci dwójki swoich dzieci, które utonęły w wypadku łodzi. Foujitę pociągały spartańskie ideały ascetyzmu i życia zgodnego z naturą, za którymi opowiadali się Duncanowie. Spacerował po Montparnassie w ręcznie robionych sandałach, opasce na głowie i tunice w stylu starożytnej Grecji, uszytej z materiału, który sam uprządł.

Foujita budził fascynację, zwłaszcza w kobietach, był oblegany na przyjęciach, a po rozwodzie z żoną, którą zostawił w Tokio, wdał się w serię romansów. Później, znużony Spartą, zaczął nosić orientalne tuniki, naszyjniki i kolczyki w stylu Babilonii, a do tego wytatuował sobie na nadgarstku zegarek. Obciął włosy w charakterystyczną, zaczesywaną do przodu fryzurę, naśladującą posąg starożytnego Egiptu, i taki wygląd zachował do końca życia.

Ludzie nazywali go *Fou-fou**. Ale to mu nie przeszkadzało. Żył w swoim własnym świecie, który kształtował wedle własnego upodobania. Ze wszystkich obcokrajowców w Paryżu to dla niego wygnanie wydawało się być najbardziej wyzwalające, najszczęśliwsze. Europejskich wygnańców w Paryżu, na przykład Picassa, nawiedzały wspomnienia tego, co zostawili za sobą. Foujity przeszłość nie krępowała.

* *Fou* (franc.) - szaleniiec.

Na Montparnassie Foujita poznał Amadeo Modiglianiego, który przeniósł się tam z ntmartre'u kilka lat wcześniej. Modi przychodził popołudniami do jego pracowni, recytował włoską poezję i wypytywał go o wschodnie techniki malarskie. Modiego w szczególności pociągały kręte czarne linie, jakimi Foujita rysował swoje modele, i gładkie jak kość słoniowa powierzchnie, które przygotowywał zawczasu, o unikalnej głębi i przejrzystości.

Powierzchnie musiały być odpowiednio przygotowane przed położeniem listków złota. Oznaczało to nakładanie warstwa za warstwą gipsu sztukatorskiego, białej substancji zrobionej z wody, kleju i sproszkowanego gipsu albo pyłu marmurowego. W tradycyjnych ikonach część powierzchni pozostawała niezłoczona, być może tylko z oszczędności, co z kolei znaczyło, że każdy twórca ikon potrafił malować wprost na tak zwanym gesso. W podręcznikach historii sztuki nie wspomina się wiele o tym, jak Foujita przygotowywał swoje płótna. Autorzy piszą, że używał „mlecznobiałego podkładu”, nadmieniają o jego zwyczaju mieszania farb z oryginalnymi substancjami - sproszkowanym szkłem, zmielonymi muszlami ostryg - w celu uzyskania matowej, kryjącej bieli. Ale użycie podkładu należało do techniki złotniczej i fakt, że Foujita często używał listków srebra i złota, sugerował, że dobrze ją znał.

To zapewne z tego powodu Zoia się nim zainteresowała.

Foujita późno pojawił się na paryskiej scenie artystycznej, ale szybko przyćmił wszystkich. Zarabiał nieźle i cieszył się uznaniem krytyków. Jego prace prezentowano rokrocznie na Salonie Jesiennym, wystawiał z powodzeniem w tak odległych miejscach jak Londyn, Berlin, Mediolan, Nowy Jork i Chicago. W 1925 roku otrzymał Legię Honorową i belgijski order Leopolda I. Do 1926 jego obrazy zostały zakupione przez Francję do kolekcji narodowej. Kiedy dwa lata później Zoia zapukała do drzwi Foujity, był najbardziej uznanym malarzem w Paryżu.

Dla Foujity punktem zwrotnym był rok 1917, kiedy poznał i po trzech tygodniach poślubił Fernande Barrey; w tym roku powstał egipski portret na złocie. Od tamtej chwili Foujita nigdy nie oglądał się wstecz.

Obecnie *Portret madame de Foujita* i autoportret artysty wiszą w Angladon Museum w Awinionie, gdzie trafiła większa część kolekcji Jacques'a Douceta. To jedno z niewielu ważnych dzieł Foujity wystawianych poza Japonią. Jednym z powodów, dla których sława Foujity osłabła po złotym okresie, był fakt, że jego najlepsze prace dosłownie rozchwyтали prywatni kolekcjonerzy. Od tamtej pory niewiele z nich pokazało się na rynku sztuki. W dużych państwowych zbiorach ich nie było, a zatem nie były też znane szerszej publiczności. Z tego samego powodu poświęcono Foujicie niewiele prac naukowych.

Mimo poważnie brzmiącego tytułu modelką sportretowaną na egipskim portrecie jest oczywiście Fernande Barrey, a nie, jak sądzili niektórzy, zmyleni orientalnym stylem, namalowana z pamięci Tomiko, żona, którą Foujita zostawił w Japonii. Fernande, także artystka, miała podobnie jak Tomiko gęste, równo obcięte włosy z sięgającą brwi grzywką i ciemne przenikliwe oczy. Ale istniała też inna, bardziej przekonująca wskazówka, że to właśnie Fernande.

Fernande poślubiła Foujitę pod koniec marca. Wkrótce potem, według jednego ze źródeł, pojechała z kilkoma pracami męża do marszandów na prawym brzegu Sekwany, z nadzieją, że zdobędzie trochę pieniędzy. W galerii Georges'a Cherona na rue La Boétie złapał ją deszcz, więc wymieniła dwie akwarele na parasol. Klient wziął je od razu, a kilka godzin później sam Cheron zawitał do pracowni Foujity i kupił wszystko, co tam znalazł, a nawet szperał jeszcze po kątach przy świetle płomienia zapalniczki. Zaproponował Foujicie siedmioletni kontrakt, który gwarantował artyście dochód czterystu pięćdziesięciu franków miesięcznie. Tego wieczoru, żeby uczcić szczęśliwy los, Foujita i Fernande wybrali się do miasta i kupili parę kanarków, które potem pojawiły się na portrecie *Madame Foujita*, delikatnie przysiadając na palcach Fernande. Ten obraz, wraz z autoportretem malarza, został pokazany jeszcze w tym samym roku na jednej z dwu wystaw zorganizowanych w galerii Cherona, gdzie najprawdopodobniej zakupił go Jacques Doucet.

Wybór złota, podobnie jak żółte ptaki, sugerował święto, dostatek, wiarę w przyszłość. Może to ów koktail egzotyki i obfitości przyciągnął wzrok Zoi: w mrokach roku 1917, roku rzezi i rewolucji, był to lśniący obraz jakiegoś dalekiego świata.

W bibliotece Bukowskiego Elliot wziął wszystko, co znalazł na temat sztuki starożytnego Egiptu. Wiedział, że to rzemieślnicy Górnego Nilu jako pierwsi opanowali do mistrzostwa sztukę złocenia, ale poza tym była to dla niego ziemia nieznana. Ślęczał nad kolorowymi ilustracjami statuetek i figurynek, biżuterii i talizmanów. Od razu uderzyła go jedna rzecz: bardzo niewielka liczba przedstawień egipskich księżniczek. Znajdowano je na ścianach grobowców, ukazujących historie dynastii albo też wplecione w zaklęcia. Ale kobiety przedstawione w dziełach sztuki starożytnego Egiptu, które pojawiały się w salonach sprzedaży - i które Foujita miał szansę zobaczyć - nie były księżniczkami, tylko boginiami. A spośród nich to Hathor, bogini radości i miłości, najbardziej przypominała kobietę z portretu.

Zatem Foujita namalował Fernande jako boginię, i dlatego tło musiało być złote. W starożytnym Egipcie złoto było symbolem boskości. Tylko osobom spokrewnionym z domem panującym - faraon był uważany za żywego boga - wolno było używać złota na sarkofagach. W

sztuce sacrum związki były jeszcze silniejsze: złoto, metal, który nie śniedzieje, który pozostaje na zawsze niezmienny, reprezentowało samych bogów.

Pod jednym względem technika Foujity była jednak niewłaściwa.

Elliot wrócił do zdjęć z Awinionu. Nawet nie mając przed oczami obrazu Foujity, jasno widział różnicę. Starożytni Egipcjanie wynaleźli technikę znaną jako złocenie na pulmencie. Czterema lub pięcioma warstwami pulmentu - rzadkiej płynnej gliny zmieszanej z klejem - pokrywano gesso, a na nich kładziono listki złota. Woda, wsiąkając w glinę, ciągnęła je za sobą. Wówczas można było polerować złoto, a narzędziem, jakim posługiwano się najchętniej, był wilczy kiel. W Egipcie używano kła szakala, w Bizancjum i Rosji wilka. Robiono specjalne noże, z rączką owiniętą szpagatem, dość ostre, żeby przeciąć mięso, i polerowano nimi pozłocaną powierzchnię, aż lśniła jak lustro. Ale Foujita stosował odmienną technikę, tak zwane złocenie na mikstionie. Nakładał na gesso klej na bazie oleju i na nim umieszczał listki złota. Plussem takiej techniki była prostota. Minusem fakt, że listek złota zostawał przymocowany nieodwracalnie i nie można go było polerować. To dlatego w późniejszych wiekach artyści związani z Kościołem posługiwali się tym rodzajem złocenia wyłącznie wtedy, gdy przedstawiali złote nici w świętych szatach liturgicznych, czyli ukazywali złoto, które nie musiało wyglądać na trwałe i solidne.

Elliot zszedł na dół do recepcji Bukowskiego. Błada dziewczyna rozpoznała go i po kilku wewnętrznych telefonach dała mu klucze do galerii w piwnicy. Poszedł tam, otworzył drzwi i zapalił światło.

Ktoś wykręcił kilka żarówek, ale obrazy stały tak jak poprzednio, połyskując w półmroku. Pod pewnym kątem złoto bardziej przypominało ciemniejszy od siebie brąz, przydymione głębie usiane żółtymi gwiazdami. Przechodził od obrazu do obrazu, aż przystanął przed *Letnim pałacem w Carskim Siole*. W tle, niemal zgubione pod masywną błękitną i białą fasadą, spostrzegł matkę z dzieckiem, która przechodziła przez ulicę. Nie zauważył ich wcześniej. Matka wyciągała rękę, ale dziecko jej nie wzięło. Przypomniał sobie wówczas słowa Hildur Backlin, że dzieci osłabiłyby Zoję, jej moc seksualną, a pewnie i twórczą. Nie była nawet w stanie znieść ich bliskości.

Podszedł bliżej, wpatrując się w detale, milion nitek i zmarszczek, przebiegających przez pozłotę. Z odległości kilku centymetrów dawała ona wrażenie nieskończonej złożoności, sugerowała istnienie jakichś wzorów i symboli, delikatnych jak pajęczyna włókien światła i cienia,

łączących się, powtarzających, promieniujących. Kiedy przenosił ciężar ciała z jednej nogi na drugą, widział już zupełnie inny wzór.

Złoto Foujity miało krystaliczny, mineralny charakter. Było jakby ziarniste, niewykluczone, że była to świadoma imitacja starożytnego artefaktu, w którym podłoże z gesso zdążyło się rozkruszyć albo w którym drewno popękało. Ale złoto Zoi było inne. Rodzaj polerowania, a nawet kolor złota różnił się w kolejnych obrazach, lecz samo złoto pozostawało zawsze jednolite, jak bariera chroniąca przed chorobami, jak skóra.

W latach trzydziestych Zoia podróżowała do Florencji, żeby i tam się uczyć. Jej współcześni musieli uznać to za dziwaczne posunięcie, skoro wcześniej miała bliski kontakt z paryską awangardą. Ale Florencja to rodzinne miasto Cennino Cenniniego, jedyne miejsce w Europie, gdzie wciąż jak przez wieki nauczano, i praktykowano, jak złocić na pulmencie. Zoia chciała poznać tę technikę. Potrzebowała jej tak samo jak Degas potrzebował absyntu, a Gauguin seksu. Ponieważ ona odkrywała przed Zoią jakiś nowy wymiar. Ponieważ tylko dzięki niej mogła tworzyć.

Elliota dobiegł odgłos kroków w korytarzu. Cornelius Wallander, zgrzany i spocony, wpadł do pomieszczenia w piwnicy z dużą brązową kopertą.

- Ach, Marcus, powiedzieli mi, że tu cię znajduję. Więc otrzymałeś moją wiadomość.
- Twoją wiadomość?
- Nagrałem ci się na komórkę. Dziś rano.

Elliot wyjął telefon z kieszeni. Wyłączył go poprzedniego wieczoru, żeby oszczędzić baterię, i zapomniał na powrót włączyć.

- No cóż, i tak się pojawiłeś - rzekł Cornelius. - Tu są zdjęcia wszystkich ważniejszych obrazów, które będą na wystawie, tytuły, daty, rozmiary i materiały. Prawdę mówiąc, niektórych dat nie jesteśmy pewni. Może ty nam pomożesz.

Podał mu kopertę. W środku znajdowały się błyszczące zdjęcia prac Zoi, opatrzone informacją napisaną ręcznie na marginesach.

- Zrobię, co w mojej mocy - odparł Elliot. - Ale listy, które czytałem, jak dotąd niewiele mówią o jej obrazach. Większość z nich to prywatne listy od różnych osób.

Cornelius wzruszył ramionami.

- Można się było tego spodziewać. Posłuchaj, Marcus, coś...

Aktorka stała po przeciwnej stronie pomieszczenia. To był jeden z wczesnych obrazów Zoi, być może jeden z pierwszych z użyciem złota. W przeciwieństwie do innych, późniejszych

prac, gdzie złoto w tle tworzyło rodzaj atmosfery, tutaj listki złota stanowiły element dekoracyjny wykorzystany wewnątrz kompozycji. Efekt był świadomy, jarmarczny, ironiczny. Podobnie jak modelka z ostrym makijażem, oślepiął, żeby coś ukryć.

Elliot nachylił się, właśnie przypomniał sobie coś z początku swoich studiów.

- Listki złota są tak naprawdę półprzezroczyste. Wiedziałeś o tym? Cornelius ściągnął brwi.

- Nie wiedziałem.

- Mówię o czystym złocie, dwudziestoczerokaratowym. To kolejny powód, dla którego artyści kładą pulment na gesso. Listek złota na bieli przybiera zielonkawy odcień. Potrzebna jest terakota, żeby go ocieplić.

Cornelius skinął głową, chciał wrócić do interesów.

- Ciekawe. Zawsze myślałem że złoto to złoto.

- Nie. To zawsze coś więcej.

Na końcu pomieszczenia znajdowała się duża panorama. *Port w Sztokholmie* należał do serii pejzaży miejskich Sztokholmu, szerokich panoramicznych widoków, dziwnie wyciszonych, jeśli chodzi o fakturę i kolor. Wykorzystanie przezroczystego pigmentu pozwoliło przebliskiwać złotu pod spodem i było ciekawe z technicznego punktu widzenia. Ale Elliot nie potrafił myśleć o tych obrazach inaczej jak o wymuszonym podziękowaniu dla kraju, który dał Zoi schronienie przez wszystkie lata. I z całą pewnością większość obrazów skończyła na ścianach budynków rządowych w stolicy i okolicach.

Najgorsze obrazy Zoi to te powstałe na zamówienie, co z biegiem lat zdarzało się coraz częściej. Niektórzy powiadali, że zrobiła się chciwa, że artystka zamieniła się w kobietę interesu. Inni sądzili, że skupienie się na materiałach i technice sprawiało, że jej twórczość znalazła się w ślepych zaułku - zresztą podobny los spotkał Foujite. Przez trzydzieści powojennych lat jego obrazy nawiedzały dziwne postacie, podobne do kukieł z wytrzeszczonymi oczami, trochę cklive, trochę przerażające. Wyprodukował ich całe mnóstwo, a wartość jego prac w salonach sprzedaży spadała sukcesywnie.

Podobnie jak mistrz, jego uczennica najlepsze prace namalowała w młodości, kiedy dopiero starała się odnaleźć swoją drogę; zanim znalazła to, czego szukała, ale jeszcze nie zrezygnowała z poszukiwań.

Elliot stwierdził, że musi wrócić do listów. Musi przeczytać je dokładnie, wyłowić każde, choćby ulotne, odniesienie do materiałów i techniki. Ale to zajmie sporo czasu.

Nagle uświadomił sobie, że Cornelius coś do niego mówi, cicho i konfidencjonalnie.

- Należy zachować milczenie, Marcus, cokolwiek się zdarzy. To sprawa bezpieczeństwa.

- Przepraszam, ale co powiedziałaś?

- To musi pozostać tajemnicą do otwarcia wystawy. W innym wypadku to miejsce stanie się celem. Czeczeni i tak dalej.

- Celem? Bukowski? Cornelius zbliżył się do niego.

- To stanowiłoby część programu. Najwyraźniej daty się pokrywają i ministerstwo uważa, że to mógłby być doskonały akcent końcowy jego wizyty.

- Czyjej wizyty?

Cornelius zrobił skonsternowaną minę, jego oczy były akurat w cieniu.

- Nie słuchasz, co mówię. Putina. Władimira Putina, prezydenta Rosji.

- Putina. Tak, oczywiście.

- Tego lata wybiera się z wizytą do Szwecji. To nie będzie oficjalna wizyta, ale pierwsza od wyborów.

Elliot poczuł niepokój w żołądku.

- Nawet nie powinienem ci tego mówić - powiedział Cornelius - ale otrzymaliśmy telefon z Ministerstwa Spraw Zagranicznych z prośbą o więcej informacji. Byli bardzo zapaleni. No wiesz, to taki symbol. Z ich punktu widzenia idealny.

Symbol. Tego właśnie wszyscy szukali, ten termin miał nadać znaczenia i wagi życiu artystki. Zoia patriotka, oddana Rosji ponad ideologiami z lewa czy z prawa. Była idealnym sprzymierzeńcem dla postkomunistycznego przywódcy z komunistyczną przeszłością. Zmarłychwstała, odpowiednio odkażona i opakowana, teraz pomagałaby w dyplomatycznych stosunkach i dwustronnym handlu.

- Oczywiście, muszą być pewni, że będzie to wydarzenie na odpowiednim poziomie - ciągnął Cornelius.

- Symboliczne.

Cornelius przytaknął z entuzjazmem.

- No... na to właśnie liczą.

- A ty im powiedziałaś...

- Ja? O rany, nie, nie rozmawiali ze mną. Frederic z nimi rozmawiał. Ja zostałem tylko poinformowany.

- Więc co odpowiedział im Frederic?

- Że to wspaniały pomysł. Och, wiem, te wszystkie kamery i środki bezpieczeństwa. Czarne limuzyny i ochroniarze. Kroku swobodnie nie zrobisz. I będziemy musieli wszędzie umieścić rosyjskie flagi, co jest raczej *outré* moim zdaniem, ale trzeba na to przystać.

Spojrzał na twarz Elliota.

- To podnosi wagę wydarzenia, Marcus. Dla ciebie to dobrze, dla nas wszystkich. A biorąc pod uwagę, co wyprawia się na giełdzie... - Pokręcił głową, na moment zamilkł w obliczu nadciągającej katastrofy. - No cóż, nie stać nas na to, żeby zarznąć kurę znoszącą złote jaja, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Elliot przytaknął. To prawda. Dla niego, tak jak dla innych, ważne było, żeby wystawa okazała się sukcesem. Także ze względu na Teresę. Z poczuciem winy zdał sobie sprawę, że przez cały dzień prawie wcale o niej nie myślał.

- A wracając do ciebie - podjął Cornelius. - Frederic chciałby, żebyś coś dla niego zrobił.

- Frederic?

Cornelius wzruszył przepaszająco ramionami.

- Zakładam, że to jego pomysł. Chce, żebyś coś napisał, rodzaj artykułu, informację. Może nawet uda nam się opublikować to w gazecie. Frederic ma kontakty w prasie.

- Jaki artykuł?

- Na temat Zoi. Jej twórczości. Rodzaj przedmowy do katalogu.

- Nie ufa mi?

- Ależ ufa, Marcus. Oczywiście, że ufa. Ale pracujesz tam sam, no i świetnie. Tyle że teraz cały projekt nabrał innych wymiarów. Rozumiesz. Wszyscy chcą być pewni, że nadajemy na tych samych falach. - Cornelius położył rękę na ramieniu Elliota. - Oczywiście zapłacimy ci za to dodatkowo.

Elliot skinął głową. Więc teraz każą mu pisać informację dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych, tyle że ma to być informacja w równym stopniu o Zoi, co o nim samym. Chcą być pewni, że widzi wszystko we właściwym świetle. Miał prawo odmówić, rzecz jasna, ale tym samym zakończyłby swoją pracę. Frederic Wahl odsunąłby go od tego projektu. Cornelius nie miałby nic do powiedzenia.

No, a on niczego by się nie dowiedział.

- Dobra - odparł. - Powiedz mi tylko, na kiedy to chce.

W połowie drogi na wybrzeże wiatr zerwał się nie wiadomo skąd, rzucił na drogę spirale deszczu ze śniegiem i gwałtownie popchnął volvo w stronę samochodów jadących z naprzeciwka. Z prognozy pogody w radio wynikało, że odwilż była przejściowa, ostrzegano o nadchodzących mrozach. Niemal cały czas do zjazdu na Saltsjöbaden jechał powoli za samochodem cysterną, zadowolony, że się przemieszcza, że jest w drodze. Po spotkaniu z Corneliusem poszedł do najbliższej kawiarni, gdyż nagle uświadomił sobie, jak niewiele jadł przez ostatnie dni. Ale jedzenie i kawa nie uspokoiły go, jak się spodziewał. Ilekroć spojrzął na swoje odbicie w oszklonych drzwiach, widział Zoię w swojej pracowni, jej oczy zamglone w ruchu, w locie.

Widział ją w salonie wystawienniczym Jacques'a Douceta, oniemiała przed portretem Fernande Barrey jako bogini Nilu. Dostrzegła w nim coś, czego Elliot nie był w stanie zobaczyć.

Czy to możliwe, że Zoia rozpoznała siebie w tym obrazie? Czy o to chodzi? Była nieco podobna do Fernande: głęboko osadzone oczy, równo przycięte czarne włosy, prowokacyjna, dziewczęco zaokrąglona twarz. Większość kobiet Foujity tak właśnie wyglądała, także jego trzecia żona Lucie Badoul, którą nazywał Youki, co po japońsku znaczy śnieg. Elliot przypomniał sobie słynny akt z 1924 roku, *Youki, bogini śniegu*. Foujita namalował ją bladą i nagą na srebrzystym łóżku, z czarnym psem u stóp, kolejną kochankę bóstwo.

Przyszło mu do głowy, że czarny pies nie był wcale psem, ale szakalem, i że ten szakal to Anubis, bóg, który strzegł grobowców faraonów. Anubis, którego zwano Strażnikiem Tajemnic.

W Ibis Majestic przybyło gości. Parking był zastawiony saabami i volvo sedanami, a przed wejściem stał duży autokar. Właśnie wysiadali z niego biznesmeni z niewielkimi podróżnymi torbami i workami na ubrania przewieszonymi przez ramię, niektórzy wyraźnie zmęczeni. Ciężko schodzili po stopniach, byli krzykliwi, mieli czerwone twarze.

Z początku Elliot nie zauważył białego volkswagena, który wyjeżdżał akurat z miejsca parkingowego po drugiej stronie autokaru i cofając się, lekko zahaczył samochód z tyłu.

Nacisnął hamulce.

Był pewien, że to ona: kobieta, którą widział przed budynkiem Bukowskiego. Tym razem nie miał wątpliwości. Widział zarys głowy w kapturze na tle świateł hotelowego holu.

Zaparkował po drugiej stronie i patrzył. Kobieta ruszyła naprzód, a potem znowu się cofnęła, jej kierunkowskaz migał. Wyglądało na to, że jeszcze go nie zauważyła, pewnie siedziała tam całe popołudnie i czekała na niego. A teraz w końcu postanowiła się poddać i wracać do domu.

Cornelius powiedział, że z wizytą Putina pojawiła się „kwestia bezpieczeństwa”. Czy o to chodziło, czy w ten sposób wymachiwali mu pięścią przed nosem? Miało to nawet jakiś pokrętny sens.

Nie gasząc silnika, wysiadł z samochodu.

- Hej, hej, proszę pani.

Jego głos był prawie niesłyszalny na porywistym wietrze.

- Halo!

Przeszedł na drugą stronę ulicy.

Volkswagen bez ostrzeżenia wyjechał prosto na niego. Oślepiły go zapalone reflektory. Próbował osłonić przed nimi oczy. Gdzieś na ulicy zabrzmiał klakson.

Samochód ruszył naprzód. Zaraz go przejedzie. Oczywiście, taki był plan, żeby się go pozbyć.

W przebiegu zobaczył Nadię. Pozbawioną wyrazu kamienną twarz, kiedy mówiła mu, że nigdy nie będzie w stanie jej zrozumieć. Więc aż tak bardzo go nienawidziła.

Starając się uskoczyć na bok, pośliznął się. Ujrzał przerażoną minę kobiety, usłyszał pisk opon na żwirze i brei. Uderzył w bok autokaru, zdawało mu się, że volkswagen odjeżdża za jego plecami.

Wpadł znów w poślizg i zatrzymał się kilka metrów dalej, spaliny z rury wydechowej tańczyły w blasku świateł hamowania. Kierowca autokaru wystawił głowę przez okno, żeby zobaczyć, co się dzieje, prawdopodobnie spodziewał się ujrzeć jakiegoś chuligana z puszką farby w sprayu.

- Nic się panu nie stało?

Elliot wziął kilka głębokich wdechów i pokręcił głową.

- Niech pan uważa. Czarny płaszcz, jest ciemno. - Potrząsnął głową i zniknął za szybą.

Drzwi volkswagena otwierały się powoli. Elliot podszedł do niego.

- Kim pani jest, do diabła? Czego pani chce?

Ujrzał przed sobą twarz młodej kobiety. Spodziewał się kogoś starszego, oblicza, na którym maluje się doświadczenie i jakiś zamysł. Ale ta dziewczyna miała najwyżej dwadzieścia pięć lat.

Wyjęła słuchawki z uszu. Słuchała muzyki z przenośnego odtwarzacza CD.

- Przepraszam, nie zauważyłam pana.

Miała krótkie sterczące włosy i brązowe oczy. Minał ich samochód, rzucając na nią światło. Jej wargi były apetycznie zaokrąglone i ciemne. To jedno świadczyło, że jest dorosła.

- Pan Elliot? - zapytała.

- A jeśli tak, to co?

- Szukałam pana. Nazywam się Kerstin Östlund.

Po chwili wahania wyciągnęła rękę. Miała grube wełniane rękawiczki z jednym palcem.

- Już panią widziałem - powiedział Elliot. - Czego pani chce?

Dziewczyna położyła rękę z powrotem na kierownicy. Z wnętrza jej samochodu dolatywała woń tytoniu.

- Próbowałam się do pana dodzwonić do hotelu, ale pana nie zastałam. Nie chciałam zostawiać wiadomości. Dzwoniłam nawet do domu.

- Do domu?

- Do domu Zoi.

Przypomniał sobie, jak szukał telefonu, gdy dzwonił bez końca, aż wreszcie znalazł go pod pokrowcem w jadalni, ale za późno.

- Znam kogoś z Bukowskiego. Ta osoba powiedziała mi, że pan tu pracuje.

- Więc?

- Jestem dziennikarką. Piszę dla „Expressen”. Elliot wyprostował się.

- Przykro mi, ale nie rozmawiam z dziennikarzami.

- Proszę, panie Elliot...

- Traci pani czas.

Zatrzasnął drzwi volkswagena i ruszył w stronę swojego samochodu. Dziewczyna opuściła szybę.

- Byłam przyjaciółką Zoi. Panie Elliot? Muszę panu coś powiedzieć. Coś, co powinien pan wiedzieć.

Elliot przystanął, mrużąc oczy od padającego śniegu z deszczem. Oczy tej dziewczyny przypominały mu oczy Fernande Barrey, oczy Zoi. Tak samo ciemne, tak samo głębokie.

Wpadł mu do głowy szalony pomysł, że tkwili w tym wszyscy razem, połączeni jakąś tajemną wiedzą.

Wtajemniczeni.

- Niech pani zaparkuje samochód - powiedział.

Hotel był zapelniony uczestnikami konferencji prawników zajmujących się prawem handlowym. Stali w kolejce do recepcji, szykując się na dwa dni i dwie noce pracy i opłaconej z góry rekreacji. Kiedy Elliot prowadził Kerstin holem, odwracali po kolei głowy i lustrowali ją wzrokiem. Prawdę mówiąc, niewiele było widać. Miała na sobie długi do kolan zamszowy płaszcz, z długim sztucznym futrem przy mankietach. Była wysoka, nieco szeroka w ramionach, ręce wsadziła głęboko do kieszeni, co świadczyło, że nie czuje się dobrze pod ostrzałem obcych spojrzeń. Przypominała Elliotowi dziewczyny, których unikał na studenckich imprezach, takie co to mocno tuszowały rzęsy i malowały powieki, i miały za złe całemu światu.

Bar stanowił jedyne miejsce w tym hotelu, gdzie przynajmniej próbowano stworzyć jakiś nastrój. Panował tam półmrok, stoliki stały pod ścianami, a na nich małe pomarańczowe lampki. Kilku prawników zdążyło już tam zasiąść, wznosili toasty wódką na pusty żołądek. Złote spinki do mankietów i złote zęby połyskiwały w przyciemnionym halogenowym świetle.

Usiedli w boksie w rogu.

- Więc szuka pani tematu, tak? - spytał Elliot.

- Tak, w pewnym sensie.

- I co? Zoia była jednym z pani źródeł?

- Nie. - Dziennikarka sięgnęła do płaszcza i wyjęła paczkę papierosów. Posługiwała się szkolną angielszczyzną, ale bez błędów gramatycznych, tak jak jego matka.

- Pozwoli pan...?

- Co jest z tą Szwecją? - powiedział. - Wszyscy tu palą. Podsunęła mu papierosy, ale Elliot odmówił.

- To ta zima. - Zapaliła i uśmiechnęła się przelotnie. - Ludzie czują się samotni.

- I papierosy dotrzymują im towarzystwa? Kerstin zgasiła zapalę.

- Coś w tym rodzaju.

Wyglądała lepiej w pomarańczowym świetle. Ukrywało jej bladość. Prawdę mówiąc, gdyby nie była jaka fryzura i podpuchnięte oczy, byłaby całkiem ładna.

- Więc co chciała mi pani powiedzieć? - spytał. Trzymając papierosa w ustach, usiłowała zdjąć płaszcz.

- Pracowałam kiedyś w Bukowskim. Stąd znam pana nazwisko. Nadal mam tam przyjaciół.

- Pani? W Bukowskim?

- Studiowałam historię sztuki na uniwersytecie sztokholmskim. Bukowski to była moja pierwsza praca.

- Musiała pani być dobra.

- Miałam kiepskie oceny, ale jeden z moich profesorów szepnął za mną słówko. To się nazywa pociągnąć za sznurki.

Żadnego zakłopotania, żadnej sugestii, że jest jej wstyd i żałuje.

- Zatrudnili mnie w dziale wyceny krajowej. To było jakieś trzy lata temu. Cornelius Wallander był wtedy szefem.

- Tak, wiem.

Zaciągnęła się papierosem, patrząc na niego spod zmrużonych powiek. Zachowywała się profesjonalnie, była pewna siebie, a równocześnie widać było w niej jakąś chwiejność, niepokojącą kruchość.

- Jak dobrze pan go zna? - spytała.

- Corneliusa? To zawodowa znajomość. Zaczęła się dawno temu.

- Kiedy był pan marszandem?

To także wiedziała. Najwyraźniej ludzie gadali.

- To prawda. Kiedy byłem marszandem.

- Ale już pan nie handluje sztuką?

- I co z tego?

Patrzyła na niego spokojnie.

- Chciałam tylko wiedzieć, czy pan też bierze w tym udział, to wszystko.

Najpierw przypochlebianie się, teraz insynuacje. Elliot omal nie roześmiał się jej w twarz.

- Biorę w tym udział? W czym?

Do ich stolika podszedł ten sam chłopak, który zwykle siedział w recepcji.

- Czy mogę coś podać? Panie Elliot? A dla pani?

Tym razem był przesadnie miły, jak ktoś, kto wie, co w trawie piszczy. Jeden z prawników przy barze gapił się na Kerstin, oblizując językiem kąciki warg.

Zamówili kawę.

- Może powie mi pani wreszcie, o co w tym wszystkim chodzi - poprosił Elliot.

- Wallander był świadkiem przy podpisywaniu testamentu. Testamentu Zoi. To dziwne, nie sądzi pan?

Kerstin czujnie westchnęła. Kiedy uniosła głowę, światło padło na niewielkie zagłębienie na jej czole, wąskie, ale wyraźne wgniecenie, długie na jakieś półtora centymetra, znikające pod linią włosów. Zastanawiał się, jaki wypadek pozostawił jej taką bliznę.

- Przepraszam, nie nadążam.

- Mówię o testamencie, sporządzonym kilka dni przed śmiercią Zoi, w którym zapisała prawie wszystko doktorowi Peterowi Lindqvistowi, w tym wszystkie obrazy z jej prywatnej kolekcji. To lekarz Zoi.

- Wiem, kto to jest. I co z tego?

- A wie pan, kto tak naprawdę sporządził testament? Powiem panu: prawnik Lindqvista. - Skinęła głową, dając mu czas, żeby ta informacja do niego dotarła. - Nazywa się Thomas Röstman. Dowiedziałam się, że bronił Lindqvista w sprawie o błąd w sztuce jakieś osiem lat temu w Uppsali.

- W sprawie o błąd lekarski?

Przytaknęła, mrużąc znów oczy i zaciągając się po raz kolejny.

- W dalszym ciągu badam szczegóły. Podobno jakaś nieszczęsna kobieta straciła nerkę. I to zdrową nerkę.

- Więc co chce pani przez to powiedzieć? Że testament jest fałszywy?

Kerstin paliła, nie spuszczając z niego wzroku.

- Cóż, nie chciałbym psuć pani historii - powiedział - ale czy nie wyciąga pani pochopnych wniosków?

- Można by tak powiedzieć, gdybym nie wiedziała, co Zoia pragnęła zrobić z tymi obrazami.

Oznajmiła to w sposób niebudzący wątpliwości.

- Przypuszczam, że powie mi pani teraz, że chciała je zniszczyć. Kerstin przechyliła głowę, marszcząc czoło.

- Nie. Dlaczego tak pan sądzi?

- Nie wiem. Po prostu... Więc co chciała z nimi zrobić według pani teorii?

- To nie jest teoria. Sama mi to oświadczyła. Niektóre obrazy miały pójść do państwowych galerii w Szwecji i Francji. Jeden do szkoły sztuk pięknych we Włoszech i przynajmniej jeden do Montparnasse Museum w Paryżu. Obiecała też obrazy różnym prywatnym osobom.

Pierwszą rzeczą, jaką oznajmiła mu Hildur Backlin, kiedy znalazł ją w domu opieki było: Ona nadal jest mi winna obraz.

- I Zoia to pani powiedziała? Kerstin skinęła głową.

- Dlaczego?

Spuściła wzrok na paczkę papierosów i zaczęła się nią bawić.

- Poznałam ją pod koniec jej życia. Okazała mi wiele dobroci, kiedy... - Potarła skronie grzbietem kciuka. - Kiedy było źle. Zaprzyjaźniłyśmy się.

Elliot spróbował to sobie wyobrazić: młoda dzikuska i dziewięćdziesięcioletnia artystka. Kerstin podniosła wzrok i ujrzała powątpiewanie na jego twarzy.

- Uważa pan, że zmyślam?

- Zastanawiam się tylko, jak taka dziewczyna jak pani, mogła przyjaźnić się z taką kobietą jak ona. Zastanawiam się, co u licha was łączyło.

Przez chwilę paliła w milczeniu, nie odrywając od niego wzroku.

- Ja nie... Na początku to było zawodowe zainteresowanie. Wysłali mnie tam, żebym przejrzała te książki i dokumenty, głównie dla celów szacunkowych. Odpisania od podatku.

- Jakie dokumenty?

- Które należały do byłego męża Zoi, Karła Kilboma. Tego polityka, wie pan?

Elliot przytaknął.

- Tego, który uratował jej życie.

- Tak. Rozwiedli się w trzydziestym siódmym. No i on zostawił swoje papiery synowi z kolejnego małżeństwa. A ten stwierdził, że powinny znaleźć się w archiwum państwowym. Więc pojechaliśmy tam, żeby je przejrzeć i wycenić. Wtedy natknęłam się na jej listy.

- Listy Zoi?

- Wiele z nich nie miało dat. Więc pomyślałam, że trzeba by poprosić ją, by pomogła nam w tej kwestii, skoro jeszcze żyła.

Elliot przechylił głowę.

- I włożyła pani tyle wysiłku, żeby odnaleźć Zoię tylko po to, by dowiedzieć się, z jakiego okresu pochodziły listy, które pisała - ile? - jakieś sześćdziesiąt lat wcześniej? Na jakiej podstawie uważała pani, że ona to w ogóle pamięta?

Chłopak postawił przed nimi kawę.

- Nie chodziło tylko o to. - Kerstin sięgnęła po torebkę z cukrem. - Uważałam, że listy są interesujące. Chciałam ją poznać. Zawsze podobało mi się jej malarstwo.

- I ona pani pomogła.

- Jak już mówiłam, była bardzo dobra. Poświęciła mi mnóstwo czasu, a to coś znaczy. Ponieważ... - Otworzyła papierową saszetkę i wsypała cukier do filiżanki. - Ponieważ nie zostało jej wiele czasu.

Zamieszała kawę, miała pomalowane i ogryzione do skóry paznokcie. Elliot był ciekaw, w czym pomogła jej Zoia.

- Przypuśćmy, że wszystko to, co pani mówi o testamencie, jest prawdą. Jaki to ma związek ze mną? Co ja mogę zrobić?

Kerstin spojrzała na niego znad filiżanki.

- Pan ma tam dostęp. Do jej dokumentów, do domu. Może pan się rozejrzeć.

- Czego mam szukać?

- Jakiegokolwiek informacji na temat obrazów. Komu chciała je przekazać. Może korespondowała z tymi galeriami. Może są listy, w których pisze, co zamierzała zrobić.

- Nawet gdyby były, to niczego nie dowodzi. Testament unieważnia wszystko, co było wcześniej.

- Potrzebujemy jedynie dowodów. Dość dowodów, żeby władze przyjrzały się znowu testamentowi, spojrzały na podpis, na świadectwa lekarskie. Może Zoia pod koniec życia nie była w stanie podpisać się własnoręcznie. Mamy tylko zapewnienie Lindqvista, że mogła, ale on był głównym beneficjentem.

Na zewnątrz silnik autokaru zwiększył obroty. Z piskiem hamulców wyjechał na drogę. Kolejni prawnicy wlewali się strumieniem do baru: ciemne garnitury, opalone twarze, klientela elegantsza niż ta, do której Majestic przywykł na co dzień. Widok zamożnych posiadaczy stałego dochodu zawsze sprawiał, że Elliot czuł się wyrzutkiem.

- Powiedzmy, że coś znaję. Co wtedy? Pani ma o czym pisać, a ja? Wystawa nie dochodzi do skutku. Sprzedaż pada. A ja tracę prowizję, której bardzo potrzebuję.

Kerstin dłubała przy skórcie paznokcia.

- Oczywiście, pani jest dziennikarką. Pani chce mieć tylko interesującą historię?

- To wszystko... to wszystko stanie się tak czy owak, jeśli prawda wyjdzie na jaw.

- A może to, co Zoia pani powiedziała, nie jest prawdą. Przyszło to pani kiedyś do głowy? Jeśli była tak zdeterminowana, żeby przekazać te obrazy, dlaczego tego nie zrobiła? Co jej stało na przeszkodzie?

Kerstin pokręciła głową.

- Pan nie rozumie. Obrazy stanowiły jej kapitał. Sprzedawała po jednym, kiedy potrzebowała pieniędzy. Nie było jej stać na to, żeby je podarować. Poza tym nie kłamałaby w takiej sprawie. Wiedziałby pan to, gdyby pan ją znał. - Strząsnęła popiół do szklanej popielniczki. Nagle w jej oczach pokazały się łzy. - Dla was nigdy nie liczy się prawda.

Sięgnęła po płaszcz i narzuciła go na ramiona. Elliot nie wiedział, co powiedzieć. Zastanawiał się, kim są ci „oni” i dlaczego jest jednym z nich.

- Chwileczkę. Może mógłbym... Może pani by mogła...

- Co?

- Są pewne rzeczy, które chcę wiedzieć. Na temat jej obrazów. Jeśli pani ją znała, może...

Kerstin przesunęła się na siedzeniu.

- Jakie rzeczy? Pochylił się nad stolikiem.

- O Krymie, Sewastoplu. Chcę dowiedzieć się czegoś na temat obrazów, których brak.

Najwyraźniej trzymała je gdzieś w ukryciu. Czy wspominała pani o nich kiedykolwiek?

Zmarszczka na twarzy Kerstin dodała jej nagle powagi.

- Jakie to ma dla pana znaczenie? Skoro już pan nie jest marszandem?

Ona wiedziała.

- Jestem ciekaw, chcę to zrozumieć.

- Chce pan zrozumieć Zoię, ale ona pana nie obchodzi.

- Obchodzi mnie artystka.

- Ale nie człowiek.

Nagle wpadł w złość: to było jak dożylny kop.

- Proszę posłuchać, może ona była dla pani dobra. W porządku. Ale nie oszukujmy się, nie mówimy o świętej. Zoia Korwin-Krukowskaja była twarda. Wykorzystywała ludzi, a potem ich porzucała. Czytałem jej listy. Całe jej życie było pełne ofiar.

- Ofiar? O czym pan mówi?

- Powinna pani wiedzieć. Weźmy choćby Karła Kilboma. - Jego słowa padały jakby z obcych ust. - Uratował jej życie, dał jej dom. Finansował jej karierę. I jak mu odpłaciła? Uciekła do Paryża. A to był dopiero początek.

Słowa Hildur Backlin, a przy tym jego własne. Gwałtowność zdradzonych.

- Miała swoje powody.

- Jasne. Spodziewam się, że myślała, że w Paryżu będzie zabawniej.

Kerstin podniosła się na nogi i zaczęła zapinać płaszcz. Jeśli była zła, była to zimna złość.

- Nie rozumie pan Karla tak samo, jak nie rozumie pan Zoi. Elliot uniósł ręce.

- Niech mi pani powie, gdzie się mylę.

Przechyliła głowę.

- Jakie to ma znaczenie? Karl, Paryż? To stare czasy, prawda?

Elliot pożałował swojego wybuchu. To skutek napięcia całego dnia i bezsennych nocy. Powinien przeprosić, ale jakoś nie potrafił.

Kerstin wyjęła długopis z kieszeni i zapisała coś na serwetce.

- Wie pan co? - powiedziała. - Jak pan mi pomoże, to ja panu też pomogę. Proszę zadzwonić, jeśli pan coś znajdzie. Wtedy powiem panu, co wiem.

Przesunęła serwetkę po stoliku.

Wioska Potiomkina

Kronsztad Izwiestja 8 marca 1921

Klasa robotnicza, rozpoczynając Rewolucję Październikową, miała nadzieję na wyzwolenie. Ale skutkiem rewolucji było jeszcze większe niewolnictwo. Policyjne rządy monarchii przejęli uzurpatorzy, komuniści, którzy zamiast przynieść robotnikom wolność, przynieśli nieustający terror Czeka, który po wielekroć przewyższał okrucieństwa carskiej żandarmerii. Bagnety, kule i wrzaski opryczników z Czeka to właśnie zdobył dla siebie po wielu bitwach i wielkim cierpieniu ciężko pracujący lud w sowieckiej Rosji. Władze komunistyczne zamieniły sierp i młot, wspaniałe emblematy państwa robotników, na bagnety i kraty więzienne. Zrobiły to dla spokoju i bezpieczeństwa nowej biurokracji komunistycznych komisarzy i oficjeli.

Ale najgorsze i najbardziej skandaliczne jest stworzenie przez komunistów moralnego niewolnictwa. Próbuje zawładnąć nawet umysłem robotnika, zmuszając go, by myślał tak, jak oni sobie życzą. Kontrolując związki zawodowe, przywiązali robotników do ich miejsc pracy, przez co praca przestała być radością, a stała się nowym poddaństwem. Na protesty rolników,

wyrażane spontanicznymi powstaniem, i robotników, zmuszonych do strajków przez rozpaczliwe warunki życia, odpowiadają masowymi egzekucjami i rozlewem krwi obcym nawet carskim generałom. Pograżona w mozole Rosja, która pierwsza wzniosła czerwony sztandar wolności, skąpana jest we krwi.

18

Moskwa, czerwiec 1921

Karl Kilbom nie wierzył w opowieść Lindhagena, podobnie jak żaden z delegatów. Lindhagen dostał w głowę i tyle. Cierpiał na chwilowe urojenia, kiedy leżał w rynsztoku; wtedy ukradli mu buty. To, co mówił, nie miało żadnego sensu.

Zaginał czwartego dnia ich pobytu w stolicy, w dniu, kiedy Lew Trocki miał wygłosić przemówienie na kongresie, a potem pojawił się w porze lunchu w jadalni hotelu Continental z rozciętą wargą i zakrwawioną z przodu koszulą. Zeth Höglund, przewodniczący szwedzkiej delegacji, chciał zadzwonić na policję, ale Lindhagen błagał go, by tego nie robił. Zdaniem Kilboma to tylko potwierdzało jego podejrzenie, że historia nie była prawdziwa: co najwyżej młody człowiek dał się ponieść wyobraźni, a w najgorszym wypadku zmyślił wszystko na skutek jakiegoś reakcyjnego objawienia.

Lindhagen był najmłodszym członkiem delegacji i jedynym, który trochę znał Rosję. Oparty o krzesło w jadalni, ze szklanką brandy w ręku, opowiedział im, co się wydarzyło.

Okna pokoju Lindhagena wychodziły na zaplecze kuchni, a jej drzwi wychodziły z kolei na wąskie podwórze otoczone wysokim murem z żelazną bramą. Tego ranka wstał o świcie i właśnie się golił, kiedy zobaczył grupę kobiet, które zbierały obierki i resztki jedzenia, załadowały je potem na wózek i przykryły płachtą brezentu. Kiedy opuszczały podwórze, dwójka dzieci w brudnych łachmanach - chłopiec i dziewczynka - pojawiła się nie wiadomo skąd i wskoczyła na wózek, chwytając garście resztek i wrzucając je do swoich worków tak szybko, jak tylko się dało. Lindhagen odłożył brzytwę i wychylił się przez okno, zaniepokojony widokiem małych obdartusów, które jak szalone grzebały w śmieciach.

Ale najgorsze przyszło później. Kobiety rzuciły się do ataku, chwytając dzieci, które zeskakiwały z wózka, szarpiąc je i drapiąc, zadając ciosy pięścią, wlokły chłopca po ziemi - jakby broniły bezcennego skarbu, a nie kupy śmieci nadającej się tylko dla świń.

Lindhagen wpadł w przerażenie. Krzyknął z okna, ale kobiety były zbyt zajęte sobą, żeby go słyszeć. Otoczyły chłopca, kopały go, przestając tylko po to, żeby zadać ciosy pięścią z zimną pełną nienawiści regularnością, jakby był jakimś ohydny robalem, nieznośnym szkodnikiem, który nie ma prawa do życia.

Jedna z kobiet przepchnęła się łokciami, rozejrzała dokoła, a potem stanęła na gardle dzieciaka.

Lindhagen zbiegł na dół. Chłopak mógł w każdej chwili umrzeć, jeśli już nie umarł. W korytarzach i w pomieszczeniach kuchennych mężczyźni w białych fartuchach patrzyli przerażeni, kiedy mijał ich pędem. Gdy znalazł wyjście na podwórze, nie zobaczył tam już nic prócz kilku obierków i tłustej mazi na bruku, która mogła być krwią.

Potoczył wzrokiem dokoła i dojrzał kobiety na końcu alejki, pchały swój wózek załadowany śmieciami obok policyjnego patrolu. Po chłopcu wszelki ślad zagał. Lindhagen spuścił wzrok i zorientował się, że wciąż trzyma w ręku brzytwę. Wziął głęboki oddech. Nie było tak źle, jak się wydawało. Kobiety przstraszyły dzieciaka, ale go nie zabiły. Chłopiec uciekł, skarcony, ale żywy. I pewnie teraz lizał rany na jednej z pobliskich ulic. Wózek powoli skręcał za róg, a jemu serce wciąż waliło, czuł się trochę głupio, że tak przesadnie zareagował. I wtedy, odwracając się w stronę hotelu, w ostatniej chwili dojrzał wychudzone brudne członki, które wystawały spod brezentu.

Zawołał policjanta, wskazując na kobiety i krew, i próbował wyjaśnić, co się właśnie stało. Ale policjant wziął go za ramię i zawrócił do hotelu. Nie chciał słyszeć o zabójstwie, do którego doszło tuż pod jego nosem. Chciał tylko, żeby obcokrajowiec poszedł z powrotem do swojego pokoju.

Lindhagen stał przez chwilę przy drzwiach kuchni, oszołomiony i zdezorientowany. Wszystko, co widział w Moskwie do tej pory, napełniało go nadzieją. Pomimo lat wojny, ekonomicznej destabilizacji, zniesienia pieniędzy (ta kwestia wciąż wywoływała wiele sporów) był pod wrażeniem porządku i dobrobytu stolicy. Gdziekolwiek się udał - a raczej, gdziekolwiek go zabierano - on i jego towarzysze byli witani przez komitety dobrze odżywionych, przyzwoicie ubranych robotników. Nawet w zakładach pracy słyszał śpiewy i wyrazy sympatii dla proletariatu jego ojczyzny, który nadal pracował ciężko pod jarzmem burżuazyjnego kapitalizmu. Ludzie wszędzie umieszczali zdjęcia Lenina, nawet nad drzwiami cerkwi. Napisał do żony, szczęśliwy, że może zaprzeczyć doniesieniom o masakrach wieśniaków, że to tylko antybolszewicka

propaganda. Ale oto właśnie zobaczył małego ulicznika, zdeptanego na śmierć za kradzież kilku garści obierek ziemniaczanych.

Wówczas dojrzał dziewczynkę. Tkwiła skulona za słupkiem bramy po drugiej stronie ulicy i patrzyła na niego. Jej czarne włosy były matowe i bardzo brudne. Zapadnięte policzki sprawiały, że kości policzkowe wystawały nienaturalnie, jak u starej kobiety.

A jednak tak naprawdę nie patrzyła na niego. Wlepiała wzrok w coś leżącego kawałek dalej. Odwrócił się i zobaczył, że coś zostało po całej tej szamotaninie: kromka chleba, cała w ziemi, ale za to wielkości połowy jego pięści.

W tym momencie Zeth Höglund przerwał tę opowieść. Wokół nich członkowie innych delegacji wyciągali szyje, zastanawiając się, o czym tak szepczą szwedzcy towarzysze. Kilbom i Frederic Ström odprowadzili Lindhagena do jego pokoju, podczas gdy pozostali poszli szukać lekarza.

Lindhagen usiadł na łóżku, a oni go umyli i wciąż rozmawiając, przecierali ranę na jego czole.

Ruszył w kierunku dziewczynki, rzekł. Sam nie wiedział, dlaczego to robi. Widziała, jak kobiety zaatakowały chłopca, i też była głodna. Chciał jej pomóc. Ale gdy tylko zrobił krok w jej stronę, uciekła, gnała przed siebie ulicą, znikając w cieniu starej arkady, gdzie wystawy sklepowe były schowane za wielkimi czerwonymi sztandarami. Pomyślał, że przestraszyła się widoku brzytwy.

Szedł za nią, wołając, żeby na niego zaczekała. Ale ona biegła wciąż dalej, minęła szereg opuszczonych straganów, po czym zniknęła w krętej alei za cerkwią. Lindhagen podążał za nią, chciał wiedzieć, co ją tak potwornie przeraziło, zły, że się nie zatrzymała.

Nie potrafił określić, jak długo tak biegł. Może tylko kilka minut. Nawet jak na wczesny ranek ulice były zadziwiająco puste. Napis na tablicy na rogu jednej z głównych ulic brzmiał: Ochotnyj Riad. Kiedyś była to ruchliwa dzielnica handlowa, ale teraz niemal wszystkie witryny sklepów zabito deskami. Przez dwa minione lata handel prywatny był nielegalny, ostatnia zaś zmiana polityki w tej kwestii ogłoszona przez Lenina najwyraźniej nie weszła jeszcze w życie. Zdawało się, jakby śródmieście otoczono kordonem sanitarnym. Lindhagen odnosił wrażenie, że zabłądził w jakiejś części miasta, gdzie nie powinien był się znaleźć. Kiedy minął go samochód, prowadzony przez czekistów - tych samych żołnierzy widział przed hotelem - instynktownie schował się w cieniu.

Pomyślał, że zgubił dziewczynkę, ale kiedy już zawracał, znów ją zobaczył w odległym końcu ulicy. Teraz wydawała się taka słaba, jakby miała się przewrócić. Idąc, opierała się o ściany. Lindhagen poszedł za nią, tym razem trzymał się z daleka, żeby go nie dostrzegła. Wiedział pod łachmanami, że była strasznie chuda; był to niemal ludzki szkielet.

I tak dotarł do torów kolejowych. Po drugiej stronie zniszczonego ogrodzenia także zobaczył tory, te najbliższe porośnięte były zielskiem. Patrząc przez dziurę, dojrzał rozpadające się ceglane budy stłoczone pod mostem. Ku nim właśnie zdążała dziewczynka. Ruszył za nią, przeszedł pod łukiem mostu, zatykając nos i zakrywając usta, żeby nie wdychać wszechobecnego smrodu. Roilo się tam od much. Wpadały mu na twarz, usta, bzycały rozszalałe w uszach, jakby chciały dostać się do jego mózgu. Jakaś jego część pragnęła się wycofać, ale druga część chciała to zobaczyć.

Potknął się o stertę szmat, które się poruszyły. Odskoczył z myślą: szczury. To musiały być szczury. Ale wtedy pokazały się oczy, ludzkie oczy, i spojrzały na niego. Śluz między spuchniętymi powiekami, żółta skóra naciągnięta na kościach, dzikie, złe spojrzenie. Kiedy tak patrzył, pomyślał o spreparowanych ludzkich głowach, o horrorze z muzeum antropologicznego.

Zataczając się, ruszył naprzód, i wówczas je zobaczył. Ujrzał dzieci. Nie wiedział, ile ich tam było. Dziesiątki czy może setki. Leżały i kaszlały, wstrząsane drgawkami, z brudnymi twarzami, wiele z nich pod stertami szmat. Niektóre były zbyt słabe, by odwrócić głowę, a sądząc ze smrodu i much niektóre były już martwe.

W samym środku, wpatrzona teraz w niego, stała dziewczynka, której śladem podążał. Zaczęła iść ku niemu, jakby już się nie bała. Lindhagen tkwił w miejscu jak zamurowany, pełen równocześnie fascynacji i odrazy. Była już blisko niego, kiedy chwyciła skraj swojej spódnicy i naciągnęła ją na twarz. Zobaczył jej nagie blade ciało, łuk wychudzonych ud, a potem, nad czerwonym cieniem jej łona, wystający ciężarny brzuch.

Uciekać. Tylko to jedno miał w głowie. Ale nagle pojawiły się inne dziewczynki, ciągnęły go, próbowały go zatrzymać, zdjąć z niego ubranie. Uwolnił się szarpnięciem, przedostał przez płot i chwiejnym krokiem wrócił na ulicę. To była ostatnia rzecz, jaką pamiętał. Obudził się po drugiej stronie bez butów. Stało nad nim dwóch wyrostków. Jeden z nich zaśmiał się, kiedy Lindhagen zaczął przeszukiwać kieszenie.

- Ciesz się, że to nie Południe - powiedział. - Tam zrobiliby z ciebie kotlety.

Lindhagen znalazł Dostojewskiego. Trzymał egzemplarz *Biesów* przy łóżku, obłożony w brązowy papier. Kilbom nie czytał tej powieści, ale wiedział, że jest pełna niezdrowych idei. Wszystkie powieści Dostojewskiego były skażone tym samym błędnym mesjanistycznym poszukiwaniem, Lenin uznał je za reakcyjne śmieci, co powinno być wystarczającym powodem, by po nie nie sięgać. Ale Lindhagen oznajmił, że lubi Dostojewskiego za zrozumienie, z jakim pisał o prostych ludziach, żebrakach, wyrzutkach, zbrodniarzach. Dostojewski dostrzegał piękno w każdej rosyjskiej duszy.

Idee religijne zatrwały umysł Lindhagena, który odebrał surowe protestanckie wychowanie, a taki rodzaj indoktrynacji w dzieciństwie zwykle wpływa na późniejsze życie, podważając racjonalne przekonania. Lindhagen doszedł do wniosku, że centrum Moskwy zostało tylko na pokaz uporządkowane i przystrojone, że to wielkie oszustwo jak wioska Potiomkina, która stała niegdyś na brzegu Newy, z domami jak ze scenografii teatralnej i bogato odzianymi wieśniakami. Jak gdyby władze miały czas na takie rzeczy.

Prawda była taka, że Lindhagen okazał się dość głupi, żeby gonić tę ulicznicę i został napadnięty. Reszta to czyste urojenie, które nawiedziło jego umysł, kiedy stracił przytomność, i które teraz błędnie brał za fakty. A nawet jeżeli to były fakty, czego to dowodzi? Rewolucja to nieustająca praca. Trudno oczekiwać, że bolszewicy wygrają wojnę domową i równocześnie wyleczą całą Rosję ze wszystkich społecznych problemów.

Kilbom pojechał tego popołudnia na Kreml, gdzie wysłuchał mowy Trockiego na temat perspektyw dla świata rewolucji. Na coś takiego właśnie czekał. Trocki przemawiał po niemiecku - w oficjalnym języku Trzeciej Międzynarodówki, który Kilbom znał i rozumiał - i ubarwiał swoje uwagi żartami, na jakie nie stać było nawet Lenina. Ale kiedy Kilbom usiadł w zatłoczonej sali, słuchając analizy stanu świadomości proletariatu na świecie, stwierdził, że jego myśli powracają do opowieści Lindhagena. Zaczął nagle rozważać uwagi, pogłoski, doniesienia, na które dotąd nie zwracał uwagi.

Lenin powiedział, że wymuszona rekwizycja ziarna od wieśniaków nieuchronnie prowadzi do nadużyć. To stwierdzenie pojawiło się w kilku jego ostatnich artykułach i przemówieniach. Nadużycia. Co stanowiło nadużycie w latach suszy i ciężkich mrozów? Jaką część swoich zbiorów musieli oddawać wieśniacy? I w jaki sposób było to wymuszane? Według niektórych amerykańskich delegatów w ich kraju słyhać było rozpaczliwe wołanie o pomoc żywnościową dla Rosji z ust prominentnych radzieckich obywateli, w tym Maksyma Gorkiego, pisarza i przyjaciela Lenina. A jednak w prasie radzieckiej nie znalazłoby się żadnej wzmianki o

głodzie i oczywiście nie można było zauważyć tego na kongresie. Istniały również wątpliwości dotyczące przemysłu. Fabryki, które odwiedzał Kilbom, wyglądały jak modele dyscypliny i braterskiej harmonii, ale Frederic Ström słyszał od rosyjskiego przyjaciela, że większość fabryk strajkowała kilka miesięcy wcześniej i że wielu robotników zostało zabitych podczas demonstracji. Poza tym wybuchł bunt w bazie morskiej w Kronsztadzie. Nikt nigdy o nim głośno nie mówił ani tym bardziej o tym, jak go stłumiono. Zupełnie jakby to się w ogóle nie wydarzyło, chociaż bez wątplenia bunt miał miejsce. Mogły o tym zaświadczyć tysiące marynarzy, którzy uciekli po lodzie do Finlandii.

Kilbom starał się o tym wszystkim nie myśleć, choć nie przychodziło mu to łatwo. Obraz małej prostytutki, jej bladego nagiego brzucha, nakładał mu się na obraz Trockiego, który potępia doktrynalną herezję. Delegacje niemiecka i holenderska wyraziły niezadowolenie, że Sowieci prowadzą handel z kapitalistycznym Zachodem, zamiast aktywnie eksportować rewolucję. Kilbom wyobraził sobie chłopca zdeptanego na śmierć, buty miażdżące jego kruche kości.

Przypomnił sobie, że jego celem w Moskwie było między innymi zdobycie pieniędzy od Rosjan. Szwedzka partia potrzebowała wsparcia na swoje gazety i organizację, zwłaszcza teraz, kiedy był po temu dobry klimat. Rewolucja to w końcu budowanie świata od nowa. Wymaga cierpliwości i dyscypliny, a ponad wszystko wizji. Rozejrzał się po sali i ujrzał ją w uniesionych twarzach rosyjskich delegatów, skupionych i przejętych. Czas terażniejszy był już historią. Teraz walczyli o przyszłość, o przemianę rodzaju ludzkiego. Nieletnia prostytutka i mały ulicznik to pozostałości starego świata, w najgorszym wypadku żałosne produkty uboczne fazy przejściowej. Obiektywnie i naukowo udowodniono, że w państwie socjalistycznym, kiedy już ukształtuje się na dobre, nie ma dla nich miejsca.

Wyjął mały skórzany notes z wewnętrznej kieszeni i napisał ołówkiem jedną linijkę: Komitet Centralny - Lindhagen - zgłosić wniosek o wydalenie.

Wszystkie tłumaczki pochodziły z burżuazji. Nosiły wykrochmalone białe bluzki i plisowane spódnice. Głos miały skromny i miękki. Kilbom obserwował je w salach bankietowych i salach spotkań, wykształcone damy, które odgrywały role służących dyktatury proletariatu. Było w tym coś ujmującego, coś podniecającego. Jakby księżniczka na klęczkach czyściła twoje buty.

Zastanawiał się, czy po cichu nie czują urazy, że muszą służyć ludziom, którzy niegdyś im posługiwali. Jeśli tak, dobrze to ukrywały, sumiennie, a nawet z entuzjazmem wypełniając obowiązki. Uznał to za dobry przykład, że nawet ci, którzy stracili z powodu rewolucji, mogą się za nią opowiedzieć, jak było i w jego przypadku. Pragnął, by ludzie w jego ojczyźnie mogli to zobaczyć.

Podczas kolacji wydanej dla komunistycznej młodzieżówki brodaty rosyjski delegat o nazwisku Potriesow przyłapał Kilboma, jak zerkał na ładną brunetkę. Poziom edukacji w Rosji przyczynił się do tego, że zaangażowanie do pracy „dawnych klas” stanowiło konieczność, wytłumaczył mu bardzo złą angielszczyznę. Podobnie było w całej służbie cywilnej. Ale to tylko przejściowe rozwiązanie, mówił. Z czasem organy państwa zostaną oczyszczone z oportunistycznych i niewłaściwych elementów, a te delikatne bladolice dziewczęta zostaną odesłane do prawdziwej pracy - na kolanach albo na plecach, powiedział. Potem zaśmiał się, chuchając w twarz Kilboma obrzydliwym oddechem.

Brunetka liczyła sobie około osiemnastu lat, dokładnie połowę tego, co Kilbom. Była drobna, ale kształtna, z jędrnymi dziewczęcymi piersiami. Miała ciemne przenikliwe oczy ze źrenicami, które przypominały Kilbomowi czarne szkło. Przyglądał jej się cały czas, gdy Potriesow ciągnął swoją opowieść o tym, jak to Sowieci w mieście Włodzimierza, gorąco pragnący znacjonalizować środki produkcji, ustanowili, że kobiety powyżej osiemnastego roku życia są własnością państwa, i domagali się, żeby rejestrowały się w Biurze Wolnej Miłości. Powiedział, że przez ostatnie sześć tygodni usiłował dostać się do Włodzimierza, ale pociągi jak zwykle nie jeździły.

Kilbom próbował zawtórować mu braterskim śmiechem, ale nie robił tego szczerze. Było coś niebezpiecznego w sposobie, w jaki wypowiadali się ci Rosjanie, coś niemoralnego. Wdzieli zbyt wiele śmierci i to ich znieczuliło.

Potriesow zmrużył oczy. Mówił coraz bardziej niezrozumiale, bełkotał. Na bankiecie nie brakowało szampana, ale on cały wieczór wlewał w siebie wódkę.

- Więc to jest twój typ - powiedział.

Kilbom dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że Potriesow mówi o dziewczynie.

- Skromna, ale droga.

- Droga? Co masz na myśli?

- Jej rodzina to byli właściciele kolei w Moskwie. Ona byłaby teraz damą dworu carycy. Gdybyśmy jej nie zastrzelili.

Kilbom dopiero w tym momencie to dostrzegł: sposób, w jaki siedziała, nieco prościej niż wszyscy, sposób, w jaki kładła ręce na podolku. W jej zachowaniu widać było obycie, coś, co zupełnie nie pasowało do czasów rewolucji.

Dziewczyna podniosła wzrok i uchwyciła spojrzenie Kilboma, po czym na powrót spuściła oczy. Kilbom poczuł jakieś poruszenie w sercu.

- A teraz? Co robi teraz?

- Jest urzędniczką w Ministerstwie Wojny, a jej męża właśnie wypuścili z domu wariatów.

- Męża?

Potriesow nachylił się do niego.

- Informator Czeka. Donosił na swoich przyjaciół.

Wykonał palcem powolny gest, jakby podrzynał sobie gardło.

Członek hinduskiej delegacji, mężczyzna o imieniu Roy, siedział obok dziewczyny i mówił coś do niej z pełnymi ustami. Trzymał rękę na oparciu jej krzesła. Kilbom zobaczył, że dziewczyna przesunęła się do przodu, pochylając delikatnie ramiona, by uniknąć z nim kontaktu, uśmiechała się przy tym, żeby Roy niczego nie spostrzegł.

Kelnerzy postawili przed nimi talerze z pieczoną kaczką, ziemniakami purée i kapustą.

- Wygląda na to, że masz rywala - powiedział Potriesow. - Słyszałem, że posłał jej kwiaty do pokoju.

- Jak ona się nazywa?

- Jak się nazywa, jak się... - Potriesow chwycił znów butelkę. Kilbom próbował zakryć swój kieliszek i wódka polala się po mankiecie jego koszuli. - Nie pamiętam. Ale jeśli ją chcesz, lepiej ją sobie zabierz, zanim ktoś inny to zrobi. - Pociągnął łyk, marszcząc nos. -

Dziewczyny z jej klasy, one wszystkie kończą jako kurwy, żeby dostać kartki na jedzenie. To tylko kwestia z kim. I jak często.

Dziewczyna ponownie podniosła na niego wzrok. Zwróciła na niego uwagę. Teraz ona mu się przyglądała, ciemnymi oczami lustrowała jego duszę.

Roy palcem rysował kółka na jej karku. Pochylony szeptał jej coś do ucha, coś, co sprawiło, że instynktownie, choć niemal niezauważalnie, skrzywiła się jakby z bólu.

Od tamtego wieczoru obserwował ją pilnie. Podczas spotkań i obiadów przyglądał się, jak słucha, mówi, uśmiecha się (kiedy należało się uśmiechać), jak mruży oczy, kiedy się śmieje, jak zaczesuje włosy za uszy, gdy ktoś pochyla się nad nią, żeby jej coś powiedzieć. W jej zachowaniu dostrzegał jeszcze coś uczniowskiego: przypominała przewodniczącą klasy w dniu wizytacji. Ale było też coś innego, wystudiowanego i przebiegłego w jej postępowaniu, pewność siebie w towarzystwie mężczyzn, którą trudno wytłumaczyć wyłącznie świadomością własnej urody. Widział, jak często mężczyźni czuli się zakłopotani i bezradni w jej obecności, jak szukali właściwych słów i jak się przypochlebiali, spragnieni jej aprobaty.

Wyobraził sobie jej blade palce rozłożone na ozdobionej klejnotami materii, jak na starym portrecie kurtyzany pędzla jakiegoś malarza z Zachodu. Kochanka cara była baletnicą. Może i ją czekałby podobny los, gdyby car nie został pozbawiony tronu. Wysoko urodzone damy, które się pieprzą niczym kurtyzany. Wyobraził ją sobie w gorsetach i koronkowych halkach, leżącą na połączonym szezlongu z nogami w górze, ujeżdżaną przez jakiegoś arcyksięcia z podkreślonymi wąsami.

Ale były też chwile, kiedy nikt nie patrzył; gra się kończyła, a jej oczy zasnuwała mgła, jakby przebywała wówczas bardzo daleko. Zdawało mu się nawet, że dojrzał w nich błysk łez, więcej niż raz przyłapał ją, jak z trudem przełykała ślinę, usiłowała wrócić do terażniejszości z owej ponurej zadumy, w którą popadała. Czasami brała go złość, że dziewczyna nie poświęca całej uwagi tak ważnej okazji, że pozwala sobie być myślami gdzie indziej, a nie w tym towarzystwie mężczyzn, którzy na nowo stwarzali świat. A równocześnie pragnął dowiedzieć się, dokąd uciekała.

Uważał, że ma prawo przyglądać się jej i niepokoić się, kiedy znikala mu z oczu.

Potriesow mylił się co do niej, jej atrakcyjność nie miała nic wspólnego z pochodzeniem. Ona świeciła jasnym blaskiem na tle anachronicznej rosyjskiej arystokracji. Ukształtowały ją siły o wiele bardziej znaczące niż środowisko, w jakim się wychowała. Jej zalety były wrodzone.

Następnego dnia zabrano ich na wycieczkę do pracowni architektonicznej. Oglądali model pomnika Trzeciej Międzynarodówki, ogromną wieżę ze stali i drutu, która przypominała Kilbomowi zjeżdżalnię w wesołym miasteczku. Roy, hinduski delegat, zwracał na siebie uwagę dziewczyny. Wciąż zasypywał ją pytaniami, ignorując architekta, który próbował wyjaśnić im swoją wizję. Bez przerwy dotykał jej ręki. Kiedy wychodzili po zakończeniu wizyty, objął ją w pól, jakby nie znała drogi.

Karl pragnął ją uratować, ale jakikolwiek znalazłby pretekst do interwencji, jego cel i tak byłby oczywisty. Postanowił zaryzykować i uśmiechnąć się do niej, gdy znowu na niego spojrzy - uśmiechnąć się grzecznie, dać tylko do zrozumienia, że ją zauważył, nic więcej. Ale ten następny raz nie nadchodził. Jakby już zobaczyła wszystko, co chciała zobaczyć. Zaczynał się złościć, że dziewczyna na niego nie patrzy, że nie chce na niego spojrzeć, mimo że nie brakowało jej okazji. To było niewiarygodne, ale choć spuszczała skromnie wzrok i uprzejmie się uśmiechała, nadal w głębi duszy uważała się za kogoś lepszego.

Kilbom wierzył w doskonalenie mas. Ale większość jego rosyjskich towarzyszy upajała się swoją ordynarnością. Chciał jej pokazać, że on jest inny, że rozumie jej niesmak. To wcale niełatwo być człowiekiem wykształconym w ruchu proletariatu, pracować dla zwycięstwa klasy robotniczej, nie ulegając jej grzechom. Pragnął, żeby ona to rozumiała.

Potem, niespodziewanie, nadarzyła się sprzyjająca okoliczność. Mieli się spotkać z jakimiś radzieckimi oficjelami, żeby przedyskutować kwestię wsparcia finansowego. Zeth Höglund powiedział, że będzie im potrzebny oddany tłumacz, który mówi po francusku. Tego wieczoru cała szwedzka delegacja weszła ciężkim krokiem na piętro hotelu, żeby znaleźć tłumacza. To właśnie tam, w sypialni obok piekarni, stanął naprzeciw trzech dziewcząt. I ona była pośród nich.

Dziewczęta nie spodziewały się gości. Jedna z nich zakryła się bluzką. Inna, blondynka o imieniu Tatiana, która krótkie kręcone włosy spięła spinkami, nie wyglądała na przejętą późną wizytą. Stała w pończochach i halce, z przychylnym uśmiechem na twarzy. Tylko brunetka była całkiem ubrana, chociaż miała odpięte dwa górne guziki bluzki; na jej szyi wisiał mały złoty krzyżyk.

- Przepraszam, towarzyszki - powiedział Höglund, ale zanim wyszli, Kilbom wystąpił naprzód.

- Potrzebujemy tłumaczki na kilka dni. Czy zechciałaby...? Zastanawiał się, czy brunetka go rozpoznała, czy miała świadomość, że jej się przyglądał. Czuł, że twarz zalewa mu rumieniec.

Dziewczyna wyciągnęła rękę.

- Mam na imię Zoia - powiedziała.

Później jeszcze długo pamiętał, jak dziwnie zimna była jej dłoń.

Tamtej nocy w teatrze usiadł obok niej. Trudno mu było skupić uwagę na scenie. Siedziała tak blisko, że bardzo się denerwował. Czuł jakieś drżenie w żołądku i rosnące bolesne pożądanie w lędźwiach. Wyobraził sobie jej wargi przyciśnięte do swoich warg, wyobraził sobie, że kochają się tam, w teatrze, widział już ich splecione ciała.

Wystawiano polityczną komedię, połączenie slapstiku i musicalu, pełną triumfalnych pieśni. Postacie reprezentujące burżuazję miały pomalowane na białą twarze i krzywiły się ze wstrętem, kiedy musiały zwracać się do przedstawicieli proletariatu. Jeden z burżujów nosił cylinder, a za nim krok w krok chodziła służąca z miską wody i ręcznikiem. Okazało się, że to polityk. Ilekroć był zmuszony podczas wyborów uściskać dłoń robotnika, odwracał się do swojej służącej i szorował ręce aż po łokcie. Widownia była zachwycona, Rosjanie na parterze śmiali się i wyszydali, wstawali z krzeseł i potrząsali kościstymi pięściami.

Zoia tłumaczyła im dialogi na niemiecki, kiedy ją o to prosili. Wszyscy członkowie delegacji byli pod wrażeniem jej znajomości języka. Większość tłumaczy znała jedynie francuski lub angielski. Koledzy uznali, że Kilbom dokonał świetnego wyboru.

Po godzinie od rozpoczęcia spektaklu Höglund przeprosił i wyszedł, a jego śladem podążył Frederic Ström i jeszcze dwóch innych. Kilbom zwrócił się do dziewczyny, bardzo chciał coś powiedzieć.

- Jak długo...?

Banalne pytanie. Uwięzło mu w gardle, kiedy się do niego odwróciła. Zdawało mu się, że przez jej twarz przemknął uśmiech.

- Pracujesz w Ministerstwie Wojny, prawda?

- W centrali telefonicznej, ale dopiero od miesiąca.

- A wcześniej?

- Studiowałam, chciałam być artystką.

Na scenie proletariusz podpalił długą siwą brodę popa. Pop zaczął biegać w kółko, a scenę zasnuł fioletowy dym. Widownia zanosila się dzikim śmiechem. Potriesow powiedział mu,

że na wsi czekał robili tak naprawdę, dolewali tylko odrobinę benzyny, żeby łatwiej się paliło. Potem odcinali popowi język i wydlubowali oczy ku uciesze wiernych. Ale Potriesow lubił szokować, zwłaszcza zagranicznych delegatów, którzy jeszcze nie splamili się krwią w rewolucyjnej walce.

- Czy to dla ciebie trudne? - spytał Kilbom.

Nagle poczuł na sobie jej wzrok. Była zdziwiona tym pytaniem.

- Angielski jest najtrudniejszy. Z francuskim i niemieckim radzę sobie, ale...

- Nie myślałem o języku. Myślałem... o tym wszystkim. Podobno twoja rodzina... -

Wzruszył ramionami, nie wiedząc, co powiedzieć, żeby nie zabrzmiało to wrogo.

- To burżuje?

- Szlachta. Arystokraci. Odwróciła uniesioną głowę.

- Kto tak powiedział?

- Taki tam pijaczyna. Nie ma się czego obawiać. Jeśli się bała, doskonale to ukrywała.

- To prawda? - spytał.

- Nie. W mojej rodzinie nie było żadnych tytułów.

- Żadnych tytułów...

- Moja babka miała duży majątek w Tambowie, a mój ojciec był właścicielem drukarni i fabryk tekstylnych. A mój ojczym był żołnierzem. On też miał majątek niedaleko Sankt Petersburga.

- Więc byłaś bardzo bogata?

Spodobało jej się coś na scenie. Uśmiechnęła się.

- O tak, bardzo bogata. To wszystko należałoby kiedyś do mnie. Jestem jedynaczką. Ale przysłała rewolucja.

- I co teraz?

- Teraz jesteśmy biedni jak wszyscy.

Nie słyszał w tym goryczy ani uzalania się nad sobą, stwierdziła tylko fakt. Podziwiał ją za to. W tej akceptacji losu tkwiła ukryta siła, jakby nic z tego, co się wydarzyło, tak naprawdę nie było ważne.

Nachylił się ku niej jeszcze bardziej, opierając łokcie na kolanach.

- Więc to cię nie martwi? Że tak dużo straciłaś?

- Gdybym czegoś nie straciła, byłabym chyba jedyna, byłabym sama w całej Rosji.

- A ty nie chcesz być sama.

Nie odpowiedziała mu. Z widowni podniosła się kolejna salwa śmiechu. Pomimo jej słów, czuł z zadowoleniem, że panuje nad sytuacją. Zazwyczaj w obecności pięknych kobiet czuł się skrępowany.

- Gdzie oni teraz są? Nadal w Rosji?

- Kto?

- Twoi krewni? Jeśli wolno spytać.

- Mam tylko matkę i babkę. Zostawiłam je w Sewastopolu.

- W Sewastopolu? Co tam robiły? Opuściła głowę. Nie odpowiedziała.

- Przepraszam. Jestem tylko ciekawski. Obawiałem się, że nie będę już miał okazji z tobą porozmawiać.

Widzowie z parteru owacyjnie witali ostateczne zwycięstwo proletariatu. Bankierzy i duchowni, teraz w samej bieliźnie, zostali wyniesieni przez tłum robotników i Czerwoną Gwardię.

- Może pan ze mną rozmawiać, kiedy pan zechce - odparła Zoia. - Płacą mi za to, żebym była całkowicie do waszej dyspozycji.

Widownia krzyczała i tupała, kiedy aktorzy wyszli do ukłonów. Zanim Kilbom zdołał coś jeszcze powiedzieć, światła zapaliły się i tłum ruszył do wyjścia.

Tej nocy nie mógł zasnąć, leżał na skrzypiącym łóżku z baldachimem, głowę miał pełną wódki i ciepłego szampana i odtwarzał sobie w myśli jej słowa, szukał jakiegoś klucza do ich zrozumienia, jakiegoś cienia podtekstu.

Brzydka twarz Potriesowa rozkwitła przed nim w ciemności.

Dziewczęta z jej klasy wszystkie kończą jako kurwy, żeby dostać racje żywnościowe. To tylko kwestia z kim i jak często.

Czy jej słowa były tylko czystym stwierdzeniem faktu? Czy wystarczyłoby, żeby zawołał ją do swojego łóżka, a ona by przyszła w zamian, być może, za pewną kwotę pieniędzy, kostkę mydła albo wdzięczne słowo, które szepnąłby za nią do ucha jej przełożonym? Czy może znaczyły coś dokładnie przeciwnego? Formalne potwierdzenie ich zawodowych pozycji, przypomnienie, że są profesjonalistami, i że ich stosunki nie ulegną zmianie bez względu na okoliczności.

Co takiego było w tej dziewczynie? W jego ojczyźnie nie brakowało ładniejszych kobiet. Ale na myśl o nich krew nie płynęła mu do łędźwi tak jak w tej chwili. A gdyby tak zszedł teraz na dół, do jej pokoju. Mógłby jakoś wytłumaczyć swoje najście, znaleźć jakiś pretekst.

Jest coś pilnego, chciałbym, żebyś to przetłumaczyła. Na górze.

Przeczuwał, że nie wystarczyłoby mu, gdyby kochał się z nią raz, na zimno, bez miłości. Chciałby czegoś więcej. A jeśli źle ją zrozumiał i wieść o tym, że próbował ją uwieść, rozszłaby się? Kilbom nadużył gościnności swoich gospodarzy i przyniósł wstyd szwedzkiej delegacji. Straciłby na zawsze szansę na kolejny wybór na przywódcę partii.

Pożądanie, jakie wzbudzała w nim ta dziewczyna, było kompromitujące i niebezpieczne. Przez nią przychodziły mu do głowy całkiem niepoprawne myśli: że jest lepszy niż jego radzieccy towarzysze, którzy stworzyli rewolucję i bronili jej własną krwią. Ona podważyła jego wiarę w dominację polityki.

Smugi żółtego światła przemknęły po suficie. Na zewnątrz parkował jakiś samochód. Kilbom odrzucił kołdrę i podszedł do umywalki, uniósł swoją nocną koszulę. Może gdy rozładuje pożądanie, uwolni się od myśli o niej choć na kilka godzin, przynajmniej do rana. Albo się uda, albo w ogóle nie zaśnie.

Uchylił zasłonę. Zegar po drugiej stronie placu pokazywał za kwadrans trzecią. Usłyszał trzaśnięcie drzwi i ujrzał mężczyzn w czapkach i skórzanych płaszczach, którzy maszerowali po bruku i weszli do hotelu. Nie zgasili silnika.

Zastanawiał się, co takiego mogło się stać o tej porze; czy to jakieś ważne oficjalne sprawy? Tylko oficjele mieli samochody - oficjele i tajna policja. Może ktoś wracał ze spotkania, które odbywało się późnym wieczorem i zakończyło się ciężką popijawą. Niektóre delegacje były bliżej z obecnymi władzami niż inne.

Silnik pracował na niskich obrotach, pasek klinowy zawodził niemal niesłyszalnie. Gdzieś z hotelu dobiegł go dźwięk głosów, a potem znowu trzask drzwi.

Nagle zakręciło mu się w głowie. Opuścił koszulę nocną i wrócił do łóżka, naciągając kołdrę na głowę. Zdobędzie ją w ten czy inny sposób. Pokaże jej, że spotkała swoją drugą połowę. A potem będą się kochać jak należy.

A jednak wciąż widział ją na szeszlunku, z nogami w górze. Kiedy samochód odjeżdżał, mocno obejmował poduszkę.

*

Nazajutrz rano nigdzie nie spotkał Zoi. Nie zeszła na śniadanie, a kiedy Kilbom i Höglund poszli do jej pokoju, był pusty. Kierownik hotelu nie patrzył im w oczy. Powiedział, że nic nie wie. Mężczyzna, który stał przy głównym wejściu, powtórzył to samo. Kilbom wykonał telefon do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, na wypadek gdyby wróciła do swojej pracy, ale

tam nie mieli pojęcia, co się z nią stało. Dopiero kiedy wpadli na Tatianę przed budynkiem obrad kongresu, dowiedzieli się prawdy.

- Przyjechali po nią w nocy - oznajmiła, kiedy delegaci przepychali się obok nich. - Aresztowali ją.

- Za co? - spytał Kilbom, ale Tatiana tylko na niego popatrzyła, jakby nie rozumiała pytania.

Chwycił ją za rękę.

- Co jej zrobią?

Na to także nie usłyszał odpowiedzi.

Po południu otrzymał telefon, za pośrednictwem komitetu organizacyjnego, z potwierdzeniem wiadomości. Ich tłumaczka była zamieszana w spisek kontrrewolucyjny w Piotrogradzie. Znajdą im inną.

Höglund wpadł w furję.

- Tylko ona posługiwała się przyzwyczajeniami niemieckimi - zaprotestował. - Potrzebujemy jej. Dziś wieczorem mamy ważne spotkanie.

Oficjal powiedział, że powinni porozmawiać na ten temat z Czeka, i odwiesił słuchawkę. Kilbom wiedział, co ma zrobić. To był test.

- Zeth, nastąpiła straszna pomyłka - oznajmił. - Ta dziewczyna jest niewinna.

- Niewinna? - spytał Höglund. - Skąd wiesz?

- Wiem. Nie obchodzi jej polityka. Ona jest... ona jest artystką. To na pewno sprawa Roya. Był zły, że Zoia się z nim nie przespała. W Czeka też były czarne owce, ludzie gotowi wsadzić każdego za kratki za odpowiednią sumę. Höglund nie był przekonany.

- Nie powinniśmy się wtrącać, to nie nasz interes.

Ale zanim powiedział coś więcej, Kilbom już przepychał się do telefonu.

Moskwa, 16 marca 1922

Moja droga ukochana Zoiu!

Nareszcie mamy od Ciebie kolejny list. Tak się martwiłam Twoim długim milczeniem, wysłałam nawet telegram do Twojego męża, ale nie otrzymałam odpowiedzi. W końcu zadzwonili do mnie z konsulatu szwedzkiego z informacją, że mają przesyłkę zaadresowaną do mnie, i pojechałam tam dzisiaj wcześniej rano, żeby ją odebrać.

Dziękuję Ci za pisma ze zdjęciami twojego mieszkania w Sztokholmie. Twój mąż Karl jest bardzo przystojny, a Ty wyglądasz całkiem ładnie. Mieszkanie sprawia miłe wrażenie, jest do-

syć spartańskie, ale ładne, w nordyckim stylu. Babci podoba się kuchnia, a ja z radością odnotowuję, że utrzymujesz ją w porządku. Pamiętaj, że wszyscy tutaj będą te zdjęcia oglądać i komentować i że byłoby dobrze nie pokazywać się w takim nieeleganckim i niechlujnym uczesaniu.

Twój pierwszy list tak mnie zasmucił, że chciało mi się płakać. Dlaczego Karl tak się uparł, żeby Cię zmienić? Dlaczego uważa, że powinnaś się zmienić? Mam nadzieję, że przesadziłaś i że wcale nie jest tak źle, jak napisałaś. W końcu to twoja decyzja. Jeśli Karl Cię kocha, powinien robić to, czego Ty pragniesz. A Ty musisz tylko zachować rozsądek, a będziesz miała w życiu wszystko, o czym marzysz. Pomyśl o minionym roku, tym strasznym roku, który o mały włos nie zakończył się nieszczęściem. To był koszt Twojej niezależności. Dziękuję Bogu, że nie jesteś już w Moskwie. Mimo to przykro mi czytać, że czujesz się nieszczęśliwa, że Karl wywiera na Ciebie presję i że nie czujesz się panią we własnym domu.

Kochana moja, musisz zdać sobie sprawę, jakie puste było wcześniej Twoje życie, jakie niezdrowe i mizerne. Jeśli tylko usiądziesz i pomyślisz, przez co przeszłaś i dlaczego, od razu poczujesz się lepiej. Masz przynajmniej odpowiedniego męża, przyzwoity dom i pozycję w społeczeństwie. Czego jeszcze mogłabyś pragnąć? Powinnaś teraz myśleć o rodzinie. Nie potrzeba Ci nic więcej ponad to, co już posiadasz. Musisz tylko trzymać się tego.

Wiem, że Ty i Karl pochodzicie z bardzo różnych środowisk, ale przynajmniej Karl nie jest Rosjaninem, a więc ma jakieś maniery. Mam nadzieję, że dzięki Niemu będziesz już iść uczciwą drogą, a jeśli tak się stanie, wyjdzie Ci to tylko na zdrowie. Zeszły rok był taki straszny, ponieważ mnie nie słuchałaś.

Przykro mi, że jeszcze nie poznałam Karla. Mam nadzieję, że zobaczę go w lecie. Na razie powiedz Mu, że musi uważać na Twoje słabe serce.

Twoja kochająca Mama

Leży w ciemności, czuje jak szkocka i benzodiazepina kłębią się w jego żołądku, puszcza znów taśmę. Trzyma mikrofon blisko ucha. Baterie powoli wysiadają. Głos Hildur jest teraz niższy, powolniejszy.

To nie było szczęśliwe małżeństwo.

Mówiła o Karlu i Zoi, ale równie dobrze mogło to dotyczyć Marcusa i Nadii. Dwie panie młode w poszukiwaniu majątku. I dwóch oszukanych mężów.

Z jednej strony względy praktyczne, z drugiej złudzenia. Jakby na zamówienie dzwony kościelne melodyjnie wydzwaniają godzinę. Jest północ. Jego ramiona trzęsą się od gorzkiego masochistycznego śmiechu.

Oczywiście, żadne z tych małżeństw nie było ważne w oczach Boga. Może w tym tkwił problem. Zoia była rozwiedziona i wyszła ponownie za mąż dzięki oficjalnemu dekretowi, to była kwestia wypełnienia formularzy i przekupienia urzędników. Marcus i Nadia pojechali do Urzędu Stanu Cywilnego w Westminster przy Marylebone Road. Nadia wyraźnie powiedziała, że nie życzy sobie wystawnego, kosztownego ślubu. Patrząc na to z perspektywy czasu, był to wybór całkowicie zgodny z jej postrzeganiem tego związku jako czegoś tymczasowego.

Artyści są egoistami. Żyją tylko dla swojej sztuki.

Przed ślubem Nadia myślała już pewnie o rozwodzie. Być może zawsze miała taki plan, a przynajmniej go przewidywała: szybki ślub, szybki rozwód, a przy okazji brytyjski paszport i korzystne rozwiązanie finansowe. I tak by się stało, gdyby nie uległa i nie zaszła w ciążę.

Hildur powiedziała, że Zoia nie lubiła dzieci. Mogłaby powiedzieć to samo o Nadii.

Zresztą dzieci tylko skomplikowałyby wszystko. Mogłaby stracić swoją... moc.

Moc, czyli władzę nad mężczyznami, moc wzbudzania w nich pożądania. Trudniej jest rozbudzać czyjeś marzenia z dzieckiem u piersi.

Dzień, kiedy urodziła się Teresa, był najszcześniejszym dniem jego życia.

Zaprawiony alkoholem śmiech rozlega się echem na ulicy. Prawnicy wracają z kolacji w Grandzie, wysiadają z minibusów i taksówek. Pamięta pogardliwe spojrzenie dziennikarki, kiedy mówiła mu, że myli się całkowicie co do Zoi. Kerstin Östlund. Według niej nie mógł nawet liczyć na to, że zrozumie Zoię. Marcus był ślepy, jeśli chodzi o kobietą psychikę.

Powiedziała, że nie rozumie także Karla. Ale to przynajmniej przejściowy problem. Miał jego listy.

Widział zdjęcie Karla w domu Zoi. Stał oparty o balustradę balkonu z fajką w ręce, w koszuli bez kołnierzyka, krzepkie ramiona splótł na piersi. W każdym calu bohater klasy robotniczej - a na pewno bohater Zoi. Mężczyzna, który uratował jej życie. Jej mąż przez szesnaście lat. Poznanie jego myśli ukaże Marcusowi Zoie. Zoia go zdradziła, a zdrada nadaje wyjątkową perspektywę. Zmusza do zobaczenia rzeczy takimi, jakie są naprawdę, zamiast takimi, jakie chciałoby się, żeby były. Zdrada jest nożem, który odsłania brzydotę, prawdę ukrytą za lśniącym obrazem miłości.

Zoia zdradziła Hildur Backlin, gdzieś po drodze, lata temu. I od tamtej pory wszystko było jasne. Hildur w końcu zobaczyła, co kryje się za maskami.

Czuje, że ma ciężką głowę. Twarze widziane w wyobraźni tracą kontury. Zoia i Nadia, Nadia i Teresa. Słyszy śmiech córki przelatujący przez pokój za jego łóżkiem. Teresa biegnie do okna, chce zobaczyć padający śnieg.

- Kochanie?

Ona uwielbia śnieg. Uwielbia brać go do ręki i rzucać w powietrze.

Na zewnątrz zatrzymuje się ciężarówka, silnik wciąż pracuje. Czerwona poświata świateł hamowania igra na zamglonej szybie.

Włączają silniki, żeby zagłuszyć huk strzałów.

Nagle siada, zupełnie przebudzony. Smuga światła z ulicy pada na stolik przy łóżku. Ale tam nie ma żadnej ciężarówki. Z minikasety dochodzi syk pustej taśmy. Naciska przycisk stop i kładzie się z powrotem. Jego córka i jego matka patrzą na niego zza przezroczystej kieszonki portfela, który oparł otwarty o telefon.

Dlaczego włożył tam te zdjęcia, i to razem? Uderza go, że symbolizm jest fałszywy. Teresa jest normalnym zdrowym dzieckiem. Nie stanie się podobna do jego matki. Czeka ją szczęśliwe życie i niczego nie będzie jej brakowało. Nie pozna huśtawki nastrojów, która kończy się autodestrukcją.

Potem przychodzi mu na myśl, że to właśnie chciał powiedzieć:

Spójrz, co zrobiłem, kiedy odeszłaś. Spójrz na to, co straciłaś.

Nadia dała mu dziecko - nie z własnej woli, być może niechętnie, ale tyle przynajmniej zrobiła. I przez jakiś czas zdawało się, że zaczęli do nowa. Ustatkował się, miał nowy cel, pła-

wił się w rodzinnym ciepłe. Szkoda, że to nie przetrwało. Szkoda, że Zoia nie pozwoliła, żeby to trwało.

Zajmował się wówczas jej obrazami, wprowadzał je ostrożnie na rynek, pokazywał wybranym kolekcjonerom. Czuł się w pewnym stopniu uprawniony do wyjaśniania rozmaitych wpływów na jej twórczość oraz opowiadania o jej magii. Patrząc wstecz, było to jednak masochistyczne ćwiczenie, daremna próba opanowania czegoś, czego nie rozumiał. Marszand to tylko marszand, most pomiędzy artystką a jej widownią - most z rogatkami z obu stron, gdzie pobierane są opłaty. Wcale nie należał do wtajemniczonych.

Patrzył na obrazy Zoi i rozumiał, że Nadia w dalszym ciągu pragnęła się od niego uwolnić.

Kiedyś znalazł Teresę na podłodze w kuchni, zachrypniętą od płaczu. Nadia pijana leżała na kuchennym stole, a przed nią stała butelka wódki. Było pięć po piątej po południu, o szóstej mieli przyjść z wizytą przyjaciele. Pamięta uczucie bezsilnej wściekłości.

Kiedy już zajął się Teresą, zaniósł Nadię na górę i rzucił ją na łóżko. Przyniósł też na górę butelkę i postawił na szafce nocnej, razem z kryształowym kieliszkiem firmy Waterford Crystal z kompletu, który dostali w prezencie ślubnym. Chwila okrucieństwa, która oznaczała początek końca.

W Londynie nic nie szło tak, jak sobie wyobrażał. Jego znajome odnosiły się do Nadii z dystansem o wiele większym, niż nakazuje angielska rezerwa. Zupełnie jakby przez lata obawiały się z nim związać, a teraz rozczarowały się jego ostatecznym wyborem. Mężczyźni nie zachowywali się dużo lepiej. Traktowali ją ulgowo ze względu na jej kiepską znajomość angielskiego, zapominając, że ona i Marcus w Pradze rozmawiali ze sobą po niemiecku. Nadia uśmiechała się i niewiele mówiła, czym tylko umacniała wszystkich w przekonaniu, że tak naprawdę ma niewiele do powiedzenia.

- Twoi przyjaciele mnie nie lubią - stwierdziła pewnego dnia i pokłócili się o to.

- Ależ lubią cię! Co takiego miałyby wzbudzać ich niechęć?

- Nie powiedziałam, że czują do mnie niechęć, tylko że mnie nie lubią.

Ktoś urządzał imprezę z okazji Bożego Narodzenia, a ona nie chciała pójść.

- Idź sam - powiedziała.

Uświadomił sobie z niepokojem, że jakaś jego część pragnęła tak właśnie zrobić. Chciał spotkać się ze swoimi przyjaciółmi, nie martwiąc się, czy ona dobrze się bawi.

- Jak to będzie wyglądać, na Boga?

- Po prostu powiedz, że jestem chora czy coś takiego. Zawsze coś wymyślasz.

W końcu żadne z nich nie poszło.

Dołączyła do amatorskiego zespołu muzycznego i nawiązała własne znajomości, ale bynajmniej nie spieszyła się, żeby przedstawić mu swoich nowych przyjaciół. Całymi godzinami wisała na telefonie, rozmawiając z Pragę, z ludźmi, których nie znał.

Nadia telefonowała, Zoia pisała listy. Pozamałżeńska komunikacja ze światami pozostawionymi za sobą, światami, do których mężowie nie mieli wstępu.

Zaczęła wydawać pieniądze. To akurat cieszyło go, w każdym razie na początku. W Anglii były rzeczy, o których marzyła, które sprawiały jej przyjemność, a on mógł jej to zapewnić. Kiedy chciała przeprowadzić się z mieszkania do domku, zgodził się, nadwyreżając się finansowo jak nigdy dotąd. Pracował więcej, częściej ryzykował i rzadziej przebywał z rodziną, byle Nadia miała dom swoich marzeń, byle nie obudziła się któregoś ranka w brutalnym, hałaśliwym i po prostu brzydkim Londynie i nie zaczęła się zastanawiać, czy wyjazd z Pragi nie był jednak strasznym błędem.

Przyjeżdżali też do nich goście z Republiki Czeskiej, większość z nich w wieku Nadii. Niektórzy zostawali na kilka tygodni. Nadia przestała gotować obiady, choć wcześniej też kiepsko radziła sobie w kuchni. Jadł mniej gotowanych posiłków niż wtedy, gdy był kawalerem. Jeśli chodzi o interesy Elliota, jej zainteresowanie, niegdyś tak duże, zupełnie minęło. Przestała nawet pomagać mu podczas targów antyków, co znaczyło, że spędzali coraz więcej czasu osobno.

Nie zawsze mu to przeszkadzało. Bywało, że śmiali się jak dawniej, i wtedy ten czas pomiędzy ich spotkaniami wydawał się smutną, żalną chwilą. Śmiech stawiał wszystko w perspektywie, którą lubił, perspektywie, której chciał się trzymać, ale nigdy mu to nie wychodziło.

Niecałe dwa lata po ślubie zaczął wspominać o dzieciach. A ona zapytała, po co ten śpiesz.

- Utyję i zrobią mi się rozstępy. Mam jeszcze na to mnóstwo czasu.

- Młodsze matki szybciej wracają do formy. Z wiekiem staje się to trudniejsze. Myślałem, że naprawdę pragniesz mieć dzieci.

- Oczywiście, że tak - odparła. - To tylko kwestia czasu.

Tę samą rozmowę odbyli jakiś tuzin razy. On nie ufał wolności, której ona tak kurczowo się trzymała. Nie widział w tym nic poza wolnością, która pozwoli jej go opuścić.

Potem nagle jej matka poważnie zachorowała i wszystko się zmieniło.

Pamięta, jak wracali samochodem ze szpitala w Pradze, on wciąż w tym samym ubraniu, które miał na sobie w pracy, kiedy dotarli do niego wieści o ataku serca teściowej. Była trzecia nad ranem. Pamięta puste ulice, przy których stały czarne jak sadza potężne budynki, i upiorne białe smugi światła na twarzy Nadii. Sytuacja nie była jasna. Jej matka przez sześć godzin pozostawała w śpiączce, zanim odzyskała przytomność dzięki zastrzykom.

W owych chwilach po raz pierwszy zobaczył to miasto tak, jak wyobrażał sobie, że postrzega je Nadia: jako dom, który opuściła, miejsce, do którego należała i od którego została odcięta. Czuł jego masę, która przyciągała z siłą grawitacji, jak jakaś ciemna gwiazda.

Pamięta, jak położyła dłoń na jego dłoni. W jej oczach był smutek i dystans. Ścisnęła go tak mocno, że czuł, jak wbija mu paznokcie w skórę.

- Wyjdzie z tego. Nie przejmuj się - powiedział. Nie odpowiedziała. Potem ni stąd, ni zowąd rzuciła:

- Masz rację. Nie czekajmy już dłużej.

Jakby o niczym innym nie mówili przez cały dzień.

Nie zapytał jej, dlaczego zmieniła zdanie. Pomyślał, że chciała dziecka przez wzgląd na matkę, póki ta jeszcze żyła, na wypadek, gdyby następny atak serca okazał się fatalny w skutkach. Rozumiał to jako decyzję, którą podjęła po latach tajemniczych wykrętów: postanowienie, że zostanie z nim do końca życia.

Jechali z powrotem do domu w milczeniu, trzymając się za ręce. A jednak nie odgadł prawdy: że dziecko nie było wcale dla jej matki ani nawet dla nich. Kiedy siedziała na szpitalnym korytarzu, czekając na werdykt, podczas gdy lekarze pracowali na oddziale intensywnej terapii, Nadia zajrzała w otchłań samotności, ujrzała ją w przebłysku w swojej własnej przyszłości. I w panice sięgnęła po owo rozwiązanie, po gwarancję, że cokolwiek się wydarzy, nigdy nie będzie sama.

W swoich snach on także siedział na tamtym korytarzu, czekając na powrót lekarzy. A jego życie tymczasem powoli popadało w ruinę: jego praca, jego rodzina, jego ostatnia szansa u Bukowskiego. Czekał bez końca w nadziei na zrozumienie, które przyniesie mu wolność.

Statek Zoi przyplłynął do Sztokholmu dwa dni przed Bożym Narodzeniem, zarysy miasta wyłoniły się z mgły świtu, szare na szarym, światła uliczne rozciągnięte wzdłuż linii brzegowej wyglądały jak blade gwiazdy. Minęły dwa tygodnie od chwili, gdy opuściła Moskwę i rozpoczęła podróż na paszporcie Karla Kilboma. Większość jej przyjaciół i rodziny nic nie wiedziała o jej wyjeździe. Nie miała czasu, żeby ich powiadomić. A ci, którzy o tym wiedzieli, byli za daleko, kiedy przyszła pora, żeby ją odprowadzić. Opuściła ziemię, na której się urodziła, bez słowa pożegnania.

Elliot czytał listy przy kuchennym stole, w świetle nowej stuwatowej żarówki wiszącej w oprawce nad jego głową. Listy leżały wokół niego w stosach - na krzesłach, na podłodze, na blacie kuchennym. Laptop był podłączony za kuchenką, przedłużacz wił się po lśniących kaflach jak wąż.

Masa szczegółów już go nie zniechęcała. Wszędzie znajdował błyski iluminacji, latarnie w morzu słów. Tam, z dala od świata, w jego głowie zaczęły się tworzyć obrazy - chronologie, sekwencje, związki. Nadal daleko mu było do zrozumienia, ale kiedy czytał, to nawet to, czego brakowało albo co pozostało niewyjaśnione, stawało się bardziej jasne. Luki w jego wiedzy kurczyły się, fakt po fakcie, linijka po linijce, zamieniając się w proste, możliwe do sformułowania pytania.

Pracował z przerwami, żywiąc się słodzoną kawą i bułkami zabieranymi z hotelowej jadalni. Każdy list wnosił coś nowego, pomagał mu udoskonalić tworzony obraz. Czasami był zmuszony zakwestionować jakieś wcześniejsze założenie albo odrzucić je całkowicie. Wprowadzał wszystko do komputera, ale za każdym razem, gdy wracał do ekranu, to, co tam znajdował, traciło już aktualność, pozostawało w tyle za jego obecnym tokiem myślenia. Historia sama układała się w całość, jak żywa. Zaczął dostrzegać to, co było między słowami. Potrafił już rozpoznać w listach elementy niewidoczne dla zwykłego czytelnika: przemilczenia, uniki, udawanie, kłamstwa.

W życiu nie dana mu była taka perspektywa - zapewne nikomu nie jest dana. Odkrywał Zoie od środka, oglądał świat jej oczami. Żadna kobieta nie pozwoliła mu na coś takiego. Być może żadna nigdy nie może tego zrobić.

Archiwum Zoi było owocem jej samotności. To izolacja uczyniła z niej tak wytrwałego zbieracza. Te listy, świadectwo dawno minionych namiętności, nadawały wagę jej życiu. Przypominały jej, kim była.

Dwa listy ze stycznia 1922 roku opowiadały historię jej przyjazdu do Szwecji: jeden był od Zoi do jej matki, która właśnie wróciła do Moskwy, drugi do Jurija, jej pierwszego męża, z którym rozwiodła się in absentia. Elliot znalazł je w pliku związanym sznurkiem. Papier był kruchy i pożółkły, niektóre kartki zlepione. Musiał rozklejać je nad parą. Atrament odbił się na drugiej stronie, linijki pisma krzyżowały się, jedna litera nachodziła na drugą. Wszystkie listy były po rosyjsku, głównie do i z Moskwy, dostarczane za pośrednictwem szwedzkiego konsulatu, ale często powściągliwe, świadome możliwości przechwycenia. Przerwana komunikacja ponad liniami frontu międzynarodowej wojny klas.

Karl dorastał na małej farmie sto kilometrów na północ od Sztokholmu, w pobliżu miasta Österbybruk w prowincji Uppland.

Jeszcze w latach studenckich związał się z lewicą, choć większa część jego kariery politycznej była negatywnie naznaczona przez podziały na komunistów i socjalistów, rewolucjonistów i demokratów, podziały na frakcję promoskiewską i antymoskiewską. Do 1921 roku udało mu się zgromadzić pieniądze i nawiązać kontakty. Na Boże Narodzenie tego roku podarował Zoi złoty zegarek i diamentowe kolczyki. Zorganizował jej prywatne lekcje rysunku u Edwarda Berggrena, jednego z ważniejszych szwedzkich artystów. Powiedział Zoi, że nie kupią samochodu, ponieważ mogłoby to źle wyglądać w oczach szeregowych członków partii. Mieli za to dwie służące, które z nimi mieszkały.

Elliot doskonale sobie wyobrażał, skąd pochodziły jego pieniądze.

Podczas pierwszej wojny światowej Szwecja przechodziła zmienne koleje losu. Fabrykanci broni wzbogacili się, dostarczając na front broń i materiały wybuchowe, lecz inne rodzaje przemysłu zostały ciężko dotknięte, kiedy zniknęły ich rynki zbytu. Dwa lata po wojnie panowało bezrobocie i głód. Chleb był racjonowany. Wiosną 1917 roku demonstranci użyli przemocy. W całej Europie masy wyszły na ulice.

Radykałowie tacy jak Kilbom mieli ręce pełne roboty. Szwecja była dogodnym kanałem, przez który można było bezpiecznie przesyłać pieniądze z kraju do kraju. Pieniądze zebrane przez sympatyków w Stanach Zjednoczonych i gdzie indziej docierały do bolszewików via szwedzkie rachunki bankowe. Kilku kolegom Kilboma został postawiony zarzut złamania zasad dotyczących obcej waluty. Po zawieszeniu broni strumień pieniędzy płynął w drugą stronę.

Kilbom odbywał sekretne podróże do Niemiec i Włoch, pomagając założyć tam komunistyczne komórki. On i jego partia byli bankierami światowej rewolucji.

Kilbom nie był zwolennikiem rewolucji we własnym kraju. Wierzył, że można wypracować właściwy system parlamentarny. Ministrowie regularnie jadali obiady w jego apartamencie, jak donosiła Zoia. Pragnął wydawać gazetę, która edukowałaby robotników, żeby nie dali się kupić łatwymi obietnicami ani nie rzucili się sobie do gardeł podjudzani przez posiadającą kapitał burżuazję. Marzył, by został wybrany na stanowisko wołą ludu, nie uciekając się do rewolucyjnej przemocy.

Gorąco wierzył w moralną konieczność pracy. Bezczytność uważał za grzech, czy chodziło o bezczytność bogaczy, utrzymanek czy lumpenproletariatu.

Szybko zdobył względy Zoi. Ze wszystkich szwedzkich delegatów w Moskwie on miał najlepsze kontakty z Czeka. Zastępca organizacji, rosyjski Polak Wiaczesław Mienżyński, był jego starym przyjacielem.

Po wyjściu z Łubianki Zoia napisała do Kilboma, dziękując mu za jego wysiłki. Kilbom odpisał jej, proponując małżeństwo. Po jego powrocie do Moskwy wszystko - państwowy ślub oraz rozwód - było już załatwione oficjalnym dekretem. Wystarczyły tylko dwa dni.

Ale jako żona polityka Zoia od początku była rozczarowaniem. Elliot znajdował w każdym liście cień żalu i wzajemnych oskarżeń. W kwietniu 1922 Karl napisał do teściowej w Moskwie, choć nigdy tej kobiety nie poznał i wyliczał problemy, jakie miał z jej córką. Ona zaś napisała do Zoi, przejęta strachem, że ten związek skazany jest na niepowodzenie.

Twój mąż skarży się dokładnie na te same cechy Twojego charakteru, które ja zawsze chciałam zmienić, chociaż Ty nigdy mnie nie słuchałaś: jesteś kapryśna, leniwa i nieporządna - i bardzo niewdzięczna. Obawiam się, że on ma rację. Po drugie, pisze mi on, że nie obchodzą Cię jego przyjaciele i nie rozmawiasz z nimi. To okropne. To ludzie na stanowiskach, którzy są dla niego ważni, wstyd mi, że zachowujesz się niewłaściwie w ich obecności. Wyobrażam sobie, jak mówią, że matka źle Cię wychowała i nie nauczyła Cię dobrych manier.

Źródłem tego wszystkiego jest Twoje lenistwo. Wyobrażam sobie, jaki nieporządek i chaos panują w Twoim domu, i nawet z tak daleka wstydzę się tego. Kolejna sprawa: uwielbiasz swoje suknie, ale nigdy się o nie nie troszczysz.

To wszystko, moja droga, jest prawdą. Proszę więc, nie bądź na mnie zła za to, że Cię ganię. To jest poniżej krytyki. Przyjmuję Twoje słowa, że Ty i on bardzo się różnicie, ale po prostu musisz postępować zgodnie z zasadami tego społeczeństwa. Jeśli nadal będziesz się tak

prowadziła, ryzykujesz, że stracisz szacunek wszystkich. Musisz myśleć o pozycji swojego męża i ograniczyć kontakty do odpowiedniego towarzystwa. Zrezygnuj ze swoich dawnych moskiewskich błazeństw - nic dobrego z nich nie wyniknie. Życie kokietki jest bardzo smutne i krótkie.

A przede wszystkim muszę Cię błagać, żebyś nie pisała więcej do Jurija. Wiem, że on jest wciąż z Tobą w kontakcie, a Ty z nim. Tak mi powiedziano. Ale muszę Cię uprzedzić, że jeśli napiszesz do niego jeszcze raz, nigdy nie otrzymasz już listu ode mnie. Zobaczyłabyś, że mam rację, gdybyś znała plotki i obelgi, jakie muszę znosić. Nie wyobrażasz sobie, jakie okropne jest teraz moje życie, bo gdybyś sobie wyobrażała, nie odzywałabyś się do niego. Każdego dnia muszę ścierpieć obrazy i upokorzenia, od znajomych i obcych, a wszystko to z powodu tego przekłętogo ślubu, o który, jak o wszystko inne, to ja, jako Twoja matka, jestem obwiniana. Unikam ludzi ze strachu, co powiedzą.

Proszę Cię zatem, jeśli kochasz swoją matkę, odeślij Jurijowi nieotwarte listy. Chciałam zatelefonować do jego ojca i położyć kres tej korespondencji, ale jestem tym wszystkim zbyt zniesmaczona, żeby podejść do telefonu.

Elliot otworzył nowy plik w komputerze. Chciał, żeby każda wzmianka dotycząca roku poprzedzającego wyjazd Zoi była zapisana osobno. Pragnął zbudować obraz tego szczególnego okresu: Zoia w rewolucyjnej Moskwie, w połowie wojny domowej, *czas moskiewskich błazeństw Zoi i tego przekłętogo ślubu.*

Nawet podczas wojny Zoia korzystała z wolności. Chadzała bez eskorty do barów i kawiarni, szukając towarzystwa poetów i malarzy. Odwiedzała galerie z Andriejem Burowem i zapisała się do eksperymentalnej akademii Kandinskiego. Dla niej upadek starych struktur społecznych miał swoje zalety: przez krótki, podniecający czas mogła znaleźć się w kręgach zakazanych dla przyszłej damy dworu. Nauczyła się pić, kłócić i kochać. Nowa estetyka własnego wewnętrznego ja działała na nią jak magia. Niosła ze sobą obietnicę jeszcze większej wolności.

Potem czerwoni zaczęli rozstrzeliwać także poetów.

Zastanawiał się, ile Karl Kilbom wiedział o tym czasie, jak wiele Zoia zdradzała w listach do obcego człowieka. Karl miał zawsze ustalony pogląd na to, jaka powinna być jego żona. Jedno spotkanie i kilka listów wystarczyły, by zdecydował się oświadczyć Zoi. Pragnął jej z całą tajemną namiętnością miłości od pierwszego wejrzenia. Ona zaś musiała znaleźć sposób ucieczki.

W Sztokholmie pisała w sekrecie listy do mężczyzny, z którym się rozwiódła. Przechowywała listy od mężczyzn z Rosji, którzy ją adorowali, listy pełne goryczy i drwin. Andriej,

uczeń Meyerholda, oznajmił matce Zoi, że planuje odwiedzić Sztokholm latem. Napisała do Zoi 22 lutego:

Nie lubię Andrieja. Chyba nawet go nienawidzę. Powiedział mi, że Twoje życie jest jak nonsensowny wiersz napisany przez poetę, który zwykle kłamie. Zdenerwowałam się, kiedy tak do mnie mówił. Proszę, nie pisz do niego, żeby cię nie szantażował, jak w szkole. W całej Moskwie chwali się znajomością z Tobą. Nie mogę tego słuchać.

Matka zawsze pisała ze strachem, że Karl zmęczy się swoją nową żoną i opuści ją. Prosiła Zoię, żeby dobrze się sprawowała i spełniała jego oczekiwania. Równocześnie błagała ją, by domagała się ślubu kościelnego, który uznawało szwedzkie prawo. Powód był oczywisty: małżeństwo ze Szwedem gwarantowałoby Zoi szwedzkie obywatelstwo. Miałaby pewność, że nie zostanie deportowana. Karl był ich kołem ratunkowym, ich nadzieją na bezpieczeństwo. Ale istniały rzeczy, których nie powinien wiedzieć, sekrety, które nigdy nie powinny zostać mu wyjawione. Największą obawą madame Korwin-Krukowskiej było to, że nie były dość utajnione.

W południe piątego dnia wysiadło światło. Elliot sprawdził korki pod schodami, ale nic nie działało. Odcięto prąd.

Nawet przy otwartych okiennicach w kuchni było dość ciemno. Salonik z kolei był ciasny i zapchany meblami. Jedynym miejscem, gdzie mógł coś robić, była pracownia Zoi na samej górze, z niej duże okno wychodziło na zatokę.

Kupił w mieście dwie latarnie sztormowe i cztery pudełka świec. Powiesił latarnie na belkach pod sufitem i wstawił świece do słoików na podestach. Ostatnią podpałką zapalił w małym żelaznym piecyku w kącie pracowni, po czym wyszedł poszukać czegoś na opał. Chciał rozpalić w piecach w całym domu, żeby przegonić zimno i wilgoć.

Za domem od strony morza między drzewami prowadziła ścieżka, kręty chodnik ze śniegu, który wił się zygzakiem przez paprocie. Ziemia pod spodem była omszała i miękka, Elliot szedł powoli, szukając gałęzi i zbierając, co się dało. Zatrzymał się, żeby posłuchać wiatru, który uderzał w wierzchołki sosen. Tędy Zoia chodziła na brzeg. Jej stopy podczas tysiąca samotnych przechadzek udeптаły ziemię, po której teraz szedł. Podobno przyjeżdżała na wybrzeże tylko latem. Wiedział jednak, że to nieprawda. Przyjeżdżała tu także w zimie, sama, nie mówiąc nic nikomu, żeby pospacerować po tych lasach i popatrzeć na niespokojne morze.

Doktor Lindqvist w szlafroku otworzył mu drzwi. Był przygarbiony, a jego oczy za grubymi szklami nabiegły krwią.

- Wciąż pan tu jest, panie Elliot? Myślałem, że już pan skończył.

Elliot wsadził ręce do kieszeni i uśmiechnął się życzliwie.

- Prawie. Jak było w Uppsali? Lindqvist wytarł nos w złożoną chusteczkę.

- Zimno. W tym cholernym mieście zawsze jest zimno. Pewnie chce pan klucze. Proszę, niech pan wejdzie na chwilkę.

Lindqvist zniknął, zostawiając Elliota w wąskim holu. Z wnętrza domu dobiegały głosy, siostra doktora łajała go, kazała mu wracać do łóżka, zanim umrze. Lindqvist odparł zirytowany *ja, ja, ja*.

Na ścianach wisiały obrazy w polakierowanych drewnianych ramach, akwarele z dużą plamą nieba, poźółkłe ze starości, oraz stare czarno-białe fotografie statków, dużych i małych, świadectwo dawnej lub obecnej pasji. Małe czarne muszki tkwiły uwięzione pod szkłem.

Lindqvist wrócił, kaszląc.

- Więc już prawie pan skończył? - spytał i podał mu klucze. Elliot wzruszył ramionami.

- Tak, jeszcze dzień czy dwa...

- To dobrze, bo naprawdę muszę szybko opróżnić ten dom. Pozbyć się mebli, książek i papierów. Są zainteresowani, więc...

- Papierami? Ktoś chce kupić te dokumenty?

Elliot natychmiast pożałował, że odezwał się takim zaniepokojonym głosem.

Lindqvist spojrzał na niego nieufnie. Pachniał mocno jakimś lekarstwem - pastylkami na gardło albo środkiem dezynfekującym.

- Uważa pan, że powinienem je przekazać do archiwum państwowego, jak przypuszczam.

Elliot znów uniósł ramiona.

- To byłoby idealne rozwiązanie.

Lindqvist otworzył drzwi. Zimne powietrze wpadło do holu.

- Ale nie taka była jej wola - zamknął temat. - Więc znalazł pan tam coś ciekawego? Coś nowego?

Wypowiedział owo „tam”, jakby wolał trzymać się stamtąd z daleka, gdyby tylko miał wybór. Elliot schował klucze do kieszeni.

- Jakieś rodzinne historie. Głównie tło, wie pan, ale wszystko się przyda.

Pomyślał w tej chwili o Kerstin Östlund, która powiedziała mu, że Lindqvist zmienił testament Zoi. Mówiła też o nieuczciwym prawniku z Uppsali, który mu w tym pomagał.

Lindqvist chrząknął, jakby nie był zdziwiony brakiem wielkich rewelacji.

- Wszystko idzie zgodnie z planem, jeśli chodzi o wystawę?

- Tak. Próbujemy jeszcze wysledzić kilka wczesnych prac. Ale to niczego nie zmienia.

- Dobrze. No cóż...

Lindqvist machnął zdawkowo na pożegnanie i zaczął zamykać drzwi.

- Doktorze?

Lindqvist zasłonił usta chusteczką i uchylił lekko drzwi.

- Chciałem pana o coś zapytać - powiedział Elliot. - Nie wiem, czy może mi pan pomóc.

Znalazłem pewne adnotacje, których nie rozumiem.

Lindqvist poprawił okulary i pociągnął nosem.

- Adnotacje?

- Do pewnych obrazów, może szkiców. Nie jestem pewien. Krymu i Sewastopola. Albo namalowanych tam, chociaż to by znaczyło... Widzi pan, myślę, że to może być ważne.

Lindqvist zmarszczył czoło, wciąż przyciskał chusteczkę do ust.

- Zastanawiałem się, czy madame Zoia wspominała o nich kiedykolwiek. Cokolwiek.

Doktor przez moment stał nieruchomo, potem pokręcił głową.

- Nie mogę panu pomóc - rzekł i zamknął drzwi.

Lindqvist miał grypę. Jeżeli szczęście Elliotowi dopisze, choroba zatrzyma doktora z dala od domu Zoi przez kilka dni, a może dłużej. Ale to nie znaczy, że nadal będzie mu pozwalał tam wchodzić. Elliot odniósł wrażenie, że w każdej chwili może mu tego zabronić.

Pojechał z powrotem do hotelu. Recepcjonista jak zwykle siedział za ladą. Ostatni prawnicy wyprowadzali się, konferencja dobiegła końca. Elliot przepchnął się na początek kolejki.

- A, dzień dobry, panie Elliot - powiedział recepcjonista, podnosząc wzrok znad komputera. - Wciąż pan jest u nas?

Elliota dobiegły zirytowane pomruki mężczyzn za jego plecami. Pochylił się nad ladą.

- Chciałbym wiedzieć, czy jest tu w pobliżu jakiś ślusarz. Chłopak spojrzał na niego niepewnie.

- Ślusarz?

- Tak. Muszę dorobić sobie klucze.

23

Od akumulacji do ekstrapolacji. W studio na górze Elliot pracował chronologicznie, zamienił to pomieszczenie w ekspozycję wczesnego etapu życia Zoi. Każdą powierzchnię wypełnił kolażem obrazów i słów. W kredensie znalazł stos dużych szkicowników. Powiesił szkice na ścianie, potem nad nimi umieścił fotografie razem z reprodukcjami wyrwanymi z katalogów, które dostał od Corneliusa. Opatrywał je nagłówkami, wpisywał daty i miejsca, nazwiska i uwagi. Większość listów wylądowała na podłodze, w dwóch kolumnach: listy od Zoi z jednej strony, listy do Zoi z drugiej. Kiedy trafiał na wspomnienie o jakimś liście, na który się nie natknął, wkładał na jego miejsce kartkę papieru, pisząc na niej to, co jego zdaniem list mógł zawierać. Tylko najważniejsze listy trafiły na ściany. Rysował diagramy i nalepiał etykiety, niczym detektyw zbierający tropy. Porządkował wszystko w okresach pięcioletnich. Materiały z pięciu lat zajęły miejsce od jednego końca pokoju do drugiego. Kładł na listach kamienie z plaży. Przyklejał na nich karteczki z uwagami i streszczeniem zawartości.

Pozłacana deska stała na środku pokoju, tam gdzie zostawiła ją Zoia, jakby czekała na jej powrót. Czasami przystawał, żeby popatrzeć na jej połyskującą, iluzoryczną głębię. Próbował sobie wyobrazić, co Zoia chciała na niej namalować, jaki byłby temat jej ostatniego obrazu. Próbował wyczytać to z zakrzywionych zakładek światła, bladych, niemal niezauważalnych smug.

Ale niczego nie był w stanie dojrzeć.

Bez prądu laptop był bezużyteczny. Bateria wystarczała tylko na godzinę. Tak czy owak wolał mieć to wszystko pod ręką. Widzieć strumień słów, pauzy, przemilczenia. Potrafił ocenić stan umysłu Zoi na podstawie kształtu liter i charakteru języka. Tworzył mapę życia Zoi. Wyciągał jej tajemnice na światło dzienne.

Czego nie wiedział Karl? Czego nie należało mu zdradzać?

Z imieniem Zoi wiązano jeden skandal, jeśli można nazwać to skandalem. Wyjawiała tę historię w 1938 roku, rok po zakończeniu małżeństwa z Karlem.

W Moskwie w 1919 roku, opowiadał, Zoia poznała studenta prawa o imieniu Jurij i zakochała się w nim. Pomimo sprzeciwu obu rodzin w tym samym roku młodzi wzięli potajemnie

ślub kościelny. Chociaż rodzina Jurija to byli akademicy, on sam obracał się w kręgach arystokracji, młodych dobrze urodzonych ludzi, którzy byli zdeterminowani, by kontynuować dawny model życia najlepiej jak się dało, choć ograniczony rzecz jasna przez okoliczności. Urządzali pikniki nad rzeką i polowania na Wróblowych Wzgórzach, skąd Napoleon patrzył na Moskwę przed jej upadkiem.

Pewnej nocy, miesiąc po ślubie, do mieszkania Zoi i Jurija przyszli żołnierze. Przeszukali je, znaleźli biżuterię, którą Zoia starannie ukryła, i zabrali wszystkie dokumenty i papiery, które nie były w języku rosyjskim. Zabrali także Jurija.

Przez trzy tygodnie Zoia nie miała żadnych wiadomości. Próbowwała dowiedzieć się, co stało się z Jurijem, gdzie przebywał, czy został o coś oskarżony. Ale nikt niczego jej nie wyjaśnił. Przyjaciele prosili, by za wszelką cenę trzymała się z dala od Czeka, żeby czekała w milczeniu, jak tysiące innych. Zoia zignorowała ich radę i nawiedzała komisariaty policji z fotografią Jurija, pokazując ją każdemu, kto chciał patrzeć.

Potem, niespodziewanie, Jurij wrócił do domu. Nie chciał wyjawiać, co się z nim działo. Oznajmił, że był przesłuchiwany, że pytano go o studia i rodzinę, i to wszystko. Nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego zabrało to aż trzy tygodnie, nie chciał o tym rozmawiać.

Potem oświadczył, że udało mu się dostać nową pracę w rządowym departamencie, chociaż i o tym mówił niechętnie. Będzie zwykłym gryzipiórkiem, poinformował, nie wyjaśniając, jak zdołał otrzymać tę posadę tak szybko po wyjściu z więzienia.

Przez moment życie stało się nieco łatwiejsze. Nagle mieli więcej jedzenia. Ale w nocy, jak mówiła Zoia, Jurij czasami krążył godzinami po pokoju. Ilekroć ktoś zapukał do drzwi, zaczynał się trząść.

Dwa dni po Bożym Narodzeniu został znowu aresztowany, chociaż tym razem żołnierze byli grzeczniejsi. Kiedy go zabierali, Jurij tak strasznie dygotał, że ledwie mógł iść.

Zoia dowiedziała się wkrótce, że tamtej nocy były też inne aresztowania. Wszyscy przyjaciele Jurija, z którymi jeździł na polowania, zostali także zabrani. Żona jednego z nich potraktowała Zoię chłodno. Chodziły słuchy, że Jurij został zwerbowany przez Czeka. Że był agentem prowokatorem i zdradził ich wszystkich. Został aresztowany po raz drugi, żeby nie padło na niego podejrzenie. W kolejnych dniach wszystkich z kółka Jurija oskarżono o zaangażowanie w konspirację kontrrewolucyjną, po czym stracono. Jurija przeniesiono do specjalnego więzienia dla psychicznie chorych. W końcu uwolniono go jesienią 1921 roku, kilka tygodni po wyjeździe Zoi do Sztokholmu.

To wtedy powiedział jej, że zrobił to dla niej. Myśl, że nigdy więcej jej nie zobaczy, była dla niego nie do zniesienia.

Zdrajca w rodzinie to był fakt, który należało ukryć. To był powód, żeby uciekać na Krym, daleko od wrogich spojrzeń i gadania. Zoia twierdziła, że nic nie wiedziała o współpracy Jurija z Czeka, ale może to nieprawda. Może powiedział jej wszystko i od początku tkwili w tym razem. Czerwoni dali jej ciepłą posadkę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Wyszła za komunistę. Dla niektórych stanowiło to wystarczający dowód na to, gdzie leżały jej sympatie. I nadal pisywała do Jurija, kiedy odkryto jego zdradę - a nawet widziano ją w jego towarzystwie, jeździli razem po Moskwie po jego uwolnieniu z zakładu dla obłąkanych. Madame Korwin-Krukowskaja pisała do Zoi w lutym, że w Moskwie nie mają już przyjaciół, poza dziewczyną o imieniu Rosa, ale nawet Rosa przynosi z miasta okropne plotki: że Zoia była w spisku, że jej umysł jest zatruty przez towarzystwo, w jakim się obracała, ludzi w rodzaju Andrieja Burowa i jego przyjaciół modernistów. Mówiono, że zdradziła dla pieniędzy, żeby zaspokoić swoje pragnienie luksusu. Że puszczała się z członkami partii, aż trafiło jej się łatwe życie w Sztokholmie, gdzie nawet pieniądze przysyłane przez Lenina wydawała na norki i samochody z szoferem. Nazywali ją żydowską dziwką - ponieważ stało się wiadomym, że jej ojciec był Żydem, a przecież Żydzi i bolszewicy to jedno i to samo. Madame Korwin-Krukowskaja dziękowała Bogu, że jej córki nie ma już w Moskwie, bo ludzie pluliby na nią na ulicy.

Historia przyjaciół od polowań mogłaby zdziwić wiele osób w Szwecji, ale nie Karla. On miał bliskich znajomych w Czeka i prędzej niż Zoia mógł poznać prawdę. Poza tym dlaczego miałby się przejąć tym, co zrobił Jurij, czy nawet Zoia? Podczas wojny przeciw burżuazji znajdował się w przeciwnym obozie.

Matka Zoi chciała, żeby Jurij zniknął z ich życia. Przyniósł im wszystkim wstyd. Tylko Zoia go żałowała, odpowiadając na jego płaczliwe, pełne rozpacz listy.

Moskwa, 4 stycznia 1922

Moja droga ukochana Zoiczko!

Nie ma Cię od sześciu tygodni, a ja nie dostałem od Ciebie ani słowa. Jesteś na mnie zła, że nie przyszedłem pożegnać Cię na stację? Jeśli tak, nie bądź zła, proszę, dla mnie to było zbyt trudne. Bałem się, że tego nie zniosę. Proszę, napisz do mnie, daj mi przynajmniej znać, jak się masz.

Wciąż mam Twoje zdjęcia, które sam zrobiłem. Powiesiłem je na ścianie. Twoje piękne oczy patrzą na mnie, kiedy piszę, chociaż staram się nie zerkać na nie zbyt często, ponieważ

napawa mnie smutkiem, że nie mogę cię już pocałować ani okazać Ci czułości. Powiedz mi prawdę: czy kochasz tego swojego męża? Nie zostało ani trochę miłości dla mnie? Żebyś wiedziała, jak bardzo pragnę Cię znowu zobaczyć...

Całuję Cię, moja kochana - choć już nie moja - ale wciąż najbliższa memu sercu i wciąż ukochana.

Pod tym listem leżała najprawdopodobniej odpowiedź, ale tylko brudnopis. Elliot nie mógł być pewien, czy Zoia ją wysłała ani czy dotarła do adresata. Pismo było pospieszne i niedbałe, linijki zbiegały się, płynąc przez stronę.

Myślałam, żeby do Ciebie napisać, Jurewicz, ale to dla mnie bardzo trudne, musisz to zrozumieć. Twój list bardzo mnie poruszył, ponieważ powiedział mi, co o mnie myślisz. Przypomniał mi, że nie jestem w stanie gniewać się na Ciebie. Jeśli chodzi o mój wyjazd z Moskwy, wszystko odbyło się w takim pośpiechu, że nie miałam czasu zastanowić się, dlaczego nie przyszedłeś się pożegnać.

Czuję się dobrze. Wiedzie mi się dobrze, choć pojawiają się pewne trudności, których jeszcze nie umiem pokonać.

Przyłynęliśmy do Sztokholmu na parowcu z Tallina, takim jak ten, o którym marzyliśmy z Tobą. Pamiętasz jeszcze? Podróż była okropna, cały czas chorowałam i myślałam, że umrę. Celnicy chcieli zabrać mi Miszkę, ale roześmiali się, kiedy powiedziałam im, dlaczego go potrzebuję... Czekał na nas samochód, bo w Sztokholmie nie jeżdżą już powozami, i zawiózł nas do mieszkania, które jest całkiem miłe i urządzone w dobrym stylu. Gabinet Karla jest wyłożony sekwoją, a jadalnia jest dębowa. Mamy dwie służące i psa, zaczęłam chodzić na lekcje malarstwa. Karl chce, żebym zrobiła wystawę tej jesieni, mówi, że użyje swoich prasowych kontaktów, żeby pomóc mi się wypromować, chociaż sądzi, że nie jestem jeszcze gotowa. Umówił nawet jakiegoś ważnego polityka, którego mam sportretować. Bardzo poważnie planuje moją karierę, jak widzisz.

Karl wydaje się mieć wielu znajomych. Niektórzy są bardzo interesujący, a inni nie. Prawdę mówiąc, Szwedzi są dość pedantyczni i wolą jadać w domu, niż chodzić do restauracji. Podczas świąt Bożego Narodzenia bardzo mi to doskwierało. Karl zna chyba wszystkich w Sztokholmie, a oficjalne obiady wloką się w nieskończoność.

Karl bardzo się o mnie troszczy, a ja mu się odwzajemniam, oczywiście. Nie posiada cechy, którą nazwałbyś niefrasobliwością. Zawsze mówi mi, co zrobić, jak nauczyciel, ale jest też szlachetny. Dostałam od niego na Boże Narodzenie złoto i brylanty, i srebrny serwis obiadowy

od jego przyjaciół. Jeden z nich zorganizował mi wejście na przyjęcie, na którym była obecna szwedzka rodzina królewska. To było bardzo podniecające. Jedyna smutna wiadomość, to że lekarze powiedzieli, że nie mogę mieć dzieci, i Karl potwornie się tym trapi.

Szkic listu urywał się gwałtownie, jak coś kruche, łamliwego. Elliot przeszukał całą stertę, ale nic więcej nie znalazł.

Przypiął list do ściany, usiłując sobie wyobrazić sekwencję wydarzeń. Zoia poszła w Szwecji do lekarza. Karl naciskał na to, znając choroby, na jakie mogła być narażona w Rosji. Lekarz zbadał ją i oznajmił, że nie może zająć w ciążę.

Hildur Backlin opowiedziała mu inną historię, historię o restauracji w Östermalm. Głosy bawiących się dzieci przeszkadzały Zoi. Wstała w środku posiłku. Ale Hildur myliła się co do powodu jej zachowania. Bezdzielnosc Zoi nie była kwestią wyboru. To był stan fizjologiczny, nieuleczalny, biorąc pod uwagę wiedzę medyczną w owym czasie. Coś było nie tak z jej kobiecymi narządami. Były wadliwie rozwinięte albo uszkodzone. Jedno albo drugie.

Przez chwilę wydawało się jednak, że lekarze się mylą. 14 maja 1923 roku matka Zoi odpowiadała na list, który właśnie otrzymała od córki.

Powiedz mi, co Twój mąż myśli o twoim stanie? Czy jest szczęśliwy? Czy pragnie tego dziecka? Napisałaś bardzo krótko i ledwie co rozumiem. Więc, moja kochana, proszę, pisz częściej, gdyż dostaję od Ciebie list tylko raz w miesiącu, a takie przerwy są nie do zniesienia.

Ostatnio odwiedziła mnie Maja. Ciesz się, że będziesz miała dziecko. Ona też tak pragnie dziecka, że ekscytuje ją nawet wiadomość, że ktoś inny jest w ciąży. Mówi, że Twoje dziecko będzie wspaniałe, bo oboje z Karlem jesteście piękni i utalentowani.

Elliot znalazł kolejną wzmiankę na temat ciąży pod koniec miesiąca: babka Zoi robiła na drutach ubranka dla dziecka. Dziecko miało przyjść na świat w zimie. Ale potem wszelkie wieści na ten temat urwały się. W czerwcu madame Korwin-Krukowskaja odpowiadała na kolejny list Zoi, który nazwała „pełnym rozpacz”. Zoia napisała, że chce opuścić Sztokholm, podróżować. W lipcu 1922 roku była już Niemczech, czasami z Karlem, czasami sama.

Jednak lekarze mieli rację.

6 sierpnia, podczas pobytu w Berlinie, napisała do starego przyjaciela, poety Sandro Kusikowa. Prosiła, by przysłał jej swoje dawne wiersze o Rosji i pejzażach Kaukazu, gdzie się urodził.

Nazajutrz wczesnym rankiem Elliot usiadł przy kuchennym stole, żeby napisać krótki artykuł, o który prosił go Cornelius: dwie strony na temat życia Zoi i jej pracy, dlaczego jej wy-

stawa może stanowić punkt centralny wizyty rosyjskiego premiera i byłego szefa KGB. Bateria w laptopie musiała na to wystarczyć.

Siedział długi czas, patrząc, jak wiatr uderza w szyby kulkami lodu. Nic nie przychodziło mu do głowy.

24

Kiedy znalazł się z powrotem w hotelu, wyjął z kieszeni płaszcza telefon komórkowy i stwierdził, że nie działa. Zaczął więc grzebać w walizce w poszukiwaniu ładowarki, podłączył ją do gniazdka w łazience. Wbił swój PIN i czekał na sygnał.

W neonowym świetle jego cera była żółtawa. Zbliżył się do lustra i odwrócił głowę w jedną, a potem w drugą stronę. Nie wiedział już, dlaczego kobiety twierdziły, że jest przystojny: nie widział tych przyjaznych brązowych oczu, mocnej szczęki, nieśmiałego uśmiechu, który nie pojawiał się zbyt często. Teraz jego twarz zrobiła się jakaś bezkształtna, nabrzmiała i pomarszczona.

Zoia malowała na lustrach ze złota. Wszystko wokół nich było muśnięte świętym błaskiem. Ale pozostawały tylko lustrami. Świeciły jedynie odbitym światłem. Obraz, który widziałeś, był wersją twojego świata, a nie autonomicznym światem.

Elliot podskoczył na dźwięk dzwonka: otrzymał wiadomość. Wziął telefon do ręki, ekran natychmiast się rozjaśnił. Przeczytał: Masz 7 nieodebranych wiadomości. Nacisnął przycisk. Drżący cyfrowy głos poinformował go, że ma pięć wiadomości.

Poniedziałek, 13.21: *Marcus, tu Harriet Shaw. Oddzwoń do mnie najszybciej jak to możliwe. Był... Musimy pilnie pogadać. Będę całe popołudnie.*

- Cholera.

Wiadomość pochodziła sprzed dwóch dni. To znaczy, że telefon cały ten czas był nieaktywny.

Poniedziałek 20.34: *Marcus, tu Paul. Nie odzywasz się. Wszystko w porządku?*

Paul Costa, elektryk, dostawca leków, jego tymczasowa wyreka i wspólnik.

Tutaj wszystko gra. Robota papierkowa i tak dalej. Mam wysłać obraz czy jak? Zadzwoń.

Wtorek 10.47: Nikt się nie nagrał. Elliot przycisnął telefon do ucha, czekając na wiadomość. Usłyszał jakby ruch uliczny. I kroki oraz jak ktoś gwałtownie wciąga powietrze. Kobieta, pomyślał. Potem się wyłączyła.

Wtorek 9.45: *Marcus, to znowu Harriet. Naprawdę musimy pogadać, i to pilnie. Sytuacja się zmieniła, proszę, zadzwoń jak najszybciej, okay? Czekam. Och, może zgubiłeś mój numer. Podaję:*

Elliot znalazł ten numer. Nacisnął przycisk, czekając na kolejną wiadomość.

Wtorek 14.35: *Cześć Marcus. Mówi Cornelius. Czy znowu wyłączyłeś telefon?*

W jego głosie pobrzmiwała irytacja i cień rozczarowania, jakby Elliot odcinał go od czegoś ważnego.

No nic, chciałem porozmawiać z tobą o tej notce, o którą cię prosiłem, Frederic mówi, że musimy coś mieć do następnego tygodnia, jeśli...

Elliot nie chciał słuchać tego do końca. Rozłączył się i wybrał numer Harriet. Długo czekał. Zerknął na zegarek. Była 20.57. W Anglii 19.57. Modlił się, żeby Harriet nie pojechała jeszcze do domu.

- No, dalej, odbierz.

- Halo? Biuro Harriet Shaw.

Rozdrażniony głos. Deborah, nowa asystentka, oparta o biurko, w płaszczu, jedną nogą za drzwiami, bardzo chce już wyjść.

- Czy zastałem ją jeszcze?

Wahanie. Ręka na mikrofonie słuchawki.

- Kto mówi?

- Marcus Elliot...

- Zaraz zobaczę... Harriet wzięła słuchawkę.

- Marcus, dzięki Bogu, usiłuję cię złapać od paru dni.

- Przepraszam, Harriet. To ten cholerny telefon. O co chodzi? Słyszał, jak Deborah wychodzi w pośpiechu. Zamknęła za sobą drzwi.

- O petycję Nadii. Żeby unieważnić nakaz kuratora sądowego. Mamy wyznaczoną datę przesłuchania, szybciej niż chcieliśmy, obawiam się.

- Jak szybko?

- Jutro po południu. O wpół do trzeciej.

- Co?

Akumulator wyłądował z hałasem w umywalce. Elliot odwrócił się i zdał sobie sprawę, że wyciągnął go z gniazdka. Niezdarnie podniósł go i umieścił znów w gniazdku. Kiedy przyłożył telefon do ucha, Harriet nadal mówiła.

- Zrobiłam, co mogłam, Marcus. Ale Hanson ma kontakty i naprawdę naciska. Powiedział, że dziecko - to znaczy Teresa - przeżywa traumę z powodu rozstania z matką.

- A skąd on to wie? Harriet westchnęła.

- Rozmawiał z jej zastępczymi rodzicami. Pan i pani Edwards, tak? Powiedzieli mu, że ona... cierpi.

- O Jezu.

- Niewiele mogłam zrobić. Musisz zrozumieć, Marcus, to wszystko kwestia postrzegania. Nie wyglądałoby dobrze, gdybyśmy domagali się zmiany daty przesłuchania, ponieważ jesteś na delegacji w Sztokholmie. Tu chodzi o dobro dziecka.

Elliot uniósł rękę do czoła. Kiedyś przypominałby Harriet, że oczywiście chodzi o dobro dziecka, że każdy wydany grosz, każdy wysiłek, całe jego cholerne życie służyło dobru dziecka. Ale nie tym razem.

- Okay, no to muszę tam być.

- Naprawdę uważam, że to pomoże. Wiesz, co mówią, szczęśliwy, kto posiada. Jeśli Nadia zabierze teraz twoją córkę, jeszcze trudniej będzie znowu ją odzyskać. Twój przylot da nam kilka cennych punktów.

- Rozumiem.

- Dobrze. Prosiłam Deborah, żeby sprawdziła loty. Masz samolot jutro wcześniej rano. Ze Sztokholmu Västerås do Londynu na Stansted. Powinieneś być co najmniej dwie godziny przed przesłuchaniem. Zdążę cię przygotować. Dasz radę?

25

Zrobił sobie kawę rozpuszczalną w małym czajniczku jak z kompletu dla lalek, który stał na minibarku. Wypił czarną, popijając dwie tabletki preludinu, które trzymał na wszelki wypadek. Czuł, jak zaczynają działać, kiedy wyszedł w noc, wszystko się przed nim otwierało, świat przed jego oczami nabierał wyrazistości i ostrych konturów.

Wpół do piątej rano, wymykając się z miasta pustymi pokrytymi pierzynką śniegu ulicami, siedział zgarbiony nad kierownicą, a klimatyzator dmuchał mu w twarz zimnym powietrzem. Termometr zewnętrzny pokazywał minus osiem stopni. Na rękach miał gęsią skórę. Był fizycznie wyczerpany i przejmująco czujny.

Spojrzał w lusterko, zjeżdżając z nabrzeża: dachy, światła uliczne, a za nimi bezkształtne, czarne jak atrament morze. Na niebie nad domem Zoi wisiał żółty kleks księżyca. Widział ją w oknie, znowu młodą i piękną. Zoie z wielkimi oczami, urzekającą, samotną. Mistrzynię masek. Patrzyła, jak jego samochód znika między drzewami.

Czy to możliwe, że mnie zapomniałaś?

W domu wszystko było tak, jak zostawił przed wyjściem. Jej listy otwarte na podłodze pracowni. Reprodukcje, notatki i fotografie przyklejone na ścianach. Praca rozpoczęta i niedokończona. Jak otwarta rana.

Myśl, że ktoś mógłby tam wejść i znaleźć to wszystko, była nie do zniesienia. Znajdował się w środku procesu, który musi zostać zakończony, zanim doczeka się interpretacji albo też uznania. Tak jak Zoia bał się, by ktoś mu nie przerwał, bał się intruzów, którzy nic nie wiedzą. Mógłby wrócić i zrobić porządek, ale i w tym byłaby jakaś profanacja.

Zobaczył ją stojącą przed przygotowaną do malowania deską, złoto nabrało zielonkawego odcienia w świetle księżyca. Trzymała pędzel w dłoni.

- Wróć - powiedział głośno. Jego głos był ochrypliwy i chłopiący, jakby należał do kogoś obcego.

Znalazł czynną stację benzynową na obrzeżach Sztokholmu. Azjata z zamglonym wzrokiem zbierał szmatą rozlany płyn za ladą. Elliot kupił herbatniki i mrożoną herbatę i zjadł śniadanie w samochodzie. Preludin zabijał głód, ale już mu się zdarzało, że omal nie tracił przytomności, zanim docierało do niego, że powinien coś zjeść. Patrzył na śnieg, który wirował w świetle lamp na parkingu. Teraz padał obficie, płatki jakby nurkowały, wpadały do rynsztołów, przykrywały wszystko. Porywy wiatru poruszały reklamami olejów silnikowych i opon. Włączył radio z nadzieją, że usłyszy prognozę pogody, ale wszędzie nadawali tylko muzykę. Termometr pokazywał, że temperatura rośnie. Uruchomił silnik i wyjechał na drogę, chciał dotrzeć do celu, zanim sytuacja jeszcze się pogorszy.

Na przedmieściach Sztokholmu pracowały odśnieżające pługi, ich pomarańczowe ostrzegawcze światła omiatały fronty domów. Wpół do szóstej usłyszał pierwszą prognozę. Sztorm nabrał siły, gwałtownie nadchodził z południowego wschodu, zmieniając pogodę wzdłuż trzystukilometrowego frontu. Polecano wszystkim, żeby kierowali się rozsądkiem i dwa razy pomyśleli, zanim wyruszą w drogę.

Västerås-Hasslö było regionalnym lotniskiem, niedawno otwartym dla ruchu międzynarodowego, położonym siedemdziesiąt pięć kilometrów w głąb lądu wzdłuż jednej z większych

autostrad. Elliot ciągnął się za konwojem pługów śnieżnych i piaskarek, które brnęły przez śnieżycę. Czasami widział jedynie za wycieraczkami ostrzegawcze światła i blask swoich własnych reflektorów. Dwadzieścia kilometrów dalej mijał wypadek. Kabriolet wpadł w poślizg na mokrej drodze i uderzył w barierkę. Drugi samochód stał kilka metrów dalej, podwozie i maska były komicznie odkształcone. Ratownicy pochylali się nad leżącym na ziemi człowiekiem.

Dotarł na lotnisko dwadzieścia minut przed odlotem. Najpierw pomyślał, że budynek terminalu płonie. Wiatr zwiewał z dachu potężny pióropusz śniegu. Samochody osobowe i autobusy manewrowały, żeby znaleźć miejsce na parkingu. Dwóch policjantów w błyszczących kurtkach próbowało utrzymać porządek.

Zaparkował jakieś sto metrów dalej i pospieszył do terminalu, z walizką w jednej ręce i laptopem w drugiej. Miał przynajmniej dwie godziny, tak powiedziała Harriet. Może sobie pozwolić na dwie godziny spóźnienia. Pośliznął się w biegu.

Wewnątrz pełno było ludzi, którzy wyglądali na zagubionych i rozmawiali przez telefony komórkowe. Wszędzie stały bagaże. Tłum oblegał mały bar śniadaniowy. Stanowisko odpraw było puste. Notatka napisana flamastrem informowała, że jego lot został odwołany na czas nieokreślony.

Nie pozwolili mu odprawić bagażu. Numer linii lotniczej był permanentnie zajęty. Zirykowane kobiety w informacji miały pełne ręce roboty, kierując ludzi do przystanków autobusowych. Lotnisko było nadal otwarte. Na tablicy kaskadami trzepoczącego metalu ogłaszano przyloty i odloty, które po chwili znikają. Powoli rozkład lotów uległ kompletnej destrukcji, aż nie zostało nic, tylko puste stwierdzenie tego, co powinno być.

Elliot stał w samym środku tłumu, patrzył, jak mijają minuty, liczył bez przerwy, ile czasu zostało mu do przesłuchania w sądzie. Zostawił wiadomość na sekretarce Harriet Shaw, powiedział jej, co się stało, i prosił, żeby postarała się przesunąć przesłuchanie. Wiedział, że to prawdopodobnie niemożliwe. Pomyślał, żeby wracać do Sztokholmu na lotnisko międzynarodowe i polecieć pierwszym samolotem, łapiąc połączenie do Londynu w Kopenhadze, Amsterdamie albo Paryżu. Ale taki bilet kupiony w ostatniej chwili kosztowałby go więcej, niż mógłby zapłacić kartą kredytową. No i tak czy owak, nie dotarłby na czas.

Na dworze robiło się widno. Śnieżycy była mniejsza, za to wiatr przybrał na sile. Powoli lotnisko się wyludniało. Nadeszła ósma rano, potem dziewiąta i dziesiąta. Kwadrans po dziesiątej Elliot spojrzął ze swojego krzesła na rozkład lotów i zobaczył, że informacja się zmieniała.

Jego lot został oficjalnie odwołany. Chciał znowu zadzwonić do linii lotniczych, zamówić bilet na kolejny lot. Ale po co, skoro i tak nie zdążyłby na przesłuchanie?

Wyobraził sobie, jak będzie ono wyglądało: Nadia w kostiumie od Armaniego, za który zapłacił majątek, czarne włosy zaczesane do tyłu i przytrzymane opaską, blada, poważna i piękna. Harriet twardo wkraczająca z opowieściami o jej alkoholizmie, jej lekceważeniu autorytetu sądu, o jej okresach chwiejności psychicznej - preludium do ostrzejszych ataków, które planowała na główne przesłuchanie o prawo do stałego pobytu. To zabawne i niepokojące, biorąc pod uwagę stawkę, ale jakaś część jego czuła ulgę, że nie weźmie w tym udziału. Nie chciał patrzeć w twarz Nadii, kiedy Harriet nazwie ją zagrożeniem dla ich dziecka.

Przed siedmiu laty - wydawało się, że trwało to tyle co mrugnięcie oka - nie znali się jeszcze. Siedem lat od miłości do wojny. I to brudnej wojny.

Poznali się w Pradze, w lecie 1993 roku.

Po raz pierwszy był tam dwanaście lat wcześniej, przed upadkiem muru berlińskiego, kiedy Praga była jeszcze odcięta od Zachodu. Wówczas wystrzegano się nawet dolarowych turystów, byle zachować ideologiczną czystość. Kilka sfatygowanych autokarów wypełnionych turystami z NRD i Polski objeżdżało miasto. Elliot i jego szkolny przyjaciel załatwili wizy w Londynie i pojechali do Pragi pociągiem przez Wiedeń, ciekawi, jak długo potrwa, zanim ich wyrzucą.

Stara Praga była miastem pełnym opowieści i zarośniętym brudem: wiekowa i czarna od sadzy. Historia żyła tam w każdym detalu: w dachach i strzelających iskrami tramwajach. Chodził po ulicach w zdumieniu, fotografował wszystko, a obrazy z Kafki tłoczyły się w jego głowie. Za każdym rogiem to do niego wracało: ten wyjątkowy rodzaj *frisson*, który towarzyszy człowiekowi za linią nieprzyjaciela.

Śledzono ich. Ich pokój w hotelu został przeszukany, jakieś drobiazgi zginęły, tubka pasty została przedziurawiona igłą z jakiegoś powodu, więc kiedy ją nacisnął, zawartość wypłynęła mu na rękę. Bez przerwy nachodzili ich handlarze, którzy chcieli kupić zachodnią walutę cztery razy drożej, niż wynosiła oficjalna stawka. Codziennie kazano im przeprowadzać się do innego hotelu, chociaż wszystkie świeciły pustkami. Ale to się nie liczyło. Czuł się tam jak księżę, ambasador z Zachodu - nie tego Zachodu, który znał, ale tego, który wyobrażali sobie ci wszyscy, co tam nigdy nie byli. Ten Zachód był miejscem oszałamiającej wolności i dobrobytu osiąganego bez wysiłku.

Karl Kilbom zapewne czuł się tak w Moskwie, niezależnie od tego, że był komunistą, w owym roku, kiedy zakochał się w Zoi - jeśli to była miłość. Poznał nobilitującą moc bogactwa i bezpieczeństwa oraz poczucie wyższości, które z nich wynika. Ludzie pragnęli w jakiś sposób potwierdzić swój nowo zdobyty status i znajdowali owo potwierdzenie w rzeczach pięknych.

Kiedy przyjechał do Pragi po raz drugi, wszystko się zmieniło. Ulice, gdzie dawniej jeździły tramwaje, były zatłoczone błyszczącymi niemieckimi samochodami. Na starym rynku stały parasole z reklamą coca-coli. Budynki zostały odmalowane w kolorze beżu albo chowały się za rusztowaniami i plastikowymi siatkami. Nawet niebo miało inną barwę: ciemny, sztuczny błękit. Kafka wyrzucił swój dziennik i otworzył stragan z pamiątkami na schodach zamku.

Magiczne miasto nie było wcale wolne. Ono zniknęło. Razem z sadzą i tajną policją.

Omijał bary i wszystkie inne oblegane przez turystów miejsca. Szukał czegoś, czego Zachód jeszcze tam nie znalazł i nie wykorzystał do swoich komercyjnych celów. Czegoś, co mogło być tylko jego.

Mieszkał w przerobionej na dom łodzi, jedynym miejscu, gdzie znalazł wolny pokój. Pewnego niedzielnego ranka wstał wcześniej i ruszył na drugi brzeg. Zignorował zamek i szedł na zachód, gdzie stały niskie żółte domy z podwórzami ocienionymi przez wierzby. To tam usłyszał muzykę. Najpierw pomyślał, że płynie z okna na piętrze, ale kiedy podszedł bliżej, przekonał się, że dochodzi z małej barokowej kaplicy. Stał zasłuchany na brukowanej uliczce, niepewny, czy słyszy nagranie, czy kobieta śpiewa na żywo.

Ten czysty idealny dźwięk odbijał się echem wysoko nad jego głową.

Poszedł za tym głosem za róg. Na różowej kartce na drzwiach kościoła, na szarym kluczu wiolinowym wydrukowane były po czesku słowa: Mozart, Schubert, Ryszard Strauss, recital studentów praskiego konserwatorium. Wśliznął się do środka, zajmując miejsce w połowie nawy.

Trzy młode kobiety. Jedna śpiewała, druga akompaniowała jej na pianinie, a ta trzecia siedziała obok pianistki i przewracała strony z nutami. Elliot nie znał tej pieśni, chociaż była piękna, nie rozumiał także, w jakim języku śpiewa kobieta. Słuchaczy było mniej niż dwudziestu, głównie starzy ludzie i zapewne kilku kolegów studentów. Światło wpadało przez wysokie okna na świeżo otynkowane ściany.

Nadia była tą, która przewracała strony. Miała ciemne włosy do ramion, przytrzymywane opaską, i szczupłe białe ręce. Uważnie śledziła nuty i tylko z rzadka zerkała na widownię. Elliot

poczuł tę chwilę, kiedy go zauważyła, poczuł to w gardle. Jej zielone oczy przytrzymały jego spojrzenie.

Ilekoć odwracała stronę, zerkala na niego, zapewne ciekawa, kim jest ten obcy miłośnik muzyki w szytym na miarę garniturze. Ilekoć wracała do muzyki, on na nią patrzył, przyglądał się dokładnie wygięciu jej szyi, konturowi warg.

Była wyjątkowa, te słowa przyszły mu do głowy, jakby przeczytał je w katalogu. A kiedy się do niego uśmiechnęła, zakręciło mu się w głowie na myśl, że kiedyś ona może do niego należeć.

Zadzwonił ściskany w dłoni telefon Elliota.

- Halo? Harriet?

To nie była Harriet. To był Cornelius.

- Dzwonię, żeby dowiedzieć się, jak ci idzie.

- Ugrzązłem na lotnisku. Miałem być...

- Na lotnisku?

- Coś mi wypadło. Miałem być w Londynie dziś po południu.

- No, chyba ci się nie uda. Nie słyszałeś? Co najmniej do jutra wstrzymano loty. Jakiś samolot wystartował z autostrady w Skavsta.

W telefonie rozległa się seria głośnych bipów. Bateria znowu siadała. Podobnie jak telefon była stara, wystarczała zaledwie na kilka godzin.

- Cornelius, muszę...

- Wracaj do Sztokholmu i wpadnij na kolację. Dzwonię, żeby cię zaprosić.

- To bardzo miło z twojej strony, Cornelius, ale mówiąc szczerze...

- Mam oczywiście ukryty motyw. Chcę usłyszeć, jak ci idzie praca nad katalogiem. Byłeś taki tajemniczy, ludzie zaczynają gadać.

Na pozór dobry humor, a tak naprawdę zniecierpliwienie. Elliot zakrył oczy ręką. Oto prawda: Frederic Wahl domagał się dowodu postępów w jego pracy. Jedyne problem w tym, że Elliot nie miał nic do pokazania.

- A co z tą krótką notą? Jak ci to idzie?

- Już prawie skończyłem - odparł Elliot. - Prawie.

- To dobrze. Wiesz, że bardzo jej potrzebujemy...

- W przyszłym tygodniu będzie gotowa. Tak, dostałem twoją wiadomość. Będziesz ją miał, obiecuję.

Zapadła cisza. Potem Cornelius znowu był sobą, znów tryskał energią.

- Więc zobaczymy się później? U mnie?

- Tak, wpadnę.

- Znakomicie. Przyjeżdża ktoś, z kim powinieneś pogadać O Zoi.

- O Zoi?

Ale zanim Cornelius powiedział cokolwiek więcej, bateria padła.

26

Jeden z automatów telefonicznych w budynku terminalu był zepsuty. Do innych stały kolejki. Kiedy w końcu dostał się do jednego z nich, aparat nie przyjmował jego karty kredytowej, wypływał ją natychmiast bez wyjaśnienia, jakby była nieważna. Spróbował z drobnymi, ale nie miał dość monet na rozmowę międzynarodową. Ludzie stojący za nim zaczęli ze zniecierpliwienia wzdychać i zaciskać wargi, kiedy ponowił próbę z kartą kredytową, z tym samym skutkiem, co poprzednio.

Wsiadł do samochodu, zapłacił gotówką za dzień parkowania, i ruszył z powrotem do miasta. Tylko jeden pas autostrady był czynny. Samochody sunęły wolno przez oślepiający wiatr, jeden za drugim, i jeszcze zwalniały, kiedy zbliżały się do miasta, tworząc długi, ciągnący się przez kilka kilometrów, korek. Patrząc na zegar na desce rozdzielczej, jak minuta mija za minutą, próbował wyobrazić sobie, co dzieje się teraz w Londynie. Nadia stoi przed dużym lustrem i szykuje się do sądu, idąc za radą swojego adwokata, który powiedział jej, jak powinna wyglądać: łagodnie, ładnie i pociągająco dla sędziego mężczyzny, trzeźwo i łagodnie dla kobiety. Harriet Shaw stwierdziła, że sędziowie mężczyźni na ogół sympatyzują z ojcami. Większość z nich jest ojcami. Ale Elliot miał nadzieję, że tym razem będzie to kobieta. Nadia zawsze dostawała od mężczyzn to, czego pragnęła. Nawet jej przyjaciele z Czech tak uważali. Fakt, że teraz ktoś płaci za jej adwokata, to jeszcze jeden dowód. Brała, co chciała, a kiedy przestawało jej to wystarczać, ruszała dalej.

W początkach małżeństwa wierzył, że ich miłość jest prawdziwa i silna. A różnice dodają tylko ich namiętności dodatkowego smaku. Spotykali się w przytulnych restauracyjkach i barach spowitych w mroku. W Anglii, podczas nudnych letnich przyjeść, wymykali się do odległych kątów w ogrodzie i całowali się wygłodniali jak para nastolatków. Ale inne aspekty jego postępowania, gdy spojrzeć na nie chłodno, zdradzały świadomość tego, że ten związek jest

przede wszystkim transakcją. Jak ważne stało się na przykład utrzymanie rodziny, zwłaszcza po śmierci jego ojca, kiedy paryski autoportret wrócił do jego życia i zawisł na ścianie jego gabinetu. Jak bardzo czuł się odpowiedzialny za każdy aspekt jej życia, za spełnienie wszystkich jej pragnień. Była jego żoną, ale nie bezwarunkowo. Na dobre i lepsze tak, ale nie na dobre i na złe. W głębi duszy wiedział to, ale brakowało mu sił, żeby to zmienić. Nawet Teresa, nawet jego pragnienie dziecka było niczym więcej jak próbą doprowadzenia do sytuacji, w której Nadia bardziej by go potrzebowała.

Kiedy dotarł do centrum miasta, znowu zapadła ciemność. Zostawił volvo w podziemnym garażu i pojechał windą do centrum handlowego. W sklepie z telefonami komórkowymi dziewczyna o włosach koloru śliwki dziesięć minut szukała baterii, która nadawałaby się do jego starego aparatu, a kolejne pięć minut szukała jej ceny. Preludin przestał już działać, więc Elliot czuł się pusty i roztrzęsiony. Na stojąco zjadł klopsiki, w barku na najwyższym piętrze, po czym włożył nową baterię i włączył telefon. Miał wiadomość od Harriet Shaw. Nagrała ją kilka godzin wcześniej. Powiedziała, że jedzie sama na przesłuchanie i zda mu raport po powrocie. Dodała, żeby się nie martwił.

Poszedł piechotą na Stare Miasto, gdzie mieszkał Cornelius, czuł, że musi coś zrobić, musi się ruszać. Dotarł do nabrzeża, obszedł Grand Hotel i operę, po czym udał się na Helgeands Island, gdzie stał zalany światłem Pałac Królewski. Szedł przez niewielki park, a otaczająca go mgła i padający śnieg przesłaniały odległe światła, wyciszały hałas uliczny, tak że miasto wydawało się miasteczkiem, ot, kilka szeregów latarni ustawionych wzdłuż brzegu, tak jak wtedy gdy Zoia przyплыnęła tutaj parowcem z Tallina, panna młoda z misiem wypchanym ikonami i z tajemnicami, których nie mogła zdradzić nawet swojemu mężowi.

Był tu już kiedyś, miał wtedy trzy albo cztery lata. To jedno z niewielu wspomnień ze Szwecji, które zachował z dzieciństwa: pamiętał pałac po drugiej stronie wody, a jeszcze wyraźniej małą, pokrytą miedzią latarnię obok mostu. To wszystko wróciło do niego teraz: jak stał w zatłoczonej windzie z matką i ojcem i jechali na samą górę, a ojciec trzymał go pod ramiona, żeby Elliot mógł podziwiać widoki. Pamiętał wełniane rękawiczki w czerwone zygzaki i słodki zapach łakoci kupionych w sklepiku z żółtymi żaluzjami. To był zapach zaczarowanego czasu, czasu, który w realnym świecie istniał już tylko na prawach bajki.

Był jeszcze na wyspie, kiedy zadzwoniła Harriet.

Miała złe wiadomości.

- Opieka społeczna nie walczyła specjalnie, niestety, no i chyba nie bardzo uwierzyli w te twoje kłopoty na lotnisku - wyrzucała z siebie pospiesznie. - Mówiąc szczerze, myślę, że znaleźli okazję, żeby zaoszczędzić pieniądze, bez ponoszenia ryzyka.

Sędzia orzekł, że Teresa ma wrócić do matki, do czasu ostatecznego przesłuchania w sprawie stałego pobytu, które się odbędzie w przyszłym miesiącu.

Elliot poczuł rosnącą panikę w żołądku.

- Ale co powstrzyma Nadię przed kolejną ucieczką z Teresą? Co ją powstrzyma?

- Tym nie musisz się martwić. Sąd zatrzymał paszport twojej córki. Nadia może jechać, gdzie chce, ale Teresa musi zostać w Wielkiej Brytanii do chwili przesłuchania. Zresztą powiem ci, że o to też walczyli. Pokazali zeznanie pod przysięgą jakiegoś lekarza z Pragi.

- Zeznanie? Na jaki temat?

Harriet pociągnęła nosem z lekceważeniem.

- Jakaś łązawa historia o chorobie matki Nadii. Coś z sercem, cokolwiek to jest. Twoja żona oznajmiła, że to z tego powodu wybrała się do Pragi, nie mówiąc nic nikomu. Twierdziła, że planowała wrócić.

- Wrócić? Przecież wzięła Teresę...

- Powiedziała, że nie miała czasu zastanawiać się, co z nią zrobić. Myślała, że jej matka umiera. Sędzia prawie jej uwierzył.

Z miejsca, gdzie stał, Elliot widział samochody przejeżdżające przez potężny most, zanim skierują się na zachód lub na wschód w stronę morza. Pamiętał Pragę. Taksówkę podskakującą na brukowanych ulicach, smugi światła przesuwane się po twarzy Nadii, kiedy wracali ze szpitala. Tamtej nocy zmieniła zdanie w sprawie dziecka.

- Czuje się dobrze, prawda? - powiedział.

- Słucham?

- Matka Nadii jest zdrowa.

Z drugiej strony zapadła cisza, jakby Harriet się zastanawiała.

- No tak, tak przypuszczam. Możesz być pewny, że Hanson wykorzystałby to, gdyby... zmarła.

- Tak, oczywiście.

- Tak czy owak, nie odpuszczają. To główny problem. I oczywiście rozczarowanie. Jeśli przesłuchanie w sprawie stałego pobytu będzie za kilka tygodni, nie sądzę, żeby nam to bardzo

zaszkodziło. Nakaz sądowy obowiązuje. Możemy go wykorzystać. No i mamy jeszcze inną broń.

Słyszał, jak Harriet szeleści papierami na swoim biurku. Dotarło do niego, że Miles Hanson ją zdenerwował. Czuli się przy nim gorsza, a tego nie lubiła. Wyczuł, że wygrana stała się celem samym w sobie, kwestią zawodowej dumy.

Kiedy znowu się odezwała, mówiła ciszej.

- A skoro o tym mowa, muszę ci coś powiedzieć. Znasz tego śledczego, którego zaangażowaliśmy?

Harriet nazywała go śledczym. Ten człowiek, policjant na emeryturze, wolał, jak nazywano go „specjalistą do pomocy w sprawach sądowych”. Dla Elliota był po prostu prywatnym detektywem, zatrudnianym do śledzenia ludzi i grzebania w ich śmieciach, jeśli to konieczne.

- Tak, znam.

- Znalazł coś. Posłuchaj, Marcus, może to powinno poczekać do twojego powrotu. Może to nie jest...

- Harriet, powiedz mi, wszystko w porządku. Nabrała głęboko powietrza.

- Dobrze. Więc tak, wydaje się, że Nadia ma przyjaciela.

- Laurenta? Tego Francuza?

- Nie. To ktoś inny. Jakiś muzyk. Niejaki James Edward Barrett.

Elliot zamknął oczy. Jeszcze teraz, po wszystkim, co się wydarzyło, ledwie mógł to znieść.

- Jeszcze nie wiemy, jak długo to trwa. Dowiemy się. Ale najważniejsze, że on ma kryminalną przeszłość, był skazany za poważne wykroczenia i oskarżony o napad i posiadanie narkotyków. W tym drugim wypadku, niestety, nie dostał wyroku.

Elliot zaśmiał się gorzko.

- Rozumiem, że ten facet nie gra na wiolonczeli.

- Na gitarze basowej, zdaje się. W każdym razie sądowi się nie spodoba, już ja tego dopilnuję. Nie polubią go ani jego stylu życia. Jeżeli zdołamy udowodnić, że twoja żona widywała się z nim przed separacją, to także im się nie spodoba. Obok takiej dwójki ty będziesz jak święty, Marcus, obiecuję ci. Święty i ofiara.

Wallanderowie mieszkali w wąskiej kamienicy z dwuspadowym dachem i oknami wychodzącymi na mały brukowany plac. W rogach placu rosły drzewa, gołe gałęzie ugięły się pod śniegiem. Latarnie uliczne mrugały w mglistym powietrzu.

Większość Szwedów w wieku Corneliusa już dawno wyprowadziła się z wyspy, zamieniając urok Starego Miasta na garaże i ogrody na przedmieściach. Ale Cornelius i jego żona zostali tutaj. Ich dwójka dorosłych dzieci wyniosła się już z domu, a okolica była wygodna i cicha, większość uliczek zbyt wąska dla samochodów, nie wspominając już o autobusach czy ciężarówkach. Dom też miał swoje zalety: ozdobne sufity, witraże, piwnice na wino. W pokoju dziennym znajdował się oryginalny kominek z wapienia. Dwie przypominające kukły figury wielkości człowieka stały po bokach kominka, ich twarze były zniszczone przez czas.

Cornelius otworzył drzwi ubrany w szary sweter z golfem, z pogrzebaczem w dłoni.

- Marcus! Myślałem, że utknąłeś gdzieś w śnieżycy.

Poprowadził go na górę. Maślany zapach pieczonego ciasta unosił się w całym domu. Na ścianach wisiały obrazy w złotych ramach, każdy osobno oświetlony, współczesne malarstwo, w większości brzydkie i niewielkiej wartości. Warunki Corneliusa były skromne w porównaniu do marszandów w jego wieku. Ale Cornelius zawsze pracował dla kogoś, a w tym biznesie w ten sposób trudno się wzbogacić.

W pokoju dziennym paliło się w kominku. Dźwięk jazzowej trąbki sączył się z głośników, przypominając odgłos powolnego duszenia. Przedstawiono mu niejakiego Martina Burkhardta, Niemca, wysokiego tykowatego trzydziestoparolatka z wielkimi dłońmi. Jego firma miała siedzibę w Monachium, wydawała książki o sztuce i albumy. Z kuchni dobiegały głosy, ktoś dotrzymywał towarzystwa Nelly Wallander, która szykowała posiłek.

- Więc zajmuje się pan dokumentami Korwin-Krukowskiej - powiedział z zaciekawieniem Burkhardt. - Jak panu idzie?

Elliot stwierdził, że nie chce o tym rozmawiać, jeszcze nie. Zbyt wiele jeszcze musiał się dowiedzieć. Cornelius podał mu kieliszek wina.

- Tak, jak ci idzie? - Spojrzał na Niemca. - Obiecuje nam całkiem nowe spojrzenie, ale spróbuj wydobyć z niego szczegóły.

- Czy to nie dowodzi, że mamy do czynienia z prawdziwym badaczem? - zauważył Burkhardt. - Który chce być pewien faktów, zanim ogłosi je publicznie?

- Ale my to co innego - upierał się Cornelius. - My jesteśmy w temacie, my jesteśmy gra-
czami. Przy takim zainteresowaniu Martin myśli o monografii na rynek niemiecki. - Uniósł
znacząco brwi, jakby chciał podkreślić, jaka to wspaniała okazja.

Z kuchni doleciał głośny śmiech, wymuszony, ale donośny. Elliot poczuł, że krew od-
pływa mu z twarzy.

- Marcus! Tu jesteś, towarzyszu. Szmata czasu!

Lew Demiczew, były sowiecki dyplomata, anglofil, wykładowca teorii informacji, ab-
solwent Moskiewskiego Uniwersytetu Państwowego, Stanfordu i KGB (takie chodziły słuchy).
W ostatnich latach Breżniewa występował w zachodniej telewizji jako nieoficjalny rzecznik
reżimu sowieckiego, greczny, dobrze wychowany, przyjazny i niezwykle medialny. Stanowił
tak miłą odmianę w stosunku do innych z Ministerstwa Informacji, że nawet *Newsnight* i *24
Hours* zaczęły traktować go jak niezależnego komentatora, zapraszając do udziału w debatach z
ludźmi pokroju Caspara Weinbergera i Henry'ego Kissingera. Po okresie postkomunistycznej
niejasności wypłynął znowu na powierzchnię w latach dziewięćdziesiątych jako prawa ręka
Władimira Bielego, niegdyś ważnej figury w partii, później potentata medialnego, dopóki ten
nie został rozerwany na strzępy przez bombę podłożoną w samochodzie przed nocnym klubem
w Moskwie - taki sam los spotkałby zapewne Demiczewa, gdyby nie leżał tamtej nocy chory na
zapalenie oskrzeli.

Demiczew objął go. Elliot stał sztywno, wdychając zapach wody kolońskiej i przypomi-
nając sobie nagle podlewane alkoholem noce, gdy Rosjanin kusił go łatwymi pieniędzmi,
przedstawiając swój plan jako ratunek dla kultury. Dopiero, kiedy się nie powiodło, nagle nie
można było się z nim skontaktować, i wszelki ślad po nim zagaął. Prawdę mówiąc, Elliot wię-
cej z nim nie rozmawiał, aż do tej pory.

Demiczew trzymał go na długość ramienia i patrzył mu w twarz.

- Wszystko w porządku, tak?

- Tak, w najlepszym porządku.

- Dobrze. Dobrze. - Uśmiechał się znanym już uśmiechem. Uśmiechem wilka. *Żeby cię
lepiej zjeść.*

- Czuję, że gdzieś tutaj na ciebie wpadnę. Nie straciłbyś takiej okazji, co? Spryciarz z
ciebie.

Cornelius zastawił pułapkę. Wiedział, że Demiczew był zamieszany w skandal z ikona-
mi, choć nie znał szczegółów. Wiedział, co Elliot o nim myśli. A jednak go zaprosił, próbował

doprowadzić do zgody, jakby Elliot był odrobinę nierozsądny, chowając urazę, odrobinę *nie-dojrzały*. Marszandzi bez przerwy łamią prawo, tak brzmiało ukryte założenie. Wzbogacają się dzięki nieuczciwości i dyskrecji. Elliot uświadomił sobie nagle, że pełen entuzjazmu i uśmiechów Cornelius tak naprawdę był zazdrosny. Zazdrościł swoim zawodowym partnerom, i kolekcjonerom, i marszandom, ludziom, którym wiernie służył swoim doświadczeniem przez trzydzieści lat. Był zmęczony patrzeniem, jak kupują dzieła sztuki tak, jak on kupuje buty, tylko jeszcze mniej zwracając uwagę na cenę. Już lata temu powinien był awansować, ale jakoś tak się składało, że to inni - młodszy, bardziej przebojowy - zawsze z nim wygrywali.

Kerstin Östlund powiedziała, że Cornelius był świadkiem sfałszowania testamentu. Że cała wystawa Zoi to przekręt.

Lindqvist, Östlund, Demiczew. Wyobraził sobie ich wszystkich wokół grobu. Oficjalna wizyta dla zachowania pozorów. Chytrzy starzy faceci. W dawnej Rosji, w Rosji, w której Zoia się urodziła, wkładało się do trumny chleb albo przynajmniej kładło go przy kamieniu nagrobnym. Chleb był łącznikiem z następnym światem.

Demiczew zaciągnął go z powrotem do pokoju, zarzucał teraz pytaniami Burkhardta na temat jego zainteresowania rosyjską sztuką. Elliotowi zrobiło się gorąco. Ogień w kominku płonął zbyt gwałtownie. Przez chwilę myślał, że zwymiotuje. Czuł smak żółci, paliło go w gardle. Wypił łyk wina.

Tamtej nocy w barze Kerstin powiedziała do niego: *Chciałam wiedzieć, czy pan do tego należy, to wszystko.*

Siedząc w głębokim skórzanym fotelu, Demiczew rozprawiał na tematy związane z kulturą, jedną ręką gestykułował ospale, w drugiej potrząsał szklanką whisky z kostkami lodu. Miał oblicze profesora: przyjazne oczy, zaczesane do tyłu siwe włosy, obwisłe melancholijnie policzki, coś pomiędzy Richardem Nixonem i bloodhoundem. W rozmowie onieśmielał zakresem odniesień - historycznych, kulturowych, politycznych. Robił wrażenie człowieka, który przeczytał wszystko, i to w oryginale. Przez lata wykorzystywał swoją erudycję, objaśniając swój szczególny rodzaj moralnego relatywizmu z myślą o rozmaitych mocodawcach. Zgodnie z Demiczewą poglądem na świat nie istnieje coś takiego jak dobro i zło. Są jedynie różne systemy wartości, priorytetów i punktów widzenia. Wyzwaniem dla kulturalnych ludzi jest zrozumieć je, a nie osądzać, co tak uwielbiają dziennikarze tabloidów i politycy krzykacze. Co gorsze, osąd daje początek imperatywom moralnym, które z kolei wywołują konflikt, a także są niewygodne.

W przeciwieństwie do Elliota Demiczew wzbogacił się od czasów klapy z ikonami. Wskazywał na to wyraźnie krój jego garnituru. Obok niego Elliot czuł się jak kloszard w swojej pogniecionej marynarce i przybrudzonych spodniach. Przełknął kolejny łyk wina, alkohol zaczął działać na niego z zadziwiającą siłą. Pomyślał o Kerstin Östlund, o tym, gdzie znajduje się w tym momencie. Wyobraził ją sobie za kierownicą podniszczonego polo, obserwującą jakiś budynek - być może ten budynek - chuchającą na swoje ręce i patrzącą na oświetlone okna. Był ciekaw, czy zrobiła choćby najmniejsze postępy.

- Marcus?

Podniósł wzrok. Cornelius stał nad nim z butelką w rękę.

- Dolać ci?

- Dziękuję.

Cornelius nalał. Po drugiej stronie pokoju Demiczew nie przestawał mówić.

- Rosja stoi nad przepaścią. - Jego akcent był częściowo słowiański, częściowo z zachodniego wybrzeża Ameryki; Stalin na desce surfingowej. - Marksizm był ideologią materialistyczną - i jako taka kompletnie obcą Rosji - ale przynajmniej był jakąś ideologią. Bez niej stoimy w obliczu nihilizmu, destrukcji społeczeństwa przez siły komercji. Wszystko, co nazywamy cywilizacją, jest zagrożone.

Burkhardt siedział wyprostowany na sofie, z kieliszkiem wina między kolanami. Ściągnął brwi za prostokątnymi oprawkami okularów.

- Uważa pan, że jest na to jakaś rada?

- Musimy zacząć od tego, z czym zerwaliśmy. Musimy wrócić do tych pytań, które zajmowały artystów rosyjskich w dziewiętnastym stuleciu, po rozgromieniu Napoleona przez lud rosyjski, lud, niech pan zauważy, nie panów, którzy już byli pod wpływem kultury Zachodu. A więc: co to znaczy być Rosjaninem? Jakie jest miejsce Rosji w świecie? Kulturalne i *duchowe*.

Burkhardt kiwał głową, jakby miało to dla niego jakieś znaczenie.

- Trudne pytania.

- Oczywiście - Demiczew uśmiechnął się, jego oczy błyszczały w świetle ognia. - Ale były wielkie umysły, które uważały, że można na nie odpowiedzieć. I, kto wie, może ich czas wreszcie nadszedł. Może świat potrzebuje dzisiaj ich przesłania bardziej niż kiedykolwiek.

Elliot obserwował go, na próżno usiłując dostrzec cień skrępowania. Pewnego dnia Demiczew ogłosił doniosłość rosyjskiego dziedzictwa kulturowego. Następnego dnia sprzeda je po cichu za pieniądze, bez pytań.

Burkhardt chciał wiedzieć więcej na temat tego przesłania.

- Musicie zrozumieć Rosję - powiedział Demiczew. - Musicie wiedzieć, jak powstała. Widzi pan, chrześcijaństwo przyszło do Rosji z Bizancjum, nie z Rzymu. W Rosji Kościół i państwo były połączone, a nie podzielone, jak na Zachodzie. Rytuały religijne były wszechobecne i wielka część największych dzieł sztuki i muzyki naszego narodu jest związana z Kościołem.

Cornelius usadowił się wygodnie na sofie, jak spóźnialski w teatrze.

- A co ważniejsze, teologia jest inna - ciągnął Demiczew. - Zachodnia teologia oparta jest na przemyślanym rozumieniu Boga. Kościół rosyjski zawsze wierzył, że ludzki umysł nie jest w stanie pojąć Boga. Rosjanin Boga musi doświadczyć, tak jak doświadcza się różnych emocji.

Punkt widzenia Demiczewa na historię sztuki ewoluował w ciągu minionych trzech lat. Przybrał zdumiewający religijny aspekt, który kazał się zastanawiać, czy sam Demiczew nie doznał objawienia, poza tym że w Rosji obudzona świadomość religijna była związana z cierpieniem, a tego Demiczew unikałby z całej mocy.

- No i tu przychodzą ikony - dodał pomocnie Cornelius. - Prawda, Lew?

- Oczywiście, ikona nie jest tylko dekoracją. Ani instrukcją dla biednych analfabetów, czym sztuka religijna zawsze była na Zachodzie. To brama do Niebios. - Demiczew kiwnął palcem. - Rosjanie zawsze modlili się z otwartymi oczami.

Elliot pomyślał o Zoi, dziewczynce ubranej na biało, z szeroko otwartymi oczami, która patrzy w głąb promiennego obrazu. Matka Boska i mały Chrystus. Złoto i błękit. To właśnie ikony zabrała ze sobą z Rosji, i prawie nic więcej. Jak dotąd nie znalazł w jej listach wiele świadectw, że chodziła do cerkwi. Demiczew strzelał w ciemno. Ten związek to przypadek, czysty przypadek. A on zachowywał się jak sprzedawca, który zachwala swój towar ogołocnym z duchowości.

Burkhardt poprawił okulary na nosie.

- Więc to przesłanie, o którym pan wspomniał - zaczął - jest przede wszystkim mistyczne.

Demiczew przytaknął.

- Mistyczne, holistyczne, braterskie. - Dojrzał zmarszczkę na czole Burkhardta i pochylił się do przodu. - Cóż wiąże nas ze sobą bardziej niż kontemplacja rzeczy wyższych? Człowiek stojący wobec wszechświata szybko zapomina o swoich małych ambicjach, swoich ziemskich sporach. Niezależnie od religii, jaką wyznaje, czy sekty, do której należy. Tylko rzymscy kato-

licy tak dzielą ludzi. Misją Rosji w świecie, podobnie jak misją artysty, jest otwarcie naszych serc na piękno i tajemnice egzystencji.

Burkhardt kupował to. Mógł wykorzystać cały ten duchowo-historyczny punkt widzenia. Dostrzegał tam związki z New Age, które nadawały mu aktualności.

- A jeśli chodzi o Zoię - rzekł. - Pana zdaniem to właśnie istota jej przekazu, i jej znaczenia.

- Rzeczywiście - odparł Demiczew. - Jej twórczość wykorzystuje podświadomość, zbiorową pamięć Rosjan. Jej przekaz sięga głębiej, nie chodzi tylko o sztukę, ale także o historię.

Elliotowi zrobiło się niedobrze. Im więcej Demiczew mówił o Zoi, tym bardziej redukował ją do jakichś abstrakcyjnych konceptów i tym bardziej wydawała się martwa i pogrzebana.

- Można powiedzieć, że twórczość Zoi jest mostem - ośmielił się twierdzić Burkhardt - między przeszłością i przyszłością. Ona przerzuca most nad epoką materializmu.

Demiczew wydał niski pełen akceptacji dźwięk, jakby właśnie skosztował bordeaux o wyjątkowo bogatym smaku.

Niemiec odwrócił się do Elliota, szukając u niego potwierdzenia swojego metaforycznego wglądu. Pozostali zrobili to samo, ponieważ to on w tej chwili zajmował się Zoią. To był powód, dla którego się tam znalazł. Odchrząknął. Odnosił wrażenie, że gotuje się w ogniu kominka. Czuł strużki potu spływające pod koszulą.

Gdzie jesteś, Zoia? Gdzież jesteś na tej głupiej planecie?

Spojrzał na twarze zebranych i dostrzegł w nich coś niepokojącego: Cornelius, Demiczew i Burkhardt nie patrzyli już na niego - oni się na niego gapili. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że bardzo drży mu ręka, wino chlupotało głośno w kieliszku. Patrzył bezradnie, jak wylało się z kieliszka i spłynęło po jego kłykciach.

Potem wszyscy zaczęli mówić naraz, jakby nie widzieli kropli spadających na wypastowany parkiet, i nic złego się nie stało.

Ścisnął kieliszek obiema rękami.

W łazience było okno, otworzył je dość szeroko, żeby wystawić głowę na zewnątrz. Łyknął świeżego powietrza, czując płatki śniegu na twarzy, łaskotały go, muskały jego wargi. Wychylił się jeszcze bardziej i zobaczył ulicę, czarne tyły domów na tle mrocznych latarni.

Jedno stało się teraz jasne, po raz pierwszy: prawdziwy powód, dla którego go zatrudniono. Cornelius nie potrzebował jego wiedzy ani znajomości języków obcych. Nawet jego zainteresowanie twórczością Zoi nie było istotne. Chodziło o jego współudział. Nie o osiągnięcia na-

ukowe. To była komercyjna okazja, handlowe przedsięwzięcie wymagające uważnej reżyserii. Nie było tam miejsca na niechciane prawdy.

Chmura jego oddechu znalazła się w promieniach ulicznych latarni. Miasto przygarbiło się w ciemności, zajmowało się swoimi sprawami za zamkniętymi okiennicami, na sekretnych spotkaniach. Miał wrażenie, że jego twarz jest ciężka i pozbawiona czucia.

Zawsze myślał, że Cornelius patrzy wyrozumiale na jego zawodowe niepowodzenia, wierząc, że do jego upadku przyczyniła się niesprawiedliwość. Sądził, że stary przyjaciel z tego właśnie powodu wyciągnął do niego pomocną dłoń. Ale okazało się, że było to tak zwane myślenie życzeniowe. Cornelius odszukał go nie dlatego, że wierzył w jego niewinność, ale właśnie dlatego, że wierzył w jego winę.

Zamknął okno. Wypił trochę wody i spryskał twarz. Stał oparty o umywalkę. Powoli drżenie ustało.

Atrakcyjność świata bez osądu. Filozofia Demiczewa miała swój wdzięk. Ukryć się w świecie, gdzie wszystko uchodzi, jeśli tylko uda ci się tam dostać, w świecie, gdzie jedyną zbrodnią jest nie być oryginałem. Trzeba jednak pamiętać, że zawsze najtrudniej uciec od własnego osądu.

Wychodząc z łazienki, wpadł na Corneliusa.

- Dobrze się czujesz, Marcus? Trochę zbladłeś.

- Nic mi nie jest. Miałem ciężki dzień. No i ten alkohol. Cornelius spojrzał na pustą butelkę wina w ręce. Bardzo chciał, żeby jego głos zabrzmiał współczująco.

- No tak, oczywiście, oczywiście. Głupiec ze mnie. Dam ci coś innego.

Zaprowadził go do kuchni i otworzył dużą starą lodówkę. Pozostali siedzieli już w jadalni, ich głosy grzmiały w wąskiej wyłożonej drewnem przestrzeni. Bankier i jego żona dołączyli do towarzystwa, i jakaś elegancka rozwódka, właścicielka galerii.

- Nie wspominałeś, dlaczego musisz tak nagle wracać do Londynu. Co się stało?

- Chodzi o moją córkę. To długa historia.

Cornelius wyjął karton soku pomarańczowego i stał przez chwilę z zatroskaną miną.

- Teresa? Mam nadzieję, że jest zdrowa.

Elliot przyjął od niego szklankę. Nie zamierzał opowiadać teraz całej historii z sądem.

- Tak, zdrowa, można powiedzieć, że to był fałszywy alarm.

- No to się cieszę. - Cornelius zanurkował znów w lodówce. - Przypuszczam, że słyszałeś o nieszczęsnym Peterze Lindqvście?

- Lindqvist? A co z nim?

- Wczoraj zabrano go do szpitala. Zapalenie płuc. Podobno nie zagraża jego życiu, ale przez chwilę poważnie się martwiliśmy.

Elliot przypomniał sobie, kiedy po raz ostatni widział starego mężczyznę, jego przygarbione plecy i przekrwione oczy. Pamiętał, z jaką niechęcią dał mu klucze do domu Zoi.

- Znasz go już jakiś czas, prawda?

Cornelius znieruchomiał. Obejrzał się. Lodówka rzucała na jego twarz upiorne światło.

- Tak ci powiedział?

- Nie, zakładałem...

Cornelius odwrócił się z powrotem.

- Myślałem tylko o sprzedaży. Wiem, to okropne, ale wyobrażasz sobie, jak by to wszystko skomplikowało, gdyby stary umarł.

Z jadalni dobiegał głos Demiczewa. Mówił znowu o Zoi, o jej „stoickim patriotyzmie” i „głębokim przemożnym spokoju” jej prac. Nelly Wallander wtrąciła, że kiedy po raz pierwszy spotkała Korwin-Krukowską, zalała się łzami.

Chciał tam wejść. Chciał wejść, chwycić obrus i ściągnąć go ze stołu.

- Co on tu, kurwa, robi, Cornelius? - wyrwało mu się. Cornelius wyjął kolejną butelkę wina. Tym razem było to tańsze wino włoskie, teraz nikt już nie zauważy różnicy.

- Jeśli mówisz o Lwie, jest użyteczny. Myślałem, że to oczywiste.

- Użyteczny? Nie mów mi, że to on przyprowadził Herr Burkhardta.

- Nie, ja to zrobiłem. To nie takie ważne, ale to coś. Coś dla ciebie. Słyszałeś o tantie-mach, prawda?

- Cornelius, ten facet to oszust.

- Martin Burkhardt?

- Lew Demiczew. Skąd ty go w ogóle znasz?

- Oczywiście, że go znam. Gdybyś nie był... - sięgnął po korkociąg i zaczął otwierać butelkę - poza obiegami przez ostatnie dwa i pół roku, wiedziałbyś. On zrobił w Bukowskim niezłe interesy. I cieszy się dobrą opinią.

Elliot zobaczył, jak Demiczew pochyla się lekko, żeby zajrzeć do kuchni. Chciał sprawdzić, co kryje się za tymi przyciszonymi głosami.

- Nadal nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Jaką on ma z tego korzyść?

- Ma... - Cornelius zniżył głos jeszcze bardziej. - On prowadzi interesy. Pomagał nam zebrać obrazy. Spora liczba obrazów na tej wystawie teraz należy do niego.

- Kupił tanio, sprzedaje drogo.

- Czy nie tak działają marszandzi? W każdym razie ci sprytni? - Cornelius zaczerwienił się. - Przepraszam, Marcus, nie chciałem...

- Więc na ile on liczy?

Cornelius wyciągnął głośno korek. W jadalni Demiczew zrobił zabawną uwagę.

- Tu chodzi o coś więcej, Marcus. O wizytę Putina. Jak myślisz, czyj to był pomysł? Kto to ustawił twoim zdaniem?

W jadalni rozległ się śmiech. Cornelius podszedł bliżej. Elliot widział teraz krople potu na jego pokrytym plamami czole.

- Powiem ci więcej. - Jego oddech był krótki i urywany. - To Lew zasugerował, żeby cię zaangażować. To Lew chciał wyciągnąć do ciebie pomocną dłoń. Ja? Mówiąc szczerze, nie uważałem, że to dobry pomysł, tak prędko po twojej... chorobie.

Śmiech w jadalni rósł w siłę, chór szalonej wesołości. Cornelius wyciągnął rękę, żeby położyć ją na ramieniu Elliota, ale zrezygnował.

- Cieszę się, że go posłuchałem. Wiem, że świetnie sobie poradzisz. - Przechylił na bok głowę. Jego oczy, z powodu dymu papierosowego i alkoholu, były otoczone czerwonymi obwódkami i czaiło się w nich zło. - Chyba że wolisz, żebyśmy poszukali kogoś innego.

Czekał, aż ta uwaga dotrze do Elliota.

- A teraz pora chyba dołączyć do reszty, prawda?

Jego samochód był jedynym, który pozostał w garażu. Stał otoczony przez puste miejsca parkingowe, jak jakaś zapomniana albo nieodebrana rzecz. Światłówki nad głową mrugały leniwie.

W domu Corneliusa nadal trwało przyjęcie. Elliot z radością opuścił to miejsce, nabierając pewności, że nigdy tu nie wróci. Demiczew i Cornelius naradzają się, oczywiście. Będą się martwić, że ich zawiedzie, że nie można jednak na nim polegać, iż dokończy proste zadanie, które zostało mu powierzone. Ponieważ nadal był zbyt roztrzęsiony, ponieważ chował urazę z powodu przedsięwzięcia, które padło wyłącznie z jego winy. Może nawet podzielił się swoim niepokojem z Nelly Wallander i pozostałymi gośćmi, opowiedzą im swoją wersję całej tej smutnej historii. *Nie uwierzycie, ale kiedyś był bardzo zabawny.*

Tak, zawsze był bardzo zabawny. Zawsze był z niego dusza człowiek, który pragnął wszystkich zadowolić. Za bardzo tego pragnął, jak się okazało.

W Anglii Teresa jest znowu ze swoją matką. Już nie z panem i panią Edwards z Turnham Green. Śpi w łóżku, które dla niej znalazł, z ładną inkrustacją z macicy perłowej na zagłówku, i trzyma w objęciach niebieskiego słonia, swoją ulubioną zabawkę. Niemal na pewno nie zobaczy jej znowu, aż do rozprawy w sprawie stałego pobytu, którą Harriet Shaw wciąż ma nadzieję wygrać.

Harriet zawsze była pewna siebie.

Usiadł za kierownicą i próbował wyobrazić sobie moment zwycięstwa, próbował upajać się wyobrażoną gorączką zwycięstwa. Ale nic mu z tego nie wyszło, zupełnie nic.

Dorastając w Pradze, Teresa o nim zapomni. Będzie dla niej jakimś dalekim wujkiem z zagranicy, który mówi niezrozumiałym językiem, sama jego egzystencja stanie się niewygodnym tematem, którego lepiej unikać. To gorsze niż w ogóle nie żyć.

Pomimo złości, pomimo wszystkiego, co zrobił, by to zmienić, miał wrażenie, że od początku zapowiadało się na taki koniec. Jak poprzednie, i to małżeństwo Elliota skończyło się, zanim się spełniło.

Uruchomił silnik i ruszył w stronę rampy. Dopiero kiedy znalazł się na ulicy, wiedział, dokąd pojedzie.

28

Życie toczyło się jakby nigdy nic. Kerstin Östlund czytała najnowsze wydanie „Expresen” w kawiarence na głównym dworcu kolejowym. Często wpadała tam w drodze do pracy. Było to hałaśliwe, tętniące życiem miejsce, pełne samotnych podróżnych, którzy skracali sobie tam czas oczekiwania.

W dziale Sztuka znalazła artykuł, obok reprodukcji obrazów Zoi, ustawionych w szeregu jak bannery w jednej z „piwnic” Bukowskiego. Fotografia przedstawiała Corneliusa Wallandera, który patrzył z podziwem na obrazy, rozmawiając z przedstawicielem Ermitażu z Sankt Petersburga. Napisano, że wystawa pojedzie do Rosji, Japonii i USA, po czym wróci do Sztokholmu, gdzie odbędzie się wielka aukcja. Być może Rosja nie jest bogatym państwem, ale niektórzy rosyjscy kupcy wyrazili stanowcze pragnienie, żeby przynajmniej część prac Zoi „wróciła do domu”. Najwidoczniej była to teraz kwestia narodowego prestiżu.

Kerstin przeczytała artykuł raz jeszcze, kawa w filiżance trzymanej w ręce ostygła.

Nie było tam ani słowa na temat testamentu sporządzonego w ostatniej chwili, ani aluzji, że prawo własności wielu obrazów jest wątpliwe. Redaktor działu Sztuka nie pofatygował się nawet, żeby powiedzieć jej, że taki materiał się ukaże, nie pytał, czy jest bliska znalezienia dowodu, którego szukała.

Jedno, czego dowiedziała się podczas swojego śledztwa, to że szwagier redaktora naczelnego był partnerem u Bukowskiego.

Może więc poszła stamtąd informacja, by udaremnić jej wysiłki, niezależnie od tego, czy ma jakiś dowód. Sztokholm to małe miasto, a Zoia była tu obca, zresztą większość oszukanych osób i instytucji też pochodziło z zagranicy. Szwedzi mawiają zwykle, nie widząc dalej swojego nosa: jesteśmy małym krajem na mroźnej północy. Robimy to, co musimy robić, żeby pociągi jeździły i w domach było ciepło. Moralność zaczyna się w domu i kończy u drzwi frontowych.

Kiedy ludzie patrzyli na Zoię, widzieli tylko złoto.

Tak samo było, kiedy zmarło dziecko Kerstin. Świat jakby umyślnie oślepl. Lekarze zapewniali ją, że wszystko będzie dobrze. Niewielki epizod kardiologiczny minął bez uciekania się do leków. Nie było potrzeby trzymać dziecka na obserwacji. Kerstin wiedziała, że na oddziale pediatrycznym brakowało miejsc. Poza tym byli pod presją, żeby ciąć koszty. Podśluchiwała nawet, jak konsultant mówił tak do jednego z młodszych lekarzy, stojąc przed dziecięcym oddziałem intensywnej terapii. Mimo to zgodnie z ich radą zabrała dziecko do domu. Kiedy tamtej nocy jego serce przestało bić, nie było nikogo, kto by je uratował.

Ojciec dziecka dużo wcześniej wyjechał do Londynu, żeby robić karierę aktorską. Ich romans był krótki i fatalny. Nawet mu nie powiedziała, że jest w ciąży. Ale w tych pierwszych dniach po wyjściu ze szpitala, w rozpaczy myślała, żeby się z nim skontaktować, zanim zdała sobie znowu sprawę, że to bezcelowe.

Po czterech tygodniach szpital przysłał jej list wyrażający żal i wyjaśniający, że nie są odpowiedzialni za nieszczęśliwy obrót zdarzeń. Przestrzegano wszelkich normalnych szpitalnych procedur. Zadzwoiła do konsultanta, gdyż chciała usłyszeć to na własne uszy, usłyszeć jego głos, jak jej to tłumaczy. Ale trzymali ją tylko przy słuchawce dziesięć minut, a potem się rozłączyli. Zostawiła dziesiątki wiadomości, na które nie doczekała się odpowiedzi.

Nie żądała odszkodowania. Chciała tylko, żeby ktoś powiedział jej dlaczego, żeby wytłumaczył, co takiego się stało, co nie powinno było się stać. To jedyna rzecz, o jakiej mogła

myśleć, żeby powstrzymać ból. Niczego się nie dowiedziała. W departamencie zdrowia wypełniła formularze. Nie pojawił się nikt naprawdę zaniepokojony decyzjami szpitala. Miała do czynienia z administratorami i urzędnikami, ludźmi, którzy musieli odwoływać się do pamięci komputera, żeby wiedzieć, z kim rozmawiają. Więcej niż raz stała przed szpitalem, z nadzieją, że rozpozna jednego z lekarzy, kiedy będą wychodzić. Nie obchodziło ją, że uznają ją za wariatkę. Miała ochotę krzyczeć do przechodniów, żeby wiedzieli, żeby poczuli choć odrobinę tego, co ona czuła. Ale wkrótce stało się oczywiste, że nie wywoła wystarczająco dużego oburzenia, by coś działać. W końcu poszła do adwokata, który ją uprzedził, że sama dokumentacja sprawy będzie dość kosztowna, a bardzo wątpliwe, żeby ją wygrała. Zauważył, że jest młoda i może zacząć od nowa. Powiedział, że powinna spróbować zapomnieć o tym, co się stało.

To wszystko działo się przed dwu laty, nim poznała Zoię. Patrząc wstecz, zastanawiała się, czy przetrwałyby bez niej. Raz za razem cofała się do świata artystki i związanych z nim wspomnień.

Złożyła gazetę i siedziała, patrząc przez brudne szyby. Było wpół do dziesiątej rano. Opatuleni ludzie dojeżdżający do pracy mijali ją strumieniem, nieco szybszym krokiem niż zwykle, z bardziej zmarszczonymi czołami z powodu trwającego od jakiegoś czasu krachu na giełdzie. Nadchodzące milenium już miało niedobry smak, jak zwietrzały szampan. Nie zapowiadało się łatwe wejście w nowy wspaniały wiek. Ścieżka do niego była zaśmiecona niedokończonymi sprawami i nierozstrzygniętymi wynikami. Przyszłość zabarwiała nieokreślone zagrożenie.

W redakcji Kerstin spędziła kilka godzin przy komputerze, pracując nad artykułem na temat rosyjskiej marynarki wojennej i niebezpieczeństw, jakie niosą ze sobą nieszczelne reaktory nuklearne. Wyglądało na to, że Flota Północna ma dość uranu, by zabić wszystkie ryby w Atlantyku. Prosiła o rozmowę z redaktorem działu Sztuki, ale cały ranek miał spotkania. W porze lunchu znów wyszła, kupiła bukiet lilii od kwiaciarki na rogu i pojechała trzy przystanki Green Line na północ do Odenplan.

Rosyjska cerkiew mieściła się na Birger Jarlsgatan, długiej wysadzonej drzewami alei hoteli i drogich sklepów, które zachęcały do wejścia złotym światłem i słodkimi zapachami. Kupujący paradowali w modnych zimowych strojach - skórzanych wysokich butach i wywatowanych kurtkach z zamszu, które zapinały się na ramieniu w quasi-militarnym stylu. Kerstin zapaliła papierosa, żeby się rozgrzać, czując na sobie ukradkowe spojrzenia woskowobladych blon-

dynek i mężczyzn o wyglądzie nauczycieli, w płaszczach w kolorze wojskowej zieleni. W suchym powietrzu papieros smakował jak trucizna.

Stróż poznał ją i otworzył bramę. Nazywał się Dmitrij. Zoia kiedyś opowiedziała jego historię. Pochodził z Sankt Petersburga, uciekł z Rosji przed dwudziestu laty, korzystając z okazji pobytu w Helsinkach, gdzie był tłumaczem delegacji handlowców. Nikt nie miał pojęcia, czy zostawił w kraju rodzinę, chociaż wiedząc co nieco o Rosjanach, można było się domyślić, że tak. Był przystojny, choć twarz miał szczupłą i pomarszczoną, z długimi, pionowymi bruzdami na policzkach, twarz postarzałą bardziej z powodu smutku niż z powodu czasu.

Zadyszał się, zamiatając ścieżkę.

- Spodziewałem się, że znów panią zobaczę - powiedział, stając tyłem, żeby ją przepuścić, z wielką szczotką w ręce.

Przychodziła tam co tydzień, ale od ostatniej wizyty minęły dwa tygodnie.

- Byłam zajęta - powiedziała, wchodząc. Skinął głową ze zrozumieniem.

- Założę się, że tym ważnym artykułem. Śledztwem.

Słuchając jego słowiańskiego akcentu, nigdy nie potrafiła powiedzieć, czy brał ją poważnie, czy też nie. W jego oczach widziała iskierkę rozbawienia.

Uśmiechnęła się. Jak twierdziła Zoia, z Dmitrijem zawsze można pogadać, ponieważ prawie nikt inny tego nie robi. Ludzie mówili, że pije, ale to bzdura. Jeśli nosił w kieszeni płaszcza flaszkę wódki, to tylko po to, żeby się rozgrzać.

- Szczerze mówiąc, nie posunęłam się zbyt daleko - wyznała. - Wcale niedaleko.

Dmitrij otworzył usta, jakby chciał dodać jej otuchy, ale szybko zmienił zdanie. Zamknął bramę.

- Ona lubiła lilie - powiedział. - Są piękne.

Zarzucił szczotkę na ramię, jak zarzuca się strzelbę, i ruszył obok niej w stronę grobu. Główna ścieżka była w większości oczyszczona. Ale kiedy skręcili w stronę wschodniego muru, ich nogi zatapiały się w świeżym śniegu.

- Dwa dni temu tutaj zamiatałem. Kto by pomyślał. Niech pani uważa.

Dmitrij zwykle odprowadzał ją do grobu, a potem zostawiał tam samą. To stało się już ich zwyczajem, zupełnie jakby mówił: niech pani spojrzy, kogo pani przyprowadziłam, madame Zoia. Kiedy Zoia malowała portrety rodziny królewskiej, wiele osób zaczęło traktować ją z takim szacunkiem, jakby sama została członkiem rodziny królewskiej. Zoi chyba sprawiało to przyjemność, choć Kerstin podejrzewała, że nie miało to nic wspólnego z chęcią bycia kimś

lepszym. Tak naprawdę Zoia najbardziej ceniła dystans, jaki to wytworzyło w jej stosunkach z ludźmi, dzięki temu w ostatnich latach słabego zdrowia mogła wybierać tych, którym dawała wstęp do swojego życia, i tych, których nie dopuszczała.

Niskie szare niebo rzucało blade cienie na śnieg. Żelazne krzyże stały do połowy zakopane w śniegu, niektóre pochylone jak maszty tonących statków. Zbliżając się do grobu Zoi, Kerstin stwierdziła, że idzie po czyichś śladach. Krok był nieco dłuższy niż jej, ale wyglądało na to, że co kilka metrów człowiek, który zostawił te ślady, przystawał, żeby się zorientować, gdzie jest.

- Właśnie chciałem pani powiedzieć - rzekł Dmitrij. - Miała wczoraj gościa. Nie widziałem go nigdy przedtem.

- Kto to był?

Dmitrij wzruszył ramionami.

- Nie przedstawił mi się.

Ślady biegły z boku grobu. Ten ktoś zrzucił chyba ręką śnieg z krzyża. Kerstin przystanąła, włożyła lilie do małego kamiennego wazonu. Za nim znalazła zawiniątko w białym płótnie, wielkości książki.

- To musiał być Rosjanin - powiedział Dmitrij. Podniosła na niego wzrok, nie rozumiejąc. - To chleb. Niech pani zobaczy.

To był bochenek chleba, żytniego chleba z krzyżem naciętym na wierzchu. Zbliżyła go do nosa i poczuła kwaśny, kojący zapach. Dmitrij zaśmiał się.

- Tylko Rosjanin zrobiłby coś takiego.

- Rozmawiał pan z nim?

- Powiedziałem mu tylko, gdzie ją znaleźć. Zabawne, swoją drogą. Najpierw myślałem, że to Anglik. Sądząc ze sposobu, w jaki mówił, wziąłem go za Anglika. - Zaczął zamiatać śnieg wokół grobu. - Pytałem go, czy jest z rodziny, żeby pogadać. Powiedział, że jest tylko znajomym.

Kerstin zapakowała z powrotem bochenek chleba i położyła go obok krzyża.

- Elliot.

Dmitrij przerwał pracę.

- Więc pani go zna?

- Spotkaliśmy się. I ma pan rację, to Anglik. Dmitrij powoli pokiwał głową i wrócił do swojej pracy.

Rozsądek podpowiadał jej, że Elliot brał udział w całym tym przekręcie. Jej przyjaciółka Silvia, recepcjonistka u Bukowskiego, przekazała jej dostępne informacje, i żadna z nich nie wzbudzała zaufania. Elliot stracił wszystko. Kiedyś był marszandem, specjalizującym się w sztuce Europy Wschodniej, ale potem, przed dwu laty, był zamieszany w przemyt. Rosyjskie szesnastowieczne ikony ze szkoły Nowgorodu, wielkiej wartości, których nie wolno było wywozić z kraju, zniknęły z muzealnych piwnic w niewyjaśnionych okolicznościach. Niektórzy mówili, że sprzedano je, żeby zdobyć pieniądze, inni, że zostały skradzione po powodzi. Rok później pokazały się w angielskim porcie jako część większej przesyłki, rzekomo dzieła niewielkiej wartości. Urzędnicy celni powzięli jednak podejrzenia co do podanego w dokumentach wieku ikon oraz, przypuszczalnie, ich wartości podlegającej opodatkowaniu - i wezwali ekspertów z Londynu. Elliot uniknął oskarżeń. Twierdził, że został wrobiony, że nie miał pojęcia o żadnym przestępstwie. Ale skandal wykończył go zawodowo, a przy okazji rozpadło się jego małżeństwo. Stracił w Rosji dużo pieniędzy. Nawet ta część ładunku, która była jego legalną własnością, została odesłana z powrotem i zamknięta pod kluczem w oczekiwaniu na dalsze wyjaśnienia. Wydał fortunę na prawników, a czekały go kolejne bitwy w sądach. Ten człowiek bez wątplenia potrzebował pieniędzy.

A jednak kiedy na niego patrzyła, nie widziała w nim oszusta. Oczywiście oszust przede wszystkim powinien wyglądać na człowieka uczciwego, ale mimo to miała wątpliwości. Jego zainteresowanie twórczością Zoi wydawało się szczere. Jego determinacja, żeby rozwikłać jej zagadkę, zrozumieć ją, świadczyły o innych potrzebach poza materialnymi. A teraz jego wizyta na cmentarzu. Przestrzeganie rytuału. Gdzie w tym wszystkim są pieniądze?

Myślała o tym, idąc z powrotem przez cmentarz. Głównymi beneficjentami intrygi, jeśli chodzi o stronę finansową, byłiby właściciele ważniejszych obrazów. Wartość ich inwestycji rosła, co weryfikowała sprzedaż aukcyjna. Od śmierci Zoi jej obrazy coraz szybciej przechodziły z rąk do rąk, osiągając coraz to wyższe ceny. To był poufny nieoficjalny trend, a zarazem oczywisty dowód spekulacyjnego kupna. Każdy, kto o tym wiedział, miał przewagę.

Dmitrij pomachał jej przez kratę bramy. Kerstin uniosła rękę i poszła dalej, z niezapałonym papierosem w ustach. Tym razem jej wizyta była inna, różniła się od wszystkich poprzednich wizyt.

Zazwyczaj mówiła Zoi, co się dzieje, relacjonowała rozwój wydarzeń, a także dzieliła się swoimi najbliższymi planami. Czasami miała wrażenie, że wie, co odpowiedziałaby jej Zoia - do dnia śmierci zachowała bardzo bystry umysł. Tego dnia to się nie zdarzyło. Jakby nie były

tam same. Gdzieś w kadrze obecny był także Elliot, jakby stał tam z nią na cmentarzu. Jedyne, co otrzymała tego dnia od Zoi, to niewyraźne wspomnienie, jak Kerstin spotkała ją tego pierwszego letniego dnia w Saltsjöbaden, siedzącą pod parasolem na skraju lasu, szkicującą linię brzegową i morze.

Zabawne, że on był zdecydowanie w typie Zoi. W jego twarzy była zarówno siła, jak i zakłopotanie, bezbronność odmieńca. Zoię zawsze pociągali mężczyźni z poczuciem misji, mężczyźni, którzy poszukiwali nie tylko z ciekawości, ale i z potrzeby. Czuła z nimi instynktowną łączność, a oni z nią. W świecie istnieją pewne wzorce, widoczne jedynie dla tych, którzy ich szukają. Przynajmniej tak rozumiała to Kerstin. Istnieją związki przekraczające przestrzeń i czas. Rozpoznanie ich przynosi specjalny rodzaj uspokojenia.

Miała tylko to wspomnienie Zoi nad brzegiem, promieni słońca na wodzie, ścieżki połyskującego światła aż do horyzontu. Od śmierci Zoi nigdy nie czuła się tak bardzo samotna.

Popołudniowy ruch zwiększył się, reflektory płonęły żółto o zmierzchu. Obok wejścia do podziemnej stacji metra wyjęła swoją komórkę i wybrała numer Bukowskiego. Odebrała Silvia.

- Tu Kerstin. Możesz mówić?

- Chwileczkę, proszę.

Głos Silvii był wzorem profesjonalnej poprawności, to oczywisty znak, że nie była sama.

W centralce telefonicznej odezwał się jakiś bip. Nagle do ucha Kerstin popłynęła muzyka Mozarta. W wejściu do stacji uliczny artysta zaczął wygrywać melodię na harmonijce ustnej, jakby postanowił rywalizować z Mozartem.

Na linii znowu odezwał się jakiś sygnał.

- Kerstin?

Teraz Silvia mówiła bardzo cicho. Kerstin przycisnęła telefon do ucha, zakrywając drugą ręką.

- Nie możesz rozmawiać, Silvia?

- O co chodzi? Co się stało?

- Nic się nie stało. Zastanawiałam się tylko, czy widziałas dzisiaj artykuł w „Expressen”?

- Widziałam.

- To prawda? Wystawa pojedzie w świat?

- Nie wiem. Mogę ci tylko powiedzieć, że mnóstwo ludzi przyjedzie ją obejrzeć; Rosjan, Niemców, Japończyków. Nawet jakieś znane osobistości. Cornelius jest bardzo szczęśliwy.

Artysta uliczny przytupywał nogą, jego chude ciało podskakiwało w rytm muzyki. Miał potarganą rudą brodę i brudną brązową czapkę ze zwisającymi nausznikami.

- Co z Marcusem Elliotem? Słyszałaś o nim coś więcej?

- Był tutaj, korzystał z biblioteki. Wyglądał na chorego.

- Ale jest nadal w Szwecji?

- Tak myślę. Czemu pytasz?

- Bez specjalnego powodu. Zastanawiam się, czy powinnam znów z nim porozmawiać.

- Daj sobie spokój. Cokolwiek powiesz, przekaże Corneliusowi. Mówiłam ci, to starzy przyjaciele.

Ludzie mijali ją w pośpiechu, idąc do stacji metra, obchodząc ulicznego grajka jak największym łukiem albo przechodząc obok niego zdecydowanie, ze wzrokiem utkwionym przed siebie.

- Masz rację. Wiem.

- Oczywiście, że mam rację.

- Ja tylko...

- Co? - Silvia westchnęła jednoznacznie. - Nie mów mi tylko, że ci się podoba. Bo to całkiem co innego.

- Nie, nie podoba mi się. Chcę mu tylko powiedzieć, żeby pilnował swoich spraw.

Silvia rozmawiała teraz z kimś innym, wskazywała komuś drogę. Kerstin czekała, czuła się głupio, żałowała, że w ogóle zadzwoniła. Ale Silvia była jedyną osobą, która szczerze wierzyła w jej historię, jedyną, która uważała, że zwolnienie Kerstin z Bukowskiego dowodziło, że była prawdziwa. Rozmowa z Silvą upewniła ją raz jeszcze, że nie traci rozumu.

- Kerstin?

- Dzięki, Silvia. Pogadamy później, okay?

- Okay. Hej, poczekaj, jest coś jeszcze. Nic takiego, ale Cornelius jest cały podniecony.

- Co takiego?

- Szukali tego autoportretu Zoi, który namalowała w młodości, wiesz którego.

- Paryskiego autoportretu? Chińskiej księżniczki?

- No właśnie. Zdaje się, że właściciel się odnalazł. Dziś rano przyszedł fax. Z Londynu.

Kerstin zdała sobie sprawę, że wciąż trzyma w ręce niezapalonego papierosa.

- Z Londynu. No, no. Co za niespodzianka. - Wsadziła papierosa do ust i sięgnęła po zapalki.

- Jesteś rozczarowana?

Grajek skończył swój występ i rozglądał się, jakby na coś czekał: oklaski, pochwałę, uznanie. Nikt nie spełnił jego oczekiwań.

- Posłuchaj, Silvia, czy możesz zdobyć jakieś namiary na tego właściciela: nazwisko, numer telefonu? Muszę coś sprawdzić.

... dziś zobaczyłem na ulicy coś, co przypomniało mi o Tobie, i pomyślałem, że napiszę Ci o tym, bo mam akurat wolną chwilę. To był mały biały kot, taki miękki i lśniący, że pomimo jego ostrych pazurów, rozrzewniłem się i chciałem go podnieść i pogłaskać, choć to nie miało sensu - a nawet groziło infekcją. Ale kot był tak piękny, że nie mogłem oderwać od niego oczu. W każdym razie pomyślałem o Tobie i naszych planach spotkania w Wiedniu. Myślę, że będę w stanie tam dotrzeć, ale byłem bardzo zajęty, nie tylko dwoma konkursami na projekt (które wygrałem, o czym donoszę Ci z radością). Jeden z nich dotyczył największej elektrowni budowanej w Związku Radzieckim. Pracowałem też nad scenografią do epickiego filmu Pancernik Potiomkin, o początkach rewolucji. Prawdę mówiąc, projektowałem scenografię do niemal wszystkich rosyjskich filmów, które możesz zobaczyć w kinach. Mam nadzieję, że niedługo zobaczysz je na dużym ekranie w Szwecji. To niegrzecznie pisać tak dużo o sobie, prawda? Ale to nie jest grzeczny list, więc będę kontynuował.

Cieszę się, że znowu pracujesz, a zwłaszcza że w teatrze. Nie wątpię, że poczujesz się tam dobrze, gdyż całe życie próbowałaś sportretować siebie, jaką to jesteś wspaniałą aktoreczką. Mówiąc szczerze, jeśli mamy się znów spotkać, nie wiem, czy się w ogóle rozpoznamy. To, co dzieje się między nami, to jakieś szaleństwo. Jestem twoim zupełnym przeciwieństwem. Jesteśmy dwoma biegunami. Co ludzie zwykle mówią o takiej sytuacji? Mówią, że przeciwieństwa się przyciągają. No cóż, wydaje się, że jednak nie mają racji.

Zajął wolny pokój w północno-zachodnim rogu domu, gdzie dwa małe okna skrzydłowe wychodziły na baldachim drzew. Spał na wąskim pojedynczym łóżku przykryty swoim płaszczem i kocami, które znalazł w szafie.

Zdjął pokrowce z mebli. Rozwinał dywany w holu i na podestach schodów. Nakręcił zegary w saloniku, kuchni i holu. Nie przejmował się już doktorem Lindqvistem. Wchodził i wychodził, posługując się swoim dorobionym kluczem, zostawiał go zawsze w zamku, na wszelki wypadek. W sypialni otworzył okna, wpuścił do pokoju powietrze pachnące solą i sosnami. Starł kurz i postawił zimowy bukiet w wazonie nad kominkiem. Niewiele mógł zrobić, jeśli chodzi o ściany. Zoia posiadała kilka prac innych artystów, w tym jakieś szkice Foujity, ale zostały one zabrane na sprzedaż, wszystkie poza ikoną na schodach. Zoia nie lubiła wieszać własnych obrazów. Były przeznaczone dla innych, żeby inni je oglądali, tak podobno mawiała. Wyjątek stanowiła *Chińska księżniczka w Paryżu*. Trzymała ten obraz przez czterdzieści lat, czasami go wystawiała, ale nigdy nie zdecydowała się go sprzedać. Dla wtajemniczonych, jak Cornelius Wallander, stanowiło to kolejny dowód, że obraz miał specjalne znaczenie dla swojej autorki, jak bywa w przypadku autoportretów.

Ale jeśli tak właśnie było, to dlaczego Zoia jednak rozstała się z nim po tak długim czasie? Mogła sprzedać inne obrazy, jeśli chodziło o pieniądze. Czyżby się nim znudziła? Czy przypominał jej o czasach i miejscach, o których nagle zapragnęła zapomnieć?

Cornelius tak właśnie sądził. Według jego prywatnej teorii wspomnienia utraconej młodości stały się zbyt bolesne dla zbliżającej się do siedemdziesiątki kobiety. Nie chciała już patrzeć na urodę, którą niegdyś posiadała.

Elliot nigdy nie dyskutował z Corneliusem na temat owej teorii, chociaż uważał ją za uproszczoną, graniczącą z absurdem. To prawda, że motywy rozstania Zoi z autoportretem były równie niejasne jak sam obraz. Mimo wszystko nie dawał wiary, że po prostu znudziła się nim. Tak doniosły gest musiał mieć jakiś cel i znaczenie. I ten cel odmienił jego życie, przypadkiem lub świadomie. Dowodem było choćby to, że znalazł się tutaj, że ona go tu przywiodła, zupełnie jakby go wezwała.

Po przeczytaniu stu listów dotarł do lat paryskich: 1923 do 1931. Rozłożył listy z tego okresu na podłodze w pracowni, tym razem nie w równoległych szeregach, ale spiralnie, za-

czynając od środka pokoju. W ten sposób lepiej wykorzystał przestrzeń i miał lepszy wgląd w rozwój wydarzeń.

Już jedno spojrzenie na nagłówki wskazało na trzy, a może i cztery przedłużające się pobyty Zoi w stolicy Francji. W tym czasie mieszkała głównie w Sztokholmie albo w Biarritz, uganiając się za zamówieniami na portrety. Uśmiechała się z małej fotografii zrobionej w San Sebastian w 1927 roku, pozując w sukni i słomkowym kapeluszu na tle dużego omnibusu z dwudziestoma miejscami siedzącymi. Na początku 1931 roku pojechała do Tunezji, w powrotnej drodze zapadając na, jak stwierdzili lekarze, anemię mózgową.

To były lata szalonej aktywności Karla. Pisał do Zoi z Włoch, Niemiec i Rosji. Ryzykował życie, wyprowadzając sowieckie pieniądze do komunistycznych komórek w innych krajach. Przynajmniej połowę tego czasu spędzili osobno.

Zoia pisała chyba większość listów w pośpiechu. Ich szkice były często w całości nieczytelne. Korespondowała z Karlem po niemiecku. Niemal wszystkie inne listy były po rosyjsku. To nie były listy kobiety, która chce zerwać z przeszłością. Wyszły spod pióra przestraszonej dziewczynki, trzymającej się rodzinnej ziemi za pośrednictwem mężczyzn, którzy ją kochali. Zwracała się to do jednego, to do drugiego, w tajemnicy, odbierała listy z poczty, jak robili ludzie w Rosji, a potem chowała gdzieś, gdzie nikt nie mógł ich znaleźć, być może w domu zaufanej przyjaciółki.

Dusiła się na Zachodzie, tonęła. Dla niej listy z Rosji były jak tlen.

Po stracie dziecka latem 1922 pewien ustalony model jej życia uległ rozpadowi. Planowała ucieczkę, ale nigdy nie zrealizowała tego planu. W listach stale o tym wspominała. Miała wówczas dziewiętnaście lat. Najpierw napisała do poety Sandro Kusikowa, który przebywał na wygnaniu. Odpowiedział jej, próbując zorganizować spotkanie w Berlinie, do którego w końcu nie doszło. Potem był Jurij, pomimo obietnicy, że zerwie z nim wszelkie kontakty. Napisała do niego do sanatorium na granicy niemiecko-polskiej. W 1924 roku jego leczenie dobiegło końca, pracował jako tłumacz w Berlinie, planował wrócić do Moskwy. Jego uczucia się nie zmieniły.

...Nie mogę zapomnieć o Tobie ani na chwilę, moja najdroższa. Cały czas o Tobie myślę. Pragnę jedynie tego, żebyś choć trochę odwzajemniła moje uczucia. Całe moje życie ograniczyło się do tego jednego - do pisania do Ciebie, czytania w kółko Twoich listów. Nie wiem, co łączy Cię z Twoim mężem, i nic mnie to nie obchodzi. Ale wierz mi, śliczna Zoiu, nikt nie będzie Cię kochał tak jak ja.

Planowali się spotkać, ale na planach się skończyło. Jurij został wydalony z Niemiec. Nawet tam jego związki z tajną sowiecką policją wyszły na jaw. Wrócił do Rosji, na rządową posadę w centralnej Azji. W 1926 i 1927 wymienili sporo listów, potem zapadła cisza. Jeśli Zoia nadal pisała, jej listy nie docierały do celu.

Po Juriju był Andriej Burow. Od 1926 listy płynęły często i gęsto. Jego uraza po wyjeździe Zoi, skrajna i głęboka, zaczęła słabnąć. Opowiadał jej o swojej pracy przy *Pancerniku Potiomkinie*, o zaszczytach i nagrodach, które zdobywał. Wykładał jej swoje idee na temat sztuki, w ewidentny sposób pragnąc ją oczarować tymi przechwałkami i teoretyzowaniem. Potem jesienią, pisząc na pokładzie parowca na Morzu Czarnym - Elliot przyczepił ten list na ścianie pracowni - odkrył przed nią uczucia, których nie mógł dłużej ukrywać. Pragnął, żeby spotkali się w Paryżu, Wiedniu, w Sankt Petersburgu, żeby zacząć od nowa to, co urwało się osiem lat wcześniej. Czasami Zoia wyrażała zgodę, ale kiedy nadchodził czas wyjazdu, nigdy nie jechała. Pomimo samotności, była wciąż lojalna wobec Karła.

Elliot potrafił już przewidzieć odpowiedź. Burow był dumny, zawsze taki był. Pod wpływem rozczarowania jego miłość szybko obracała się w złość.

Nie wątpię, że poczujesz się tam dobrze, gdyż przez całe swoje życie próbowałaś sportretować siebie, jaką to jesteś wspaniałą aktoreczką.

Zoia miała inne powody, by nie jechać. Jej matka i babka nadal mieszkały w Rosji, a ona potrzebowała kontaktów Karła, żeby je stamtąd wydostać. Ale to nie wszystko, gdyż wbrew wszelkim przeciwnościom, Zoia wciąż starała się, by w jej małżeństwie wszystko się ułożyło. Wciąż starała się być taką żoną, jaką powinna być według Karła.

Rozpalił w piecach na wszystkich piętrach, nauczył się palić tak, żeby polana nie spalała się zbyt szybko. Pod schodami znalazł jeszcze więcej starych latarni, zrobionych z zaśnieżonego metalu. Wydawało się, że dawniej prąd bywał tam sporadycznie i niezbędne były inne źródła światła. Wyczyścił latarnie i postawił je w pokojach, obok lamp naftowych, do których nie znalazł paliwa. Kiedy zmęczenie nie pozwalało mu pracować, leżał w półmroku i obserwował cienie płomieni tańczące na ścianach, słuchał dźwięków domu, który ożywał. Zamiast zapachu wilgoci i stęchlizny unosił się tam teraz słodki zapach dymu z palącego się drewna. Dom wracał do życia, znów stawał się prywatną kryjówką jak niegdyś.

Ukrył samochód z boku domu. Nie otwierał okiennic w oknach wychodzących na drogę. Tylko kominy zdradzały jego obecność - jeśli ktoś dojrzał je za drzewami. Palił zresztą najstarszymi, najbardziej suchymi polanami, które dawały najmniej dymu. Smażył omlety na kuchen-

nym piecu i zjadał je z kromkami żytniego chleba, a opakowania po żywności spalał. Czytał kilka listów naraz, wsadzał je do kieszeni, krzątając się po domu. Czytał je na zewnątrz, podczas wypraw po rozpałkę, dumając nad ziarnami szczegółów, pozwalając, by odzywały się w nim uczucia ukryte za słowami; słuchał głosów wyraźnych i osobistych.

Miał jeszcze inne rzeczy do zrobienia. Zamocował zamek w drzwiach balkonowych. Z jednego boku dachu obluzowała się rynna, brakowało dachówek. Znalazł drabinę i jakieś narzędzia i wziął się do pracy, traktował to jak rodzaj zapłaty, odwdzięczenia się za to, że był jedynym gościem w domu Zoi. W południe i wieczorami zabierał latarnie do pracowni i próbował dopasować to, czego się właśnie dowiedział, do większego obrazu, uaktualniał swoje notatki możliwie najlepiej i w świetle nowych informacji interpretował to, co już wiedział.

Czasami tam sypiał. Zabierał na górę materac i kładł się na środku pracowni, obok małego metalowego piecyka. Czuł się tam dobrze, wdychając zapach farby olejnej i terpentyny, zapach pracy Zoi. Woń była świeża, jakby Zoia tylko na chwilę odeszła od obrazu i zamierzała zaraz wrócić. Czasami słyszał ją, jak kręci się po pokojach piętro niżej, dobiegał go skrzyp podłogi, a od czasu do czasu lekkie stuknięcie. Kiedy zamykał oczy, szedł za nią, krok za krokiem, przez hol, potem po drewnianych schodach i podestem na drugą stronę domu, do pracowni. Wtedy otwierał oczy, na wpół spodziewając się, że zobaczy poruszającą się kłamkę.

Po dwustu listach kryzys się pogłębił. Hart ducha Zoi zaczął słabnąć. Elliot znajdował w listach samotność i strach, i tęsknotę za jakąś dawno utraconą niewinnością. To było coś głębszego i bardziej druzgoczącego niż nostalgia. To była świadomość deprawacji, poczucie współudziału w nikczemnościach przeszłości, które tkwiło pod powierzchnią wszystkiego, co robiła, i wszystkiego, co pisała - wszystkiego, prawdę mówiąc, poza jej twórczością. Jej wczesne obrazy nazywano „naiwnymi”, krokiem w stronę słonecznych wyżyn, które nadeszły później wraz z nastaniem złota. Ale ta zewnętrzna naskórkowa warstwa naiwności pokrywała życie spędzone w udreće.

Jej nauczyciel, Kandinsky, głosiciel i wyznawca ekspresjonizmu, był dla malarstwa tym, kim Stanisławski był dla teatru. Instruował swoich uczniów, żeby nie przedstawiali świata, tylko swoją odpowiedź na świat. Pracował nad rozwojem języka kolorów i form, który przemawiałby do podświadomości.

Zoia powiedziała później, że była zbyt młoda, żeby zrozumieć teorie Kandinskiego. Chciała nauczyć się czegoś na temat linii, formy i techniki. Ale przyjęła jego główne założenie. Pisała potem do Andrieja o swoim poszukiwaniu ekspresji, swojej walce, by w jej obrazach by-

ła szczerść i prawda. (Pisała o tych sprawach tylko do Andrieja. Karła informowała o liczbie sprzedanych obrazów i zyskach). Tyle z nauk Kandinskiego jej pozostało.

Elliot umieścił kolejne zdjęcia na ścianie. Reprodukcje obrazów były oburzająco płaskie, zamrożone jak klatki w filmie. Oglądał je po kolei, chodząc wokół pracowni, z latarnią w ręku, jeśli było to konieczne, aż widział je wszystkie z zamkniętymi oczami.

Gdzie była Zoia w tych obrazach? Gdzie była prawda o niej w tych wielobarwnych utopiach?

Patrzył bez końca i nadal jej nie widział.

Po trzystu pięćdziesięciu listach coś się zmieniło. Nadszedł rok 1928, rok, w którym Zoia zobaczyła portret Fernande Barrey pędzla Foujity na rue de la Paix. Nagle zdrada okazała się możliwa. Elliot znalazł jej pierwszy dowód w krótkim liście od Andrieja Burowa, napisanym 17 marca.

Właśnie wróciłem do Moskwy i z radością znalazłem Twój list, chociaż, jak się okazało, przyniósł mi tylko ból i smutek, kiedy czytałem, że zakochałaś się w kimś innym. Prawdę mówiąc, gdy patrzę na to znowu - na wszystkie Twoje ostatnie listy - wydaje mi się, że są rodzajem dziennika, że pisałaś je wcale nie do mnie, lecz dla siebie. Jedno nie ulega wątpliwości: kiedy jesteś zakochana, Zoia, trawi Cię niepokój. Tak jak powiedziałaś: kochasz po to, żeby niszczyć. Trwasz w poszukiwaniu, które nigdy się nie zakończy. Ale pamiętaj, błagam Cię, że jestem tylko człowiekiem, i oszczędź mi tego okrucieństwa.

Elliot poszedł tym śladem. Zoia spędziła większą część tego roku w Paryżu, w pracowni na rue Faubourg St. Honoré. Eksperymentowała z różnymi tematami i technikami, czego skutkiem był eklektyzm, który ówczesni krytycy postrzegali jako znak jej niedojrzałości. Istniało niewiele tropów ułatwiających poznanie tożsamości mężczyzny, w którym się zakochała. Do rosyjskiej przyjaciółki w Sztokholmie pisała, że pochodził z Ameryki Południowej.

... ojciec wysłał go, żeby uniknąć skandalu. Miał romans z mężatką, a jego ojciec chciał położyć temu kres. Nie ma dość pieniędzy, byśmy mogli być razem, a kiedy coś ma, przegrywa. Ale jest dla mnie taki czuły: przyszywa mi guziki, czyści moje buty. Lubi nawet pudrować mi twarz.

Kilka dni później zwróciła się do Karła z pytaniem, czy zgodziłby się na rozwód, napisała mu nawet, że chce wrócić do Rosji.

Karl był w środku kampanii wyborczej. Odpisał, że jest zbyt zajęty, żeby zwracać sobie głowę podobnymi sprawami. Żeby nie była głupia i skupiła się na tym, by wyrobić sobie nazwisko.

Romans z młodzieńcem z Ameryki Południowej nie trwał długo. W październiku Andriej gratulował Zoi, że jest znowu sama „bez żadnego kochanka”. Ale Zoia była już inną osobą. Jej życie prywatne wkroczyło w etap nowej lekkomyślności. W kolejnych miesiącach pojawiały się listy od nowego mężczyzny, które wskazywały, że łączy go z nią coś więcej niż flirt. Filmowiec Jack Orton pisał do niej o swojej miłości i zazdrości, kiedy wyobraża ją sobie z innymi mężczyznami. Po raz pierwszy spotkali się w Sztokholmie w 1927 roku, kiedy on pracował jako asystent reżysera *Grzechu*, adaptacji sztuki Strindberga. Był też portugalski szlachcic oraz studenci malarstwa. I mężczyzna, który wysyłał jej pocztówki z całej Europy, podpisując się „Le Petit Marquis”. Był również restaurator Kola.

Dla każdego z nich Elliot stworzył osobny plik, gdzie umieszczał wszystkie dostępne szczegóły. Chciał wiedzieć, dlaczego akurat ci mężczyźni, co takiego w nich zobaczyła. Chciał zrozumieć, czego potrzebowała.

Listów Koli było tylko kilka, dokładnie pięć. Ale płonęły o wiele większą namiętnością niż wszystkie pozostałe.

... Pamiętasz te nieskończone minuty, kiedy pierwszy raz byliśmy ze sobą tak blisko? Na samą myśl o nich tchu mi brak. To nadzwyczajne kochać kogoś tak mocno, aż boli. Pożerać się nawzajem jak wygłodniali, i oddawać się sobie całkowicie, bezgranicznie. Całuję Cię, moja jedyna, bez ustanku. Całuję każdy centymetr twojego ciała, każdą zmarszczkę na twojej twarzy. Obawiam się, że twoja czułość mnie zatrula, że się od niej kompletnie uzależniłem i nie będę w stanie bez niej żyć. Mam tylko nadzieję, że w Sztokholmie wezmę się znowu w garść i pogrążę w pracy. Ale moja nadzieja jest słaba, ponieważ wszystko, co działo się między nami, było tak oszalamiające i tak wspaniałe.

Wspaniałe, ale nietrwałe. Latem 1930 Zoia zakochała się w rzeźbiarzu, który miał żonę i syna. Pisała listy z hotelu w Södertälje, gdzie mieszkała sama, czekając, aż on do niej dołączy, listy pełne poczucia winy i pożądania.

Każde kolejne zauroczenie było głębsze i bardziej desperackie niż poprzednie. Każde kolejne kończyło się jeszcze większym bólem i nienawiścią do samej siebie.

Wiosną 1931 roku spotykała się ze studentem sztuk pięknych Alainem. Był od niej siedem lat młodszy, pochodził z Afryki Północnej. Okazało się, że to dla niego pojechała do Tunezji. Tak przynajmniej powtarzała mu w listach, w których wyrażała żal, że ją zaniedbuje.

Alain miał klasyczną urodę, był ciemny, przystojny i bardzo męski. Pragnął korzystać z życia artystycznej bohemy, posmakować jego sekretów i przyjemności. Do Zoi przyciągnął go jej sukces, jakim były wystawy w Paryżu i Sztokholmie, ale jego listy mówiły o bezcelowości i braku satysfakcji. Wspólny przyjaciel o imieniu Louis pisał do Zoi, że Alain nigdy jej nie kochał, bo nie był do tego zdolny.

Zoia napisała do Alaina więcej listów niż do pozostałych kochanków. I przechowywała kopie wszystkich wysłanych do niego listów. Jego odpowiedzi były krótkie i nieliczne, pochodziły głównie sprzed jej wizyty. A ona rzuciła się w ten romans, wymuszała go, cały czas wiedząc, że jest skazany na niepowodzenie.

... Tyle przeciwko mnie, a ja nadal tu jestem i kocham Cię. To równocześnie cudowne i przeklęte. Nawet Bóg jest przeciwko mnie. Wczoraj wybrałam się do kościoła kawał drogi i okazało się, że był zamknięty, choć powiedziano mi co innego. Kiedy dzisiaj znów tam poszłam i udało mi się dostać do środka, panowała tam kompletna cisza, jakby Bóg nie chciał do mnie przemówić, ofiarować mi choćby słowa otuchy. Po wyjściu z kościoła widziałam tylko pary, pary młodych ludzi, spacerujących ramię przy ramieniu i trzymających się za ręce, zadowolonych i pełnych spokoju. A ja nie mogłam znieść ich spojrzeń, ponieważ wiedziałam, że w moich oczach zobaczą tylko smutek i strach. I co bym im powiedziała, gdyby mnie pozdrowili, kiedy jedyne słowa, jakie przeszłyby mi przez usta, jedyne słowa, jakie słyszę w swojej głowie, to słowa miłości.

Obejmij mnie, przytul, zakończ moje cierpienie, porozmawiaj ze mną tak, jak tylko ty potrafisz. Mów mi czule słowa, słowa, których mogę się trzymać choć przez chwilę, słowa, które mogę wspominać, gdy mnie opuścisz, słowa, które pozostaną ze mną i dodadzą mi odwagi i spokoju.

We wtorkowe popołudnie Elliot siedział w pracowni na górze, czytał listy Zoi do Alaina. Niektóre zostały napisane w hotelu Zephyr w La Marsa, małym nadmorskim miasteczku na północ od Tunisu. Pewnego dnia napisała do niego trzy razy. W tej samej stercie znajdowało się kilka ciekawych rzeczy, zwłaszcza telegramy ze szwedzkiego konsulatu w Tunisie do Karla Kilboma. Wydawało się, że dotarły do nich wieści o jego żonie, które wzbudziły ich zaniepokojenie.

To był dzień na przemian słońca i cieni, ciężkie chmury przetaczały się po niebie, zasłaniając słońce, z zachodu nadciągały ulewy i śnieżyce. Podszedł do okna, patrząc na listy w świetle dnia.

Na dźwięk silnika podniósł wzrok. Zza rogu wyjechał samochód. Przed bramą zwolnił i zatrzymał się.

To był samochód Kerstin Östlund.

Ślady kół jego auta były już prawie niewidoczne. Piece paliły się cały dzień. Z drewna zniknęła wilgoć. Kerstin musiałaby jednak podejść bliżej, żeby zobaczyć dym.

Otworzyły się drzwi samochodu. Kobieta wysiadła. Długi zamszowy płaszcz, niechlujne czarne włosy. Czy była tu faktycznie, kiedy Zoia jeszcze żyła? Czy była tu od tamtej pory?

Niepewnie kroczyła przez breję, potem położyła rękę na szczycie bramy. Jej spojrzenie powędrowało w górę, w stronę dużego okna. Elliot nie wiedział, czy go dojrzała, czy też nie.

Pan mi pomoże, a ja panu - powiedziała.

Ale on nie potrzebował pomocy.

Przeniosła wzrok na boczną ścianę domu, szukając jakiegoś pojazdu. Przeszło mu przez myśl, że chciała się włamać, skraść dokumenty, które, jak sądziła, mogą jej się przydać. Może aż do tego stopnia zależało jej na tym temacie. Co by się stało, gdyby go tam znalazła? Zastanawiał się, co mógłby jej powiedzieć, żeby go zrozumiała. A przynajmniej, żeby nie wezwała policji.

Jakaś jego część pragnęła mieć ten dom tylko dla siebie. A równocześnie chciał ją zaprosić do środka.

Daleko nad wodą skrzeczały mewy, jakby próbowały wszcząć alarm. Kerstin Östlund skuliła ramiona i wróciła do samochodu. Elliot patrzył, jak odjeżdżała.

Parnas

Sztokholm, 16 października 1923

Droga Zoiu!

Twoje listy mnie martwią. Pełno w nich opowieści o wizytach w kawiarniach i nocnych klubach. Brak tam jednego: jak pracujesz, kiedy pracujesz, co namalowałaś, co Twoi nauczyciele mówią o Twojej pracy, jak nazywa się Twoja szkoła i tak dalej. Ani słowa nie piszesz na ten temat, a przecież to był cel Twojego wyjazdu do Paryża. W ogóle tego nie rozumiem. Nie pojmuję, jak ktoś może być taki. Czy wiesz, że właśnie w tym momencie, kiedy czytam ten list, przyszedł telegram od Ciebie z prośbą o pieniądze - na co? Żeby odwiedzić kolejne kawiarnie? Jeśli nie potrafisz się lepiej wytłumaczyć, nie mogę nadal wysyłać Ci pieniędzy.

A te Twoje listy! W jednym piszesz, że nic dobrego nie wynika z ciągłego przebywania wśród ludzi i że zamierzasz poważnie wziąć się do pracy. A w następnym - pisanym tego samego dnia - informujesz, że znowu wychodziłaś do miasta, zamiast pójść na lekcje. Czyżbyś rzuciła szkołę? Jak i kiedy możesz pracować, skoro spędzasz noce w kawiarniach, na dansingach etc, etc.? Rozumiem, że masz potrzebę poznać tych ludzi, ale żeby tyle czasu z nimi spędzać? Tego już nie rozumiem. Musisz pamiętać, że oni całe lata studiowali i zdobywali doświadczenie, zanim stali się znani jako artyści. A Ty jesteś tylko studentką. Pojechałaś do Paryża po to, żeby się uczyć, a nie wałęsać. Ile zdołałaś dotąd zrobić? Jesteś w Paryżu od miesiąca. Ile godzin poświęciłaś nauce? Ile przedmiotów narysowałaś czy namalowałaś? Domagam się, żebyś codziennie chodziła do szkoły i studiowała poważnie co najmniej pięć godzin dziennie. Albo tak zrobisz, albo nie dostaniesz już ode mnie ani grosza więcej. Jeśli chcesz być kimś, Zoiu, musisz pracować. Tysiąc razy Ci to tłumaczyłem. Nie ma innej drogi. Musisz to zrozumieć teraz, bo inaczej zrozumiesz to, kiedy będzie już za późno.

Piszę to, ponieważ Cię kocham, naprawdę Cię kocham, nawet jeśli kocham Cię w sposób, którego nie pojmujesz - nie pozwalam Ci robić wszystkich głupstw, na jakie masz ochotę, bo chcę, żebyś była kimś, w każdym calu, kimś, o kim się mówi i kogo się szanuje. Jeśli wrócisz teraz do Szwecji, jak sugerujesz, wszyscy będą wiedzieli, że nic nie osiągnęłaś i zasłużysz tylko na drwiny. Zbyt wielu ludziom opowiadałaś o swoich planach, żeby teraz wracać. Ostrzegam Cię, Zoiu, że są w Paryżu Szwedzi, którzy piszą do swoich domów o tym, co się tam dzieje. Więc wszyscy w Sztokholmie wiedzą dokładnie, co robią rodacy w Paryżu.

Spędziłem ostatnie dni z towarzyszem Teuchlerem. Był żonaty z Rosjanką, teraz są po rozwodzie. Powiedział, że na dłuższą metę Szwed nie może pozostać w związku z Rosjanką, ponieważ Rosjanie są zbyt leniwi. Zaprotestowałem i powiedziałem, że Rosjanie, których ja znam, są inni. Czy tak jest, moja droga? Wyobraź sobie, co by się stało, gdybym stwierdził, że on ma rację? Cóż, nie pozbawiaj mnie mojej iluzji. Mam nadzieję, że nie pozwolisz, bym doświadczył takiego rozczarowania.

Muszę już kończyć. Jestem przeziębiony, zmęczony i ktoś chce ze mną rozmawiać.

Całuję Cię wiele razy, ale potraktuj poważnie moje słowa. Albo będziesz pracować jak należy, albo wracasz do domu, gdzie czeka Cię mycie podłóg czy jakieś inne zajęcie, które sobie znajdziesz.

Pracujący dla nas dwojga Twój Karl

30

Paryż, maj 1929

Alain Azria, dziewiętnastolatek o szczupłej opalanej twarzy i niebieskich oczach, stał upozowany z papierosem pod pomnikiem marszałka Ney, podczas gdy jego przyjaciel Louis udał się na zwiady, szukając wolnego stolika w Closerie des Lilas. Alain wołał bardziej pretensjonalne, pseudoartystyczne lokale w dalszej części Boulevard du Montparnasse - Dôme, Rotonde, Coupole i Sélect - ale tam zawsze pełno było Amerykanów (Dôme i Coupole miały nawet amerykański bar), a co za tym idzie były drogie. Tam można było chadzać od czasu do czasu, zwłaszcza w ciągu dnia, kiedy artyści i modelki albo spali, albo pracowali w swoich studiach.

Louis zmywał kiedyś naczynia w Closerie, zanim dostał posadę kelnera w La Jungle. Nie miał nikogo, kto by mu pomagał finansowo. Jego ojciec zginął podczas wojny. Louis musiał sam opłacać swoje lekcje i często nie było go na nie stać. Mimo to Alain zazdrościł mu tego dostępu i przelotnego kontaktu z gośćmi, do którego ta praca dawała mu okazję. Louis prowadził prawdziwie artystyczne życie, dla sztuki nie dojadł, mieszkał na poddaszu, wydawał więcej pieniędzy na farby niż na jedzenie czy opał. Odnajdywał swoją drogę w paryskim półświatku, który inspirował tak wielu wspaniałych malarzy, i znał już z widzenia wszystkich sławnych

ludzi, nawet jeśli oni go nie znali. W porównaniu z nim Alain, który przyjechał z Tunisu na drugie z rzędu lato, czuł się jak turysta.

W Closerie nie było miejsc, stoliki wylewały się na chodnik, poza żywopłot, który stanowił oficjalną granicę *terrasse*, i wokół kasztanów na końcu Boulevard Saint-Michel. Grupka Angielek, ściskając w rękę katalogi i duże brzydkie torby, utworzyła kolejkę z jednej strony i głośno dyskutowała o napiwkach. Alain zauważył, że mu się przyglądają, niektóre bez wątpienia podziwiałały jego urodę Valentino, inne wyraźnie podejrzewały, że spróbuje wśliznąć się przed nie do kolejki. Alain poczuł się skrępowany. Wsadził ręce do kieszeni lnianej marynarki i poszedł do kiosku, gdzie kupił gazetę, i udawał potem, że ją czyta.

Jego uwagę przyciągnął plakat, przyklejony krzywo na bocznej ścianie kiosku. Na górze dużymi literami napisane było:

WE WSPÓŁPRACY Z FOUJITĄ

Alain pragnął zostać takim artystą jak Foujita. Nie chodziło mu nawet o styl, o te delikatne kobiece linie. Imponowała mu taka kariera. Wszystkie najpiękniejsze kobiety prędzej czy później pozowały Foujicie. Nawet utytułowane damy prosiły, by namalował je nago, nie dlatego, że pragnęły, by je unieśmiertelnił, jak mówili ludzie, ale dlatego, by udowodnić, że są warte jego uwagi. Reprezentowana przez Foujitę mieszanka dawnego i nowego, Orientu i Zachodu, jego osoba jako całość posiadała niemal magiczną siłę przyciągania. Świat sztuki uczepił się jej jak narkotyku. Twórczość Foujity trafiała w sam jego krwiobieg, uwodzicielska, ale nie sentymentalna, prosta, lecz nigdy surowa. Sprzedawała się jak świeże bułeczki. Foujita już dawno porzucił swoje poddasze. Miał duży czteropiętrowy dom na Place Montsouris, który regularnie pokazywano w plotkarskich pismach. Jego żona, Youki - zdawało się, że w Paryżu artyści dowolnie zmieniają imiona swoim kobietom - jeździła po mieście żółtym balotem z szoferem.

Plakat informował o popołudniowej gali w teatrze Bobino, trzydziestego maja o piętnastej; przygotowali ją artyści z Montparnasse'u w celu zebrania pieniędzy na *la Création d'une Caisse de Secours Alimentaires aux Artistes*, stworzenie kasy zapomogowej dla artystów. Foujitę wymieniono na pierwszym miejscu, razem z Kiki, sławną modelką i artystką śpiewającą w nocnym klubie. Maria Wasiljewa miała wykonać tradycyjne rosyjskie tańce przy akompaniamencie zespołu z La Jungle i z tamtejszymi *Danseurs Noirs*. Przyjaciółka Kiki, Thérèse Treize (wcześniej po prostu Thérèse Maure), miała z kolei poprowadzić grupę tancerek rewiiowych, złożoną z ulubionych modelek. Zapowiadano występy innych jeszcze artystów i wykonawców,

a całość zorganizował Henri Broca, dziennikarz, który rozpoczął wydawanie magazynu „Paris-Montparnasse”. Każdy, kto liczył się na paryskiej scenie sztuki, miał być tam obecny.

Alain sprawdził datę w gazecie: 30 maja. Spojrzał na zegarek. Minęło wpół do trzeciej.

Rzucił gazetę. Louis pojawił się u jego boku, zadowolony z siebie, niewątpliwie spodziewał się smacznego posiłku. Był wyższy od Alaina, ale nie tak przystojny. Jego kości policzkowe nie były tak wyraźnie zaznaczone, a na jego długich szarych zębach widniały żółtawe skazy, jak na marmurze z wadami.

- Jest wolny stolik w środku, trzymają go dla nas. Alain wskazał na plakat.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

- Słyszałem, że od kilku tygodni jest wyprzedane. Zresztą to tylko wyglupy.

- Może jeszcze uda nam się dostać. Weźmiemy taksówkę.

Alain wyszedł na jezdnię. Taksówka minęła go, nie zatrzymując się, kierowca patrzył przed siebie, jakby nie chciał go zauważyć.

- Powiedziałem ci, że nie ma biletów! - krzyknął Louis. Druga taksówka zatrzymała się. Alain otworzył drzwi.

- Zespół jest z La Jungle, tak? Pogadaj z nimi.

Louis obejrzał się na Closerie i z trudem przełknął ślinę.

- Ale co z...?

Alain wsiadł do samochodu.

- Pojedziemy obejrzeć show, a potem zjemy kolację w La Boeuf. Może być?

Okazało się, że w Bobino znalazły się wolne miejsca, ale tylko na drugim balkonie, gdzie stał tłum obcokrajowców i starych mężczyzn, którzy mają dużo wolnego czasu. Alain nie był zadowolony. Chciał, żeby Louis wziął go za kulisy, pragnął znaleźć się pośród muzyków i wykonawców. Chodziło tylko o to, żeby porozmawiać z właściwą osobą, być we właściwym miejscu we właściwym czasie. Wtedy znajdzie się tam, gdzie chciał się znaleźć: w samym środku. Zmęczyło go już wysiadywanie w kawiarniach i barach, czekanie, aż coś się wydarzy, miał dość przebywania w świecie, do którego nie należał.

- Nie musisz ze mną iść, jak nie chcesz. Dam sobie radę sam.

Louis spojrzał tylko na niego głupio i został na miejscu. Spektakl właśnie się zaczął. Mistrz ceremonii ubrany w strój kowbojski wygłosił długi monolog, który stronnictwa widowiska na parterze przyjęła wiwatami. Niektórzy nawet przynieśli szampana i kieliszki. Thérèse Treize i Montparnasse Girls, a wśród nich Kiki, jakaś gruba i rozmemłana, wykonywały układ tanecz-

ny. Pięć czy sześć lat temu, kiedy Kiki śpiewała sprośne piosenki i tańczyła w The Jockey, powiadano, że jej kankan jest przestarzały, że unosi swoje falbaniaste spódnice tak wysoko, żeby pokazać, że nie ma nic pod spodem. Ale to wykonanie nie należało do takich odważnych. Był to częściowo taniec country, częściowo rewiowy, a dziewczęta prawie nic nie pokazywały. Teraz tylko artysta albo fotograf mógł zobaczyć Kiki nagą, chociaż najwyraźniej wciąż pokazywała swój tyłek każdemu turyście, którego przyłapała na tym, że się na nią gapił. Alain wysłiznął się przez boczne wyjście i zszedł na dół schodami, a potem ruszył dalej korytarzem prowadzącym do wejścia dla artystów. Kupił bukiet kwiatów od kwiaciarki przed foyer i wrócił do teatru. Nie miał konkretnego planu. Mógł powiedzieć, że dostarcza kwiaty, gdyby ktoś go zaczepił. Kwiaty dla madame Wasiljewej. Nie miał więcej pomysłów.

Doszedł do końca korytarza. Ściany były żółte od dymu i obłaziły z farby. Gołe żarówki mrugały niepewnie, raz jaśniej, raz ciemniej. Zapach perfumowanego pudru mieszał się ze smrodem zwietrzałego tytoniu. Zrobił kilka kroków. Po prawej i po lewej miał drzwi - garderoby, jak zgadywał. Głosy i śmiech dobiegały przez ścianę.

Przystanął na chwilę i słuchał. Drzwi jednej z nich były uchylone; kobiety rozmawiały przyciszonymi głosami, zwierzały się sobie nawzajem. Dojrzał nagie ramię. Jedna z kobiet stała przed lustrem i czesała włosy. Kiedy się odwróciła, rąbek jej sukni zakołysał się i musnął jej łydkę.

Szedł powoli, żeby nie zwrócić na siebie uwagi.

Za kulisami aplauz na widowni brzmiał jak fale rozbijające się o brzeg. Kiedy ludzie płacą malarzowi za to, że śpiewa albo udaje komika, to znaczy, że gość naprawdę się liczy. To wyższy stopień sławy, niż być znanym wyłącznie ze swojej twórczości. Alain miał poczucie, że jest w tym jakiś cud, gdy zaistnieje się w podświadomości ludzi. Rodzaj alchemii, której można się nauczyć, mając odpowiedniego nauczyciela.

Drzwi się otworzyły i pojawił się w nich mężczyzna w kostiumie clowna, niósł parasolkę i zgnieciony cylinder. Miał okulary i źle dopasowaną perukę, na czubku łysą, z kępkami rudych włosów po bokach. Objął Alaina krótkowzrocznym spojrzeniem i podreptał dalej, znikając w cieniu. Zespół muzyczny rozpoczął: *I can't give you anything but love*.

Alain ruszył za mężczyzną w pewnej odległości. Skręcił za róg. Tutaj korytarz był szerszy, ale ciemniejszy, pojedyncze czerwone światło padało z sufitu. Scena była już blisko. Słyszał skrzypienie i przytupywanie. Okrzyki i gwizdy odbijały się echem nad jego głową, prawdziwa ekstaza. Czuł, że serce bije mu mocniej.

Odrobinę uchylił ciężkie drzwi i w tej samej chwili został rozplaszczony na ścianie. Montparnasse Girls wybiegły ze sceny, trajkotały jedna przez drugą, spiesząc do garderoby. Alain przytrzymał im drzwi, ale one go nie widziały. Była tam Kiki, była Thérèse Treize, była zmysłowa Siria o urodzie Hiszpanki, która tańczyła najlepiej. Z bliska wyglądały jeszcze piękniej, w każdym razie bardziej pociągająco: wszystkie były kobiece, a każda inna, ale wszystkie w odpowiednim nastroju do kankana. Dumne ze swoich ciał, pozbawione wstydu, uszczęśliwione. Na samą myśl, jaką siłę im to dawało, zakręciło mu się w głowie. Szanowane damy mogły wyrażać swoje życzenia w swoich nudnych bezpiecznych salonach. W porównaniu z tymi artystkami były słabymi bezbarwnymi istotami. Nigdy nie żyły tak naprawdę i nigdy nie będą żyły.

Ostatnia z dziewcząt - na imię miała Clara, tak mówił Louis, i pozowała Jules'owi Pasci-nowi - przystanęła i uniosła spódnicę, żeby poprawić pończochę. Alain wstrzymał oddech, patrząc, jak się pochyliła; jej delikatne palce dotykały jedwabiu, a nogi były odsłonięte po to, żeby je podziwiać, aż do falbaniastych majtek.

Podniosła wzrok i powiedziała:

- Dziękuję, monsieur - po czym spuściwszy i wygładziwszy spódnicę, pobiegła przed siebie. Alain dopiero po długiej chwili uświadomił sobie, że wciąż trzyma drzwi.

Schody prowadziły do kulis. Tam stał clown, Alain widział jego sylwetkę na tle światła ze sceny. Trzymał teraz niezapaloną świecę, a także parasolkę. W rogu rozgrzewał się akrobata w masce i trykocie arlekina. Nie wyglądał na amatora, stawał na rękach, a wykonując salto w powietrzu, lądował bezszelestnie. W górze maszyniści teatralni chodzili w tę i z powrotem po wąskim chodniku z desek zawieszonym pod sufitem. W kulisie naprzeciwko stała grupka osób, ich twarze oświetlały reflektory. Alain dostrzegł ich zęby w uśmiechu.

Kowboj znowu wyszedł na scenę i opowiadał dowcipy. Odpowiedziały mu śmiech i gwizdy. Widownia była niepokojąco blisko, hałas wydawał się groźny. Kowboj podniósł ręce i odezwał się tonem udającym powagę, prosił o ciszę.

- A teraz mam szczególny honor przedstawić jedyne Legionnaire z Montparnasse'em.

Zespół huknął *Marsylianką*, odegraną w rytmie trójdzielnym.

- Dziki człowiek Wschodu.

Clown odwrócił się i spojrzał przez ramię. Patrzył teraz przez swoje wielkie okulary na Alaina z namalowanym na twarzy uśmiechem. Nagle dotarło do Alaina, że to Foujita, Foujita jest clownem.

Maszynista w czapce przybiegł czym prędzej, żeby zapalić świecę. Foujita pochylił się, szepnął mu coś na ucho. Maszynista odwrócił głowę i wbił wzrok w Alaina, a następnie podszedł do niego.

- Czcigodny Leonard Tsuguharu Foo-jita! - zawołał kowboj. Maszynista ze swoim spłaszczonym nosem wyglądał jak bokser.

- Czego pan tu szuka? - spytał.

Foujita począłapał na scenę witany okrzykami.

- Kwiaty dla madame Wasiljewej - odparł Alain, starając się udawać, że nie ma z tym nic wspólnego.

Maszynista położył mu ciężką rękę na ramieniu i obrócił go w stronę, z której przyszedł.

- Tamtędy. Trzecie drzwi na prawo.

Maria Wasiljewa była Rosjanką i artystką, co prawda bardziej znaną z kantyny, którą prowadziła przy Avenue du Maine. Otworzyła ją podczas wojny, żeby pomóc głodującym artystom. Kantyna szybko stała się czymś najbliższym klubowi artystycznemu na Montparnassie, bywali tam sławni ludzie, którzy prowadzili burzliwe dyskusje przy duszonym mięsie i winie po dziesięć centymów za kieliszek. Madame Wasiljewa osiągnęła już wiek średni i nie była warta spojrzenia, dlatego Alain pomyślał właśnie o niej. Sądził, że ucieszy się z kwiatów, bo Kiki czy Montparnasse Girls tak czy owak dostaną ich całe naręczą na koniec wieczoru.

Ruszył przed siebie korytarzem, słuchając śmiechu i głosów. Dobrze się czuł w samym centrum tego świata, nawet jeśli miał być tam tylko chwilę. Na plakacie przeczytał, że podczas gali zostanie wybrana Królowa Montparnasse'u - z całą pewnością będzie to Kiki, biorąc pod uwagę jej pamiętnik w magazynie Broki i fakt, że Broca się w niej kochał. To znaczyło też, że później odbędzie się wielkie przyjęcie. Alain zastanawiał się, gdzie to może być, i czy istnieje jakiś sposób, żeby się tam dostać.

Dotarłszy do trzecich z kolei drzwi, zapukał, a kiedy nie usłyszał żadnej odpowiedzi, zapukał raz jeszcze.

- Tak, tak! - Głos był zniecierpliwiony, zdenerwowany.

Alain nacisnął klamkę i zajrzał do środka, zobaczył przed sobą śmiertelnie bladą twarz.

- Proszę wybaczyć.

Żółte zęby w ramce czerwonych warg. Kobieta była Japonką, umalowaną i ubraną jak gejsza.

- Przepraszam.

Alain cofnął się. Gejsza skinęła głową i minęła go szybkim krokiem, ciężki jedwab spódnicy zebrała w jednej ręce. Po drugiej stronie pokoju Maria Wasiljewa stała otoczona przez lustro i skąpana w elektrycznym świetle. Miała na sobie dziwną egzotyczną suknię, białą, związaną w pasie, usztywnioną haftem, z szerokimi wiejskimi rękawami. Wzory na sukni były azjatyckie, zygzaki i kwadraty, powiew stepu. Ładna młoda Chinka stała za jej plecami, poprawiając delikatny koronkowy spiczasty czepek zasłaniający uszy.

Kobiety rozmawiały w obcym języku, lecz nie był to francuski ani mandaryński. Odgłosy przedstawienia dobiegały z trzeszczącego głośnika na ścianie.

Maria Wasiljewa odwróciła się. Miała ostre, drobne rysy, ale twarz workowatą, cienkie wargi i oczy przeszywające jak u drapieżnego ptaka. Zmrużyła je, patrząc na niego pod oślepiające światło.

- O co chodzi?

Alainowi trzęsły się ręce, kiedy wyciągnął do niej bukiet.

- Kwiaty dla madame Wasiljewej. Chinka mruknęła coś.

Mówiła oczywiście po rosyjsku. Przyjrzał się jej uważniej. Przyszło mu do głowy, że wcale nie jest Chinką. Tak się tylko malowała, nosiła wystylizowaną fryzurę i suknię z chińskiego jedwabiu.

- Kwiaty - powiedziała Wasiljewa. - Jak miło. Od kogo?

Odbite światło tańczyło na bladej twarzy młodej kobiety. Odwróciła głowę, zajmując się szpilkami i haftkami.

- Jesteśmy z przyjacielem malarzami. To znaczy, studiujemy malarstwo. Pomyśleliśmy, że po wszystkim, co pani zrobiła...

Maria Wasiljewa uśmiechnęła się. Ze zmarszczkami wyglądała przyjaźniej.

- To bardzo miło z pana strony, monsieur. Bardzo *gallant*. Proszę położyć je na stole, dobrze?

Podszedł do stołu. Młoda kobieta zerkała na niego w lustrze. Ciekaw był, kim jest, może także modelką, która rozbiera się za czterdzieści franków. Paryż pełen był Rosjan. Wielu z nich to arystokraci, którzy uciekli przed bolszewikami, a teraz żyli w nędzy, wyprzedając ostatnie sztuki biżuterii. Kobiety krok po kroku schodziły na drogę prostytucji, jeśli tylko były w stanie to znieść. Louis opowiadał mu historię pewnej Rosjanki, która weszła do Tour d'Argent, zamówiła szampana i talerz *marennnes*, drogich, delikatnie doprawionych ostryg, a potem, w połowie posiłku, wyjęła rewolwer i strzeliła sobie w głowę.

Młoda kobieta westchnęła. Na jej palcu pokazała się kropelka krwi, w miejscu, gdzie ukłuła się szpilką. Włożyła palec do ust i tak zamarła na moment, spotykając się wzrokiem z Alainem.

Pośród rosyjskich emigrantów byli też bolszewiccy szpiedzy. Marię Wasiljewa kiedyś internowano.

Dziewczyna oblizwała dolną wargę. Zajęła się na powrót ubieraniem madame Wasiljowej. Alain położył kwiaty i odwrócił się do wyjścia, żałując, że zabrakło mu odwagi, aby się przedstawić.

Mijały tygodnie, a on już jej nie spotkał. Zapisał się na lekcje w Académie Paul Ranson i został pochwalony za energię swoich rysunków. Dwa popołudnia w tygodniu pozowały im modelki, ale nie były to zmysłowe dziewczęta z Dôme czy Rotonde, o sprężystych ciałach i małych piersiach, które chciały zostać zauważone przez modnego artystę. Te kobiety nie interesowała przygoda, ucieczka z zamknięcia burżuazyjnego życia w jakimś małym prowincjonalnym miasteczku. One pozowały w akademii od lat, większość z nich była milcząca i nieruchoma jak posągi, a w ich nagości Alain nie znajdował nic podniecającego ani seksualnego. Prawdę mówiąc, kiedy patrzył na ich obrzmiałe zniekształcone formy, jego uczucia oscyływały od rozczarowania po złość, a potem osiągały stan, którego nie potrafił nazwać, ale którym były przepojone jego szkice, kreski robione ołówkiem i węglem. Ta energia była dla niego czymś nowym. Wciąż myślał o *Zarżniętym wole* Soutine'a, którego wersję widział u marszanda Leopolda Zborowskiego na rue Joseph Bara. Wypatroszone, pozbawione łbów tusze były namalowane w cielistych różach i krwistych czerwieniach. Wręcz czuło się rzeźnię, jej odrażającą, energetyzującą brutalność. To właśnie do tego dążył Alain w swoich pracach, do owej prawdy.

Niektórzy z jego kolegów studentów uważali, że to, co robi, jest brzydkie. Ich twarze marszczyły się, gdy patrzyli na jego rysunki. Pewna myszowata zastraszonego młoda Amerykanka określiła je jako okrutne. Ale on się tym nie przejmował. Pascin, Kisling, Foujita, wszyscy malowali to, co ich ekscytowało. W ich pracach był ładunek seksualny. Seks i pożądanie to prawda, która kryła się za relacjami owych malarzy z ich modelkami. Tutaj, w akademii relacja była zupełnie inna i należało oddać tę różnicę. Skłamałby, malując każdą pulchną matronę jako nimfę, a każdą kościstą starą pannę jako Wenus.

Po pewnym czasie przestał chadzać do popularnych kawiarni, poza chwilami, kiedy pracowało mu się wyjątkowo dobrze. Zamiast tego wyprawiał się wieczorami do barów na Île Saint-Louis albo na Montmartre. Czasami jechał na plac Pigalle, gdzie prostytutki wystawały w

drzwiach i paliły papierosy. Louis zawsze czuł się zakłopotany. Szurał nogami, miał spuszczo-
ną głowę i trzymał ręce w kieszeniach. Po co tam iść, marudził, jeśli nie korzystają z ich usług?
Ale chodziło o to, żeby patrzeć i wczuć się. W tych wąskich uliczkach skondensowane było
wszystko to, wokół czego kręci się świat: seks i chciwość, piękno i horror. Nie można uciec od
tego i nazywać się artystą.

Czasami zastanawiał się, czy któregoś dnia mógłby w tamtym miejscu spotkać młodą
Rosjankę.

Nie widział jej do końca lata. I nie spotkali się na placu Pigalle, ale w La Jungle w ulew-
ną piątkową noc.

Spędził smutny wieczór w swoim hotelu, zamawiając kolację do pokoju. Leżał na łóżku,
a w jego głowie kłębiły się myśli. Rodzice zapisali go do szkoły prawniczej i domagali się, że-
by wrócił do domu i podjął naukę. Chcieli, żeby zdobył solidny zawód. Ale nie to martwiło go
najbardziej. Przez ostatnie tygodnie w akademii próbował swoich sił w malarstwie olejnym.
Nauczyciele obejrzeni wyniki jego pracy i oznajmili, że nie jest jeszcze gotowy. Powiedzieli, że
jego wysiłki są nieuporządkowane i nonszalanckie. Że powinien popracować jeszcze ołówkiem
i węglem. Ich uwagi poważnie go zraniły.

Powiedzieli, żeby był cierpliwy, jakby sam upływ czasu miał przynieść mu jasność.

Cały wieczór krążył po pokoju, pociągając *eau de vie* z butelki, słuchając hałasów z uli-
cy, czując, że jest na rozdrożu. Ciepłą nocą miasto ożywało. Samochody i taksówki tłoczyły się
na bulwarach, silniki huczały. Muzyka płynęła z kawiarni na Place de Rennes.

Ołówek i węgiel. Najgorsze, że mieli rację. Nie potrafił niczego namalować, ponieważ
nie potrafił określić swojego stosunku emocjonalnego do tematu. Ten problem brał się z nad-
miaru edukacji. Głowę miał pełną poglądów innych ludzi, mądrości z drugiej ręki. Ale to nie
pomagało mu odkryć własnej mądrości.

O wpół do dwunastej nie mógł już tego znieść. Wypił piwo w barze La Coupole, gdzie
spotkał dwóch studentów ze swojej klasy, i razem przenieśli się do La Jungle.

Louis był tam jak zwykle w pracy. Znalazł im stolik, wciśnięty między ubikacją a dużą
zwiędniętą palmą daktylową. Wszystko falowało. Pod zadymionym stożkiem światła zespół
muzyczny w białych smokingach grał jakiś głośny dziki egipski jazz. Klarncista miał na gło-
wie perukę faraona, ludzie tańczyli nie tylko na małym parkiecie, ale także na scenie, między
stolikami i na stołach. Na suficie ich cienie wiły się jak triumfujące diabły w piekle.

Louis przyniósł im dzbanek ponczu i uprzedził, żeby pili powoli, bo spirytus pochodzi z butelki bez etykiety. Siedzieli i obserwowali tłum, a alkohol i trucizna musowały w ich żyłach.

Akordeonista stanął w świetle. Zespół zagrał tango. Alain nie umiał tańczyć tanga, ale pamiętał, że jego siostry brały lekcje tańca, kiedy był mały. Sztywnym krokiem posuwały się do przodu i do tyłu do wtóru gramofonu, po podłodze na tyłach ich willi. Tutaj także kobiety tańczyły razem objęte, policzek przy policzku, kiedy kroki im na to pozwalały, ich piersi dotykały się, ocierały się o siebie. Wtedy właśnie dojrzał młodą Rosjanę.

Tańczyła z blondynką w czerwieni. Blondynka prowadziła, uśmiechając się, gdy obracała partnerkę w ciasnej przestrzeni, noga przesuwiała się za nogą w zmysłowych *sacadas* i *ganchos*, które zawsze wywoływały chichot jego siostr.

Jeden z kolegów szturchnął go, kiedy obserwował tancerki. Sutki blondynki sterczały pod sukienką, podnosząc delikatny jedwab. Rosjanka zamknęła oczy. Miała w uszach kolczyki, a na szyi delikatnie połyskujący naszyjnik.

Alain złapał za rękę przechodzącego Louisa.

- Kto to jest?

- Ta blondynka?

- Nie, ta druga.

Louis spojrzał na parkiet przez zmrużone oczy. Muzyka zamilkła i pary rozdzieliły się przy wtórze powierzchownych oklasków.

- Ach ta. To malarka. Wystawiała w Bernheim-Jeune w maju. Widziałem ją tutaj z Foujita.

- Z Foujita?

- Ma na imię Zoia. Zoia jakaś tam.

Blondynka pociągnęła ją za sobą, otaczając ramieniem. Louis się uśmiechnął.

- Fatalnie, co?

Alain palił papierosa i obserwował ją przez salę. Plusem siedzenia za palmą daktylową było to, że mógł na nią patrzeć, samemu nie będąc widzianym. I tak też robił. Przyglądał się rosyjskiej malarce, dopóki godzinę później ona i jej przyjaciółka nie wstały i nie minęły jego stolika w drodze do wyjścia. Zamierzał za nimi pójść, ale one wsiadły do taksówki i zniknęły na Boulevard Raspail.

Zwodził swoich rodziców, powiedział im, że studia idą mu znakomicie i że planuje wystawę. Oznajmił, że można na tym zarobić prawdziwe pieniądze. W odpowiedzi ojciec obciął

mu finanse. W dzień Alain uczył się i chadzał do prywatnych galerii, zwłaszcza kiedy pokazywano coś Pascina albo Foujity. Wieczorami odwiedzał znowu sławne kawiarnie, pomimo turystów, których i tak było mniej, bo lato dobiegło końca, a krach na Wall Street ściągnął Amerykanów do domu. Siedział tam przez czterdzieści minut nad *café crème* i rysował, byle tylko kelnerzy go nie nagabywali. Potem przenosił się do La Jungle, żeby dowiedzieć się od Louisa, czy Zoia się pojawiła, i zawsze słyszał negatywną odpowiedź.

- Może wyjechała z Paryża - powiedział pewnego dnia. - Poszukaj jej, dobrze?

Louis upierał się, że nie wyjechała. Miała pracownię gdzieś na rue Faubourg St. Honoré, na prawym brzegu. Ale to była długa ulica, i chociaż Alain spacerował nią w tę i z powrotem wiele razy, nigdy nie ujrzał jej choćby przelotnie.

Louis twierdził, że brała lekcje u Foujity i że to on nauczył ją pewnych technik z użyciem srebra i złota, których nie znał nikt oprócz niego.

Zebrał fakty, po kolei. Zoia studiowała przez pięć lat z przerwami w Académie de la Grande Chaumière, w sercu Montparnasse'u. Miała w Szwecji męża komunistę, ale utrzymywała przyjazne stosunki z niektórymi członkami szwedzkiej rodziny królewskiej, zwłaszcza następcą tronu, księciem Eugeniuszem, który był obecny na jej wystawie w Bernheim-Jeune i kupił kilka jej prac. Louis słyszał plotki, że sypiała z Tsuguharu Foujita - niektórzy mówili, że za plecami jego żony, inni, że to *ménage à trois*. Na Montparnassie wszystko było możliwe.

Tradycyjnie rosyjscy artyści spotykali się w La Coupole. Alain chodził tam, rozmawiał z ludźmi, ale niewiele się dowiedział. Było jasne, że Zoia nie obraca się w kołach rosyjskiej emigracji. Albo była zbyt wielką snobką, albo bała się z jakiegoś powodu. Pewien mężczyzna, z którym rozmawiał, sztywny, wyniosły arystokrata, który siedział z boku, palił i niewiele się odzywał, ośmielił się zauważyć, że Alain powinien trzymać się od niej z daleka, jeśli wie, co dla niego dobre. Nie wyjaśnił jednak dlaczego.

Louis uważał, że Alain robi głupio, upatrując sobie tę właśnie kobietę. Nawet jeśli nie była lesbijką, z pewnością nie będzie traciła czasu na studenta, kiedy przestawała z takimi ludźmi jak Foujita. Alain wiedział, że Louis zapewne ma rację - gdyby nie to, jak na niego patrzyła tamtego wieczoru w teatrze. Patrzyła na niego, wysysając krew z palca. A on był przekonany, że wówczas go pragnęła.

Pewnego poniedziałkowego wieczoru w listopadzie wracał właśnie z wystawy na prawym brzegu. Lało jak z cebra. Schował się w kawiarni po drugiej stronie Madeleine. Nie było to przytulne miejsce. Ciężkie żelazne stoły z marmurowymi blatami. Lampy umieszczone wy-

soko na pobielonych ścianach rzucały ziemiste światło. Największy ruch panował tam w porze lunchu, o tej godzinie było już prawie pusto.

Zoia siedziała w odległym kącie nad parującą filiżanką herbaty i pustym kieliszkiem. Pracowała nad czymś. Alain wkrótce zrozumiał, że nie rysowała, ale pisała. Pisała, nie przerywając, nie odrywając oczu od papieru. Alain zamówił brandy i usiadł, obserwował ją, od czasu do czasu udawał, że czyta broszurkę z galerii.

Nie mógł jej pozwolić zniknąć po raz trzeci. Potrzebny mu był jakiś plan, jakiś pretekst, żeby się przedstawić, który nie byłby zbyt niezręczny.

Dokończył brandy i zamówił kolejny kieliszek. W końcu wpadł mu do głowy pewien pomysł. Znajdowali się niedaleko galerii Bernheim-Jeune. Mógł udać, że widział ją tam podczas wystawy, i interesują go koszty i prowizje. Podejdzie do niej jak artysta do artystki i zapyta ją o to, a równocześnie skomplementuje jej twórczość, której tak naprawdę nie znał.

Wychylił drugą brandy i poprosił o rachunek. Dał kelnerowi pieniądze, po czym sięgnął po swój płaszcz i wstał, powtarzając w myśli przygotowane kwestie. *Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, chciałem tylko powiedzieć, że ogromnie podziwiam pani prace.*

Ale Zoia zniknęła.

Rozejrzał się dokoła i dojrzał ją w drzwiach, w kapeluszu naciągniętym na oczy, owiniętą futrzanym kołnierzem.

W następnej chwili był już na ulicy. Woda spływała rynnami, zasłony kropli skapywały z dachów i markiz. Zoia szła szybkim krokiem. Gwałtownie odchyliła się, żeby nie zderzyć się z dwoma rowerzystami, i skręciła za róg.

Alain podążał w ślad za nią, trzymając się na dystans. Nie mógł nagabywać jej na ulicy, ale miał nadzieję, że dowie się, gdzie mieszka. Gdyby to wiedział, mógłby niby przypadkiem wpaść na nią kiedyś. Mógłby to zaaranżować, gdyby geografia tego miejsca mu sprzyjała.

Kierowali się na zachód, w stronę Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, minęli budynki mieszkalne z okazałymi fasadami, a potem skręcili na południe wąską ulicą małych sklepików. Co kilka metrów tracił ją z oczu, kiedy znikwała za rogiem albo gdy przechodził pod latarnią uliczną, która go oślepiła. Przyspieszał kroku, znowu ją dostrzegł i zwalniał. Szła wciąż szybko, z determinacją, i nigdy nie oglądała się za siebie.

Wkrótce znaleźli się na rue Faubourg St. Honoré. Było to dziwne miejsce na pracownię, zimniejsze i wytworniejsze niż Montparnasse czy Montmartre. Ten wybór sugerował wynio-

słość, potrzebę bycia osobno. Do tej pory nie zwrócił na to uwagi. Może plotki na temat tajemniczych technik Foujity były prawdą i Zoia w ten sposób zachowywała je w sekrecie.

Przy kościele St. Philippe du Roule skręciła w prawo i nagle się rozplynęła. Alain przystanął na rogu, patrząc przez zmrużone oczy w dół ulicy, nasłuchując jej kroków. Ale nie słyszał nic poza hałasem metra pod stopami.

- Cholera.

Na końcu ulicy pojawiła się za to taksówka, i to wolna. Podniósł wzrok na budynek na rogu. Biura. Ciemne okna, żadnych zasłon. Po prostu się ulotniła, jakby śledził ducha.

Dzwony kościelne wybiły pół godziny. Podniósł kołnierz i zawrócił.

Stała w cieniu drzwi wejściowych i patrzyła na niego.

- Czy ma pan zwyczaj chodzić za kobietami? Czy może tylko mnie traktuje pan w ten osobliwy sposób?

Ledwie widział jej wargi i kosmyk włosów na policzku.

Zapaliła papierosa, nie spuszczając z niego wzroku. W świetle płomienia zapalki jej oczy ciemne jak szlachetne kamienie wydawały się niezgłębione, niezziemskie.

- Myślałam, że podejdzie pan do mnie w kawiarni. Ale bardziej interesowała pana brandy.

- Zamierzałem podejść, po prostu zajęło mi to chwilę...

- Żeby zdobyć się na odwagę? Czy bał się pan, że zrobi z siebie głupca?

Końcówka papierosa zasyczała cicho, kiedy Zoia się zaciągnęła.

- Jedno i drugie.

- Cóż, teraz dopiero ma pan głupią minę, co?

Było w niej coś z dziecka, pomimo całego jej wyrafinowania. Niewinność uwięziona przez trudne doświadczenie. Mieszanka była niestabilna i trująca.

- Tak, chyba tak.

Wyszła z cienia bramy, odwracając lekceważąco ciemne oczy.

- No to szczęście, że jest pan przystojny. To pewna niewielka rekompensata.

Po czym minęła go, ruszając dalej rue Faubourg. Dopiero po kilku sekundach Alain pojął, że ma iść za nią.

Pracownia zajmowała dwa pokoje na poddaszu na rogu rue Cézanne. Sypialnia miała trzy na sześć metrów i spadzisty oszklony sufit, przez który widać było zbiornik wodny. Zamiast łóżka na podłodze leżał materac przykryty pledem, a na nim poduszki. Zoia powiedziała, że czasami tam sypia, kiedy jest zbyt zmęczona, by wracać do hotelu. Obok umywalki stała butelka wódki i druga mętnej lemoniady, a w rogu wazon z makami, które, jak się okazało, były z jedwabiu.

Ulewa toczyła się przez miasto. Alain słyszał, jak zbliża się, waląc w dachy. Uderzała o szyby przez minutę czy dwie, po czym znowu gdzieś odchodziła. Mały żelazny piecyk znajdował się w drugim pomieszczeniu. Płomienie tańczyły za kratą.

Nie odzywała się wiele. Wydawało się, że wie na jego temat wszystko, co ją interesowało. Był pewien, że zadawała pytania tylko dla zachowania pozorów. Gdzie studiuje? Co myśli o tamtejszym sposobie nauczania? Których artystów podziwia?

Odpowiadał nerwowo, bez zastanowienia.

Bardzo lubi Jules'a Pascina i Chaima Soutine'a. Powiedział, że lubi ich za szczerość.

- Przypuszczam, że chcesz malować akty.

Nalała mu drinka, mieszając wódkę z lemoniadą. Kiedy minęło zakłopotanie, jej otwartość była ekscytująca. Jak artysta z artystą.

- Tak, jeśli będę miał piękne modelki. Zaśmiała się, zrzucając płaszcz.

- W takim razie nie maluj mnie.

- Dlaczego nie?

- Bo ja jestem zbyt mała i pulchna.

- Nie jest pani pulchna.

- Modelka powinna być wysoka, wtedy jej ciało jest proporcjonalne. - Przeszła obok niego, żeby powiesić płaszcz na drzwiach. Pod spodem miała wzorzystą suknię w małe kwiatki na czarnym tle.

- A jeśli już nie wysoka, to gibka, jak Paquita.

- Paquita?

- Jedna z dziewcząt Pascina. Prawie bez piersi. Ciało młodzieńca. *Une gamine*.

- Zna pani Jules'a Pascina? Jaki on jest? Przyniosła szklanki.

- Starszy, niż chciałby być. I smutniejszy. Zdrowie. Stuknęła się z nim.

- A Foujita?

Gadał jak turysta, ale czuł, że w każdej chwili Zoia może się nim znudzić, jak mówił Louis, i wyrzucić go w noc. Westchnęła i usiadła na materacu, podwijając nogi.

- Co jeszcze chcesz wiedzieć?

- Czy on... No nie wiem, czy on też jest smutny? Roześmiała się.

- Jeśli on jest smutny, Boże, dopomóż całej reszcie. - Podniosła kieliszek do ust. - Będziesz tak stał całą noc w płaszczu? Podejdź tu.

Wzięła od niego kieliszek, a on mozolił się z paskiem i guzikami. Ręce mu się trzęsły.

- Szkoda, że mężczyźni nie pozują. - Przekrzywiła głowę, obejmując go wzrokiem. - Szkoda, że już nie maluje się mężczyzn. To znaczy, tak jak kobiety.

- Bez ubrania?

Przyklęknął, odebrał kieliszek z wódką z jej rąk i wypił.

- Na Montparnassie malarze interesują się wyłącznie kobietami. Kobietami i seksem. To ich uszczęśliwia. Dla nich ciało mężczyzny nie jest zbyt zajmującym tematem.

Spojrzała na niego, ich twarze były blisko siebie. Czuł stęchły i słodki zapach jej włosów, widział wilgotne błyszczące wargi.

- Tutaj liczy się tylko przyjemność. Wszystko kręci się wokół tego. - Wyciągnęła rękę i włożyła palce w jego gęste włosy. - Ale chyba już to wiesz, prawda?

Nie wiedział, ile czasu minęło do chwili, kiedy wstała, żeby rozpiąć suknię: pięć minut albo dziesięć. Obcość tego wszystkiego zatarła poczucie czasu. To był jej świat, a on znalazł się w jej mocy. Nawet jeżeli jego pożądanie należało wciąż do niego, ona znała je bardzo dobrze - może lepiej niż on sam znała jego naturę i wiedziała, jak najlepiej je zaspokoić.

Nawet jej pocałunki były jakieś inne. Prowokowała go i drażniła się z nim, poznając centymetr po centymetrze, rysując wargami i palcami kółka na jego ciele. Kiedy gryzła go delikatnie, czuł, jak przeszywa go dreszcz.

W Tunisie arabskie dziewczęta były zupełnie niedostępne, a te z rodzin żydowskich, które jego rodzina niezdarnie popychała ku niemu, były zbyt chronione i przyzwoite, żeby można się z nimi zabawić. Całował się z paroma Francuzkami, ale były to kradzione pocałunki, kiedy nikt nie patrzył. W większości wypadków pozwalały się tylko całować, pod wpływem alkoholu i księżyca. W minionym roku w Paryżu dwa razy był z prostytutkami, które z kolei w ogóle nie całowały. No i była jeszcze Joyce, ta wysoka Amerykanka ze szkoły. Jej rodzice pracowali w teatrze, a ona, choć przeciętnej urody, zdobycie kochanka uważała za istotną część swojej euro-

pejskiej edukacji. Kiedy jednak znaleźli się sami w jego pokoju, stała się dziwnie pasywna i milcząca, pozwoliła, by ją rozebrał, ale nie brała w tym udziału ani w niczym, do czego doszło później. Tak więc w końcu odnosił wrażenie, że kocha się z kobietą pogrążoną w śpiączce. Sam widok jej nóg wiszących jak miękkie nogi kukły na brzegu łóżka sprawiał, że czuł się jak drapiezca i był nieco zniesmaczony. Nie poprawiła mu nastroju, przytulając się do niego, gdy potem wybrali się na drinka, jej głowa leżała na jego ramieniu pod takim kątem, że nie mogło jej być wygodnie.

Pocałunki Zoi były namiętne, dociekliwe. To było dla niego odkrycie, że stał się przedmiotem tak zmysłowego apetytu. Jak powiedziała, wszystko kręci się wokół przyjemności, a ta świadomość, że nie ma to innego celu, sprawiła, że pragnął jej jeszcze bardziej. Każdy kolejny guzik jej sukni rozpalał mu zmysły. Każde ramiączko było ramą dla jej gładkiego, bladego ciała. Rozbierając się, patrzyła na niego, zadowolona, że poświęca jej całą swoją uwagę. Zaśmiała się, rolując pończochy i odkrywając zgrabne delikatne nogi. Potem się odwróciła, żeby zdjąć halkę, a następnie stanęła znów przodem do niego, zakrywając piersi z oczekującym niecierpliwym wyrazem twarzy.

Alain przełknął. Bardzo mu się podobało to przedstawienie. Zupełnie inaczej niż w burdelu, gdzie cała przyjemność należy się klientowi. To było jak wspólny sekret, coś wyjątkowego i rzadkiego.

- Nie tak - powiedział. - Połóż ręce na biodrach. I odchyl nieco głowę.

Z uśmiechem spełniła jego prośbę, wysunęła biodro tak, jak robiła to Kiki, pozując Manowi Rayowi, patrząc mu przy tym prosto w oczy, jakby patrzyła w obiektyw.

Jej piersi były pełne i szeroko rozstawione, z ciemnymi sterczącymi sutkami. Pogłaskał je delikatnie czubkiem palca, potem kazał jej się odwrócić najpierw w jedną, a później w drugą stronę, żeby lampa rzucała cienie na sylwetkę.

- Chcę cię rysować. Chcę cię malować. Mówił to z powagą.

- Nie maluj mnie - szepnęła, biorąc go za ręce i przyciskając jego dłoń do ust. - Nie przyprowadziłam cię tutaj, żebyś mnie malował.

O drugiej obudziły go dzwony. Zoia leżała plecami do niego, skulona, z jedną ręką położoną na ścianie. Podparł się na łokciu, żeby sprawdzić, czy śpi, a następnie podniósł się z materaca. Obok lampy leżała książka, tanie wydanie w miękkiej oprawie wierszy Baudelaire'a, tak małe, że mieściło się na jego dłoni. Obłożyła je różowym papierem. Kartkując tomik, trafił na podkreślony fragment *Le Guignon L'Art est long et le Temps est Court*.

Znał ten aforyzm. Znajdował się na ścianie sali lekcyjnej w Lycée Carnot w Tunisie. Ale wniosek, jaki z niego wynikał, nie przypadł mu do gustu: życie artysty jest być może krótkie, ale jego dzieło pozostaje na zawsze, jest trwałym testamentem, którego nie można naprawić ani udoskonalić. To z pewnością dlatego tak wielu artystów chce zniszczyć swoje prace przed śmiercią. Lepiej odejść w niepamięć niż zostać zapamiętanym z powodu niedobrych drugorzędnych prac. Artysta jest więźniem potomności. Ale, jak powiedział mistrz, może taki jest sens sztuki, samo źródło jej siły.

Włożył koszulę i spodnie i podszedł do umywalki. Spryskał twarz wodą, a potem wypił kilka łyków lemoniady. Zrobiło się zimno. W piecu w drugim pokoju dogasał żar. Więc to tam Zoia pracowała, tam stosowała tajemne techniki Foujity, jeśli pogłoski były prawdziwe. Stał przez chwilę zasłuchany w ciszę, a potem poszedł dalej.

W drugim pokoju także był przeszklony mansardowy sufit. Jasne światło księżyca wpadało ukosem i kładło się na sztalugi i róg obrazu. Dojrzał ciemne kręte linie, jakby kontury czegoś, co mogło być twarzą. Wyglądało to na wstępny szkic, surowy, wykonany węglem albo rozcieńczoną farbą olejną.

Twarz, jeśli to była twarz, sprawiała wrażenie śpiącej, skulonej w ciemności jak Zoia przed chwilą. Zadrzał z zimna.

Jej materiały do pracy leżały na stole przy ścianie: tuby farby olejnej, pędzle, terpentyna, należące do wyposażenia malarza. Były tam słoiki pełne ołówków, węgiel do rysowania i jakiś dziwny nóż z małym białym ostrzem przypominającym kiel. A także torebki białego proszku, który połyskiwał lekko na jego palcach.

Stół miał szuflady. Otworzył je ostrożnie i zobaczywszy coś błyszczącego, zdał sobie sprawę, że to metal: książeczka z listkami złota ułożonymi w kwadraty siedem i pół na siedem i pół centymetra oddzielone od siebie papierem. W świetle księżyca złoto nabierało zielonkawego odcienia.

Strzeliły iskry w piecyku. Zamknął szuflady i rozejrzał się w poszukiwaniu jakiejś podpalki. Znalazł wiadro węgla, a obok zmięte papiery.

Zabrał się do pracy: nałożył do pieca i dmuchał na żarzące się węgle, aż mu się zakręciło w głowie. W końcu papier się zajął. W blasku płomieni dojrzał, że płoną również jakieś szkice.

Sięgnął do pieca i wyjął dwa z nich, wygładził je i zbliżył do mrugającego światła. Był ciekaw, dlaczego Zoia je zniszczyła.

Rysunki były dziwne. Na pierwszym grupa postaci zebrana w półkolu, zamaskowane twarze patrzące pod nogi. Formy pokręcone, zniekształcone, ale ludzkie. Drugi rysunek przedstawiał detal: usta otwarte do krzyku. Pospiesznie wyjął trzecią kartkę, parząc sobie przy okazji palce, i przydepnął rozżarzony węgielek, który wypadł na podłogę. Na rysunku zobaczył zbliżenie, częściowo zagubione w wirującej ciemności, podpuchniętych zamkniętych oczu osoby śpiącej albo martwej, z kredowo białymi cieniami pod oczami.

Co to miało być? Szkice do obrazu, który porzuciła? Szkice z galerii, zainspirowane pracami innego artysty - może Goi albo Edwarda Muncha? Przywodziły mu na myśl ludzkie ofiary, jakieś ponure religijne rytuały.

Ale to miało sens. To były wizje prymitywnej przeszłości, stworzone w ten sam sposób, w jaki Strawiński stworzył *Święto wiosny*. Alain pokiwał głową, zadowolony ze swoich zdolności analitycznych. To był akt *hommage* wyznawców rosyjskiego ruchu artystycznego, poszukiwanie nowej techniki, nic więcej.

W krzyczących ustach było jednak coś przerażającego.

Nagle usłyszał za sobą kroki i odwrócił się. Zoia stała w drzwiach.

Wrzucił kartki do ognia.

- Przepraszam, że cię obudziłem. Zrobiło mi się zimno.

Podeszła i stanęła obok niego, kładąc mu rękę na ramieniu. Miała na sobie jedwabny szlafrok, związany w talii. W ciemności, z potarganymi włosami, wyglądała młodziej. Potrafił wyobrazić ją sobie jako dziecko.

Stała tak bez słowa, patrząc na szkice ginące w ogniu.

- Co to było?

- Sny - powiedziała. - Moje sny.

Dziesięć dni później wyjechała z Paryża. Alain widział się z nią przed wyjazdem, ale krótko i na jego prośbę. To zawsze ona kończyła spotkania, utrzymując, że ma jakąś ważną wizytę, której absolutnie nie może opuścić. Mówiła mu, że ludzie patrzą, i że muszą uważać. Ale przez to wszystko pragnął jej jeszcze bardziej.

W pożegnalny wieczór siedzieli w kawiarni naprzeciw Madeleine, pijąc Irish coffee. Pytał ją, dlaczego wyjeżdża. Jak dotąd unikała tego tematu. Odparła, że to pomysł jej męża. Pragnął, żeby wykorzystwała swój ostatni sukces i urządziła wystawę w Sztokholmie. Oznajmiła mężowi, że nie jest gotowa, ale on to zignorował. Zbierał już dla niej zamówienia na portrety

wśród ustosunkowanych osób, dość, żeby miała zajęcie na kilka miesięcy. Musiała zatem jechać. To była także kwestia pieniędzy.

- Przecież to ważny polityk. Na pewno ma mnóstwo pieniędzy.

Potrząsnęła głową. W Szwedzkiej Partii Komunistycznej nastąpił rozłam na skutek różnego podejścia do kwestii posłuszeństwa Moskwie. Karl prowadził frakcję antymoskiewską - powiedziała, ponieważ był zdegradowany dyktaturą Stalina. A więc nie dostawał już stamtąd finansowego wsparcia. Planował wydawanie gazety, zainwestował nawet sporo, ale ponieważ sytuacja ekonomiczna była kiepska, nie mógł znaleźć współników. Prowadził już rozmowy na temat pożyczki hipotecznej.

Alain sięgnął przez stół i ujął jej dłoń.

- Kiedy wrócisz? Mam do ciebie tyle pytań. To niesprawiedliwe. Nie spotkałem dotąd takiej kobiety jak ty, a ty już wyjeżdżasz.

Spojrzała z uśmiechem, cieplejszym niż kiedykolwiek.

- Przypominasz mi kogoś.

- Kogo?

Zapaliła papierosa, trzymając go dwoma palcami, tak jak robią tylko kobiety.

- Przyjaciela. Nieważne.

- Powiedz mi.

- Miał na imię Andriej. Poznaliśmy się w szkole w Moskwie. Nie widziałam go od lat.

- Jestem do niego podobny?

- Trochę. Zawsze chciał wszystko zrozumieć, wiedzieć, jak to działa. - Jej uśmiech zgasł.

- Żeby mógł to zmienić, jak przypuszczam, ulepszyć. Nas ulepszyć. - Podniosła wzrok. - Jest bardzo inteligentny.

- Nienawidzę go. Zaśmiała się.

- On też by tak o tobie powiedział. Jestem pewna. Jesteś przystojniejszy. Byłby wściekły z tego powodu.

Alain przysunął się do niej.

- A twój mąż? Czy od niego też jestem przystojniejszy?

- To co innego. To mój mąż.

- To znaczy twój właściciel, jesteś jego własnością i do końca życia się nie uwolnisz.

Na chwilę znieruchomiała. Wiedział, że nie powinien był tego mówić, jeszcze zanim odsunęła się od niego.

- Posłuchaj. - Spróbował zmienić temat. - Chodźmy do twojej pracowni. Pokażesz mi, nad czym pracujesz. Bardzo chcę to zobaczyć.

Pokręciła głową.

- Nie ma na co patrzeć.

- Nieprawda. Pracujesz nad czymś, widziałem. Powiedz mi o złocie.

Spojrzała mu w oczy. Zastanawiał się, czy będzie zła, ale jej rysy zmiękły.

- Jest piękne, to wszystko. Jest...

- Jakie?

- Wieczne. Idealne. - Wzruszyła ramionami. - Ale nie wiem, jak je wykorzystać. Jeszcze nie znalazłam sposobu.

- Myślałem, że Foujita wszystko ci pokazał.

- Nauczył mnie bardzo dużo. Ale nie dość.

- Nie rozumiem. Coś przed tobą ukrył?

- Nie. - Zaczęła zapinać płaszcz. - Foujita był dobry i cierpliwy. Ale nawet on nie może sprawić, żeby coś, co nie jest prawdą, stało się prawdą. Tak mi powiedział, i miał rację.

Kilka chwil później wyszli z kawiarni. Zoia musiała być gdzieś za dwadzieścia minut. To było pożegnanie.

- Przyjedź do Tunisu - błagał Alain. - Proszę. Musisz przyjechać. - Nie był w stanie ukryć paniki.

Kiedy podjechała taksówka, Zoia podniosła rękę do jego twarzy i pocałowała go w usta. Obejrzała się jeszcze, odjeżdżając.

... Siedzę tu jakiś czas ze szkicownikiem, wypilem dużo. Powinienem już iść, ale przypominam sobie, jak byliśmy tutaj razem, Ty siedziałaś nad swoim pisaniem - tam gdzie dzisiaj siedzi inna kobieta - a potem wstaliśmy bez słowa i wyszliśmy, wyszliśmy, żeby się kochać. Nie mogę przestać o tym myśleć...

Przed chwilą kilku przyjaciół mnie tu wypatrzyło. Chcą, żebym sportretował kobietę, która im towarzyszy. Chcą zrobić na niej wrażenie, jak przypuszczam. Chcą entrée. A ja nie mam na to ochoty, ale powiedziałem im, że się zgadzam. Teraz czekają. Widziałem mnóstwo kobiet. Wiem, czego chcą i czego oczekują. Nietrudno to odgadnąć. Potrafią być bardzo słodkie. Ale ja nie mogę zapomnieć o nas, o tym, co się między nami zaczęło i nigdy nie skończyło. To. miejsce, gdzie siedzieliśmy naprzeciw siebie, nasze rozmowy bez słów, w pracowni... nie potrafię myśleć

o niczym innym. To zbyt poruszające, zbyt bolesne. Muszę kończyć. Czekają na mnie. Dziewczyna czeka

32

Ojciec powiedział, że jeśli nie interesuje go prawo, w Lycée Carnot zwolnił się etat młodszego nauczyciela. Był w dobrych stosunkach z panem Auclerkiem, dyrektorem nauczania podstawowego. Alain mógłby pracować w szkole przez rok, czy coś koło tego, a w tym czasie zastanowić się, co chce zrobić ze swoim życiem. Alain nie miał wyboru, musiał się podporządkować. Przynajmniej będzie miał długie wakacje. Wtedy mógłby wrócić do Paryża i spotkać się znów z Zoią. A kiedy będzie gotowy, ona przedstawi go marszandom i krytykom, którzy mogą nadać rozgłos takiemu młodemu malarzowi jak on.

Zaczęli regularnie wymieniać listy. On pisał jej, że powinna przyjechać do Tunisu, dla tamtejszego światła, spokoju i pustyni. Przypomniawszy jej o Delacroix i jego *Kobietach z Algieru*, i jak wielką inspiracją stał się ów obraz dla Matisse'a i Picassa. Donosił jej o kolonii artystów w Hammamet, gdzie pracowali Paul Klee, August Macke i Louis Moilliet. Ona odpowiadała, że przyjedzie, jak tylko będzie mogła. Że śnił jej się Alain stojący na dzikiej pustyni, a za jego plecami ruiny Kartaginy. Śnił jej się pędzący na białym rumaku.

Ten sen nie był jedyną dziwną rzeczą w tym liście. Pismo było nierówne, litery raz proste i wyraźne, to znów pochylone, ściśnięte, prawie nieczytelne. Często zmieniał się to w środku zdania.

Prosiła go, żeby przysłał jej swoje zdjęcie, żeby jej przypomniawszy, jak napisała, jaki jest piękny. Postanowił wysłać jej zdjęcie i szkic, swój autoportret rysowany przed lustrem. Ale kiedy dowiedziały się o tym jego siostry, powiedziały, że wygląda na tym rysunku jak mól książkowy i maminsynek, więc ostatecznie wysłał tylko zdjęcie.

Chciał napisać, że ją kocha, ale na papierze zawsze wychodziło to jakoś kiepsko i prosząco. Doszedł do wniosku, że prawdopodobnie tylko by ją zraził. Miłość to takie mało wyrafowane uczucie, i tak pospolite w kontekście Paryża. W tym mieście koniecznie trzeba zwiedzić Luwr, wejść na wieżę Eiffla, posiedzieć w ulicznych kawiarniach i zakochać się. Każdy może to zrobić, i robią tak tysiące. Ale nie każdy może otworzyć świat dotknięciem pędzla.

Kiedy wrócił, Montparnasse wydał mu się innym miejscem. Wszyscy się stąd wynieśli. Przyjechawszy na dworzec, Alain szukał aktualnego wydania „Paris-Montparnasse” i dowie-

dział się, że magazyn przestał wychodzić. Brocé, wydawcę zakochanego w Kiki, zazdrość doprowadziła do szaleństwa. Nie było już balów kostiumowych ani kabaretów, założonych przez sławnych artystów. Większość znanych postaci zniknęła. Wielki kolekcjoner Jacques Doucet zmarł. Jules Pascin powiesił się na krawacie na klamce. Foujita uciekł do Japonii, bo ścigał go urząd podatkowy. Inni malarze przenieśli się na wieś albo na przedmieścia. W barach i kafejkach wysiadali tylko turyści, a i tych było mniej niż kiedyś.

Louis nadal tam był. Pracował w kuchni w Hôtel des Écoles. Znalazł nawet marszanda, ale jeszcze niczego nie sprzedał. Praca zabiera mu całą energię, powiedział. Nie stać go było na wynajęcie pracowni, a w małym wynajętym pokoiku trudno było się skupić z powodu hałaśliwych sąsiadów. Alain poradził mu, żeby pojechał do Tunisu, ponieważ tam można przeżyć za grosze. Powiedział też, że Zoia obiecała tam przyjechać, na co Louis zrobił pełną niedowierzania minę.

Alain wrócił na Académie Paul Ranson. Napisał do Zoi, że na nią czeka. Po długim milczeniu odpisała, wciąż serdecznie, ale jakaś nieszczęśliwa i zdenerwowana. Twierdziła, że jej życie w Szwecji skomplikowało się. Nie wiedziała, kiedy uda jej się przyjechać do Paryża. Przyszłość doprowadzała ją do szaleństwa, jeśli już nie oszalała. Lepiej będzie, jeśli Alain o niej zapomni.

Alain potrafił czytać między wierszami. Zoia także wyniosła się z Paryża. Na Montparnassie nie było już artystów. Wyprowadzili się stąd, emigrowali. Co nie znaczy, że przestali istnieć. Nadal istniała sieć powiązań, z własnym językiem i dysputą. Tyle że teraz była bardziej ekskluzywna i mniej przystępna niż dawniej.

Napisał, że nie może jej zapomnieć, że jeśli jej życie się skomplikowało, powinna pamiętać o tym, co jest ważne, i na tym się skupić. Napisał, że są sobie przeznaczeni. Jeśli na tym się skoncentruje, zapomni o całej reszcie. To były ryzykowne stwierdzenia, równie dobre jak deklaracja miłości, chociaż udało mu się uniknąć tego słowa. Ale ryzyko było niezbędne. Wysłał ten list na Boulevard Montparnasse, myśląc, że najprawdopodobniej nigdy więcej od niej nic nie dostanie.

Przyjechała do Tunisu w listopadzie, niemal rok po ich pierwszym spotkaniu. Alain popieszył do miasta, w lnianym garniturze i nowej panamie. Było gorące parne popołudnie, z lekką bryzą od strony pustyni, słońce poczerwieniało za welonem pyłu. Kupił jej granaty i lilie o białych kremowych płatkach.

Przystanął na rogu Avenue Jules-Ferry i wyjąwszy butelkę wody kolońskiej z kieszeni, spryskał sobie szyję. Nie odważył się zrobić tego w domu. Zoia była mężatką - mężatką i rozwódką. Już sam fakt, że się tak wystroił, wzbudzał podejrzenia. Miał gotowe kłamstwa na wypadek, gdyby ktoś spytał go, dokąd się wybiera, ale kłamstwa można odkryć, nawet jeśli wypowie się je gładko.

Jego matka potwornie bała się skandalu. Uważała, że najmniejszy cień skandalu rzuci zły urok na jego siostry, które pozostaną starymi pannami. Ojciec był mniej przewidywalny. Prawdopodobnie wyrzuciłby go z domu albo zesłał na jakąś mało ważną posadę biurową w głębi kraju, gdzie umierałby powoli z nudy i alkoholu. Nie miałby innej alternatywy, gdyż z liceum wyrzucono by go bezzwłocznie. Czuł serce w gardle, kiedy przechodził przez ulicę i wspinał się szybkim krokiem po schodach Hôtel Grand Saint-Georges.

Znalazł ją na balkonie. Z pokoju roztaczał się widok na Quartier Lafayette, na wschód w stronę morza. Na obrzeżach miasta odezwały się wezwania do modlitwy, słabe echo głosów ledwie słyszalne ponad uliczną wrzawą i klaksonami.

Zmieniła się. Miała teraz krótkie włosy, zapewne zgodnie z modą, ale brakowało mu drobnych loków na czole czy skroni, które nadawały jej pewną miękkość. Z początku pomyślał, że była chora, że ogolili jej głowę w jakimś szpitalu dla higieny. Straciła też na wadze. Jej kości policzkowe odznaczały się wyraźniej.

Podbiegła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję. Nigdy dawniej tego nie robiła.

- Nie byłam pewna, czy przyjdiesz - powiedziała.

Znał jej zapach, przynajmniej to się nie zmieniło. Przytulił policzek do jej szyi i spijał tę woń, która dla niego na zawsze pozostanie zapachem sekretnych przyjemności.

- O czym ty mówisz? Cały rok na ciebie czekałem.

Uśmiechnęła się, odsuwając go na odległość ramienia. Przez minutę czy dwie rozmawiali o niczym, o podróży, Paryżu, o miejscach, które powinna zobaczyć w Tunisie. Włożyła lilie do czerwonego wazonu i pomogła mu zdjąć marynarkę. Niespokojny i zmęczony upałem, zaczął się pocić. Koszula kleiła mu się do piersi i pleców. Ale w hotelu poczuł się bezpieczniej i pocił się już mniej.

Znowu objęła go ramionami, przytulając policzek do jego pleców. Przez moment zobaczył ją śpiącą w pracowni, z palcami rozpostartymi na ścianie, jakby próbowała uciec w jakieś wyobrażone miejsce.

Była bardzo spokojna.

- O co chodzi? Co się stało? Zaśmiała się, ale słabo.
- Nic takiego. Tak się cieszę, że cię widzę. Cieszę się, że mnie wezwałeś.
- Ja cię wezwałem?
- Tak. Powinnam była przyjechać wcześniej, zamiast tracić czas na...
- Na co? Odwrócił się.
- Na co?

Podeszła do łóżka i usiadła, sięgając po papierosa, ale nie mogła znaleźć zapalniczki. Grzebała w torebce, potem wysypała całą jej zawartość na kapę. Pośród banknotów i kosmetyków dojrzał tekturowe opakowanie luminalu.

- Proszę.

Na toaletce obok paczki papierosów leżały zapalki. Zapaliła i zaciągnęła się nerwowo.

- Powiedziałaś mi już, że nastąpiły pewne komplikacje.
- W Sztokholmie.
- No więc potem było jeszcze gorzej. Wszystko to moja wina. Moja babka zawsze powtarzała, żeby trzymać się z daleka od cudzych mężów. A nawet od własnego.

Ogarnęło go jakieś drzenie. Więc dlatego nie przyjechała do Paryża: z powodu jakiegoś żonatego mężczyzny.

Patrzyła na niego bacznie, usiłując odgadnąć jego reakcję. W jej oczach widniało doświadczenie o wiele bogatsze niż to, które było jego udziałem. Wiedział, że nie ma prawa do zazdrości. Nigdy nie obiecała mu, że będzie wierna. Nigdy niczego mu nie obiecała. Skąd zatem teraz to wyznanie? Co niby miał z nim począć? Zastanawiał się, czy zazdrość, najbardziej prostackie z uczuć, była pułapką, i czy ona czeka, aż on w nią wpadnie.

Wyciągnęła do niego rękę.

- To było szaleństwo, ale już koniec z tym. Chcę o tym zapomnieć.
- Więc po co mi to mówisz? - Starał się, żeby nie zabrzmiało to, jakby się przejmował.

Przyciągnęła go bliżej. Przez chwilę znalazł się z powrotem w jej pracowni, patrzył na nią tak jak tamtej nocy. Tyle że tym razem to on był u siebie, i to ona za nim przyszła.

Kochali się o zmierzchu, a ciemność skradała się i zagarniała ich powoli. Najpierw wydało mu się to jakieś dziwne, że wije się nago na hotelowym łóżku dwa czy trzy kilometry od swoich rodziców, sióstr i kolegów z Lycée Carnot, z ich niezachwianym dobrym wychowaniem. Czuł na przemian wyrzuty sumienia i radość. Miał poczucie winy na myśl, że się dowiedzą, po czym ogarniała go radość, gdyż stwierdzał, że nigdy do tego nie dojdzie, że ich oszukał.

Ale po chwili zapomniał o Tunisie i wszystkich ludziach związanych z tym miastem. Zapomniał, gdzie się znajduje. Kochał się z Zoią tak samo jak rok wcześniej, tylko z większą świadomością przyjemności, i wszystko, co stało między wtedy i teraz, zostało skondensowane do jednej przelotnej myśli. Nawet już później, kiedy leżeli obok siebie, otumanieni i bez tchu, miesiące rozłąki skróciły się w jego myślach, straciły znaczenie, były ledwie przerwą w prawdziwym życiu.

Takie było marzenie Montparnasse'u: żyć dla chwil największej intensywności, znajdować w nich prawdziwą inspirację, i do diabła z całą resztą.

Następnego wieczoru niedaleko od wejścia do hotelu wpadł na starego kolegę swojego ojca. Mężczyzna poznał go i zatrzymał, żeby wymienić kilka uprzejmości. Alain musiał potem minąć hotel i poczekać za rogiem, żeby mężczyzna nie zobaczył go, jak wchodzi do środka.

Powiedział Zoi, że byłoby lepiej, gdyby przeniosła się na wybrzeże. Zarekomendował jej La Marsa, kurort na północy, najbardziej oddalony od Tunisu. Pociągiem dostałby się tam w pół godziny, i nie musieliby się martwić, że ktoś ich zobaczy. Ona miałaby tam spokój do pracy, a morze w La Marsa było najlepsze do kąpieli w całym kraju.

Zoia zameldowała się w hotelu Zephyr, wielkim budynku w stylu kolonialnym ze żłobkowanymi kolumnami i szerokimi schodami, z jaśminem rosnącym gęsto w cieniu i pachnącym nocami. Reszta miasta była mniej imponująca, pudełkowe domy ściśnięte między plażą i półksiężycem niskich piaszczystych wzgórz. Kłocowate palmy daktylowe rosły przy głównej ulicy.

Wizyta Zoi okazała się trudniejsza, niż się spodziewał. Czasami kończył lekcje o wpół do siódmej, a zanim złapał pociąg do La Marsa, minęła już ósma, co dawało mu tylko godzinę do ostatniego pociągu powrotnego. Zwykle starczało czasu na drinka czy dwa, pospieszny seks i nic więcej. Konduktorzy w pociągu zaczęli go rozpoznawać. Uśmiechali się do niego znacząco, sprawdzając bilety, i życzyli mu dobrej nocy. Okłamywał matkę, mówiąc jej, że zjadł obiad w szkole i organizował zajęcia dla uczniów mieszkających w internacie. Była zdziwiona, ponieważ zawsze twierdził, że jedzenie tam jest okropne.

Czasami myślał, że powinni więcej rozmawiać zamiast tylko uprawiać seks. Chciał, by Zoia opowiedziała mu o swoim malarstwie, o Foujicie, o tym, jak zrobić karierę. Rozmawiali co prawda o jego rysunkach, Zoia je chwaliła. Ale jej priorytety były inne. Pragnęła od niego namiętności, nie konwersacji, a dowód jego namiętności znajdowała w łóżku.

Nadal coś przed nim ukrywała, do pewnych rzeczy go nie dopuszczała. Zawsze sądził, że uprawianie seksu z kobietą to pewna droga do odkrycia jej sekretów. Ale z Zoią było inaczej. Ona była zdeterminowana, żeby żyć chwilą, tak mu oznajmiła. Podziwiała hazardzistów, ludzi, którzy ryzykowali wszystko, odwracając kartę, za siłę charakteru. Alain nie był co do tego przekonany. Cały ten hedonizm to ucieczka, narkotyk, jak proszki, które brała na sen. Jeśli takie było jej credo, to po co codziennie chodziła na pocztę sprawdzić, czy są do niej jakieś listy? Dlaczego trzymała w walizce sterty listów po rosyjsku, francusku i szwedzku? Nie ufała mu dość, żeby je pokazać.

Czasami kochał się z nią tak, żeby bolało. Ale ona nigdy nie okazała, że ją boli. Jęczała jednocześnie z rozkoszy i bólu. Czasami zaciskał pięści, żeby nie dać jej w twarz.

Znalazł inne sposoby, żeby ją ukarać. Dwa razy nie przyjechał, zostawił wiadomość w recepcji, że jest zajęty. To się sprawdzało. Następnego wieczoru, kiedy wychodził, w jej oczach lśniły łzy.

Pewnego weekendu oświadczyła, że chce go narysować. Usiadł na progu balkonu, owinięty prześcieradłem. Przyjął zadumaną pozę, podparł brodę pięścią, ale Zoi się to nie spodobało. Posadziła go na skraju kanapy, kazała patrzeć przed siebie, ręce ułożyć po bokach i lekko pochylić głowę.

Za jego plecami wybrzuszały się rozświetlone słońcem zasłony.

- Czy tak pozują w twojej szkole sztuk pięknych? - spytała po chwili. - Z prześcieradłem zakrywającym lędźwia? Jakież to staroświeckie.

- Nie, modele pozują nago.

- Więc dlaczego nie ty?

- Bo nie jestem modelem. Poza tym ktoś mógłby mnie rozpoznać. Rysowała długimi wdzięcznymi ruchami, nie tak szybko i nerwowo jak on. Być może był to wpływ Foujity.

- Chcesz powiedzieć, że nie wstydzisz się malować aktów, ale wstydzisz się pozować nago?

- To trudno wyjaśnić. Ja z tobą, nago. Ludzie by tego nie zrozumieli.

- Ludzie?

- Wiesz, o czym mówię.

Zamilkła, zamieniła ołówek na pióro i tusz. Stalówka skrzypiała na papierze. Zobaczył, że ściągnęła usta zirytowana.

- Szkoda - powiedziała. - To znaczy, że muszę rysować twój penis z pamięci.

- Co? - Alain poderwał się na nogi.

- Siadaj. Stanął przed nią.

- Żartowałam.

Niechętnie wrócił na kanapę. Zoia zapaliła papierosa.

- Chociaż to bardzo ładny penis. Powinien się tu znaleźć moim zdaniem, jest o wiele ciekawszy niż to płótno, nawet jeśli to egipska bawełna - egipska, prawda? Mam taką nadzieję.

Alain przyjął poprzednią pozę. Snop światła padł na dym z papierosa Zoi, zasłaniając jej twarz.

- Myślałem, że to ma być portret - rzekł - a nie akt. Jeśli potrzebny ci model, mogę ci jakiegoś opłacić. Tutejsi chłopcy zrobią wszystko za pieniądze.

- Nie pochwalasz tego.

- To zależy.

- Mogę ci zapłacić, jeśli poczujesz się lepiej.

- Nie żartuj sobie. Rysując, ściągnęła wargi.

- Podoba mi się ten pomysł. Wtedy i ty będziesz dziwką, prawda, nie tylko ja?

Ciągnęła tak dalej, dokuczając mu i narzekając, póki praca tak jej nie pochłonęła, że zamilkła, skupiona w pełni na swoim zajęciu. Alain przyglądał się jej, zaczynał jej zazdrościć tej głębokiej koncentracji, tej zdolności bycia gdzie indziej niż w miejscu, gdzie znajdowała się fizycznie. On nigdy nie potrafił wejść na życzenie do tego alternatywnego świata. Dla niego sztuka była świadomym wysiłkiem, przemyślanym wykorzystaniem stylów i form. Tylko przełotnie doświadczył zawieszenia rzeczywistości, której ponoć doświadcza artysta, kiedy staje się jednością ze swoją sztuką.

To tam Zoia znikwała nocami, gdy odwracała się twarzą do ściany. Chciał wiedzieć, jak tam jest. Chciał wiedzieć, kto jeszcze, jeśli ktokolwiek, tam bywał.

Po jakiejś godzinie Zoia wstała bez słowa, odłożyła pióro i poszła do łazienki. Alain słyszał wodę leącą do umywalki, odgłosy mycia. Podniósł się i ujrzał odbicie Zoi w lustrze, pochylonej nad umywalką. Podeszedł zobaczyć, co narysowała.

I przeżył szok. To wcale nie był on. Owszem, istniało pewne podobieństwo w twarzy, ale nic poza tym. To nie był portret artysty, lecz atlety, żołnierza, żigolaka. Same mięśnie i nieruchome skupione spojrzenie. Był zwierzęciem, może i pięknym, ale zdecydowanie samą czystą fizycznością.

I to ma być związek dwojga artystów?

Zoia wyszła z łazienki, wycierając włosy ręcznikiem.

- Tak mnie postrzegasz? - spytał.

Spojrzała na szkic w jego ręce, a potem na niego.

- Nie podoba ci się.

- Odpowiedz na moje pytanie.

- Po co? Znasz odpowiedź.

- Chcę ją usłyszeć. Przerzuciła ręcznik przez ramię.

- Tak cię postrzegam, kiedy cię rysuję. A co sobie wyobrażałeś? - Podeszła bliżej i położyła mu rękę na twarzy. - Czy nie o to chodzi? Czy nie temu to wszystko służy?

Odepchnął jej rękę.

- Nie obchodzi mnie, co ty widzisz. To nie jestem ja. Patrzyła na niego ciemnymi oczami.

- Nie, masz rację. Bo ty prawdziwy masz penis. A tutaj jest dyskretny cień.

Zanim powiedział choć słowo, odebrała mu szkic i podarła go na kawałki.

Potem coś się zmieniło. Zoia się zmieniła. Jej nastrój stał się bardziej ponury i mniej przewidywalny, chociaż zdarzało się, że była bardziej czuła niż kiedykolwiek. Wydawała się rozdarta między chęcią drażnienia się z nim, obrażania go, poniżania a podporządkowania mu się w zupełności. Pewnego razu, kiedy u niej spał, usłyszał płacz w łazience; szlochała tak gwałtownie, że go to śmiertelnie przeraziło. Chciał zapukać i spytać, czy nic się nie stało - prawdę mówiąc, stanął przed zamkniętymi drzwiami z uniesioną ręką - ale jakiś instynkt samozachowawczy kazał mu zmienić zdanie.

O ile się orientował, wcale nie pracowała.

Spotkanie z nią było najlepszą chwilą jego dnia. Wszystko inne było głupie, nudne, rutynowe. Ale kłamstwa narastały, rozbudowane poza punkt, kiedy mógł się jeszcze wycofać i przyznać się do nich. Byli fikcyjni przyjaciele i fikcyjne przyjęcia, i nieskończone fikcyjne obowiązki w Lycée Carnot. Brzemień tych kłamstw stawało się z dnia na dzień cięższe.

Jedno zaczęło go martwić: co się stanie, jeżeli Zoia zajdzie w ciążę? Co wtedy? Może była na tyle szalona, że o tym nie pomyślała. A może ją to nie obchodzi?

Zoia go uspokoiła. To nie stanowiło problemu.

- Co znaczy, że to nie stanowi problemu? A gdyby twój mąż dowiedział się, że to nie jego dziecko? Gdyby chciał się rozwieść?

Stali na tarasie i patrzyli na morze, rozmawiając cicho, żeby nikt nie słyszał. Zoia spojrziała na niego znad filiżanki kawy.

- Przypuśćmy, że zaszłabym w ciążę. Co byś zrobił?

Na same słowa poczuł, jak włoski na karku stają mu dęba.

- Nie miałbym wyboru, musiałbym z tobą uciec. Nie mógłbym tutaj zostać, to jest pewne.

- Ale zrobiłbyś to? Zostałbyś ze mną?

Próbował przełknąć ślinę, ale przyszło mu to z trudem.

- Oczywiście. Oczywiście ja... Tylko uważam, że lepiej jak jesteśmy sami, tylko ty i ja.

Nagle roześmiała się, zakrywając usta ręką.

- Biedny Alain. Spójrz na siebie, aż tak cię przeraziłam?

On także zaczął się śmiać, zastanawiając się, czy sprawa jest już załatwiona, ale doszedł do wniosku, że raczej nie.

Szli plażą, on niósł parasol, ona bosymi stopami rozpryskiwała wodę. Mówiła o powrocie w styczniu albo lutym. Powiedziała, że to żaden problem. Malarz potrzebuje światła, a o tej porze roku w Szwecji brakowało go.

- Przecież ty nie malujesz. Trzy tygodnie minęły i nic.

Uniosła suknię, pokazując gołe nogi do kolan i przyciągając spojrzenia mijającej ich pary.

- Zdejmij buty i wejdź do wody - powiedziała.

- Mówię poważnie. Jesteś malarką. Sądziłem, że to jest sens twojego życia.

Odwróciła się, wchodząc głębiej do wody. Zwiedzając miasto, opaliła się trochę i jej policzki przybrały odcień ciemnego różu. Ujmowało jej to lat.

- Myślałam, że będę mogła malować, ale nie mogłam. Nawet jak jest ładnie, mnie się nie podoba.

- O czym ty mówisz? Na Boga, Galeria Narodowa kupuje twoje obrazy.

Zamachnęła się nogą, posyłając w górę kropelki wody.

- Oni je lubią. Rozweselają ich. Szwecja jest taka szara i zimna, że czasami chce się wyć.

- Byłbym dumny na twoim miejscu. Potrząsnęła głową.

- Nie, nie byłbyś.

Patrzyła na odbicie słońca w zmarszczonej wodzie. Alain doszedł do wniosku, że ona nie żartuje. Zatrzymał się.

- Nie rzucisz tego. Nie odpowiedziała.

- Nie wolno ci. Nie teraz, nie teraz, kiedy...

Podniosła rękę i objęła się, jakby zmarzła. Już to zauważył, że kiedy na dworze jest zupełnie ciepło, ona zachowuje się, jakby dostała dreszczy. To był jeszcze jeden aspekt tej wrażliwości, której nabrała od czasów paryskich.

- Popływajmy - zaproponowała.

- Nie wziąłem ze sobą kostiumu.

- Ja też.

Zaczęła rozpinąć suknię. Alain rozejrzał się po plaży. Para, którą minęli, była około stu metrów od nich, ale widział już innych ludzi. A dalej na plaży sprzedawca świecidełek ciągnął swojego wielbłąda po piasku.

- Co robisz?

Podeszła do niego i zdjęła suknię, strugi słonej wody spływały po jej łydkach. Wzięła od niego parasol.

- Wyglądasz z nim śmiesznie.

Pociągnęła go za krawat. Potem przyciągnęła go do siebie i pocałowała namiętnie. Ponad jej ramieniem dojrzał zbliżające się blade postaci.

- Zwariowałeś.

- Ostrzegałam cię, prawda? - Rzuciła parasol na ziemię. - No dalej, na pewno ugotowałeś się w tym głupim garniturze.

Zaśmiał się.

- Przestań, zostaw mnie.

- Wiesz co, czasami jesteś potwornie konwencjonalny jak na artystę.

Zaczęła rozwiązywać mu krawat.

- Przestań.

Nie przestała. Zdjęła mu krawat i rozpięła koszulę pod szyją. Odepchnął ją, ale wróciła, chwyciła go za koszulę. Złapał ją za nadgarstki, ale ona się wywinęła, tylko już się nie uśmiechała, była stanowcza i zła.

- Powiedziałem, przestań. Ludzie idą.

Ale Zoia nad sobą nie panowała, wbijała w niego paznokcie, siłowała się z nim. Po raz kolejny ją odepchnął, mocniej.

- Zoia, na litość boską.

Zamierzyła się, by go spoliczkować. Tak przynajmniej myślał, kiedy się na nią zamachnął. Uderzył nasadą dłoni, czując jej zęby na skórze.

Stanęła jak martwa, zakrywając usta ręką. Zranił jej wargę. Krew ciekła po policzku.

- Zoia, przepraszam, nie chciałem...

A ona tylko na niego patrzyła. Kiedy próbował podejść, cofnęła się do wody. W jej oczach były łzy. Fala przelała się po jego najlepszych skórzanych butach.

- Zoia, proszę...

Rzuciła suknię na piasek, nie spuszczając z niego wzroku. Potem zrzuciła halkę. Pod spodem była naga.

- Co ty wyprawiasz? Zoia, chcesz chyba, żeby nas aresztowali. Na jej piersi dostrzegł gęsią skórę, jej sutki były ciemne i twarde.

Odwróciła się i weszła do wody. Krzyczał za nią, ale nie reagowała.

Para z dzieckiem idącym w środku zbliżała się do nich powoli. Mała dziewczynka w marynarskim ubranku. Byli już tak blisko, że Alain słyszał ich głosy.

- Niech to szlag, Zoia, nie umiesz pływać.

Tak mu powiedziała. Nigdy nie uczyła się pływać, kiedy dorastała, wówczas nie uważano tego za konieczność dla dam.

Woda sięgała jej już do pasa. Odwróciła głowę i spojrzała na niego, potem znowu ruszyła przed siebie.

- A niech to.

Zdjął ubranie i zanurzył się w wodzie. Musiał płynąć szybko, żeby ją dogonić. Brnęła przez fale przyboju, kierując się w stronę łachy jakieś sto metrów od brzegu.

Kiedy wreszcie tam dotarł, nie mógł wykrztusić słowa, gdyż brakowało mu tchu.

- Tutaj są niebezpieczne prądy, musimy wejść dalej. Zbliżywszy się do niego, objęła go nogami i pocałowała w usta.

Poczuł smak krwi i słonej wody. To musiało piec jak diabli. Jej ciało było ciepłe i śliskie.

Na brzegu stała dziewczynka w marynarskim ubranku ze wzrokiem wlepionym w dziwną parę. Matka czym prędzej wzięła córeczkę za rękę i pociągnęła za sobą.

Jedynym wymiernym wskaźnikiem uczuć Alaina były przerwy między jego wizytami, przerwy, które się wydłużały: dwa dni, trzy dni, tydzień. Zawsze miał murowane alibi: obowiązki w liceum, obowiązki w domu. Jego kłamstwa, jeśli to były kłamstwa, cechowały się zręcznością, zabarwioną właściwą dozą rezygnacji i żalu. Czuli się winni, że zabiera mu tak wiele cennego czasu.

Kochali się w milczeniu, każde w swoim własnym świecie. Ona obserwowała, jak on patrzy na inne kobiety na tarasie hotelu Zephyr. Kiedy mówiła mu o swoich uczuciach, widziała, że jego ciało sztywnieje. Jej oddanie w pewien sposób go rozczarowało. Wolał miłość skrytą, miłość, którą trzeba zgadywać, jak znaczenie obrazu. Stwierdzenie faktu to banał. A jedyną rzeczą, na jaką nie może sobie pozwolić artysta, jest właśnie banał.

Powiedziała mu już o sobie wszystko, bo zdawało się, że uważał za afront, że coś przed nim ukrywa. A zatem dała mu, czego pragnął, odpowiadała na jego pytania z absolutną szczerością, z nadzieją, że ich miłość zyska solidniejszą podstawę, z nadzieją, że to zadziała jak czar, dzięki któremu zaczną wszystko od nowa.

Wróciła w styczniu 1931 roku i została przez miesiąc. W Hammamet spotkała przyjaciela Alaina, Louisa, głodnego i bez grosza przy duszy. Dała mu pieniądze. Louis powiedział jej, że Alain nie kochał nikogo przez całe swoje życie, i pewnie nigdy nie pokocha.

Ze Szwecji płynęły złe wieści. Niemal co dzień zamykano fabryki. Jej matka mieszkała teraz z nimi, pracowała jako sprzątaczką, żeby zapłacić za swoje utrzymanie. Zoia malowała portrety po obniżonej cenie. Niektóre były tak sztywne i pozbawione życia, że wstydziła się brać za nie pieniądze. Twarze osób, które jej pozowały, drwiły z niej we śnie.

Kiedy miała jeszcze pieniądze, kupiła złoto i eksperymentowała w swojej maleńkiej pracowni. Ukryła to przed Karlem, który uważał, że nawet jej farby są za drogie. Poza tym, nie miała nic do pokazania. Żaden złoty obraz nie ujrzał jeszcze światła dziennego. Widziała w złocie przesuwające się krajobrazy, twarze, wspomnienia, ale dotknięcie pędzla zniekształcało je i zaciemniało. Bardzo chciała zawrzeć z nimi pokój.

Jej ostatnia wyprawa do Tunezji miała miejsce pod koniec kwietnia. Pisała do Alaina raz za razem, ale minęło kilka dni, nim przyjechał zobaczyć się z nią w Hôtel Grand Saint-Georges. Poinformował ją, że planuje dalsze studia w Paryżu, i że ojciec zgodził się za nie płacić. Powiedział, że powinna jak zwykle pojechać do La Marsa, i że tam ją odwiedzi.

Personel w Zephyr ucieszył się na jej widok. Ruch był niewielki, turystów mniej niż bywało przez lata o tej porze roku. Obserwowali ją ze specjalną ciekawością, rosyjską damę z przystojnym młodym kochankiem.

Większość czasu spędzała w pokoju, przy pracy. Powiedziała pokojówce, że musi przygotować obrazy na wystawę w Sztokholmie, jej mąż liczył na to, że kilka obrazów dobrze się sprzeda. Czasami jechała pociągiem do pobliskiej arabskiej wioski, ze szkicownikiem pod pachą. Raz zrobiła sobie wycieczkę na targ w Tunisie, z którego wróciła z małą paczuszką, zapakowaną w papier welinowy, i dwoma deskami do malowania. Pracowała do późna w nocy i rzadko pojawiała się na posiłkach. Bywało, że spała do południa.

Przystojny kochanek nie zjawił się. Kilka razy Zoia wybrała się na dworzec, ubrana w najlepsze letnie stroje, ale za każdym razem wracała sama. Zaczęły krążyć plotki. Niektórzy z gości, zwłaszcza mężczyźni, rozpytywali po cichu. Szeptano, że to księżniczka Romanow, podróżująca incognito. Inni mówili, że to rewolucjonistka, uciekająca przed zabójcami wysłanymi przez Stalina. Miejscowa policja otrzymała kilka poufnych informacji, że Zoia jest szpiegiem.

Pewnego ranka pokojówka, mijając jej drzwi, znalazła je otwarte. Zapukała dwa razy, po czym weszła do środka. W pokoju panował straszny bałagan. Wszędzie wały się puste butelki i kieliszki, na podłodze leżały przewrócone sztalugi i osmalone, podarte papiery. Madame Zoi nie było w pokoju. Jedna z desek, którą kupiła na targu, leżała na łóżku, jej powierzchnia była porysowana i ponacinana. Na toaletce pokojówka znalazła smugi, które wyglądały na krew. W łazience w umywalce ujrzała puste zgniecione opakowanie po luminalu.

Wyszła na balkon. Dwa piętra niżej, na głównym tarasie, kelner nakrywał stoliki do śniadania. Ranek był spokojny, słońce wznosiło się nad zielonym morzem. Na plaży nie było nikogo, tylko jedna osoba brnęła przez fale. Pokojówka zastanowiła się, gdzie madame Zoia wybrała się z żołądkiem pełnym barbituranów.

Kelner spostrzegł ją i pomachał. Była jedną z młodszych kobiet pośród personelu, a co za tym idzie, stanowiła cel zabiegów niemal wszystkich mężczyzn. Nauczyła się już udawać wyższość i obojętność.

Wtem dostrzegła na piasku porzucane ubrania. Jedno z nich na samym brzegu kołysało się na fali.

Pokojówka szukała wzrokiem osoby, która weszła do wody. Zobaczyła nieruchomą postać, już za łachą piachu. Nagle głowa tej postaci zniknęła pod wodą.

Sztokholm, 16 stycznia 1931

Moja bardzo droga Zoiu!

Tysiące podziękowań i całusów za Twój długi list, który upewnił mnie, że jesteś szczęśliwa, że możesz pracować i że znajdujesz natchnienie w tamtejszym otoczeniu. To jest z pewnością atmosfera, jakiej Ci trzeba. Widzę, że jesteś zakochana, i nic dziwnego, w takim miejscu, gdzie powietrze jest gęste od erotyzmu i zmysłowości. Mon Dieu! Mon Dieu! Wiedziałam, że dopadnie Cię jakaś namiętna przygoda pośród ludzi na co dzień mających kontakt ze słodyczą i pokusami Orientu. Ciesz się tym, bądź szczęśliwa - i pokaż to szczęście w swojej pracy. Wiem, że przygotowujesz się tam do kolejnej wystawy. Bravissimo. Jestem zachwycona, ponieważ wiem, że zadziwisz świat, i nikt nie będzie bardziej dumny niż ja, ponieważ ja w Ciebie wierzę i zawsze wierzyłam.

Wczoraj byłam na prozanej kolacji z Twoim mężem i Twoją matką. Niemal od razu zostałam wciągnięta w intelektualną dysputę, która się rozgrzewała, gdyż wszyscy byliśmy sobie ciekawi, a także dość okropni. Obserwowałam Karla, myśląc o Tobie, i równocześnie rozumiałam i czułam instynktownie, że to nie jest mężczyzna dla Ciebie. On jest dystyngowany, ale nie ma ani Twojego ducha, ani Twojej zdolności do miłości - ani zazdrości, swoją drogą. Ale zauważyłam, że jest za to bardzo użyteczny, wspiera Cię i doradza. Wiem od Twojej matki, że daje Ci pieniądze, żebyś mogła tam mieszkać i pracować. Wyraźnie pragnie, żebyś do czegoś doszła. Ma też swoje ambicje, oczywiście. Cieszę się, że jest dla Ciebie dobry, że nie jest małostkowy i że chce być z Ciebie dumny. To był pod każdym względem bardzo interesujący wieczór.

A zatem, Zoiu kochana, kiedy już posmakujesz rozkoszy Orientu, pomyśl o mnie. Och, jakże chciałabym zagubić się w tamtym kraju. Przywieź mi stamtąd perfumy, a jeśli znajdziesz jakiegokolwiek arabskie książki po francusku - zatrzymaj je dla mnie. Chciałabym też, żebyś kupiła dla mnie na targu jakiś piękny jedwab na letnią suknię, w brązie, beżu, czerni albo bieli. Ale tylko pod warunkiem, że znajdziesz go przypadkowo. Nie rób sobie specjalnie kłopotu. Wiem, że istnieje taki rodzaj batiku czy jedwabiu, który jest bardzo ładny i dekoracyjny.

Muszę przyznać, że czuję się bez Ciebie samotna. Szykuję się także do wyjazdu, na sześć tygodni - nie wiem dokąd, ale umieram z pragnienia, żeby znaleźć się pośród ludzi innej rasy i mentalności. Tutaj wszystko jest takie pospolite i zwyczajne. Dyplomata, o którym ci wspominałam, jest miły, odnosi sukcesy w pracy, ale nie ma silnego charakteru i jest bardzo nerwowy. Pani Troencken wróciła i zaprosiła mnie na kolację w tym tygodniu, ale odmówiłam - dlaczego? - dlatego że jestem wobec Ciebie lojalna. Mam wrażenie, że nie chciałabyś, żeby tam po-

szła. A więc, jak widzisz, masz na mnie spory wpływ. Uprawiam trochę sportów, jeżdżę na nartach jak wariatka, żeby zabić tę melancholię. To mnie kompletnie wyczerpuje.

Napiszę znów wkrótce.

Całuję Monica

34

Saltsjöbaden, marzec 2000

Czuje się ociężała. Zataczając się, wchodzi do morza. Kiedy woda sięga jej do kostek, upada i obciera sobie kolano, które zaczyna krwawić. Wstaje, krztusi się słoną wodą, obejmuje się ramionami, czując poranny chłód, mówi sobie, że luminal wkrótce ją zabierze i nastąpi koniec. Kiedy patrzy na swoje nogi i stopy pod powierzchnią wody, widzi je w kolorze zielonego szkła, jakby już zrobiła pierwszy krok ku śmierci.

Na górze w pracowni Marcus Elliot widzi to wszystko jak wspomnienie.

W pobliżu Sewastopola zrobiła to samo. Uciekła za granice miasta, starając się dotrzeć do miejsca, które pamiętała z dzieciństwa, gdzie wille stały w cieniu cyprysów i cedrów, ale go nie znalazła. Trafiła na kamienistą plażę i z brodą wspartą na kolanach obserwowała fale. Wyobrażała sobie, że leży na morskim dnie i patrzy, jak te fale podmywają brzeg, zmywają brud i śmieci pozostawione przez ludzi i zamieniają wszystko w piasek.

To wówczas powinno było do tego dojść. Moment był idealny, taki koniec byłby prawdziwą poezją. Od tamtej pory odkładała tylko to, co nieuniknione i sprawiedliwe. Jak robak na haczyku wiała się w konwulsjach, cały czas myśląc, że co jak co, ale sztuka może ją uratować, że sztuka może sięgnąć w głąb jak chirurg, przyżęgać i zamknąć ranę. Że pozwoli jej zacząć od nowa. Ale nóż chirurga był brudny, a sztuka nieuczciwa. Każde cięcie rozprzestrzeniało tylko infekcję, przenosiło ją na tych, którzy ją otaczali, nawet tych, których kochała.

Ale wtedy zabrakło jej odwagi. Zabrakło leków, które przyćmiłyby strach. To typowe dla niej, nie wykonać planu. Zanurkowała tylko i ruszyła w stronę horyzontu, zmagając się z falą, która też była przeciw niej. Kiedy w końcu wypłynęła ze swoich głębi, zobaczyła, że otaczają ją szczątki rozbitej łodzi. Chwyciła się kawałka drewna i nie miała odwagi go puścić. Wyrzuciła ją na brzeg jak stertę szmat.

Tym razem jest łatwiej. Nie ma fal, jest za to pomocny prąd. Musi tylko wejść trochę głębiej, a prąd zrobi swoje. Łuk brązowego dymu rośnie wysoko na niebie z oddalonego statku, który wygląda stąd jak punkcik. Musi tylko patrzeć na ten dym i brnąć naprzód.

Nie zostawiła żadnego listu. Chce, żeby uznano to za wypadek. Wypadki zawsze są tragiczne, kiedy dotyczą młodych artystów. I tyle przy tym gadania o wielkich obietnicach, o geniuszu czekającym tuż za rogiem. Wszyscy będą dumni, czytając nekrolog, choć w życiu nigdy nie byli z niej dumni. Widzi twarz Alaina, kiedy wyznała mu miłość, to jego stłumione rozczarowanie i niesmak.

Ciemne kształty poruszają się pod wodą. Czuje, jak ocierają się o jej skórę. Zanurza rękę w wodzie, żeby sprawdzić, jak jest głęboko, spodziewa się wyczuć piasek. Ale nie sięga niczego. Wstrzymuje oddech i zanurza się głębiej, potem otwiera oczy i zauważa mroczny nieprzenikniony patchwork jakieś sześć metrów poniżej. Jest tam stara zardzewiała kotwica i coś, co przypomina szkielet łodzi leżącej na boku. Wodorosty oplatają jej nogi. Obraca się i widzi, jak dno morza znika w pozbawionych światła głębinach.

Wypływa na powierzchnię, łapiąc powietrze. Lepiej umrzeć na płyciźnie niż zostać pokniętym przez ten groźny cień. Ale nie czuje swoich rąk. Całe jej ciało waży ponad miarę. Nawet skóra twarzy ciągnie ją w dół. Za późno, żeby wracać, nawet gdyby chciała.

Na powierzchni panuje cisza. Niebo ma odcień głębokiego odległego błękitu. Wschodzące słońce maluje wodę na złoto.

Przewraca się na plecy i robi kilka głębokich wdechów. Złotawa woda przelewa się po jej ciele, przyodziewa ją w piękno. Pozwala, żeby głowa opadła jej do tyłu. Jej serce zwalnia. Jest tutaj jakiś dziwny spokój, między tym cieniem i tym światłem, poczucie doskonałej pełni. Chce zostać na zawsze w miejscu, gdzie światło jest takie przyjazne i ciepłe.

Ostatnia rzecz, którą słyszy, zanim zamknie oczy, to odległe głosy na brzegu. Żałuje, że nie może im odpowiedzieć.

Dwaj pracownicy kuchni wyciągnęli ją z wody. Jeszcze minuta i byłoby za późno. Ułożyli ją na boku z rękami do tyłu, żeby wypchnąć wodę z jej płuc. Kiedy odzyskała przytomność, wymiotowała czymś mlecznobiałym. Wsadzili ją potem na tył samochodu szefa nocnej zmiany i zawieźli czym prędzej do szpitala w Tunisie, gdzie zrobili jej płukanie żołądka i podłączyli kroplówkę. Przeszukując jej pokój, znaleźli paszport i zadzwonili do szwedzkiego konsulatu. Konsul pojechał do szpitala i po rozmowie z lekarzami wysłał telegram do Sztokholmu. Obawiano się, że wybuchnie skandal. Karl Kilbom był przywódcą politycznym i członkiem

parlamentu - użytecznym w oczach wielu osób po zerwaniu z Moskwą. I tak w którymś momencie postanowiono nie angażować w sprawę miejscowej policji.

Rozmowy ze Sztokholmem prowadzono w języku dyplomatycznym. O samobójstwie nie było mowy. Kilbom z początku odniósł wrażenie, że jego żona miała jakiś atak migreny na skutek udaru słonecznego. Lekarze po badaniu sugerowali, że cierpiała na zaburzenia neurologiczne, prawdopodobnie na skutek zapalenia opon mózgowych. Ustalono, że powinna opuścić Tunezję jak najszybciej.

Zoia pisała listy do Karla, w których usiłowała wyjaśnić mu, co się stało. Ale nie było tego w listach, które ostatecznie wysłała, przynajmniej sądząc z odpowiedzi. Karl zaangażował się w proces o zniesławienie, wytoczony przez rząd. Nie mógł opuścić Sztokholmu do zakończenia procesu. Na początku czerwca Zoia wyjechała do Francji, do sanatorium w Juan-les-Pins. Przebywała tam sześć tygodni, sama.

Elliotowi znowu trzęsły się ręce, kiedy zbierał w plik listy z Tunisu. W końcu coś zaczęło do niego docierać. Twarz miał rozpaloną, ale resztę ciała zimną. Włożył listy z powrotem do pudełka, a pudełko postawił na biurku. Wiedział, że powinien wprowadzić te zasadnicze informacje do komputera. Ale czekały jeszcze listy z 1931, których dotąd nie przeczytał. Nie był w stanie zrobić tego w tej chwili. Miał inne, ważniejsze sprawy. Musiał wziąć lekarstwo i rozgrzać się.

Polana skończyły się, potrzebował czegoś na podpałkę, bo inaczej zamarznie na śmierć. Znalazł toporek w pomieszczeniu, gdzie był bojler, i pomaszerował do lasu. Było późne popołudnie, słońce zamieniło się w czerwoną smugę nad horyzontem. Miejscami leżały łaty zmarzniętego śniegu, przywianego przez wiatr. Podniósł kołnierz i chwiejnym krokiem szedł w stronę brzegu, słysząc chrzęst lodu pod stopami.

Na wzniesieniu nad plażą rosła sosna, pochylona i martwa, pień ze starości zrobił się szarobiałym. Elliot ustawił się i zamachnął, ściskając toporek obiema rękami.

Wiatr był słaby, lecz zmienny. Wiało w głębi lądu i nad wodą, jego uszu dochodził plusk marszczących się, uderzających o brzeg fal. Minuta w lodowatej wodzie i poczułby się jak w ogniu. Zginąłby w blasku iluzorycznego ciepła.

Gałęzie zaczepiały o jego rękaw, uderzały go w twarz, jakby próbowały go odeprzeć. Machał ślepo, uderzając coraz szybciej. Zrzucał je jak szalony, tracąc równowagę, potykając się o korzenie wystające z ziemi. Jego twarz płonęła z gorączki i wysiłku.

Podobno życie od śmierci dzieli właśnie minuta. Słyszał, jak mówili to ci, którzy byli świadkami śmierci, jakby było w tym coś pouczającego, coś, czego faktycznie można się z tego nauczyć. Już jako dorosły człowiek zauważył, że tragedia i bliskość tragedii pozwalają zobaczyć wszystko obiektywnie i jasno choćby przez chwilę. Świat nie pracuje według żadnego dostrzegalnego planu. Siły chaosu mogą interweniować w każdej chwili, bez powodu. Ale wszyscy żyją dalej, wzruszając ramionami, ponieważ nic nie można na to poradzić.

Kiedy usłyszał to po raz pierwszy, nie był jeszcze dość stary, żeby zdawać sobie sprawę, że musi żyć dalej. Miał wówczas osiem lat.

Idź i powiedz matce, że jej program się zaczyna.

Celowo szedł powoli do łazienki. Od tego wszystko zależało. On także chciał obejrzeć ten program, zwłaszcza początek, który bardzo lubił. Ale ojciec powiedział, że to nie jest program dla dzieci i że już dawno powinien być w łóżku.

Na podeście schodów przystanął nadąsany. Jeśli on ma stracić początek, niech matka też go straci. Usiadł tam i spojrzał na zegar na ścianie, czekając, aż usłyszy muzykę.

Siedział tak około minuty.

Nigdy nikomu o tym nie wspominał. Ojciec nigdy nie pytał go, dlaczego tak długo trwało, nim wszczął alarm. Zresztą ojciec w ogóle niewiele mówił. Ale Elliot pamiętał ratownika, który kręcił głową, kiedy zabierali matkę: *jedna minuta wcześniej i uratowalibyśmy ją, robiąc jej sztuczne oddychanie.*

Od razu zrozumiał, co miał na myśli ten człowiek: to nie pigułki ją zabiły. Ona także się utopiła, zrobiła to samo, co próbowała zrobić Zoia, tyle że jej się udało.

Miał już posiniaczone i spuchnięte dłonie. Zaciskał palce na toporku jak szalony. Nie mógł ich uwolnić, nawet gdyby chciał. Zamachnął się znowu i nie trafił, o mały włos nie zatoił ostrza we własnym kolanie.

Woda uderzała o brzeg. Czarna, nieczuła nicość, kilka metrów dalej. Tak czy owak nieuchronna. Nie trzeba się jej bać. Ta myśl była jak palec stukający go w ramię. Ale on nie zamierzał wybierać się w tę podróż, zanim sekrety Zoi nie staną się jego sekretami. Nie wybierał się, dopóki nie zrozumie.

Pracował bez przerwy do zapadnięcia zmierzchu. Z drzewa pozostał tylko rozłupany kikut.

Drewno było wilgotne. Wkrótce dom wypełnił ostry dym. Otworzył okna w pracowni i holu i patrzył, jak chmury dymu unoszą się spiralnie. Nagły poryw wiatru zgasił świece. Latar-

nie migotały w pokojach i na podeście, rzucając niespokojne cienie na sufit. Cornelius trzy razy dzwonił do niego na komórkę. Elliot nie odebrał.

Spał tej nocy w pokoju dziennym przed dużym piecem. Zobaczył Zoię na oświetlonej słońcem wodzie, płynącą ku śmierci. Zobaczył jej ogoloną głowę w sanatorium, gdzie zdiagnozowali u niej anemię mózgową.

Był tam z nią, samą w celi z zakratowanym oknem wysoko na ścianie, chociaż w sanatorium nie powinno być cel. Nie wyglądała na swoje dwadzieścia osiem lat, ale młodziej. Wyglądała jak dziecko. Zaczął mówić jej o pigułkach, które zażywał, i że kazał mu je łykać Paul Costa. Ale kiedy spojrzał jej w twarz, zobaczył, że go nie słucha. Podniosła wzrok na okno. Mały kwadrat światła odbijał się w jej oczach, plamki złota w czarnych kołach.

Gdzieś z tyłu głowy tkwiła myśl, że ona może znowu spróbować. Samobójstwa. Bo dlaczego trzymali ją w celi z obitymi gąbką ścianami i materacem zamiast łóżka? Bali się, że coś sobie zrobi, i dlaczego nie? Chyba że coś się zmieniło.

Rozmawiaj. Bądź optymistą.

- Gdzie się potem wybierasz? Masz jakieś plany?

Przyszło mu na myśl, że w Bukowskim przeżyją największy szok w swoim życiu, kiedy dowiedzą się, że ona wciąż żyje. Nie wspominając o doktorze Lindqvście. Będzie musiał oddać wszystkie obrazy, a także dom.

Stała ze wzrokiem wlepionym wciąż w okno.

- Do Włoch - odparła.

- Do Włoch? Kiedy?

- Jak najszybciej.

To nie brzmiało jak kaprys. W jej głosie słyszał zdecydowanie.

- Dlaczego do Włoch? - spytał. - Czemu akurat tam? Objęła go rozczarowanym, litościwym spojrzeniem. Uwodzicielka dzieci.

- Przecież wiesz.

Słyszał jej głos tak wyraźny i donośny, że był pewien, iż ktoś naprawdę coś do niego mówił. Usiadł gwałtownie i otworzył oczy, spodziewając się, że nie jest sam.

Powiew wiatru poruszył zasłony. Zaskrzypiały drewniane schody.

Spociał się od stóp do głów. Nawet koce były ciężkie od potu. Ale gorączka minęła. Był słaby i roztrzęsiony, lecz w jego głowie zapanowała jasność. Spał bez proszków, jeszcze do tego nie przywykł.

Zegar w holu wybił siódmą.

Poszedł do łazienki i rozebrał się. Stanął w wannie, drżąc cały i nacierał się zimną wodą i twardym mydłem zabranym z hotelu.

Nagle zobaczył swoje odbicie w lustrze i przeżył wstrząs. Był śmiertelnie blady i wymi-zerowany, urosła mu broda, tłuste włosy zlepily się na środku głowy jak u stracha na wróble. Jedna z gałęzi przecięła mu skórę pod prawym okiem, miał tam czerwony strup w kształcie półksiężyca, prawie na dwa i pół centymetra długi. Na czole dojrzał jeszcze więcej strupów. Spuścił wzrok i przekonał się, że jego ręce i przedramiona są całe podrapane.

To było jedyne lustro w domu Zoi. Przykręcone do ściany. Przerazające, jak szybko człowiek zapomina, jak wygląda, kiedy nie może tego sprawdzić.

Przyszło mu na myśl, że wygląda prawie jak szaleniec. Jeden z tych smutnych przypadków, których unika się w supermarkecie, ubranych w używane ciuchy i mamrocących do siebie pod nosem. Czy właśnie kimś takim się stał? Czy tak wpłynęło na niego mieszkanie w domu Zoi?

Podobno nie można nazwać nikogo szaleńcem, dopóki nie słyszy głosów. Problem w tym, że to trudne do oceny. Czasami człowiek tak zanurzy się we wspomnieniach, tak głęboko zamyśli, że nie może być pewnym, skąd przychodzą do niego słowa. Na przykład głosy, które budzą go ze snu. W końcu to wszystko jest w naszej głowie. Słuchanie nie jest aktem pasywnym, podobnie jak widzenie, każdy widok i dźwięk zostaje przefiltrowany przez siatkę przeczuć, przedwiedzy. Życie bez zrozumienia to jak być ślepym, człowiekiem, który stoi przed alegorycznym obrazem nieświadomy symboli ani ich znaczenia. To, czego nie rozumiemy, jest niewidzialne. *Włochy. Przecież wiesz.*

- Co ja wiem? - jego głos huknął w pustej przestrzeni.

Po Francji był Tunis. Po Tunisie Włochy. Po drodze próba utopienia się i kuracja w szpitalu dla obłąkanych. Ludzie mówili, że jej pobyt w Tunezji był bezpłodny. Że wypadł w środku bezproduktywnego okresu, naznaczonego chorobą i twórczą stagnacją. A jeżeli Tunis był kulminacją, punktem zwrotnym? Jeżeli tam w wodzie, sekundy przed śmiercią, Zoia stała się innym człowiekiem, artystką, która patrzy na świat innymi oczami?

Zanim wyruszyła do Włoch, musiała zaoszczędzić trochę pieniędzy. Karl nie dawał jej wiele, a rynek sztuki znalazł się w kryzysie, jak wszystko inne. Pracowała na statkach pasażerskich kursujących po Morzu Śródziemnym, malując portrety dla pieniędzy. „Stella Polaris” był

jednym z nich. Ale ona tak naprawdę tylko czekała, odliczała czas. Od Tunisu coś się zmieniło. Nabrała cierpliwości, cierpliwości człowieka, który pracuje według planu.

Elliot włożył suche ubranie i ruszył do pracowni z filiżanką czarnej kawy. To we Włoszech Zoia poznała renesansową technikę pracy ze złotem, niegdyś zarezerwowaną dla świętych obrazów. To we Włoszech nauczyła się złocenia na pulmencie, żeby stworzyć nieskończoność w płatku metalu cieńszym niż tysięczne części milimetra.

Powiadano, że rozczarowanie Karla Kilboma komunizmem przyczyniło się do nostalgii jego żony. Rewolucja została zdradzona, tak jak mówili marynarze z Kronsztadu, a obnażanie brutalności zdrajców uważano za coś dobrego. Pomału Zoia artystka wracała do Rosji.

Podróż oficjalna i podróż prywatna. A jeśli ta pierwsza była tylko przykrywką dla tej drugiej?

Hildur Backlin w domu spokojnej starości powiedziała, patrząc ponad parującą wodą w basenie: *Ona kochała teatr. Całe to udawanie. Te maski.*

Zoia lubiła maski, ale jej obrazy były samą naiwną prostotą, wizjami bezbłędnego nienaganego świata. Wizjami dziecka. Tyle że Zoia najwyraźniej nie miała czasu dla dzieci.

Wyjął podręcznik Cennino Cenniniego i kartkował go, aż znalazł rozdział dotyczący techniki złocenia na pulmencie. Na zewnątrz rozwidniło się, ale nie dość, by czytać. Zapalił jedną z latarni i przewracał strony w świetle pulsującego żółtego płomienia.

Kartka papieru wypadła z książki i wylądowała u jego stóp. Rozpoznał charakter pisma Zoi. Zupełnie jakby wrzuciła tę kartkę do skrzynki pocztowej z drugiej strony grobu. I przysłała go tutaj, żeby ją znalazł.

Na kartce znajdowały się instrukcje napisane po angielsku.

35

To był właśnie dowód, którego szukała Kerstin Östlund: lista obrazów z prywatnej kolekcji Zoi i kto ma je otrzymać po jej śmierci. Została napisana w 1993 roku, kiedy Zoia skończyła dziewięćdziesiąt lat, i znajdowały się na niej wszystkie instytucje, jakie wspomniała dziennikarka: galerie w Rosji, Muzeum Narodowe w Sztokholmie, Montparnasse Museum w Paryżu. *Aktorkę* miała otrzymać Hildur Backlin, tak jak mówiła starsza pani. Największy obraz, *Port w Sztokholmie*, miał zostać przeznaczony na cele charytatywne. Cztery inne obrazy, wśród nich *Letni Pałac w Carskim Siole* i *Portret Hermine von Essen*, zostały przeznaczone dla dzieci

niejakiej Moniki Fisk. Były tam adresy i nazwiska kuratorów. Nawet numery telefonów. Zoia włożyła wiele starań w ten dokument. Fakt, że został napisany po angielsku, w lingua franca świata sztuki, a także świata biznesu, sugerował, że chciała, by każdy zainteresowany mógł się z nim zapoznać. Lista nie stanowiła dowodu, że testament Lindqvista jest fałszywy. Ale pokazywała, że w kwestii kolekcji Zoi w ostatniej chwili nastąpiła zmiana. I to może wystarczyć, by zainteresować odpowiednie władze.

W pierwszym odruchu chciał zadzwonić do Kerstin Östlund. Wciąż widział jej twarz, kiedy przez stolik w hotelowym barze sunęła serwetkę ze swoim numerem telefonu napisanym czarnym flamastrem. Z kleksami. Pan mi pomoże i ja panu pomogę. Ale nie powiedziała, jak by mu pomogła. Wyczuł, że wiedziała coś na temat obrazów z Krymu. Ale fakt, że nie zostały wymienione na liście Zoi, podawał w wątpliwość samo ich istnienie. Być może Kerstin Östlund nie miała mu nic do powiedzenia, ponieważ nie było o czym mówić.

Składanie pustych obietnic - anonimowości, dyskrecji - jest w stylu dziennikarza. To stało się już zwyczajem. Pogoń za sensacją rodzi cynizm, a cynizm rodzi kłamstwa. Poza tym gdyby powiedział Kerstin o swoim odkryciu, istniało niebezpieczeństwo, że wydarzenia wymkną się spod kontroli. W ciągu jednego dnia mogą pojawić się artykuły w prasie. Zainteresowane strony mogą interweniować, zanim on skończy pracę. Gdyby odwołano aukcję, straciłby prawo dostępu do papierów Zoi i do jej domu. Doktor Lindqvist już by tego dopilnował. Nie mógł sobie pozwolić na takie ryzyko.

Nazajutrz rano jadąc w głąb łądu pustymi drogami brązowymi od brei, odetchnął z ulgą, że jednak nie zadzwonił. Kerstin miała pewien urok. Niewiele brakowało, żeby nazwać ją ładną. No i ten dziennikarski tupet i twardość, którą udawała, podniecało go to, a równocześnie kazało mu mieć się na baczności, ponieważ wyraźnie coś się za tym kryło, jakaś bezbronność, jakaś rana. Nie byłoby dobrze zwracać się teraz do niej, to byłby akt dezercji, jakby odszedł podczas rozmowy w połowie zdania.

Zaśmiał się na tę myśl. Ale taka była prawda: Zoia była dobrym kompanem. Fascynującym i irytującym. Kłamała i udawała, a potem obnażała swoją duszę w potokach bólu i ekstazy, które odbierały mu dech. A jednak wciąż pozostawało coś, czego jeszcze nie wiedział. Była nieprzewidywalna, kapryśna, dumna i nieuchwytna. Ale zawsze obiecywała mu oświecenie, ostatecznie łączące wszystko odkrycie. Powrót do domu. I zawsze tam była, w swoich papierach, w swoim domu, czekała na niego. Zawsze.

Jechał w stronę miejsca zwanego Bollmora, na południowych obrzeżach Sztokholmu. To był adres z listy, gdzie mieszkały dzieci Moniki Fisk. Ta jedna część dokumentu stanowiła dla niego tajemnicę, nie miał pojęcia, co się za nią kryje. Stąd ta podróż.

Monica Fisk. W pierwszej chwili to nazwisko nic mu nie mówiło. Przewertował swoje notatki w poszukiwaniu jakichś odniesień, ale znalazł tylko kilka tropów. Zoia otrzymywała od niej listy w Tunisie. Monica była parę lat młodsza od malarki i wyraźnie pod jej wpływem. Ale pośród listów bez podpisu albo tych niedokończonych Elliot znalazł więcej listów w tym samym stylu. Monica była powiernicą Zoi, co należało do wyjątków. Przyjaźnie artystki z kobietami były rzadkie i niestałe, być może z powodu jej niekonwencjonalnego stylu życia, być może z powodu jej reputacji naznaczonej skandalem. Ewangelistce należącej do szwedzkiej burżuazji daleko było do Montparnasse'u. Ale Monicę Fisk fascynowała Zoia i jej sztuka. Dusił się w konformistycznej nudnej Szwecji. Zoia reprezentowała sobą wszystko to, co śmiałe i egzotyczne. Sześćdziesiąt lat później, kiedy Monica już nie żyła, Zoia zamierzała odwdziżyć się za to oddanie cennym prezentem dla jej dzieci, Klary i Martina. Warto było poruszyć niebo i ziemię, żeby dowiedzieć się czegoś więcej.

Elliot znał Bollmora ze słyszenia. Jego matka spędziła tam dzieciństwo, ale on sam nigdy tam nie był. Tak czy owak z wioski, w której mieszkała matka, niewiele pozostało. Od początku lat sześćdziesiątych teren ten stał się ważnym miejscem, gdzie rozwijało się finansowane przez państwo budownictwo. Bloki mieszkalne, niskie, średnie i wysokie, zdominowały popałowaną lesistą okolicę, a w ślad za nimi pojawił się przemysł poszukujący siły roboczej. Pośród rzeczy osobistych ojca Elliot trafił na dwie czarno-białe fotografie rzekomo zrobione w tym miejscu: jego matka w kwiecistej sukni, jedenasto- albo dwunastoletnia, stoi z rowerem na zasypanej liśćmi ścieżce, mrużąc oczy przed popołudniowym słońcem, a u jej boku stoi jakieś nieznane dziecko. W tle widać okazały przedwojenny samochód i czyjś ogród od frontu cały w kwiatach. Teraz ścieżka to pewnie jezdnia dwupasmowa, a w miejscu ogrodu wyrósł blok albo urządzono parking.

Wjechał tam od zachodu, mijając magazyny przykucnięte za wybujałymi, nieprzyciętymi żywopłotami. Był już ranek, ale większość lamp ulicznych wciąż się słabo paliła. Pokonał serię rond i ulic jednokierunkowych, przeznaczonych dla większego ruchu, i znalazł się w strefie mieszkalnej. Odsunięta od drogi najnowsza generacja wysokościowców - wersja z połowy lat siedemdziesiątych, sądząc z białych minimalistycznych fasad - rysowała się wyraźnie na tle szarego nieba, otoczona przez szerokie połacie trawy. Trudno było uzyskać jakieś informacje,

gdyż ludzie, z którymi rozmawiał, nie byli pewni dokładnej lokalizacji ulicy, a jeszcze mniej pewni, jak do niej dotrzeć. Było coś takiego w Bollmora - rozstrzelonym, stworzonym przez człowieka krajobrazie i w nazwach ulic - co sprawiało, że trudno było odnaleźć się w tej przestrzeni, objąć ją myślą. Nawet stali mieszkańcy zaniechali prób. Elliot nadaremnie szukał punktów orientacyjnych, które mogłaby rozpoznać jego matka.

Po godzinie jazdy w kółko zatrzymał się przed niskim budynkiem w kształcie litery s, osaczonym z jednej strony przez boisko piłkarskie, a z drugiej przez nasyp autostrady. Przed budynkiem znajdował się mały plac zabaw z dwoma pagórkami oraz podniszczonymi zjeżdżalnicami i huśtawkami, ale bez dzieci. Elliot przypomniał sobie, że był rok szkolny, a z początkiem odwilży wiatr stał się przejmująco wilgotny.

Przy wejściu do bloku C domofon wydawał się zepsuty. Drzwi były lekko uchylone. Pchnął je i znalazł się w wąskim holu, jego oczy musiały przywyknąć do półmroku. Pachniało tam środkiem do dezynfekcji oraz pleśnią. Zaczął wspinać się po schodach, patrząc na odpadającą farbę i cementowe ściany pełne dziur. Gdzieś nad nim grał telewizor, dźwięk stłumionych głosów i oklasków odbijał się echem. Dziecięcy rowerek leżał przewrócony na podłodze, brakowało mu jednego z trzech kółek. Obok stała pusta puszka po oleju jadalnym. Zaczął się zastanawiać, czy dobrze trafił, czy Zoia nie pomyliła adresu. Nie wyobrażał sobie Zoi w takim miejscu w żadnym okresie jej życia, Zoi, która kształciła się razem z księżniczkami i której rodzina posiadała fabryki i kolej.

Ale cóż, każdy może upaść. On także upadł, wciąż upadał wedle wszelkich obiektywnych kryteriów. Może właśnie coś takiego go czeka. Może to jest powód, dla którego się tam znalazł: żeby zobaczyć swoją przyszłość. Ta myśl była szalona, ale nieustępliwa i niezachwiana jak kamień w jego brzuchu.

Na drzwiach, które prawdopodobnie należały do lokalu numer dziesięć, nie było żadnej tabliczki. Zapukał z wahaniem, słysząc płacz dziecka, po chwili jeszcze głośniejszy. Za judaszem coś się poruszyło.

- Pani Palmgren?

Oboje dzieci Moniki Fisk nosiły nazwisko Palmgren, zapewne po ojcu.

Usłyszał skrzyp kapci na linoleum. Drzwi się otworzyły. Kobięca twarz, woskowoblada, pojawiła się za łańcuchem.

- Przepraszam, szukam córki Moniki Fisk, Klary. Czy dobrze trafiłem?

Kobieta trzymała dziecko na ramieniu. Goła pulchna noga w brudnej skarpetce we wzory z komiksów zwisała na jej piersi.

- Jeszcze nie wróciła.

Zastanawiał się, czy to wnuczka Moniki. Miała ze dwadzieścia pięć lat, to by pasowało. Jej twarz była przystojna i przyjazna, choć dostrzegł cienie pod oczami i tłuste, potargane jasne włosy. Elliot tymczasem postarał się na tę okazję. Ogolił się, nawet wyprał koszulę i wyprasował ją na kuchennym stole. Tylko skaleczenia na twarzy odstawały od tego wizerunku.

- Przyjechałem w sprawie przyjaciółki jej matki. Zoi Korwin-Krukowskiej. Tej malarki.

Twarz dziewczyny pozostała obojętna.

- Chodzi o obrazy.

Dziecko jęknęło. Małeńka rączka zacisnęła się sennie na brodzie dziewczyny. Było oczywiste, że nie miała pojęcia, o czym mówił. Nagle Elliot poczuł się idiotycznie. Co obrazy olejne mają wspólnego z miejscem takim jak to? Jaki one mają z tym związek? Dziewczyna pewnie wzięła go za szaleńca. Wariata, który łązi po ulicy.

- Może pani powie pani Palmgren, że tutaj byłem. Proszę.

Szukał w kieszeni notesu i pióra, bo pomyślał, że najlepiej będzie zostawić numer komórki. Ale zanim zaczął pisać, usłyszał ciężkie kroki na schodach, a potem kobiecy głos mrużący coś z irytacją.

- To ona - powiedziała dziewczyna i zdjęła łańcuch.

Klara Palmgren wydawała się chętna do pomocy. Była po sześćdziesiątce, otyła i dostojna, z rozjaśnionymi włosami uczesanymi w drobne loczki na czubku głowy. Siedziała naprzeciw Elliota na pomarańczowej sofie, podczas gdy on opowiadał jej o swoich poszukiwaniach i wielkiej wystawie planowanej na lato. Nie zdradziła żadnych widocznych oznak, że uważa go za szaleńca. Słuchała i uprzejmie kiwała głową, skubiąc i głaszcząc materiał obiciowy, jak ktoś, kto właśnie rzucił palenie. Na stole obok niej stał szklany ciężarek do papierów i kolekcja rodzinnych fotografii: chudy chłopiec z fatalną fryzurą z lat siedemdziesiątych, stojący nad basenem, Klara w żółtej sukni z małą dziewczynką, zapewne córką. Jedno zdjęcie było czarno-białe: portret Klary zrobiony w studio może jakieś czterdzieści lat wcześniej. Rzucał się w oczy wyraźny brak mężczyzn: żadnych zdjęć ślubnych, żadnych szczęśliwych par. Jeśli w życiu Klary Palmgren były inne ważne osoby, wypadły już z ramek, dosłownie czy jakkolwiek. To, że zatrzymała swoje panięskie nazwisko, było kolejnym dowodem tego faktu.

Nie wspomniał o testamencie. Bał się, że ewentualność oszustwa może wpłynąć na to, co powie ta kobieta. Może stwierdzić na przykład, że była z Zoią bliżej niż w rzeczywistości.

- Pamięta ją pani dobrze? Wiem, że była bliską przyjaciółką pani matki.

Klara zmarszczyła czoło.

- Czy pamiętam...

- Zoię. Zoię Korwin-Krukowską.

Pokręciła głową, a jej córka wycofała się do kuchni, rzekomo, by zaparzyć dla nich kawę.

- Jest pani pewna? Bo wydaje się, że ona panią pamiętała, i pani brata.

- Mojego brata? Martina?

- Tak, Martina.

Zerknęła w stronę brudnych podwójnych okien.

- Martin mieszka teraz na wsi - powiedziała, jakby to coś wyjaśniało.

Elliot próbował odświeżyć jej pamięć. Są pewne cenne obrazy, mówił, spora część kolekcji Zoi. Chyba nie chciałyby zostawić ich obcym.

- Może powie mi pani, kiedy ostatnio ją pani widziała? Zaczniemy od tego.

- Tę Rosjankę?

- Tak, Zoię.

- Nie wiem, czy ją w ogóle widziałam. - Klara bezradnie wzruszyła ramionami. - Może jak byłam dzieckiem. Nie wiem.

Elliotowi przyszło do głowy, że ona nie ma pojęcia, czego on od niej chce. Nigdy nie słyszała o Zoi Korwin-Krukowskiej. Wspomniał jej matkę Monicę i wpuściła go, ponieważ nie wyglądał na zbrodniarza, i może dlatego, że nie ma wielu gości. Ale na tym koniec.

Zapewnie dostrzegła zakłopotanie na jego twarzy. Położyła ręce na podolku i odezwała się ciszej:

- Widzi pan, nie byliśmy blisko z matką, w każdym razie niezbyt długo. Brata i mnie wychowywał ojciec, Kristoffer Palmgren.

- Pani ojciec. Mogę spytać dlaczego?

Klara pomyślała przez moment, potem wzruszyła ramionami.

- Ona... zostawiła nas. Kiedy byliśmy bardzo mali. Ja miałam trzy czy cztery lata, Martin sześć. Pojechała do Paryża. Miała tam romans, jak się domyślam.

- Nie wie pani z kim?

Klara pokręciła głową, jakby nie była pewna, czy wie, czy też nie wie.

- Nie słyszałam nazwiska. To nie trwało długo.

- Powiedziała pani Francja. Kiedy to było dokładnie?

- Tuż przed wojną. - Przechyliła na bok głowę, zastanawiając się na tym. - Jej życie chyba nie było zbyt szczęśliwe. To znaczy mojej matki. Zawsze chciała czegoś więcej, emocji... innego życia. Ojciec twierdził, że w młodości była pod złym wpływem.

- Złym wpływem?

- Niemoralnych ekstrawaganckich ludzi. Miała wtedy trochę pieniędzy, od swojej rodziny. Wszystko straciła.

- Czy wróciła?

- Do Szwecji? O tak. Kiedy się zestarzała. Wtedy ją czasem widywaliśmy. Martin częściej niż ja. Zanim zmarła.

Spuściła wzrok na wytarty wzorzysty dywan na podłodze, kiwając głową jakby do siebie.

- Jak zmarła?

Klara nie podniosła wzroku.

- Na raka. W lutym tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego. - Nagle spojrzała na niego. - Może ta pana Rosjanka była na pogrzebie. Pamiętam, że przyjechało kilka osób, których nie znałam. Prawdę mówiąc, większości nie znałam. - Jej uśmiech zgasł. - Może powinien pan porozmawiać z Martinem.

- Gdzie jest pani brat? Powiedziała pani, że na wsi.

- W Igelsfors. To taka dziura po drugiej stronie Katrineholm. Chociaż on mieszka za wioską.

To musiało być co najmniej sto kilometrów, a pewnie nawet więcej wiejskimi drogami.

- Ma pani jego telefon? Klara westchnęła.

- On nie ma telefonu. Nie stać go na podłączenie. Powtarza, że kupi sobie komórkę, ale...

- Wzruszyła ramionami. - Pod pewnymi względami przypomina naszą matkę. Nie ma szczęścia do pieniędzy.

W drodze Elliot rozważył perspektywę dnia, dnia, który przyniesie mu co najwyżej jakieś wspomnienia z pogrzebu, w którym Zoia być może uczestniczyła. Nie wiedział, jak zapełnić tę białą plamę. Monica Fisk nie żyła, a jej dzieci nie znały Zoi. Mimo wszystko Zoia zostawiła im obrazy. Może to bez znaczenia. Może liczył się sam fakt istnienia listy. Czuł, jakby robił coś

złego. Myśl, że straci teraz ślad, budziła w nim panikę. Jeśli ślad tutaj się urywa, wszystko na nic. Wstał i podziękował Klarze, że poświęciła mu swój czas.

- Nie zostanie pan na kawę?

Jej córka pojawiła się w kuchennych drzwiach, niosąc dwa kubki. Zrobiła coś z włosami, zaczesła je do tyłu. I pomalowała powieki bladoniebieskim cieniem.

- Dziękuję, naprawdę muszę już iść. Klara podniosła się, żeby go odprowadzić.

- To bardzo ciekawe, co mówił pan o swojej pracy. Postaram się zobaczyć tę wystawę.

Elliot stanął jak wryty. W maleńkim przedpokoju wisiał obraz. Nie zauważył go, kiedy tu wchodził. Jakieś czterdzieści na trzydzieści centymetrów, mały drewniany dom nad jeziorem i las ciemnych sosen wzdłuż brzegu. Olej i listki złota na desce.

Jeziro było pomarszczoną złotą powierzchnią.

- Ten obraz - powiedział. - Co pani o nim wie? Klara podeszła i stanęła obok niego.

- A ten. Tam mieszka teraz mój brat. To jest to miejsce, o którym panu mówiłam.

- Igelsfors?

- Kiedyś to był letni dom mojej babki. Matki ojca. Mówiłam panu, że kiedyś mieli pieniądze. W końcu go sprzedali, przypuszczam, że matka go sprzedała. Ale stał pusty. No i kilka lat temu mój brat go odkupił. Miał szczęśliwe wspomnienia związane z tym domem. No i zamierzał go remontować.

- Kiedy został namalowany ten obraz? Klara wzruszyła ramionami.

- Nie powiem panu. Wisiał w domu babki, kiedy dorastałam. Więc pewnie pochodzi sprzed wojny.

Przebiegła palcami po dolnej części surowej drewnianej ramy. Była zakurzona.

36

Z tyłu obrazu znalazł inicjały, w lewym dolnym rogu, częściowo ukryte pod ramą. Napisała je jednym zamaszystym ruchem - ZKK - na pierwszy rzut oka wyglądały jak szczelina w drewnie. Ale patrząc przez szkło powiększające, stwierdził, że pismo było bez wątpienia Zoi.

To nie był pierwszy raz. Kilka obrazów z lat trzydziestych Zoia podpisała w ten właśnie sposób. Nie było jasne dlaczego. Możliwe, że robiła to zgodnie z jakąś tradycją ikonograficzną. Twórcy ikon nie podpisywali swoich prac. Celem ikony było skupienie uwagi ludzi na Bogu. Świat, egotyzm tkwiący w widocznym podpisie uważano za niewłaściwy. Sawwa Leskow

przedstawił tę ideę w swoim esej w „Le Figaro”. Zoia pokonała swoje zahamowania, dopiero kiedy odnalazła się jako artystka świecka, pisał. Uważał, że wtedy podpisała swoje wczesne prace na złocie, przynajmniej te, które zdołała wytropić. Elliota to nie przekonywało. Jego zdaniem to były eksperymentalne prace, nieprzeznaczone na wystawę ani na sprzedaż. Nie chodziło o to, żeby były ewidentnie złe czy niewykończone. Raczej osobiste, których nie była jeszcze gotowa pokazywać.

Klara Palmgren słuchała Elliota z otwartymi ustami. Wydawało jej się dotąd, że obraz został namalowany przez jej dziadka. Dlatego go zatrzymała. Nie miała pojęcia, że jest cenny ani że złoto jest prawdziwe. Chyba się ucieszyła, że weźmie udział w wielkim wydarzeniu, podnieconym głosem zawołała córkę i poprosiła Elliota, żeby wszystko powtórzył.

- Nie mogę powiedzieć, za ile ten obraz się sprzeda. Ale zainteresowanie rośnie. Chce pani go sprzedać?

Jedno spojrzenie na ich twarze wystarczyło, żeby zrozumiał, że to głupie pytanie.

- Proszę posłuchać, może pozwoli pani, że wezmę go do Bukowskiego? Zobaczmy, co oni powiedzą. Jeśli dadzą jakieś dobre miejsce w katalogu, jego szanse się zwiększą.

Klara natychmiast wyraziła zgodę i pozwoliłaby mu odejść z obrazem, nie pytając nawet o szczegóły, gdyby nie uparł się, że zostawi jej swoje dane. Teraz jechał z powrotem do Sztokholmu z jednym z pierwszych obrazów Zoi przymocowanym do tylnego siedzenia, opakowanym w starą gazetę i obwiązany nylonowym sznurkiem. Tak jak dawniej.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Nareszcie ma coś do pokazania, coś, czego nawet Cornelius Wallander nie może zlekceważyć. Wyobraził sobie podwójne strony w katalogu, z jednej reprodukcja obrazu, z drugiej fragment jednego z listów Moniki Fisk. Następnego dnia rano pojedzie do Igelsfors, może zrobi kilka zdjęć letniego domu. Może nawet znajdzie tam kolejne obrazy, które czekają na odkrycie.

W ten sposób zyska na czasie. W Bukowskim nikt nie będzie narzekać, jeśli znajdzie nowe obrazy na sprzedaż. Nawet Kerstin Östlund nie miałyby mu za złe. Dzięki temu przynajmniej dzieci Moniki Fisk coś dostaną.

Zostawił samochód na parkingu i poszedł do Bukowskiego z obrazem pod pachą. Tym razem w recepcji siedziała inna dziewczyna: krótkie mysie włosy, pełna twarz, szkła w nonsensownych prostokątnych oprawkach. Podniosła na niego wzrok z profesjonalnym uśmiechem.

- Czy zastałem Corneliusa? Jestem Marcus Elliot.

Jej uśmiech zgasł, kiedy dostrzegła szramy na jego twarzy.

- Wydaje mi się, że ma gościa, panie Elliot. Chwileczkę.

Nacisnęła jakiś przycisk w centralce i zamieniła kilka słów z sekretarką Corneliusa. Dwóch strażników stojących przy wejściu do głównej sali aukcyjnej przyglądało mu się. Za kolejnymi drzwiami trwała aukcja, melodyjny głos licytatora ledwie przebijał się przez szum urządzeń klimatyzacyjnych.

- Obawiam się, że pana Wallandera nie ma w biurze. Oprowadza kogoś. Chce pan zaczekać?

- A gdzie jest? Na dole? Nie odpowiedziała mu.

- Proszę usiąść na chwilę. Ktoś do pana zejdzie.

Elliot niechętnie jej posłuchał. Kiedy był tu poprzednim razem, mógł poruszać się po budynku niemal bez ograniczeń. Teraz kazano mu czekać w recepcji, aż ktoś zejdzie.

Siedział pięć minut, patrząc na zegar na ścianie, obserwowany przez strażników. Już miał się poskarżyć, kiedy drzwi sali aukcyjnej otworzyły się na oścież i wysypała się z nich grupa osób, które ubiwszy interes, w pośpiechu wkładały płaszcze i szaliki. Większość z nich wychodziła na ulicę, część tłoczyła się wokół recepcji, prosząc o informacje. Elliot wykorzystał okazję i szybkim krokiem przemknął w stronę wind. Kilka chwil później był już na dole w piwnicy i szedł ciemnym pustym korytarzem, wdychając zapach zaprawy charakterystyczny dla placu budowy.

Tak jak się spodziewał, w pomieszczeniu z obrazami Zoi paliło się światło. Drzwi były uchylone. Przystanął przed nimi i nadstawił uszu, chciał wiedzieć, kim jest gość Corneliusa. Ale niczego nie słyszał.

Wszedł zatem do środka. Wszystkie obrazy, które już widział, nadal tam były. Przy ścianach na lewo i prawo przybyło kilka nowych. Duża aluminiowa drabina stała na środku przejścia.

- Cornelius?

Jakiś mężczyzna wyszedł zza *Orchidei w czerwonym wazonie*.

- Rozmawia przez telefon. Zaraz wróci.

Obcy był w średnim wieku, ubrany poważnie w trzyczęściowy garnitur z krawatem w kolorze czerwonego wina. Miał długi, zakrzywiony nos i cienkie siwe włosy zaczesane do tyłu, odkrywające wydatne czoło. W ręku trzymał niezapaloną fajkę, zapach tytoniu mieszał się ze słabą wonią eau sauvage.

- Sawwa Leskow. Miło mi.

Przez moment Elliot pomyślał, że to żart. Zawsze wyobrażał sobie Leskowa jako pełnego energii, zadufanego młodego człowieka, z gęstymi kędzierzawymi włosami i w okularach z grubymi szklami - nieco przypominałby młodego Gustawa Mahlera. Ale eseje w „Figaro” pochodziły sprzed jedenastu lat, od tamtego czasu nie widział zdjęcia tego człowieka.

Elliot przedstawił się i uścisnęli sobie dłonie, potem mruknął, że pracuje dla Corneliusa Wallandera. Nie wiedział, co jeszcze powiedzieć.

Leskow prawdopodobnie wyczuł jego zakłopotanie. Włożył fajkę do ust i wskazał na pakunek pod ramieniem Elliota.

- Co to jest, nowy obraz?

Jego angielski był bezbłędny, ledwie z cieniem akcentu trochę słowiańskiego i trochę francuskiego.

- Tak, tak, zgadza się. - Elliot zdjął papier i pokazał obraz. - To miejsce niedaleko Katrineholm. Dom należał do przyjaciółki Zoi. Albo ojca przyjaciółki. Pochodzi z lat trzydziestych.

Leskow spojrzał na obraz, splatając ramiona na piersi.

- Interesujący. Bardzo interesujący.

Nachylił się, polizał czubek palca i zanim Elliot zdążył zaprotestować, przejechał nim po obrazie. Zrobił to tak zwyczajnie, jakby obraz należał do niego.

- Złocenie na pulmencie - stwierdził, jakby jego werdykt był w oczywisty sposób oczekiwany. - Ale kiepskie wykonanie. Widzi pan, tutaj złoto zaczyna odpadać. Problem z gesso, jak sądzę. Albo źle dobrała drewno. Źle dobrane drewno może wypaczyć się w takim klimacie.

- Ten obraz powstał przed wyjazdem do Włoch - powiedział Elliot. - Wtedy jeszcze eksperymentowała z tą techniką.

Leskow przytaknął.

- Najwyraźniej. - Cofnął się i przechylił głowę. - Mimo to jest niezwykły. Ta złota woda. Dom, a nawet drzewa, wyglądają przy niej tak krucho. Jakby zawieszane. Nie sądzi pan? Jakby zostały zakonserwowane w bursztynie.

Elliot oparł obraz o stół. Do tej pory nie miał czasu przyjrzeć mu się z bliska.

- To właśnie jest takie ważne, jeśli chodzi o złoto - ciągnął Leskow. Zachowywał się jak człowiek rozwiązujący jakiś problem, usiłujący znaleźć właściwe słowa. Być może układał w myśli kolejny esej. - To właśnie jest ten wabik. Nieśmiertelność złota. Fakt, że trwa niezmiennie, bez skazy. Jak słońce. W złych rękach jest niemal zbyt idealne.

- To znaczy jarmarczne.

- Cóż, niektórzy uważają, że to jest jarmarczne. - Leskow wskazał na dalszą część pomieszczenia. - To wszystko.

- A pan?

Leskow posażł niezapaloną fajkę i uniósł brwi zaskoczony bezpośredniością pytania. Potem zaśmiał się, jakby usłyszał jakiś dowcip.

- Ja podziwiam jej odwagę. Rosja była czerwona od krwi. A ona malowała ją złotem, kolorem życia wiecznego. Można uznać, że to naiwne albo że aroganckie.

I znowu pojawiła się kwestia patriotyzmu. Pogląd Leskova nie zmienił się od jedenastu lat. A słysząc to z jego własnych ust, Elliot ze zdziwieniem stwierdził, jakie to przekonujące - gdyby opierać się wyłącznie na obrazach.

- Ale to nie jest Rosja. To Szwecja.

- Tak. Ale czyż wszystko, co malowała, nie było Rosją? A przynajmniej światem widzianym oczami Rosjanki. Rosja ją nazaczyła, podobnie jak wszystkich nas, którzy tam się urodziliśmy.

Ni stąd, ni zowąd Elliot zobaczył Hildur Backlin, przygarbioną na swoim fotelu na kółkach i machającą pokrzywionym palcem. *Jej Rosja była marzeniem. Pięknym marzeniem. Prawdziwej Rosji nienawidziła.*

Leskow stuknął fajką o zęby.

- Czasami mnie też to niepokoi, muszę przyznać. Patrę na te obrazy znowu po tak długim czasie. Technika wydaje się taka... wymagająca. - Wskazał na duży pejzaż portu w Sztokholmie. - Taka wystudiowana, wie pan, że obrazy są w zasadzie... Nie wiem, jak to powiedzieć - *nieme*. Czy to ma jakiś sens?

Wydawał się szczerze zaintrygowany. Ale Elliot zawsze znał na to odpowiedź.

- Z listkami złota ma pan tylko jedną szansę. Każde dotknięcie pędzla jest pierwszym i ostatnim. Nie może pan ukryć swoich błędów. Artysta musi być wyjątkowo ostrożny. Bardzo rozważny.

- Ach tak, błędy. *Pentimenti* - tak się to mówi. Prawda? Żale?

- Tak.

- Mimo wszystko. - Zmarszczka na czole Leskova pogłębiła się. - Innymi słowy, błędy są bardzo dobrze ukryte, prawda? Naprawdę bardzo dobrze ukryte.

- O czym pan mówi?

- Cóż, jeśli prześwietlimy normalny obraz promieniami rentgena, olej na płótnie czy cokolwiek innego, widzimy, co jest pod spodem, prawda? Pierwsze kiepskie próby, fragmenty, które zostały zamalowane, i tak dalej, i tak dalej. Można dosyć dokładnie zrekonstruować cały proces powstawania obrazu.

- Tak przypuszczam.

- Ale nie w przypadku tych obrazów, z powodu złota. Złoto, podobnie jak ołów, nie przepuszcza promieni rentgena. I jest o wiele trwalsze od farby. Jest jak trwała, nieprzenikalna skóra. Jak sarkofagi faraona, na przykład Tutenchamona.

Na wspomnienie o faraonie Elliot podniósł głowę. Poczł się, jakby Leskow śledził jego pracę.

Zdawkowy uśmiech rozświetlił twarz krytyka.

- Więc, jako analitycy, jesteśmy ślepi. Możemy się opierać wyłącznie na tym, co jest na powierzchni. Oczywiście Zoia nie przejmowała się tym wszystkim w trzydziestym piątym roku - Leskow wzruszył ramionami. - Tak, myślę, że ma pan rację. To dekoracyjny charakter złota nadaje obrazom tę kruchość.

Kruchość. Elliot przeczuwał, że Leskow do czegoś zmierza, ale nie podobała mu się ta linia rozumowania. Krytyk nie ma prawa do wglądu. On pozostaje na zewnątrz. Zgaduje, jak wszyscy inni, opracowując wiarygodnie brzmiące stanowisko, które współgra z daną okazją.

- Rozumiem, że pan ich nie kupuje - powiedział Elliot.

- Kupować? O Boże, nie. Jestem tu, bo mam napisać katalog. Trochę na ostatnią chwilę, jak to mówią, ale dam radę.

Minął jakiś czas, zanim te słowa dotarły do Elliota.

- Co takiego? Katalog? Powiedział pan katalog?

Z zewnątrz dobiegły ich jakieś głosy, Cornelius wracał z kolejnym gościem. Wtedy Elliot zrozumiał, że to prawda. Został zastąpiony przez kogoś innego. Bez szczerzej rozmowy. Bez żadnego ostatniego ostrzeżenia. Wynocha.

Powinien był oddzwonić do Corneliusa. Zamierzał to kiedyś zrobić. Ale gdy w końcu się do tego przymierzył, okazało się, że bateria w komórce siadła. A w domu Zoi nie miał szansy jej naładować.

Kolejnym gościem był Lew Demiczew. Oczywiście. To Demiczew sprowadził Sawwę Leskowa. Pewnie byli kolegami od czasów moskiewskich.

Na widok Elliota Cornelius zaczerwienił się. Było to niemal komiczne, jak szybko jego twarz zmieniła kolor, jakby ktoś pociągnął za jakiś sznurek w jego głowie.

- Marcus, co za niespodzianka.

- Co się dzieje, Cornelius? Jestem niedostępny przez dwa dni, a ty mnie wyrzucasz?

Demiczew pospiesznie wziął profesora Leskowa za ramię i zaciągnął na drugi koniec pomieszczenia, zalewając go słowami.

- Dwa dni? Marcus, od tygodnia usiłowałem cię złapać.

- Od tygodnia? O czym ty mówisz?

Ale nagle stracił pewność, ile czasu minęło od obiadu u Corneliusa. Spróbował policzyć dni. Prawdę mówiąc, stracił poczucie czasu. W domu Zoi działał zgodnie z rytmem swoich badań, potrzebą jedzenia i odpoczynku, potrzebą zebrania drewna na podpałkę. Patrząc wstecz, nawet sen i jawa były trudne do odróżnienia. W snach widział jej listy i ludzi, którzy je pisali. Na jawie wyobrażał ich sobie, jak stoją obok dużego okna i patrzą na morze i zmieniające się niebo. Wypełnili jego świat od krańca do krańca. Byli jego towarzyszami i przewodnikami. Nie miał pojęcia, jak długo to trwało.

- Mówiłem ci, Marcus, że potrzebna mi krótka nota dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych. W końcu musiałem sam ją napisać. Frederic strasznie kręcił nosem.

- Zapomniałem. Pracowałem, Cornelius, cały czas pracowałem. Przywiozłem nawet dla ciebie nowy obraz. Jest tam. Pochodzi z około trzydziestego piątego, olej i listki złota na dębie. Przedstawia letni dom w pobliżu wioski Igelsfors. Chociaż nie znajdziesz tej informacji z tyłu.

Patrząc na obraz, Cornelius jeszcze bardziej poczerwieniał.

- Jestem pewny, że dojdziemy do jakiegoś porozumienia. Znaleźne czy coś takiego.

Próbował przesunąć Elliota w kierunku drzwi, ale ten ani drgnął.

- Nie możesz tego zrobić. Mamy umowę.

- Przykro mi, Marcus, ale nie dałeś mi wyboru. Prosiłem cię o wykonanie pracy, a ty jej nie wykonałeś. Prosiłem o jakiś dowód twoich postępów i nic nie otrzymałem. A potem w ogóle zniknąłeś. Nie rozumiesz chyba, co...

- Nie rozumiem? A sądzisz, że on rozumie...

Wskazał na drugi koniec pomieszczenia. Stał tam Leskow, przed *Aktorką*, pogrążony w rozmowie.

- Profesora Leskowa można chyba nazwać autorytetem. Mieliśmy szczęście, że się zgodził.

- Autorytet? Chyba żartujesz? Jeśli on jest autorytetem, dlaczego nie zapytasz, na kogo właśnie patrzy? No idź, zapytaj, czyj to portret?

- Na Boga, Marcus, jaka to różnica?

- To jest Hildur Backlin, mieszka w domu spokojnej starości w Södertälje. Spotkałem się z nią.

- Marcus, to bardzo ciekawe, ale nie tego nam trzeba. - Twarz Corneliusa w jednej chwili uległa zmianie, wyrażając teraz litość. - Nie rozmawiamy o Picassie. To nie jest Rembrandt. To artystka mniejszego formatu. I zawsze taką pozostanie. Interesująca, chętnie kupowana przez kolekcjonerów. Może nawet modna, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem. Ale to wszystko. To wszystko. - Wyciągnął rękę i położył ją na ramieniu Elliota. - Na litość boską, skąd ci przyszło do głowy, że ona jest warta tego całego... wysiłku? Co ty w tym widzisz?

Ręka Corneliusa była zimna i ciężka. Elliot czuł, jak popycha go w dół, w ciemne beznadziejne głębie z siłą nieuchronności. Zoia uciekła im jakoś, tamtego ranka w La Marsa. Znalazła sposób, i to było w jej sztuce. Tak przynajmniej uważał do tej pory, ale teraz stracił już pewność. Jej sztuka była krucha, jak powiedział profesor Leskow. Może to prawda.

Co on właściwie znalazł w niej dla siebie? Może nic. Może jednak nic.

Leskow podchodził do nich, nie przestając mówić. Ale Demiczew nie słuchał go. Bardzo niepokoił się, co zrobi Elliot. Cornelius trzymał go teraz za rękę i kierował do drzwi.

- Posłuchaj, przekaż nam to, co zrobiłeś do tej pory, i znajdziemy jakieś rozwiązanie. Dopilnuję, żebyś dostał rekompensatę za stracony czas. To chyba uczciwe, prawda?

W progu Elliot odwrócił się i raz jeszcze objął wzrokiem ten dziwny tajemny tunel złota. Obrazy, które tylko on mógł zrozumieć. Chcieli, żeby oddał im wyniki swojej pracy. Za nic w świecie.

- A przy okazji, Cornelius - powiedział. - Ta aktorka, jestem zdziwiony, że jej nie pamiętasz.

- Aktorka?

- Ta z portretu, Hildur Backlin. Cornelius uśmiechnął się nerwowo.

- Myśle, że ona jest z innej epoki.

- Nie, Cornelius, ona jest jak najbardziej z naszej epoki. I to do niej należy ten cholerny obraz.

Cornelius zaśmiał się.

- Co?

- Nie pamiętasz? Czy może nie pokazano ci oryginalnego testamentu? To znaczy, tego prawdziwego.

- O czym ty mówisz? - Cornelius wciąż się śmiał, ale jego twarz pobiadła śmiertelnie.

- Powinieneś uważać, co podpisujesz, Cornelius. Powinieneś bardziej uważać, z kim się podpisujesz. Złe towarzystwo nigdy nie popłaca. Zapytaj Lwa.

Nagle twarz Corneliusa stężała, spocił się. Elliot stał wystarczająco blisko, żeby to poczuć. Przygotował się na cios.

- Wiem, z kim rozmawiałeś. Z tą dziewczyną, Östlund - Cornelius trząsał się z furii. - Tą, która nazywa siebie dziennikarką. Którą wylaliśmy, bo stale była pijana.

- Pijana?

- Pijana, w trupa. Nie wiem, o co jej chodzi, ale wiem jedno: ona jest jeszcze bardziej szalona niż ty. To znaczy, ona cierpi na urojenia.

Pozostali dwaj patrzyli na nich. Leskow z otwartymi ustami, Demiczew z zimną pogardą.

- Jestem zdumiony, że tego nie zauważyłeś, Marcus, biorąc pod uwagę twoje niedawne doświadczenia.

Elliot odszedł, ale Cornelius jeszcze nie skończył. Szedł za nim korytarzem.

- Żałuję, że nie wiem, o co chodzi, Marcus. Naprawdę chcesz się zniszczyć?

Jego głos brzmiał teraz inaczej. Zniknęła złość albo ją ukrył.

- Jeśli naprawdę zależy ci na córce, jeśli naprawdę chcesz ją odzyskać, nie powinieneś tego robić. Nie powinieneś.

Elliot chciał mu odpowiedzieć, powiedzieć coś, cokolwiek, co starłoby ten wyraz litości z jego triumfującej błyszczącej twarzy. Ale jego serce waliło tak mocno, że nie mógł złapać oddechu, by wykrztusić choć słowo.

37

Błyskawica zaznaczyła kreską linię horyzontu. Grzmot odbił się echem. Elliot był w połowie portu, kiedy rozszalała się burza. Patrzył, jak ściany deszczu powoli zalewają miasto - wieże, biurowce, lampy uliczne - przemieszczając się na wschód. Ulewa przetoczyła się po moście i spadła z bębnieniem na dach samochodu, pokonując wycieraczki, zatrzymując ruch, aż nie widział nic prócz świateł samochodu, który stał przed nim.

Gdzieś w Södermalm minął zakręt. Znalazł się na nieznanym mu ulicy, utknął w korku, niepewny, czy jedzie we właściwym kierunku. Na przedzie zdarzył się wypadek. Rzędy świateł awaryjnych mrugały w przesiąkniętym wilgocią powietrzu. Jeden z kierowców z tyłu wybiegł na drogę w płaszczu narzuconym na głowę. Elliot spuścił szybę w oknie.

- Czy dojadę tedy do szosy dwieście dwadzieścia osiem? Tej na wschód?

Kierowca potrząsnął głową.

- Ta prowadzi do E cztery. Autobahn. Na zachód.

Dopiero wtedy Elliot uświadomił sobie, gdzie musi jechać, dokąd tak naprawdę zmierza. Do swojego kolejnego celu. Na południe, do Katrineholm, na południe, do domu w pobliżu Igelsfors, gdzie Zoia pracowała po pobycie w Tunezji. Jechał tam, jakby nic się nie stało, jakby nadal pracował dla Bukowskiego, pomagał przygotować wielką retrospektywę. Tyle że tak naprawdę nigdy tego nie robił, od dnia, kiedy wszedł do podziemi Corneliusa i zobaczył aleję złota. Wcześniej czy później byli skazani na rozstanie, pozostawała tylko kwestia tego, kiedy i jak.

Planował wybrać się do Igelsfors za dzień czy dwa, kiedy pani Palmgren skontaktuje się z bratem. Ale sytuacja się zmieniła i teraz nie mógł sobie pozwolić na zwłokę. W Bukowskim namieszali mu w głowie. A on w złości wyrzucił z siebie jakieś ogólne groźby związane z autentycznością testamentu, testamentu, który był, prawdę mówiąc, kamieniem węgielnym całego projektu związanego z Zoia. Nie postąpił zbyt mądrze. Miał przecucie, że Cornelius tak tego nie zostawi. No i jeszcze ten Lew Demiczew. Pod maską ogłady to gangster, gangster z koneksjami. Dlatego lubił świat sztuki. Dzięki niemu dostał się na salony bardzo ustosunkowanych ludzi.

Dojechał do autostrady dopiero po pół godzinie. Poruszając się w korku, czuł się bezbronny. W Rosji lubili zabijać ludzi w samochodach. W samochodzie jest się łatwym celem dla zamachowca na motorze. Podjedzie taki, zapuka w okno, pytając o drogę, i zniknie, zanim ktokolwiek zauważy, że za kierownicą siedzi już trup. Kilku dawnych wspólników Lwa Demicze-wa zginęło w ten sposób. Przechwalał się tym, to należało do jego osobistej mitologii. Nie przyznawał się do współudziału, nawet o tym nie napomykał. Ale przekaz był czytelny: żył w tym świecie i przetrwał, i dzięki temu był silniejszy niż wszyscy, którzy go nie znali.

Na autostradzie Elliot zerkał wciąż w lusterko. Pięćdziesiąt kilometrów za miastem skręcił na drogę prowadzącą w głąb lądu. Temperatura szybko spadała. Deszcz ustał, ale wkrótce tumany mokrego śniegu osiadały na wycieraczkach. Ruch rzedł z każdą chwilą, aż na drodze został tylko srebrny mercedes jakieś sto metrów za nim. Elliot zwolnił, chciał przekonać się,

czy samochód go doścignie i wyminie. Ale kiedy zwolnił, tamten zrobił to samo. Z walącym sercem obserwował go w lusterku przez jakieś dwadzieścia minut. A gdy zaparkował na stacji serwisowej, minął go jakiś lexus, a mercedes po drodze zniknął.

Wszedł do pustego baru i zamówił kawę. Usiadł, patrząc na parking, świadom, że to szaleństwo podejrzewać, że ktoś go śledzi. Jakby Lew miał KGB do dyspozycji. Jakby KGB nadal istniało.

Potem pomyślał o Kerstin Östlund. Ona go śledziła. A przynajmniej obserwowała Bukowskiego, a potem jego hotel, a to prawie to samo. A jeżeli to faktycznie wariatka, jak powiedział Cornelius? Cierpi na urojenia. Jeśli jej opowieści o testamencie i cała reszta to tylko bujdy, wymysły, ekstrapolacje, których nie potrafi odróżnić od faktów?

Poczuł nudności. Odsunął się od stolika. Nie chciał, żeby to była prawda. Nie chciał, żeby była wariatką. Widział ją teraz, siedzącą naprzeciw niego w Ibis Majestic. Widział to dziwne zagłębienie na jej czole, tę szramę sięgającą pod linię włosów.

A jeśli wymyśliła całą historię? Przyglądał się ostatnim płatkom śniegu dryfującym w świetle lamp ulicznych i próbował sobie wyobrazić, jak do tego doszło. Zoia była dla niej dobra w trudnych chwilach, powiedziała Kerstin. To z pewnością prawda. Ale może Kerstin nie potrafiła znieść, że to się skończyło. Zoia dotknęła jej życia, a ona musiała znaleźć sposób na to, by przedłużyć owo doświadczenie, pozostać w jakiś sposób blisko z nią związana. Może Cornelius i jego kumple byli w jej oczach intruzami. Znowu zabierali jej Zoię.

A może było jeszcze inaczej. Może ona w ogóle nie знаła Zoi.

Studiował mapę drogową. Do Katrineholm zostało jeszcze ponad pięćdziesiąt kilometrów, kolejne dwadzieścia pięć kilometrów do skrętu do Igelsfors, i jeszcze czterdzieści bocznymi drogami do samej wioski. Dalej musiałby pytać o drogę, chociaż minęła już dziewiąta. Za chwilę zrobi się zbyt późno, żeby pukać do obcych drzwi. Brnął zatem dalej, gdyż chciał dostać się możliwie najbliżej swojego celu, no i wolał prowadzić niż myśleć. Jechał tak, póki nie poczuł, że wszystko go boli, a oczy pieką.

Dotarł do starego, zbudowanego z kamieni hotelu na zboczu wzniesienia, obok wioski Regna, jego światła paliły się osobliwie jasno w środku pustego krajobrazu. Wynajął pokój i poszedł do łóżka, modląc się o spokojny sen.

Nazajutrz rano znalazł wiadomość głosową na swojej komórce. Cornelius Wallander nagrał ją poprzedniego wieczoru, jakąś godzinę po ich spotkaniu. Brzmiał ugodowo, chociaż ostrożnie. Powiedział, że rozumie zaskoczenie Elliota obrotem wydarzeń. To musiał być dla

niego szok. Zaangażowanie profesora Leskova to nie lada wyczyn i za późno już, by wracać do poprzednich ustaleń, ale oczywiście Elliot powinien otrzymać pełną rekompensatę za swoje wysiłki. Oczywiście. Musi tylko usiąść z profesorem Leskowem i przedstawić mu to, czego dowiedział się do tej pory. W ten sposób nic nie zostanie stracone. Cornelius był pewien, że profesor także dopilnuje, by wynagrodzili Elliota za pomoc, więc bez urazy.

Elliot odniósł wrażenie, że to wiadomość dla kogoś innego. Otworzyła się między nimi wielka przepaść, przepaść, która przysłała wraz ze zrozumieniem. Cornelius, Bukowski, Lew Demiczew - związki z nimi stanowiły dla niego przeszkodę. Teraz był wolny. Mógł iść tropem prawdy, nie myśląc o kompromisie. Nie musiał brać udziału w wyścigu po pieniądze z kieszeni obserwatorów. Pozostał z Zoią sam na sam. I nieważne, że to spotkanie było prywatne. Może zawsze miało takie być. Niewykluczone, że tylko w ten sposób można zdobyć pewną określoną wiedzę, w samotności.

Wiadomość Corneliusa zdawała się nie mieć końca. Chciał jeszcze, żeby Elliot jak najszybciej oddzwonił do niego. Przeprosił, jeśli powiedział coś obraźliwego. Nie chciał, by Elliot wyjechał ze Szwecji, póki się jeszcze raz nie spotkają. To ważne, podkreślił, bardzo ważne.

Elliot rozłączył się, zanim nagranie dobiegło końca.

38

Martin Palmgren sprawiał wrażenie pustelnika. Mieszkał na odludziu, w domu bez telefonu. Jego siostra twierdziła, że był rzeźbiarzem, który nie mógł sprzedać swoich prac. Zarabiał na życie, rzeźbiąc małe figurki zwierząt dla sklepów z pamiątkami dla turystów. Elliot zastanawiał się, jak to będzie, kiedy przyjedzie tam ni z tego, ni z owego, bez zapowiedzi, ale okazało się, że Palmgren go oczekiwał.

- Klara dzwoniła do mojego sąsiada, Agdy. Agda to mój kontakt ze światem.

Elliot zatrzymał się, by zapytać o drogę, przypuszczał, że znajduje się jeszcze daleko od tego domu. Tymczasem mężczyzna, który sprzątał śnieg przed bramą, okazał się być samym Martinem Palmgrenem.

- Klara powiedziała, że pan się pojawi lada dzień. Mówiła, że interesuje pana historia rodzinna.

Był wysoki, miał krótką zadziorną brodę w kilku odcieniach szarości. Pokażnych rozmiarów puchowa kurtka wisiała na jego szczupłym ciele.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - rzekł Elliot.

- Nie, świetnie pan trafił. Jak pierwszy dzień wiosny. - Palmgren wyciągnął artretyczne rękę w stronę nieba. - Wszystko na pana czeka. Niech pan wchodzi, proszę.

I gestem dłoni kazał Elliotowi jechać dalej podjazdem.

Dom był wysoki jak stodoła, otoczony sosnami i srebrnymi brzoźami. Deski na ścianach zostały ułożone pionowo i pomalowane na kolor rdzawej czerwieni, z którą kontrastowały białe framugi okien. Było w tym domu coś, co przypominało Elliotowi jego własne dzieciństwo, nordyckie bajki o czarach, wilkach i dzieciach zagubionych w lesie. W domu trwał remont. Dach był częściowo zakryty folią, worki cementu i rynny ze stali stały w otwartej szopie obok starego, zabłoconego land-rovera. Elliot wysiadł z samochodu i patrzył na dom, próbując porównać go w myśli z domem z obrazu Zoi. Kolor był inny: dom Zoi był ciemniejszy, w kolorze zaschniętej krwi. Ale kształt i otoczenie się nie zmieniły.

Wewnątrz zobaczył więcej śladów remontu. W holu leżały deski podłogowe, duża część ścian wewnętrznych była otynkowana, ale jeszcze nie pomalowana, nagie druty wystawały z nieistniejących gniazdek. Pachniało tam trocinami i stęchłym tytoniem.

- Jak długo pan tu mieszka?

Palmgren prowadził go dalej i pokazywał pomieszczenia na parterze. Zdjął kurtkę, pod którą miał wzorzysty szary sweter z dziurami na łokciach.

- Jakieś trzy lata. Jeszcze dwa i skończę robotę.

Minęli brudną kuchnię. Puszki farby, niektóre otwarte, stały na blatach.

- Szkoda, że pan nie widział, w jakim stanie go kupiłem. Palmgren robił wszystko sam, płacił za materiały w ratach, kupował je, kiedy było go na to stać. To była praca z miłości, a on wydawał się zadowolony, że ma okazję pochwalić się nią.

- Musiał pan być tutaj bardzo szczęśliwy - stwierdził Elliot, kiedy wchodzili po schodach. - Żeby włożyć w to tyle wysiłku.

- Moje wspomnienia z dzieciństwa są dość mgliste, prawdę mówiąc. Ale pamiętam, że dom zawsze był pełen ludzi. Gości. Mój dziadek znał wielu artystów, wie pan. Przyjeżdżali tu w lecie pracować. Jak mawiał, szukali tu schronienia.

- Schronienia?

- Tak mawiał. Nie za bardzo lubił miasto.

- Ale Monica, pańska matka, sprzedała ten dom, prawda? Stali teraz na podeście. Palmgren nie oglądał się za siebie.

- Tak, sprzedała. - Podeszedł do podwójnych drzwi i otworzył je. - To musi pan zobaczyć, właśnie to tak lubię w tym domu.

Kiedyś najprawdopodobniej był tu salon albo główna sypialnia. Pokój zajmował połowę pierwszego piętra, był wysoki i miał wysokie okna po dwóch stronach. Martin Palmgren urządził tam swoją pracownię. Na środku na podłodze stały dwie figury naturalnych rozmiarów wyrzeźbione w drewnie, prymitywne ludzkie postaci, które sprawiały wrażenie, jakby wydobywały się z ziemi. Wszędzie pełno było drzazg i strużyn. Jego narzędzia - dłuta, drewniane młotki i piły - leżały rozrzucone na starych drzwiach położonych na kozłach. W rogach walały się książki i stare meble.

Okna miały w sobie coś znajomego, proporcje krzyża, który dzielił je na cztery części.

- Niech pan wyjrzy na zewnątrz - powiedział Palmgren.

W dole pod nimi widniało jezioro, jakieś półtora kilometra wody, otoczonej pierścieniem drzew. W oddali Elliot dostrzegł bladoniebieską wstęgę wzgórz.

- W lecie słońce tam zachodzi, rozświetla cały pokój.

Elliot wyobraził sobie światło słoneczne tańczące na ścianach i na suficie. Wyobraził sobie Zoię, która stoi w miejscu, gdzie on teraz stał, z pędzlem w dłoni. Ale nadal nie wiedział, co myślała, choć był już bliżej, bliżej niż kiedykolwiek.

Przeniósł wzrok na rzeźby. Zostały wykonane z wielką starannością i wielkim nakładem pracy, ale trudno by nazwać je pięknymi. Ich prymitywizm był świadomy, wymuszony. Żeby sprzedać podobne rzeźby, trzeba mieć dużo szczęścia i wyrobione nazwisko. Martin Palmgren, rzecz jasna, nie posiadał ani jednego, ani drugiego.

- I jak się panu podobają? - spytał z nadzieją. - Oczywiście nie są jeszcze skończone.

Przy kawie rozmawiali o rynku sztuki. Palmgren uznał chyba, że niebiosy zesłały mu szansę otrzymania profesjonalnej porady i posłuchania o najnowszych trendach. Elliot mówił tak, jakby trzymał rękę na pulsie. Podał Palmgrenowi nazwiska kilku marszandów, a nawet zaoferował się, że pokaże im zdjęcia jego prac. Palmgren powiedział, że ma ich już mnóstwo.

Zdjęcia znajdowały się w małym studio na drugim piętrze. To było jedyne miejsce w domu, gdzie pośród stosów śmieci, materiałów budowlanych i starych książek dało się zobaczyć wysepki pewnej organizacji i porządku. Elliot spostrzegł ponumerowane pudełka z fiszkami na półce i dwie stalowe szafki na dokumenty.

Zdjęcia zaskoczyły go swoją jakością. Były czarno-białe, dzięki czemu rzeźby zyskały więcej kontrastu, wiarygodności i wigoru.

Na szerokim dębowym biurku leżał stos albumów ze starymi fotografiami.

- To wszystko rzeczy mojej matki - oznajmił Palmgren. - Większość z nich uratowałem po jej śmierci. Niewiele tego. Trochę listów, trochę zdjęć. Nie chciało jej się ich opisywać, więc miałem trudne zadanie, kiedy je układałem.

- To znaczy, chronologicznie? Palmgren przytaknął.

- No i jest dużo luk, niestety. Matka podróżowała. Wychodziła za męża i rozwodziła się. Myślę, że po drodze straciła masę rzeczy.

Wziął do ręki jeden z albumów i przewrócił kartkę pomarszczonego pergaminu. Z białych ram wyglądały twarze ze zmrużonymi oczami, jakby zaskoczone nagłą jasnością.

Elliot pochylił głowę, żeby lepiej im się przyjrzeć. Jakiś mężczyzna stał oparty o róg drewnianego budynku. Dwie dziewczynki trzymały rowery.

- Więc czego dokładnie pan szuka? - spytał Palmgren.

- Wszystkiego. I niczego.

- Klara powiedziała, że pisze pan tekst do katalogu.

- To raczej rodzaj monografii. Tyle że brak mi pewnych informacji, istotnych informacji. I staram się znaleźć w tym jakiś sens.

- Chodzi panu o tę malarkę? Czy jej twórczość? Elliot przewrócił kartkę.

- Jedno i drugie. Widzi pan, nikt tego dotąd nie robił. Jedno ze zdjęć przedstawiało ludzi zgromadzonych przy stole, jedli lunch na werandzie, uśmiechali się do obiektywu, trzymali w powietrzu znieruchomiałe widelce i kieliszki. Przerwa dla potomności. Ale nie wszyscy obrócili głowy. Kobieta z ciemnymi włosami to mogła być Zoia.

- Myślę, że to jest dwudziesty dziewiąty albo trzydziesty rok. - powiedział Palmgren. - Mniej więcej w tym czasie moi rodzice się poznali.

Elliot przyglądał się uśmiechniętym, pełnym oczekiwania obliczom. Nie zdradzały ani cienia zrozumienia, że pewnego dnia to będzie wszystko, co po nich pozostanie, być może jedyny dowód ich istnienia, faktu, że stali tam, gdzie teraz stoją inni, i leżeli tam, gdzie teraz leżą inni, którzy przyszli po nich. Uśmiechali się do niego z jakiejś nieuniknionej pustki, a ich uśmiechy mówiły: *wkrótce do nas dołączysz*.

Kobieta odwrócona tyłem nosiła perły.

- Nie spotkał się pan z imieniem Zoia? - spytał Elliot. Palmgren patrzył na niego niepewnie, drapiąc się pod brodą.

- Nie mogę powiedzieć, że ją pamiętam. Ale to taka osoba, którą mogła znać moja matka. Ona uwielbiała artystów wszelkiego rodzaju: malarzy, filmowców, ludzi teatru. Tylko tacy ludzie ją interesowali, przynajmniej w młodości. Myślę, że wyszła za mojego ojca z powodu jego zainteresowania filmem.

- Był filmowcem? Palmgren się uśmiechnął.

- W pewnym sensie. Pracował dla spółki, która robiła filmy. Interesował się raczej stroną techniczną. Kręcił filmy po to, żeby przekonać się, co można nakręcić. Nie obchodziły go... - wzruszył ramionami, jakby podzielał rozczarowanie matki - możliwości narracyjne.

- Rozumiem.

Elliot odwrócił kolejną kartkę w albumie. Palmgren wskazał na zdjęcie młodej pary z szerokimi uśmiechami na twarzach, wychylającej się z okna. Kobieta miała ładne delikatne rysy i burzę jasnych loków. Mężczyzna nosił brodę i wyglądał na mola książkowego.

- To jedno z niewielu zdjęć, które zatrzymała - powiedział Palmgren. - To znaczy ich dwojga.

- To pańscy rodzice. Palmgren skinął głową.

- Zrobione albo w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim albo trzydziestym trzecim. Tuż po ślubie. Tutaj, mogę panu pokazać, gdzie dokładnie.

Monica Palmgren sprawiała wrażenie spokojnej i szczęśliwej. Uśmiech jej męża nie był już taki naturalny i pewny. Ale nagle Elliot przypomniał sobie, gdzie widział to wcześniej.

- Powiedział pan, że pański ojciec kręcił filmy.

- Tak, takie rodzinne filmy. Głównie na wakacjach. Czemu pan pyta?

Elliot starał się powiedzieć to jak najbardziej obojętnym tonem:

- Nie zachowały się, prawda?

Na samej górze domu znajdowało się pełne kurzu poddasze, oświetlone jedynie przez małe okrągłe okno wielkości talerza obiadowego. Tam stały wszystkie graty ojca. Między pudłami upchnięto staroświecki sprzęt fotograficzny i filmowy: stary powiększalnik, szklane miarki zapakowane w siano, stół-przewijarka częściowo przykryty impregnowanym materiałem.

Elliot przykucnął i podniósł pokrywę projektora, okazałych rozmiarów urządzenia z szarego metalu, z nazwą firmy Bauer przynitowaną do obudowy.

- Szesnaście milimetrów - powiedział Palmgren. - Jego duma i radość. Ale to powojenne urządzenie. W latach pięćdziesiątych kupił sobie nowego boleksa.

- Boleksa? To kamera?

- Tak. Wcześniej kręcił wszystko na taśmie dziewięć i pół milimetra. Ale przestali ją produkować. Proszę. - Wziął z podłogi lakierowane drewniane pudełko i otworzył je. - To jego stara kamera, Bolex H9. Podobno to już kolekcjonerski przedmiot, chociaż w Szwecji nie ma wielu kolekcjonerów, niestety. - Wyjął kamerę. Była czarna, z połyskliwymi metalowymi rogami, i trzema obiektywami w przodu. - Tata kupił ją w trzydziestym piątym. Wciąż jest tu rachunek.

Elliot pamiętał to zdjęcie, które znalazł w biurku Zoi: Zoia przy sztalugach, a obok mężczyzna w kamerą. *Kristoffer i Zoia przy pracy*. A więc Kristoffer był ojcem Martina Palmgrena, mężem Moniki Fisk, którego ta opuściła dla jakiegoś kochanka w Paryżu. W szczęśliwszych dniach ona i jej mąż spotkali Zoie. Nie mogła ich odesłać. Była gościem w ich domu, korzystała z tej samej pracowni, z której korzystał teraz Martin. Tysiąc dziewięćset trzydziesty piąty rok. Jeszcze jeden nieproduktywny rok, zanim zaczęło się na dobre malarstwo na złocie. Przepuszczalnie.

Elliot się wyprostował.

- Gdzie jest film, który nakręcił tą kamerą? - spytał. - Gdzie są wszystkie taśmy dziewięć i pół milimetrów?

39

Kerstin nie znosiła takich pustych dni. Przerywała wtedy pracę nad artykułem, który redagowała, mając tylko ostatni podtytuł do napisania, i nie przesyłała go dalej, byle nie widzieć przed sobą czarnego ekranu. Najbardziej lubiła, kiedy coś wydarzyło się w chwili, gdy gazeta szła już do drukarni, i trzeba było znaleźć miejsce na aktualności. Potem musiała na nowo redagować całe paragrafy i na godzinę czy dwie zapominała o całym świecie, skracając, tnąc i układając zdania na nowo.

Najgorsze były takie dni jak ten.

Pojawiła się co prawda jedna nowość: e-mail od prawnika z biura oskarżyciela publicznego. Napisała do nich z prośbą o radę w sprawie testamentu Zoi. Odpowiedź była zwięzła. Nie posiadają środków do zbadania zarzutów opartych na pogłoskach czy domysłach. Jeśli chodzi o postępowanie cywilne, sąd okręgowy raczej nie wysłucha sprzeciwu, jeśli nie pochodzi on od *prima facie* zainteresowanej strony. A nawet jeśli wysłucha, żadna pomoc prawna nie będzie

możliwa. Co gorsze, koszty obydwu stron najprawdopodobniej spadną na przegranego powoda. W obliczu braku konkretnych dowodów radził jej, by dała sobie spokój.

Kerstin rozważała, czy nie zwrócić się do redakcji o sfinansowanie całej akcji, ale miała świadomość, że to nierealne. Pisała do rozmaitych galerii, ryzykując, że w ten sposób straci temat, lecz jak dotąd żadna z nich i tak jej nie odpowiedziała. Wiedziała, dlaczego tak się dzieje: obrazy Zoi może i warte są uwagi, ale jej wola jako prywatnej osoby nie znaczy kompletnie nic. Zoia była teraz tylko nazwiskiem, i niczym więcej.

Wydrukowała e-mail i schowała go do teczki, tę zaś włożyła do swojej dyplomatki, po czym usiadła i słuchała czyjejś rozmowy telefonicznej i szumu z ulicy. Na ekranie jej komputera pojawił się wygaszacz.

Czasami opadało ją takie uczucie, jakby żyła gdzieś na zewnątrz wszystkiego, osobna, zagubiona. Przerażało ją, że musi funkcjonować w świecie, gdzie na pozór istnieje tyle zasad, a w rzeczywistości brak podziału na dobro i zło, są tylko same słowa, za którymi stoją dziwne ponure kalkulacje. Wyrachowanie, które było jej obce.

Głowa zastępcy redaktora naczelnego pojawiła się nad ścianką jej boksu. Nicklas Renberg miał dwadzieścia osiem lat i szybko awansował. Brązowe włosy czesał z przedziałkiem na środku, a paznokcie miał zdeformowane od ogryzania.

- Cześć, Kerstin. - Uśmiechał się przypochlebnie. - Jesteś teraz bardzo zajęta? - Jego spojrzenie pobiegło w stronę samolotu, który wykonywał pętle na ekranie jej komputera.

- Nie. Nie jestem zajęta. Jestem...

- Super. To nie będziesz miała nic przeciw, jak posadzę tutaj kogoś na popołudnie, co? - Jeden z praktykantów po dyplomie, tyczkowaty rudzielec, wyłonił się zza niego. - Dwa pecety się zepsuły.

- Nie, nie. W porządku.

Kerstin wstała, ściskając dyplomatkę. Zawartość rozsypała się na podłodze. Renberg klepnął praktykanta po ramieniu.

- Okay, Mats? Do roboty. - Spojrzał na Kerstin i zmarszczył czoło. - Wiesz, powinnaś wziąć sobie wolne do końca dnia czy coś. Wyglądasz na zmęczoną.

I odszedł, bardzo starając się, żeby nie nadepnąć na jej papiery.

Wyruszyła do domu na piechotę, po półgodzinie wsiadła do autobusu, a potem znów szła na piechotę. Poruszała się szybko, pozwalając, by wiatr osuszył jej łzy. Kiedy była w ruchu, w drodze do jakiegoś celu, czuła się lepiej.

Mieszkała w Solnej, kilka kilometrów na północ od centrum miasta, na ostatnim piętrze budynku z widokiem na tory kolejowe. Paręset metrów od domu, kiedy widziała już przed sobą w górze ciemny pochyły dach z gniazdem anten telewizyjnych, stanęła jak wryta. Nie mogła tam wracać. To było dla niej tak oczywiste, jakby ktoś jej to powiedział. Nie mogła być tam sama. Nie teraz, jeszcze nie. Przez chwilę bała się, że zemdleje.

Ktoś szturchnął ją w łokieć. Mężczyzna z torbą zakupów ominął ją, przeklinając pod nosem. Widziała wciąż Nicklasa Renberga, który radzi jej, żeby odpoczęła. Ale ostatnio nie potrafiła odpoczywać. Musiała się zmęczyć, zanim zaśnie. A nawet gdy już zasnęła, sny zawsze ją budziły.

Kilka kobiet kuliło się pod wiatą przystanku autobusowego, starając się na nią nie patrzeć. Za ich plecami zauważyła plakat Muzeum Narodowego. Silvia powiedziała jej, że wygrzebali swoje obrazy Korwin-Krukowskiej z magazynu i wystawili je. Trwały negocjacje z Bukowskim w sprawie ewentualnego wypożyczenia.

Kerstin zawróciła. Na rogu mieściła się apteka. Weszła do środka, posyłając farmaceutce za ladą swój najjaśniejszy uśmiech.

Mężczyzna odpowiedział jej uśmiechem, zarumieniony. Był po pięćdziesiątce i nosił treskę, która wyglądałaby o wiele lepiej, gdyby była siwa, a nie kasztanowa. Zapytał, w czym może jej pomóc.

- Mam kłopoty ze snem - powiedziała, wzdychając. - To co zwykle.

Farmaceuta skinął głową ze współczuciem i wyciągnął małe opakowanie amytału z szuflady.

- Wie pani, powinna pani mieć nową... - Ale potem wzruszył tylko ramionami i podał jej pigułki.

- Właściwie - rzekła Kerstin - skoro już tu jestem, czy mogę dostać dwa opakowania?

40

Palmgren przechowywał rzeczy swojej matki w pracowni, starannie zapakowane w pudła. Rzeczy jego ojca zbierały kurz na poddaszu. Ale kiedy nawijał film, ręce mu się trzęsły, jakby robił coś złego, dotykał przedmiotów, które nie należą do niego, jakby ojciec miał wrócić i przyłapać go na tym.

Dojrzał minę Elliota.

- To jest nitroceluloza. Bardzo łatwopalna.

Ustawili pathe lux w pracowni, pudełkowy metalowy projektor z jedną szpulą nad obiektywem, a drugą pod. Elliotowi przypominał skrzyżowanie maszyny do szycia i maszynki do mięsa, ale ojciec Palmgrena troszczył się o to urządzenie z miłością, używał je do wyświetlania swoich starych filmów jeszcze długo po tym, jak świat przeszedł do innych formatów. Wymienił kabel i dodał transformator. Przechowywał nawet zapas żarówek, które kupił, kiedy zaistniało niebezpieczeństwo, że przestaną je produkować.

Znaleźli filmy w kufrze, który musieli otwierać siłą za pomocą młotka z pazurem. Było ich może sześćdziesiąt, wszystkie czarno-białe, czterominutowe szpule w płaskich kartonowych pudełkach. Teraz wreszcie zasiedli w półmroku, oglądając niewyraźne kształty przemieszczające się na tle popękanych białych ścian. Trudno było ustawić ostrość. Palmgren sądził, że film skurczył się z czasem, i mechanizm ma problem z utrzymaniem go we właściwym miejscu. Martwił się, że coś się zatka i aparat się zapali.

Oglądali właśnie trzecią rolkę. Jak dotąd ani śladu Zoi, Moniki zresztą też nie widzieli. Elliot zaczynał się zastanawiać, czy tamtego dnia w pracowni w ogóle coś nakręcili. Może ojciec Martina pozował tylko do zdjęcia z kamerą i nie nakręcił żadnego ujęcia. Może nie miał w kamerze filmu, więc było to niewykonalne.

Na zewnątrz drzewa kołysały się i pochylały. Znowu zrywał się wiatr.

Nagle z projektora dobył się głośny trzepoczący dźwięk, jakby motyl wpadł za roletę. Elliot zobaczył jakąś sylwetkę: głowę kobiety na tle okna. Obraz zachwiał się lekko, przekrzywił. Światło zabłysło jaśniej.

Palmgren zajrzał do projektora.

- Nie podoba mi się ten dźwięk.

Elliot widział teraz twarz kobiety. To była Monica. Włosy miała krótsze niż na zdjęciu, na którym widział ją wcześniej. Wyglądała przez to bardziej krucho, bardziej bezbronne. Miała na sobie żakiet i spódnicę, elegancki miejski strój dzienny. Powiedziała coś, po czym zaśmiała się i podeszła do kamery z przesadną pewnością siebie, z palcem położonym na wargach.

- To pańska matka, prawda? Palmgren podniósł wzrok i przełknął.

- Tak, to ona.

Biały błysk i zniknęła. Ściana była znów tylko ścianą, upstrzoną białym ziarnem.

- Czy to koniec?

Coraz więcej ziarna. Trzy blade koła, światło odbite od szkła. Obiektyw. Mężczyzna w garniturze, stojący w cieniu, jego głowa niewyraźna. Nagle Elliot zrozumiał: mężczyzna filmował siebie w lustrze, trzymał kamerę przy oku.

- To mój ojciec - powiedział Palmgren. - Mniej więcej w tym czasie, kiedy urodziła się moja siostra.

Film znowu zatrzepotał.

- Chyba lepiej ostudźmy projektor, bo będziemy mieć problem.

- Jeszcze sekundkę.

Obraz zniknął. Potem pojawiło się lustro w środkowej części szafy. Monica stała z jednej strony, tyle że tym razem trzymała także aparat fotograficzny.

Obrazy twórcy obrazów. Środek przekazu jako przekaz. Jak na tamte czasy prawdziwie awangardowe.

To potwierdzało opinię Elliota: Monica zrobiła to zdjęcie w pracowni. Jej przyjaciółka malarka, jej mąż filmowiec. Tylko tacy ludzie ją interesowali. Może była w ciąży. Trudno powiedzieć.

Skok montażowy: wolna panorama po jeziorze, drzewa kołyszące się na bezgłośnym wietrze.

- To właśnie tutaj - powiedział Palmgren podniecony. - To widok z sypialni.

Liście topoli marszczyły się w słońcu.

- Wypróbuj kamerę, rytm i tempo.

Skok montażowy. Ciemność. Potem zbliżenie Moniki. Odsunęła się z uśmiechem, z miedzianym kluczem przyciśniętym do warg. Kamera podskoczyła do góry i podążyła w ślad za nią przez podest. Snop światła wylewał się z sąsiednich pokoi.

Dotarła do drzwi, włożyła klucz do dziurki i otworzyła je.

- To pracownia - powiedział Palmgren. - Właśnie tu, gdzie jesteśmy. Monica rozmawiała z kimś, kto znajdował się w środku, uniosła rękę do kamery, jakby mówiła: zaczekaj tam.

Obraz zadrżał. Silnik projektora wydał krótki dźwięk informujący o przeciążeniu.

- Powinniśmy go na chwilę wyłączyć - stwierdził Palmgren. - Za bardzo się rozgrzał.

- Jeszcze parę sekund.

Skok montażowy. Zamazany ruch. Jakiś kształt w oświetlonym słońcem oknie. Twarz?

- Chwileczkę - Czy to...? Zoia.

Stała w odległym końcu pokoju, po czym przeszła od sztalug do stołu, trzymając deskę. Żywa, poruszająca się, młoda. Elliot wstrzymał oddech.

Ciemne oczy bez dna.

Monica weszła w kadr. Obraz zachwiał się, nagle się rozjaśnił. Wydawało się, że Zoia zamarła. Powoli postawiła deskę na sztalugach, uśmiechając się do Moniki, i podniosła rękę, żeby ją zatrzymać. Jeszcze nie ma co oglądać, mówiła. Jeszcze nawet nie zaczęła.

Palmgren zmrużył oczy.

- Co ona ma na rękach? Farbę?

Kamera zbliżyła się do niej, przy każdym kroku lekko wstrząsana.

- Nie jestem pewien. To może być jakiś rodzaj podkładu.

- Wygląda jak krew.

Monica chciała spojrzeć na obraz. Powiedziała ze śmiechem coś do swojego męża, a następnie żartobliwie odepchnęła Zoie na bok, stanęła przed sztalugami i zastygła w bezruchu.

Obraz zadrżał. Obrazy zachodziły na siebie i rozchodziły się. Monica patrząca na deskę, Zoia patrząca na Monicę. Kamera zbliżała się. Kristoffer także pragnął zobaczyć obraz, uwiecznić na filmie proces twórczy.

Potem Monica zaczęła coś mówić, wskazując na deskę. Jej uśmiech zgasł.

- Co się z nią dzieje? - powiedział Palmgren. - Co ona zobaczyła? Klócili się. Zoia gwałtownie potrząsnęła głową. Kamera obeszła ją od tyłu. A ona zapomniała, że kamera tam jest. Nagle sięgnęła po deskę, zdjęła ją ze sztalug i podstawiła pod obiektyw.

Wirujące cienie. Ciemniejsze smugi. Czy to były twarze? Czy tylko wzory?

Kamerzysta zanurkował w dół, próbując przyjrzeć się lepiej obrazowi, który spadł na podłogę. Elliot wstał na równe nogi.

- Widział pan to? Co to było?

Obraz na ścianie zamarł, zamazany. Potem rozległ się syk i głośny trzask.

- Nie!

Biały płomień buchnął z projektora. Elliot rzucił się na film.

- Marcus, nie dotykaj tego!

Pochwycił szpulę, która już zajęła się ogniem. Płomienie rozświetliły jego rękę, zajęły sweter, jakby był nasączony benzyną. Stał przez moment, patrząc z niedowierzaniem, jak jego ręka zamienia się w płonąca pochodnię.

Otworzył usta do krzyku.

Potem coś nim szarpnęło, coś twardego i ciężkiego. Upadł na plecy z głuchym odgłosem. Film wypadł mu z ręki, zobaczył jeszcze, jak toczy się niczym koło ogniste po deskach podłogi. Palmgren był już przy nim, gasił ogień, wykręcał mu rękę do tyłu. Przez chwilę Elliot myślał, że będzie miał złamaną rękę.

- Tocz się, Marcus, tocz.

Toczył się więc, chowając rękę w marynarce. Płomienie zgasły. Potem leżał, nierówno oddychając, słuchając pisku tej drugiej szpulki projektora, która kręciła się z podwójną szybkością. W wiązce strumieni światła wirowały smugi dymu.

Później Palmgren próbował go podnieść.

- Teraz na dół. Na śnieg, no już.

Elliot uniósł rękę do światła i zobaczył żywe czerwone mięso i strzępy spalonej skóry. A potem przyszedł ból.

W szpitalu w Katrineholm powiedzieli mu, że miał szczęście. Włożenie ręki do śniegu uratowało go przed koniecznością przeszczepu skóry. Zabandażowali go i dali mu środki przeciwbólowe, których nie znał do tej pory. Pielęgniarka oznajmiła, że są dość silne, by zwalić z nóg konia.

Jadąc z powrotem do Igelsfors land-roverem Martina Palmgrena, miał mnóstwo czasu na myślenie o tym, co się stało. Raz za razem przebiegał w myśli klatki filmu, próbując zapisać sobie w pamięci kilka ostatnich sekund. Był przekonany, że zostały zniszczone w pożarze, a może nawet cała rolka spłonęła. Jego głupi błąd. Jedyne co go pocieszało, to fakt, że Martin nie miał mu tego za złe. Jeśli w ogóle był poruszony całym tym zdarzeniem, to tylko jak dziecko, któremu właśnie uszło na sucho jakieś wykroczenie. Całą drogę powrotną opowiadał o swoim ojcu i jego cennych amatorskich filmach, i wszystkich zasadach, jakie się z nimi wiązały. Elliot tylko przytakiwał.

Coś w tym filmie było jednak nie tak: farba na dłoniach i przedramionach Zoi. Malowała na desce, nie na płótnie, co znaczyło, że malowała na złocie. Ale malowanie na złocie było pracą precyzyjną i wymagającą. Błędy trudno tu naprawić. Nie można być po łokcie w farbie. A nawet jeśli miesza się ją w ten sposób, palcami, trzeba umyć ręce, zanim dotknie się listków złota. Przed złoceniem należało jeszcze oczywiście położyć warstwę pulmentu. Ale Monica Palmgren zobaczyła obraz, który ją zdenerwował. A obraz oznaczał farbę.

Czy jest możliwe, że to, co dojrzał, było jakimś innym rodzajem malarstwa, od tamtej pory zaniechanym albo ukrytym? Czy to był jeden z krymskich obrazów, których, jak mówiła Hildur Backlin, Zoia nikomu nie pokazywała?

Nie pokazywała, ale nie zniszczyła.

Ale znów, w czyje ręce trafiły? Dlaczego ich nie odnaleziono w czasie poszukiwań? Jaki motyw kierował tymi, którzy je ukrywali? Czy nie mieli świadomości, co posiadają?

Pytania krążyły w jego głowie nieokiełznane, męczące, ważne, a w samym centrum było coś, co Hildur Backlin powiedziała na temat artystów, coś, co, jak podpowiadał mu instykt, było prawdą, przynajmniej w przypadku Zoi: *Oni traktują swoją twórczość jak żywego człowieka. Tacy oni są.*

Obrazy z Krymu były tak naprawdę autoportretami. Teraz stało się to bardziej oczywiste niż kiedykolwiek wcześniej: jeśli ich nie odnajdzie, nie odnajdzie Zoi.

Nazajutrz rano obejrzelikolejne filmy, a w każdym razie te, które zostały nakręcone przed wojną. Zoia nie pojawiła się więcej. Jeśli chodzi o szpulę, która się spaliła, Palmgren powiedział, że sklei ze sobą fragmenty, które jeszcze się do tego nadawały. Może mogliby wykorzystać niektóre klatki w książce, razem ze zdjęciami domu. W południe Elliot siedział już w swoim samochodzie, jadąc na północ, wiedział, dokąd jedzie, a równocześnie czuł się zagubiony. Ilekroć znajdował jakiś fragment historii, ten rozrastał się i kosztowało go coraz to więcej. Ale samo sedno wciąż mu się wymykało.

Kiedy był już na drodze do Saltsjöbaden, zadzwoniła jego komórka. Leżała na fotelu pasażera. Nazwisko Harriet Shaw wyświetliło się na ekranie. Musiał się pochylić, żeby sięgnąć po telefon.

- Marcus, co słyhać?

To była rozmowa, na którą nie miała ochoty. W każdym słowie słyhać było tę niechęć.

- Poza niewielką przygodą z nitrocelulozą mam się dobrze - odparł, starając się zmienić jej nastrój. - A ty?

- Ja... no cóż, mówiąc szczerze, nieswojo.

Nieswojo. To chyba jakiś prawniczy eufemizm, ale w owej chwili nagi i brutalny. Elliot przełknął ślinę.

- Dlaczego, co się stało?

Minęła go biała ciężarówka, mrugając światłami.

- Harriet?

- Sprawy mają się... Myślę, że powinniśmy zrewidować naszą sytuację.

- Zrewidować. Sądziłem...

- Nastąpiły pewne zmiany. Miles Hanson. Dziś rano zadzwonił do mnie. Był... W zasadzie zachowuje się dość przyzwoicie.

Po raz pierwszy, odkąd się znali, plotła bez sensu.

- Harriet, o czym ty mówisz?

- Jeśli on mówi prawdę, to nasza linia ataku, całe nasze podejście w związku z twoją córką... nie zda egzaminu.

Linia ataku zawsze była prosta i bezwzględna: atakować matkę Teresy. Pokazać sądowi, że jest gwałtowną, rozwiązłą alkoholiczką, która zadaje się z nielegalnymi imigrantami i kryminalistami, kobietą, która nie nadaje się do wychowywania dziecka.

Elliot podniósł zabandażowaną rękę do czoła.

- Dlaczego, Harriet?

- Ponieważ cokolwiek my wynajdziemy, on nas przebije. Wydaje się, że zdobył jakieś nowe źródła.

- Źródła?

- Twoich dawnych współników. Z Rosji. Najwyraźniej są gotowi podpisać pisemne oświadczenie pod przysięgą na temat twoich... spraw. Oświadczenia stwierdzające, że byłeś zamieszany w czyn przestępczy.

- Harriet, wiesz równie dobrze jak ja, że w tej sprawie przeprowadzono śledztwo. I nie wysunięto przeciw mnie żadnych oskarżeń. Nie rozumiesz. On tylko blefuje. Miles Hanson zmyśla.

- Nie robiłby tego, Marcus.

- Dlaczego? Ponieważ jest cholernym adwokatem?

- Ponieważ zostałyby pozbawiony uprawnień adwokackich. Takie oszustwo nie wchodzi w rachubę.

Słyszał zawodową dumę w jej głosie, zranioną dumę. Teraz miał ich obydwójce przeciw sobie: dwoje czcigodnych profesjonalistów przeciw zakłamanemu klientowi.

- W takim razie oni kłamią, ci Rosjanie, kimkolwiek są.

- Oczywiście, to niewykluczone. Miles Hanson wie, że to możliwe. Nie jest zainteresowany tym, żeby posłać cię do więzienia. Dlatego zadzwonił.

- Więzienia? O czym ty mówisz?

- Marcus, nie rozumiesz, o co idzie ta gra? Jeśli Miles będzie zmuszony przedstawić te oświadczenia, a one zostaną uznane za istotne, wówczas Urząd Ceł może wrócić do twojej sprawy. I możesz zostać oskarżony.

Nagle Elliot nie widział nic prócz Corneliusa, stojącego pod czerwonym światłem. *Jeśli naprawdę zależy ci na córce, jeśli chcesz ją odzyskać, nie zrobisz tego.* To było ostrzeżenie, a on je zignorował.

Obok niego przejechała ciężarówka załadowana drewnem, luźne łańcuchy uderzały o boki samochodu.

- Te źródła, znasz ich nazwiska?

- Miles mi ich nie podał.

- A powiedział ci, dlaczego chcą mu pomóc?

- Chyba sam tego nie wie. Podobno to oni się z nim skontaktowali. Odniósł wrażenie ... myślał, że byli osobiście zainteresowani.

- To znaczy, że chowają urazę. Że ich świadectwo jest podejrzanе, prawda?

- Być może. Ale czy naprawdę chcesz ryzykować? A jeśli mają jakieś dowody?

Stało się jasne, co Harriet myśli o sprawie ikon: że był zamieszany w to po szyję. Podjął wkalkulowane ryzyko i przegrał. I oczywiście miała rację. Zawsze wiedział, co przesyła statkiem i ile to jest warte, ale kupił to głównie za brudne pieniądze, których pochodzenie nie mogło wyjść na jaw. Wyciąg z konta rachunku mówił, że zapłacił dwadzieścia tysięcy funtów za ładunek, który miał nadzieję po cichu sprzedać za pół miliona. Urząd skarbowy nie był w stanie tego udowodnić. Demiczew powiedział mu, że ikony niszczyją w rządowym magazynie często zalewanym przez powodzie. Okazało się, że w tajemniczy sposób zniknęły z muzeum w Tambowie. Ale tego akurat Elliot nie wiedział.

To było przestępstwo, przekręt, jego błąd. Ale został już wystarczająco ukarany.

- Niech mówią, co chcą. Nie martwmy się na zapas.

- Marcus, ja ci radzę, żebyśmy zaczęli negocjować prawo kontaktu z dzieckiem. Im więcej pieniędzy twoja żona wyda na porady prawne, tym mniej będzie elastyczna.

- Elastyczna? A co z uczciwością? To byłaby miła odmiana.

- Przykro mi Marcus, naprawdę.

- Nadal mamy szansę. Nie możemy się poddać tylko dlatego, że tak każe nam Miles Hanson.

Harriet westchnęła. Drobny deszcz zaczął uderzać w przednią szybę. W takie dni przegrana zawsze wydaje się nieunikniona. Gdyby tylko mógł wrócić do czasów, zanim to wszystko tak się popsuło. Gdyby tylko wiedział, kiedy to było.

- Marcus, obawiam się, że jest jeszcze jedna kwestia. Moi partnerzy są zaniepokojeni, że poświęcam tej sprawie dużo czasu. Mówiąc szczerze, niepokoją się o zapłatę.

Elliot zamknął oczy.

- Znajdę sposób, żeby ci zapłacić, Harriet. Po prostu byłem tu uwiązany.

- Zdaję sobie sprawę, Marcus. Ale nie jestem jedynym prawnikiem, mam zobowiązania wobec firmy. Nie mogę poświęcić ci więcej czasu, na pewno nie aż do rozprawy, nie mając niczego na stole. Mam nadzieję, że rozumiesz.

Gdzieś w tle zadzwonił drugi telefon, który musiała odebrać. Poprosiła go, żeby przemyślał sprawę i oddzwonił do niej, a chwilę później się rozłączyła.

41

Tak właśnie działał Lew Demiczew: robiąc aluzje, insynuując, podając w wątpliwość - a wszystko to z nutą teatralności. Człowiek zaczynał się zastanawiać, z kim ma do czynienia i jak daleko sięgają jego wpływy. Czuł się nagle obnażony. I nie mógł odwrócić się bezpiecznie plecami w żadną stronę.

A równocześnie on zabiegał o twoje względy. Niespodziewanie zdarzały ci się dobre rzeczy. Znikały przeciwności. Zaczynałeś wierzyć, że los jest po twojej stronie, że dni walki i ciemności masz już za sobą. Uwodziło cię pragnienie, by utrzymać ten stan rzeczy, i osaczał strach, żeby tego nie zepsuć. Każdy krok w górę przynosił dawkę szczęścia, za to każdy krok w dół przynosił dwa razy tyle bólu.

To w piwnicach Bukowskiego uknuto ten plan. Cornelius wpadł w panikę z powodu fałszywego testamentu, przerażony, że Elliot znalazł coś, co mogłoby ich wydać. Zwierzył się Demiczewowi, a może Demiczew już wcześniej wiedział o przekręcie. W każdym razie udało im się dowiedzieć, kto jest prawnikiem Nadii. Jedyną niespodzianką było to, że Lew włożył w to tyle wysiłku. Jego zainteresowanie projektem związanym z Zoią nie wynikało wyłącznie z chęci zysku. Chodziło o ważniejsze kwestie wpływów i reputacji. Później Cornelius poczuł wyrzuty sumienia i zadzwonił do niego. Chciał, żeby Elliot ustąpił póki czas. Ale za bardzo się bał, żeby odwołać psy, nawet jeśli jeszcze był w stanie to zrobić.

A teraz oczekiwali, że będzie się czołgał. Że odda wszystko i weźmie cokolwiek, co Bukowski raczy mu zaoferować, i zniknie.

Albo wszystko może się zdarzyć. Oczekiwali, że będzie się bał. Jeśli się nie zastosuje, może czekać go jeszcze coś gorszego. Pamiętał srebrnego mercedesa na drodze do Katrineholm i zastanawiał się, czy przypadkiem tamten samochód jednak za nim nie jechał.

Mogli go zniszczyć na dziesiątki sposobów. On zaś mógłby zadenuncjować ich, ale kto by go wysłuchał? Nie posiadał władzy ani głosu. Podobnie jak Zoia.

Nacisnął pedał gazu i usłyszał warkot silnika. Na groźby trzeba odpowiedzieć groźbami. Zadzwoń do Demiczewa i oświadczyć mu, że posunął się za daleko, że nie wie, z kim ma do czynienia. Już zaczął szukać numeru, kiedy zadał sobie pytanie: po co? Demiczew by się roześmiał. Zrobiłby jakąś enigmatyczną uwagę na temat Rosjan i ich sposobu działania. Albo w ogóle nie odebrałby telefonu. Prawda była taka, że znał Marcusa Elliota zbyt dobrze.

W środku popołudnia dotarł do wybrzeża. Na trawnikach i poboczu warstwa śniegu była cieńsza, zmyta deszczem. Dachy zaś były ciemne i mokre.

Przedsmaki wiosny.

Na drodze przed domem Zoi ostro zahamował. Brama stała otworem. W błotnistej ziemi na podjeździe widniały głębokie ślady kół ciężarówki. Skraj podjazdu był rozjechany w miejscu, gdzie samochód okrążył sad. A przed domem ciężarówka zostawiła w śniegu ślady, które zniknęły za boczną ścianą.

Podjechał trochę bliżej, wyłączył silnik i nadstawił uszu. Nie słyszał nic prócz uderzającego o coś wiatru. Intruzi, kimkolwiek byli, przyjechali i odjechali. Ludzie zawsze zapominają zamknąć bramę.

Potem dobiegł go głos, a dokładnie dwa głosy. Mężczyźni przy pracy. W tle brzęczało radio. Pewnie jacyś robotnicy przyjechali w sprawie wody albo prądu. A może telefon nie został wcale celowo odcięty.

Wysiadł z samochodu i ruszył do tylnego wejścia, szukając kluczy w kieszeni. Teraz dostrzegł biały samochód z otwartymi tylnymi drzwiami i spuszczonej stalowymi schodkami, które sięgały ziemi. Zaparkowali naprzeciw frontowych drzwi.

Złodzieje. Zatrzymał się na moment. Może czytali o Zoi w gazecie i wybrali się na poszukiwanie jej domu. Miejsce było dosyć odludne. Nie musieli się spieszyć, przeszukując dom.

Rozejrzył się za czymś, czym mógłby się bronić, i przypomniał sobie o nożach w kuchni. Podeszedł szybko do drzwi i włożył dorobiony klucz do zamka.

Wiatr o mało nie wyrwał mu klamki z ręki. Szybko wszedł do środka, ramieniem zamykając za sobą drzwi, i przystanął, żeby oczy przywykły do półmroku.

Wszystko było tam inaczej. Stół i krzesła zniknęły. Wszystkie szafki i szuflady były otwarte, a ich zawartość - talerze, garnki, patelnie, sztucce, nawet puszki z jedzeniem - ulotniły się gdzieś. Zamiast tego na podłodze leżały pudła. Pudła do pakowania. Płaskie, jeszcze niezłożone pudła stały oparte o piec, czekając na swoją kolej, a na każdym z nich widniała wydrukowana na czerwono nazwa firmy od przeprowadzek.

Zabierali wszystko.

Drzwi do holu były otwarte. Mężczyźni w kombinezonach wynosili stół z jadalni przez wejście od frontu. Doktor Lindqvist ich przysłał albo jego siostra - przejęła jego obowiązki, kiedy brat dochodził do siebie w szpitalu po zapaleniu płuc. Chciała przygotować grunt. Chciała pozbyć się papierów Zoi, jeśli już ich nie zabrała.

Mężczyźni znajdowali się teraz na zewnątrz. Elliot minął hol i wbiegł po schodach. Może Lindqvist już wyzdrowiał. Może przyjechał tam, poszedł na górę do pracowni i znalazł wszystko: papiery, komputer, łóżko.

Wszedł do saloniku. Meble zniknęły. Biurko Zoi zniknęło. Pokrowce na meble rzucono na podłogę.

Za późno.

Poszedł do pracowni. Na podłodze nadal leżały ułożone przez niego listy, chociaż ktoś je ruszał. Strony się przewracały albo znalazły się po drugiej stronie pokoju. Niektóre zdjęcia spadły ze ścian na ziemię. Ale laptop stał na stole, tam gdzie go zostawił.

Musi pozbyć się dowodów. Pozbierał listy z podłogi, zerwał zdjęcia ze ściany i wsadził je do teczek. Jego cień tańczył na złoconej powierzchni deski, przelotny, ukradkowy, jak pierwsze prace malarki, kiedy sięgnęła po swój szkicownik.

Złoto to szlachetny metal. Wszystko rozświetla i niczego nie zdradza.

Przystanął. Co by się stało z tymi dokumentami, gdyby zabrali je ci ludzie od przeprowadzek? Gdzie by skończyły?

Mit Zoi nadawał się do wykorzystania, mógł przynieść zyski. Zaangażowana była w to reputacja wielu osób. Prawda zaś była niewygodna, paradoksalna, pełna potencjalnego wstydu. Ujrzał w wyobraźni maszynę do cięcia drewna w ogrodzie doktora Lindqvista oraz doktora i jego siostrę, którzy z obojętnością wrzucają do niej paczki listów i fotografii, jedną po drugiej.

Podszedł do okna. Na dole mężczyźni nie radzili sobie z załadowaniem stołu. Z miejsca, gdzie stali, nie widzieli volva.

Wiedział, co musi zrobić.

Cztery razy biegał w tę i z powrotem, żeby zebrać wszystko w saloniku. Okno saloniku wychodziło na tyły domu. Wziął do ręki najsolidniej wyglądające pudło z fiszkami i rzucił je na śnieg. Wylądowało z lekkim odgłosem i przewróciło się, zawartość się rozsypała. Potem wyrzucił cztery kolejne pudełka. Te najdelikatniejsze zawinał w pokrowiec na meble i wyrzucił kilka razem.

Potem wyszedł na schody z laptopem pod pachą i trzema pudełkami. Mężczyźni ładowali teraz krzesła z jadalni, a w kabinie ciężarówki ryczało radio.

Podjechał volvem pod dom i wrzucił pudełka na tył samochodu. Część papierów wciąż leżała na ziemi. Pochylił się i zaczął je zbierać. Zabandażowaną ręką nie mógł ich dobrze chwycić. Wcisnął je do kieszeni. Nie mógł żadnego zostawić.

- Hej!

Podniósł wzrok i zobaczył, że jeden z mężczyzn stał przy drzwiach kuchennych.

Przycisnął ostatnie listy do piersi i cofnął się w stronę samochodu.

- Byłem przyjacielem - zawołał. - Jej przyjacielem. Mężczyzna obejrzał się na dom. Był młody i wysoki, miał jasne włosy i brodę.

- Przyjadę innym razem.

Mężczyzna wciąż stał, jakby nie wiedział, co zrobić.

Elliot wsiadł do samochodu, zawrócił podjazdem. Koła zatapiały się w brei. Drugi mężczyzna wyszedł z domu, rozmawiając z kimś przez komórkę. Kiedy volvo wyjechało na drogę, zaczął biec.

Do listy jego przewinień dołączyła kradzież.

Kiedy wraca na autostradę, powstrzymując się siłą woli, by nie nacisnąć pedału gazu, zdaje mu się, że to nic wielkiego. Jeśli w ogóle coś czuje, to co najwyżej, że postąpił właściwie, zgodnie z naturą, którą trzymał w ryzach przez większą część swojego życia, ale tylko ze strachu. Marcus przywłaszczyciel, Marcus złodziej. Jest w tym jakieś wyzwolenie, coś podniecającego.

Demiczew zrozumiał to w pierwszej sekundzie, kiedy się spotkali: oto ktoś, z kim można ubić interes, człowiek, który dobrze czuje się w ciemności. Inni także to wyczuli, lecz instynktownie trzymali się na dystans.

Patrzy w lusterko, dopóki nie znajdzie się daleko za granicami miasta. Samochód jest zawalony listami i fotografiami rozrzuconymi na siedzeniach i na zabłoconej podłodze. Papiery leżą na jego kolanach, są wciśnięte pod pedałami. Ale przynajmniej są na razie bezpieczne. Zoia jest bezpieczna. Jeszcze pół godziny i byłoby za późno.

W przypadku ikon z Nowgorodu, tych przeschmuglowanych z Rosji, uczeplił się tej samej wymówki. Ratował skarby, które inaczej przepadłyby, przedmioty, o które świat nie dbał ani trochę. Tyle że tym razem była to prawda.

Wkrótce się dowiedzą - Lindqvist, Cornelius, Demiczew. Odkryją, że to on zabrał dokumenty, i założą najgorsze: że zawierają one coś ważnego, coś, co może zostać wykorzystane przeciw nim. Mniej oczywiste jest, co z tym zrobią. Najprawdopodobniej postarają się o nakaz aresztowania. Policja będzie czekała na niego na lotnisku. Mogą nawet kontrolować księgi hotelowe, żeby sprawdzić, czy się gdzieś nie zameldował. Cornelius i jego ludzie są w stanie to załatwić. Mają kontakty w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Są podłączeni do spraw wagi państwowej.

A on ucieka, ale dokąd? Dokąd tak naprawdę może uciec?

Na obrzeżach miasta zjeżdża na pobocze. Wieczorny ruch narasta. Mija go nieskończona procesja reflektorów, oślepiają go, mknąc w dół wzgórza. Ludzie spieszą do domów, ich cele są określone i stałe. Przeciwnie niż jego. Jego życie rozgrywa się w innym rytmie i poddane jest działaniu rozmaitych sił. Przy urodzeniu został naznaczony samotnością.

Listy leżące na miejscu pasażera są zgniecione i zabrudzone. Dostrzega datę; lipiec 1933. Rozmazane słowa napisane czarnym atramentem, których nie może odczytać. Ogląda się przez

ramię na stosy pudełek na tylnym siedzeniu. Musi je ukryć. Musi znaleźć bezpieczne miejsce, im szybciej, tym lepiej. Firma wynajmująca samochody poda jego numer rejestracyjny policji. Jeżeli go zatrzymają, Lindqvist odzyska dokumenty.

Przychodzi mu do głowy tylko jedno miejsce.

W biurach „Expressen” wciąż wrze praca. Przez hartowane grube szkło Elliot widzi rzędy biurek, wszystkie zajęte, przy wszystkich pracują ludzie, żeby dotrzymać terminów. Ludzie bez marynarek wchodzi i wychodzi, przystają przed odbiornikami telewizyjnymi nastawionymi na stacje Reuters albo BBC World i ruszają dalej. Szuka Kerstin Östlund, ale nigdzie jej nie dostrzega.

Recepcjonistka dzwoni na jej numer wewnętrzny. Ktoś podnosi słuchawkę, ale to nie Kerstin.

- Nie ma jej. - Recepcjonistka jest po czterdziestce, mocno umalowana, z trwałą domowej roboty. - Chce pan zostawić jakąś wiadomość?

- Nie wie pani, gdzie mógłbym ją znaleźć? To pilne. Recepcjonistka powtarza wiadomość. Rowerzysta zostawia paczkę i rusza do windy. W centralce telefonicznej zapalają się światełka przychodzących rozmów.

- Próbował pan dzwonić na jej komórkę?

W jej głosie słyszy sztuczną słodycz, jakby mówiła o chorej osobie.

- Tak, nie odpowiada.

Recepcjonistka przykładła palec do słuchawki,

- Chwileczkę. On już idzie.

- On?

- Mats, praktykant.

Mats pojawia się sumiennie na pilne wezwanie. Ma rude włosy i nosi ciemny dwuczęściowy garnitur, zbyt obszerny dla niego.

- Szuka pan Kerstin Östlund?

Chłopak obejmuje wzrokiem pociętą twarz i zabandażowaną rękę Elliota.

- Tak. Mam informacje związane z ważnym artykułem, nad którym ona pracuje.

Na słowo *ważny* praktykant unosi brwi.

- Czy nikt nie wie, gdzie ona jest? Mats chrząka.

- Hm, no cóż, raczej nie.

Pomiędzy rutynowymi rozmowami recepcjonistka obserwuje ich bacznie.

- Raczej nie? Przecież tutaj pracuje, tak? Mats unosi ramiona.

- Tak naprawdę to nie. To znaczy czasami. Przychodzi czasem na zastępstwo.

Elliot czuje panikę w żołądku.

- Myślałem, że jest reporterką... Pracowała nad artykułem. Powiedziała...

Recepcjonistka uśmiecha się współczująco i nachyla się bliżej. Elliot widzi przejęcie w jej oczach, zachwyty, że może popisać się wiedzą. Większość osób w tym budynku prawdopodobnie nie zna nawet jej nazwiska, ale ignorancja nie jest wzajemna. Ona ma w głowie dossier niemal każdego z nich.

- Pracowała tutaj jako studentka. W lecie. Teraz jest tylko... - Zerka bezradnie na Matsa. - Po tym, co się stało, wie pan, ludzie chcieli jej pomóc, ale...

- Ale co?

Wzrusza ramionami, jakby reszta była oczywista.

- Cóż, nie należy do zespołu. Nie jest w stanie.

Elliotowi robi się gorąco, kręci mu się w głowie. Przytrzymuje się biurka.

- Nic panu nie jest?

- A co się stało?

Mats spleta ramiona na piersi, jakby osłaniał się przed zakłopotaniem.

- To nie tajemnica - odpowiada recepcjonistka. - Straciła dziecko. A nie ma nic gorszego, prawda? Nic gorszego na świecie.

Mówi jak ktoś, kto przeczytał o tym w kolorowym magazynie.

- Może mi pani podać jakieś namiary na nią? Jej domowy telefon, jej adres?

Recepcjonistka kręci głową.

- Przepraszam, ale nie wolno nam przekazywać informacji na temat personelu.

- Powiedziała pani, że ona nie należy do personelu. Proszę posłuchać: naprawdę muszę ją znaleźć. To ważne.

Recepcjonistka się waha. Mats gładzi szczecinę na brodzie, trochę zaciekawiony, może się zastanawia, czy jest w tym jakaś okazja, jakaś dziennikarska okazja, która wyniesie go w górę po szczeblach kariery. Albo okazja, żeby coś schrzanić.

- Mam ważną informację - dodaje Elliot, patrząc mu w oczy. Praktykant przełyka ślinę.

- A ten temat, nad którym pracowała - mówi. - Co to było?

Obłożony kamieniem budynek mieszkalny w północnej części Sztokholmu. Początek dwudziestego wieku, strzelisty, ale o złych proporcjach, dość stary, żeby kwalifikować się jako

zabytek i uniknąć rozbiórki. Poza tym nie widać śladu konserwacji. Graffiti ciągną się wzdłuż brudnych od sadzy ścian. Oryginalne drzwi zostały zastąpione panelami z matowego szkła w aluminiowych ramach. Podłogę w holu, niegdyś szczycącą się mozaiką, częściowo zalano cementem i teraz stanowi parking dla rowerów.

W „Expressen” nie byli nawet pewni, czy nadal tu mieszka.

Przegródki są po drugiej stronie, pomalowane czerwoną farbą z połyskiem. Przeszukuje przegródkę oznakowaną M-N-O i znajduje ulotki zespołów rockowych i fast foodów, pocztówkę z Maroka adresowaną do kogoś, kto nazywa się Hedberg, foldery reklamowe z pieczętkami sprzed sześciu miesięcy. Jedna z przesyłek z reklamami jest zaadresowana do Kerstin Östlund, lokal numer 5B. Na kopercie widnieje napis: Niskooprocentowane pożyczki, bezkonkurencyjne raty.

Winda jest zepsuta, a zatem rusza schodami, jego stopy tupoczą po kamiennych starych schodach. Klatkę schodową oświetlają niskowatowe żarówki w brudnych szklanych kloszach. Z każdym krokiem rośnie w nim złe przeczucie.

Kerstin Östlund, kolejny żywy łącznik z Zoią, kolejne zmarnowane życie. Podobno jest nieźrównoważona. Cornelius powiedział, że cierpi na urojenia. Coś w nim krzyczało: Trzymaj się od niej z daleka. Ale nie miał dokąd pójść, nie miał gdzie ukryć listów. Pomimo wszystkiego, co o niej mówiono, była jedyną osobą, której mógł zaufać.

Mats, praktykant, powiedział, że nie widział jej od wczoraj. Spodziewali się, że przyjdzie tego ranka na kilka godzin, ale nie pokazała się. Twierdził, że to do niej niepodobne.

Zadyszany Elliot dociera na czwarte piętro. Drzwi z jednej strony są obite deskami i zabezpieczone kłódką. Drzwi naprzeciwko są niebieskie, nad zamkiem ktoś napisał flamastrem 5B.

Puka, ale nikt mu nie odpowiada, puka więc ponownie. W mieszkaniu leci woda.

Postanawia zostawić kartkę, bo nic więcej nie może zrobić, czuje się przy tym, jakby był znów w college'u.

Grzebie w kieszeniach i znajduje długopis i starą kopertę. Opiera się o drzwi, żeby napisać:

Droga Kerstin

Drzwi uchylają się na jakiś centymetr czy dwa. Dół zahacza o frędzle dywanu, więc zasuwka nie mogła się zamknąć.

Przez wąską szczelinę Elliot dostrzega turecki kilim, a dalej zniszczoną podłogę z sosnowych desek. Dźwięk lecącej wody jest teraz głośniejszy.

- Halo?

Popycha drzwi jeszcze kawałek i stopą wygładza dywan. Na zewnątrz stukocze pociąg, niebieskie iskry rozświetlają sufit. Dostrzega parę brudnych tenisówek, faks, niepościelone łóżko, skroploną parę spływającą po szybie. Stożki światła elektrycznego padają na zagrany stolik przy łóżku; leży na nim otwarta obłożona w gazetę książka. Elliot widzi też coś, co wygląda na opakowania po jakichś lekach, z których wystają blistry z folii aluminiowej.

Dochodzi go echo z łazienki. Woda leci dość słabym strumieniem, odkręcona gdzieś między on i off, powietrze chrypi w rurze.

Wchodzi do pokoju i zbliżywszy się do stolika, czyta nazwę na pudełkach leków: amytal. Nazwa handlowa amobarbitalu, znanego także jako blue heaven. Jego farmaceuta nie polecał mu tego środka. To barbiturany, pigułki nasenne starej technologii. Polecał mu benzodiazepiny - droższe, ale bezpieczniejsze i bardziej trafione. Mniejsze ryzyko przedawkowania, jak stwierdził.

Jeden zafoliowany listek zawiera dwanaście kapsułek. Oba są puste.

- Jezu Chryste.

Drzwi obite boazerią. Pod nimi światło i niewielki kłęb pary.

Biegnie. Drzwi nie stawiają oporu, a zaraz potem widzi przed sobą wannę na nóżkach, pełną po brzegi, aż woda wylewa się na szare linoleum.

Nie może się ruszyć, nie jest w stanie zrobić tych kilku kroków. *Idź i powiedz matce, że jej program się zaczyna. Wie, co będzie później. On to wie. Idź. Zobacz. Zrób to.*

Stawia stopę naprzód, potem drugą. Patrzy.

Ona leży pod wodą, nad którą unosi się para, naga, z rękami po bokach, jej ciemne włosy unoszą się wokół twarzy jak skrzydła kosa, przykrywają jej policzki. Tak samo jak poprzednim razem. Łzy przesłaniają mu wzrok. Sięga w dół i podkłada rękę pod jej głowę, żeby ją wynieść.

Nagle ona otwiera oczy. Są ciemne i płaskie, jakby namalowane na papierze.

On podskakuje, kiedy ona gwałtownie unosi się z wody. Ożywa. Woda wylewa się kaskadą na podłogę.

- Wynoś się, daj mi spokój. On zderza się z drzwiami.

- Myślałem, że... Te pigułki. Myślałem, że... Ona kuli się w wannie, kaszle i mruga powiekami.

- Elliot?

- Myślałem, że przedawkowałaś.

Odsuwa z czoła mokre włosy i znowu mruga.

- Co?

- Widziałem puste opakowania po amytału. Ona odchrząka.

- Opróżniałam je przez kilka miesięcy. - Zakrywa piersi rękami. - A teraz wynoś się. Albo zacznę krzyczeć tak głośno, aż ktoś usłyszy.

- Okay, okay, przepraszam.

Wycofuje się z łazienki, zamyka za sobą drzwi, jest już prawie na podeście, kiedy dogania go jej głos.

- Marcus? Przystaje i słucha.

- Czego ty chcesz, do diabła?

43

- Nie wierzę. Zabrałaś *wszystko*?

Wyszła z łazienki i zobaczyła pudełka i dokumenty pokrywające prawie całą podłogę. Przez ostatnie dziesięć minut Elliot krążył między jej mieszkaniem i samochodem. Serce tak mu waliło, że czuł je w gardle.

- Mogę dostać coś do picia? Cokolwiek.

Kerstin zmarszczyła czoło, wycierając ręcznikiem mokre włosy.

- Nie miałem czasu, żeby dokonywać wyboru, mogłem wziąć wszystko albo nic.

Podeszła do zlewu, żeby nalać mu szklanek wody.

- Co się stało z twoją ręką?

- Poparzyłem się. Nic poważnego.

Kerstin ściągnęła brwi i przyklękła obok najbliższej sterty papierów, z której podniosła list napisany po rosyjsku. Elliot znał już ten charakter pisma, ten papier; korespondencja od pierwszego męża Zoi, Jurija, z lat 1923-1927. Potrafił już zidentyfikować większość listów na pierwszy rzut oka, nie widząc podpisu ani ich nie czytając. Charakter pisma jest indywidualny, podobnie jak ślad pędzla. Jest w nim autoekspresja i samookreślenie.

- Nadal nie rozumiem - powiedziała Kerstin. - Znalazłeś listę odbiorców obrazów. Po co ci cała reszta?

- Chcieli to zniszczyć. Zamierzali wrzucić to do niszcarki.

Otworzyła jedno z pudełek i wyjęła kolejny list: szkic listu, niedokończony.

Zoia do Alaina Azrii, wiosna 1931, papier listowy

Hôtel Grand Saint-Georges w Tunisie.

Z tobą przekroczyłabym wszystkie sfery miłości.

- Niszcarki? Dlaczego mieliby to robić?

- Ponieważ oni tego nie rozumieją. Boją się, że coś pokrzyżuje im plany.

- Skąd ta pewność?

- Po prostu to wiem. Wiem, tak samo jak ty wiesz o testamencie.

Czuł pulsujący ból w ręce. Skrzywił się i sięgnął do kieszeni po tabletki przeciwbólowe, które dali mu w szpitalu, połknął dwie naraz. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że Kerstin nadal czeka na wyjaśnienie. W dalszym ciągu nie pojmowała, dlaczego dokumenty były dla niego tak ważne, że je ukradł.

Usiadł na wytartej sofie, skubiąc bandaż na ręce.

- Widzisz... - westchnął. - Trudno to wytłumaczyć. Trudno znaleźć odpowiednie słowa.

- Spróbuj.

Problem w tym, że brzmiało to jak jakieś wariactwo. Słowa pokazywały szaleństwo, które trudniej było zignorować. Ale Kerstin też uznano za szaloną. Może dla niej to bez znaczenia.

Wzruszył ramionami.

- To w nich ją znalazłem. To wszystko, co mogę powiedzieć.

- Znalazłeś ją?

- W listach. Hildur Backlin powiedziała, że Zoia jest w swoich obrazach. Że tam trzeba szukać. Ale ja jej tam nie widziałem. Nic nie widziałem. Kiedy patrzę na jej obrazy, to tak jakbym patrzył w lustro.

Siedział ze wzrokiem utkwionym w podłodze, czekając, aż Kerstin go wyrzuci. Przez chwilę milczała, a potem usłyszał, że wstaje.

- Widziałeś to? - Trzymała w ręku pocztówkę. Była to reprodukcja z Muzeum Narodowego: portret Zoi pędzla Oscara Björcka. - Wyciągnęli to z magazynu i wystawili w sekcji współczesnej sztuki szwedzkiej. Poszłam to wczoraj obejrzeć.

Zoia, piękna, choć niesamowicie spokojna, niczym grecka bogini, niczym ikona, nieskalana. Portret Björcka był najlepszy, najbliższy prawdy. Namalował maskę, ponieważ widział maskę.

- Długo tego nie widziałem. Jest lepszy, niż zapamiętałem.

Kerstin usiadła na łóżku, wsadziła dłonie między kolana. W łazience wciągnęła dzinsy i podkoszulkę, ale nie wysuszyła się porządnie. Na materiale widniały mokre plamy.

I wcale go nie wyrzucała.

- Więc pojechałeś zobaczyć się z Hildur Backlin? Czy powiedziała ci, że obiecano jej obraz?

- To była pierwsza rzecz, jaką mi powiedziała. Ale nie dlatego tam pojechałem. To było, zanim znalazłem listę, zanim ty mnie znalazłaś.

- Więc po co pojechałeś?

- Hildur pozowała Zoi w latach trzydziestych. Przyjaźniły się, miałem nadzieję, że dowiem się, co Zoia wówczas myślała.

- W latach trzydziestych. Elliot skinął głową.

- Dwudziestych i trzydziestych. To są ważne lata. To wtedy kości zostały rzucone.

Po raz pierwszy rozmawiał z kimś o swojej pracy. Do tej pory uważał, że nikt tego nie zrozumie, ale Kerstin była inna. Jej związek z Zoią był instynktowny. Nie miał nic wspólnego z polityką ani handlem. Miał poczucie, że i ona ma prawo się dowiedzieć.

- Więc nie interesuje cię życie Zoi w wieku - powiedzmy - po ukończeniu trzydziestu siedmiu lat.

- Interesuje, ale jak powiedziałem, decyzje, które zdefiniowały jej całe...

- Ile masz lat?

- Ja? Trzydzieści siedem. Czemu pytasz? Kerstin potrząsnęła głową.

- Nieważne. Opowiedz mi o Hildur Backlin. Pomogła ci?

- Tak, pomogła. Chociaż nie powiedziała wszystkiego jasno. Jest bardzo stara, bardzo chora. Niektóre rzeczy, które mówiła... - Wzruszył ramionami. - Nie mogłem ich zrozumieć. - Odwrócił pocztówkę, którą trzymał w ręku.

- Powiesz mi?

- Coś o Krymie, o Sewastopolu. Że te miejsca nie znalazły wyrazu w twórczości Zoi. Najpierw pomyślałem, że chciała powiedzieć, że Zoia nigdy ich nie malowała. Ale teraz uważam, że mówiła o obrazach, które Zoia namalowała, ale trzymała w ukryciu. To dlatego pytałem cię o nie w hotelu.

Wypił wodę do dna, patrząc na Kerstin znad szklanki, zastanawiając się, czy rzeczywiście coś wiedziała i czy była gotowa podzielić się z nim tą wiedzą.

Przejechał kolejny pociąg. Kerstin wstała i spuściła żaluzje.

- Bandaż jest brudny, powinieneś go zmienić. Podobno rany po oparzeniu trzeba trzymać w czystości, żeby się nie zainfekowały.

Miała w łazience porządnie zaopatrzoną apteczkę: bandaże, wata bawełniana, środek odkażający. Szafka pełna była leków i brązowych plastikowych buteleczek. Zastanawiał się, kiedy ostrożnie zdejmowała mu stary opatrunek, czy do objawów jej nerwicy należy też hipochondria. Jego spojrzenie powędrowało ku słabo widocznej bliźnie-wgłębieniu tuż pod linią jej włosów.

- Chcesz wiedzieć, skąd to mam? Patrzyła na niego w lustrze.

- Nie, przepraszam...

- Kiedy się rodziłam, lekarzowi wyśliznęły się kleszcze, podobno naprawdę nie chciałam opuszczać macicy. Musieli mnie wyciągać na siłę, no wiesz.

- Kopałaś i krzyczałaś? Zaśmiała się.

- Kopałam i krzyczałam. Moja głowa była czarnosina, mówiła matka Zdjęła gazik z jego kciuka. Ciało pod spodem było sine i błyszczące. Zadrżał na ten widok. Nawet niepoparzona skóra była ciemnożółta od jodyny.

- Nie jest tak źle - stwierdziła Kerstin. - Zaczyna się goić.

Kciuk, dwa pierwsze palce, spód dłoni, to były najgorsze miejsca, ale skóra była tu gruba, a opuchlizna w większości zniknęła. Kerstin zmoczyła wacik bawełniany.

- Teraz zaboli. Spokojnie, okay? Trzymała jego rękę nad umywalką.

- Więc powiedz mi o tym paryskim autoportrecie - poprosiła, jakby prowadzili towarzyską rozmowę. - Co się za nim kryje?

Zawahał się.

- To znaczy, dlaczego jest ważny?

- Nie, nie to miałam na myśli.

Zmoczony zimną wodą wacik przykładła do jego ręki, tym razem mocniej.

- Skąd o nim wiesz? - spytał.

- Mówiłam ci, mam przyjaciółkę u Bukowskiego. Dała mi numer człowieka w Londynie, który rzekomo jest właścicielem tego portretu. Niejaki Paul Costa. Więc zadzwoniłam do niego i powiedziałam, że mam dla ciebie wiadomość, a on wcale się nie zdziwił. Nawet wziął ołówek do ręki.

- Stara sztuczka. Pewnie go zaskoczyłaś.

- Było dość wcześnie rano. Więc miałam rację, ty jesteś prawdziwym właścicielem.
- Tak. Ten obraz jest od jakiegoś czasu w mojej rodzinie. Trzydzieści lat, coś koło tego.
- Więc po co ta przykrywka? Jeśli nie jest kradziony?
- Nie jest.
- Więc?

Wyjęła z szafki tubkę środka odkażającego w kremie. Dziwne było widzieć ją właśnie taką: energiczną, praktyczną, rozsądną. Podobnie jak śmiechu, tego się po niej nie spodziewał.

- To kwestia etyki, częściowo. Nie mogę napisać w katalogu Bukowskiego o obrazie, który jest w moim posiadaniu. Oni zwracają uwagę na takie rzeczy. Konflikt interesów.

- A reszta?

- Reszta?

- Powiedziałeś, że to częściowo kwestia etyki.

Elliot patrzył, jak lekko rozprowadza krem na jego rękę. Krem go chłodził.

- Nie chciałem, żeby wliczono go do mojego majątku. Jestem w trakcie rozwodu. Wszystko, o czym sądzisz, mogą mi zabrać.

- Rozumiem. Nie chcesz dzielić się pieniędzmi ze swoją żoną.

- Nie planowałem go sprzedawać. Ale potem wdałem się w walkę o prawo stałego pobytu dla mojej córki. I już nie miałem wyboru. Prawnicy są drodzy.

Kerstin wytarła czoło nadgarstkiem.

- Słyszałam o tym. Słyszałam, że próbowałeś zatrzymać przy sobie córkę.

Zakręciła z powrotem tubkę kremu i schowała ją do pudełka w szafce. Kazała mu usiąść na brzegu wanny, a sama zmieniała opatrunek. Czuł, że nie zasłużył sobie na tę troskę i uwagę. Ale nie wyglądało na to, by Kerstin miała mu za złe. Chciał powiedzieć znowu coś takiego, co by ją rozśmieszyło.

Usiadła obok niego i wyjęła opatrunek z opakowania.

- Trzydzieści lat temu byłeś małym chłopcem - powiedziała.

- Miałem niecałe osiem lat.

- Więc kto kupił ten obraz? Twój ojciec?

- Nie, on go nienawidził. Nie chciał go trzymać w domu. Kerstin przyłożyła opatrunek do jego dłoni.

- Więc matka?

Elliot powoli zgiął palce, kiwając głową.

- Tak, ona była Szwedką. Już nie żyje.

- Wiem. Przykro mi.

Zaczęła obwiązywać jego dłoń bandażem. Odnosił wrażenie, jakby wyciągała z niego prawdę, z jakiejś głębi. Był ciekaw, ile już wiedziała. Lata temu, podczas popijawy w Londynie, zdradził Corneliusowi Wallanderowi, w największym sekrecie, historię śmierci swojej matki. To była pomyłka nie w jego stylu, której niemal natychmiast pożałował. Cornelius nie był człowiekiem, który powstrzymałby się przed rozprowadzaniem plotek.

- Kupiła portret kilka tygodni przed śmiercią. Czasami wracała tutaj sama, żeby zobaczyć się z rodziną.

- Był bardzo drogi? Czy to tak zdenerwowało twojego ojca?

- Nie wiem, ile kosztował. Nie wiem, czy w ogóle coś zapłaciła. Nie ma żadnego dowodu sprzedaży i kupna. Być może dostała go.

- Od Zoi?

Elliot wzruszył ramionami, jakby jeszcze nie podjął decyzji w tym punkcie.

- Niewykluczone. Możliwe, że się znały.

- Ale nie wiesz tego.

- Nie mam bezpośrednich dowodów. Nic, co mogłoby stanowić dowód w sądzie. Ale były jakoś związane. Jestem tego pewien. To znaczy, bo skąd ten obraz? Coś tak ważnego... tak niepowtarzalnego.

Kerstin położyła mu dłoń na ramieniu. W ustach trzymała agrafkę.

- Nie ruszaj się, dobra?

- Chodzi o to, że nie wierzę, by Zoia oddała taki obraz, czy sprzedała go komuś, kto by go nie rozumiał. Kto nie rozumiałby, co on znaczy.

- Kto nie byłby wtajemniczony?

Elliot zawahał się. Kerstin zerknęła na niego, wyjmując agrafkę z ust.

- Tak, w pewien sposób.

- Może dlatego twój ojciec go nie lubił. - Wbiła się w bandaż i powoli wpięła agrafkę. - Kosztowny prezent, jacyś znajomi, których nie znał. Sprawy, w których nie uczestniczył.

Przez moment siedział znów na schodach, słuchając krzyku. Przerazający dźwięk. Gorące łzy popłynęły po jego policzkach. Zamknął oczy.

- Nazywał moją matkę lodową dziewczyną. Mawiał, że trzymała się od wszystkich na dystans, bo inaczej by się roztopiła. Zawsze czuł się od niej gorszy. A potem ona nagle odeszła.

Podniósł wzrok i zobaczył, że Kerstin przygląda mu się bacznie. Miała zatroskaną minę.

*

Ze świeżo zabandażowaną ręką nie miał powodu, by zostać tam dłużej. Powiedział, że wymyśli, co zrobić z dokumentami, i zabierze je, jak tylko będzie to możliwe. Tymczasem znajdzie jakiś pensjonat, gdzie przyjmują gotówkę i nie przywiązują wagi do formalności.

Kerstin podziękowała mu za listę i, zanim wyszedł, zaprosiła go na drinka.

- To rodzaj sznapsa - powiedziała, wydając z lodówki wysoką butelkę o prostokątnych bokach. - Znajomy robi to na wsi, takie ma hobby.

- Bimber?

Uśmiechnęła się, nalewając do kieliszków.

- Wierzę, że to fundamentalne ludzkie prawo wypić sobie trochę od czasu do czasu, nawet jeśli rząd uważa inaczej. Nie bój się, jest bezpieczne. Tylko pięćdziesiąt procent.

Czuł, jakby połykał ogień, ogień z posmakiem czereśni. Kerstin wyciągnęła skądś książkę telefoniczną i patrzyła ponad małym kuchennym stolikiem, jak Elliot przewraca kartki, szukając jakiegoś pensjonatu. Żaden nie wyglądał obiecująco. Poza tym istniała kwestia, jak za to zapłaci.

- Opowiedz mi o swojej żonie - poprosiła przy drugim kieliszku. - Kim ona jest? Jak długo byliście małżeństwem?

Elliot podniósł wzrok znad książki.

- Jeśli nie masz mi za złe, że zadaję ci takie osobiste pytania. Nie, nie miał jej za złe. W Anglii miał za złe albo miałby, gdyby ktoś okazał się na tyle nietaktowny, by zadawać podobne pytania. Ale tutaj, teraz, było inaczej. Jej ciekawość mu pochlebiała.

Opowiedział jej wszystko, od dnia, kiedy po raz pierwszy zobaczył Nadię, do dnia, gdy go opuściła. Alkohol ułatwiał mu zadanie, rozgrzewał jak mały piec z głębi żołądka. Opowiadana historia miała inny przebieg niż ta, którą nosił w sobie przez wszystkie te miesiące. Tym razem nie dochodził słuszności swojej sprawy w sądzie czy przed kimkolwiek innym. Punkt widzenia Nadii dominował. Czuła się samotna w Londynie, widział to wyraźnie. Samotna, zdezorientowana, w pułapce zobowiązań. A jego czasochłonne żmudne wysiłki, by zapewnić im utrzymanie - nawet łamiąc prawo - tylko pogarszały jej sytuację.

Kerstin zadała mu mnóstwo pytań. Pytała o Teresę, o to, czym dla niej będzie rozwód rodziców. Elliota uderzyło, że od śmierci swojego dziecka Kerstin była sama, żyła obok świata,

który ją otaczał, jak zdarzało się często ludziom powracającym z wojen. Walczyła, by na nowo podłączyć się do życia.

- Jednego nie rozumiem... - sięgnęła znowu po butelkę, choć ich kieliszki nie były jeszcze puste. - Po co ci ta prawniczka i ci wszyscy ludzie, którym płacisz, żeby odzyskać córkę? Oni nie mogą ci powiedzieć, z kim Teresa powinna zostać, prawda?

- Tak jest w Anglii. Prywatno-dowodowy system. Moi prawnicy wnoszą sprawę i jej prawnicy wnoszą sprawę, a sąd dokonuje wyboru.

- Nie o to pytam. Pytam ciebie, co myślisz. Wyciągnęła rękę z butelką. Elliot zakrył kieliszek dłonią.

- Gdybym nie uważał, że Teresa będzie ze mną szczęśliwsza, nie walczyłbym o nią.

- A ty to właśnie robisz? Walczysz?

- Co masz na myśli?

Kerstin dolewała do swojego kieliszka.

- Nie wiem. Tylko wydaje mi się, że gdybyś naprawdę walczył, całym sercem, byłbyś teraz tam. To wszystko.

Dokończył swojego drinka i wstał. Nadeszła pora, by wyjść. Powiedziała mu, żeby nie był śmieszny i przespał się u niej na kanapie. Było za późno i za zimno na szukanie noclegu. Nie miał siły odmówić.

Pół godziny później leżeli w ciemności po przeciwnych stronach pokoju. To wtedy zapytał ją, co wie na temat obrazów z Krymu. Ale ona już spała.

Noc minęła niespokojnie, pulsujący ból w ręce co rusz wybudzał go ze snu, a kiedy zasypiał, śnił - sny o przeszczepie skóry i połączanym ciele, żywej tkance naciętej ostrzami w kształcie psich kłów. Widział Anubisa o ciele kobiety, drgający wizerunek na ścianie grobowca. Potem znalazł się w pracowni i oglądał to wszystko na niemym filmie, tym razem z Kerstin, niespokojnie patrzącą ponad jego ramieniem. Czekał, aż film znowu zajmą płomienie, ale do tego nie doszło. Potem ten amatorski film zamienił się w film z jego dzieciństwa i oglądał siebie samego w jasnych ziarnistych barwach: dwuletni Marcus w szerokich spodniach drepczący po trawniku do matki, która czeka na niego z wyciągniętymi ramionami. Mruży oczy do kamery, bo słońce świeci mu prosto w twarz.

Kiedy obudził się nazajutrz rano, Kerstin nie było w domu. Nie miał pojęcia, dokąd poszła. Odsłonił żaluzje. Na zewnątrz wisiała gęsta mgła. Pociąg z zapalonymi światłami powoli wtaczał się do miasta. Wszyscy posuwali naprzód swoje zabiegane życie.

W świetle dziennym mieszkanie wyglądało bardziej obskurnie i smutno. Kilka śladów stylu, na jakie było ją stać - kilim, współczesne wazony i lampy - w niewielkim stopniu ukrywały zaniedbania. Butelka sznapsa stała wciąż na stoliku, gdzie ją zostawili. Pigułki nadal leżały obok niezasałanego łóżka. Przez kilka krótkich godzin mieszkanie Kerstin było dla niego azylem. Teraz czuł się tam jak w więzieniu.

Zaczął szukać swojej komórki, potem włączył ją, spodziewając się kaskady wiadomości głosowych: od Harriet, od Corneliusa, może nawet od Nadii. Ale tym razem, chyba po raz pierwszy, w jego poczcie głosowej nie było zupełnie nic. *Nie masz żadnych wiadomości.*

Wszyscy z nim skończyli. Opuszczali ich życie, a podróż tę opóźniły tylko jego eskapady w Szwecji. Jak mówi powiedzenie: a dalej to już wiadomo, co i jak było.

Zaparzył sobie kawę i stanął przy oknie, patrząc to na pociągi, to na pudełka z listami Zoii. Wątpliwości zaczęły się mnożyć. Stracił swoją ostatnią szansę na normalność, i to dla obietnicy wiedzy, która nie była niczym więcej jak właśnie obietnicą. Jak zwykle pozostał na zewnątrz. Tyle że tym razem nie miał dokąd pójść.

Przeszło mu przez myśl, że Zoia mogła doświadczyć podobnej sytuacji. Ale to chyba jednak niemożliwe. Zoia była silna, ona przeżyła. Kiedy wszystko straciła, znalazła coś nowego, światło, które ją prowadziło, drogę powrotną do pełni. I to było widać, podobnie jak ją samą, w obrazach, które namalowała. Tylko że było to napisane w języku, którego wciąż nie rozumiał.

Ubrał się i poszukał swoich butów, które w końcu znalazł obok sofy i segregatora z żółtą karteczką przyklepioną na okładce. To nie był segregator z domu Zoi. Na kartce napisano czarnym flamastrem:

Marcus: Krym. To są listy od Zoi (fotokopie) znalezione w papierach Karla Kilboma. Mam nadzieję, że ci pomogą. Kerstin.

Sewastopol

44

Prowincja Kursk, południowa Rosja, listopad 1920

To był pierwszy pociąg z Moskwy od miesiąca. Długi wąż szesnastu wagonów towarowych i usmolony sadzą parowóz przemierzały pusty ład, a koła postukiwały na obłuzowanych torach. Po tygodniu zbliżały się do dolin Ukrainy, trzy dni, a najwyżej cztery, dzieliły je od Morza Czarnego.

W Sewastopolu zaczną życie na nowo, powiedziała jej matka. Nikt ich tam nie zna. Zamkną drzwi przeszłości - swoje błędy i żale - i na zawsze pozostawią je zamknięte. Zoia nie sprzeciwiała się specjalnie, chociaż płakała, kiedy w końcu wyruszyli z dworca. Ich życie w Moskwie dobiegło końca. Dla czerwonych będą zawsze wrogami klasowymi, dla wszystkich innych prowokatorami i informatorami. Otoczyła je nienawiść. Nawet Andriej opuścił je i wyjechał do Piotrogradu, zgorzkniały i zły, i poślubił dziewczynę, której, jak twierdził, nie kochał.

Ludzie zajmowali każdy skrawek przestrzeni, tłoczyli się nie tylko w wagonach, ale też na ich dachach i pomiędzy nimi. Składali swoje bagaże na buforach i wieszali, gdzie tylko mogli. Każda większa stacja po drodze była oblegana ludźmi z bagażami. Były ich tysiące. Stale groziło niebezpieczeństwo, że pociąg zostanie porwany albo napadnięty, niezależnie od tego, że wagonu pocztowego pilnowali żołnierze. Ale jak dotąd szczęście im dopisywało. Nie spotkali zbrojnych band, które paraliżowały większość linii kolejowych.

Zoia, jej matka i jej babka, ubrane jak żebraczki, skuliły się w kącie, dwa wagony za parowozem, dość blisko, żeby sadza osmaliała ich twarze. Wokół nich leżały worki złomu żelaznego, drutów, węgla, sprężyn z łożka, wszystkiego, cokolwiek ludzie w miastach zdołali ukraść, a teraz mieli nadzieję zamienić to na wsi na jedzenie. W owych czasach wszyscy w Rosji parali się czarnorynkowym handlem, wszyscy poza biurokratami i oficjelami partyjnymi, którzy otrzymywali specjalne przydziały. Trzeba było wymieniać jakieś towary na żywność, bo inaczej groziła śmierć głodowa. Robotnicy podkradali wyroby swoich fabryk - części silników, wlewki, sztabki, butelki - a kiedy maszyny nie chciały pracować, rozbierali je na części. Ludzie nieposiadający państwowych posad nie otrzymywali przydziałów żywności. Członkowie „by-

łych klas" sprzedawali ubrania i ozdoby i palili w piecach książkami. A kiedy nic im już nie zostało, sprzedawali siebie albo swoje dzieci. Andriej pisał do niej z Piotrogradu, że na Newskim Prospekcie stoją młode ładne dziewczęta z burżuazji, które oddają się za kromkę chleba albo bryłkę węgla. W zimie było jeszcze gorzej. W Moskwie nie zostało ani jedno drzewo. Opuszczone budynki w ciągu paru godzin były kompletnie wybebeszone, ludzie rozkradali deski z podłogi, belki nośne, dachówki, rynny. W poszukiwaniu żywności i ciepła rozebrali ręcznie miasta carskiej Rosji - pałace, bulwary, cerkwie - cegła po cegle.

Przez większą część nocy pociąg się zatrzymywał, czasami na stacji, ale zwykle gdzieś w polu. Jeśli nie było tam drzew ani krzewów, ludzie rozpalali ogniska obok torów, chociaż przestali to robić, gdy minęli Orzeł.

Minąwszy Orzeł, znaleźli się bowiem na terenie rządzonej przez bandy i nie wolno było rozpalać ognia. Kiedy wschodził księżyc, pociąg ruszał dalej, bez uprzedzenia, powoli tocząc się po torach i wyglądając po drodze barykad. Pewnej nocy, kiedy siedzieli na wzniesieniu nad torami, usłyszeli w oddali odgłosy strzelaniny. Wszyscy zamilkli, nawet młodzi pijacy, którzy się awanturowali. Dobiegła ich kolejna seria strzałów, potem jeszcze jedna, a później zapadła cisza. Następnego ranka, kiedy pociąg skręcił, ujrzeli wioskę w płomieniach.

Krążyły opowieści o wojnie na południu - z Charkowa, Woroneża, Carycyna napływały przerażające wieści. Kozacy obdzierali swoich więźniów żywcem ze skóry albo zakopywali ich w ziemi, zostawiając nogi ofiary sterczące w powietrzu i zakładając się jeszcze, która z ofiar przestanie machać nimi ostatnia. Czekiści z kolei zanurzali członki swoich ofiar we wrzątku, aż skóra pęczniała jak balon i można ją było zedrzeć w jednym kawałku. Rodziców zmuszano, by patrzyli, jak torturuje się i zabija ich dzieci. Jeńców wrzucano do wielkich pieców albo toczono w beczkach nabitych gwoździemi. W wojnie klasowej tortury były jedyną interesującą rozrywką. Wszystkie sprawy, wszystkie spory kończyły się aktami terroru. A skoro robiono to przede wszystkim dla przykładu, tak naprawdę nie miało znaczenia, kim były ofiary.

Skóra ludzka stanowiła ulubiony cel oprawców. Człowiek bez skóry postrzegał sam siebie jako nic więcej tylko żywe mięso. Żywe mięso i krzyczące twarze. W nocy Zoia widziała te wszystkie obrazy w snach.

Z każdym kilometrem posuwali się dalej w głąb strefy wojennej. Miejscowości, które mijali, po kilka razy przechodziły z rąk do rąk. Obok każdej wioski znajdował się prowizoryczny cmentarz, wrony dziobały w ziemi, rozkładając skrzydła po skończonej robocie. W jednej z mijanych wiosek Zoia dostrzegła rodzinę leżącą obok szopy - dwóch starych mężczyzn, kobietę i

chłopca z potarganymi czarnymi włosami. Wyglądali jak pijacy, których spotykała na ulicy. Ale kiedy zobaczyła ich ułożone w uśmiech wargi i pustkę w oczach, zrozumiała, że to nie sen ich zabrał.

Pewnej nocy Zoia obudziła się z wyschniętym gardłem i stwierdziła, że wagon jest w połowie pusty. Zostawiła swoją matkę i babkę i zeszła na bocznice. Ludzie ciągnęli jeden za drugim wzdłuż torów, ostrożnie, w milczeniu. Poszła za nimi, ciekawa, dokąd zdążają. Trzy wagony dalej dogoniła kobietę w długim szalu.

- Dokąd pani idzie?

Ale kobieta jakby jej nie słyszała.

Procesja zniknęła w cieniu. Zoia dojrzała ścieżkę, krętą ścieżkę prowadzącą w górę porośniętego lasem wzniesienia. Było tak ciemno, że widziała jedynie plamki gwiazd nad głową, obramowane gałęziami drzew. Potknęła się i poczuła, że ktoś chwyta ją za rękę, pomaga jej podnieść się i iść dalej. Była głodna i zmarznięta. Chciała już wracać, ale gdzieś przed sobą widziała światło, płomień, który przesuwiał się między drzewami niczym przewodnik. Potem pojawił się drugi płomień i trzeci. Zdawało się, że płyną między drzewami, jakby niosły je jakieś niewidzialne ręce.

Zoia pomyślała, że śni. Ale był to o wiele bardziej dziwny i spokojny sen niż te, które śniła ostatnio.

W prześwicie między drzewami stała maleńka cerkiew. Widziała już drewnianą dzwonicę i popadające w ruinę pobielone ściany, które w świetle gwiazd niemal świeciły. Podchodząc bliżej, usłyszała głosy. Śpiew. Z początku tak cichy, że musiała nadstawiać uszu. Od czasu swojego potajemnego ślubu z Jurijem przed rokiem nie postawiła nogi w cerkwi. Uczestnictwo w obrzędach religijnych uważano za przestępstwo. Nawet jej babka, która modliła się codziennie, trzymała się z daleka od cerkwi. A jednak coś nie pozwoliło Zoi stamtąd odejść. Próbowała zatrzymać się, myśleć o dziecku, które nosi w brzuchu, i o tym, co się stanie, jeśli ją aresztują. Wszystko na nic. Nogi niosły ją dalej, w stronę światła i narastających głosów.

Weszła do wnętrza przez próg. Cienie płomieni świec tańczyły na sklepionym suficie. Unosił się tam zapach kadzideł, słodki i znajomy. Jakaś kobieta prowadziła melorecytację. Była niewidoczna, stała gdzieś na galerii. Jej głos był czysty, zbyt piękny, żeby pochodził od kogośkolwiek ze stojących na dole ludzi w łachmanach. Zoia przesunęła się naprzód, świadoma teraz także głosu duchownego, głębokiego i spokojnego - tak głębokiego, jakby wydostawał się z głębi ziemi.

I tak znalazła się na przedzie. Ołtarz był spalony, podobnie jak ekran, który go otaczał. Krzyża i nastawy brakowało. Na ścianach widniały ślady sadzy. Naliczyła sześć dziur od kul. Coś jednak się uratowało. Obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem na złoconej desce, który stał oparty o osmalony szkielet stołu.

Była to tylko ikona, relikw starych Rosji, złoto zmatowiałe od sadzy słabo połyskiwało w świetle świec. Nie było nic wyjątkowego w pełnej żalu twarzy Dziewicy ani w spowijających ją niebieskich sukniach. Nic, co wycisnęłoby łzy z oczu Zoi. Jeśli jej oczy zachodziły łzami, to tylko z wyczerpania i głodu, i przerażenia, które jej nie opuszczało. Miała poczucie, że ta ikona ją tam przyciągnęła, żeby jej coś pokazać, coś jej zaoferować. Ale to także było skutkiem jej delirium, wielkiej słabości, która dochodziła do głosu. Na samą myśl o tym ogarniała ją złość. Otarła łzy z twarzy. Zostawiły blade smugi na jej brudnych rękach.

Nie miała zamiaru się modlić. W dzieciństwie wszystkie dzieci milion razy modliły się za cara i jego rodzinę, a mimo to ich rozstrzelali. Modliła się za swojego ojca i ojczyma. Jaki był zatem sens modlić się za Jurija, zamkniętego w zakładzie dla obłąkanych? Jaki był sens modlić się za ich dziecko?

Jurij nie wiedział jeszcze, że zostanie ojcem. Próbowała przemycić mu tę wiadomość podczas ostatniej wizyty, ale strażnicy skonfiskowali kartkę. Jej matka powiedziała, że tak będzie lepiej. Jurij miał dość zmartwień. Prosiła, żeby Zoia nie wspominała mu o dziecku, dla dobra ich wszystkich.

Zoia wybiegła z cerkwi i wróciła do pociągu. Ukryła się między śmierdzącymi kwaśno bagażami i spódnicami swojej babki. Leżała i bardzo chciała zasnąć, pragnęła, by świt nadszedł jak najprędzej i żeby już ruszyli. Ale dźwięk śpiewów kościelnych wciąż jej towarzyszył. Kiedy zamknęła oczy, widziała tylko ikonę, Matkę i Dziecko, odpadające złoto błyszczące jak słońce na wiosennym śniegu.

Sen zabrał ją tam, gdzie nie chciała wracać. Na Wróblowe Wzgórza na obrzeżach Moskwy. W tamten dzień, kiedy po raz pierwszy zobaczyła Jurija. Widziała młode przystojne twarze odwrócone w ich stronę, kiedy wybiegli z lasu. Tatiana Argunowa z różowymi policzkami, młoda księżniczka Maria w białej futrzanej czapie, Rajewski i książę Orłow z uśmiechem podnoszący w górę ustrzelone zajęcia.

- Myśleliśmy, że cię porwali.

Ich oddechy w zimnym powietrzu wyglądały jak pióropusze.

- Bo zostałam porwana. Ale uciekłam. Na szczęście uszłam z życiem.

Wzniesli toast za „wieczną przyjaźń”. Teraz żaden z nich już nie żył. Orłow, księżniczka Maria, nawet przyjaciele, których nie było z nimi tamtego dnia, ale którzy zaliczali się do ich kółka. Przesłuchiwani, torturowani, zastrzeleni. Krewnym księżniczki nie pozwolono zobaczyć jej ciała ani tego, co jej zrobiono. Potem ich także aresztowano.

Tylko Jurij pozostał na wolności. Służył rewolucji, ujawniając spisek Białej Gwardii. Wkrótce miał wyjść na wolność, jeśli będzie się czuł dość dobrze. Wróci do swojej żony i zacznie żyć życiem obywatela radzieckiego na usługach państwa. Jego przeżycie dowodziło, że spisek był prawdziwy.

W nocy, kiedy aresztowano ich przyjaciół, powiedział jej, że zrobił to wszystko dla niej. Powiedział, że tylko w ten sposób mogą być razem.

W nocy widziała młodą księżniczkę i innych stojących na ścieżce. Widziała ich ufne uśmiechy.

Nazajutrz wjechali na Ukrainę. Sześć godzin bez postoju, pokonując niezliczone kilometry. Wagon kołysał się tak gwałtownie, że były całe posiniaczone. Prowadzący lokomotywę chcieli pokonać ten dystans możliwie najszybciej. Żołnierze wychylali się z wagonu, wisząc na jednej ręce i lustrując teren z bronią na ramieniu. Przez szparę w deskach Zoia obserwowała mijane okolice. Chmury kurzu wirowały na horyzoncie, sięgając szarego nieba. Tęskniła za widokiem morza, za jego zapachem. Wyobrażała sobie, że płyną z Jurijem po niebieskich wodach, z dala od Rosji i jej duchów. Kiedy go zobaczyła w więziennym szpitalu, jak szedł pod strażą, powłócząc nogami, wydawało się, że jej wcale nie rozpoznał.

Koła zablokowały się z potwornym piskiem. Wagon podskoczył, przewracając ją na podłogę. Słyszała krzyki wznoszące się ponad syk pary. Słyszała swoją matkę, która kazała jej zostać na miejscu. Pociąg został zaatakowany.

Zoia zamknęła oczy i przyłgnęła do podłogi wagonu, czekając na serię strzałów. Ale nic takiego nie nastąpiło. Strażnicy krzyczeli, żeby ludzie nie wychodzili z pociągu.

Podczołgała się do swojej szpary w deskach z boku wagonu. Znajdowali się na przedmieściach małego miasta. Nie mogła dojrzeć jego nazwy. Ale widziała jakieś magazyny, plac załadunkowy. Wyglądało na to, że drugi pociąg stoi przed nimi na równoległym torze. Z ciężarówki strażników powiewały czerwone flagi.

Usłyszała dźwięk młotka i drwiny. Z lokomotywy wciąż buchała para, więc trudno było coś wyraźnie zobaczyć.

W wejściu do jednego z magazynów stała grupa żołnierzy z czerwonymi gwiazdami na czapkach. Pilnowali zapasów ziarna. Za nimi stały worki. Dwaj z nich przyjęli pozycję strzelecką i ćwiczyli swój wzrok wzdłuż wagonów. Potem Zoia dojrzała coś kątem oka: ciężki worek ciągnięty po ziemi przy końcu drugiego pociągu. To nie był kolejny worek ziarna. To był człowiek, bosy, w łachmanach, czerwone żywe mięso ciągnęło się za jego głową. Żołnierz, który go włókł, niósł dwie zardzewiałe strzelby na ramieniu.

A więc nastąpił atak, atak na skład zboża. Może to partyzanci, a może wieśniacy, którzy wrócili po swoje. Ale żołnierze byli gotowi odeprzeć atak.

Wagon znowu podskoczył. Para zasłoniła jej widok. Ruszyli, toczyli się za pociągiem z zarekwirowanym towarem. Byстрыm wzrokiem ujrzała mężczyznę na dachu wagonu towarowego, machał do tłumu żołnierzy w dole, z rękami wyciągniętymi wysoko nad głową. Na kolejnym wagonie stał drugi mężczyzna.

Jej matka krzyknęła. Ona także patrzyła. Chwyciła Zoię za ramiona i odsunęła od ściany wagonu. Kobieta przy drzwiach przeżegnała się i ukryła twarz w dłoniach. Wówczas Zoia zrozumiała: na każdym wagonie stał jeden więzień, żywcem przybity gwoździami.

Żołnierze gwizdali i unieśli kciuki, kiedy mijał ich moskiewski pociąg.

45

Biała armia uciekła i nie zamierzała wracać. Sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi odpłynęło na statkach sił sprzymierzonych, w kierunku Konstantynopola i Marsylii. Kozacy dońscy wrócili na stepy, zostawiając za sobą ślady krwawych pogromów. Sewastopol nie gwarantował możliwości wybawienia ani możliwości ucieczki, panował tam tylko głód i strach przed odwetem.

Matka Zoi przemyciła diamentową tiarę belle époque wszytą w rąbek swojej halki. Perły ukryła w obcasach botków. Zoia z kolei wypatroszyła swojego misia Miskę i wypchała go koronką oraz srebrem. Żeby starczyło im na dłużej, musiały zerwać korale i sprzedawać po jednym kamieniu. Za kilka pereł dostały pokój na poddaszu nad sklepem ze zrabowanymi meblami na ulicy Jekatierynosławskiej. Szafir wymieniły na polana i chrust na opał. Spały na zmianę na wąskim żelaznym łóżku.

Całymi dniami nie wychodziły z domu. Ulice pełne były uciekinierów, krążących bez celu, szukających czegokolwiek, co można by zjeść albo ukraść. Noce były pogrążone w ciemności, a ciszę przerywały jedynie odgłosy strzałów. Kiedy zobaczyły, że Czeka zrobiło nalot na

budynek po przeciwnej stronie ulicy, spakowały się i przeprowadziły na obrzeża miasta. Za kolejne siedem pereł stara Ormianka pozwoliła im spać na podłodze, razem z dwiema żydowskimi rodzinami, które uciekły z Ukrainy. Znała miejsca, gdzie można było dostać jedzenie, jeśli się dobrze trafiło. W zrujnowanych opuszczonych magazynach i stajniach płaciły diamentami za robaczywe owoce i solone ryby pełne ości. Nie miały wiele czasu, żeby się targować. Wszyscy bali się aresztowania i rabunku.

Miasto, które Zoia pamiętała, pełne światła i zasobne, upadło. Na ulice, za dostojne, klasyczne fasady powrócił bardziej prymitywny stan rzeczy: Rosja barbarzyńskich hord. Obowiązywało wyłącznie prawo siły. Dworzec i placeapełniali żebracy. Na promenadzie nad zatoką, gdzie niegdyś Zoia spacerowała z guwernantką pod różową szyfonową parasolką, przechadzały się tylko prostytutki. Stawały wzdłuż promenady, po obu jej stronach, a co dzień ich przybywało. Zoia widziała żołnierzy i marynarzy wykupujących je po sześć naraz. W wąskich ulicach swoje usługi oferowały dzieci, dziewczynki i chłopcy w wieku dziewięciu czy dziesięciu lat. Zoia myślała z początku, że oni tylko żebrzą, dopóki nie zajrzała im głęboko w oczy.

Jej matka nie mówiła o przyszłości. Wydawało się, że na coś czeka. Zoię to przerażało. Do tej pory matka zawsze miała jakiś plan. Od pięciu lat w ich rodzinie brakowało mężczyzny, ale przetrwały, ponieważ matka zawsze myślała naprzód, przewidywała niebezpieczeństwa, wykorzystywała każdą najmniejszą okazję. W Moskwie pielęgnowała kontakty w państwowej biurokracji, dzięki czemu obie od czasu do czasu dostawały jakąś pracę, pisanie na maszynie albo porządkowanie dokumentów. Zręcznie radziła sobie na czarnym rynku, jak najlepiej wykorzystując ich kosztowności, które trzymała dobrze schowane, nawet przed wścibskimi ludźmi, z którymi musiały mieszkać. Ale tutaj, w Sewastopolu, zdawała się zagubiona. Nic nie robiły, dryfowały w stronę ubóstwa, sprzedając klejnot po klejnocie.

- Tutejsze powietrze służy twojej babce - powiedziała jednego ranka, jakby czytała w myślach Zoi. - Jeszcze jedna zima w Moskwie zabiłaby ją.

Stały pochylone nad wanną, usiłując doprać bez mydła swoje pachnące kwaśno ubrania.

- Więc... jak długo tu zostaniemy?

Chciała wiedzieć, gdzie urodzi się jej dziecko.

Matka wyjęła wodę z szarych halek. Po trzech latach takiego życia wciąż czuła się upokorzona pracą fizyczną. Zoia widziała to na jej twarzy - ujrzała to po raz pierwszy, kiedy wróciwszy do domu, znalazła matkę odgarniającą śnieg łopatą, podczas gdy nadzorca budynku patrzył na nią z góry i się śmiał. Nie było w niej cienia akceptacji. Złość trzymała ją przy życiu,

złość oraz marzenie, że pewnego dnia odbiorą to, co straciły. Dla jej matki największym grzechem była słabość. I chociaż czasami płakała w nocy albo budziła się z krzykiem i imieniem męża na ustach, rano była znów sobą, uważna, praktyczna. Czasami Zoia myślała, że matka robi to wszystko dla niego.

- Nie wiem jak długo - odparła. - Są tutaj ludzie, których musimy odnaleźć.

- Jacy ludzie?

- Ludzie, którzy mogą nam pomóc.

- Uciec?

Matka podniosła gwałtownie wzrok. Takich rzeczy nie mówiło się głośno, za takie rzeczy można było trafić do więzienia.

Spuściła oczy na swoje czerwone szorstkie dłonie. W jej głosie brzmiała tęsknota.

- Może jeszcze mamy szansę. Jeśli będziemy mieć oczy otwarte. Oczywiście, twój stan nam tego nie ułatwia.

Jej stan. Tym było teraz jej dziecko: stanem, w jaki bezmyślnie zaszła. Jakby sama wciąż była dzieckiem, a nie siedemnastoletnią młodą kobietą z mężem, który wciąż żył. Kiedy po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że jest w ciąży, uznała to za znak nadziei, błogosławieństwo. Cokolwiek zrobił Jurij, jakiegokolwiek błędy popełnili, to było nowe niewinne życie. Dziecko, które potrzebuje matki i ojca. Wszystko inne było drugorzędne. Nikt nie mógł ich nienawidzić za to, że pragną opiekować się własnym dzieckiem.

Kiedy wyznała wszystko matce, ta zamilkła, ledwie się uśmiechnęła. Chciała wiedzieć, jak do tego doszło, skoro Jurij siedział zamknięty w więziennym szpitalu. Zoia wyjaśniła: to stało się tego dnia, kiedy wzięła Jurija do dentysty. Zrobił mu się wrzód i za ogromną łapówkę jeden z oficjeli azylu pozwolił mu na leczenie na zewnątrz. Kochali się w mieszkaniu jego rodziców, wygłodniali i milczący jak nigdy przedtem. Ten jeden raz wystarczył. Dziecko będzie nowym początkiem, myślała, zaleczy wszystkie rany.

Od tamtej pory minęły trzy miesiące. Nie rozmawiały więcej o dziecku, nawet mimochodem. Matka uprzedziła ją tylko, czego ma się spodziewać, mówiła o chorobie i zmęczeniu, ale o samym dziecku już prawie nie wspominała. Nie planowały jego imienia czy przyszłości, jakby wyobrażanie sobie dziecka zwiększało tylko brzemię. Tego ranka, piorąc ubrania, wspomniały o dziecku po raz pierwszy od ucieczki z Moskwy.

- Nie rozumiem. Co dziecko ma wspólnego z naszym wyjazdem - powiedziała Zoia. - Zostało mi jeszcze ponad pięć miesięcy.

Matka nie odpowiedziała od razu.

- Potrzebujemy pomocy. Mężczyzny, który ma wpływy. W Rosji są jeszcze wpływowi mężczyźni. A mężczyzna to tylko mężczyzna, zawsze chcą tego samego. Nikt tego nie zmieni.

- Ale my tutaj nikogo nie znamy. Matka odsunęła włosy z oczu.

- Musimy znaleźć dla ciebie lekarza, Zoia. Znałam tu kiedyś jednego. Doktor Grigoriew. Gdybym tylko dowiedziała się, gdzie on mieszka.

Tamtej nocy po raz pierwszy Zoia poczuła ruchy dziecka. Przeżycie było tak ogromne, że usiadła prosto z ręką na brzuchu. Potem ruch się powtórzył i jeszcze raz. Nie były to przypadkowe skurcze - dziecko coś jej przekazywało. Raz, dwa, trzy. Dziecko do niej mówiło, mówiło jej, że żyje, rośnie i chce się urodzić.

Uśmiechnęła się w ciemności. Teraz było ich dwoje, matka i dziecko. Jak na ikonie w cerkwi. Wiedziała teraz, co to znaczy. To znaczy, że nie ma powrotu, musi wybaczyć Jurijowi i muszą żyć dalej razem, cokolwiek gadają ludzie. Jej matka napomykała o rozwodzie. W nowej Rosji łatwo było o rozwód. Ale tak się nie stanie, ponieważ teraz byli rodziną, a jedna zdrada nie tłumaczy drugiej.

Od razu wybrała dla niego imię: Aleksander. Wysoki i jasnowłosy, jak jego ojciec, i z jej ciemnymi oczami. Widziała już małego chłopca w objęciach ojca. Widziała go stojącego w mundurze kadeta.

Sposób, w jaki ułożył się w brzuchu, mówił jej, że podoba mu się imię.

Aleksander Juriewicz.

W willi Matyldy Krzesińskiej zrobiłby furorę. Panie patrzyłyby na niego zza swoich wachlarzy podczas parnych letnich *soirées*. Serca biłyby im szybciej, kiedy by do nich podszedł.

Jej syn, jej duma, jej pociecha.

Pragnęła powiedzieć Jurijowi o dziecku. Chciała zapewnić go, że wszystko się ułoży. Wyobraziła go sobie w celi, udręczonego i załamane, i zapłakała. Powinna była znaleźć sposób, żeby poinformować go o synu. To dałoby mu siłę. Ale nieważne, będzie taka jak jej matka. Będzie silna za nich wszystkich.

Podczołgała się do okna i uklękła po raz pierwszy od czasu, kiedy chodziła do szkoły. Podniosła wzrok na wzgórza i słabo świecące gwiazdy, i przysięgała na Boga i Najświętszą Dziewicę, że nigdy nie zdradzi tego świętego zaufania. Wyda dziecko na świat promieniującą miłością.

Zasnęła z imieniem syna na ustach. Rankiem poszła szukać cerkwi, żeby podziękować Bogu raz jeszcze i właściwie złożyć przysięgę. Ale wszystkie cerkwie, na jakie trafiła, były zamknięte albo strzeżone przez żołnierzy. W końcu znalazła się przed cerkwią Świętego Włodzimierza i patrzyła na jej wysokie białe ściany i wieżę w niebiańskim błękicie. Pamiętała ją z dzieciństwa, mademoiselle Élène ją tam zabrała, ale teraz wydała jej się jeszcze piękniejsza, piękna i niepoddająca się profanacji, jak ambasada niebios.

Wiedziała, że to odpowiednie miejsce na jej przysięgę, idealne miejsce. Ale wszystkie drzwi były zamknięte, i chociaż obeszła cerkiew dwa razy dokoła, waląc w drzwi, nikt jej nie słyszał. A skoro nie słyszał, to nie wpuścił jej do środka.

Kiedy wróciła do mieszkania, matki i babki nie było. Przyszły kilka godzin później z puszkami francuskiej armii i kostką mydła ze smoły węglowej, zawiniętą w szmaty. Matka nie spuszczała oka z mydła. Nikomu nie wolno było go użyć aż do wieczoru, a nawet wtedy stała nad wanną, kiedy Zoia wlewała do niej wiadro zimnej wody.

- Musisz być czysta, idąc do lekarza - powiedziała, patrząc, jak Zoia namydla swój nabrzmiały brzuch.

- Do lekarza?

- Tak. Znalazłam go, doktora Grigoriewa. Przeszedł już na emeryturę, ale teraz... - Wzruszyła ramionami. Trudna sytuacja Rosji najgorzej odbiła się na ludziach starych. - Pójdziemy do niego jutro. Jest bardzo dobry, bardzo doświadczony.

Zoia zbladła na myśl, że będzie badana przez mężczyznę. Nigdy dotąd tego nie doświadczyła. Ale musi przez to przejść, dla dobra dziecka. Oblała się wodą.

- W nocy czułam, jak kopie - powiedziała, drżąc. - I dzisiaj rano.

- Kopie? Kto?

- Dziecko.

Matka wzięła od niej mydło i odłożyła ręcznik na miejsce. Było zbyt ciemno, żeby Zoia widziała wyraźnie jej twarz, ale informacja chyba nie zrobiła na niej wrażenia.

- Myślałam, jak go nazwać. Nazwę go...

- Nie bądź głupia. - Matka nagle wpadła w złość. - A teraz wysusz się, zanim dostaniesz dreszczy. - Wzięła ręcznik i zaczęła wycierać Zoię. - Nie wiesz, że nie wolno mówić takich rzeczy? To przynosi pecha. Bardzo dużego pecha.

Zoia nie miała pojęcia, że jej matka jest przesądna.

- Będzie się nazywał Aleksander - powiedziała. - Aleksander Juriewicz.

Matka znieruchomiała. Stała tak przez chwilę, jakby poczuła wielkie zmęczenie.

- Dlaczego musisz mi to robić, Zoia? Dlaczego zawsze musisz mi to robić?

Potem odłożyła ręcznik i wyszła.

Doktor Grigoriew w domowych pantoflach i pogniecionym lnianym garniturze otworzył im drzwi. Nawet biorąc pod uwagę, że był już emerytem, Zoie zdumiało, jak bardzo był stary, przygarbiony, z zapadłymi policzkami i mętными źrenicami, wpatrzonymi w nią przez brudne pince-nez. Kiedy się uśmiechnął, ujrzała błysk złota w jego ustach.

Matka wyciągnęła kolczyki: perły z Morza Południowego otoczone małymi brylancikami. Prezent od ojczyima Zoi z okazji ich piątej rocznicy. Wysoka cena za badanie lekarskie.

Grigoriew wrzucił kolczyki do górnej kieszeni.

- Przyniosła pani mydło, jak prosiłem? Więc chciał jeszcze i mydło.

Matka Zoi wyjęła kostkę mydła. Grigoriew odwinął ją, podstawił pod nos i powąchał.

- Wystarczy. Nie możemy ryzykować infekcji.

Pielęgniarka o siwych włosach i twarzy bez wyrazu chowała się w cieniu. Nie została im przedstawiona.

- Przygotuj dziewczynę, a ja się umyję.

Spieszyli się. Pielęgniarka otworzyła drzwi i cofnęła się, robiąc przejście dla Zoi.

- No idź - powiedziała matka.

Puste półki wzdłuż jednej ze ścian, okno z brudnymi matowymi szybami. Światło, które przez nie przenikało, miało brązowawy odcień. Na środku pokoju stał stół, wyższy niż normalny, jak stół rzeźnicki. Z boków zwisały skórzane paski.

Pielęgniarka przetrzepała poduszkę. Miała na sobie szarą suknię i biały fartuch.

- Możesz się rozebrać za parawanem. Zdejmij wszystko oprócz halki.

Wyszła z pokoju. Na zewnątrz matka i doktor Grigoriew rozmawiali. Lekarz czymś się martwił. Już na to za późno, powiedział. Ale matka się upierała. A kiedy się upierała, trudno było jej odmówić.

Zoia usłyszała strzały na ulicy. Podeszła do okna i wyjrzała przez pękniętą szybę. Znajdowali się w wąskiej uliczce za Prospektem Nachimowa. Zoia pamiętała ją pełną sklepów, po-brzękujących tramwajów, które jechały w jedną i drugą stronę, mężczyzn w przesuniętych na tył głowy słomkowych kapeluszach. Mademoiselle Élène kupiła tam jakieś białe kwiaty i wplotła jeden z nich we włosy Zoi.

Zoia rozebrała się.

- Wejdz na ławę.

Więc to była ława. Lekarz przygotowywał coś w odległym końcu pokoju. Jakieś metalowe instrumenty. Zoia objęła się ramionami. W pokoju było zimno.

- Wypij to - powiedziała pielęgniarka - To cię uspokoi. Napar z pokrzywy.

Przywykła do tego smaku, chociaż ten był inny. Miał dziwną orzechową goryczkę.

- Do końca - poleciała pielęgniarka.

Kiedy wypila do dna, kazali jej się położyć. Matka usiadła przy oknie. Zoia nie widziała jej, ale słyszała oddech, trochę ciężki. Lekarz skinął pielęgniarce głową.

- Jeśli można prosić.

Pielęgniarka podciągnęła Zoi halkę. Zoia czuła, że jej twarz zalewa gorąco, serce biło jej tak szybko, że bała się, że zemdleje. Nigdy nie czuła się tak naga, nawet z Jurijem.

Poczuła dłonie lekarza na swoim brzuchu, naciskały ją i badały, suche i szorstkie. Już nie było jej zimno. Krople potu wystąpiły jej na czole.

- Czy wszystko w porządku? - zapytała.

Podniosła się lekko i zobaczyła lekarza pochylonego nad nią ze stetoskopem, trzymał go tam, gdzie kopało dziecko, jej żebra i biodra sterczały, przez co zaokrąglenie brzucha było bardziej widoczne.

- Wszystko w normie.

W jego głosie brakowało pewności. Słyszała tylko niechęć bliską irytacji. Położyła się znowu. Światło w pokoju było teraz jaśniejsze. Widziała sufit nad głową, przecinające się splekania na linii jej wzroku. Chyba zaraz spadnie z tej ławki. Zacisnęła dłonie na brzegach.

- Wziernik.

Pielęgniarka podała coś lekarzowi, jakieś narzędzie. Zoia nie chciała, żeby ją tym dotykał.

- Nie - powiedziała. Przemawiał przez nią głos kogoś innego. - Nie, ja...

- Co takiego?

- Ja obiecałam.

Mucha zabzyczała w jej uszach. Chmara much, jęczących i kpiących. Próbowwała je przegonić.

Kiedy poczuła zimny metal w środku, aż podskoczyła. Wtedy przywiązali jej nogi. Potem poczuła, że zapinają jej skórzane paski pod kolanami. Nie mogła się ruszyć.

Metalowy dziób się otworzył.

- Co to jest? Co to jest?

Matka położyła lodowato zimną dłoń na jej twarzy.

- On musi to zobaczyć, kochanie. Leż spokojnie.

- Nie podoba mi się, mamo, chcę stąd wyjść - bełkotała.

- Teraz bądź cierpliwa.

- Zrób coś z tymi muchami.

- Tu nie ma much. Leż teraz spokojnie.

Opuścili jej nogi. Lekarz przesunął się na bok, kręcąc głową. Przecież powiedział, że wszystko jest w normie. Okłamał ją.

- Zastrzyk z soli fizjologicznej. - Spojrzał na matkę Zoi, marszcząc czoło. To nie był jego pomysł. - Nie mam morfiny. Musi pani ją uspokoić.

Pielęgniarka trzymała coś w ręku. Szkło i srebro, dziesięciocentymetrową igłę.

Zoia próbowała ruszyć się z ławki, ale nie pozwalały jej na to zbyt ciężkie nogi.

- Co... ona... robi?

Matka zaczęła głaskać ją po głowie, po czole i włosach. Nuciała jakąś piosenkę, starą kołysankę. Zoia wyciągnęła rękę i chwyciła ją za nadgarstek.

- Chcę... iść teraz.

Matka delikatnie uwolniła się i położyła rękę Zoi na ławce.

- Zoia, wiesz, dlaczego tu jesteśmy. Cały czas wiedziałaś. Nie udawaj, że nie wiesz.

Muchy przesłoniły jej widok, czarne wirujące plamy, czyhające tylko na okazję, żeby coś zjeść. Usiłowała się podnieść. Matka stała przy niej. W oczach miała łzy.

- Musisz być dzielna, dla nas wszystkich. Jesteś naszą jedyną nadzieją. Jesteś piękna i zdolna, mężczyźni cię podziwiają. Ale nie taką, nie z ...

Aleksander Juriewicz.

Udało jej się spuścić nogi z ławy. Lekarz stał i patrzył na nią, pielęgniarka czekała za jego plecami. W oczach mieli śmierć.

Matka padła na kolana i wyrzuciła z siebie potok słów, jak niewyraźną modlitwę. Zoia nigdy nie widziała jej w takim stanie, nawet w dniu, kiedy dostały wiadomość, że jej ojczym został zabity. Nigdy nie widziała jej tak przerażonej.

- Przyjdą po nas. Wcześniej czy później przyjdą. Nienawidzą nas, Zoia, zawsze będą nas nienawidzić. - Przysunęła twarz. - Gdyby był tu twój ojciec, kazałby nam to zrobić. Powiedziałby, że musimy przeżyć.

- Nie. On niee...

- Musimy zacząć od nowa, Zoia, jak mówiłyśmy. - Przełykała łyzy, szlochając. - Nowy początek, czy nie tego pragniesz, kochanie? Nie tego?

Zoia widziała jak przez mgłę. Nie była w stanie powiedzieć, gdzie jest góra, a gdzie dół. Pokój się kołysał. Za chwilę upadnie.

Wyciągnęła ręce i poczuła uścisk matki. Jej głowa opadła z powrotem na ławkę.

- Obiecałam - powiedziała. - Ja obiecałam.

Trzymała dłoń matki. To była jedyna realna rzecz w tym pokoju, konkretna, jedyna, na której mogła się oprzeć. Wszystko inne było snem. Ale wkrótce się obudzi.

- Zapomnisz o tym - mówiła matka. - Zapomnisz. Będiesz miała całe życie, żeby zapomnieć.

Zoia zamknęła oczy.

Skurcz przywrócił ją do przytomności, krzyczała. Nie знаła dotąd takiego bólu. Wsadzili jej coś do ust, jakąś szmatę. Przywiązali jej ręce. Spojrzała w dół i zobaczyła, że jej nogi są zgięte w kolanach. Lekarz i pielęgniarka mieli maski na twarzach, a na ich fartuchach, ich przedramionach widziała krew.

Swoją krew.

Ból się rozprzestrzenił, wykręcał jej ciało. Próbowwała sięgnąć po dłoń matki, ale matki już tam nie było.

Potem ból zaczął ustępować, zmywał ją jak przypływ. To wtedy zobaczyła, co lekarz trzyma w rękach. Ujrzała jego twarz.

24 lipca 1933

Drogi Karl!

Wybacz, że tak do Ciebie piszę. Są rzeczy, o których muszę Ci powiedzieć, nawet jeśli nie chcesz tego słyszeć. Ale ja pragnę, żebyś przynajmniej wiedział wszystko, co się ze mną działo.

Prawie miesiąc temu - widzę, że było to 28 czerwca - napisałam do Ciebie list, którego nie wysłałam. I może nie pisałabym teraz, gdybym nie wiedziała, że dzisiaj o dziesiątej rano - teraz jest ósma - będę musiała stanąć twarzą w twarz z Mamą, która przyjeżdża ze wsi, i powiedzieć jej coś, czego nie mogę jej powiedzieć, znaleźć jakiś sposób, żeby jednak to zrobić. Karlinka, proszę, spróbuj mnie zrozumieć. Nie mam już sił na to, jak mówią, „życie”. Po prostu nie mam sił. Zbliżam się szybko do takiego stanu umysłu, kiedy nie będę się już bała ciemności tyl-

ko dlatego, że jest niewiadomą. Jeszcze tam nie dotarłam, ale gdybyś tylko wiedział, jak bardzo chciałabym mieć tę odwagę.

Karlinka, jak pisałam już poprzednio, chcę Ci powiedzieć, że nikogo prócz siebie nie winię za swoje złamane życie. Ale teraz, w wieku trzydziestu lat, znalazłam się w takim punkcie, że jestem kompletnie niezdolna do stworzenia czegokolwiek wartościowego. To głębokie pragnienie, żeby stworzyć coś kompletnego i wartościowego, naprawdę ważnego, równocześnie przesładowało mnie i podtrzymywało na duchu przez całe moje życie. Mówiłeś mi, że powinnam wyznaczyć sobie mniej ambitne cele, ale ja, z ferworem, który mnie samą przeraża, nie ustawałam w poszukiwaniach. Oddałam zbyt dużo siebie owym poszukiwaniom, a najgorsza jest świadomość, że wszystko na darmo. To dlatego nie ma moich nowych obrazów, dlatego nigdy ich nie będzie.

Patrząc wstecz na wszystko, co się wydarzyło w moim życiu, zrozumiesz, że nie miałam innego wyjścia. Nie umiem żyć normalnym życiem i wiem, że to się nie zmieni. Świadomie i podświadomie połamałam to życie na kawałki, tak że teraz nikomu na nic się nie zda. Wiem to i już o nic nie proszę, ale wciąż nie mogę uciec od swoich marzeń. Wyobraź sobie, że dopiero kiedy skończyłam szesnaście lat, zaczęło się dla mnie prawdziwe życie. Wyobraź sobie szaleństwo, nierealność mojego dzieciństwa i to, co stało się później. Byłam wychowywana bez ojca przez kobiety, które nie rozumiały czasów, w jakich przyszło im żyć - a jeszcze mniej, czego chcą od życia - co nie było takie dziwne, biorąc pod uwagę świat, z którego pochodziły. A potem odebrano mi dzieci - o pierwsze nie umiałam walczyć, a drugie, jak wiesz, porzuciłam wbrew własnej woli. Może gdyby do tego nie doszło, wszystko dałoby się uratować. Albo może skończyłoby się jeszcze większym nieszczęściem. Nawet teraz, kiedy o tym myślę, serce mnie boli.

Kiedy mnie znalazłeś, byłam zagubiona przez to wszystko, co się wydarzyło. Tak zaczęłam moje małżeńskie życie z tobą. Jesteś jedynym człowiekiem, który się o mnie troszczył, choć w osobliwy sposób. Nigdy mnie nie rozumiałeś, nie podzielałeś moich tęsknot. A jednak tak wiele Ci zawdzięczam. Ty, z Twoją inteligencją i niezłomnością, doszedłeś do czegoś. Utrzymywałeś mnie i dawałeś mi środki do pracy - mojego opium po tym, jak wszystko wokół mnie się zawaliło.

To nie Twoja wina, że jestem za słaba, by walczyć i naprawić to, co się zepsuło.

Sztokholm, marzec 2000

Matka Zoi nie miała racji. Zoia nigdy nie zapomiała. Przy pierwszej okazji uciekła do Moskwy, z nadzieją, że jakimś cudem zdoła cofnąć czas. Ale to było niemożliwe. Po zabiegu w Sewastopolu nie mogła już rodzić dzieci. Kiedy zaszła w ciążę w Sztokholmie dwa lata później, lekarze orzekli, że donoszenie dziecka do wyznaczonego dnia porodu zabije ją. Mimo wszystko pragnęła je donosić. Była gotowa zaufać Bogu czy losowi, czy też Opatrzności, i chętna zdać się na ich łaskę. Ale Karl jej na to nie pozwolił. Nie mógł się zgodzić, żeby jego żona, posłubiona ledwie rok wcześniej, zostawiła go, nie w ten sposób.

Elliot zamknął teczkę. Siedział przy oknie w mieszkaniu Kerstin Östlund, patrząc na przejeżdżające pociągi, żółte ślepie brnące przez mgłę.

To była kara za zabicie dziecka Jurija. Tak w każdym razie uważała Zoia. Brzemie, które dźwigała. Obowiązkiem matki jest poświęcić się dla swojego dziecka. Ale w swoim poszukiwaniu nowego początku pozwoliła, by dziecko zostało poświęcone dla niej. Szatan dotrzymał umowy: ona i matka dostały wszystko to, czego pragnęły. Okazał się kluczem do ich ratunku, ich wolności. Kupił im nowe życie w bezpiecznej Szwecji. Wszystko, czego Zoia posmakowała, wszystko, czym się stała, zawdzięczała tamtej podróży do Sewastopola. Jej sztuka została okupiona krwią dziecka Jurija.

Ta kobieta nie mogła dać światu nowego życia.

Hildur Backlin stwierdziła, że Zoia nie lubiła dzieci. Na dowód owej awersji opowiedziała mu historię ich wyprawy do restauracji w Östermalm: Zoia rzuciła serwetkę i wybiegła z restauracji, ponieważ dzieci za głośno się bawiły. Czy Hildur знаła prawdę? Czy rozumiała, co faktycznie czuła Zoia? Elliot pokiwał głową. Oczywiście, że wiedziała. To była jej ostatnia złośliwość. Ostatnia drzazga zemsty na przyjaciółce, która ją upokorzyła.

Tacy ludzie biorą, co do nich nie należy.

Hildur była gwiazdą sceny i ekranu. Wiedziała, jak się udziela wywiadu, co trzeba zrobić, żeby dobrze się zaprezentować. I wiedziała o Sewastopolu.

Istniały obrazy, których Zoia nie pokazała światu, ponure sceny, które ją nawiedzały we dnie i w nocy. Stanowiły część jej historii, część jej samej. Kandinsky kazał uczniom patrzeć na świat swoim wewnętrznym okiem, okiem własnej jaźni. Hildur Backlin powiedziała, że Elliot

odnajdzie artystkę w jej sztuce. Zoia poszukiwała sposobu wyrażenia tego, co nosiła w sobie, który ogarnąłby całość, i jakiś czas po listach do Karla z 1933 roku w końcu go znalazła. W tajemnicy odnalazła pełnię. Odnalazła swoją drogę w złocie.

Wszystko rozświecła i niczego nie zdradza. Tak powiedziała „The Baltic Arts Review” w 1969 roku.

Elliot patrzył na mgłę. Nad odległym nabrzeżem widział szereg ulicznych lamp. Paliły się raz jaśniej, raz ciemniej, potem gasły. Gdzieś tam w górze świeciło słońce, a tymczasem robiło się ciemno.

Obrazami na złocie Zoia wysławiała idealny świat, nowy świat. W owych latach Wielkiego Kryzysu, między rewolucją i wojną, sprzedawały się dobrze. Ale nie znalazłoby się w nich klucza do jej wewnętrzznego wrzenia. Kwiaty były z jedwabiu, twarze były maskami, a pałace błyszczały zbyt niewinną świetnością. To był świat wymyślony w dziecięcym pokoju. Złoto było złotem odbicia słońca na wodzie. Niczego nie zdradzało ani niczego nie wyrażało poza własnym bogactwem i echem religii prawosławnej.

Elliot spojrzął na swoją rękę. Poparzenia bolały, jakby pod bandażami biło jego drugie serce. Uniósł nieco gazę i dojrzał pod nią żywe mięso, błyszczące i lepkie. Złoto było skórą bogów. Kiedy starożytni Egipcjanie złócili swoje sarkofagi, spodziewali się, że ich praca przetrwa całą wieczność - i gdyby nie złodzieje, mogłoby tak być.

Trwała nieprzepuszczalna skóra.

Nawet krytyk Sawwa Leskow dostrzegł ten związek. Wspomnił o Tutenchamonie, kiedy spotkali się w Bukowskim. Mówił o promieniach rentgena i o tym, że złoto ich nie przepuszcza. Podobnie jak ołów.

Jego myśli uczepliły się tego wspomnienia: *Kiedy przeświecili pan zwykły obraz promieniami rentgena, zobaczy pan, co jest pod spodem. Błędne początki, zamalowane fragmenty. Ale nie w przypadku złota.*

Badacze byli ślepi, powiedział Leskow. Mieli do dyspozycji wyłącznie powierzchnię. Nikt nie był w stanie dojrzeć błędów artystki, jej *pentimenti*.

Elliot wstał. Teczka upadła z jego kolan na podłogę. Kopie listów rozsypały się. Uniósł rękę do czoła.

Obrazy z Krymu. Wiedział już, gdzie są. Wiedział to.

Widział Zoię na drgających klatkach filmu Kristoffera Palmgrena. Widział ciemne smugi na jej rękach.

Widział nóż, wilczy kiel - używany do polerowania, jak pisano w podręcznikach.

Widział wyraz twarzy Moniki Palmgren, kiedy ujrzała to, co było na desce. Zakładał, że nie był to tylko podkład, przygotowanie do procesu złocenia.

Stanął przy oknie i zbierał siły. Przemknął pociąg. Ekspresowy.

Zoia do Andrieja Burowa, luty 1928: *całe moje życie, wszystkie podróże, niczego nie zmieniły. Kiedy stoję przed sztalugami, opada mnie ten ponury nastrój i pragnę jedynie ukryć się gdzieś.*

I ukryła się. Ukryła prawdę o sobie pod obrazem życiodajnego słońca, zamknęła ją szczelnie pod złotym lustrem - wszechobecną, ale tylko jej znaną. Na lustrze zaś malowała wizje niewinności. Świat widziany niezspsutymi oczami, oczami dziecka, które nigdy się nie narodziło.

A pod nim znajdowały się obrazy krymskie: dręczące, uciążliwe. Jej *pentimenti*. Jej żale, wydrapane i ponacinane w glinie wilczym kłębem.

Anubis, strażnik tajemnic.

Przypomniał sobie znowu Hildur Backlin, która patrzyła na niego kątem oka, rozplywając się nad Mikołajem Gogolem.

Na końcu wrócił do Boga. Zagłodził się na śmierć w akcie skruchy.

Akurat te słowa powiedziała na temat wielkiego rosyjskiego dramaturga.

Wybór środka, jakiego dokonała Zoia, stawiał przed nią specjalne wymagania. Potrzebny był ekscentryk w rodzaju Foujity, żeby skierować jej myśli na tak niekonwencjonalne tory. Ale to trzymało ją przy życiu. Złoto pozwoliło jej tworzyć, jak powiedziała Hildur. W wypełnianiu zaleceń Kandinskiego Zoia posunęła się do skrajności. Wkładała całą siebie w każdą swoją pracę, ale siebie zamaskowaną - jej spowiedź, jej pokuta nie były przeznaczone dla oczu śmiertelników. Za każdym lśniącem złotem obrazem wystawianym na widok publiczny krył się prywatny obraz żalu i wstydu. Te dwa obrazy współistniały w tej samej przestrzeni, jak duchy i ludzie.

Nigdy nie była wolna. Ani przez jeden dzień. Sewastopol był jej dożywotnim więzieniem.

Elliot ruszył przez pokój. Gdzieś między domem na wybrzeżu i mieszkaniem Kerstin zawieruszył się jego notes. Zawartość pudełek wymieszała się, zbierał papiery i zdjęcia w pośpiechu, ewakuując się z pracowni Zoi. Opróżnił je teraz po kolei, myśląc, że to, czego szuka,

jest może na jakichś luźnych kartkach, nie w notesie. Wyrzucił zawartość swojej walizki i grzebał w kłębówisku brudnych ubrań.

Wreszcie otworzył swój laptop i zobaczył notes wciśnięty między ekranem i keyboardem.

Przekartkował go i znalazł zapisek: Hildur Backlin - modelka. Pod spodem znajdowało się imię i numer telefonu jej córki oraz numer domu spokojnej starości.

Co takiego narysowała Zoia? Co dokładnie narysowała? Jeśli Hildur wiedziała tak dużo, może i to wie. Zrobił już dość, by dopuszczono go do tajemnicy. Teraz już nikt nie ma prawa niczego przed nim ukrywać.

Podniósł słuchawkę i wybrał numer. Po dwóch sygnałach po drugiej stronie linii odezwał się radosny kobiecy głos:

- Chciałbym rozmawiać z panią Hildur Backlin. Dziękuję.

W słuchawce popłynęła łagodna muzyka, instrumenty strunowe i fortepian. Zdawało mu się, że trwa bez końca. Potem znowu powrócił kobiecy głos:

- Czy należy pan do najbliższej rodziny? Teraz nie był to głos radosny, lecz zatroskany.

- Jestem znajomym. Nazywam się Elliot.

- Połączę pana.

Znów sygnał. Ktoś podniósł słuchawkę i odchrząknął.

- Pani Backlin? To znowu Marcus Elliot. Byłem u pani niedawno w sprawie...

- Przykro mi, panie Elliot. Rozmawia pan z Danielem Renbergiem. Jestem jednym z tu-tejszych terapeutów.

- Terapeutów?

- Rozumiem, że był pan przyjacielem Hildur.

Obcy miał ciężki akcent, jakby mówił z pastylką do ssania w ustach. Elliot słyszał, jak pastylka uderza o jego zęby.

- Zgadza się. Mogę z nią rozmawiać? Czy jest jakiś problem?

- Niestety, mam złe wiadomości. Hildur Backlin zmarła dziś w nocy. To był wylew. Już drugi wylew, rozumie pan. Jej rodzina towarzyszyła jej do końca.

Wyćwiczone słowa, jakby czytał z kartki. Przez chwilę Elliot zastanawiał się, czy to w ogóle prawda.

- Składam panu serdeczne wyrazy współczucia. Jeśli pan sobie życzy, możemy panu przesłać szczegóły dotyczące pogrzebu, kiedy już wszystko zostanie ustalone.

Hildur Backlin nie żyje. Modelka Zoi nie żyje. Jedyna osoba, która mogła dopełnić obraz. Jedyna osoba, która mogła mu powiedzieć, czy ma rację.

Wpadł mu do głowy szalony pomysł, że zmarła mu na złość. Zmarła, żeby tajemnice Zoi pozostały bezpieczne.

- Czy zechce pan zostawić swoje zamiary? - spytał pan Renberg, wsadzając pastylkę pod policzek.

Elliot sprawdził datę na kuchennym kalendarzu. Sprawdził godzinę na zegarku. Istniał jeszcze jeden sposób na to, by dowiedzieć się tego, czego nie powiedziała mu Hildur, jeszcze jedno miejsce, gdzie mógłby poszukać. Włączył swoją komórkę, odnalazł numer i zadzwonił.

47

Obcasy stukwały na wypastowanej podłodze. Przyciszone głosy oddalały się korytarzem. Kerstin siedziała i czekała w biurze oskarżyciela publicznego. Nawet recepcjonistki odzywały się tam szeptem. Jadąc windą, słyszała szepty na podestach. To miejsce żyło zbrodniami i oskarżeniami. W jego biurowych żyłach płynęło zbrodnicze zło. Wszędzie były kamery. Walczyła z poczuciem absurdu: przyszła tam w imieniu zmarłej, której nie mogło już osiągnąć ludzkie zło. Postrzegała to jako spłatę długu. Ale chodziło o coś więcej. Musiała to zrobić, musiała to zrobić dla siebie.

Śledczy za biurkiem czytał listę Zoi bez pośpiechu, robił przy tym krótkie notatki, marszcząc czoło i wzdychając. Było oczywiste, że najchętniej by ją odesłał. Było jasne, że nie mógł tego zrobić, i wiedział o tym.

Wróciła myślami do Marcusa Elliota. Czowała jego dłoń na swoim karku. Widziała go, jak stoi nad nią leżącą w pianie. Myślał, że przedawkowała lekarstwo. Sądził, że się utopiła. Według plotek krążących w Bukowskim, tak właśnie zmarła jego matka. To on ją znalazł. *Wyobrażasz sobie?* mówili ludzie. A odpowiedź brzmiała: *Nie, nie wyobrażam sobie.*

Elliot oskarżał o to Zoie, przynajmniej częściowo. To Zoia w jakiś sposób zwabiła jego matkę w pułapkę śmierci, odciągnęła ją od niego i jego ojca.

- Jak to trafiło w pani ręce?

Podniosła wzrok. Śledczy nosił wąsy, miał na sobie koszulę w paski ze złotymi spinkami do mankietów. Szykowny anglofil. Trzydzieści pięć albo trzydzieści sześć lat.

- Znajomy katalogował dokumenty madame Zoi. Pożyczył mi to.

Zastanowiła się, gdzie on teraz jest, czy podjął swoje poszukiwania i wyruszył do miasta albo poza jego granice, ścigając kolejny strzęp przeszłości Zoi. Działał dziwnie wybiórczo. Interesowała go wyłącznie Zoia do trzydziestego piątego roku życia, jakby wszystko poza tym było zbyt niejasne czy nieistotne, żeby warto było poświęcać temu czas. Jakby był w stanie ocenić jej życie tylko na podstawie swojego.

Bała się o niego. Bała się, czym zakończy się to poszukiwanie. Wiedziała, co to znaczy stracić coś, czego nie można zastąpić niczym innym.

Śledczy wstał.

- Zrobię kopię, jeśli można?

- Proszę bardzo.

Wyszedł z pokoju, zostawiając uchylone drzwi. Znajdowali się na szóstym piętrze, wysokie brudne okna wychodziły na Klarabergsgatan. Przecinające miasto samochody stały w długim korku we mgle, milczące za podwójnymi szybami. W oddali słońce rozblęskło pomarańczowo na elemencie metalu na szczycie biurowca.

Przez moment poczuła się zagubiona. Nie tak wyobrażała sobie tę chwilę, gdy wreszcie tam się znajdzie i sprawy posuną się naprzód. Dzięki Marcusowi Elliotowi mogła dochodzić sprawiedliwości. Zło zostanie naprawione. A jednak nie czuła zbliżającego się nieuchronnie triumfu, tylko smutek i niepokojący dystans. Wkrótce to już nie będzie jej walka. Dźwigała ten ciężar i w końcu zdejmie go ze swoich barków. Tego właśnie pragnęłaby Zoia. A potem - uświadomiła sobie zaszokowana niespodziewaną pewnością - przyjdzie pora się pożegnać. Pora to zostawić. Pora martwić się tym, co jest tu i teraz. Zdała sobie sprawę, że walka o spełnienie woli Zoi trzymała ją przy życiu. Ale nie pozwalała jej normalnie żyć.

Skuliła ramiona. Świat bez Zoi był bardziej pusty i samotny. Tak ogromnie pragnęła zobaczyć ją raz jeszcze.

Wrócił śledczy. Skonsultował się z kolegami, powiedział. Lista nie stanowi dowodu, że testament Zoi jest sfałszowany. Wyraża jedynie zamiar, który mógł ulec zmianie. Takie rzeczy wciąż się zdarzają. Ale biorąc pod uwagę, jak to nazwał, nadzwyczajne okoliczności, czują się w obowiązku przeprowadzić śledztwo. Sprawdzą zaskarżony testament i okoliczności z nim związane, i jeśli istnieje dowód oszustwa, na pewno go znajdą.

A więc to koniec. Testament był teraz *zaskarżonym* testamentem. Śledczy mówił dalej, wyjaśniał, jak będzie wyglądało śledztwo i co musieliby znaleźć, żeby podważyć ważność te-

stamentu. Ale Kerstin już go nie słuchała. Myślała tylko o Marcusie Elliocie. Jej podróż dobiegła kresu. A co z nim?

Paryski autoportret, poszukiwany przez wszystkich; to od niego wszystko się zaczęło. Był niczym jakieś mityczne stworzenie u bram podziemnego świata, gdzie Hanna Elliot odeszła z własnej woli, gdzie wszelkie sekrety zostają ujawnione.

Może to prawda, w co wierzył Marcus: że jego matka i Zoia znały się, że matka dostała ten obraz w prezencie. To było w stylu Zoi. Kiedy obdarzała kogoś sympatią, to natychmiastową i bezgraniczną. Kerstin wiedziała, że mogło to wywoływać zazdrość, zwłaszcza męża niepewnego swojej pozycji. Istniało też prawdopodobieństwo wymiaru seksualnego. Może Zoia widziała w Hannie kobietę zdławioną przez konwencje małżeństwa, która potwornym kosztem wyparła się głębszych instynktów. Oczywiście Zoia rozmawiała z Kerstin o podobnych sprawach, i to z autorytetem, który świadczył, że mówi z własnego doświadczenia. Kochała bowiem zarówno mężczyzn, jak i kobiety. Portret kobiety przebranej, której prawdziwa natura ukryta jest przed światem - trudno nie zauważyć znaczenia takiego podarunku: utożsamienia się, błogosławieństwa, a może nawet rodzaju uwolnienia.

Ale Marcus był wówczas ośmioletnim chłopcem. Dla niego sztuka Zoi stanowiła tajemnicę, czarną magię, która wkroczyła w jego życie, rozwiązując w nim wszystkie więzy. Kilka dni później jego matka odeszła, zostawiając go oszołomionego i samotnego na zawsze.

Światopogląd dziecka jest egocentryczny. Cokolwiek się dzieje, dobrego czy złego, dzieje się z jakiegoś powodu, a powód ów leży niedaleko. Czy Hanna Elliot nie była warta swojego syna? Czy może syn nie był wart swojej matki? Podobnie jak jego złość, pytania wypłynęły na powierzchnię wraz z paryskim autoportretem. I po trochu świat Marcusa zaczął się znowu pruć.

Dwie kobiety żyjące na obczyźnie. Dwie kobiety mówiące sekretnym językiem o sprawach, do których go nie dopuszczały. Tutaj tkwiło źródło fascynacji. Stąd ta chęć zrozumienia. Kerstin widziała tylko jedno rozwiązanie owego poszukiwania i jedno możliwe zakończenie.

Wyszła już na ulicę, kiedy zadzwoniła jej komórka. Elliot mówił jakoś inaczej niż poprzedniego wieczoru: spokojnie i z determinacją. Jeszcze bardziej się przeraziła.

- Chcę, żebyś coś zobaczyła. Potrzebny mi świadek.
- Marcus? Gdzie jesteś?
- W sklepie żelaznym. Dwie przecznice od twojego domu.
- Co tam robisz?
- Potrzebowałam paru rzeczy. Teraz jadę na lotnisko.

- Na lotnisko? Wyjeżdżasz?

Elliot coś powiedział, ale przejeżdżająca ciężarówka zagłuszyła jego słowa. Kerstin oparła się o ścianę.

- Marcus? Wracasz do Londynu? Czy to powiedziałeś?

- Jeszcze nie. Chodzi o obraz, Kerstin. On jest tutaj. Zupełnie jakby słyszał jej myśli.

- Twój obraz? Autoportret?

- Jest tutaj. Chcę ci go pokazać. Chcę, żebyś to wszystko zobaczyła.

- Nie rozumiem.

- Spotkaj się tu ze mną.

- Marcus? Co ty...?

- Na razie będzie w magazynie. Tuż za Marsta. Powiem ci, jak tu dojechać. Powiem, żeby na ciebie czekali.

To nie miało sensu. Dlaczego mieli jechać do jakiegoś magazynu? I dlaczego akurat teraz?

- Co ty zamierzasz, Marcus? Nie chcesz sprzedać portretu? Mówiłeś, że go sprzedasz.

Ciężarówka wyjechała z prostopadłej ulicy. Rozległy się wściekłe klaksony.

- Marcus?

- Pokażę ci coś niezwykłego. Coś, czego nie widział nikt prócz Zoi.

- Co? Marcus, o czym ty mówisz?

- Pora otworzyć grób.

48

Po niespełna kilometrze samochód mu wysiada. Elliot patrzy w milczeniu nierozumiejącym wzrokiem na deskę rozdzielczą, kręci kluczykiem w stacyjce raz, drugi, potem wreszcie dociera do niego, co się stało: zabrakło benzyny. Jadąc z wybrzeża, był zbyt wytrącony z równowagi, spieszył się, nie zauważył żółtego światełka ostrzegającego pod wskaźnikiem paliwa. Teraz zbiornik jest kompletnie pusty.

Może pojechać na lotnisko pociągiem, a stamtąd wziąć taksówkę do magazynu. Starczy mu jeszcze na to pieniędzy, chociaż zabraknie, żeby wrócić po samochód.

To nieważne.

Piętnaście minut trwa wypełnianie formularzy i sprawdzanie dokumentów. Obsługują go mężczyźni w źle dopasowanych uniformach i z włosami związanymi w koński ogon. Kwit wysyłkowy wymienia Paula Costę jako nadawcę. Pomimo faksu od Costy dopiero po kilku telefonach do Londynu pozwalają mu wejść na teren przechowalni.

Paczki ułożone są wysoko w stalowych klatkach. W magazynie jest zimno jak w chłodni, świecące jasno żarówki zwisają z krokwi. W pobliżu jednego z kątów woda cieknie srebrną strużką z dziury w dachu i rozpryskuje się na cementowej podłodze. Ściany wibrują od warkotu samolotów.

Prowadzą go do klatki obok wózka widłowego. Światła awaryjne nadal pracują nad kabiną operatora. Nikt nie pomyślał, żeby go przeszukać. Pożyczyli mu nawet nóż Stanleya, żeby otworzył przesyłkę. Otwierają klatkę, sprawdzają swoje wydruki, a następnie wyciągają duże płaskie pudło, po które przyjechał. Potem zabezpieczają znów klatkę i zostawiają go samego, nawet nie zerkając na jego zabandażowaną rękę.

Patrzy na obraz chyba po raz tysięczny, odkąd znalazł go w domu ojca. Ale tym razem będzie inaczej. Teraz zobaczy go innym wzrokiem, oczami wtajemniczonego, oczami kogoś, kto wie.

Opiera pudło o podłogę klatki i zaczyna rozcinać grubą taśmę klejącą. Wewnątrz obraz jest jeszcze zawinięty w folię bąbelkową grubą na osiem centymetrów, kokon z nieprzejrystego plastiku. Zabiera mu to całą wieczność, nim jedną zdrową ręką dostanie się do środka. Tnie i rozrywa, ciężko oddychając. Chce znowu zobaczyć tę twarz, te ciemne oczy, te czerwone usta. Chce zobaczyć ten obraz taki, jaki jest naprawdę.

Rzuca ostatni kawałek folii na ziemię. I wtedy ona znowu jest razem z nim.

Wyraz jej twarzy zawsze był enigmatyczny: ani zatroskany, ani radosny. Elliot patrzy i zaczyna dostrzegać coś, czego do tej pory nie widział: pod chińskim przebraniem twarz Zoi jest tak naprawdę pozbawiona życia. To złoto żyje. Pulsuje i łśni. Krew płynie jego ukrytymi żyłami.

Podchodzi bliżej. Autoportret w masce: ja jako iluzja, ja jako imitacja. Zaproszenie, żeby spojrzeć pod powierzchnię, ale tylko dla wtajemniczonych. Przez większą część życia Zoi nikt o tym nie wiedział. Obraz funkcjonował jako portret chińskiej księżniczki w Paryżu, jakiejś anonimowej kobiety, spotkanej przez Zoie, prawdopodobnie podczas jednego z balów przebrańców, które tak lubili na Montparnassie. Zoia oszukiwała przez czterdzieści lat, dopóki pani Hanna Elliot nie zjawiała się jesienią 1970 roku.

Nóż Stanleya nadaje się do cięcia, ale czy oskrobie nim farbę? Potrzebny mu nóż do obierania, zagięte ostrze, które nie wejdzie zbyt głęboko, nie usunie listków złota i nie naruszy tego, co jest pod spodem: Sewastopola Zoi. Jej *pentimenti*. W sklepie żelaznym kupił szpachlę z sześciocentymetrowym ostrzem, giętką i fasetowaną, dość ostrą, żeby przeciąć ciało. Mężczyzna za ladą powiedział mu, żeby posługiwał się nią ostrożnie, bo w razie nieuwagi można zrobić sobie poważną krzywdę.

Rama jest z lakierowanego drewna. Poddaje się z głośnym trzaskiem. Elliot wyjmuje szpachlę z wewnętrznej kieszeni i przykłada do deski. Rączka jest gładka i twarda, trudno ją ścisnąć zabandażowaną ręką.

Zacznij od twarzy - nie, zacznij od niezamalowanego złota, w górnym i dolnym lewym rogu. Stalowe ostrze przesuwają się z miejsca na miejsce, odbicie jego sylwetki porusza się jak cień po połyskującej powierzchni. Duch terażniejszości nawiedza przeszłość, nawiedza Paryż roku 1929, nawiedza dom Zoi w październiku 1970, pragnie zemsty, pragnie odpoczynku.

Kerstin się nie pojawia. Elliot kiwa głową. Ona nie przyjedzie. Ale dlaczego miałyby przyjechać? Ona pragnie tylko udowodnić swoją rację i rozpocząć karierę dziennikarską. Chce żyć w świecie, gdzie wszystko dzieje się według reguł, w świecie bez ludzi takich jak on, którzy stosują uniki i wykręty.

Ręce mu się trzęsą. Przekłada nóż do lewej ręki.

Podszedł do życia Zoi z naiwnymi oczekiwaniami. Teraz to widzi. Twórczość pozwoliła jej otrząsnąć się z historii, zapomnieć o tym, co straciła, i zacząć życie od nowa. Miał nadzieję, że znajdzie lekarstwo w tych przeszczepach nieśmiertelnej skóry. Ale się oszukiwał. Pod złotem Zoi jest trucizna. Zaklęcia na grobie to przekleństwa, wybuchy niewysłowionej wściekłości i żalu. Zараźliwe. Śmiertelne. Zaplombowała je dla ochrony, żeby ochronić siebie.

Hildur Backlin powiedziała, że Zoia kochała złoto. *Ono wszystko umożliwia, wie pan.*

Doktor Lindqvist tego dnia, gdy po raz pierwszy jechali do jej domu, mówił mu, że malowała, by żyć. Kto by pomyślał, że stary człowiek rozumiał to dosłownie?

Elliot przykłada nóż do swojej twarzy i w roztargnieniu przesuwają zimnym ostrzem po nieogolonej brodzie.

Jedno życie uratowane, drugie zabrane. Trucizna znalazła drogę na zewnątrz. Zabrała jego matkę, a on w wieku lat ośmiu został sierotą. Rozpacz, oszustwem pozbawiona jednej ofiary, zażądała dwóch innych.

Świeckie ikony artystki odrzuconej przez Boga. Zoia malowała cerkwie i monastery, ale tylko z zewnątrz. Nie mogła przekroczyć ich progu, choć próbowała.

To złamane życie.

Łzy napływają mu do oczu. Ociera je rękawem. Niech trucizna wyjdzie na zewnątrz, już pora. Opiera się ramieniem o klatkę i przyciska ostrze do złotego pola. Teraz musi ciąć. Odłożyć na bok instynkt, który każe mu szanować i zachować. Musi ciąć i drapać, aż wszystko będzie na wierzchu. Nie ma alternatywy, nie ma drogi powrotu. Całe życie prowadziło go do tej chwili.

- Marcus?

Wydaje mu się, że to jakiś głos w jego głowie. Kobięcy głos. Dopiero po chwili uprzątnia sobie, że nie jest sam.

- Kerstin. - Uśmiecha się z trudem. - W samą porę.

- O co chodzi? Co ty robisz?

Nawet zawinięta w swój długi płaszcz wygląda na zmarzniętą: ma przygarbione ramiona, ręce schowane głęboko w kieszeniach.

- Sewastopol jest tutaj. Pod złotem. Wszystko jest pod złotem.

Odsuwa się, by ona mogła lepiej się przyjrzeć, myśli, że ona instynktownie go zrozumie. Kiedy Kerstin podchodzi, złoto rozświetla jej twarz. Jest piękna w tym świetle, ubóstwiona.

- Więc to jest ten autoportret. - Przekrzywia na bok głowę i marszczy czoło. - Myślałam, że będzie bardziej do siebie podobna. Ale nie jest, prawda?

Nawet teraz prowadzi z nim grę.

- O to właśnie chodzi. To jest jej przekaz. Musisz zajrzeć pod powierzchnię. Nie rozumiesz?

Jej spojrzenie pada na nóż.

- Marcus? Co ty robisz? Chyba nie... Chyba nie chcesz tego zniszczyć?

- Promienie rentgena nic nie dadzą. Złoto ich nie przepuszcza.

Patrzy na niego, wciąż nie rozumiejąc. Jakby najważniejsze było zachowanie obrazu. Jakby to, co chce zrobić, było świętokradztwem. Sam myślałby tak jeszcze kilka tygodni temu.

- Chryste, Marcus, chyba żartujesz? Nie wolno ci. - Staje przed obrazem. - To jest cenne. To jest cenne dzieło sztuki.

Ona nie pojmuje. Elliot potrząsa głową ze złością.

- Pieprzyć sztukę.

Odsuwa ją na bok, ale ona wraca, chwyta go za ramię, potrząsa nim, jakby chciała obudzić go z jakiegoś snu.

- Marcus, zaczekaj. To szaleństwo. Chyba zwariowałeś. Słowa bez znaczenia.

- Chcę zobaczyć, nic więcej, chcę to zobaczyć.

- Nie masz prawa niszczyć obrazu. Ty *go potrzebujesz*. Chciałby, żeby go rozumiała. Żałuje, że nie potrafi jej wyjaśnić.

Ale widzi teraz, że zaszedł za daleko, by się dzielić. Pewnych rzeczy trzeba doświadczyć, żeby je zrozumieć.

- Mam robotę, Kerstin. Proszę cię, zjedź mi z drogi.

Kerstin cofa się, ale tylko o krok. Patrzy, jak on unosi rękę z nożem, patrzy, jak wbija nóż w deskę. Wolałby, żeby nie przyglądała mu się tymi ciemnymi oczami. Jej litość porusza go.

Nadlatuje samolot z rykiem silników.

Traktuj ją sztukę jak żywego człowieka. Tacy oni są.

Hildur Backlin, przyjaciółka i wróg Zoi, nawet po śmierci nie zdradza tajemnicy.

Ostrze przeskakuje po drewnie jak nóż, który trafia na kość. Musi bardziej uważać, znaleźć szparę między gesso i złotem. Wyciąga nóż. Jakaś jego część chce tylko zniszczyć obraz.

Kerstin kładzie dłoń na jego dłoni.

- A jeśli tam nic nie ma? Marcus? Co wtedy?

- Coś jest. Gdybyś wiedziała to, co ja...

- A co ty wiesz? Marcus, nigdy jej nie spotkałeś.

Kerstin znowu swoje. Odsuwa ją, ale ona go nie puszcza. Szamoczą się jak Zoia i Alain na plaży w La Marsa, w dniu, kiedy zamierzała się wykapać, nie zważając na gapiów. Zmysłowość jako opium.

Kerstin chce, żeby na nią spojrział.

- Jest tak, jak mi powiedziałeś. Ostatniej nocy, pamiętasz? Powiedziałeś, że kiedy patrzysz na obrazy Zoi, to jakbyś patrzył w lustro. Tak właśnie jest. Tak się dzieje. *Pomyśl.*

Elliot potrząsa głową, te słowa są tak cudaczne, że chce mu się śmiać.

- Słyszałem cię, wszystko, co o niej mówiłaś, wszystko, co... sobie *wyobrażałaś*. To tylko ty. Ta twoja historia jest przez ciebie wymyślona, jest twoja, a nie jej.

Brakuje mu tchu. Chwyta się klatki i patrzy na swoje stopy. Cementowa podłoga jest śliska. W jego głowie za dużo się dzieje. Jest przeładowana. Chyba zwymiotuje. Zamyka oczy, widzi tylko żywe złoto.

- Mylisz się. Już ja swoje wiem.

- Zoia, którą znałam, była spokojna. Inaczej nie mogłaby mi pomóc.

- Spokojna. Wątpię. Może zrezygnowana.

- Marcus, posłuchaj...

- Nie!

Kerstin odsuwa się, osłupiała. Elliot bierze głęboki oddech.

- Powinnaś już iść. To błąd, że cię tu ściągnąłem. Przepraszam. Powinnaś już wracać do... wszystko jedno dokąd.

Zabrzmiało to jak obraza, szyderczo. Elliot czuje w pojedynczym impulsie ciszy, że celnie trafił.

- Nie masz prawa. Nie masz prawa się wtrącać. Wściubiasz nos w nie swoje sprawy. Wiesz o tym. To nie twój interes.

- Chcę, żebyś już sobie poszła.

- To nie pomoże ci niczego zrozumieć. Nie pomoże ci. Elliot prostuje plecy.

- Po prostu. Zostaw. Mnie. *Samego*.

On zna ten ton, tę zimną złość. To głos jego ojca.

Kerstin powoli chowa znów ręce do kieszeni. On wie, jak ona to postrzega: to gorsze niż kradzież Lindqvista, gorsze niż kłamstwa Corneliusa. To jest scheda po Zoi. Tego zniszczenia nie da się naprawić. Tylko co ją to wszystko obchodzi?

Elliot chce coś powiedzieć, żeby poprawić atmosferę, ale żadne słowa nie przychodzą mu do głowy. Za późno tak czy owak. Trzydzieści lat za późno. Nie wie, jak do niej dotrzeć. Nigdy tego nie wiedział. Ta jego część zmarła, kiedy miał osiem lat.

Słyszcy, że Kerstin odwraca się i odchodzi.

Jej kroki cichną w oddali.

Prawda jest pod złotem. Tylko to się liczy. Tajemnice ukryte na wieczność. Komunia Zoi z nieznanym Bogiem. Odpowiedzi.

Ściska nóż obiema rękami, rzucając ostatnie spojrzenie przez ramię.

Kerstin wciąż tam stoi, patrzy na niego. Mimo wszystko jest zadowolony.

- Możesz to zobaczyć w inny sposób, jeśli musisz. Sądzę, że mogę to zorganizować, jeśli naprawdę tego chcesz.

Elliot pamięta reflektografię w podczerwieni z czasów, gdy zajmował się handlem sztuką, ale kilka obrazów, które wtedy zobaczył, nie zrobiło na nim wrażenia. Z techniki tej korzystano od początku lat dziewięćdziesiątych. Świeci się silnymi promieniami podczerwieni na obraz i zapisuje to, co widać na filmie czułym na podczerwień. Albo ogląda się to za pomocą telewizyjnej kamery przystosowanej do odbioru podczerwieni. Podczerwień jest lepsza do penetrowania warstw farby niż światło widzialne, a zwłaszcza lepiej odkrywa znajdujące się pod farbą szkice węglem. Metoda telewizyjna ma ponoć być bardziej czuła i sięgać głębiej, odkrywając dowody zmian, zamalowane podpisy, a także rysunki, które artysta ukrył przed światem i nie zamierzał nikomu pokazywać.

Elliot przypomina sobie niewyraźne czarno-białe obrazy, linie narysowane węglem tak słabe, że można by je wziąć za cienie.

Kerstin mówi, że ta technika się rozwinęła. Jacyś inżynierowie optycy z uniwersytetu zbudowali prototyp skanera podczerwieni. Specjalnie zaprojektowane oprogramowanie komputerowe łączy obrazy widziane pod różnym kątem i tworzy z nich obraz o dużej rozdzielczości. Eksperti z Bukowskiego często tam jeżdżą, zwłaszcza kiedy chodzi o autentyczność dzieła. Szkic pod falsyfikatem zwykle bardzo różni się od szkicu pod oryginałem. Kerstin twierdzi, że skaner zobaczy także, co znajduje się pod listkami złota. Jest o tym przekonana. Elliot będzie mógł sprawdzić swój koncept obiektywnymi naukowymi instrumentami, jeśli jest go pewien.

Jadą w milczeniu z powrotem do miasta, obraz jest znowu w pudle przypięty pasem do tylnego siedzenia samochodu Kerstin. Słońce wygląda jak jasny miedziany dysk na mglistym niebie. Elliot traci orientację, kiedy mijają nieznanne mu przedmieścia. Ulice i budynki ustępują lasom, a potem znowu wyrastają przed jego oczami. Przed kościołem z czerwonej cegły Kerstin zatrzymuje się, żeby spojrzeć na plan miasta, potem zawraca i jadą prawie kilometr tą samą drogą, którą tam przyjechali.

Może to prawda, że gdzieś po drodze stracił obiektywizm. Ale kiedy? Nie potrafi określić tego momentu. W każdym razie czuje, że wszystko, co jest subiektywne, jest prawdziwe. Jak można mówić, że zna się ból, którego się nie doświadczyło, albo że wie się, co to piękno, którego się nie widziało?

Wydział inżynierski to niski budynek z lat sześćdziesiątych schowany za srebrnymi brzoźami. Z cementowych ścian odpadają płaty białej farby. Elliot wysiada z samochodu. Wrony skrzeczą w lesie niewidocznym we mgle.

Kerstin dzwoni ze swojej komórki, a Elliot wypakowuje obraz.

- Masz szczęście - mówi, rozłączając się. - Są gotowi. Jeszcze nie robili prób z połączoną powierzchnią. Są bardzo podnieceni. Masz iść na drugie piętro, wydział optyki stosowanej. Pytaj o doktora Larsa Halvorsena.

- Nie idziesz ze mną?

- Mam robotę. Poza tym nie chcesz, żebym to widziała, zapomniałeś? - Zapala silnik, pokazując mu smutny, słaby uśmiech. - Powodzenia, Marcus. Do zobaczenia.

Kiedy Kerstin rusza tyłem, Elliot idzie obok samochodu.

- Uważasz, że nie powinienem tego robić, prawda? Dlaczego? Kerstin zatrzymuje się i wygląda przez okno.

- Powiedz mi: czy uważasz, że one są piękne?

- Piękne?

- Jej obrazy. Obrazy Zoi.

Nie myślał o tym przez długi czas. To nie jest pytanie, które musiał sobie zadawać.

- Tak, przypuszczam, że tak.

- Więc dlaczego to ci nie wystarczy? Elliot marszczy czoło.

- Nie wystarczy? Nie rozumiem?

Ona patrzy na niego przez moment, po czym naciska pedał gazu i rusza przed siebie. Coś mu mówi, że nigdy się już nie spotkają.

Skaner stoi na metalowej ramie, metr na półtora. Obiektyw i promiennik podczerwieni są przyśrubowane do platformy, która jeździ w górę i w dół wysokiego mechanicznego ramienia. Ramię z kolei porusza się na boki wzdłuż przedniej krawędzi ramy. Kable ciągną się górą, połączone do silników, transformatorów, komputerów i sporego monitora o dużej rozdzielczości obrazu.

Doktor Lars Halvorsen ma siwe włosy i chłodny sposób bycia chirurga. Wraz z pozostałymi inżynierami prosi, by Elliot stanął nieco dalej. Mówią, że to ważne, by uniknąć wibracji podczas skanowania. Nawet najmniejszy ruch sprawia, że dane są bezużyteczne. Elliot siada więc sam w końcu przyciemnionej sali, skąd próbuje dojrzeć powstający, linia po linii, obraz na ekranie. Portret Zoi leży na boku, trzymany w szczękach mocnych metalowych sztalug. Wy-

jaśniają mu, że otrzymują najlepsze wyniki, kiedy minimalizują odległość, jaką musi pokonać skanujące oko. Tak czy owak, obraz pojawi się na monitorze we właściwej pozycji.

Kerstin miała rację: są podekscytowani perspektywą przetestowania swojego systemu na nowym obiekcie. Po kilku minutach Elliot zdaje sobie sprawę, że zupełnie zapomnieli o jego obecności.

Promiennik podczerwieni rzuca też widzialne światło. Pod czerwonymi promieniami złoto połyskuje jak dogasający żar. Elliot widzi mały żelazny piec w dwupokojowym mieszkaniu na poddaszu, wysoko na rue Cézanne, widzi Alaina Azrię, który krąży w pobliżu pracowni, płonąć z ciekawości, żeby poznać sekret Foujity, spragniony gorączki inicjacji. Paryski autoportret pochodzi najprawdopodobniej z roku, w którym poznał Zoię. Elliot rozumie głód Alaina. Inicjacja oznacza wyłączenie. Jest lepsza od akceptacji. Wady wrodzone zostają wyparte, wymazane. W końcu ilu tunezyjskich Żydów uhonorowano Legią Honorową?

Na górze ekranu widnieje teraz pojedyncza jasna wstążka. System skanujący szczyci się czterema tysiącami odcieni szarości, to istotny postęp w stosunku do poprzednich możliwości. Ale jak dotąd nie widać niczego poza słabym zawijaszem cienia. Jeden z techników mówi coś na temat śladów węgla. Doktor Halvorsen prosi go o poprawienie kontrastu.

Elliot nie tylko rozumie głód Alaina: on go czuje. Czuje ciężar straty poniesionej w dzieciństwie, odwieczne poczucie jakiegoś braku, braku części siebie samego, która gdzieś się zawieruszyła i nie można jej znaleźć. Rozumie potrzebę Karla Kilboma, który chciał być wybawicielem, i jego nadzieję na zbudowanie miłości i wierności na bazie wdzięczności. Jakby to w ogóle mogło się udać.

A przede wszystkim rozumie, co to znaczy nie być wartym dziecka. Wiedzieć, że przyszłość dziecka będzie lepsza z dala od niego, niezależnie od tego, jak bardzo pragnie, by było inaczej.

Życie Zoi jest niczym lustro zrobione specjalnie dla niego. Elliot widzi się w nim, zamrożony w czasie, jak na portrecie, gdzie uchwycono samo sedno. Wiernym portrecie.

Kerstin ma rację: chciał odkryć tajemnice Zoi, lecz to nie jej tajemnice odkrył.

Skaner kończy kolejną podróż do góry. Technicy zebrali się wokół monitora. Doktor Halvorsen wskazuje na coś, robi kółka palcem. Nosi obrączkę. Pojawia się kwestia ostrości, pytanie, czy złoto nie odbija zbyt dużo światła. Skaner przesuwa się na oczy Zoi.

Stał cały czas w pracowni, pozłocony i gotowy do malowania, i czekał na niego: portret Marcusa Elliota. Ostatni obraz Zoi. Specjalne zamówienie, nie na aukcję czy sprzedaż. Obraz

przeznaczony do najbardziej osobistej ze wszystkich prywatnych kolekcji. Od zmarłych dla żywych, podarunek ze złota.

Idzie z Zoią przez sale galerii: Picasso i Matisse Siergieja Szczukina, Gaugain i van Gogh Iwana Morozowa. Przystaje przed ulubionym obrazem Zoi: *Wspomnienie ogrodu w Eten*. Wiedzie wzrokiem po cętkowanej plamkami światła krętej ścieżce, która znika z widoku. Przy każdym kroku czuje ciepło słońca na plecach. Widzi piękno ogrodu w pełni rozkwitu.

Skaner przesuwają się po wargach Zoi.

Doktor Halvorsen pochyla się nad ekranem.

- Widzicie to? Co to jest? Technicy są czymś poruszeni.

- To jakiś węgiel. Co do tego nie ma wątpliwości. Halvorsen ogląda się przez ramię.

- Panie Elliot? Chce pan rzucić okiem?

Elliot stoi w drzwiach galerii, tych, które Andriej Burow przytrzymał wiosną 1918 roku, żeby Zoia mogła wejść do środka. Może tam wrócić w każdej chwili, zagubić się tam na chwilę. Obrazy zawsze tam będą. Tymczasem może wyjść na światło dzienne.

- Lars.

Technik chwyta doktora Halvorsena za rękaw. Z podstawy skanującego ramienia dobywa się zgrzyt przeciążenia.

- Wyłącz go.

Ktoś naciska przycisk i skaner przestaje pracować. Technicy prostują się z jękiem zawodu. Najwyraźniej takie sytuacje już się zdarzały.

Doktor Halvorsen kręci głową z rozpaczą.

- Przepraszam, panie Elliot. Najprostszy element tego systemu ciągle wysiada. Musimy wymienić jeden z motorów. - Patrzy na zegarek. - To może zająć chwilę. Może wróci pan do nas jutro.

Promiennik podczerwieni rzuca kółko różowego światła na złotą powierzchnię. Przypomina to zachodzące słońce.

Elliot odnosi wrażenie, że czuje jego ciepło wewnątrz, że ono daje mu siłę. Podnosi się na nogi.

- Nic się nie stało. Wasze urządzenie jest w stanie przeświecić złoto, prawda?

Doktor Halvorsen splata ramiona na piersi.

- O, tak. Tak cienka warstwa metalu jest przezroczysta. To tylko kwestia dopasowania długości fali.

- Więc nie zrobi panom różnicy, jeśli zabiorę teraz obraz. Technicy wymieniają spojrzenia.

- Ale dopiero zaczęliśmy skanować. Myślałem, że chciał pan, żebyśmy poszukali jakiegoś rysunku pod spodem.

- To nieważne. Myślę... - Elliot kiwa głową. Chce być tego pewny, i stwierdza, że jest pewny. - Myślę, że już zobaczyłem to, co chciałem.

Pakuje obraz i wynosi go na zewnątrz. Mgła niemal całkowicie wyparowała w popołudniowym słońcu. Nieznany pejzaż przytłacza masą bardzo wyraźnie zarysowanych szczegółów.

Jak daleko stąd do najbliższego przystanku autobusowego? Jak daleko do jego samochodu z pustym bakiem?

Grzmi klakson. Volkswagen Kerstin stoi przy bramie. Postanowiła na niego zaczekać, mimo wszystko.

Elliot podchodzi do niej, musi się powstrzymać, żeby nie biec.

- Znowu mnie śledzisz? Czy znowu mnie śledzisz?

Kerstin patrzy na niego przymrużonymi oczami, nie wie, jak zareagować na ten żart-nie żart.

- Jesteś szalony, wiesz o tym? Elliot wzrusza ramionami.

- To przejściowe szaleństwo. Zadowolona cię to? Kerstin wpatruje się bacznie w jego twarz.

- Nie zrobiłeś tego, prawda? Zmieniłeś zdanie.

- Nie musiałem. Zoia zepsuła sprzęt. Był nawet dym i różne takie. Kerstin wybucha śmiechem.

- Więc pomyślałem, że lepiej się stamtąd wyniosę, zanim zrobi się jeszcze niebezpieczniej. Mam nadzieję, że mogę jeszcze uruchomić samochód.

Kerstin kręci głową i zapala silnik.

- Więc przypuszczam, że chciałbyś, żeby cię podwieźć?

- Nie, dzięki. Robi się ładny wieczór. Chyba się przejdę.

- Jesteś naprawdę szalony. Wsiadaj.

Pochyliła się i otwiera drzwi od strony pasażera. Elliot uświadamia sobie, że to naprawdę początek czegoś, przyjaźni albo czegoś więcej. Nie będzie musiał o to walczyć. Nie będzie musiał podierać się dowodami niezbędności. Oni mają to już za sobą. To także zawdzięczają Zoi.

Plan miasta leży otwarty na siedzeniu pasażera.

- Aha, rozumiem - mówi on, wsiadając do samochodu. - Potrzebujesz kogoś, kto będzie czytał mapę. O to chodzi. Potrzebny ci ktoś, kto doprowadzi cię do domu.

49

Sztokholm, lipiec 2000

Biuro oskarżyciela publicznego w Sztokholmie nie było w stanie ustalić, czy podpis na testamencie Zoi jest prawdziwy, i wyglądało na to, że wysiłki Kerstin poszły na marne. Ale potem nastąpił niespodziewany przełom. Badanie komputera, na którym sporządzono testament, komputera należącego do prawnika Petera Lindqvista, Thomasa Röstmana, pokazało, że dokument został przygotowany po dniu, w którym rzekomo podpisali go świadkowie. Prawdę mówiąc, powstał siedemnaście godzin po oficjalnym czasie śmierci Zoi.

Wiele osób odczuło skutki wynikłego w następstwie skandalu. Lindqvist, Röstman i Cornelius Wallander zostali aresztowani, oskarżeni o oszustwo i zwolnieni za kaucją do czasu procesu. Mówiono, że wszyscy przyznali się do winy, choć Wallander w dalszym ciągu upierał się, że on tylko pomagał staremu przyjacielowi. Twierdził, że zapewniano go, iż fałszywy testament został sporządzony zgodnie z wolą Zoi, nawet jeśli ona nie była w stanie go podpisać. Natychmiast zrezygnował z pracy w Bukowskim, zanim jego koledzy mieli okazję się dowiedzieć, co się stało.

Kerstin dostała wyłączność na druk całej historii w „Expressen”. Potem pokazała się seria obszernych artykułów, które badały każdy aspekt sprawy, łącznie z kampanią mającą na celu nakręcenie międzynarodowego zainteresowania wystawą Zoi. Artykuły cytowały Marcusa Elliota jako człowieka, który odkrył prawdę. Dwa tygodnie po pierwszym artykule Elliot otrzymał czek od Bukowskiego: pełną zapłatę za swoją pracę nad katalogiem, którego nie napisał, razem z bonusem „za wydatki” i krótkim listem od szefa, Frederika Wahla. Znalazł tam podziękowanie za „wyjątkową gorliwość”, z jaką prowadził swoje badania, i za pomoc w zażegnaniu „najbardziej poważnego obrotu sprawy”. Kerstin zaoferowano stałą pracę w „Expressen”, ale ona odrzuciła tę propozycję, przyjmując w zamian ofertę stanowiska młodszego reportera w konkurencyjnej gazecie.

Bukowski odwołał retrospektywę Zoi. Mieli zresztą idealną wymówkę, skoro prawo własności wielu obrazów budziło wątpliwość. Szczerze mówiąc, szanowany dom aukcyjny chciał

możliwie najszybciej zdystansować się od całej afery. Skromniejszą wystawę Zoi zorganizowano później tego samego lata w galerii w dzielnicy Sztokholmu Katarinavägen, gdzie Zoia mieszkała i pracowała. Paryski autoportret był jednym z obrazów, który tam pokazano. Kilka prac, których właścicielem był Lew Demiczew, także się tam znalazło, chociaż te najważniejsze podobno sprzedano prywatnym kolekcjonerom z Rosji. Sumy, jakie osiągnęły, nie zostały nigdy podane do wiadomości publicznej.

Władze szwedzkie, z sobie tylko znanych powodów, czym prędzej zabrały się za ponowne rozdzielenie majątku Zoi, zgodnie z jej wolą. Rodziny Palmgren i Backlin znalazły się pośród tych, którzy otrzymali obrazy, wszystkie z tych prac zostały później sprzedane. Pozostała część majątku, w tym dom w Saltsjöbaden, została podzielona między kilka szwedzkich organizacji charytatywnych, wedle instrukcji Zoi. W końcu, po długich konsultacjach, dokumenty Zoi podarowano archiwum szwedzkiego Muzeum Narodowego.

Elliot wrócił do Anglii na początku kwietnia, dwa tygodnie przed datą wyznaczonego przesłuchania w sprawie prawa stałego pobytu, które miało zadecydować o przyszłości Teresy. Harriet Shaw była teraz nastawiona bardziej optymistycznie do pojedynku z Milesem Hansonem w sądzie. Tajemnicze rosyjskie źródła Hansona, które groziły, że udowodnią, iż jej klient jest kryminalistą, nagle zniknęły. Hanson musiał przyznać, że nie jest w stanie ich odnaleźć. Harriet zaczęła podejrzewać, że był to tylko blef, i nawet rozważała skargę do towarzystwa prawniczego.

- To tylko pokazuje, jak są zdesperowani - brzmiała jej optymistyczna ocena.

Ale do przesłuchania w ogóle nie doszło.

Marcus Elliot i Nadia spotkali się w kafeterii w Holland Park. Obydwoje znali to miejsce, ale nie miało ono specjalnego znaczenia w historii ich wspólnego życia. Dlatego Elliot je wybrał. Bardzo zależało mu na tym, żeby nie odnosić się do wspomnień, nie wywoływać nostalgii, choć było to kuszące. Chciał porozmawiać o Teresie i jej przyszłości.

Z początku było ciężko. Stał w kolejce po kawę, a Nadia siedziała sama na zewnątrz, krzyżując nogi, to znów stawiając je prosto, i od czasu do czasu odganiała upartego gołębia. Była blada i krucha, zlała się perfumami o wiele za mocno, niż wymagała tego okazja, ale była w niej jakaś rezerwa i sztywność, które nie wróżyły nic dobrego. Przyszła jednak, a to było najważniejsze. Elliot podejrzewał, że zrobiła to wbrew radzie swojego prawnika.

Przez pięć minut prowadzili kłopotliwą rozmowę o niczym. On opowiedział jej trochę o swojej pracy w Szwecji, o planach napisania książki na temat dwudziestowiecznej sztuki rosyj-

skiej. Był bliski zdobycia zamówienia. Ona mówiła mu o swojej posiadce w niepełnym wymiarze godzin, którą znalazła w sklepie muzycznym. Po raz pierwszy rozmawiali ze sobą jak znajomi, i było to nie do zniesienia sztuczne. Kiedy przeszli wreszcie do sprawy swojej córki, nawet niewzbudzające kontrowersji kwestie, takie jak grupa jej koleżanek i jej wygłupy w domu, sprawiały, że Nadia była spięta, jakby spodziewała się ataku.

- A gdzie ona teraz jest?

- Z Maggie Williams. Elliot zmarszczył czoło.

- Maggie...?

- Mieszkają po drugiej stronie ulicy. Maggie i Tom. Mają trzyletniego syna. Pamiętasz Josha?

- Ach tak. Oczywiście, Josh. - Pamiętał jak przez mgłę pełne dymu barbecue i ogród z tłumem obcych ludzi. - Bardzo chciałbym ją zobaczyć.

Nadia skinęła głową w milczeniu.

- Okay. Kiedy?

- Może dzisiaj? Moglibyśmy wrócić razem, zrobić jej niespodziankę. Tylko na chwilę.

- Teraz?

- Tak tylko pomyślałem.

Nadia spojrzała na niego, niewątpliwie zastanawiała się, czy to jakaś pułapka, czy nie powinna najpierw zadzwonić do swojego prawnika, żeby się upewnić.

- Chcę, żeby zobaczyła nas razem, to wszystko. Już dawno jej nie widziałem.

Patrzył na mecz piłki nożnej na South Field. Kątem oka dostrzegł, że Nadia przelyka ślinę.

- Okay. - Próbowała się uśmiechnąć. - Zresztą ona i tak o ciebie pyta. Mam już dość wyjaśniania jej, gdzie jesteś.

- Może pozwolisz, żebym ja to zrobił. Wtedy będzie wiedziała, czego się spodziewać.

Nadia siedziała przez chwilę nieruchomo. Przekroczyli już zakazane tereny i dążyli na pole minowe.

- Nie rozumiem. Chcesz powiedzieć...?

- Przypuśćmy, że Teresa będzie nadal mieszkała z tobą - rzekł Elliot ze wzrokiem wbitym w pustą filiżankę. - Co ty na to?

Od tej chwili było już łatwiej. Nadia oświadczyła, że nie planuje wracać do Pragi. Postanowiła, niezależnie do wszelkich minusów, że lepiej będzie, jeśli Teresa zostanie w Anglii, w

Londynie. I już zdecydowała, że powinna spotykać się ze swoim ojcem, kiedy tylko będzie to możliwe. To ważne, żeby nie dorastała ze świadomością, że jej rodzice są wrogami. Powiedziała, że walczyła tak ostro tylko dlatego, że prawnicy przekonali ją, iż nie ma wyboru. Twierdzili, że Elliot planował ją ubezwłasnowolnić, doprowadzić do uznania, że jest niezdolna do opieki nad dzieckiem i zabrać jej Teresę na zawsze. Oczywiście prawnicy mieli rację.

Od razu wszystko ustalili. Elliot wiedział, że były to tak szlachetne ustalenia, jakie większość sądów i tak by mu przyznała. Należało jedynie wymienić listy i sprawa załatwiona. Elliot podniósł nawet temat picia Nadii, a ta odparła, że szczęśliwie udało jej się z tym zerwać, dzięki pomocy zaprzyjaźnionego muzyka o imieniu James. Kilka razy został z nią przez całą noc, kiedy zapowiadało się, że Nadii nie starczy sił, by wytrzymać w trzeźwości. Ale teraz ma to już za sobą. Teraz, powiedziała, w jej domu nie znajdzie się ani kropli alkoholu.

Było jeszcze wiele spraw, które mogliby poruszyć. Elliot dużo myślał o nich dwojgu, o tym, w którym miejscu popełnili błąd, i co było nie tak od początku. Ale w końcu czyny liczyły się bardziej niż słowa. A w ich uzgodnieniu, żeby odłożyć na bok urazy i brać pełen udział w wychowaniu córki, tkwiło ciche przyznanie się, że wina leży po obu stronach. Błędów nie da się już naprawić, co nie znaczy, że codziennie trzeba do nich wracać.

Przed wyjazdem do Szwecji Elliot planował ustalić raz na zawsze, czy Teresa jest jego dzieckiem. Posunął się nawet do tego, że dowiedział się, ile kosztuje test DNA, i okazało się, że nie było go na to stać w tamtej sytuacji. Po powrocie do Anglii doszedł do wniosku, że to już nie takie ważne. Jego małżeństwo z Nadią skończyło się, ale uczucia wobec Teresy przetrwają. Jadąc ulicą o zmroku, czekając na czerwonym świetle w strumieniu wieczornego ruchu, pokiwał głową: ta informacja nie zmieni tego, co nosi w sercu. A jeśli tak, nie jest mu do niczego potrzebna.

Wystawa w Katarinavägen odniosła sukces. Nie wzbudziła takiego międzynarodowego zainteresowania, jakie wzbudziłaby u Bukowskiego, ale większość obrazów zostało sprzedanych. Dzieci Moniki Fisk, Klara i Martin Palmgrenowie, zarobiły niezłe sumy. W jesieni planowano wystawę w Göteborgu. Jedną z prac, która się nie sprzedała, był paryski autoportret. Nawet pomimo nowej ramy i noty wyjaśniającej orientalny wygląd Zoi, większość potencjalnych kupców wahała się. Poza tym utrzymywały się wciąż wątpliwości dotyczące autorstwa portretu.

Rankiem po zamknięciu wystawy Elliot i Kerstin wpadli do galerii zabrać obraz.

- I co teraz z nim zrobisz? - spytała Kerstin, kiedy ładowali go na tył samochodu. Był słoneczny sierpniowy dzień, ludzie spacerowali w krótkich spodenkach i koszulkach bez rękawów, jakby nadal byli na wakacjach.

- Poczynilem pewne ustalenia - powiedział Elliot. - Zamierzam go od razu oddać.

- Myślałam, że pojedziemy dzisiaj nad morze. Elliot otworzył dla niej drzwi od strony pasażera.

- I pojedziemy.

Rozmawiali kiedyś o tym, żeby po raz ostatni wybrać się do Saltsjöbaden. Kerstin chciała, żeby zobaczył dom w lecie, takim, jakim ona go zapamiętała. O tej porze roku to było zupełnie inne miejsce, twierdziła. Poza tym od jego ostatniej wizyty w Szwecji dom został sprzedany, razem z meblami, i ciekawa była, kim są nowi właściciele.

- Sofia i Nicklas Lindström - powiedział Elliot. - To chyba jakaś miła para.

- Rozmawiałaś z nimi?

- Przyszli któregoś wieczoru do galerii. Są bardzo zadowoleni, że będą mieć ten obraz.

- Chwileczkę, chcesz im dać portret?

- Raczej pożyczyć na zawsze. A przynajmniej dopóki nie wymyślę nic lepszego. Pod warunkiem, że pozostanie w tym domu. Chyba chcą go powiesić w salonie, naprzeciw balkonu.

Kerstin patrzyła na zielony krajobraz. Mała łódka minęła ich na tyle przyczepy.

- To dobre miejsce. Będzie stamtąd widziała morze.

*

Lindströmowie mieszkali w swoim nowym domu dopiero od kilku dni. Większość ich rzeczy była wciąż w pudłach, a meble stały owinięte folią. Mimo to nalegali, żeby goście zostali na lunch, który zjedli na zewnątrz przy stole ogrodowym, w cieniu nowego zielonego parasola. Nicklas Lindström był architektem, Sofia terapeutką mowy. Zatrzymali małe mieszkanie w Sztokholmie, ale planowali mieszkać w nowym domu przez cały rok, jeśli będzie to możliwe. Z dwójki ich dzieci młodsze właśnie rozpoczęło szkołę.

Po lunchu Elliot i Kerstin poszli na spacer nadbrzeżem. Las sosnowy pachniał mocno żywicą, a w cieniu unosiły się chmury owadów. Było inaczej niż w zimie, więcej życia, bardziej zakotwiczone w tu i teraz. Półtora kilometra stąd w mieście wciąż pełno było turystów, choć szczyt sezonu już minął.

- To tutaj zobaczyłam ją po raz pierwszy - powiedziała Kerstin. Dotarli na ocienione miejsce pod okazałym parasolem sosen. Kołyszące się gałęzie obramowywały szeroki pas wy-

brzeża. - Dzień był podobny jak dzisiaj. A ona siedziała w dużym miękkim kapeluszu. I rysowała.

Stali i patrzyli, jak lekki wiatr popycha pierzaste grzywy fal po plaży. Elliot wciąż uważał, że to bardzo samotne miejsce, samotne, ale piękne, te dwie cechy były nierozłączne jak ta woda i to światło. Mewy wyglądały stąd jak maleńkie białe kropki kołujące nad najdalej wysuniętym punktem lądu, ustawiały się w szeregach przed wylotem na wschód przez Bałtyk, być może aż do Rosji i do wysp Sankt Petersburga. Elliot patrzył, jak wyruszają jedna za drugą, aż kilka minut później zniknęły mu z oczu.

Wziął Kerstin za rękę.

- Powinniśmy już iść. Lindströmowie mają jeszcze mnóstwo do wypakowania. - Wracali przez sad i zarośnięty trawnik. Ciemnoniebieskie volvo stało zaparkowane na podjeździe. Na tylnym siedzeniu leżała kolorowa piłka plażowa i mnóstwo papierków po cukierkach. W całym domu okna były szeroko otwarte.

Lindströmowie pojawili się w drzwiach kuchennych. Sofia miała smugę brudu na czole.

- Powiesiliśmy obraz. Wygląda cudownie. Proszę zobaczyć. Elliot i Kerstin wymienili spojrzenia.

- Dziękujemy, ale naprawdę musimy już jechać. Może innym razem.

Pożegnali się i poszli do samochodu. Dzieci Lindströmów właśnie wróciły z wycieczki łodzią. Razem z przyjaciółmi były już w domu, bawiły się w chowanego, goniły się w górę i w dół schodów nowego domu. Elliot usiadł za kierownicą i opuścił szybę. Słyszał śmiech dzieci. Słyszał ich kroki na schodach.

Od Autora

Listy cytowane w tej powieści zostały znalezione pośród prywatnych dokumentów Zoi, zacytowałem je wiernie, choć nie zawsze w całości. Opisując początki życia Zoi w Rosji i poza jej granicami, opierałem się na relacjach samej Zoi, których nie brakuje, a także na jej korespondencji oraz innych źródłach historycznych. Główne postaci pojawiające się w tych partiach powieści są autentyczne, choć w niektórych wypadkach, na przykład w wypadku Alaina Azrii, zmieniłem nazwiska.

Postać Marcusa Elliota i pozostałe postaci, które pojawiają się we współczesnej części powieści - Cornelius Wallander, Peter Lindqvist i Lew Demiczew - są z kolei całkowicie fikcyjne i jakiegokolwiek podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych jest absolutnie przypadkowe.

Podziękowania

W ostatnim roku życia Zoia powierzyła swoje dokumenty młodej austriackiej autorce filmów Angelice Davenport (z domu Brozler). Angelika udostępniła mi to wyjątkowe archiwum, a także, razem ze swoją znakomitą przyjaciółką Camillą Bourghardt, przetłumaczyła, skatalogowała i posegregowała tysiące znajdujących się w nim materiałów. Ta ogromna praca wciąż trwa. Chciałbym podziękować im za wspaniałomyślność, zachętę do pisania i zaufanie, bez których ta powieść nigdy by nie powstała.

Wyrazy wdzięczności należą się również adwokatom Samancie Knights i Louise McCulloch, które były moimi przewodniczkami po zawitych ścieżkach angielskiego prawa rodzinnego; Michel Marie z Angladon Museum w Awinionie za wszystkie szczegóły dotyczące dwóch obrazów Foujity z ich świetnej kolekcji; doktor Nataszy Czybieriewej z Instytutu Architektury w Moskwie za pomoc w poszukiwaniu dokumentów dotyczących Andrieja Burowa; doktorowi Richardowi Williamsowi z National Gallery i Birkbeck College w Londynie za jego wskazówki na temat historii technik złotniczych, Vesslowi Ruhtenbergowi z USA za informacje o jego dziadku, Janie Ruhtenbergu, architekcie związanym z Bauhausem i powierniku Zoi; Nealowi Carpenterowi za dodatkowe szczegóły na temat Jana Ruhtenberga; Bruce'owi Lindsayowi z Harris Lindsay za wyjaśnienia dotyczące importu i eksportu dzieł sztuki; oraz Peterowi Singletonowi za jego wkład w tematy związane z fizyką i chemią. Chciałbym także podziękować moim pierwszym czytelniczkom Claudii Geithner i Patrycji Stepinskiej za ich uwagi, a również redaktorkom z Atlantic Clarze Farmer i Bonnie Chiang za ich komentarze. Agentowi literackie-

mu Peterowi Strausowi i jego asystentowi Rowanowi Routh za opiekę nad całym przedsięwzięciem oraz wydawcy Toby'emu Mundy za jego nieustający entuzjazm. Specjalne słowa podziękowania kieruję do Christophera Zacha, psychoterapeuty analitycznego, autora i poety, za jego liczne cenne pomysły i sugestie, które podsuwał mi przez minione dwa lata.

Na koniec chciałbym podziękować Ucie Bergner, przede wszystkim za to, że namawiała mnie do napisania tej książki, a także za to, że wytrzymała ze mną przez ten czas, kiedy ją pisałem.

RS